

# Prawo Caine'a

Są prawa, które się łamię.  
Są takie, które ciebie łamią.  
I jest Prawo Caine'a.

Matthew Woodring Stover

# Pravo Cajne'a

Są prawa, które się łamię.

Są takie, które ciebie łamią.

I jest Prawo Caine'a.

Matthew Woodring Stover

HOBARTH 10

**MATTHEW WOODRING STOVER**

**PRAWO**

**CAINE'A**

**PRZEŁOŻYŁ**

**WOJCIECH SZYPUŁA**

**WYDAWNICTWO MAG**

# WARSZAWA 2012

Tytuł oryginału: *Caine's Law*

Copyright © 2012 by Matthew Woodring Stover

Copyright for the Polish translation © 2012 by

Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce: Chris McGrath

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Irek Konior Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń ISBN 978-83-7480-250-5 Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 47 43

e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

<http://www.mag.com.pl>

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Druk i oprawa: [drukarnia@dd-w.pl](mailto:drukarnia@dd-w.pl)

# OD AUTORA

Niektóre fragmenty tej historii mają miejsce przed wydarzeniami opisanymi w Księdze Pierwszej *Pokuty*, zatytułowanej *Caine Czarny Nóż*. Inne rozgrywają się później. Jeszcze inne toczą się jednocześnie przed i po *Czarnym Nożu*. Pewne części mogą być zmyślone, a inne były prawdziwe tylko przez pewien czas, zanim zostały odczynione.

Wokół bohatera staje się wszystko tragedią, wokół półboga wszystko satyrą; zaś dokoła boga staje się wszystko - no? może „światem”?

- Friedrich Nietzsche

*Poza dobrem i ziemi*

(przeł. S. Wyrzykowski)

Dostatecznie mocna metafora rodzi własną prawdę.

- Duncan Michaelson

# JEDEN CIENKI

## PLASTEREK WIECZNOŚCI

### UMIŁOWANY PRZEZ BOGA

BOGOWIE ISTNIEJĄ POZA OKOWAMI CZASU. KIEDY ZWRACAMY NA SIEBIE ICH UWAGĘ, MUSKAJĄ NAS SWOJĄ MOCĄ.

- ANGVASSE, LADY KHLAYLOCK,

#### 463. BOJOWNICZKA KHRYLA

W Moim Śnie, Umiłowany, wiesz, kim jestem.

Twoimi oczami patrzę, jak twoje odrętwiałe i potrzaskane dłonie drapią marmurowy stopień - dwa okaleczone pająki wykrwawiające się na matowe szkło. W twojej zakrwawionej brodzie i włosach tkwią drobinki torfu z mieszanki zapalającej, która trysnęła z poszarpanego kikuta szyi twojego nieodżałowanego druha Tyrkillda, gdy pozbawiłeś go głowy. Kiedy czoł-

gasz się po schodach i docierasz do ich ostatniego spiralnie skręconego odcinka, prowadzącego do purificapeksu Wiecznotrwałego Bastionu Rycerzy Khryla, znów żałuję - tak jak zawsze żałowałem i zawsze będę żałował

- że nie mogę cię zmusić, byś w tym miejscu spojrział w bok. Nie robisz tego. Nigdy nie zrobiłeś i nigdy nie zrobisz. A jednak w Moim śnie obrzu-casz wzrokiem bezkres rzezi będącej dziełem Naszej Ręki, i widzisz, że jest dobra.

7

Lodowaty śnieg z deszczem chłoscze ci grzbiet. Znad piekielnego ognia unosi się smród spalonych włosów. Połamane żebra piłują ci przebite płuco, w tę i z powrotem. Pożar w kopalniach. Dym i mgła mieszają się nad ogarniętym pożogą miastem. Bitewny zgiełk dobiega z miejskich posiadłości. Krzyki w oddali. Tysiące cierpią, przejęte zgrozą. Dziesiątki ty-sięcy wkrótce będą cierpieć. Potem miliony, może nawet miliardy, ale tego już się nie dowiemy. Będą krzyczeć długo po tym, jak My rozplyniemy się w wiecznej nicości. Po tym, jak Nas tam zabierzesz, Mój demonie błogosławionej łaski.

Mój aniele potępionych.

Śnię ten sen, mimo że wcale nie śpię. Śniłem go niegdyś, chociaż nie mam przeszłości, i będę śnił znowu, chociaż nie mam przyszłości. Śnię go wiecznie.

Śnię o tym, że znałeś prawdziwą wartość transakcji, którą zaproponowałeś. Że z własnej woli, wręcz z ochotą, zgodziłeś się zapłacić cenę Mojej Miłości. Że z radością ofiarowałeś wszystko, co robisz, oraz wszystko, co ci zrobiono. Jako dar. Prezent ślubny. Wiano.

Warto się tym delektować. Dobrze, że będziemy dzielić ze sobą wieczność.

Kończą się kamienne schody, wychodzisz na platynowy wierzchołek i stwierdzasz, że szczyt Wiecznotrwałego Bastionu jest skutym grubym na pół

dłoni lodem. I kiedy inny człowiek ugiąłby się przed lodem gładkim jak szkło, przebitym płucem, strzaskaną ręką i skomplikowanym złamaniem nogi, ty sięgasz po sztylet (ten sam, za pomocą którego zakręciłeś opaskę uciskową na kolanie) i na wpół sprawną dłonią zaczynasz wyrąbywać w lodzie stopnie.

Tak oto u kresu czasu jesteś sobą, takim jak zawsze byłeś: gotów umrzeć, ale nie gotów się poddać.

Ta śmierć jest ci przeznaczona, Umiłowany. Stąd nie ma ucieczki, a po Naszym Spełnieniu twoje życie dobiegnie kresu. Nawet Ja nie mógłbym cię teraz ocalić, gdybym z jakiegoś powodu uznał, że twoje życie jest waż-

niejsze od Mojej śmierci.

8

Nie, Umiłowany. Nigdy. Czekałem na to tysiąc lat, a każda sekunda ty-siąca Moich lat trwa dłużej niż istnieje wszechświat. To koniec. Teraz oddasz swoje życie, żeby odebrać Moje. Taka nasza prywatna umowa o wspólnym samobójstwie.

Moje nieskończone milenium skończy się w chwili skoku Naszego uko-čanego.

Czuję jęzory ognia smagające twoje nerwy i wyczuwam strzępy dyscypliny, które nie są w stanie całkiem wypchnąć tego bólu z twojej świadomości. Czuję, jak tępy żar odmrożeń wgryza ci się w palce zdrowej nogi i złamanej ręki. Czuję uwodzicielski chłód lodu, po którym się wspinasz; czuję, jak chłodzi ci rozpalone nerwy, i czuję ogarniającą cię wszechpotęż-

ną ochotę, żeby się puścić, położyć, zasnąć i spadać przez wieczność...

Ale nie zrobisz tego. Nigdy tego nie robisz. Nigdy nie zrobiłeś, więc nigdy nie zrobisz.

Docierasz do platynowego ołtarza i usiłujesz wstać. Opierasz się o oł-

tarz, lecz z wysiłku robi ci się ciemno przed oczami. Osuwasz się bezradnie. To koniec nadziei. Nareszcie pokonany.

Ostatnim wysiłkiem woli wyciągasz rękę, chwytasz rękojeść tkwiącej w ołtarzu Przeklętej Klingi i rozpalasz jej moc. Pod twoim dotykiem Przeklę-

ta Klinga znów staje się Mieczem Człowieka. Pierwsze spazmatyczne drgnienie twojej zmasakrowanej dłoni wyrwie go z platynowego grobowca.

Wiecznotrwały Bastion runie w gruzy, które zniszczą Moje Ciało i twoje, przynosząc Nam kres,

którego nic nie zdoła odczytać.

Po to cię właśnie stworzyłem, Umiłowany. Żebyś mnie uwolnił.

Po to cię tu przyzwałem, każąc ci śnić o Czarnych Nożach i morderstwie. Po to stworzyłem Dymny Łów i skierowałem jego głód przeciw niewinnym.

Po to zjąłem cię z krzyża.

Zaciskasz dłoń na mieczu i chwila przeciąga się coraz bardziej, coraz bliższa nieskończoności. Dręczące przedłużenie wieczności. Czy zawsze tyle czekałeś ze zrobieniem tego, po co się urodziłeś? Za każdym razem to trwa czy...?

9

Czy też - wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wbrew brzemieniu rzeczywistości - jest to coś nowego?

I nagle, pierwszy raz od wieków, kaszlesz i odpluwasz krew z przebitego płuca. Szkarłat bryzga ci na bezużyteczne nogi. Dyszysz ciężko, gdy żebra haratają ci pierś, i wtedy... nie, to niemożliwe... wtedy...

- Wiem... wiem, czym jesteś... skurwielu. - Masz głos jak zardzewiały drut kolczasty, który przy każdym słowie szoruje ci po gardle. - Wiem, kim jesteś. Słyszysz mnie... gnoju? Rozumiesz mnie? Znam cię.

Znasz Mnie...? O, Umiłowany, to Mój sen niewyśniony! Ale...

Nie, nie mówisz tak. Nic nie mówisz. Nigdy nie mówiłeś, więc nigdy nie powiesz.

Nie możesz.

- Nie wiem.. czy mnie rozumiesz. Nie wiem, czy w ogóle... mnie słyszysz... yhh. Ale, do kurwy nędzy, masz mnie słuchać i chuj.

Wiem, że nie jesteś po prostu... Bogiem Dymu. Wiem, że Panchasell Mithondionne Spętał Cię i uwięził w tym miejscu, i wiem po co to zrobił.

Wiem, że wybrałeś mnie, żebym Cię uwolnił... i mam Ci coś do powiedzenia.

Gdybym oddychał, wstrzymałbym teraz oddech...

- Nie.

Co?

- Słyszałeś? Kumasz, co mówię? Powiedziałem: nie, kutafonie.

Nie. Warunki... naszej umowy... wszechświat pełen bólu... nasz własny Show Caine'a... yhh... Nie było tam ani słowa o tym, że mam Cię... zabić.

Nie w taki sposób. Ani w żaden inny.

To niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę. Nie może się dziać. Nigdy się nie wydarzyło i nie wydarzy.

- Nie chodzi... o ludzi, którzy tu zginęli. O Prattów, T'Passe, Kierendal... Ani o tych, których zamordowałem: Khlaylocka, Tyrkillda... Nie w tym rzecz, że... palnąłem Angvasse prosto w ryj... odstrzeliłem jej łeb...

mimo że chciała mi tylko... pomóc...

10

Dlaczego miałyby Mnie interesować powody, dla których postanowiłeś Mi się sprzeciwić? Jak możesz się łudzić, że masz jakiś wybór?

- Chodzi o... - Kręcisz głową. Łzy płyną ci spod zaciśniętych powiek. -

Wszystko naraz. O cały świat. O tę niewolnicę z hrabstwa Faltane... która zginęła w pożarze...

Rozkazuję Ci: doładź Miecza. Oddaj życie, by otworzyć więzienie, które jest Moim Ciałem. Teraz i na wieki, niech się dzieje Wola Moja.

To wbrew rozumowi, ale zamiast poczuć, jak zaciskasz dłoń na rękojeści i wyciągasz Miecz, czuję, jak szczerzysz słone od krwi zęby.

- Poczulem to... - mrużysz. - Czyli jednak słuchasz. Hmm... To dobrze.

Dzieje się rzecz niemożliwa: siła znów napływa do twoich potrzaskanych członków, wspierasz się na Mieczu, podciągasz się i wstajesz, balansując na zdrowej nodze.

- Pirichanthe, na twe Imię, zaklinam Cię: usłysz mnie. Pirichanthe, na twe Imię, zaklinam Cię po dwakroć: zrozum mnie. Pirichanthe, na twe Imię, zaklinam Cię po trzykroć: uwierz mi.

Dyszysz, kaszlesz, plujesz obficie krwią, którą unosi burzowy wiatr.

Twój głos brzmi jak szept, ale słyszę go, rozumiem i wierzę... - Chcesz, żebym dobił tego Miecza i odesłał cię z powrotem w pizdu, do jakiegoś przeklętego nie-miejsca w Zewnętrzzu, tak? W porządku. Mogę cię zabić. Z

przyjemnością. Ale ja jestem zawodowcem, pierdolcu. Mnie się za to płaci.

Płaci...

Twoja dłoń spoczywa na Mieczu, który ma nas Spętać w wiecznej te-raźniejszości. Szczęząc okrwawione zęby w wilczym uśmiechu, zadzieraszą głowę i patrzysz w płonące niebo.

- Dogadajmy się.

**WSTĘP**

**LEK, KTÓRY OKREŚLA**

NAWET NIE PRÓBUJĘ SOBIE WYOBRAZIĆ, JAK WIELE BĘDZIE CIĘ KOSZ-TOWAŁO ŻYCIE, KTÓRE WYBRAŁEŚ.

- DELIANN MITHONDIONNE,

DRUGI CESARZ ANKHANY,

TRZECI PATRIARCHA KOŚCIOŁA ELKOTHAŃSKIEGO,

*OSTRZE TYSHALLE'A*

Simon Faller po raz setny poprawił krawat. Wszystkie kołnierzyki, które miał, zrobiły się na niego za duże i zakładając krawat, musiał dążyć do kompromisu między kołnierzykiem rozchełstany jak u pijaka i ściśniętym ciasno jak u Tymczasowego w garniturze z ciuchlandu. Skrzywił się i spojrzał na lustrzany ekran palmpada; odbicie skrzywiło się w odpowiedzi. Pod oczami miał sińce czarne jak zakrzepła krew. Zza uszu sterczały mu smętne resztki włosów. Poszarzałe wargi dopasowały się kolorem do garnituru.

Kiedy przesuwane drzwi, przy których stał, otworzyły się niespodziewanie, wzdrygnął się i o mały włos nie upuścił palmpada.

12

Asystentka była trzy razy młodsza od niego.

- Pracowniku? Dyrektor pana przyjmie.

Faller wsadził palmpad pod pachę i w ślad za asystentką pokonał trzy zewnętrzne warstwy dyrektorskiego biura. Gabinet nowego dyrektora nie był specjalnie imponujący, podobnie jak sam dyrektor, niski nerwus z per-manentnym marszem na czole; w tej akurat chwili zatroskane oblicze zwró-

cił ku wbudowanemu w biurko wyświetlaczowi. Nie podnosząc wzroku, splawił gestem asystentkę, która ulotniła się dyskretnie.

- Pracowniku Faller... Proszę się nie fatygować i nie siadać.

Faller darował sobie uwagę, że dyrektor zajmuje jedyne krzesło w pokoju.

- Jak pan sobie życzy, Administratorze. Dziękuję, że tak szybko zgodził

się pan ze mną spotkać.

- Proszę sobie też darować pochlebstwa. - Mars na czole zwrócił się ku Fallerowi. - Jest pan Pracownikiem z urodzenia, jak mniemam.

- Ja... ehm... znaczy, tak. Tak, proszę pana.

- Pochodzę z rodziny Rzemieślników z ponadstuletnią tradycją. Jestem pierwszym jej członkiem, który awansował do kasty Pracowników, i jedynym wyniesionym do godności Administratora. Zazwyczaj cenię sobie służalczość poddanych nie mniej niż inni Administratorzy, ale to nie jest zwyczajny dzień.

- W rzeczy samej, proszę pana. Dlatego właśnie poprosiłem o spotkanie.

- Faller oblizwał wargi i wystawił palmpad przed siebie jak kelner tacę. - To jest... To znaczy, widział pan to? To, co mam mu pokazać?

- Naturalnie.

- Panie Administratorze, proszę mnie zrozumieć... To go nie przekona.

Ani nie przestraszy. Jest to dokładne przeciwieństwo tego...

- Dosłownie przed chwilą zakończyłem rozmowę z Radą Zarządców, w której przedstawiłem taki właśnie argument. Rzecz w tym, że ich nie interesują nasze argumenty ani nasza opinia. Żądają posłuszeństwa, więc im je okazemy.

13

- Panie Administratorze... - Drugi raz w ciągu pięciu minut Faller prawie wypuścił palmpad z rąk. Położył go na biurku dyrektora i cofnął się. -

Nie wiem, czy dam radę to zrobić.

- Jestem pewien, że tak.

- Ale... proszę, panie Administratorze. Myślałem, że go pan zna. Nie mogę grozić jego rodzinie... Wie pan, co się dzieje z ludźmi, którzy grożą jego bliskim?

- Nie będzie pan groził jego bliskim. Ja zresztą również nie. Mamy mu tylko przekazać konkretną informację w konkretny sposób.

- To jakieś... - Faller zamierzał parsknąć śmiechem, ale zamiast tego z jego gardła dobyło się

rozpaczliwie beczenie. - Sądzi pan, że on zwróci uwagę na to subtelne rozróżnienie?

- Pan się boi.

- Oczywiście, że się boję! Nie oglądał pan nagrania z pożaru w domu Marca Vilo? Nie widział pan *Z miłości do Pallas Ril!*?

Dyrektor podniósł rękę, jakby zamierzał rozmasować sobie obolałą głowę, ale dłoń mu lekko zadrżała i tylko starł warstewkę potu perlącego się na czole. Długą chwilę siedział z zamkniętymi oczami i głową wspartą na spoczonej dłoni, zanim nieoczekiwanie westchnął i wstał.

- Pracownikowi Faller, analiza, którą za chwilę panu przedstawię, opiera się wyłącznie na moich domysłach, niczym więcej. Mimo to, jeśli postanowi ją pan komukolwiek lub czemukolwiek powtórzyć, nie tylko się jej wyprę, ale dopilnuję, żeby został pan zdegradowany do niższej kasty za zniesławienie firmy. Zrozumiał pan?

- Ehm... ja... tak, panie Administratorze. Zrozumiałem.

Dyrektor wyszedł zza biurka i przysiadł niezobowiązująco na jego przednim narożniku.

- Byłem portierem i dorabiałem jako asystent pielęgniarza na pół etatu w szpitalu St. Luke's Ecumenical w Chicago, kiedy Arturo Kollberg został

jego dyrektorem. Umiałem zwrócić na siebie jego uwagę; starałem się być mu przydatny i pomocny w każdy możliwy sposób, o którym chociażby napomknął. Okazałem się na tyle użyteczny, że kiedy Studio go zatrudniło, 14

zabrał mnie ze sobą i zasponsorował mi awans do kasty Pracowników, żebym mógł zostać jego osobistym sekretarzem, które to stanowisko pia-stowałem przez ponad dziesięć lat. Po tym, jak Przewodniczący Kollberg przeszedł załamanie psychiczne, w tym samym charakterze służyłem nowemu Przewodniczącemu, Pracownikowi Hariemu Michaelsonowi. Ponieważ zdaniem Rady Zarządców Przewodniczący Michaelson był człowiekiem nieodpowiedzialnym i potencjalnym zdrajcą, zażądano ode mnie regularnych sprawozdań z jego działalności. Moja gorliwość w wykonywaniu rozkazów Rady doprowadziła do sytuacji, w której znalazłem się dosłownie tak blisko... - W tym miejscu Dyrektor przysunął dłoń do twarzy Fallera, aż ten ostatni wyraźnie poczuł bijącą od niej woń potu. - Powtarzam: znalazłem się tak blisko twarzy Hariego Michaelsona, że mogłem mu policzyć włoski w nosie, kiedy on poradził mi, żebym przypomniał Radzie, że w gruncie rzeczy zna się tylko na jednym: na zabijaniu ludzi gołymi rękami.

Faller cofnął się o krok. Sam też kilka razy znalazł się tak blisko Hariego Michaelsona.

- I co pan zrobił?

- Spełniłem swój obowiązek - wycedził Dyrektor przez zęby. - Tak jak zawsze to robię. I tak jak pan to robi.

Dopiero teraz Faller zwrócił uwagę, że dyrektor ma pod oczami sińce niewiele jaśniejsze niż on sam,

a jego chiton i chlamida są przepocone pod pachami.

Dyrektor wstał i podszedł do okna.

- Jesteśmy na niego przygotowani - powiedział. - Najlepiej jak to możliwe.

Faller stanął obok niego. Jałowe pustkowie wokół gmachu jeżyło się stanowiskami artyleryjskimi, bunkrami i różnego rodzaju fortyfikacjami.

Daleko na twardym, granatowym niebie pięć gwiazd zabłysło srebrno, schodząc łukiem w stronę ładowiska na dachu. Faller z trudem przełknął

ślinę; wyschnięte na wiór gardło nie chciało się otworzyć.

15

Część działek przeciwlotniczych cały czas namierzała spadające gwiazdy, reszta trzymała się predefiniowanych wektorów ostrzału.

Cztery z tych gwiazd były najnowocześniejszymi pancernymi samocho-dami antyzamieszkowymi, których ciężkie uzbrojenie mogło poważnie nadkruszyć otaczające gmach umocnienia. Piątą gwiazdą, która poruszała się w środku szyku, była specjalnie zmodyfikowana więźniarka.

A wszystko to dla jednego człowieka, który na dodatek był nieprzytomny.

- Pan wybaczy, Administratorze, ale mam przeczucie, że nawet gdyby-

śmy zebrali tu całe wojsko dostępne na naszej planecie, na niewiele by się to zdało. Sprowadziliśmy go tutaj, do nas. Do środka.

- Wojsko nie ma nas przed nim chronić - odparł dyrektor głosem beznamietnym jak granitowy nagrobek. - Ma mu uniemożliwić ucieczkę.

Faller wybałuszył oczy.

- Ale to...

- Wydaje mi się, że znalazł się pan tutaj z tego samego powodu, co ja.

Rzecz nie w tym, że jakoś szczególnie dobrze go znamy; założę się, że istnieją tysiące, jeśli nie miliony jego wielbicieli, badaczy i historyków, którzy znają go lepiej, niż my obaj kiedykolwiek moglibyśmy poznać. Podejrzewam, że ściągnięto nas tutaj, ponieważ to on zna nas. - Dyrektor odwrócił się do Fallera. Jego spojrzenie złągodniało od nieoczekiwanego współczucia. - Zna nas i nas nie lubi.

Tępa zgroza ścisnęła Fallera za gardło.

- Czyli ta... - Zakaszłał i omdlewającym gestem skinął na palmpad. - Ta informacja, którą Rada...  
kazała nam...

- Tak. Domyślają się, że jeśli zdoła się uwolnić, to kogoś zabije, i to najprawdopodobniej więcej niż  
jedną osobę - odparł bez ogródek dyrektor.

- Ta... informacja będzie mu się kojarzyła z naszymi twarzami, a ja osobi-

ście mam wrażenie, że taki właśnie jest plan Rady. Mają nadzieję, że dopó-

ki będzie próbował zabić nas, im da spokój.

- No to... Jak niby mamy...?

- Co to za skamlenie, Pracowniku? Był pan Aktorem. Wie pan, jak to działa. - Dyrektor Keller  
rozłożył ręce. - Zwyciężaj albo giń.

**CAŁA PRAWDA**

# BLIZNY I BLIZNY

KORYJSKI TOPÓR.

STRZAŁA NA TERAŃSKIEJ RÓWNINIE ZALEWOWEJ. GWÓZDŹ Z KRZYŻA.

POPARZENIE PRZEZ BOGA KRUCZEJ GRZYWY. NÓŻ W ZAULKU, DAWNO

TEMU, JESZCZE W DOMU. CEGŁA. PIĘŚĆ MOJEGO OJCA.

- CAINE (PRAC. HARI MICHAELSON)

*ODWRÓT Z BOEDECKEN*

Tydzień lub dwa po moich siódmych urodzinach ojciec pobił matkę na śmierć.

Przypomniałem to sobie. Przypomniałem sobie wszystko. Nareszcie.

Przypomniałem sobie, jak to było. Jak zawsze będzie.

Posłuchajcie mnie.

Tak, wy. Skupcie się. To ważne. Oto cała historia. Wszystko inne to tylko kontekst.

Słuchajcie:

17

Klinika Robotnicza Mission District... Tata, ja i poblížniony starzec...

Tata i ja - razem na plastikowej ławce dosuniętej do zagrzybionej ściany, dwa metry od zmatowiałych ze starości pancerszklanych drzwi wej-

ściowych. Obok mnie dziewczyna, pewnie dwunasto-, trzynastoletnia, bo wtedy wydawała mi się dorosła. Mówiła coś, właściwie mamrotała pod nosem; większości jej słów nie rozumiałem, a to, co rozumiałem, nie miało sensu. Kołysała się w przód i w tył, podciągawszy jedno kolano do piersi.

Jej druga noga, zwisająca swobodnie, podrygiwała i wierzgała od czasu do czasu, ale ona jakby tego nie zauważała.

Po jej drugiej stronie leżał na ławce jakiś obdartus, bardzo stary, może nawet w wieku mojego taty, i z głową opartą na kłębku szmat chrapał gło-

śno, wydmuchując nosem różowawe bańki krwistych wymiocin.

Obok mnie z drugiej strony siedział tata.

Łokcie na kolanach, ręce zwieszane między uda, wpatrzony w przestrzeń przed sobą, prawie nie mrugał, a ja wiedziałem, że ogląda nie szpitalną poczekalnię, lecz sceny rozgrywające mu się w głowie. Tak mu się robiło po tych jego epizodach. Jakby umierał - tylko że normalnie oddychał, poruszał się i w ogóle. Odkąd usiedliśmy, nie wydał żadnego dźwię-

ku. Czyli od ponad godziny.

Ja też nie.

Poczekalnia w klinice była większa niż całe nasze mieszkanie. I czyst-sza. Dochodziło południe, najluźniejsza pora dnia, i w kolejce do lekarza czekało pięćdziesięciu, najwyżej sześćdziesięciu Robotników. Większość z nich miała wypieki i mokry, lepki kaszel - objawy dychawicy, która rozsza-lała się na początku roku. A lato się jeszcze nie skończyło. Dychawicę można było wyleczyć, łykając po jednej pigułce dziennie przez tydzień albo dwa, tylko że tych pigułek jakoś ciągle brakowało. Nickles Porter, mój rówieśnik, który mieszkał na naszym piętrze, mówił mi, że jego ojciec wrócił z kliniki w gorszym stanie, niż do niej poszedł, potem krztusił się przez pół nocy, aż w końcu umarł.

18

Pamiętam, że kiedy Nickles mi o tym powiedział, pomyślałem, że fajnie by było, jakby mój tata też złapał dychawicę i wykorkował, bo wtedy może udałoby się nam z mamą wrócić do kasty Pracowników. Znow zaczęłaby wykładać i zamieszkalibyśmy w naszym prawdziwym domu przy Language Arts Drive na kampusie w South Berkeley.

Przypuszczałem, że Nickles i jego mama zrobili coś podobnego, bo jakieś dwa tygodnie później zniknął bez śladu. Wtedy tak właśnie myślałem, bo byłem jeszcze żółtodziobem. Dopiero po paru miesiącach przekonałem się, jak i dlaczego dzieci Robotników znikają z Mission District.

Siedząc na ławce w poczekalni, zupełnie nie przejmowałem się perspektywą śmierci mamy; nie byłem aż takim żółtodziobem. Mieszkając wśród Tymczasowych, człowiek uczy się mniej przejmować tym, co będzie, a bardziej tym, jak to przeżyć. Jeżeli mama umrze, sprawy potoczą się jednym torem; jeżeli przeżyje, potoczą się inaczej. Ja i tak nie miałem na to żadnego wpływu. Mogłem tylko siedzieć i czekać. I nie myśleć za wiele o swojej przyszłości.

Dlatego zajmowałem się niemyśleniem, dopóki nie przyszedł ten staruch.

Wszedł do kliniki takim krokiem, jakby śpieszył się w jakieś inne miejsce. Pod pachą niósł jedną z tych plastikowych, pustych w środku kul inwa-lidzkich, której na pierwszy rzut oka wcale nie potrzebował. Może po prostu mu się należała, z przydziału, bo był stary. Stary jak świat, albo jeszcze starszy. Włosy miał siwe, brwi również, jego twarz przybrała kolor starej torebki papierowej - jej najjaśniejszym akcentem była ukośna blizna prze-cinająca zagięty haczykowato nos. Podszedł wprost do drzwi prowadzą-

cych w głąb szpitala.

- Tak nie można.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Że co?

- Nie może pan tam wejść. - Wskazałem mu pancerszklane okienko re-jestracji, z dziurkami. - Najpierw melduje się pan u tej pani w okienku, a 19

potem siada tu i czeka, aż ktoś pana wywoła po nazwisku.

- Jasne, mały, gadaj zdrów. Nie przyszedłem tu oglądać... - Przeniósł

wzrok na tatę i wytrzeszczył oczy, jak to się czasem zdarza człowiekowi w koszmarze sennym, kiedy nie bardzo wie, czego się boi. - Ja pierdolę... -

wykrztusił takim głosem, jakby się dławił.

Wziął się w garść, wolną ręką przetarł oczy, ale wyraźnie zbladł; tylko blizna na nosie poczerwieniała. Zachwiał się na nogach.

- Proszę usiąść - poradziłem mu. - Jeśli się pan tu przewróci, nikt nie pomoże panu wstać.

- Oczywiście... - wydyszał chrypliwie. - Pamiętam.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, więc nie odpowiedziałem. Pogapił się jeszcze trochę na tatę, potem spojrzał na mnie z taką miną, jakby się wściekał, ale i tak zamierzał się rozpłakać. A potem otrząsnął się i po prostu posmutniał.

- Masz ciężki dzień - powiedział.

Zerknąłem na tatę, ale był zupełnie pusty, jak stary dom, w którym już nikt nie mieszka.

- Na to wygląda.

Staruch podszedł bliżej i usiadł między mną i mamroczącą pod nosem dziewczyną. Oparł czoło na kuli (jakby po to ją właśnie ze sobą nosił). Był

tak zmęczony, że głowa sama mu opadała.

- Mama? - domyślił się.

Wbiłem wzrok w podłogę. Facet wiedział rzeczy, których nie powinien wiedzieć, a ja już się nauczyłem nie zadawać z pospołami w cywilu.

- Moja mama też tam jest - dodał.

Nauczyłem się patrzeć w ziemię, ale nie trzymałem buzi na kłódkę.

- To pan ma mamę?

- Każdy ma mamę, młody. I każda mama kiedyś umiera.

- Moja nie umrze.

- Może nie dzisiaj. Pamiętasz, co ci mówiła? O tacie?

Pamiętałem. Leżała na swojej połówce w dużym pokoju, spocona, posi-niaczona, krwawiąca z kącika ust. Pamiętałem, jak drżała jej ręka, gdy 20

złapała mnie za przegub dłoni. W jej uścisku nie było już siły.

- Opiekuj się ojcem - powiedziała. - Bo to jedyny ojciec, jakiego bę-

dziesz miał. Jest chory, Hari. Nie panuje nad sobą.

Często mówiła mi takie rzeczy. Że to nie jego wina. Albo że „tata naprawdę nas kocha i wcale nie chce nas skrzywdzić”, chociaż bił nas regularnie, czasem tak, że przez dzień czy dwa nie byliśmy w stanie chodzić.

Nigdy tego nie rozumiałem; jakie to miało znaczenie, czyja to wina?

Czasem powtarzała też, że tata „nie jest sobą”, czego też nie rozumia-

łem, bo jeśli nie był sobą, to kim? A skoro był „po prostu chory”, to czemu nigdy nie robiło mu się lepiej?

Zresztą, kogo obchodzi jakieś „dlaczego”? Jaka to różnica? Pięść w twarz to pięść w twarz - żadne „dlaczego” nie ma tu nic do rzeczy.

Ale mama chyba uważała, że to ważne, żebym to wszystko zrozumiał, więc zawsze kiwałem głową i udawałem, że się z nią zgadzam. Inaczej nie dałaby mi spokoju.

Staruch przyglądał mi się takim wzrokiem, jakby czytał mi w myślach.

- Bo nic nie jest dobre ani złe samo w sobie, wszystko zależy od tego, jak o tym myślimy. Mam rację?

Znów wbiłem wzrok w podłogę.

- Chyba nie powinien pan ze mną rozmawiać - powiedziałem.

- Co racja, to racja - przyznał.

Nachylił się, przekrzywił głowę i zniżył głos, jakby nie chciał, żeby tata go usłyszał. Aż się zacząłem zastanawiać, czy naprawdę nie jest pospołem, bo gdyby był, rozpoznałby tatę i wiedziałby, że

bezpośrednio po jednym z tych jego epizodów tata nie zrobi zupełnie nic, nawet gdyby do niego strzelać.

- Posłuchaj, mały, ja chcę... - Zawiesił głos i pokręcił głową, a ja nie musiałem na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że się krzywi. - Jedna sprawa, młody. Tylko jedna. Potem dam ci spokój, w porządku?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na jego ręce.

21

Siedział pochylony, z łokciami opartymi na kolanach, kulą opartą o bark i rękami zwieszonymi między nogami. Właściwie było to nawet trochę zabawne, bo tata siedział dokładnie w takiej samej pozycji - tylko że dłonie tego starucha w niczym nie przypominały dłoni taty, które były szerokie, silne i twarde jak cegłówki. Kiedy tata zaczynał, pierwszym ciosem zmiatał

mnie z nóg. Nawet nie musiał zaciskać pięści. Pracował w porcie. Wtedy jeszcze dobrze jadaliśmy i z dnia na dzień stawał się coraz silniejszy. Silniejszy niż przeciętny człowiek. Jego dłonie były poblżnione, pokryte strupami, stwardniałe od odcisków - ale wciąż wyglądały jak dłonie.

Dłonie starucha przypominały dwa młoty.

Nie były zdeformowane, nie w tym rzecz - wyglądały normalnie, miały palce i w ogóle - były jednak gęsto pokryte bliznami i jeszcze taką dziwną skórą na kostkach i z boku, ciemną jak stary siniak, zgrubiałą i pomarszczoną, tak że knykcie całkiem w niej ginęły. Właściwie knykci mogło tam w ogóle nie być, bo kiedy zaciskał pięść, widziałem tylko, że twarda skóra u nasady palca wskazującego i środkowego jest grubsza niż gdzie indziej.

To były dłonie stworzone do bicia.

- Paskudne, co? Tak to wygląda, kiedy ktoś taki jak ja się starzeje. -

Odwrócił dłonie grzbietami w dół, pokazując mi odciski i blizny od we-wnątrz. Palce miał już chyba częściowo niesprawne: sztywne, powykrzywiane, spuchnięte w stawach. - Trochę za późno, żeby wziąć się za grę na gitarze.

Czułem, że powinienem coś powiedzieć, i chociaż wiedziałem, że nie powinienem z nim rozmawiać, nie chciałem być niegrzeczny.

- Ma pan dużo blizn.

Tylko tyle zdołałem wykrztusić.

- Ano mam. Ty też.

W porównaniu z nim nie miałem żadnych blizn, co najwyżej jakieś drobne ślady po bójkach przy baseballu i tym podobnych. Facet ze mnie drwił.

- Nabijanie się z dziecka to z dupy zagranie.

22

Nie wiedziałem dokładnie, co to właściwie jest „z dupy zagranie”, ale starsze dzieciaki często tak mówiły, kiedy ktoś pastwił się nad kimś innym bez powodu.

- Wcale się z ciebie nie nabijam, młody. Są blizny i blizny.

To zabrzmiało tak poważnie i tak smutno, że spojrzałem na niego. Oczy miał bardziej błyszczące niż wcześniej, jakby odrobinę bardziej wilgotne.

Wzruszył ramionami, zakaszłał i spuścił wzrok.

- Te, które mam na rękach, to blizny jednego rodzaju... Zresztą, zobacz tutaj.

Odwrócił się do mnie tyłem i obciągnął kołnierz, odsłaniając kark i bark. Na ramieniu miał prawdziwą bliznę, zygzakowatą jak błyskawica, pofalowaną, dziwnie gładką i białą jak plwocina.

- Rety... - Nie mogłem oderwać od niej oczu. - Co się panu stało?

- Oberwałem siekierą od jednego gościa.

- Serio?! - Nie mieściło mi się to w głowie. - Super!

- Wtedy tak nie myślałem.

- Mógł panu odrąbać całą rękę!

- Celował w szyję. Zresztą, mniejsza z tym, popatrz. - Wyprostował rękę

i poruszył barkiem, żeby mi pokazać, że staw jest nadal sprawny. - To jeden rodzaj blizny. Po prostu przypomina ci, że coś się stało. Facet złamał

mi obojczyk, widzisz? Blizna jest twardsza niż kość po bokach. Dużo jest takich blizn: rana się goi i stajesz się twardszy niż byłeś.

- Ekstra.

- Gdyby jednak odrąbał mi rękę, tak jak mówiłeś... - Pokręcił głową. -

To zupełnie co innego. Możesz to przeżyć, możesz nauczyć się żyć bez ręki i jakoś sobie radzić, ale już do końca życia będziesz przetrącony. Mniej lub bardziej złamany.

Rozumiałem, co mówi, ale nie miałem pojęcia, co to ma wspólnego ze mną. Powiedziałem mu o tym.

- Nie wszystkie blizny nosi się na ciele, młody. A mimo to, niektóre potrafią cię złamać. Moja mama... zmarła, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku. Z czegoś takiego nie można się otrząsnąć,

jakby nigdy nic, to po 23

prostu... Słuchaj, młody, nie przegap żadnej okazji, żeby pocałować ją na do widzenia. Nigdy nie wiesz, który raz będzie ostatni.

- Kiepsko pan kłamie.

- He?

- Pańska mama umarła, kiedy był pan w moim wieku, tak? To jak to możliwe, że teraz leży tutaj, w tej klinice?

Stropił się.

- To skomplikowane.

- Mój tata mówi, że jak chce się kłamać, to trzeba zapamiętywać swoje kłamstwa.

- Bardzo słusznie. Ale trzeba też pamiętać prawdę. - Pokręcił głową, tak krótko, z irytacją, jak tata, kiedy przyłapał się na tym, że odbiega od tema-tu. - Widzisz, młody, my się jeszcze kiedyś spotkamy. Chociaż nieprędko.

Upłynie tyle czasu, że nie będziesz pamiętał o naszym dzisiejszym spotkaniu, o tej rozmowie, w ogóle o wszystkim, dopóki mnie nie zobaczysz.

Dopiero wtedy wszystko sobie przypomnisz. A wtedy chciałbym, żebyś przypomniał sobie zwłaszcza jedną rzecz. Rozumiesz? Jedną rzecz.

Znowu zagapiłem się na podłogę. Nie wiadomo dlaczego, miałem wra-

żenie, że znalazłem się w jednej z tych bajek, które tata wyszukiwał w sieci i mi czytał; takiej, w której bohater się na coś zgadza, ale okazuje się, że to pułapka i ma przechłapane do końca życia. Mimo to, nie mogłem nie zapytać. Musiałem wiedzieć.

- Jaką?

- Że jest mi przykro. - Mówił powoli, jakby z wysiłkiem. - Że powiedziałem, że przepraszam.

- Za co?

Teraz on też spuścił wzrok, jakby był zaintrygowany tym, co wypatrzy-

łem na posadzce.

- Za wszystko.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz. - Pokręcił głową i rozciągnął wargi w cienką krechę. -

Gdybym mógł, załatwiłbym to inaczej.

24

Zmarszczyłem brwi.

- Ale co?

- Nic. Wszystko. Zresztą, kurwa, nieważne. - Westchnął i wstał. - Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem.

Uszy mi zapłonęły.

- Tak się nie robi.

- Tak, tak, oczywiście. Gadaj zdrów.

Ruszył w stronę drzwi prowadzących w głąb kliniki. Zerwałem się na równe nogi, przyciskając pięści do ud.

- Co to w ogóle znaczy?! Przepraszasz, ale nie zamierzasz nic zrobić?! -

Poczułem, że się czerwienię, jak zawsze, kiedy się wściekam. Rumieniec rozlewa mi się w górę szyi, jakbym był butelką, która napełnia się gnie-wem. - Kurwa, wszystkim jest przykro!

Stanął jak wryty, jakbym trzymał go na smyczy i teraz nią szarpnął, ale się nie odwrócił. Wiedziałem, że pakuję się w kłopoty, bo „kurwa” nie wolno mówić nawet do innych dzieci, a co dopiero do dorosłych. Ale skoro już się w nie wpakowałem, nie musiałem się martwić tym, że dopiero się wpakuję. Stałem więc tam i darłem się na niego:

- Ludziom było przykro, kiedy tatę zabrały pospoły! Potem było im przykro, jak wyrzucili nas z domu! Mamie jest przykro, że wdaję się w bójkę, tacie jest przykro, że bije mamę, i to tak, że potem mama może tylko leżeć i wykrwawiać się na podłogę, ale nikt, kurwa, nikt nie robi nic, żeby coś zmienić!

Wszyscy w poczekalni gapili się na mnie, a ja cały się trząsałem i łzy płynęły mi po twarzy. Byłem tak wściekły, że mogłem już tylko płakać, a potem płakałem, bo i tak nic innego nie mogłem zrobić.

- Gdyby było wam naprawdę przykro, nie musielibyście o tym mówić!

Ale nie, wy musicie o tym mówić, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, że nic nie robicie! Cała ta gadanina jest chuja warta, ale przynajmniej się wam wydaje, że wcale nie jesteście w dupę jebanymi skurwysynami!

Tata poruszył się obok mnie jak ożywiony posąg. Poczułem dotyk jego dłoni na ramieniu.

- Hari? - Bełkotał trochę, jakby obudził się w środku nocy i nie bardzo wiedział, co się dzieje. - Co się stało, zabójco?

Przez ten czas u mnie już wszystkie śluzy puściły i nawet nie mogłem mu odpowiedzieć, bo nie byłem w stanie złapać tchu. Stałem, trząsałem się, ryczałem i żałowałem, że jestem za mały, żeby zbić tego starucha tak, jak tata bił mamę. Żeby leżał i krwawił.

Tata podniósł wzrok, zobaczył go i zbiełał na twarzy.

- Ty...

Staruch skinął mu głową.

- Witaj, Duncanie. Chyba nie muszę pytać, co u ciebie.

Tata zrobił dziwną minę, jakby jednocześnie zmartwił się, przestraszył i wkurzył.

- Ciebie tu nie ma. To niemożliwe, niemożliwe...

- Ależ jestem.

- Słyszałem, że nie żyjesz.

- Też tak słyszałem.

Ręka taty na moim ramieniu zacisnęła się z taką siłą, że w jednej chwili przestałem szlochać. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby ktoś poruszał się tak szybko jak tata, kiedy zerwał się z ławki i pociągnął mnie za siebie, do tyłu, stając między mną i tamtym.

- Czego tu szukasz? - burknął takim tonem, jakby mówił „gadaj, zanim cię zmasakruję”.

Był dużo większy od tego dziada, i młodszy, i silniejszy niż zwykły człowiek, i miał łapy jak cegły... A tamten w ogóle się go nie przestraszył.

Tylko tak jakby znów posmutniał.

- Gdybyś... Gdybyś mógł cofnąć najgorszą rzecz, jaką w życiu zrobi-  
łeś...

- Co?

- Zrobiłbyś to? Gdybyś mógł odczynić uderzenie w dzwon, tylko raz, zrobiłbyś to?

Tata pochylił się lekko w jego kierunku i ugiął kolana.

- Nie zbliżaj się do mnie i do mojej rodziny. - Zacisnął zęby. - Jeżeli jeszcze kiedyś cię zobaczę...

26

Nie powiedział „zabiję cię”, ale nie musiał.

- Nie spodziewałem się, że was tu dziś zastanę - odparł staruch. - To się nie powtórzy. - Wspiął się na palce i ponad ramieniem taty spojrzął mi w oczy. - Pamiętaj, co ci powiedziałem. I zawsze całuj mamę na do widzenia.

Nie zapomnij. Zawsze.

- Coś ty powiedział?! - wychrypiał tata, jakby wściekł się tak gwałtownie, że aż się zadławił. - Rozmawiałeś... z moim synem?!

Wyciągnął ręce, żeby złapać starucha za klapy, a ja już wiedziałem, co będzie dalej: tata podniesie go i nim potrząśnie, ale tak porządnie, a jeśli to nie wystarczy, to przytrzyma go jedną ręką, a drugą obje mu ryj do krwi.

Tak się zawsze działo, kiedy tata się zezłościł i dorwał kogoś w swoje ręce.

Tym razem było inaczej.

Zanim chwycił starucha za przód kurtki, tamten powiedział:

- Nie rób tego.

I tata tego nie zrobił.

Tamten wyglądał tak bezbrinnie, jak tylko może wyglądać starszy człowiek, ale te trzy wypowiedziane półgłosem słowa musiały mieć jakąś czarodziejską moc, bo tata stanął jak skamieniały, dosłownie, z rękami wyciągniętymi jak do ciosu. Znieruchomiał.

- Weź się w garść, Duncan - powiedział tamten. - Masz poważniejsze problemy niż moja obecność.

Kiedy dziś się nad tym zastanawiam...

Tata i Policja Społeczna. Tata i Studio. Tata i Rada Zarządców. Tata i Uprzywilejowani. Tata i inwestorzy, którzy rządzą Ziemią. Tata i Biznes-meni i Administratorzy, którzy wszystkim kierują. Tata i mama. Tata i ja.

Tata.

Dzisiaj, po tylu latach, rozumiem nareszcie, co wtedy widziałem.

Kris Hansen napisał o mnie książkę, w której Tan'elKoth tłumaczy Radzie Zarządców, jak mnie pokonać.

„Musimy sprawić, żeby myślał o sobie jak o człowieku pokonanym” -

mówi.

27

Mój ojciec został bardziej niż po prostu pokonany. Został zmiażdżony.

Kiedy wystawił głowę z trawy, bucior ludzkiej cywilizacji rozdeptał mu ją na miazgę.

Powoli.

Przez ten czas wyniszczająca przypadłość neurologiczna nieodwracalnie zmieniała go dokładnie w taki rodzaj człowieka, jakiego zwalczaniu po-

święcił życie: głupiego, nieprzewidywalnego i porywczego. A on o tym wiedział.

I nie dane mu było zapomnieć.

Przez te wszystkie lata... za każdym razem, kiedy na mnie patrzył, przypominał sobie te wszystkie sytuacje, w których robił mi krzywdę. Kiedy mnie dusił. Kiedy bił, rękami albo czymś innym. Książką. Krzesłem. Patel-nią. Raz - pamiętny raz - kluczem nastawnym.

Czasem miewał zaniki pamięci. Ale rzadko.

Jestem pewien, że pamiętał, jak pobił mamę na śmierć.

Nigdy o niej nie rozmawialiśmy, ale widziałem to w jego oczach.

Wspomnienie uderzało niczym młot i oczy stawały się puste. Jak wilgotne szklane kulki. Nie było w nich zupełnie nic, ani smutku, ani żalu; tracił

wątek rozmowy i odpływał. Odpływał tak samo, jak po tych swoich napa-dach szału. Nie tak, jakby umierał, tylko jakby był martwy już od dawna, a tylko od czasu do czasu o tym zapominał i śnił, że znów jest żywy. A może śnił o tym, że umarł tak, jak tego chciał: oddając życie w jej obronie.

Zawiodłem ludzi, których kochałem; to mnie zniszczyło. Co czuł tata, kiedy nas zawodził... Nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie chcę sobie tego wyobrażać.

Wiem natomiast, dlaczego to znosił. Dlaczego się nie zabił i przez czterdzieści lat tolerował los żywego trupa. Rozgryzłem go rok albo dwa po tym, jak udało mi się go wyciągnąć z Buke i przenieść do Opactwa, gdzie zamieszkał z Shanną, Faith i ze mną. Rozgryzłem go, bo widziałem, jak na mnie patrzy.

Mama nawiedzała go jak duch Banqua. Wtedy na chwilę umierał, a kiedy dochodził do siebie, patrzył na mnie w taki szczególny sposób...

Potrzebowałem trochę czasu, żeby się zorientować, skąd znam to spojrzenie. Znam je, bo kiedy myślę o Faith, widzę je w lustrze.

Za każdym razem, gdy wyczołgiwał się z królestwa śmierci, składał

obietnicę. Nie mnie, bynajmniej. Kiedy tak na mnie patrzył, w duchu przypominał sam sobie, że bez względu na to, jak bardzo jest sponiewierany, jak bardzo bezradny, chory i rozdzierany wyrzutami sumienia, bez względu na to, że się go wypieram, pluję na niego i przeklinam jego wspomnienie -

wciąż istnieje mała, mikroskopijna szansa, że pewnego dnia będzie mógł

coś dla mnie zrobić, cokolwiek, choćby to był najmniejszy drobiazg w jego życiu. Może nawet nastanie dzień, w którym będę go potrzebował. Kiedy tak patrzył, przysięgał sobie w duchu, że jeśli taki dzień nadejdzie, on bę-

dzie przy mnie. Nie oglądając się na nic.

Mimo że nigdy nie musiał mnie ratować. Mimo że całe jego męstwo i cierpienie szły na marne; mimo że zgnilizna zżerająca mu mózg i wyrzuty sumienia rozszarpujące mu serce zdały się na nic; mimo że nic, ale to nic nie mógł dla mnie zrobić.

Zawsze istniała ta mikroskopijna szansa...

Tata w Klinice Robotniczej Mission District, wcielenie zgrozy i gniewu splątanych jak kłęb drutu kolczastego. A wszystko przez to, że zobaczył

złego człowieka. Okrutnego zabójcę, dla którego morderstwo jest równie naturalne, jak dla innego człowieka poranny prysznic. Który zabijał dziesiątki, setki razy. Który zabija szybciej, niż tata mruga powiekami, i z błah-szych powodów. Wiedząc, że najdrobniejszy ruch może bez ostrzeżenia sprawić, że jego krwawy trup spocznie na podłodze szpitalnej poczekalni, tata znalazł coś, za co warto umrzeć.

Rozdzielił nas.

Mgnienie oka ciągnęło się w nieskończoność, groza tężała wokół nas jak burzowa chmura, gdy wtem za plecami starucha otworzyły się we-wnętrzne drzwi kliniki i wyjrzał zza nich młody asystent lekarza.

- Robotnik Michaelson?

Staruch odwrócił się, jakby asystent mówił do niego, chociaż ten zwracał się, rzecz jasna, do taty. I do mnie. Staruch pchnął drzwi nieco szerzej, po prostu wyminął go i wszedł do środka. Tata chyba nawet tego nie zauważył.

Staruch miał rację: mieliśmy teraz poważniejsze problemy.

- Tak? - odezwał się tata. - To ja: Praco... to znaczy, Robotnik Michaelson. Co z nią?

- Proszę za mną, Robotniku.

Z taty ulotnił się cały gniew i nie zostało nic, co mogłoby go podtrzymać. Zachwiał się na nogach i musiał się o mnie oprzeć, żeby nie upaść.

- Przyszliśmy tu... To nasz syn...

- Mamy tam mało miejsca, Robotniku. Pański syn musi zostać w poczekalni.

- Nie może pan... Nie możemy wejść razem?

Po minie asystenta widziałem, co się święci. Wyśliznąłem się spod ręki taty i usiadłem na ławce. Wiedziałem, co za chwilę usłyszę.

- Może wejść później, kiedy pan tu wróci, Robotniku. Przykro mi.

Przykro mu. Pewnie.

Dopiero teraz - dosłownie teraz, kiedy składam te słowa, po dekadach, które bardziej przypominają stulecia, uderza mnie osobliwość tamtej sytuacji: tata umiał spojrzeć śmierci w oczy i nawet nie mrugnął, ale nie potrafił

się postawić cholernemu szpitalnemu stażyscie. Wtedy było to dla mnie naturalne. Oczywiście. Najważniejsza lekcja w moim życiu.

Można walczyć z zagrożeniem, ale nie z faktami.

To właśnie przez to, że tata próbował walczyć z faktami, wylądowali-

śmy w robotniczym getcie w Mission District. Kiedy tamtego dnia staliśmy obok siebie w klinice, był już tak złamany ranami odniesionymi w tej walce, że nie był w stanie nawet podnieść głosu.

Siedziałem więc na ławce i czekałem, aż tata przyszedł i powiedział mi, że mama nie żyje.

30

A staruch? Miał rację. Zapomniałem o nim na śmierć, dopóki znów go nie zobaczyłem.

A zobaczyłem go w lustrze. I nikt, ale to, kurwa, nikt - poza mną, tępa-kciem nad tępaki - nie był tym zaskoczony.

\*\*\*

Lustro było stare. Wyglądało prawie tak staro, jak ja się czułem, kiedy tego ranka zwlokłem się z

wyraża. Pokrzywione gwoździe przytrzymały je na pękniętej ścianie nad zardzewiałą umywalką w głównym wiejskim zajęździe, gdzie wszystko było wilgotne i cuchnęło pleśnią. Włącznie z samym lustrem, z którego zlała połowa srebra, a ocalałe placki miały czarne obwódki.

Co tydzień, czasem co dwa, nocowałem w takiej norze w pierwszej lepszej wiosce, która akurat znalazła się w pobliżu. Uzupełniałem zaopatrzenie, a potem spędzałem wieczór przy kominku, słuchałem gadaniny tubylców, stawiałem wszystkim drinki i próbowałem wysondować, czy świat już wyleciał w powietrze. Zdarzało się, że końska wiedźma wybierała się ze mną; nawet ona lubiła się czasem przespać w łóżku, tak dla odmiany.

Poza tym - o czym nigdy nie omieszka mi przypomnieć - nie jestem, kurwa, coraz młodszy.

Tego konkretnego dnia rano obudziłem się sam, chociaż kładliśmy się we dwoje. Ulotniła się już dawno, mimo że dopiero świtało; jej połowa łóżka była zimna jak nagrobek w deszczu. W dodatku nie zorientowałem się, kiedy zniknęła, co było dziwne, biorąc pod uwagę zarówno to, kim jestem, jak i fakt, że źle spałem. Właściwie prawie w ogóle nie spałem.

Zdrzemnąłem się gdzieś między północą i świtaniem, ale nawet wtedy nie dane mi było odpocząć, bo przyśnił mi się koszmar. To znaczy, nie taki prawdziwy koszmar, umiałem je już odróżnić. To była wizja.

A właściwie Wizja, przez duże W.

31

W tym koszmarze, wizji, czy chuj wie czym, byłem Orbekiem. Znajdowałem się na Boedecken, gdzie rozwaliłem czachę garbatemu ogrillowi imieniem Kopav i adoptowałem jego syna, przyjąłem go do Czarnych No-

ży. To znaczy, Orbek go adoptował.

Tak jak mnie.

Krótko mówiąc, noc miałem przesraną, a poranek bez końskiej wiedź-

my zapowiadał się jeszcze gorzej. I właśnie wtedy przetarłem twarz udają-

cą ręcznik spleśniałą szmatą i zobaczyłem w lustrze tego starucha.

Długo się na niego gapiłem, nim zacząłem coś jarzyć. Sam nie wiem, jak długo. Czasem bywam szybki (zwykle kiedy trzeba komuś przywalić, ale mniejsza o to), czasem zaś zrozumienie prostych faktów zajmuje mi dwie wieczności, a potem i tak zapominam, co właściwie rozumiałem.

Wieki trwało, zanim wreszcie do mnie dotarło, że stary sukinkot wcale mnie nie okłamał.

Jego mama naprawdę umarła, kiedy był w moim wieku. I naprawdę wtedy, w tamten dzień, leżała w klinice.

Nie doceniłem łajdaka. Cokolwiek by o nim powiedzieć, skurwiel był

uczciwy.

Osobliwości mnożyły się jak króliki. Tyle tylko, że to nie było po prostu osobliwe, to był kurewski huragan niemożliwości.

Nie bez powodu nie nazywa się jej Drugą Zasadą Termodynamiki.

Bo przecież jeśli coś takiego było możliwe... Co ja gadam, bardziej niż możliwe, bo przecież naprawdę się wydarzyło! To co jeszcze jest możliwe?

A co nie?

Pamiętam, że pomyślałem wtedy o wszystkim, co w życiu zrobiłem. Co widziałem. Co wiedziałem. I pamiętam, jak fala niedowierzania roztrzaska-

ła się o mnie, kiedy wreszcie zrozumiałem, co to oznacza.

Może jednak mam szansę naprostować tego skurczybyka.

To wtedy zacząłem się uśmiechać.

32

To wtedy spojrzałem na swoje odbicie w nieregularnym placku srebra i pomyślałem: wal się na ryj, dziadu jeden. Wszyscy by tylko przepraszali.

Różnica między nami dwoma?

Trudno powiedzieć. Z pewnością nie spodziewał się zobaczyć mnie i ta-ty wtedy w klinice, co oznacza, że nigdy nie będę nim, bo pamiętałby o tym spotkaniu. To nie była moja przyszłość. Końska wiedźma powiedzia-

łaby, że on w ogóle nie był mną, tylko po prostu wyglądał jak ja. Nosił

moje blizny.

Tylko że, widzisz... końska wiedźma nie zawsze ma rację.

Kris - cesarz Deliann, który też nie zawsze ma rację - powiedziałby, że każdy z nas jest sumą swoich blizn. To zawsze brzmiało dla mnie najsen-sowniej. Nawet jeśli nie trafię do kliniki w dniu śmierci mojej matki, ten staruch był Harim Michaelsonem. Caine'em. Jonathanem Fistem. Nawet Dominikiem Shade'em, do diabła.

Jeśli masz moje blizny, to jesteś mną.

Jednakże to, że jest mną, nie znaczy, że ja jestem nim. Ani że będę nim w przyszłości. Ty też nie. Kurna, nie byłem nawet tym samym facetem, co poprzedniej nocy. Tak jak nie jestem tym samym facetem, którym będę po powrocie na Boedecken. Między innymi dlatego końska wiedźma ma takiego pierdolca na punkcie imion. Czasem imię to tylko podstęp, który ma cię przekonać, że jesteś tym samym gościem, co dziesięć lat temu. Albo pół

roku temu.

Albo wczoraj.

Ciekawe, że nie pamiętał naszego spotkania. Bo to znaczy, że przynajmniej jakaś część jego dzieciństwa została odczyniona. Jakaś Moc przerobiła jego dzieciństwo w moje. On jest tym, kim ja bym był.

Czyli - skupcie się teraz - jego dzieciństwo, które doprowadziło go w tamten poranek do Kliniki Robotniczej Mission District, nigdy nie istniało.

Ale ja go pamiętam. Pamiętam całą tę scenę. Mimo że jego nigdy nie bę-

dzie. Nie może istnieć, został odczyniony, a jednak istnieje jako część mojej młodości. To znaczy, istniał.

33

Język zawodzi.

Ta scena nie mogła się wydarzyć. To tak zwana pętla bezprzyczynowa, samokasujący się poślizg historii. Musiała zostać odczyniona.

A jednak.

Trudno jest spętać czas. Jeśli wierzyć archiwom klasztornym, tylko dwie istoty ludzkie potrafiły tego dokonać. Jedną był Jhantho z Tyrnall, zwany Żelaznorękim, który wykuł Porozumienie z Pirichanthe, stworzył

Skarbce i założył Klasztory.

Drugim był jego brat-bliźniak Jhereth. Ten, którego nazywamy Bogobójcą.

Ta biała plastikowa kula... Była pusta w środku, stary dziad wcale się nią nie podpierał. Szczerze żałuję, że nie zapytałem, co w niej ma.

Coś mi się jednak wydaje, że - choć to zgoła nieprawdopodobne - jeszcze będę miał okazję się przekonać.

Była między nami jeszcze jedna różnica. Ogromna. Największa z moż-

liwych: ja mogłem zrobić coś z tym syfem, za który on tylko przeproszał.

I bardzo dobrze, bo widzicie, to działa tak: jak raz uratujesz świat, to już do usranej śmierci będziesz na etacie zbawiciela.

## **POCZĄTEK KOŃCA**

### **SPĘTANY**

**ZRÓB COŚ DLA MNIE, A OFIARUJĘ CI BEZKRES CIERPIENIA. SPEŁNIJ JEDNO MOJE MAŁE MARZENIE, A PODARUJĘ CI WSZECHŚWIAT WYPEŁNIONY**

**BÓLEM.**

**ZDEJMIJ MNIE Z KRZYŻA.**

**- CAINE (PRAC. H. MICHAELSON)**

### *ODWRÓT Z BOEDECKEN*

W mojej celi w Buke nie miałem jak mierzyć czasu. Noc przychodziła, kiedy gasili mi światło, dzień wstawał, kiedy je włączali. Posiłki dostarcza-no przez rurę żywieniową, której dysza znajdowała się tuż za moim obojczykiem. W ten sposób minimalizowali ilość odpadów stałych, a ja nie mogłem nawet odmierzać godzin częstodiwością srania. Właściwie było to nawet odprężające. Chociaż nie pomyślałbym, że można zatęsknić za tym miejscem, dopóki pewnego dnia nie obudziłem się zupełnie gdzie indziej.

Najwyraźniej przez rurę żywieniową dostarczają mi nie tylko jedzenie.

35

Niektóre rzeczy się nie zmieniły. Nadal jestem przypięty pasami do łóż-

ka. Nadal nie mam czucia od pasa w dół. Leżę w całkiem zwyczajnej celi, która tym tylko różni się od poprzedniej, że ma zielone ściany zamiast bia-

łych i prawdziwe meble zamiast wyrastających z podłogi wtryskowych wypustek. Mam tu nawet okno (a przynajmniej bardzo przekonującą imitację naturalnego oświetlenia); jest z tyłu, tak że go nie widzę, a przy tym na tyle nisko, że moje łóżko rzuca cień na ścianę. No i mogę ocenić upływ czasu. Kiedy przesuwane stalowe drzwi się otwierają i staje w nich Simon Faller z wielgachnym palmpadem w garści, wiem dokładnie, która jest godzina.

Popołudnie reszty mojego życia.

Ma na sobie ten sam szary garnitur co wcześniej, który ciągle źle na nim leży. Jest wymizerowany, nerwowy, wytrzeszcza oczy. Jelonek, który zwietrzył wilki. Z wyglądu jego kołnierzyka wnoszę, że mocno schudł i na dodatek nie nadaża z praniem. Rzuca mi od drzwi ukradkowe półspojrzenie, po

czym odsuwa się w bok i schodzi z linii strzału sześciu komandosom z Biura Bezpieczeństwa Studia, którzy blokują drzwi w pozycji otwartej i mierzą do mnie z karabinów.

Sześciu. To prawie szacunek.

Komandosi z BBS. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie myślałem o tym, jakie to dziwaczne i niestosowne, zatrudniać wyszkolonych komandosów (rekrutujemy z Policji Społecznej) do ochrony w firmie z branży rozrywkowej. Z drugiej strony, jeśli wziąć pod uwagę specyfikę oferowanej przez nas rozrywki, może nie jest to ani dziwaczne, ani niestosowne? Ci konkretni goście noszą lśniące czerwone pancerze i srebrne, mieniące się jak mora hełmy Straży Artańskiej. Rysztunek antymagijny.

Ciekawe. Przecież jeśli komuś zależy na ochronie...

Zanim zdążę przeanalizować mnogość implikacji, dwóch Fizoli wtacza do celi wózek z małym pulpitem, ekranikiem i tacą z kroplówkami. Wygląda trochę jak pompa morfinowa, tyle że ja mam spore doświadczenie

w obcowaniu z narkotycznymi środkami przeciwbólowymi i dałbym sobie głowę uciąć, że roztwór morfiny w niczym nie przypomina tej opalizującej czarnej brei, która wypełnia cztery leżące na tacy woreczki. Dopiero kiedy jeden z Fizoli podłącza mi kroplówkę do rozgałęźnika w rurze żywieniowej, uświadamiam sobie, co mi to przypomina. A niech mnie na wylot wydymają...

- Simon? - Wyszedł na korytarz, nie widzę go. - Co jest grane? Jesteśmy na Ziemi?

Bo jeśli mam rację i czarna maź jest tym, czym mi się wydaje, to nie powinna w ogóle istnieć. Z kolei ochroniarze mają karabiny energetyczne, które nie działałyby w Domu...

To mnie przerasta.

- Ehm... - Wilgotne kasznięcie i Faller znów pojawia się w moim polu widzenia. - Tak, jesteśmy na Ziemi. Głównie.

Ruchem oczu wskazuję torebki z czarną mazią.

- A to co za gówno?

- Ja... Powiedziano mi, że będziesz wiedział.

Zamykam oczy, głowa opada mi na poduszkę.

- Coraz lepiej...

- Wiem, że cię to niepokoi...

- Jebać mój niepokój. Myślałem, że przydam się do czegoś więcej, niż tylko na rozpalkę.

- Ja... to znaczy, my... Nikt tego nie chce. To cię nie zabije. Nawet nie zaboli.

- Mów mi jeszcze.

Zrezygowany Faller kiwa głową - ledwie dostrzegalnie, jakby zadygotał. Podchodzi i bierze do ręki sterownik.

- Masz, będziesz tym sterował. Tylko ty. Nikt inny.

To ustrojstwo naprawdę wygląda jak pompa morfinowa: dostaję uchwyt z guzikiem, którego przyciśnięcie uwolni do mojego krwiobiegu odmierzoną dawkę czarnej mazi.

- Co to ma być? Pomoc w samobójstwie?

37

Faller znudzonym gestem rozkłada ręce.

- Nie wiem, Caine. Znaczy, Hari. Ja nic nie wiem. Robię tylko, co mi każą.

- I jak na tym wychodzisz?

- Mogło być gorzej. - Uśmiecha się leciutko. - Mógłbym być kaleką przykutym do łóżka i podłączonym do kroplówki z ropą naftową.

- Kaleka kalece nierówny, Simon. - Nie pyta o wyjaśnienie, więc niczego mu nie wyjaśniam. - Co teraz?

Kolejne westchnienie. Ledwie trzyma się na nogach, oparty ciężko o poręcz mojego łóżka.

- Oczywiście. Pamiętasz propozycję, którą złożyłeś Radzie Zarządców?

Stały dostęp do Nadświata w zamian za amnestię i stanowisko...

- Byłem przy tym. O co chodzi?

- No... więc to jest... można by chyba tak powiedzieć... - Faller obraca moje łóżko w taki sposób, żebym mógł wyrzucić przez okno - ...ich kontr-propozycja.

- Nieźle. - Własnym oczom nie wierzę, mrugam i mrugam, ale widok nie znika. - Naprawdę nieźle.

Krajobraz jest ponury: wypalone wzgórza, skały pobielające tak, że oczy bołą, i żywej duszy w pobliżu - jeśli nie liczyć chyba kompletnej dywizji Policji Społecznej, która obsadziła pancerne bunkry, naprowadzane rada-rowo karabiny przeciwlotnicze, działka kinetyczne i osadzone w obroto-wych wieżyczkach szesnastocalowe armaty, wycelowane albo w ten księ-

żykowy krajobraz, albo w niebo.

Ja pierdolę, najprawdziwsza artyleria.

Niebo zresztą też nie jest całkiem puste. Trzeba się tylko dobrze przyjrzeć. Wysoko, wysoko nad ziemią jest naprawdę tłoczno, aż roi się od błyszczących punkcików, które pewnie są najnowocześniejszymi wozami antyzamieszkowymi.

Słyszę z tyłu kasznięcie Fallera.

- Policja Społeczna... tak się domyślam... ma powstrzymać ewentualną próbę odbicia cię. Albo... ehm... ucieczki.

38

- Czy ktoś im powiedział, że nie mogę chodzić?

- Powiedzmy, że są... eee... skrupulatni.

- Zresztą, dokąd miałbym uciec? Weź sam zobacz, to jakiś koszmar. -

Skinieniem głowy wskazuję zębate szczyty wzgórz w oddali. Wszystko ma kolor kamienia i pyłu. - Tam nic nie ma, nawet marnego kaktusa ani bylicy.

Gdzie my jesteśmy, kurna, na Półwyspie Koreańskim?

- Nie, skądże. To Ameryka Północna. Jesteśmy... Ośrodek znajduje się w Dakocie.

- O ja pierdolę...

- Otóż to.

- Słyszałem o niej... ale myślałem, że ciągle jest...

- Bo ciągle jest. Napromieniowana jak fiks, znacznie bardziej, niż się oficjalnie mówi. Dlatego wszystkie automatyczne pasy ruchu omijają ją szerokim łukiem od południa. Nie ma tu nic żywego, czego byśmy sami nie przywieźli.

- Chyba powinienem sobie wydziergać ołowiane gatki.

- Lepiej sobie od razu czołg wydziergaj.

Chwila... pustkowie w Dakocie...?

O w dupę. O ja pierdolę do kwadratu.

- Chodzi o *dil*. To dlatego ten fort tu jest. Dlatego ja tu jestem.

Gdzieś tu jest wejście do *dil T llann* od strony Ziemi.

Faller wzrusza ramionami.

- Nie ma już sensu, żebym zaprzeczał. Żaden z nas i tak nigdzie się nie wybiera.

No cóż.

Taaak... To by wyjaśniało cały ten antymagijny szajs. I ropę.

Za oknem przechodzą jacyś ludzie... Zaraz, kurwa, co to ma być? Nie mają pancerzy... i są ogromni... i to nie jest żaden kamuflaż, tylko naturalna skóra...

- Ja pierdolę... - Zamurowało mnie. - Ogrille? Na Ziemi?! Co ty, w chuja sobie ze mną lecisz?!

- Ehm... Kompania Nadświatowa zatrudnia ogrille w tym ośrodku... -

39

Faller kaszle głośno, chrapliwie, kaszle drugi raz. Ociera usta chusteczką, która jest poplamiona czymś czerwonym. Jakby krwią. - Tymczasowo. Są bardzo... sumienne. I nie generują wielkich kosztów. Wystarcza im mięso i piwo.

- A ktoś im powiedział, że ich przyszłe małe ogrillałka smażą się żywcem za każdym razem, kiedy oni wychodzą na zewnątrz?

- Podobno, tak mi powiedziano, są genetycznie odporne na promieniowanie. Grozi im tu co najwyżej poparzenie słoneczne, a nigdy jeszcze nie widziałem opalonego ogrilla.

Tu ma rację, ale...

- Daliście im broń?! Samobójstwo się wam marzy?!

Nie, już rozumiem. Jakich szkód mogą narobić ogrille z bronią ręczną tutaj, na pustkowiu? Zabijają paru Pospołów, jakiegoś Administratora albo dwóch, i tyle. Za to ciężkozbrojny ogrillo w Domu... O, to zupełnie inna bajka.

- Czyli pistolet Orbeka... On naprawdę dostał go w mieście.

Faller kiwa głową. Jest zmęczony.

- Stosunki z Zakonem Khryła od dawna były... napięte. Właściwie od początku, odkąd pierwszy raz otworzyliśmy bramę. Rada Zarządców przygotowała... hmm... plan awaryjny. Po twoim... to znaczy, po śmierci Sę-

dziego... Jak się pewnie domyślasz, spodziewamy się, że Zakon będzie chciał skasować naszą placówkę po tej stronie. Może nawet zamknąć bramę, zamknąć *dil*, gdyby im się udało.

- Więc dogadaliście się z ogrillami, tak?

To brzmi sensownie. Kurewsko sensownie.

Jedynym powodem, dla którego ktokolwiek zawraca sobie głowę Zakonem Khryła, jest fakt, że zakonne wojska okupują *dil T'llann*. Musimy być dla nich mili, bo oni są tam, na miejscu, i dysponują siłą, której nie zawaha-ją się użyć. Jednakże kilka tysięcy ogrillów wyszkolonych na Ziemi i wyposażonych w broń, która jest skuteczna w Domu, w mgnieniu oka zmio-łoby te ich pancerne dupska z powierzchni Pola Bitwy.

40

Choćby nie wiem jak bardzo Bóg cię kochał, to nie ma wała: kiedy obe-rwiesz z granatnika w ryj, musi zabołec.

A kiedy Zakon zniknie i skończy się to pieprzenie o sprawiedliwości, prawdzie i cnotach rycerskich, które dla Kompanii jest jak kij wetknięty w szprychy... Jezu... Nie potrzebowalibyśmy nawet ogrillów do pracy w kopalniach. Kontrolując *dil T'llann*, możemy w każdej chwili przerzucić tam miliard Robotników. Albo i pięć miliardów, jak będzie trzeba. Nic dziwnego, że doszli do wniosku, że nie jestem im potrzebny.

Bo chyba faktycznie nie jestem.

Szkoda, kurwa. Naprawdę szkoda. Mogło być lepiej.

- Co proponujesz?

Faller podaje mi palmpad.

- Dokumenty są w pamięci. Doczytaj sobie szczegóły.

- Niech mi tylko ktoś rozwiąże rękę.

Ucieka wzrokiem w bok, palce jego prawej ręki bawią się obluzowanym guzikiem marynarki - i na ułamek sekundy cofamy się w czasie o dwadzie-

ścia pięć lat: czekamy na Czarne Noże, a on znów bawi się tą przeklętą platynową monetą.

- Jest aż tak źle? - Pokazuję mu sterownik pompy. - Gorzej niż z tym?

Wzdycha i nasadą dłoni przeciera oczy.

- Przykro mi. Naprawdę.

- Daruj sobie, po prostu... daruj sobie. - Nie cierpię, kiedy ktoś mówi, że mu przykro. - Takie sranie w banię nadaje się do teatrzyku dla dzieci.

Z roztargnieniem kiwa głową.

- Ta cała historia... wszystko, co mi opowiedziałeś o Brodzie Purthina i tak dalej, żebym przekazał Radzie Zarządców... Była w tym choćby odrobina prawdy?

- Sama prawda. Najprawdziwsza. Prawdziwa jak ewangelie, kurwa. A może nawet bardziej.

Jest tak zmęczony, że nawet nie stara się udawać, że mi wierzy.

- No dobrze. To ja... - Dryfuje w stronę drzwi. - Ehm... panie dyrekto-rze? Gotowe.

41

Patrzę na trzymany w ręce palmpad. Wydaje mi się za lekki, żeby przekazać tak fatalną nowinę - chociaż dopiero teraz zaczynam się zastanawiać, jak bardzo złe wieści zawiera.

- Ehm, Caine...? To dyrektor tego ośrodka. Chyba się znacie.

Podnoszę wzrok. Francowaty Gayle Keller.

- Ty sukinsynu...

Francowaty Gayle Keller odpiardolił się jak firecyk: chlamida, chiton, elegancja-Francja. I to nie żadna tania tandeta. Za pieniądze, które wydał

na sandały, rodzina Robotników mogłaby się wyżywić przez pół roku.

- Teraz to pewnie jesteś Administrator Keller, co?

- Cześć, Hari. Nie będę udawał, że się stęskniłem.

Punkt dla niego.

- Kiedyś się mnie bałeś.

- Nadal się boję. Ha...

- Co za... zaskakująca szczerość.

Splata ręce z tyłu na wysokości tyłka i przez sekundę lub dwie gapi się w podłogę, jak skazany na dożywocie.

- Wiem, że za mną nie przepadałeś, Hari.

- Nie przeczę.

Podnosi wzrok na ułamek sekundy - w sam raz, żebym zdążył dostrzec przelotny, smutny półuśmiech.

- Wiem, że publicznie wyrażałeś na mój temat opinie takie jak „mały zakłamany lizus” oraz „służalcza gnida”. Nie sądzę jednak, żebyś zarzucał

mi głupotę lub nielojalność.

- Wobec mnie na pewno nie byłeś lojalny, kutafonie.

- Nie pracowałem dla ciebie. Zatrudniało mnie Studio oraz Rada Za-rzadców... Na pewno pamiętasz, jak odkryłeś, że nie możesz mnie zwolnić.

Byłem lojalny także wobec Arturo Kollberga, mimo że dla niego również nie pracowałem, ale on po prostu umiał docenić i nagrodzić lojalność. Ce-nił mnie jako asystenta i przyjaciela, podczas gdy ty...

Stara śpiewka, tylko słowa nowe. Zbyłem go machnięciem ręki.

42

- Ćwiczysz się w sztuce konwersacji, co?

Znów ten smętny cień uśmiechu.

- Od prawie trzech lat.

Jest w nim coś dziwnego. Coś, co mi umyka.

- I co? Dobrze się bawisz? Tego właśnie chciałeś?

- Ani trochę. - Wzdycha. - Nie będę ci wmawiał, że to nie jest sprawa osobista; za dobrze cię znam, żeby się łudzić, że mógłbyś ją potraktować w jakikolwiek inny sposób. Zrozum tylko, że ja wyłącznie wykonuję rozkazy i przysparzanie ci cierpienia nie jest moim zamiarem.

- Twoje zamiary gównu mnie obchodzą.

- Domyślam się. Powiedziałeś mi kiedyś, że jedyną rzeczą, której każdy mężczyzna pozostaje bezwzględnie wierny, jest jego wyobrażenie na temat męskich powinności.

- Tak powiedziałem? To jedna z moich głębszych myśli.

- Pewnie cytowałeś kogoś mądrzejszego. Tak czy inaczej, zapamiętałem to sobie. I chyba cię rozumiem, przynajmniej w tym kontekście. Ty przede wszystkim chcesz być lojalny wobec tych, których kochasz, prawda? To oczywistość. Ja jestem lojalny wobec... no tak, wobec swoich obowiązków.

Widzę, że zbiera siły. Głęboki wdech, zaciśnięte zęby, pobielające wargi.

- Piastuję stanowisko dające mi konkretną władzę i konkretne korzyści, a związane z nim majątek i szansa awansu społecznego przekraczają moje najśmielsze wyobrażenia. Jednakże wiążą się z nim również pewne przy-kre, acz konieczne powinności. Ich przykra natura w żaden sposób nie zwalnia mnie z obowiązku wypełniania ich najlepiej, jak potrafię. Rzetelna praca to coś, czemu warto się poświęcić. Tylko ona nadaje mojemu życiu sens, nadaje mu jakąkolwiek wartość. Rozumiesz coś z

tego, co mówię?

- Nadawałbyś się na Rycerza Khryła.

- Wiem, że w twoich ustach to nie jest komplement, ale tak to właśnie potraktuję.

43

Spogląda mi prosto w oczy, sztywno, uroczyście, jakby zaciskał zęby i ze wszystkich sił powstrzymywał się od wzdrygnięcia.

- Nigdy nie byłem człowiekiem odważnym. To się nie zmieniło, w każ-

dym razie nie za bardzo. Przemoc mnie przeraża. Boję się zranienia. Boję się śmierci, zwłaszcza takiej, jaką ty zadawałeś innym ludziom.

- Widzę, że naprawdę nie jesteś głupi.

- Rada Zarządców pokłada wielką wiarę w Policji Społecznej... chyba większą niż sama Policja. Są przekonani, że nie stanowisz już zagrożenia dla nikogo, a już na pewno nie dla mnie. - Znów wzdycha i spuszcza wzrok. - Nie znają cię tak dobrze, jak ja.

Już wiem: Keller mówi prawdę. To właśnie jest w nim dziwne.

Wszczepili mu jakiś moduł prawości, czy co? No, no...

- Uważaj, Gayle. Będziesz tak dalej gadał, to jeszcze dojdę do wniosku, że wcale cię nie nienawidzę.

- Ja... Można powiedzieć, że poniekąd na to właśnie liczę.

- To znaczy? Boisz się, że źle o tobie pomyślę?

- Boję się, że mnie zabijesz. - Kaszle i odwraca wzrok. Wygląda za okno. Potrzebuje dłuższej chwili, żeby wziąć się w garść. - Dlatego chcia-

łem o tym z tobą porozmawiać, zanim przejdziemy dalej. Powiedziałeś kiedyś Pracownikowi Fallerowi „Ja cię nie zniszczę tylko za to, że wykonujesz swoją robotę”... To chyba dosłowny cytat, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Spodobał ci się?

- Nie jestem władny grozić ci ani niczego obiecywać. Wykonuję tylko polecenia Rady Zarządców i Kongresu Uprzywilejowanych. Kiedy wypeł-

nię obowiązki, które mnie tu przywiodły, wrócę do swojego biura i dalej będę robił wszystko co konieczne, by wypełniać powierzone mi zadania.

- Powiedziałem ci już, że rozumiem. Posłuchaj, Gayle: nie wiem, czy to cokolwiek dla ciebie znaczy, ale obiecuję, że ciebie też nie zabiję tylko za to, że wykonujesz swoją robotę. Naprawdę.

Oddycha z ulgą.

44

- Dzięki. Dziękuję, Hari. Chociaż wiem, że możesz znaleźć inny powód.

Albo zabić mnie bez powodu.

- Myślałem, że to oczywiste.

- Tak, istotnie. - Jego uśmiech jest wątki i jakby niewyraźny, ale wydaje się szczery. - Pracowniku? Proszę kontynuować.

Faller podchodzi do łóżka i dotyka paska sterującego na skraju palmpada. Na ekranie wyświetla się jakiś gówniany standardowy kontrakt.

- Tak jak powiedziałem, wszystkie dokumenty są w pamięci palmpada.

Rada Zaradców zleciła nam streszczenie ci ich i upewnienie się, że nie będzie żadnych nieporozumień. Więc co do tego streszczenia... znaczy, Rada... no, właściwie... sprowadza się... w gruncie rzeczy ich kontrpropozycja... odpowiedź brzmi: nie.

- Domyśliłem się już.

- Nie obejmiesz stanowiska Dyrektora Operacji Nadświatowych. Ni-niejszym zostajesz pozbawiony tytułu i przywilejów Administratora i zdegradowany do rangi Robotnika. Nie przysługuje ci amnestia za czyny do-konane w przeszłości, nie uzyskasz również immunitetu na przyszłość. Nie wrócisz do Nadświata... to znaczy, do Domu. Nigdy.

- Odważny wstęp.

- Rada przedstawiła swoją rezolucję Kongresowi Uprzywilejowanych, który przyjął ją przez aklamację.

- Tyle, jeśli chodzi o mój fanklub.

- Zamknąłeś Nadświat - wytyka mi przepaszającym tonem Faller. -

Nawet twoi fani cię za to nie lubią.

- Jest coś jeszcze?

Kiwa głową.

- Pracownikowi Michaelson, jesteś zobowiązany do udziału i doradztwa we wszystkich przedsięwzięciach Kompanii Nadświatowej wymagających twojej współpracy, do czasu, aż Rada uzna, że wypełniłeś swój kontrakt.

Jeśli w którymkolwiek momencie Rada stwierdzi, że powodzenie twoich działań jest niemożliwe, podjąłeś celowe próby obstrukcji lub sabotażu, 45

albo nie jesteś już w stanie w żaden sposób przysłużyć się interesom Kompanii, zostaniesz oddany w ręce Policji Społecznej. W dalszej kolejności czeka cię proces i nieuchronna egzekucja za naruszenie nietykalności cielesnej nadkastowego oraz zamordowanie Uprzywilejowanego Marca Vilo.

- Proces? Poważnie?

- Formalność.

- No, tak to rozumiem. - Spoglądam na Gayle'a. - Czy ci idioci już zapomnieli, co się dzieje, kiedy próbują mnie zastraszyć?

- Na pewno nie zapomnieli. Zresztą, wątpię, żeby liczyli na zastraszenie cię. Raczej chodzi im o to, żeby nie było żadnych niedomówień. Moim zdaniem, spodziewają się, że kiedy dokładnie zrozumiesz swoją sytuację, zechcesz się do nich przyłączyć. Z własnej woli.

- To mi się wydaje mało prawdopodobne.

- Nie ja układałem ten plan.

I znowu punkt dla niego.

- Mam wrażenie, że to nie ma być atrakcyjna propozycja. Wprost przeciwnie: to jej alternatywa ma ci się wydać atrakcyjna.

- O! To jest jakaś alternatywa?

- Zawsze była, Hari - przytakuje Gayle z powagą. - Tym razem jest tylko ciut bardziej oczywista. Powiedziałbym... zaskakująco oczywista. A to dlatego, że prawa fizyki różnią się tutaj od tych obowiązujących w innych rejonach Ziemi. Wystarczy, że zrobisz tę jedną rzecz, a wszystko, o czym mówił Pracownik Faller, przestanie się liczyć. Zostaniemy przyjaciółmi.

- To mi się wydaje jeszcze mniej prawdopodobne.

- Trzymasz w ręce sterownik, Hari. - Gayle pokazuje mi pompę do kroplówki. - Wystarczy wcisnąć guzik.

Po jakimś czasie udaje mi się zebrać szczękę z podłogi.

- No chyba cię popierdoliło, gościu...

- Wcale nie. I bynajmniej nie żartuję.

- Czy to w ogóle wiesz, co to za świństwo?!

46

- Nie do końca, zresztą podobnie jak ty; domyślam się, że nasi przeło-

żeni mają o tym lepsze pojęcie. Wiem natomiast, jak działa. Dano mi do zrozumienia, że jeśli się nie zgodzisz, ściśle rzecz biorąc, jeśli wciśniesz guzik, nie wyraziwszy uprzednio bezwarunkowej zgody na naszą propozycję, ta substancja cię zabije, i to w wyjątkowo spektakularny, widowiskowy sposób. Dokładnie brzmiało to tak, cytuję: „Jeśli nie powie: tak”. Rozumiesz?

- Pewnie, że rozumiem. Wiesz, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem ten syf, wypalał Ankhanę do gołej ziemi?

- Znam tę historię.

- Chcą ze mnie zrobić takie samo kurestwo jak z Kollberga.

- Mielibyście jeszcze jedną wspólną cechę.

- Od początku to właśnie miałeś na myśli. Nie chciałeś, żebym się do was zapisał, tylko żebym... stał się częścią tego chorego, wygłodniałego, bezrozumnego, pojebanego...

- Twój ojciec nazwał go Ślepym Bogiem. Niesłusznie, nawiasem mówiąc. Nie jest wcale ślepy. Ani bezrozumny, chyba że sami do tego dopuścimy.

- Nie jest bezrozumny? Chyba ty nie jesteś, o to ci właśnie chodzi.

Cuchniesz nim, gnoju. Jest w tobie. Jesteś w nich.

Oto jak działa ten jego moduł prawości: nie boi się wstydu ani upokorzenia, nie płacze nad sobą, nie odczuwa żalów ani słabości, które kiedyś określały jego życie. Można go teraz zranić tylko w jeden sposób: fizycz-nie. Tylko to mu zostało, strach przed fizycznym uszkodzeniem.

Kris powiedział, że każdy z nas jest sumą swoich blizn. Tata mawiał, że nasz lęk nas określa.

- Kurwa, Jezu, Gayle... Nie widziałeś, jak skończył Kollberg? Jak mogłeś zrobić sobie coś takiego?

- To był mój obowiązek.

- Ja pierdolę...

- Nie rozumiem, co cię tak przeraża. Nie zagubisz się w nim, Hari. Pozostałem sobą. Tyle że poza

tym stałem się częścią czegoś większego.

47

- Powiedz to Kollbergowi.

Nawet takie słowa wywołują u Gayle'a tylko zadumane skinienie głową.

- Administrator Kollberg nie jest... przykładem reprezentatywnym. Wydarzenia towarzyszące załamaniu mocno nadwątlily jego umysł.

- Który od początku nie był zbyt solidny.

- Uważano, że ze względu na doświadczenie zawodowe i dogłębną znajomość twojej kariery będzie cennym nabytkiem, ale... - Rozkłada ręce. -

Każdy czasem popełnia błędy, prawda?

Obracam sterownik w dłoni. Mam pewnie taką minę, jakbym trzymał w garści grudę radioaktywnego gówna.

- Im dłużej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się opcja niewolnik/skazaniec.

Na to również tylko kiwa głową i wzdycha lekko, ze smutkiem.

- Pracownikowi Faller, zechce pan...

- Oto... ciąg dalszy propozycji Rady. - Faller jest szary jak jego marynarka. Cienie pod oczami przypominają plamy zakrzepłej krwi. Dotyka sterownika palmpada. - Patrz.

Obraz na ekranie się zmienia i w pierwszej chwili nie wiem, co teraz przedstawia. Kłęb przewodów i rurek wnika w ciało jakiegoś manekina, który wygląda jak rekwizyt na Halloween, plastikowy ghul, pomarszczony, trupio blady, bezwłosa skóra jak pergamin okleja sterczące kości, pęki kabli tryskają z pustych oczodołów jak strugi światłowodowych łez.

- No i?

- Przyjrzyj się dobrze - mówi Faller. Głos mu się łamie. - Nie widzisz, bo... bo nie chcesz. Rozumiesz?

Patrzę więc... i po sekundzie lub dwóch dostrzegam ruch. To nie jest zdjęcie. Widzę, jak w półprzezroczystych rurkach przelewa się blady kolor, a w plastikowych oczodołach... *pstryk*... coś jakby mrugnięcie, ciało zaciska się wokół światłowodów...

Czuję kwaśny smak na dnie gardła.

- To żyje.

- Owszem.

- Co to za kurestwo?

- Fizol.

- Poważnie? - Fizole nie nadają się do żadnych skomplikowanych prac.

Cyborgizacja wypala wyższe funkcje mózgu. - Do czego to coś może się przydać?

- Do przetwarzania danych. - Faller dławi się i chrypi, jakby zbierało mu się na wymioty. - Powiedziano mi, że... ta jednostka... jest elementem kompleksu, który Policja Społeczna wykorzystuje przy filtracji sygnałów.

W ustach tak mi zaschło, nie jestem w stanie przełknąć nawet napływającego gdzieś z dołu kwasu.

- To jest wasz kij, tak? Możecie mnie odrutować, podłączyć i nie będę miał żadnego wyboru?

- Gorzej. Michaelson... To znaczy, Hari...

Faller zniża głos jak do modlitwy. Może nawet faktycznie się modli.

Może jego bóg jest łaskawszy niż mój.

- Ty nadal nie widzisz. Nie widzisz, bo... bo nie chcesz zobaczyć, tak jak mówiłem. To siedzi w twoim mózgu, nie w oczach.

- Co ty mi tu pierdolisz za uszami? Że niby włącza mi się jakiś psycho-logiczny mechanizm obronny? Jeśli nawet jakiś miałem, to zjechał mi się wieki temu. Spalił się, spadł na beton, a potem utonął w bagnie.

Nie odpowiada. W ogóle nie reaguje. A twarz na ekranie...

Ten łuk bezwłosego czoła, schodzący w dół, ku zuchwie... Gdyby druty mi nie zasłaniały widoku, wcześniej bym się zorientował. Ten Fizol był w przeszłości kimś, kogo znałem.

Trudno jest rozpoznać twarz człowieka, który nie żyje. O którym my-

ślisz, że nie żyje, znaczy się. Ogolona głowa, pozbawiona nawet brwi i rzęs; ciało skurczone z głodu i starości; oczy wylupione żeby zrobić miejsce dla kabli. Drętwieją mi palce rąk, potem nogi, drętwieją mi całe nogi, ich ciężar zaczyna mnie ściągać w dół, zapadam się w łóżko, przebijam podłogę, spadam swobodnie ku ziemi. Wtapiam się w skalne podłoże.

- To on? To ma być on?! To coś?!

Kiedy Policja Społeczna przyszła po niego po raz ostatni, wtedy w no-cy, do Opactwa... stałem na marmurowym progu pod marmurowym łukiem, bezradny w blasku księżyca, i patrzyłem, jak ładują go do stojącej na trawniku więźniarki...

Nie było pożegnania. Digiwokoder, który zastępował mu głos, leżał

przy łóżku rozbity na kawałki, zmiażdżony buciorem pospoła... Pielęgniars obok mnie... Pamiętam, jak go zapytałem, wargi miałem odrętwiałe, niepo-radne...

- Ile ma czasu, jak myślisz?

Bradlee Wing, wierny Bradlee, o którym nie myślałem od wieków, mo-

że nawet od tamtej nocy...

- Nie przeżyje cyborgizacji.

- No tak...

- Ale gdyby jednak... Pewnie wezmą go do jakiegoś przetwarzania danych. Może pożyć jeszcze długie lata. - Przepraszające chrząknięcie. -

Pewnie i tak nie chciałbyś go wtedy... no wiesz... Nie w takim stanie...

Na trawniku, przytrzymywany przez pospoły, odwrócił głowę w moją stronę. Podniósł wykręconą dłoń - ostatni gest wolnej woli, której choroba nie zdołała jeszcze całkiem zniszczyć - i dotknął głowy. Poglaskał się po niej lekko, a potem przespacerował się dwoma palcami po chromowanej poręczu łóżka. To była jego ostatnia wiadomość dla mnie.

„Nie wychylaj się i idź do światła, cał po calu”.

On się wychylił i teraz druty sterczały mu z oczodołów.

- On żyje. W pewnym sensie - mamroczę tępo, głupio, powalony spadającą na mnie ze wszystkich stron lawiną gówna.

- Ależ tak - zapewnia mnie Gayle. - Kazano mi podkreślić, że jest pod-

łączony do globalnej sieci analitycznej Policji Społecznej. Jego mózg prze-siewa elektroniczny zgiełk i sygnalizuje potencjalnie wywrotowe transmisje.

Tym razem nie udaje mi się uformować ustami rodzącego się w głowie

„o, ja pierdołę”.

Wykorzystują tatę do tropienia ludzi, którzy go choć trochę przypominają. To naprawdę zapiera dech w piersi. To jak z Raithem. Jak z Raithem i Shanną. Gorzej.

Prawdziwy przebłysk geniuszu zła.

Gayle kiwa głową, jakby czytał mi w myślach.

- Musisz zrozumieć, że ich pomysłowość w okrucieństwie nie zna granic.

Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie.

- Kapitulacja jest bolesna i upokarzająca, ale odmowa będzie jeszcze gorsza. Rozumiesz to? Znają twój... absolut, powiedzmy; znają sekret twojej męskiej powinności. I są gotowi użyć go w każdy sposób, który uznają za niezbędny.

Te słowa wyciągają mnie z powrotem na powierzchnię bagna, które rozlewa mi się w mózgu.

- Czyli, jeśli im podskoczę, to co, zabiją go? Też mi groźba...

- Nie. Jeżeli nie będziesz współpracował... - Gayle patrzy na mnie i jego oczy stają się tak samo martwe, jak moje się wydają. - Jeśli im podsko-czysz, to go nie zabiją.

No tak. Oczywiście. To ma sens.

- Powiem więcej - ciągnie Gayle półgłosem, delikatnie, prawie jak Vinson Garrette. - Wtedy go obudzą.

No jasne. Jakżeby inaczej?

To bez znaczenia. Wszystko jest bez znaczenia. To nic nie zmieni.

Tylko że...

Tata.

Oczywiście, że tata. Zawsze tata. Jak mogłem sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będę kimś lub czymś innym. Tata miał rację: mój lęk mnie określa.

To on jest moim lękiem.

Nie chodzi o to, że się go boję; wyrosłem z tego, kiedy miałem dziesięć lat. Boję się, że mógłbym stać się nim. Chorym. Obląkanym. Uwięzionym w ciele, które już do mnie nie należy.

Sam na sam ze swoją furją.

Może to dlatego nigdy się nie wahałem, czy rzucić się w wir następnej walki. Nadal się nie waham.

Ludzie, którzy utrzymują, że nie ma losu gorszego od śmierci, powinni spróbować powiedzieć to tacie. Nie wiem, czy usłyszałyby ich, ale jeśli nie...

Cóż, pech. Bo nie da mu się tego narysować, kurwa.

To nawet zabawne, że tak dobrze mnie znają.

Biorę głęboki wdech.

- Zgoda - mówię.

Faller rozdziawia usta.

- Że co? - stęka.

- Powiedziałem „zgoda”. Mam ci to przeliterować? Proszę bardzo: patrz.

Kciukiem wciskam guzik na sterowniku. Czarny olej spływa do rury żywieniowej.

Nic nie czuję. Zupełnie nic.

\*\*\*

- Słuchajcie, mam jeszcze jedno pytanko... - Przenoszę wzrok z Fallera na Gayle'a i z powrotem. - Kto jest waszym ulubionym bohaterem w *Zabić drozda*?

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ

### JAKIE MARZENIA PRZYJŚĆ MOGĄ\*

MAM TAKIE MAŁE MARZENIE... WŁAŚCIWIE NIE MARZENIE, TYLKO FANTAZJĘ: KTOŚ, NA KIM MI ZALEŻY, PAKUJE SIĘ W KŁOPOTY, JA SIĘ ZJAWIAM, ŻEBY GO Z NICH WYCIĄGNĄĆ, A ON SIĘ CIESZY NA MÓJ WIDOK.

- DOMINIC SHADE

*CAINE CZARNY NÓŻ*

\* Przeł. J. Paszkowski

Przemierza wszechświat bieli.

Śnieg...

Nie pamięta, kiedy ostatni raz widział śnieg.

Płatki są delikatne jak pocałunek dziecka. Skręcają się w locie, koziół-

kują i lądują z bezgłośnym szeptem skradających się na paluszkach kropli deszczu. Przy każdym kroku czuje chrzęst tak delikatnie ostry, że aż niesłyszalny.

53

Czuje go, ponieważ idzie boso. Ma odsłonięte nogi, krocze, pierś i głowę, jest całkowicie nagi, a mimo to, nie czuje chłodu. W takim razie śni.

Rozumie, jak to działa. Mróz może skuwać otaczający go krajobraz, ale on leży zupełnie gdzie indziej w ciepłym łóżku.

To musi być sen. Przecież od ponad dwudziestu lat nie może chodzić.

Z łatwością mógłby zatracić się w cudownej grze mięśni, kości, krwi i oddechu, ale od lat śnił o chodzeniu i nie może udawać, że nie wie, jak to się skończy.

Długo już tak idzie, zaszedł bardzo daleko. Jak długo i jak daleko - tego nie wie, jak to zwykle bywa w snach. Widzi jednak majaczący przed nim na śniegu cień, który z wolna staje się kształtem: zwieńczoną stożkowym dachem rotundą wielkości wiejskiego domku.

Doświadczone oko natychmiast rozpoznaje jurte. Jest za wysoka i ma zbyt stromy dach, żeby mogła znajdować się w Mongolii. Podchodzi bliżej, dostrzega więcej szczegółów, kiwa głową. Pasowałaby do zachodniej czę-

ści Azji Środkowej. Może kazachska? Ma fart: do doktoratu musiał się solidnie wgryźć w staroturecki i jego późniejszych potomków językowych i do dziś potrafi się porozumieć z ponad tuzinem plemion z północnych rejonów Azji Środkowej, od Ałtajczyków po Ujgurów. Za to grupa mon-golska zawsze sprawiała mu kłopoty.

Jurta obraca się wokół osi - albo to on ją okrąża. Mniejsza z tym, i tak jest pewien, że od początku była jego przeznaczeniem.

Tu się coś skończy albo zacznie. Albo jedno i drugie.

Widzi już wejście. Niepostrzeżenie zapadła noc i jedynym źródłem światła jest rdzawa poświata ognia sącząca się przez szparę w warstwach filcu. Czyli jednak nie Kazachowie; szanujący się koczownik lepiej by dopilnował uszczelnienia domu w taką noc jak ta.

Łapie się na tym, że zżera go ciekawość, kogo zastanie w środku.

Bierze wdech, gotowy się zapowiedzieć, ale jeszcze się waha; nie wiadomo dlaczego, wstydzi się odezwać, dopóki nie wie, w jakim języku powinien przemówić. Wyciąga rękę w stronę cienkiego skrawka światła.

54

Wyposażenie jurty wszystko mu wyjaśni.

- Nie możesz wejść.

Nieruchomieje i marszczy brwi. Głos jest ściszony, płaski, beznamiętny i gardłowy; rozbrzmiewa tuż za jego ramieniem, ale on wcale się nie wzdryga. Mars na jego czole się pogłębia. Nie wzdrygnął się, bo już wcze-

śniej wiedział, że nie jest tu sam.

Odwraca się ku nieskończonej nocy.

- Mówisz po angielsku.

- Ty też. - Ciężniej w ciemności. - Podejź do ognia.

Cień przesuwa się w lewo, a zza jego pleców wyłania się źródło światła, które kreśliło jego sylwetkę w mroku: małe ognisko w kamiennym kręgu.

Skórzany baldachim osłania je przed śniegiem.

- Przepraszam - mówi. - Nie chciałem zapuszczać się nieproszony na wasze ziemie ani się wam narzucać. Nie chciałem was urazić.

- Nie uraziłeś. - Ciężniej machnięciem wskazuje jurte. - To twój dom.

- Mój? To dlaczego nie mogę do niego wejść?

- Bo ja tak powiedziałem. Podejdz. - Cień kiwa na niego ręką. - Ubierz się.

- Nie jest mi zimno.

- Ubranie nie służy tylko do ochrony przed zimnem.

Pod baldachimem (tworzą go skóry bizonów powiązane rzemieniami, co zauważa odruchowo, bez namysłu, nie zastanawiając się nad tym, jak to możliwe, skoro bizona wyginęły ponad sto lat wcześniej) stoi prowizoryczny wieszak, zbudowany z wysuszonych żeber i kości udowych i powiązany ścięgami, a na nim wiszą spodnie i wełniane *serape*. Obok stoją skórzane buty, znoszone, ale solidne.

Ubierając się, patrzy w ogień.

- Czy ja cię znam? - pyta.

- Tak ci się wydaje.

- Twój głos brzmi znajomo.

55

- To zrozumiałe.

Nie przypomina sobie cudowniejszego uczucia niż miękkie ułucie na-grzanej ogniem wełny na skórze.

- Dziękuję ci. Nagość mnie zmęczyła.

- Każdego męczy.

Dwa kościane stojaki podtrzymują zawieszony nad ogniskiem rożen.

- Masz coś do jedzenia?

- Jesteś głodny?

Długo się zastanawia.

- Nie. Ale będę.

- Kiedy zgłodniejesz, pojawi się jedzenie.

Kiwa głową.

- Gdzie jesteśmy? Co to za miejsce?

- To skomplikowane.

- Nie rozumiem.

- Wiem.

- Co tu robisz?

- Czekam na ciebie.

- Mówisz tak, jakby to trwało bardzo długo.

Cień z roztargnieniem kiwa głową.

- W zasadzie całą wieczność.

- Nie podejdziesz do ognia? Znam twój głos. Wiem, że znam twój głos, ale mimo to, muszę cię zobaczyć.

- Usiądź.

- Co?

- Usiądź. Tam, gdzie stoisz.

Spogląda w dół. Pod nogami ma grubą stertę skór i futer.

- Dobrze - mówi i siada.

- To twoja strona. - Ze śniegu i nocy formuje się postać. - A to moja. Ty nie możesz przejść na moją stronę, ja nie będę przechodził na twoją.

Łapie się na tym, że kiwa głową.

56

- Czyli są zasady.

- Zawsze są.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Tym się właśnie zajmuję: zgłębiam zasady.

- Już nie.

Postać wchodzi w krąg światła pod baldachimem - i nagle obce miejsce, dziwny strój, siwe włosy na głowie i w brodzie tracą wszelkie znaczenie, ponieważ twarz tej postaci jest twarzą, którą zna lepiej niż swoją własną.

- Hari!

Zrywa się na równe nogi. Chce skoczyć na drugą stronę ogniska i wziąć syna w ramiona.

- Hari, na Boga...

- Nie rób tego.

- Ale...

- Zasady. - Beznamiętny, mroczny głos niesie obietnicę śmierci, która czai się w oczach. - Spójrz, co nas rozdziela.

Spuszcza wzrok i mrużąc oczy, wpatruje się w rozeń nad ogniskiem. To pierwsza rzecz w tym miejscu, która nie jest z kamienia, kości ani innego organicznego surowca.

To miecz.

Długi, czarny, zabójczy, bez ozdób, wdzięku i urody. Czysto funkcjonalne narzędzie do zabijania.

- Co, do diabła...

- Dotknij głowicy. Nie podnoś miecza. Tylko dotknij.

Dotyka - ostrożnie, ponieważ nie wie, od jak dawna płomienie ogniska liżą stal, która może być już dostatecznie gorąca, żeby spowodować oparzenia trzeciego stopnia. Miecz jednak nie parzy. W jego umyśle rozkwita zdumienie.

- Nawet się nie nagrzał...

To mało powiedziane. Miecz jest lodowaty. Zimno przenika w głąb jego żył, sięga kręgosłupa, i dopiero teraz, ubrany i przy ognisku, odczuwa chłód.

57

- Ja stoję po tej stronie, ty po tamtej. Miecz nas rozdziela.

- Jak długo?

- Dopóki nie wezmę go do ręki.

Kręci głową. Nie rozumie.

- Musisz mi pomóc, zabójco. To wszystko...

- Przestań. - Słowo jest płaskie, twarde i nieodwołalne jak cięcie siekiry wgrzyzającej się w dąb. Blizna na nosie pała czerwienią. Porywczosć ma w genach. - Nie nazywaj mnie tak. Nigdy więcej.

Nieruchomieje.

- Nie miałem na myśli nic złego.
- Mój ojciec nazywał mnie zabójcą.
- Hari, przecież ja jestem twoim...
- Mój ojciec nie żyje. Twój syn, twój Hari jest... kimś innym. Jeśli w ogóle istnieje.
- W porządku. Spokojnie. Usiądziemy?
- Tak, usiądźmy. Przepraszam. - Długie westchnienie, spuszczone głowa. - Mnie też nie jest łatwo.

Siadają po przeciwnych stronach ogniska, rozdzieleni mieczem z czarnego lodu.

- Jak mam się do ciebie zwracać? Mogę cię nazywać Harim?
- Używam imienia Jonathan Fist. Mam talent do chybionych umów.
- Jonathan... - cedzi półgłosem. Marszczy brwi, powinien rozpoznać to nazwisko... Nagle rozgryza grę słów i uśmiecha się od ucha do ucha. - Jonathan Fist. Rozumiem. Ładnie.
- Mogłem się spodziewać, że jeśli ktoś w ogóle to załapie, to właśnie ty.
- Czytaliśmy to razem. Pamiętasz?
- Ja to czytałem z moim ojcem.
- To znaczące rozróżnienie?
- Jeśli ja tego chcę, to tak.
- Uparty z ciebie dzieciak. Co teraz? Mam być twoim Mefistofelem?
- Raczej odwrotnie.

58

- Dajże spokój... Tak oczywista inwersja retoryczna nie sięga nawet poziomu banału. Twój wypieszczony wizerunek samotnika wyjętego spod prawa może imponować turystom, ale nie zapominaj, z kim rozmawiasz.
- Przestań. Odpuść sobie. To nie antropologia.
- Jesteś pewien? - Parska śmiechem, szykując się do wykładu. - Wiesz w ogóle, czym jest antropologia?

- Wiem. Tym, czym antropolog chce, żeby była. Pamiętam. Ale nie od ciebie to usłyszałem.

Sadowi się wygodnie na sienniku ze skór. Tu i teraz jest szczęśliwy jak nigdy w życiu. Żałuje tylko, że kiedyś będzie musiał się przebudzić.

- Jeżeli nie jestem twoim ojcem, to kim?

Tamten pochyła głowę - minimalnie, w sam raz, żeby rzucić sceptyczne spojrzenie spode łba.

- Ile masz lat?

- Nie wiem. Który mamy rok?

- Żaden. Co ci podpowiada pamięć?

Wzrusza ramionami.

- Pamiętam swoje siedemdziesiąte piąte urodziny. Egzemplarz Twaina z autografem. Pamiętam, jak mi czytałeś.

- Spójrz na swoje ręce.

Nawet nie próbuje tego zrobić.

- Hari, sam fakt, że mogę chodzić, to już wystarczająca podpowiedź.

Obym tylko pamiętał to wszystko po przebudzeniu. Obrazy sugerują taką złożoność wyobrażenia jungowskiego, o jakiej nigdy nawet nie...

- Nie obudzisz się. To nie sen.

Parska śmiechem.

- To oczywiste, że tak mówisz.

- Tak właśnie mówię.

- Twierdzisz, że nie żyję. Co to w takim razie ma być? Życie po śmierci?

- Powiedziałem, że mój ojciec nie żyje.

59

- Ach tak, rozumiem. A ja nim nie jestem. To nawet pocieszające, wiesz? Trochę tu smętnie jak na niebo, po piekle zaś spodziewałbym się, z całym szacunkiem dla Sartre'a...

- Posłuchaj, będę cię nazywał Duncanem. - Spuszcza wzrok na swoje dłonie. Mięśnie grają mu na zaciśniętych szczękach. - Ty chyba powinieneś mówić mi „Caine”.

Wstrząs jak przy dotknięciu miecza znów przenika całe jego ciało, wzbiera i przełamuje się jak fala, która zakrywa go od stóp do głów.

- Niezbyt mi się podoba to, co czuję.

- Będzie gorzej.

- Przykro mi. - Oczy go pieką. Jego głos przechodzi w bezbronny szept.

- Przepraszam cię, Hari. Nie powinieneś być zmuszony do wejścia w rolę Caine'a. Powinienem był...

- Dla nas, Duncanie, nie ma żadnego „powinienem”. Jest, jak jest, i to nam musi wystarczyć.

- Jeżeli to nie jest sen ani życie po śmierci, to co?

- To skomplikowane.

Znów odruchowo kiwa głową.

- Może powinieneś zacząć od początku.

- Nie ma początku. Na tym między innymi polega problem. - Caine spogląda Duncanowi w oczy ponad ogniem. - Nie ma początku, bo czas tak nie działa. Już nie.

- Przecież musi.

- Widzisz... To też jest problem.

- To znaczy...?

- Nie umiem tego wytłumaczyć. Język zawodzi. Najłatwiej chyba wyobrazić sobie, że wszystko dzieje się teraz, w tej chwili. Mimo że to nieprawda. Skutek może poprzedzać przyczynę. Niektóre przyczyny mają skutki tylko wówczas, gdy się nie wydarzą.

- Chaos.

- Mniej więcej.

- Mam na myśli chaos pierwotny. Mitologiczny. Pustkę poprzedzającą Słowo. Gunningagap. Tiamat.

60

- Jasne, jak chcesz. Robactwo w padłej krowie, chuj wie co. Wszech-

świat pękł.

- Pękł.

- Otóż to. I wcale bym nie skłamał, gdybym powiedział, że pękł przeze mnie.

- Lubisz się stylizować na legendarnego łotra, co? - pyta, usiłując ukryć szyderstwo. - Napawa cię to dumą?

- To nie duma.

- Zawsze się upierałeś, żeby brać na siebie lwią część egzystencjalnych wyrzutów sumienia. To romantyczna poza. Romantyczna przez duże R, z epoki romantyzmu. Skazany na niepowodzenie byronowski antybohater.

Podwójny złoty medalista paraolimpiady dla skończonych drani w konkurencjach „Gównu mnie obchodzi, kto oberwie”, oraz „Nie widzisz, jak przez ciebie cierpię?”.

- A ludzie się dziwią, skąd u mnie taki wredny charakter...

- Przyjęta przez ciebie persona to minimalnie zmodyfikowany wyraz solidnie osadzonego w kulturze tropu literackiego. Bicz Boży. Aż się dziwię, że nie masz takiego przydomku.

- Bicz Boży... Ha, zabawne. Zapomniałem o nim.

- A mimo to, jest fundamentem twojego wizerunku.

- Tak. Ale nie. - Kręci głową. - To nie Bóg trzyma ten bicz.

- No dobrze. - Duncan prostuje plecy, siada po turecku i opiera dłonie na kolanach. - Wszechświat pękł. Domyślam się, że to uszkodzenie ma jakiś związek z moją obecnością tutaj.

- Owszem. Ale nie taki, jak myślisz.

- W porządku. Zgódźmy się zatem, że jest pęknięty. Jak go naprawić?

- W tym rzecz. - Śmiech chrapliwy i nieludzki jak zgrzyt cegły o cegłę.

- Kto powiedział, że w ogóle można go naprawić?

Duncan odkrywa, że nie ma nic do powiedzenia.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby cokolwiek naprawiać. Jesteśmy tu po to, żebym ja zadał ci pytanie, a ty na nie odpowiedział.

Duncan kaszle ze ściśniętym gardłem.

61

- W porządku.

- Proste pytanie. Prosta odpowiedź.

- Czy to nie ty lubisz powtarzać, że kiedy ktoś ci mówi, że sprawa jest prosta, to próbuje ci coś sprzedać?

- Oczywiście. Dorzucam tylko jakieś „gówno” i „kurwę” albo dwie. Pytanie jest proste. Sytuacja nie jest.

Przesuwa się na siedzeniu, nabiera tchu, żeby przemówić, ale tylko wypuszcza powietrze z płuc. Bez słów.

Robi to drugi raz, i trzeci, próbuje, powtarza. Bez skutku.

- Spokojnie... Ehm... Caine. Widzę, że to dla ciebie trudne. Nie śpiesz się.

- Kurwa mać, to wcale nie jest trudne, tylko zwyczajnie przerażające!

Posłuchaj: na pewno wiesz, o co biega z kotem Schrödingera, prawda?

- Tak. Superpozycja kwantowa. Pamiętam, że odwoływałeś się do tego eksperymentu myślowego w kulminacyjnym momencie *Z miłości do Pallas Ril*. Chociaż błędnie, bo schrödingerowski kwantowomechaniczny zwierzak jest żywy i martwy jednocześnie. Lepszą metaforę dla tamtej sytuacji można by znaleźć w fizyce chaosu: usiłowałeś zwiększyć energię niestabilnego stanu spoczynkowego w układzie chaotycznym...

- Jasne, jasne, mów mi jeszcze. Moja edukacja początkowa trochę kula-

ła, bo mój jedyny nauczyciel był popierdolony przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Z wyjątkiem tych dni, kiedy z dwudziestu trzech robiły się dwadzieścia cztery. Możesz mnie za to pozwać, jeśli chcesz.

Duncan spuszcza głowę.

- Gdyby słowa mogły wyrazić, jak bardzo...

- Zapomnij. Nie miałeś przecież nic do powiedzenia. To w ogóle nie by-

łeś ty.

- Nadal nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Posłuchaj. To miejsce... i to, co tu robimy... to jest prawdziwe schrödingerowskie pudełko dla kota. Ty, ja i jakieś piętnaście miliardów innych

62

ludzi jesteśmy jednocześnie żywi i martwi. W niebie gramy na harfie, a w piekle jesteśmy gwałceni w dupę rozpaloną do czerwoności brzytwą. Jednocześnie. Tu i teraz ty i ja siedzimy w pudełku. W pewnym sensie jeste-

śmy tym pudełkiem. Dopóki nikt nas nie otworzy, wszelkie skutki są tylko potencjalne.

- Ale otwarcie pudełka... czyli nas... sprawi, że staną się faktem?

- Tak.

- O jakich skutkach mówimy?

- Nie wiem. - Marszczy brwi. - Nie możemy tego wiedzieć. W tym rzecz.

- Ponieważ jesteśmy pudełkiem. Twoje pytanie i moja odpowiedź... Czy to one mają nas otworzyć?

- Mniej więcej. - Zirytowany wzrusza ramionami. - To tylko metafora, do cholery!

- Metafora. - Duncan patrzy w ogień. Marszczy brwi tak samo jak Caine. - Reguły obowiązujące w tym miejscu nie zabraniają mi się chyba nad tym zastanowić, hm?

- Nie. I nie przejmuj się tym, co powiesz. To nie jest żadna z tych twoich heroicznych sag. Nie ma w tym żadnego podstępu. Żadnej pułapki. Po prostu chcę wiedzieć.

- Co za szczerłość.

- Oszustwo nic tu nie da.

- Ciekawe.

- Wyobraź sobie, że mógłbyś cofnąć swój najgorszy uczynek.

Krew w sercu Duncana ścina się jak ser. Odpowiada jak echo, mecha-nicznie:

- Mój najgorszy uczynek...

- Właśnie. Co wtedy? Wyobraź sobie, że możesz go odczynić, utopić w strumieniu czasu zawierającym cały ten szajs, którego nikt nigdy nie zrobił.

Duncan prostuje się gwałtownie.

- Mówisz poważnie?

Po drugiej stronie ogniska widzi tylko płonące oczy Caine'a.

63

- Jestem poważny jak pchnięcie nożem w brzuch. Tu się nie żartuje. Ani nie kłamię.

- Najgorszy pod jakim względem? W jakim sensie? Masz na myśli grzech? Zły uczynek? Coś, czego żałuję? Krzywdę wyrządzoną innym?

Czy sobie?

- Nie komplikuj. „Najgorszy” to tylko słowo. Wybierz coś, co zrobiłeś i dziś tego żałujesz. Albo coś, czego nie zrobiłeś. Nie musisz mi nawet mó-

wić, co to jest. Jedna błędna decyzja, po prostu. Czy gdybyś mógł ją cofnąć, zrobiłbyś to?

- Za jaką cenę?

- W tym sęk.

- Więc jednak?

- Jak zawsze. Obawa tego obcego nam kraju, skąd nikt nie wraca\*, i tak dalej, pierdu, pierdu. Hamlet się mylił. To nie śmierć. To przyszłość.

\* Przeł. J. Paszkowski.

- Czyli... co bym oddał w zamian za...

Tamten unosi rękę i powstrzymuje go gestem otwartej, poblížnionej dłoni.

- Zanim odpowiesz, muszę ci powiedzieć, że nie chodzi tylko o ciebie.

Rozumiesz? Możesz zamienić nadzieję nieba na wieczną udrękę w piekle, jeśli tego właśnie chcesz. Twoja broszka. Tyle że tu nie chodzi o ciebie. Ty tu w ogóle jesteś drugorzędny.

Duncan przekrzywia głowę.

- Perspektywę życia wiecznego traktuję z zawodowym sceptycyzmem.

- Bo to tylko metafora, tak? A może wcale nie? Twój wybór może zmasakrować życie milionów ludzi, którzy takiego wyboru nie mają. Może się zdarzyć, że zapłacisz wysoką cenę, oczywiście. Ale wszyscy inni zapłacą jeszcze wyższą. Jeżeli mylisz się w kwestii życia wiecznego, możesz skazać miliard dzieci na wieczne męki w jeziorze ognia. Albo nie, pieprzyć życie wieczne. Przypuśćmy, że te same dzieciaki, udręczone halucynacja-mi, w których torturują je demony, rozdrapują sobie skórę, wydłubują 64

oczy i umierają z krzykiem z powodu infekcji mózgu.

- Nie zazdroszczę ci wyobraźni.

- Taaa, wyobraźnia... Bo to tylko moja wyobraźnia, prawda? A co byś powiedział na nowy, lekooporny szczep wirusa HRVP?

Duncan milczy.

- Albo jeszcze inaczej, pomyśl o twojej chorobie, która zmieni je w nie-obliczalne świry. Będą umierały uwięzione w gnijących ciałach, srając pod siebie.

Duncan spuszcza głowę i patrzy w ogień.

- To nie fair, Hari.

- Fair, nie fair... To nie ma nic do rzeczy. A ja już nie używam tego imienia.

- Dobrze, Caine. Nadal nie widzę w tym żadnego sensu. Czy coś grozi tym ludziom, kiedy powiem „tak”, czy kiedy powiem „nie”?

- Jedno i drugie. Jedno albo drugie. W tym rzecz.

- To jak mam podjąć decyzję?!

- Rzuć monetą. Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

- To znaczy, że twój przykład z miliardem dzieci...

- Miliard to ładna, okrągła liczba. Wymyśl coś najgorszego, co potrafisz, i podnieś to do sześcianu. To właśnie może się wydarzyć.

- „Może” to nie to samo, co „się wydarzy”. Jeżeli ewentualne skutki są w obu wypadkach takie same...

- Nie są. Jedyne, co je łączy, to nasza niewiedza na ich temat. Nie mo-

żemy ich znać. Możesz zniszczyć wszechświat. Albo skazać wszystkie żywe istoty na wieczną zabawę na górze cukierków. Albo w ogóle nic się nie stanie i całe to nasze pieprzenie w bambus będzie chuj warte. Albo wydarzy się coś pośredniego. Wszystko jest możliwe. Wszystko.

Duncan kiwa głową. To zaczyna mieć sens.

- Wybór staje się absolutem. Istotą rzeczy. Prawo niepoznawalnych skutków.

- Mniej więcej.

- Pieprzyć jedno miasto. Cały świat bym spalił, żeby ją uratować.

65

- Taaa... - chrypi Caine. - Czuję, że do tego wrócisz.

- Czy nie o to właśnie mnie prosisz?

Spuszcza wzrok na swoje knykcie, jak zawsze, kiedy cierpi. Albo się wstydzi.

- Wtedy myślałem, że mówię prawdę. Duncan wygina usta w podkówkę.

- Też tak myślałem.

- Tylko że jak przyszło co do czego, wyszło na odwrót.

- To mi się nie podoba...

- Mnie też.

- Hari... Co się stało? Czy ona...?

- Jakiś czas temu.

- Ale jak...

Kolejne wzruszenie ramion.

- Zamiast spalić świat, żeby ją ocalić, spaliłem ją, żeby ocalić świat.

- Poświęciłeś Shannę?!

- Nieumyślnie.

- Tak mi przykro, Hari...

- Wszystkim jest, kurwa, przykro. - Krzywi się i zaciska powieki. - Dobra, słuchaj... Teraz to ja cię przepraszam, myślałem, że już się z tym pogodziłem. Po prostu nagle... to było takie... rzeczywiste...

- Mhm. Chyba cię rozumiem.

- Została rozplątana na pół. - Caine ruchem głowy wskazuje ognisko. -

Bardzo podobnym mieczem. Kawałek jej ciała spadł na mnie.

- Przykro mi... - Szept. - Hari, tak mi...

- Dzięki. - Patrzą sobie w oczy nad ogniskiem. - Przynajmniej nie zabi-

łem jej własnymi rękami.

Duncan zwiesza głowę. Obejmuje ramionami kolana, przyciska je do piersi i opiera na nich głowę.

- Chyba chwilowo mam dość gadania.

Czas płynie. Poza granicami baldachimu z bizoniejskóry gęstnieje brzask, zimne światło, szare jak niebo. Śnieg ulatuje wraz z nocą i Duncan nareszcie widzi, gdzie się znajdują: na krawędzi urwiska, z którego rozta-cza się widok na ochrowe pustkowie. Jest w tym widoku coś znajomego i choć nie umie powiedzieć, o co dokładnie chodzi, to wrażenie każe mu wstać od ogniska.

Ostrożnie przysuwa się do krawędzi, powoli, wymacując drogę przed sobą; ma świadomość, że przysypany śniegiem grunt może być zdradziec-ki. Teraz może już spojrzeć w dół skarpy, która opada łagodnie, lecz z dziwną regularnością, zbyt nienaturalną jak na zwykły piarg. Gdyby na stoku byli jacyś ludzie albo chociaż dymiące kominy, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą jakieś skalne miasto, jakby ruiny osiedla Anasazich...

- Och... - mówi. - No tak. Oczywiście.

To też musiał już wiedzieć wcześniej.

- Hari... znaczy, Caine... To tutaj, prawda? To jest to miejsce. Pionowe miasto z *Odwrotu* z *Boedecken*.

- Tak - dobiega z tyłu, ponad lewym ramieniem. - To tutaj.

- Czyli to o to chodzi.

- Nie.

- To, co tu zrobiłeś...

- Nie w tym rzecz. Odwraca się.

- To nie był twój najgorszy postępek?

Caine stoi tuż zanim, minimalnie przesunięty w bok. Oczy ma lodowate jak niebo.

- Zdecydowanie nie.

- Cofnąłbyś to, gdybyś mógł?

- To tutaj? Żartujesz?

- Nie, raczej jestem ciekaw.

- Nigdy nie miałeś poczucia humoru.

- Ale...

67

- Przykro mi, myślałem, że się rozumiemy. Odpowiedź brzmi: nie. - Caine kręci głową, przewracając

przy tym oczami. - Nawet powiedziałbym: nie, kurwa, w żadnym wypadku.

- A te szczenięta? Te dzieci? Te młode?

Caine wraca do ogniska.

- Czy tobie się wydaje, że jak tak się będziesz dopytywał, to w końcu usłyszysz odpowiedź, na której ci zależy?

Duncan sztywnieje, urażony.

- Jesteś małoduszny.

- To i tak było o wiele bardziej wielkoduszne niż proste „stul pysk”. A znaczyło to samo.

- Jesteś zły.

- Zawsze byłem, tylko że nie na ciebie.

- A teraz jesteś zły na mnie?

- Weź... - Nie odwracając się, Caine ucisza Duncana gestem „Zamknij-

że się, kurwa!”. - Nie mów do mnie tak, jakbyś rozumiał. Jakbyś wiedział, jakie to uczucie, zrobić to, co ja zrobiłem; przeżyć to, co ja przeżyłem.

Jakbyś był sobie to w stanie wyobrazić.

- Byłem jedną z tych rzeczy, które przeżyłeś.

- Nie. - Caine okręca się na pięcie i powietrze przecina ledwie zauwa-

żalna smuga: to krawędź jego gwałtownie podniesionej dłoni. - O to mi właśnie chodzi. Nie byłem tobą.

- Czuję, jakbyś był - mówi półgłosem Duncan. - Boli, jakbyś był.

Spojrzenie Caine'a staje się ciut cieplejsze. Garbi się i kiwa głową.

- Chyba cię rozumiem. I przepraszam. Nie przyszedłem tu po to, żeby cię skrzywdzić. Ani po to, żeby przepracować jakieś niedobitki problemów z ojcem. Mojemu prawdziwemu ojcu wybaczyłem wieki temu.

- Czy to dlatego znalazłem się tu zamiast niego? - Duncan brnie przez śnieg w stronę baldachimu. - Ojciec młodszy niż ty. Większy i silniejszy od ciebie. Nie jestem chory. A ty się upierasz, że ojciec, któremu wybaczyłeś, nie jest mną.

- To nie o to chodzi.

- Czyżby? Jesteś pewien, że nie po to właśnie jestem młody, silny i zdrowy, żeby uspić twoją niechęć do sprania mnie na kwaśne jabłko? Obaj wiemy, że na to zasługuję.

- Nie wiem nawet, co znaczy „zasługuję”. Wiem, co ludzie mają na my-

śli, kiedy tak mówią, po prostu nie jestem pewien, co to znaczy w prawdziwym życiu.

Duncan rozkłada ręce.

- To jest prawdziwe życie?

- No dobrze, nie jestem też pewien, co znaczy „prawdziwe”.

Duncan kiwa głową.

- W dwudziestym wieku wyłonił się odłam filozofii analitycznej po-

święcony analizie struktury psycholingwistycznej twierdzeń podawanych jako prawdziwe...

- Ja pierdolę, to nie debata naukowa! To nie seminarium. Jezu... - Kręci głową. - Zapomniałem, jaki potrafisz być wkurwiający.

- Nie zapomniałeś, tylko nigdy tego nie wiedziałeś. Zresztą, to mi wła-

śnie cały czas powtarzasz: ja nie jestem Duncanem, którego znałeś, a ty nie jesteś Harim, którego ja znałem. I nigdy przedtem się nie spotkaliśmy.

Mam rację?

- Bądź sobie, kim chcesz. Po prostu odpowiedz na pytanie!

- Czy sens mojej odpowiedzi nie będzie uzależniony od tego, kim naprawdę jestem?

- Akademickie pieprzenie... Nie utrudniaj.

Duncan kiwa głową w przepaszającym geście.

- Jeśli dobrze rozumiem pytanie, wybór jest następujący: albo nasz świat, wszechświat, rzeczywistość czy jak to tam sobie nazwiemy, pozostaną nietknięte, pogrążone w mroku i ruinie, albo zmienię przebieg jednej... hmm... jednego zdarzenia, na taki, jak bym chciał. - Nabiera dystansu do sprawy, jak na naukowca przystało, i od razu głos przestaje mu drżeć. -

Przy czym, z góry wiadomo, że ewentualne skutki, dobre, złe czy jeszcze inne, są całkowicie nieprzewidywalne.

- Mniej więcej.

- Problem małej łapki.

69

- To brzmi tak, jakbyś wiedział, o czym mówisz.

- Takie opowiadanie sprzed trzech wieków. Napisał je Anglik, niejaki W.W. Jacobs. Trzy życzenia, trzy próby nagięcia przeznaczenia do swojej woli, ale każda kończy się tragicznie. Nie można zmienić przeznaczenia, chyba że na gorsze.

- Taaa, jasne. Nie ma czegoś takiego, jak przeznaczenie, a „gorsze” zależy od punktu widzenia.

- Ja nawet rozumiem, dlaczego wolisz tak uważać.

- Co ty nie powiesz... A to ma jakieś znaczenie? Duncan znów musi mu przyznać rację.

- No tak, naturalnie. Rzecz w tym... to znaczy... wydaje mi się... Zawiesza głos i siada na skórach przy ognisku. Teraz marznie.

Słabość zakrada się w jego członki, lewa ręka drży. Nie może mówić z otwartymi oczami, przymyka je więc i znów oddaje się ciemności.

- Chcę się tylko dowiedzieć - mówi bardzo, bardzo cicho - czy to się dzieje naprawdę. Jeżeli postanowię... cofnąć jakąś decyzję... to czy naprawdę tak się stanie? - Oczy pieką go pod powiekami. Łzy spływają po policzkach. - To wszystko. Tylko tyle. Niczego więcej nie potrzebuję. Czy jeżeli postanowię coś zmienić, to się zmieni?

- Być może.

- Być może? Tak po prostu? Po tym wszystkim tylko tyle możesz mi dać? „Być może”?

- Duncanie... Myślałem, że wyraziłem się jasno, ale chyba jednak nie. -

Głos Caine'a jest ściszony, niechętnie przeproszający. - Niepoznawalne są skutki nie samej zmiany, tylko wyboru. Jedną z jego konsekwencji jest, a właściwie może być taka, że zmiana nastąpi. Tylko tyle mogę ci obiecać.

Niczego więcej nie ma.

- Chcesz powiedzieć, że swoją decyzją mogę unicestwić wszechświat...

na próżno?

- Nie na próżno.

- No tak. Oczywiście. Moje własne wykształcenie mnie zdradziło. - Łzy płyną teraz szybciej, mimo że głos pozostaje spokojny, pełen rezerwy, jak głos łagodnego profesora, który, nawet śniąc

niewiarygodne sny na jawie, 70

nie przerywa wykładu. - To nie bajka.

- Chciałbym, żeby to była bajka.

- Łatwo ci mówić - mruczy Duncan. - Nie znasz świata bez magji.

- A co to ma do rzeczy?

- Nieważne. I tak nie sądzę, żebym był w stanie ci to wytłumaczyć. -

Bierze głęboki, rozedrgany wdech. - Rzeczywiście chodzi tylko o wybór.

To on jest istotą rzeczy.

- Tak to wygląda. Czy zaryzykowałbyś przyszłość wszechświata, żeby zmienić jedną, jedyną rzecz?

- Boże, ratuj... - Duncan dławi się łzami. - Nie możesz... Jestem tylko człowiekiem. Nie możesz mnie prosić o coś takiego! Nie w sytuacji, kiedy mój wybór naprawdę coś znaczy!

- Właśnie cię proszę.

- Na bogów... - Do czego to doszło, żeby musiał błagać o litość wytworzy wyobraźni innych ludzi! - Zmiłujcie się nade mną...

- Tu nie ma bogów, Duncanie. Jesteś tylko ty.

Zwiesza głowę. Tu się nie kłamie.

- Tak. - Prawda jest ledwie słyszalnym szeptem. - Tak, zrobiłbym to. W

zamian za szansę. Za choćby nadzieję na szansę.

- W porządku, Duncanie. Wielkie dzięki. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Przykro mi, że tak to musiało rozegrać, ale jesteś jedynym facetem w obu wszechświatach, do którego mam zaufanie, że mi dobrze doradzi.

- Słucham? - Otwiera oczy. Mruga. - Potrzebowałeś dobrej rady? To wszystko?

- Nie.

Caine trzyma miecz oburącz. Jeśli rękojeść pali mu dłonie międzygwiazdowym chłodem, to on na pewno nie daje tego po sobie poznać.

- Hari... Hari, co to jest? Co robisz?

- Mówiłem ci już przecież.

Caine robi wypad ze swobodą płynącą z okrutnego doświadczenia.

Ostrze przeszywa mostek Duncana i rozcina mu serce na dwoje. Kiedy mrok zapada nad jego życiem, słyszy jeszcze te słowa:

- Mówiłem, że nie używam już tego imienia.

## PRZESŁANKA

## CZAS, KTÓRY PĘTA

BO WIDZISZ: BYCIE BOGIEM POLEGA NA TYM, ŻE NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO JAK KONSEKWENCJE. COŚ POSZŁO NIE PO TWOJEJ MYŚLI? SIĘGASZ

REKĄ W GŁĄB RZECZYWISTOŚCI I MIESZASZ TAK DŁUGO, AŻ UZYSKASZ

COŚ, CO CI BARDZIEJ ODPOWIADA.

- BYĆ MOŻE KTOŚ

*POTENCJALNIE GDZIEŚ*

Tym razem siedzą na ławce na Dworcu, który jest największą budowlą w Ciernistej Rozpadlinie i siedzibą Transdejskiej Kompanii Kolejowej.

- To dlatego, że zamierzam ubić interes z twoim bogiem.

- Z moim bogiem? Mówisz o Ma'elKocie?

- Nie, o bogu Czarnych Noży. Z Boedecken. On chyba nie ma imienia.

- No i? Powiedziałaś „zamierzam”, prawda? To porzuć ten zamiar, *y no hay problema*.

- To nie takie proste, piesku.

72

Młody ogrillo zwykle opiera się plecami o filar, jedną nogę podciąga na ławkę, drugą opiera na leżącym przed nim pękatym pakunku. Mężczyzna zwykle siedzi z łokciami opartymi na kolanach i wpatruje się w przydy-miony półmrok, słabo rozświetlany zielonkawymi kulami lamp na gaz wę-

glowy. Mówi cichym, bezbarwnym głosem, który nie zwraca uwagi przy-padkowych przechodniów ani podróżnych, cierpliwie czekających na Cier-nistego Sokoła, ekspres, który dwa razy dziennie przemierza drogę do Ankhany i z powrotem.

Zwykle. Nie zawsze.

W przeszłości odbywali tę rozmowę także w głębi Rozpadliny, przed klasztorną ambasadą, smagani zacinającym deszczem ze śniegiem; kilka razy rozmawiali wśród stosów nasyconych kreozotem podkładów kolejowych czekających na transport do wciąż budowanej Ostrogi. Raz zdarzyło się to na skalnej półce na urwisku, w noc tak ciemną, że otaczające ich góry nie były widoczne nawet jako cienie; równie dobrze mogliby wtedy rozmawiać w absolutnej pustce, gdyby nie słodki, metaliczny zapach krwi.

- Transakcja nie jest problemem - mówi mężczyzna. - Ale rozwiązanie może nim być.

- To znaczy?

- To znaczy, że cała planeta może się rozpieprzyć w drzazgi. Albo gorzej. Albo w ogóle nic się nie stanie. Albo stanie się coś pośredniego. Nie wiem. Nie mogę wiedzieć.

- Za dużo mówisz o tym, czego nie wiesz, braciszku.

- Jak każdy. - Wybuch śmiechu, chrypliwy i zgorzkniały. - Z tą różnicą, że ja wiem, że nie wiem. Inni pierdzą dymem, a nie czują ognia. Widzisz, sęk w tym, że w ogóle nie powinienem móc dobić takiego targu. Nie z bogiem. Zwłaszcza nie z tym bogiem. Ale dobiję. Już to zrobiłem. Mimo że to się jeszcze nie wydarzyło.

- W tym miejscu za każdym razem się gubię.

- Wiem, śmiertelny mózg dostaje w tym momencie pierdolca. W Klasztorach znają specjalistyczny żargon i inne badziewie, ale mądre słowa też gównem dają. Posłuchaj: podczas Złamania... to znaczy Koszmaru, tak? No 73

więc w pewnym momencie nastąpił tam taki... punkt zwrotny. Nie wiem, jak to inaczej nazwać. Schwytaliście nas wszystkich i zaczęliście robić to, co zawsze robicie, czyli nas torturować. Nasza śmierć miała być ofiarą dla waszego boga. Bo Czarne Noże oddawały w przeszłości cześć demonowi, który został uwięziony w pionowym mieście. Spętany. To miasto go Spęta-

ło.

- Demonowi? Ty go nazywasz bogiem.

- Na jedno wychodzi. Może nie do końca, ale nie mam teraz czasu, żeby ci cytować wykład wstępny do klasztornego seminarium z bogoznawstwa stosowanego. Zresztą, nieważne. Suki przybiły mnie do krzyża. Ukrzyżowanie to powolna i naprawdę paskudna śmierć, a one dodatkowo mnie dręczyły, więc powinienem był tam umrzeć. Wszyscy powinniśmy. Zamiast tego ja uciekłem.

- Uciekłeś? Z krzyża? Fajna sztuczka.

- Taaa, fajna, kurwa... Niewykonalna! - Mężczyzna spuszcza głowę i wzdycha. - Prawda jest taka, że to główna suka mnie zdjęła z krzyża. Potem ją zabiłem, Studio ściągnęło mnie z powrotem... Resztę znasz.

- Tak po prostu puściła cię wolno? A potem stała i czekała, aż ją zabijesz? Jakim cudem?

- To była odpowiedź na moje modlitwy.

- Modliłeś się? I co, Tyshalle nagle się nad tobą rozczulił i zapłakał?

- Nie. Modliłem się do waszego boga.

Szare, skórzaste gruzły mięśni, które u ogrillów udają brwi, falują i się supłają.

- Dlaczego bóg Czarnych Noży miałby się tobą przejąć, zamiast mieć cię po prostu w dupie?

- To dobre pytanie, ale jest jeszcze inne, ważniejsze. Pytanie to brzmi: jak? Nie „dlaczego”, tylko „jak”. W jakiś sposób sprawił, że suka zrobiła to, o co się modliłem. W Klasztorach coś takiego nazywa się Interwencją i uchodzi za niemożliwe. Dokładnie czemuś takiemu powinno przeciwdzia-

łać Porozumienie z Pirichanthe.

- To znaczy, co? Bogowie nie mogą czynić cudów?

74

- Tak. Właśnie tak. Boska moc może się przejawiać wyłącznie za po-

średnictwem żywej istoty. To jest fundament Porozumienia: bóg może kogoś obdarzyć swoją mocą, może mu ją odebrać, ale nic poza tym. Koniec, kropka. Zresztą, dalej sprawa jeszcze bardziej się komplikuje. W

Klasztorach nazywa się to „dostrojeniem teofanijnym” i powinno się uwzględnić masę zmiennych czynników, ale, z grubsza rzecz biorąc, to jest tak, że im bardziej zbliżasz się do ideału wyznawcy swojego boga, tym większą moc możesz skanalizować. Czyli bóg nie może ci nawet dyktować, co masz zrobić z jego mocą, ponieważ ty w ogóle dostajesz ją tylko dlatego, że już jesteś osobą, która i tak użyje jej zgodnie z jego wolą. Rozumiesz?

- Może tak. A może nie. Nos lepszy od mózgu, co?

- Interwencja to bezpośrednie działanie boga, żywy wyraz jego woli; ludzie nazywają to cudem. Interwencja zmienia rzeczywistość. Dosłownie.

Na tym polega problem z bogami. Ludzkimi bogami. Klasztory nazywają ich Mocami Konceptualnymi. Moce Naturalne wyrażają prawa natury, Moce Zewnętrzne żyją tam, gdzie nie sięga rzeczywistość, a gdzieś po-

środku sytuują się bogowie ludzkości. Tak jakby byli w połowie naturalni, a w połowie zewnętrzni. Nie łamią praw natury, w każdym razie nie jakoś dramatycznie, a zarazem czas ich nie ogranicza. W niektórych religiach mówi się, że czas jest snem bogów; to bardzo dobre porównanie. Bóg może interweniować w dowolnym momencie, jaki mu się zamarzy, w przeszło-

ści, w przyszłości, obojętne, dla niego to jedno i to samo... Wybiera taki moment, wyciąga rękę, miesza w naszej rzeczywistości i coś się dzieje kiedy indziej.

- Kiedy indziej.

- No wiem. - Mężczyzna wzrusza ramionami w przeproszającym geście.

- Przypuśćmy, że taki bóg chciałby zniszczyć ten Dworzec. Bo, powiedzmy, wkurwił się na mnie, i postanowił zwalić nam Dworzec na głowy. Potrzebowałby do tego jakiegoś efektownego kataklizmu: trzęsienia ziemi, uderzenia meteorytu, chuj wie czego... Takie coś wymaga od cholery mo-cy. A znacznie łatwiej jest wybrać odpowiedni moment przed dziesięciu 75

laty i przyprawić jakiegoś biedaka o zawał dokładnie w tej samej chwili, kiedy dokonuje jakichś tam istotnych obliczeń wytrzymałości materiałów.

Potem mija dziesięć lat, my sobie tu siedzimy, a nagle do głosu dochodzi zmęczenie materiału, ciężar lodu przekracza wytrzymałość konstrukcji, całe to gównno wali się w gruzy i grzebie nas żywcem. Kto rządzi przeszło-

ścią, rządzi przyszłością.

Ogrillo zadziera głowę i patrzy na pokryty grubą warstwą lodu pancerszklany sufit.

- To tylko taki przykład, co? Zabrzmiało poważnie.

- Sytuacja się komplikuje, kiedy bogów jest więcej. Przypuśćmy, że ja-kiś inny bóg chce, żebyśmy jednak przeżyli. Albo, na przykład, chce podkurwić tego pierwszego. Sięga dziesięć lat w przeszłość i sprawia, że drugi inżynier wychwytuje błąd w obliczeniach tamtego zawałowca i go poprawia. Dworzec stoi więc jak gdyby nigdy nic, solidny i ciepłutki, a my siedzimy sobie w środku. Ale wtedy pierwszy bóg cofa się w przeszłość, żeby zabić tego drugiego inżyniera, i znów lądujemy pod gruzami.

Kiedy cała armia bogów miesza w przeszłości, żeby kontrolować przyszłość, wszystko się pierdoli. Nic nie jest prawdziwe, w każdym razie niezbyt długo. Jedyne, czego można być pewnym, to że ludzie dostaną przy okazji po dupie, bo im potężniejszy bóg, tym większych zmian może dokonać, a moc boga jest funkcją liczby i żarliwości wiernych. Fanatyczni ka-łłani wywołują święte wojny i mordują wyznawców innych bogów, żeby zmniejszyć ich siłę i wpływy. Ci inni bogowie się wkurwiają, odwiedzają tym samym i zaczyna się ogólna rozpierducha. Trochę to trwa, aż w końcu cały wszechświat zmienia się w najgorszy koszmar senny, jaki mógłbyś sobie wyobrazić. Koszmar, z którego nikt się nie budzi.

Panchasell Mithondionne to przewidział, dlatego stworzył *dil T'llann*.

Tyle że trochę się spóźnił. Za dużo nas zdążyło przeniknąć do Nadświata, a kiedy ludzie zbiorą się w kupę, to masz jak w banku, że prędzej czy później jakiś pojeb wymyśli religię. Podejrzewam, że właśnie dlatego w większości ludzkich mitów o stworzeniu świat rodzi się z nieskończonego chaosu.

właśnie w takim chaosie byśmy się pograżyli, gdyby nie Jhereth i Jhantho z Tyrnall.

Jhantho Żelaznoręki i Jhereth Bogobójca. Bracia. Ponoć bliźniacy. Postanowili raz na zawsze zakończyć ten pierdolnik. Byli do tego stworzeni.

Może nawet sami byli bogami, różnie ludzie gadają. W Klasztorach naucza się nas, że mieli moc pętania czasu: mogli się postawić bogom, ponieważ wszystko, co zrobili, było trwałe. Permanentne. I nawet bogowie nie mogli tego zmienić. Jhereth miał broń, którą nazwali Mieczem Człowieka. Jhantho nie używał broni. Dwa aspekty tej samej siły, kapujesz? Jhereth Nisz-czyciel i Jhantho Obrońca. Dlatego w Klasztorach uczą nas nie tylko walki bronią, ale także władania samym sobą, bo to my jesteśmy prawdziwym orężem... Takie tam mistyczne sranie w banię, nieważne. Jhereth i Jhantho przenieśli walkę na podwórko bogów i zaczęli rżnąć skurczybyków równo, na prawo i lewo, z dołu do góry i z góry na dół. To była dla bogów paskudna niespodzianka.

Bo widzisz, bycie bogiem polega na tym, że nie ma czegoś takiego jak konsekwencje. Coś poszło nie po twojej myśli? Sięgasz ręką w głąb rzeczywistości i mieszasz tak długo, aż uzyskasz coś, co ci bardziej odpowiada. Tymczasem bogowie zaczęli ginąć. Śmierć to jeszcze pikuś, jest cała masa bogów, którzy umierają i zmartwychwstają: bóstwa zniw, płodności, księżyca, słońca itp. Jeśli jednak bóg umiera i nie zmartwychwstaje... No, to zupełnie inna para kaloszy.

Kiedy do bogów dotarło, że grozi im niebezpieczeństwo, przestali się cackać. Poszło na noże. Zginęły miliony ludzi, ale też dziesiątki, jeśli nie setki bogów. Punkt zwrotny nastąpił, kiedy bogowie postanowili negocjować rozejm. Przysłali w tym celu jednego ze swoich głównych zabijaków, Khryla, lipkeńskiego boga walki. Bogowie nie są głupi i wykombinowali sobie, że skoro bogowie zabici przez Jheretha nie zmartwychwstają, to może gdyby Jhereth zginął z ręki boga, też by już nie wstał.

Khryl, jak wiadomo, jest także patronem honoru, sprawiedliwości, mę-

stwa i takich tam pierdoł. Czyli nie może kłamać. Bogowie wymyślają 77

więc, że powinien wyciągnąć prawicę jak na zgodę i zasunąć tekstem w stylu: „Oto Dłoń Pokoju. Zawrzyjmy rozejm”. No więc Khryl przychodzi i podaje rękę Jherethowi, ale zarazem nie daje mu pozwolenia, żeby ten Go dotknął. Czeką, aż Jhereth uściśnie Jego dłoń, żeby móc za karę porazić go jakimś boskim glutem.

Tylko że Jhereth jest podejrzliwym skurczybykiem i kiedy Khryl wy-ciąga łapę, on wyciąga Miecz Człowieka i odrąbuje mu ją w nadgarstku.

Dłoń Khryla spada na ziemię, a Jhereth mówi tak: „Odjąłem ci dłoń, żebyś wiedział, że dla mojej przyjemności możecie się wszyscy ode mnie odpierdolić i wykitować, wy gównozerne glizdojeby, ale chętnie porozmawiam o zawarciu pokoju. A kiedy już zapanuje prawdziwy pokój, z przyjemnością wsadzę ci twoją własną łapę w dupsko tak głęboko, że podrapiesz się od tyłu po oczach”.

Mężczyzna odchrząkuje.

- No, tu może nie zacytowałem go dosłownie.

- Nie mów...

- Druga paskudna niespodzianka. Zwłaszcza dla Khryła, który odkrywa, że dłoń wcale nie chce mu odrosnąć i żaden bóg nie umie mu pomóc. Są dwie wersje historii o zakończeniu Deomachii. Lipkeńczycy twierdzą, że ich bóg wojny, Dal'kannith Tysiącręki, wyzwwał Jheretha na pojedynek.

Jhereth przyjął wyzwanie i po trzech dniach wścieklej walki na szczycie góry zwanej Pirichanthe zdradziła go własna zdrada: krew Khryła, która spłynęła po Mieczu Człowieka, wyżarła metal niczym kwas. Dal'kannith pokonał przeciwnika, po czym wielkodusznie zapowiedział, że bogowie dotrzymają ugody, którą na cześć miejsca bitwy nazwał Porozumieniem z Pirichanthe, a która *de facto* jest zawieszeniem broni. Bogowie przestaną wpięprzać się w rzeczywistość, a śmiertelnicy w sprawy bogów.

Jak się pewnie domyślasz, w Klasztorach obowiązuje inna wersja.

Zgodnie z nią, bogowie zmówili się przeciw Jherethowi, żeby napaść go całą gromadą i zmiażdżyć przewagą liczebną. Przybrany przez Dal'-

kannitha przydomek „Tysiącręki” ma być metaforycznym odniesieniem 78

do towarzyszącego mu tysiąca bogów, których zebrał przy sobie, żeby zgładzić Bogobójcę bez narażania się na cios Miecza Człowieka. Zapewne domyślasz się i tego, że mnie bardziej przypadł do gustu klasztorny wariant tej historii.

Jhereth i Jhantho wiedzą, że są zgubieni. Mają milionową armię, ale żadna śmiertelna siła nie oprze się zmasowanemu atakowi wszystkich żyją-

cych bogów. Jednakże Jhantho, który jest równie sprytny, jak Jhereth podejrzliwy, ma pomysł, jak zakończy wojnę. Może zrobić taką sztuczkę, która na zawsze wygna bogów z tego wszechświata. Potrzebuje tylko ko-goś, kto odwróci ich uwagę.

Jherethowi przypisuje się różne słowa, które wówczas wypowiedział, ale ja lubię sobie wyobrazać, jak po prostu bierze do ręki Miecz Człowieka, ogląda klingę w blasku wschodzącego słońca i pyta: „Ile czasu potrzebujesz?”. Jhantho odpowiada: „Nie wiem, może całą wieczność”, na co Jhereth wzrusza ramionami i mówi: „Załatwione”. Tylko muszę ci się przyznać, że sam wymyśliłem ten dialog. Nie lubię kwiecistych mów i całego tego pieprzenia. Wiemy na pewno tyle, że Jhereth i Jhantho rozformowali swoją armię. Odesłali ludzi do domu, żeby spędzili choć trochę czasu z rodziną, zanim obłęd i chaos zawładną ich życiem.

- I ty teraz robisz to samo, tak? Odsyłasz mnie do domu, bo zbliża się koniec świata?

- Właściwie tak.

- Jebać dom. Ty jesteś moim domem, braciszku. Myślisz, że dam ci walczyć samemu?

- To nie będzie walka. Nie ma z czym walczyć. To nie jest coś, co ktoś zrobił. Po prostu tak się życie ułożyło i już.

- A jak to się skończyło dla gromiących bogów bliźniaków?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Kres wojny zastał ich w tej samej sytuacji, co początek: stanęli ramię w ramię, jak bracia. Oddali życie, żeby ocalić świat.

- No, to mi się podoba, co? Bracia razem.

- My to nie oni.

- Ale możemy umrzeć jak oni.

79

- Orbek, to tylko opowieść. Legenda, nie fakty.

Młody ogrillo wzrusza muskularnymi ramionami.

- Jak to powiedział twój stary? O metaforze, która rodzi prawdę?

- Taty w to nie mieszaj. Zrozum, gdyby można było z tym walczyć, od pięciuset lat mielibyśmy święty spokój. Rewolta Jheretha załatwiłaby sprawę raz na zawsze, ja umarłbym dwadzieścia pięć lat temu na krzyżu, a Czarne Noże władałyby dziś całym Boedecken. Ale ja nie umarłem, a Czarne Noże nie rządzą Pustkowie. Transakcja, którą zawrę z waszym bogiem, jakakolwiek będzie, przesądzi o całej drugiej połowie mojego życia. Lepiej, żebyś był wtedy daleko stąd. Przy czym „daleko” oznacza „na innym kontynencie”.

- Kiedy to się ma stać?

- Prawdopodobnie niedługo, ale dokładnie nie będę wiedział, dopóki bóg mnie nie wezwie.

- A właściwie jaka to ma być transakcja, co? Co dajesz i co dostajesz w zamian?

- Tego, niestety, nie wiem. Wiem, że dzięki niej zszedłem z tego zasnętego krzyża, ale co poza tym będę z tego miał... Nie wiem. Tak jak nie wiem, jaka będzie cena.

- Dużo tych „nie wiem”, braciszku. Tylu rzeczy nie wiesz, to skąd wiesz, że to będzie taki kataklizm?

- Orbek, na Boga, wiesz, z kim rozmawiasz? - Mężczyzna kręci głową, ale nie podnosi wzroku. Cały czas wpatruje się w marmurową posadzkę Dworca. - No, kurwa, no... Jesteś Czarnym Nożem, czy nie jesteś?! Jak możesz tak tu sobie siedzieć i tak po prostu pytać mnie, skąd wiem, że jak coś odpalę, to

pierdolnie jak atomówka?

- Może mógłbym pomóc.

- Nie pomagaj. Po prostu zmykaj. Masz krewnych i tak dalej, rodzinę której od lat nie widziałeś. Nie chcesz ich zobaczyć przed śmiercią?

- Ty jesteś moją rodziną.

- Wiem, i dlatego ty musisz wyjechać, Orbeku. Proszę. - Mężczyzna rozluźnia zaciśnięte pięści i zwiesza smętnie głowę. - Proszę. Niech chociaż jedna osoba, którą kocham, wyjdzie z tego żywa.

**BEZCZASOWA**

**TERAŹNIEJSZOŚĆ 2**

# DOSTATECZNIE MOCNA

TO ZWYKŁA PRZENOŚNIA, DO DIABŁA. NIE KATUJ JEJ TAK.

- CAINE

*OSTRZE TYSHALLE'A*

W nieistnieniu nie ma czasu, dlatego kiedy Duncan Michaelson otwiera oczy, czas nie upłynął.

Jego syn - mężczyzna, który upiera się, że nie jest jego synem - stoi nad nim. Jego sylwetka rysuje się na tle błękitnego nieba, które jest tak idealnie gładkie, że mogłoby być twardą skorupą odległą na wyciągnięcie ręki.

Między nimi tkwi czarne, nieozdobne ostrze, zaopatrzone w prosty jelec i upstrzoną plamami potu skórzaną rękojeść.

Klinga, jelec i rękojeść tworzą miecz, którym jego nie-syn przeszył mu pierś i przybił go do znajdującego się pod spodem kamienia. Nadal jest przyszpilony tym mieczem, jak motyl szpilką w gablocie.

- Boli? - pyta tamten. Ton jego głosu jest zdawkowy, ale spojrzenie już nie.

- A będzie to miało jakieś znaczenie, jeśli powiem, że tak?

81

- Być może.

Duncan z typową dla siebie precyzją bada przez chwilę swoje odczucia.

- Czuję, jak przy oddychaniu szoruję mostkiem o ostrze. To na pewno powinno boleć.

- Fakt.

- Ale głównie odczuwam zimno. Pamiętam z twoich Przygód, z sze-

ścianów pośrednich, jakie to uczucie, kiedy ktoś przeszyje cię mieczem, ale to co innego. Tak jakby ten miecz był wykuty z zimna.

- Wykuty z zimna... Ha. Dobrze powiedziane. - Przysiada na śniegu obok Duncana. - Rozumiesz, co się dzieje? Co to za miejsce? Dlaczego tu jesteś?

Duncan marszczy brwi, wpatrując się w rękojeść broni. Czuje, jak metal drży od bicia jego rozdartego serca.

- Wiem jedno: nie jesteśmy już w Kansas.

- Mogę w tym miejscu nadmienić, jak kurewsko nudny wydaje mi się już ten żarcik?

- W takim razie powinieneś go rzadziej opowiadać. Hmm... Przypuszczam, że to coś w rodzaju szamańskiej podróży we śnie. Tylko że ja sobie specjalnie nie popodróżuję, dopóki ktoś mi nie wyjmie tego miecza z brzucha.

- Taki jest plan.

- Czym jest miecz?

- Metaforą.

- Domyślam się. Metaforą czego?

- Innego miecza.

- Dajże spokój...

- Przecież to nie ja to wymyśliłem. W ogóle niczego tu nie wymyśliłem.

Mówię, jak jest.

- A ten inny miecz... - Duncan nie traci cierpliwości. - On też jest metaforą?

- Skoro pytasz... Tak, on też.

- Czego?

82

- Mnie - mówi Caine.

- Ja przepraszam...?

- Wiem.

- Nie, ja nie o tym... Miecz jest metaforą ciebie?

- Czasem bywa odwrotnie.

- Czy ty na pewno rozumiesz, do czego służy język?

- Zdębiałbyś, gdybyś się dowiedział, jak wiele rozumiem.

- Widzisz? Znowu to samo. Używasz słów, ale nie przypisujesz im tre-

ści dostatecznie konkretnej, żeby niosły jakiś sens. Ile razy mam ci powtarzać? Czym są słowa, kiedy pozbawić je znaczenia?

Caine wzrusza ramionami.

- Muzyką.

Duncan otwiera usta do ciętej riposty, ale rezygnuje.

- Przygotowałeś się.

- Mówiłeś, że odbyłeś już tę rozmowę, prawda? Ja też. - Podciąga kolana do piersi i obejmuje je ramionami. - Ojciec powiedział mi kiedyś, że dostatecznie mocna metafora rodzi własną prawdę.

Duncan kiwa głową.

- Tak, pamiętam. Pytałeś wtedy o Ślepego Boga, po tym, jak Policja Społeczna cię aresztowała. Tuż przed tym, jak aresztowała mnie.

- Po tym aresztowaniu... no, wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Za dużo, żebym ci o nich wszystkich opowiadał. Tak czy inaczej, dowiedziałem się wtedy bardzo dużo o Ślepym Bogu i całkiem sporo o sobie samym i przez pewien czas wydawało mi się, że wszystko mam rozpracowane. Wiem, kim jestem, jak funkcjonuje wszechświat, co to wszystko znaczy i tak dalej. To zresztą nie dotyczyło tylko mnie, ale także Shanny. I Faith.

- Jak się miewa Faith? Wyrwałeś ją z łap Avery Shanks?

- Słyszałeś o Faith i Avery?

- Przy okazji twojego aresztowania trąbili o tym w całej sieci. Wszystko z nią porządku?

- Mniej więcej. Źle zniosła śmierć Shanny, a to, co stało się później, 83

dotatkowo ją przygnębiło, ale odziedziczyła charakter po matce. A nikt tak naprawdę nie rozumiał, jak silna była Shanna. Nawet ja.

- A co z Tan'elKothem? Piękny umysł i godny przeciwnik w dyskusji.

Nadal pomieszkuje w Kuriozeum?

- Tan'elKoth nie żyje.

Przeszywa go tępy, lodowaty dreszcz, powoli, ospale, jak fala rozchodząca się w kałuży na wpół stopionego śniegu. Tan'elKoth też? Próbuje sobie wyobrazić, jak bardzo Caine musiał cierpieć, ale w tej samej chwili przypomina sobie jego nieustępliwy uśmiech, kiedy patrzył z urwiska w dół. Drugi przenikający go dreszcz jest mroczniejszy i jeszcze zimniejszy.

- To ty - cedzi słowa. - Ty go zabiłeś.

- Pamiętasz, jak mówiłem ci o metaforycznym mieczu? Tym mieczem najpierw rozrąbałem go na

dwoje, a potem dźgnąłem w twarz.

- Hari, tak mi...

Błysk w czarnych oczach Caine'a zmroził mu słowa w gardle.

- Hari również nie żyje. Zmarł po Shannie. Przed Tan'elKothem. I zanim zapytasz... Tak, jego też zabiłem.

- Rozumiem... Caine. Rozumiem.

- Nie rozumiesz.

Duncan dotyka sterczącego mu z piersi ostrza. Nie jest nawet ostre.

- To jest miecz, którym zabiłeś Tan'elKotha, prawda?

- W sensie metaforycznym.

- Powiedziałeś, że Shanna...

- Tak. Ten sam. Ten sam, którym Berne mnie okaleczył.

- Kosall?

- To szczegół, ale Kosall był prawdziwym mieczem. Liczy się ten metaforyczny.

- Czyli ty.

- Otóż to. Posłuchaj, wkrótce będą się tu działy dość niezwykle rzeczy.

84

- Mówi człowiek, który najpierw kawałkiem żelastwa przebił mi serce, a potem się do mnie przysiadł na pogawędkę.

- Celna uwaga. Bardziej niezwykle. Pamiętasz, żebyśmy się już spotkali? Nie mówię o spotkaniu z Harim ani z Caine'em, tylko ze mną, w tym wieku co teraz, z tymi bliznami. Czterdzieści parę lat temu.

Duncan marszczy brwi.

- Nie przypominam sobie. Jakiś kontekst?

- To był dzień śmierci mamy.

Boli znacznie bardziej, niż mógłby zboleć cios mieczem, nawet gdyby miecz wcale nie był metaforyczny. Nie przypomina sobie takiego bólu.

Zamyka oczy.

- Nie. W ogóle niewiele pamiętam z tamtego dnia.

- Dobra, słuchaj: ja pamiętam, jak spotkałem siebie samego. W klinice dla Robotników. Przysiadł się do mnie taki starszy facet i zaczął zagadywać. Ten facet to byłem ja teraz. No, przynajmniej tak samo wyglądał.

Niewiele brakowało, żeby mój ojciec wdał się z nim w bójkę.

- W bójkę? Na pięści? Z Caine'em?!

- Nie był to jego najlepszy dzień.

- Wolę nie myśleć, co by się z tobą stało, gdybyś wtedy jednego dnia stracił nas oboje.

- To się ciągle może zdarzyć.

Duncan milknie.

- To właśnie mam na myśli, kiedy mówię, że będą się działy niezwykle rzeczy. Zaczną się tu pojawiać ludzie. Niektórzy będą wyglądali znajomo, tak jak ja przypominam ci syna, ale nie będą tym, za kogo ich bierzesz.

Niektórzy wcale nie będą przyjaźnie nastawieni. Cokolwiek powiedzą lub zrobią, nie daj im wyciągnąć tego miecza. Rozumiesz?

- Jak mam ich powstrzymać?

- Powiedz: nie.

- Nie? Tak po prostu?

85

- To magiczne słowo.

- A nie „proszę”?

- Nie tutaj. Rzecz w tym, że miecza nie da się wyjąć, dopóki nie wyrażysz na to zgody. Musisz sam zdecydować, kto go wyciągnie.

- Excalibur wbity w kamień...

- Coś w tym guście. Excalibur też jest metaforą Miecza.

- Mówisz „Miecz” przez wielkie M.

- Owszem. Tak samo jak Durendal. Miecz z Czarnego Metalu. Sauvagi-ne. Kusanagi-no-Tsurugi. Dyrnwyn. Zwiastun Burzy. Mógłbym tak wyliczać i wyliczać, to cholernie długa lista.

- W takim razie czuję się zaszczycony, że mnie nim dźgnąłeś.

- Ja pierdolę, Duncan, to nie są żarty! Cokolwiek uczyni Miecz, staje się absolutem. Rozumiesz? I nawet, kurwa, sam Bóg nie może tego zmienić.

Legendarne nazwy obudziły w Duncanie duszę antropologa.

- Czy odwrotne twierdzenie też jest prawdziwe? Czy to znaczy, że do-póki Miecz tkwi na swoim miejscu, coś można zmienić?

- Niektóre rzeczy tak. - Głowa Caine'a opada, jakby westchnienie ciąży-

ło mu jak zawieszony na szyi kamień. - To skomplikowane.

- Rozumiem.

- Musisz zrozumieć, o co toczy się gra.

- To znaczy? „Koniec świata” to za mało konkretny opis, twoim zdaniem?

- Świat się skończył dawno temu, my tutaj próbujemy wysondować, co będzie dalej. Przez wieczność, albo prawie.

- To musi być długa historia.

- Wcale nie. Ona po prostu nie zawsze ma sens, w każdym razie nie ta-ki, do jakiego przywykliśmy.

- Mówisz coś takiego: przyczyny nie wywołują skutków, chyba że nigdy się nie wydarzyły.

- Mhm. Mogę ci pokazać pewne rzeczy, różne scenki z udziałem facetów, którzy wyglądają tak jak ja. Musisz zrozumieć, że wyglądają tak jak ja, ale nie są mną. Jeszcze nie. I nie są też twoim synem. Po wyciągnięciu 86

Mieczy niektórzy z nich mogą stać się jednym lub drugim, okej, ale nie można tego z góry przewidzieć.

- Aha. - Duncan podkłada sobie splecione dłonie pod głowę i wpatruje się w bezkresny błękit w górze. - Więc jednak zanosz się na jedną z „tych moich popieprzonych bajeczek o bohaterze kulturowym”.

- Być może. Zamknij oczy.

Zamyka oczy i...

**KONIEC POCZĄTKU**

# PAN DOWIDZENIA

Zastanawiam się czasem, czy jednym z powodów, dla których Caine tak uparcie wymyka się konwencjonalnej analizie, nie są uprzedzenia odziedziczone po waszym europejskim estetyku, Arystotelesie. Przeprowadzona przez Arystotelesa w *Poetyce* analiza struktur narracyjnych jest wręcz bez-cenną pomocą w zrozumienia elementów składowych dramatu. I właśnie ze względu na jej niepodważalną wartość, a także dlatego, że istota ludzka jest nade wszystko twórcą narracji, odruchowo sięgamy po arystotelesowskie pióro, żeby utrwalić nasze rozumienie Caine'a.

Dramat arystotelesowski zaczyna się od stwierdzenia nieładu na świecie. Struktura dramatyczna opiera się na przywróceniu tego ładu po początkowym stanie chaosu. W tragedii ład jest przywracany poprzez destrukcję, w komedii przez ślub lub pojednanie. Kluczowe jest tu zrozumienie faktu, że nieład nie jest stanem naturalnym. Porządku się nie tworzy, lecz się go przywraca.

88

Moim zdaniem, to właśnie jest przyczyna, dla której jesteśmy bezradni wobec Caine'a.

Nie istnieje jedna reguła, która opisywałaby go w całości. Zresztą, jak sam lubi powtarzać, wszystkie reguły są równie ważne - co jednak nie zwalnia nas od podejmowania kolejnych prób. Osobiście mam aż nadto powodów do snucia rozważań o mityczno-metafizycznym znaczeniu Caine'a. Jak z pewnością nasi widzowie pamiętają, nie tylko zostałem przez niego unicestwiony, ale także, w pewnym sensie, stworzony.

Życie Caine'a nie ma nic wspólnego z przywracaniem ładu, w ogóle z przywracaniem czegokolwiek. Caine nie widzi niczego, co mógłby przywrócić. Dla niego wszelki porządek jest ułudą, cienką powłoką racjonalno-

ści, którą tworzymy po to, by przysłoniła nam ślepe okrucieństwo egzystencji. W historiach z jego udziałem podążamy od chaosu do chaosu, co, nawiasem mówiąc, ma nadzwyczaj luźny związek z banialukami o Księżu Chaosu propagowanymi przez ankhański Kościół Ukochanych Dzieci Ma-

'elKotha: dla nich Caine jest po prostu Szatanem, którego mogą ustawić w wygodnej opozycji wobec mojej kreacji Jahwe.

Precyzyjniej byłoby go postrzegać jako uosobienie prawa naturalnego, czegoś co, wasi myśliciele nazwali Drugą Zasadą Termodynamiki, chociaż i ta wizja jest niepełna i - z tego właśnie powodu - zwodnicza. W jego dzia-

łaniach nie ma nic z przypadku ani chaosu. Przeciwnie: złudny porządek, który Caine niszczy, to porządek, w którym jego bliscy cierpią lub grozi im niebezpieczeństwo.

Nie szuka bezpieczeństwa, które jego zdaniem jest w najlepszym razie iluzoryczne, a sama jego koncepcja jest niebezpiecznym złudzeniem. Dlatego dąży tylko do przyjemniejszej formy chaosu. I to, jak miemam, jest źródłem jego siły.

Idea przywracania ładu ogranicza przeciętną istotę rozumną. Boimy się zrobić coś, czego nie da się cofnąć, boimy się naruszyć ład, w którym dobrze się czujemy - ponieważ oznacza to dopuszczenie do siebie chaosu.

Ponieważ zaś Caine nie uznaje bezpieczeństwa ani porządku, nie ma się 89

czego obawiać. Bez wahania robi rzeczy nieodwracalne, ponieważ dla niego wszystko jest nieodwracalne.

Niewykluczone, że jest największym żyjącym mistrzem absolutu.

- Rzem. Tan'elKoth (dawniej Ma'elKoth,

pierwszy Cesarz Ankhany

i Patriarcha Kościoła elKothańskiego)

w rozmowie z Jedem Clearlake'em

w programie *Przygody na żywo*,

zarejestrowanym (ale niewyemitowanym)

z okazji siódmej rocznicy emisji *Z miłości do Pallas Ril* JEZU, WEŹ SIĘ W KOŃCU ZAMKNIJ, DOBRZE? GDYBYM WIEDZIAŁ, ŻE DO

KOŃCA ŻYCIA BĘDĘ MUSIAŁ SŁUCHAĆ TWOJEGO PIEPRZENIA, DAŁBYM CI SIĘ ZABIĆ.

- CAINE

*OSTRZE TYSHALLE' A*

Pożegnał się tylko z końską wiedźmą.

W trzeszczący od mrozu poranek dosiadł Carillona i odjechał. Wiejący wśród drzew wiatr przygnębiał obietnicą śnieżycy. Nie zawracał sobie głowy zapinaniem narzuconego na skulone ramiona *serape*, zwłaszcza że, wspinając się pod górę, młody ogier buchał ciepłem. Godzinę od wioski znalazł gromadzące się u podnóża zębatej grani wiedźmie stado: konie dziesiątków różnych ras i odmian skubały rozrzucone wśród skał karłowate krzaczki.

Stado rozstało się wokół niego jak woda. Konie go rozpoznały. To dobrze.

90

Wiedźmie stado nie było z natury przyjazne ludziom, jak to czasem by-wa z rumakami żyjącymi na swobodzie. Te konie były naprawdę dzikie: uciekinierzy, cudownie ocaleni, zbiegli desperaci z bliznami po biczu i ostrogach na ciele i na mózgu, naznaczeni śladami wszystkich możliwych tortur,

jakie dwunogi są w stanie wymyślić. W pewnym sensie nawet go polubiły.

Konie nie zapominają. Nie potrafią. Pod tym względem też były do niego podobne.

A z nią były wręcz identyczne.

Carillon prychnął, kiedy jeździec ześliznął się z jego grzbietu. Mężczyzna bardzo się starał, żeby w każdym ruchu było widać, jak swobodnie przepływa przez niego energia. Końska wiedźma do dziś nabijała się z niego, że w ruchach jest kostropaty jak kot, a on potrzebował bardzo dużo czasu, żeby się przekonać, że wcale nie żartuje. Tyle tylko, że nie miała na myśli domowego kociaka.

Carillon skubnął skraj *serape*, potrząsnął głową i zastrzygł uszami w przeciwnych kierunkach. Rok chylił się ku końcowi i rumak miał gęstą, zimową sierść; nijak nie mógł zrozumieć tych żalonych ludzików, którzy upierali się przy dodatkowej ochronie przed kaprysmi pogody. Byli żało-

śni. Mężczyzna wygrzebał z kieszeni parę końskich orzechów, suszone owoce i inne przysmaki. Z powagą podsuwał je pojedynczo olbrzymiemu jabłkowitemu ogierowi, który z taką samą powagą je zjadał.

Ubranie mogło go śmieszyć, ale jedzenie - to co innego. A już słodczyce były po prostu zajebiste.

- Biegnij poszukać dziewczyny - powiedział mężczyzna, splawiając go ruchem głowy. - Zabaw się. Chociaż, ty jeden.

Na pożegnanie Carillon szturchnął go pyskiem w bark i potruchtął w stronę wysokiej i smukłej klaczy z jednym okiem i szarymi bliznami po oparzeniach pod pustym oczodołem. Bardzo się pilnował, żeby nie zejść jej od ślepej strony.

Mężczyzna stał i patrzył, jak ogier rozpoczyna ostrożne zaloty. Przypomnił mu się specjalnie wzmocniony boks w stajni przy dworku Faith w 91

Habracie. Gdyby Carillon nie uciekł stamtąd razem z Hawkwing i Phanto-mem, wychowywałby się w odosobnieniu. Nie nauczyłyby się obowiązuja-

nych w stadzie manier. W ogóle niewiele by wiedział - poza tym, że jest duży, silny i ma pykę jak kołek w płocie. Co najwyżej Kylassi, stajenny, pozwalałby mu czasem zgwałcić jakąś klaczkę albo dwie.

Tymczasem Kylassi umarł, a Carillon-uwodziciel swoją gracją i elegancją stylu zawstydziłby samego Casanovę. Klacz okręciła się w miejscu i zamarkowała wierzgnięcie, ale widząc błysk w jej oku i figlarny łuk szyi Carillon odskoczył... tylko po to, żeby zaraz znów do niej wystartować.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Chciałbym umieć tak sobie radzić z kobietami.

Końska wiedźma stała powyżej niego na zboczu wzgórza, ubrana w po-dróżny strój - skórzany kaftan

bez rękawów i długą skórzaną spódnicę z wysokim rozcięciem z przodu, które wyglądały na garbowane w starym dębowym pniaku. Powężłone od mięśni ręce miała całkiem odsłonięte, a jej długie i muskularne nogi przybrały kolor olejowanego dębu.

Nigdy nie marzła.

Przyklękła na jedno kolano obok kudłatego kuca, kasztanka, który opierał kopyto tylnej nogi na jej drugim kolanie. W spalonej na brąz silnej dłoni ścisnęła zakrzywione, ciemnoszare jak sadza ostrze. Potargane włosy

- ciemne z jaśniejszymi pasemkami - zasłaniały jej twarz i rozdzielały się na karku, w miejscu, gdzie spod kołnierza kaftana wyzierały koniuszki blizn od bicia, jasne jak kość słoniowa na tle śniadej skóry.

Poczuł mroczny ucisk w piersi, którego znaczenia nie zamierzał dociekać. Stał się mistrzem takiego wypierania faktów.

Jadąc tu, wiedział mniej więcej, o czym chce jej opowiedzieć: o swoich trudnych układach z Bogiem, o Czarnych Nożach, o duchach dręczących go od ćwierć wieku. Spodziewał się długiej rozmowy. Te kilka tygodni, które spędzili razem, wędrując z wiedźmim stadem po górach, płaskowyzach, wioskach na odludziu i faktoriach handlowych rozsianych po 92

Marchiach Harrakhy, nijak nie przygotowało jej na to, jak śmiertelnie - i jak szybko - może się skomplikować jego życie. Kurczę, nawet on sam nie był na to przygotowany.

Jednakże, im bardziej się do niej zbliżał, tym mniej miał dla niej słów.

Kiedy przed nią stanął, wykrztusił tylko:

- Odeszłaś.

Nie odwróciła się do niego. I tak nie mógł jej zaskoczyć - wiedziała wszystko to, co wiedziało stado.

- Ty też.

Szybkim ruchem dłoni podmieniła nóż na krótki pilnik i zaczęła piłować wewnętrzne powierzchnie kopyta kuca.

- Zechcesz mi powiedzieć, co masz na myśli?

- Czułam, że w nocy zniknąłeś. - Nadal na niego nie patrzyła. - Jak to możliwe, że stoisz tu teraz i rozmawiasz ze mną, kiedy już cię nie ma?

Z żelaznego nieba zaczęły opadać wirujące stalowoszare płatki.

- To nie tak.

- To dobrze.

- Naprawdę. Wcale nie odchodzę.

- To dobrze.

- Po prostu... Wiesz już o Bogu, Ma'elKocie, Domu i tak dalej... Miałem sen. - Przeształ z nogi na nogę. - Jeden z Jego snów. Czyichś.

- Czego On chce?

- Byłem Orbkiem. Ma kłopoty. Albo wkrótce będzie miał.

- To Bóg się teraz troszczy o Orbeka?

- Ni chuja. - Skrzyżował ręce na piersi, otulając się *serape*. Dygotał z zimna. - Orbek jest tylko... przynętą. - Wzruszył jednym ramieniem, rozluźnił mięśnie żuchwy. - Zakładnikiem.

Pracowała dalej.

- Mogłaś nie słyszeć o klanie Czarnych Noży. O tym, co zrobiłem.

- A to ma jakiś związek z tym, co zrobiłeś?

93

- Prawie na pewno. - Z wysiłkiem przełknął ślinę. Najeżona żyłkami pięść zaplątała mu się w bebeczach. - Tak. Z tym, co zrobiłem i czego nie zrobiłem.

- Czyli odchodzisz.

- Kiedy Bóg wzywa, potrafi mówić naprawdę głośno, skurwiel jeden.

- Jesteś pewien, że to On?

Rozłożył bezradnie ręce.

- A jest jakiś inny Bóg, który szarpie za mój łańcuch?

- O to właśnie pytam.

Lodowate muśnięcie wkradło mu się pod spodnie. Lodowate i kurewsko przerażające, jakby jakiś duch lizał go po jajach. Drapieżny duch.

- To nieważne. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, więc powtórzył:

- To nieważne. Muszę iść.

- Nie udawaj.

Przez chwilę dało się słyszeć tylko chrobotanie pilnika i zirytowane prychnięcia niecierpliwącego się kuca. Podniósł wzrok i spojrzął pod wiatr.

- Mam dług. - Nażyłtkowana pięść w jego trzewiach rozluźniła się i odpadła jak przegniły wisielec z szubienicy. - Nie tylko wobec Orbeka.

Muszę dokończyć sprawę.

- Sprawę.

Puste echo, jakby to jego własny głos wrócił do niego po odbiciu się od przeciwległej ściany wąwozu.

- Może to nie Dom mnie przyzywa... - Jeszcze ciaśniej otulił się szalem.

- Może to On myśli, że wyświadcza mi przysługę. Gdyby Czarne Noże miały się odrodzić...

Zimny chrobot pilnika.

- Nie mogę do tego dopuścić. Po prostu nie mogę. Nie zrobię tego ani dla Orbeka, ani dla nikogo innego.

- Mimo to, masz jakiś wybór.

Przeniósł wzrok na pobliskie skały, opuścił ręce i zagapił się na swoje dłonie.

94

- Mam.

- Więc?

- Tego wyboru dokonałem dawno temu.

Pochyliła się nieco niżej, przysuwając twarz do kopyta kuca, i zaczęła szlifować jego zewnętrzną powierzchnię. Kiedy tak milczała, czuł się jak kłamca.

- To... skomplikowane - wykrztusił po chwili.

- Jak zawsze w twoim przypadku - odpowiedziała mu zza kurtyny włosów.

- Fakt.

- To okropne życie, być umiłowanym przez Boga.

Znów zapatrzył się w przydymioną śniegiem dal.

- Zależy od boga.

- Czyżby?

- Jezu, mam nadzieję, że tak.

Powiódł wzrokiem w górę zębatej grani, w stronę wierzchołka, który swoim tępo-ostrym kształtem przypominał łyżko-widelec pokryty zszarza-

łym ubiegłorocznym śniegiem. Nie znał jego nazwy. W ogóle nie znał

nazw tutejszych gór i przełęczy. Ani otwierających się pod nimi dolin. Jej obecność utrudniała mu zapamiętywanie nazw. Nazwy to tylko słowa przypisywane rzeczom przez ludzi.

Jej imienia też nie znał. Powiedziała mu kiedyś, że nigdy nie miała imienia, a w rozmowach z nim nie używała żadnego z jego imion. Zapytał

ją kiedyś o to. Zbyła go wzruszeniem ramion.

W ogóle mało mówiła.

W końcu ją rozgryzł. Trochę to trwało, w niektórych sprawach bywał

niezbyt bystry. Konie nie zawracają sobie głowy abstrakcjami. Nie stosują ich. Ona znała jego, on ją... Imiona to maski. Przeszkadzają.

Tak jak jego imiona przeszkadzały mu przez te wszystkie lata.

Nazywała go tylko przezwiskami, zwykle wykpiwającymi jego co bardziej głupkowate pozy - a miał ich niemało. Ot, taka pozostałość po karierze aktorskiej. Czasem nazywała go twardzielem, kiedy indziej królem 95

wilków, najczęściej jednak, jeśli w ogóle potrzebowała dla niego jakiegoś miana, wybierała „osła”. Nie przeszkadzało mu to. Zwłaszcza że zwykle na to zasługiwał.

Kiedy się na niego złościła, nazywała go zabójcą. Nie powiedział jej, że tak samo mówił do niego ojciec. Dawno temu. W innym życiu. W innym wszechświecie.

Spojrzał na długą, szlachetną krzywizną jej szyi rozcinającą kaskadę włosów, w których połyskiwały miodowe nuty. Przez sekundę całe jego ciało zawibrowało jak naciągnięta do granic możliwości struna harfy.

Nie pozwolił sobie jej dotknąć.

- A ty? - zapytał w końcu. - Dokąd się wybierasz?

Jedno jej ramię, to bliższe niemu, uniosło się na grubość ostrza noża -

cień wzruszenia ramion, którym jakimś cudem ogarnęła całe stado, góry i niebo. I jego.

- Idzie zima.

To dlatego tak niewiele mówiła. Nie musiała.

- Fakt. - Spojrzał w głąb szarej jak stal zamieci. Wiatr się wzmógł, płatki kłuły boleśnie w oczy. - Ja ruszam w przeciwnym kierunku.

Ostatnie parę razy przeszorowała pilnikiem po kopycie kuca i puściła jego nogę. Wyciągnęła rękę. Kuc przeniósł ciężar ciała na świeżo opiłowane kopyto, a ona wzięła do ręki jego drugą nogę.

- Chodzi o koniec świata.

- Niewykluczone. - Spojrzał na swoje dłonie. - Orbek najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia.

- Jest bardzo młody.

- To prawda.

- Wiesz, świat wcale się nie skończył. Zmienił się, i to nie na lepsze, ale się nie skończył.

- Bez Porozumienia z Pirichanthe... Zrozum, Deomachia trwa po dziś dzień. Jedynym osiągnięciem Jhantho był pięćsetletni rozejm.

- A tobie się wydaje, że możesz coś na to zaradzić? Na to, na Orbeka...

- Życie mnie czasem zaskakuje.

96

- Nie lubisz niespodzianek. - Wciąż na niego nie patrzyła. - Dokąd?

- Na drugą stronę gór, na północ od Ciernistej Rozpadliny. Na pustkowie Boedecken bastion Khrylian. Nazwali je Polem Bitwy.

Bardziej poczuł niż zobaczył, że pokiwała głową.

- Nie powiedziałaś jeszcze, co cię tu sprowadza.

Wzruszył ramionami.

- Wracając w doliny, stado musi minąć Harrakhę. Miałem nadzieję, że mogłabyś zajrzeć do dworu i pożegnać Faith ode mnie...

Kuc wyrwał nogę z jej uścisku, wierzgnął i odbiegł. Nóż wystrzelił jak z procy i zaklekotał na kamieniu dwie stopy w bok od miejsca, w którym stał

mężczyzna. Chybił jego nogi o cal.

Niespełna o cal.

Po tym poznał, że jej na nim zależy. Nie chybiała przez przypadek.

Skrzyżowała ręce na piersi, jakby w końcu i ona zaczęła marznąć, po czym wyprostowała się sztywno i zaczęła się oddalać.

- Ej! - zawołał, ruszając za nią. - Zaczekaj, nie...

- Jak ja cię dziś nazwałam? Bo raczej nie osłem. - Jej głos był zimniejszy od lodowatego wiatru. - Osioł przynajmniej jest do czegoś przydatny.

- Ej no, przestań, do diabła! Stój. - Sugestia, nic więcej. Tak jak on, nie lubiła słuchać niczyich rozkazów. - Myślisz, że mnie jest łatwo?

- Uwielbiasz się żegnać, zabójco. Dowidzenia to twoje drugie imię.

Stanął jak wryty. Zabolało, ale nie próbował się odgryźć. Najlepszą jego ripostę rozsmarowałyby na skałach.

- Nie odchodzę na zawsze.

Wciągnęła głowę w ramiona.

- Wszystko jest na zawsze, dopóki się nie skończy.

Przemyśliwał jej słowa przez sekundę, dwie, trzy i kolejne...

- Tego właśnie chciałeś? - mruknęła pod adresem porośniętego paprocią rumowiska w dole. - Chciałeś, żebym okazała się... dostatecznie ludzka, by...

97

- Nie. Nie mów tak, to nie o to...

- A może chciałeś, żebym była małostkowa jak twoja nieżyjąca Rzeczna Zdzira? Żebym powiedziała „nie idź”? Kazała wybierać „on albo Ja”? Albo

„On albo Ja”?

Jakby dźgnęła go igłą. Igłą do końskich zastrzyków. Bo wcale nie był

przekonany, że ona nie ma racji. Jezusie, umiała dziabnąć tak, żeby zabola-

ło...

Uniosła głowę.

- Mam wybierać między tobą i stadem?

- To głupie pytanie - odparł stanowczo, zadowolony z powrotu na twardey grunt.

- To prawda - przyznała.

Zaczął się uśmiechać.

- Ale to nie przestaje boleć - dodała. - A ja nie przestaję się bać.

- Rozmawiaj ze mną. - Czarny ból w piersi kazał mu rozluźnić pięści. -

Powiedz, co mam zrobić, żeby było lepiej.

Jej ramiona uniosły się o pół cala.

- Weź mnie ze sobą.

Parsknął śmiechem.

- Taaa, jasne...

Dopiero po chwili zorientował się, że nie śmieje się razem z nim. Nagle przestało go to bawić. Zupełnie.

- Porąbało cię?!

Dalej patrzyła w dół zbocza. Spojrzał w tę samą stronę. Carillonowi też się nie poszczęściło.

- Tłumaczyłem ci, że tam, gdzie jest Caine, zawsze wszystko się pierdoli. Wiesz coś o wojnie w Faltane?

- Więcej, niżbym chciała.

- Teraz będzie gorzej. Ci przekłęci Rycerze Khryła są... Słyszałaś w ogóle o Rycerzach Khryła? Widziałaś ich kiedyś po tej stronie gór?

Odwróciła się i spojrzała na niebo. Śnieg oblepiał jasne pasemka w jej włosach.

98

- To nie są jakieś tępe trepy zakute w stal. Już khryliańscy strażnicy to najlepsi żołnierze na świecie, a przy Rycerzach są zwykłymi żołnierzami. Rycerze Khryła są kapłanami lipkeńskiego boga walki wręcz. Tylko trzech Aktorów w historii zagrało Rycerzy Khryła. Jednym z nich był niejaki Raymond Story. Jego bohater nazywał się Jhubbar Tekkanal. Tamci przezwali go Rycerzem Diabła, a my Młotem Dal'Kannitha. Słyszałaś mo-

że o nim? Zabił Sha-Rikkintaera. Zajął mu to trzy dni. Przez trzy dni non stop bił się ze smokiem i wygrał. W pojedynkę. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

- *Aktiri...* - mruknęła znudzonym tonem.

- Nic nie rozumiesz. Nie mogę z nimi walczyć. Nikt nie może.

- Nie można ich zabić?

- No... nie, to nie tak. Po prostu nie da się z nimi walczyć. - Machnął ręką, roztrzaskując płatki śniegu. - Nie w tym rzecz.

- Wiem.

- Nie będę cię mógł tam chronić...

- Tu też mnie nie chronisz.

Ugryzł się w język.

- Nie chcę patrzeć, jak umierasz.

Zapatrzyła się na ośnieżone zbocze odległego szczytu.

- Cały czas umieram.

- To już przerabialiśmy.

- W takim razie musisz się zdecydować, czego chcesz.

Jezus, Maria... Jak on nienawidził, kiedy ludzie wyjeżdżali mu z takimi tekstami.

- Powiedz mi, do kurwy nędzy, że nie zostałam cainistką. Proszę.

- To zależy. Brzmi jak „kajdanistka”. Chciałbyś tego?

Nie był w stanie się roześmiać nawet z uprzejmości. Po prostu trochę poddał się bólowi w piersi.

Jedną ręką puścił *serape* i położył dłoń na napiętych mięśniach jej barku, twardych jak kość. Okręciła się na pięcie jak spłoszona klacz i przez ułamek sekundy bał się, że mu przyładuje, ale tylko przytuliła się do jego 99

piersi i wcisnęła twarz w zgięcie szyi. Policzki miała lodowate jak od marznącej mżawki. Dopiero wtedy zrozumiał, a przynajmniej tak mu się wydawało. Wiedział już, dlaczego nie chciała pokazać mu twarzy.

Coś w nim pękło.

Objął ją i otulił *serape* jak kocem. Wtulił twarz w targaną wichurą po-wódź jej włosów. Poczul woń koni, osiki, lodu i wysokich gór.

Drżała.

- Dobrze - szepnął w jej włosy. Te słowa zżerały go żywcem, ale milczenie by go zabiło. - Pójdiesz ze mną.

Jej drżenie przeszło w dygotanie. Potężne westchnienie nappełniło i opróżniło pierś.

- Nie, dzięki.

- Co takiego?

- Nie lubię miast.

- Zaraz, do cholery...

Uniosła głowę, tylko odrobinę, w sam raz, żeby w burzy włosów mignął mu rąbek podstępного uśmiechu.

- Dziewczyna lubi, kiedy ją proszą, ośle.

Nie odpowiedział. Bał się, że kretyńska jakanina w głowie przesaczy mu się przez usta. Tymczasem ona znów zaczęła drzeć i wtuliła się w niego

- ale tym razem to był inny rodzaj dreszczy.

- Tak cię... - Nie bardzo mogła mówić, tak się śmiała. - Tak cię łatwo...

W końcu i on parsknął śmiechem.

- Jesteś wyjątkowo wrednym człowiekiem - powiedział.

- Jestem końską wiedźmą.

- Pamiętam.

- To dlaczego wciąż muszę ci o tym przypominać?

- Fakt. - Uśmiechnął się i poddał. - Masz rację, osioł ze mnie.

- Nie zapominaj - mruknęła mu w szyję - że nie stajesz się coraz młodszy, twardzielu...

Jego uśmiech rozkwitł jak kwiat. Pierwszy raz, kiedy tak do niego powiedziała... Gdzie wtedy byli, czego nie miała na sobie, i do czego go 100

namówiła, nie używając dalszych słów...? Mało brakowało, żeby zapytał, czy też pamięta. Ale nie, nie musiał. Ona nigdy nie zapomniała. Niczego.

- Prawie odszedłem dziś rano.

Uniósł głowę, odsunął twarz od jej włosów. Jej ulubiona klacz, srokata i pełna gracji, skubała nieopodal krzak wyrastający ze skalnej rozpadliny.

Gdzieś z dołu dobiegł kwik wesołej irytacji, a potem prychanie i parskanie, których charakteru nie dało się rozeznaczyć w gęstniejącej zawiei. Kopyta zadudniły na miękkim i twardym gruncie.

Czuł na swojej piersi bicie jej serca.

- Naprawdę miałem taki zamiar. Wiesz, po prostu odejść. Pomyślałem, że skoro zniknęłaś tak nagle, bez słowa, to na pewno miałaś swoje powody.

W odpowiedzi tylko mocniej go objęła.

- Ale... - Pokręcił głową i westchnął ciężko. - Nie mogłem. Po prostu nie mogłem odejść, nie spotkawszy się z tobą. Nie spojrzawszy ci jeszcze raz w oczy.

- W które dokładnie? - zachichotała.

Ujął ją pod brodę i odgarnął wilgotne od śniegu włosy ze zmarszczek wyżłobionych na wydatnych kościach policzkowych przez słońce, wiatr i ból. Pocałował jasną bliznę ściągającą kącik ust w dół, ku łagodnie zarysowanej zuchwie. Spojrzała na niego najpierw prawym okiem, tak jak robi-

ła to najczęściej - brązowym, ciepłym i błyszczącym jak u sarny, a potem lewym - okiem wiedźmy, szarobłękitnym i zimnym jak lód w środku zimy, jakby chciała się upewnić, że obojgiem widzi tego samego człowieka.

- W każde z osobna. W oba naraz. Wszystko mi jedno. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie ma w tobie nic, czego bym...

Jej dłonie zdążyły się już tymczasem przemieścić: jedna spoczęła na jego karku, druga na krzywiźnie pośladka. Przyciągnęła go do siebie i przywarła ustami od jego ust. Jej ciało bez słów porozumiało się z jego ciałem.

Na jakiś czas góra stała się ich łóżem, niebo kocem, a śnieg przestał istnieć.

Ale tylko na jakiś czas. Wiedźmie stado musiało zimować w dolinach 101

leżących na południu i zachodzie, a ona była tym, kim była. Na północy i wschodzie szykowały się kłopoty, a on był tym, kim był.

Ona odjechała konno. Od odszedł.

Odwrócił się, ale tylko w duchu. Schodził na Boedecken, gdzie zastanie Czarne Noże. Nie mógł nic ze sobą zabrać.

Wszystko jest na zawsze, dopóki się nie skończy.

**BEZCZASOWA**

**TERAŹNIEJSZOŚĆ 3**

# TO SKOMPLIKOWANE

CZY TO POPIERDOLENIE SIĘ KIEDYŚ SKOŃCZY?

- JONATHAN FIST

*HISTORIA WOJNY W FALTANE (DODATEK)*

- Nadążasz?

Duncan otwiera oczy.

- Trochę to wszystko niespodziewane, ale klarowne.

- To dobrze. Bardzo dobrze. - Caine prawie się uśmiecha. Prawie. - Ja tylko... Więc tak: to wszystko są rzeczy, które chcę, żeby się wydarzyły.

Mam nadzieję, że tak właśnie się to skończy.

- Chodzi o tę „końską wiedźmę”, z którą się... spotykasz?

- Głównie.

Duncan wspomina, jakie to uczucie, kochać kogoś, kto nie jest martwy.

- Wydaje się sympatyczna.

- Dziękuję.

103

Niewiele brakuje, żeby poskoczył na dźwięk jej głosu. Dopiero teraz uświadamia sobie, że nie są z Caine'em sami.

- Ehm... Witaj.

- Witaj.

Siedzi na ziemi z drugiej strony Duncana, naprzeciw Caine'a. Nogi ma podkulone, ręce zwiesza swobodnie - dokładnie tak samo wyglądała w tej wizji. Ten sam skórzany kaftan bez rękawów. Ta sama kowalska spódnica.

Te same włosy.

Te same oczy.

- Cieszę się, że tu jesteś - odzywa się Caine.

Uśmiech, który kieruje ku niemu ponad mieczem, mówi więcej niż sło-wa.

- Przypomniałaś sobie coś, co powinienem wiedzieć?

Wzruszenie ramion.

- Przypomniałam sobie, co się stanie, jeśli się nie zjawię.

- No i?

- No i jestem.

Z leciutkim marszem na czole Duncan uświadamia sobie, że choć on sam leży na śniegu, to ona siedzi na trawie - wątłej, bladej, lecz bez wątpienia żywej. Tu i ówdzie pierwsze krokusy przebiły pokrywę śnieżną. Kobieta zrywa kilka i wsuwa sobie we włosy.

- Masz moc - mówi Duncan.

- Każdy ją ma.

Duncan zastanawia się nad jej słowami, gdy wtem kwiaty w jej włosach chwytają go za serce jak zaciśnięta pięść i wszystko staje się jasne.

Davia uwielbiała wyprawy do Nadświata bardziej niż on - i zawsze upierała się, żeby nosić kwiaty we włosach. Na Ziemi kwiaty były niedorzecznie kosztownym kaprysem.

- Jesteś aktualną kochanką mojego syna... to znaczy, Caine'a?

- O nim mówisz? - pyta kobieta, śląc kolejny uśmiech ponad mieczem. -

Więcej niż aktualną.

104

- Więcej niż...? - Widzi grymas na twarzy Caine'a. - Nic nie mów. To skomplikowane, tak?

- Nawet nie wiedziałbym, jak zacząć - przyznaje Caine.

- A co z tą... Rzeczną Zdzirą?

- Tak nazywa Shannę, kiedy chce mnie zdenerwować.

- To działa - zauważa z powagą końska wiedźma. - Nie lubi, jak mu się przypomina, że ona nie jest bynajmniej miłą osobą.

- Jak to nie jest? - Duncan patrzy na Caine'a. - Mówiłeś...

- Jest jedną z osób, które mogą się tu zjawić. Jeśli tak się stanie, pamię-

taj, że to nie jest Shanna. To aspekt Chambarai, elKothańska bogini dzikiej natury. Nie jest moim sprzymierzeńcem. W żadnym wypadku.

- A Faith...

- Też jest kimś innym, ale przynajmniej stoi po mojej stronie. Zazwyczaj. Nieważne, zapomnij o nich. Nie chodzi o nie.

Duncan przeciera oczy.

- Skąd mam wiedzieć, co jest ważne, a co nie?

- On ci powie - wtrąca końska wiedźma. - Lubi to.

- Nie ułatwiasz.

Duncan zaciska mocno powieki i bardzo się stara zapomnieć o tym, czego sam chciałby się dowiedzieć, ponieważ tu i teraz najważniejsze jest to, co Caine chce mu pokazać.

- A ten Orbek, o którym mówiłeś... to znaczy, on mówił... To przyjaciel?

- Więcej. Jest dla mnie bratem, którego nigdy nie miałem.

- Jest dla ciebie jak brat, którego nigdy nie miałeś.

- Nie tak powiedziałem. - Caine zbywa Duncana machnięciem ręki. -

Sam zobaczysz. To ogrillo.

- Tak jak Czarne Noże?

- Bardziej.

- Zaczekaj... - Duncan z niedowierzaniem unosi głowę. - Ten brat, po którego wróciłeś na Boedecken... po którego przyszedłeś tutaj, żeby go ocalić... był Czarnym Nożem?!

105

- Owszem. Powiedziałbym, że to ironia losu, gdyby było w tym coś iro-nicznego.

- Wróciłeś do miejsca, w którym własnoręcznie wymordowałeś całą na-cję Czarnych Noży, żeby ocalić swojego brata, który sam jest Czarnym Nożem. Naprawdę nie dostrzegasz w tym ironii?

- Nie, bo nie wróciłem tam po to, żeby go ocalić.

- To co się stało?

Caine wzrusza ramionami.

- Przekonamy się, ale najpierw musisz zobaczyć inny syf.

- A nie mówiłam? - triumfuje końska wiedźma.

**KONIEC POCZĄTKU 2**

# DYMANY PRZEZ BOGA

PROBLEM ZE SZCZĘŚLIWYMI ZAKOŃCZENIAMI POLEGA NA TYM, ŻE TAK  
NAPRAWDĘ NIC SIĘ NIE KOŃCZY.

- RZEM. TAN'ELKOTH

(DAWNIEJ MA'ELKOTH, PIERWSZY CESARZ ANKHANY  
I PATRIARCHA KOŚCIOŁA ELKOTHAŃSKIEGO)

*OSTRZE TYSHALLE' A*

Klasztorna ambasada na wyspie Starego Miasta w sercu Ankhany, poło-

żona dosłownie w zasięgu strzału z łuku od pałacu Colhari, od czasów hor-dy Khulana była uznawana za placówkę niezwykle niebezpieczną. Stała się miejscem jeszcze bardziej niebezpiecznym, gdy klasztorny zabójca został

wplątany w morderstwo księcia regenta Toa-Phelathona. Podczas Wojen o Sukcesję Klasztorzy utrzymywały chwiejne pozory neutralności, lecz zachowanie niektórych zakonników-renegatów podczas najazdu Artan (zna-nego dziś pod nazwą Masakry w Dniu Wniebowstąpienia) stanowiło dla konkurencyjnych mocarstw dowód, że w praktyce stały się częścią Cesarstwa Ankhańskiego i współpracują z Bożymi Oczami w gromadzeniu 107

informacji wywiadowczych i prowadzeniu tajnych operacji.

Z tego powodu ambasada stała się kuszącym celem zarówno dla rywali cesarstwa, jak i dla wrogów samych Klasztorów. Powszechnie było przekonanie, że klasztorny ambasador przy Dworze Nieskończoności, choć teoretycznie podległy rozkazom Rady Braci, w rzeczywistości działa na własną rękę, a dysponując praktycznie nieograniczoną władzą nad wszystkimi wysłannikami Klasztorów na kontynencie, w bezczelny sposób sprzyja interesom cesarstwa.

W przeciwieństwie do wielu powszechnie panujących przekonań, to akurat było całkowicie zgodne z prawdą.

Dlatego też ambasada Klasztorów w Ankhanie należała do najsilniej bronionych placówek na świecie. Dysponowała nie tylko oszałamiającą kolekcją artańskiej broni i aparatury monitorująco-zabezpieczającej odzyskanej ze szczątków sił inwazyjnych, lecz także szerokim wachlarzem mechanizmów antymagijnych, skutecznie uniemożliwiających szpiegostwo taumaturgiczne we wszelkich jego formach i przejawach. W strukturach obronnych niepoślednią rolę odgrywali Wędrowni Bracia, świetnie wy-szkoleni zakonnicy wyspecjalizowani w działaniach kontrwywiadowczych, którzy w dzień i w nocy, bez przerwy, patrolowali wszystkie korytarze i komnaty ambasady.

Zabezpieczenia cieszyły się tak wysoką skutecznością, że kiedy patrolujący piętro gmachu Wędrowni Bracia znaleźli w jednym z korytarzy dwoje swoich towarzyszy (mężczyzna leżał na podłodze związany, zakneblowany i najprawdopodobniej nieprzytomny, kobieta zaś, choć również zakneblowana, była przytomna: stała ze związanymi rękami i pełniła rolę całkiem skutecznej żywej tarczy dla stojącego za nią mężczyzny w średnim wieku, który jedną zgiętą w łokciu ręką przytrzymał ją za szyję, przystawiwszy jej do gardła mały nożyk z matowoczarным ostrzem, w drugiej zaś, wyprostowanej, trzymał olbrzymi pistolet, równie czarny i równie matowy, z którego mierzył do nowo przybyłych), w pierwszej chwili nie zrozumieli, co się dzieje. Zamiast więc ogłosić alarm, przez sekundę lub dwie po 108

prostu stali nieruchomo i gapili się na całą scenę. Następną sekundę zajęło im dobyte broni i odskoczenie pod przeciwne ściany korytarza, żeby męż-

czyzna w średnim wieku nie mógł mieć ich obu na muszce.

W tym krótkim czasie mężczyzna zdążył przemówić:

- Jestem Obywatelą Ludzkości i Sługą Przyszłości. Nie złamałem ani przysięgi, ani prawa. Żądam azylu, który przysługuje mi z mocy prawa i obyczaju.

Bracia spojrzeli po sobie posępnie, po czym jak jeden mąż zwrócili na-chmurzone oblicza w stronę intruza.

- Ubiegając się o azyl, musisz podać swoje imię i nazwę opactwa - wytknął mu jeden.

- To mi się, kurwa, prymus trafił... - mruknął mężczyzna w średnim wieku. - Powiedziałem to tylko po to, żeby dać wam czas do namysłu, zanim zrobicie coś głupiego. Muszę się spotkać z Raithem. A on ze mną. W

cztery oczy. Poszedłbym do niego sam, ale wzmocniliście ochronę, a ja wolałbym nikogo nie zabijać po drodze.

Wędrowni Bracia wzięli go na cel.

- Od północy do świtu ambasador przy Dworze Nieskończoności raczej nie przyjmuje gości.

Mężczyzna zmrużył oczy, otaksował broń w ich rękach - była drewniana, inkrustowana szlachetnym metalem i skrzyła się mocą - i wzruszył ramionami.

- Nie jesteście Ukochanymi Dziećmi, co, chłopaki?

- Jakie znaczenie ma tu nasza wiara?

- Żadnego. Idźcie po Raith'e'a, nim zacznę zabijać.

Młodszy z braci ścisnął mocniej broń i wycelował.

- Nie zdążysz...

- No, bez jaj, młody, proszę cię... Fajnego masz gnata, wiem, takie same zabrałem twoim kolegom. Umiem się z nimi obchodzić, ale to nie one są najgroźniejsze. - Mężczyzna skinął głową o centymetr w prawo. - Jak my-

ślisz, co to jest?

Zakonnicy znów spojrzeli po sobie.

109

- Jeśli będę musiał się tu bronić, poleje się krew. Idź po Raithe'a, młody.

Obudź go i powiedz, że Hari chce się z nim widzieć. Posłucha cię.

- Hari? - Mnich zmarszczył brwi, jakby podejrzewał, że ktoś robi go w konia. - Z jakiego opactwa? Z jakiego kraju?

- Hari z opactwa Rób-co-ci-mówię w kraju I-stul-dziób. - Mężczyzna ruchem pistoletu wskazał drugiego z braciszków. - A ty wyświadczyć przysługę wszystkim swoim kumplom i nikogo tu nie wpuszczaj. Tych dwoje dotrzyma mi towarzystwa do czasu, aż rozstaniemy się w dobrych humo-rach. Co wy na to?

Jeszcze jedna wymiana spojrzeń.

- A jeśli mówi prawdę? - spytał jeden z zakonników.

Drugi pokręcił głową.

- Nie mamy tego jak sprawdzić.

- Ależ macie. - Mężczyzna w średnim wieku nie tracił cierpliwości. -

Powiedzcie Raithe'owi, że tu jestem. Niech on zdecyduje, czy chce ze mną pogawędzić, czy woli mnie zabić.

*Już zdecydowałem.*

Głos - cichy, niemal łagodny, zarazem miarowy i precyzyjny - rozległ

się w powietrzu nad lewym ramieniem intruza, który wzdrygnął się, znieruchomiał i wycedził przez zęby:

- Za którymś razem nie wytrzymam i zacznę strzelać.

*U ciebie wszystko w porządku, jak mniemam.*

- Nie jesteś zaskoczony moim przybyciem.

*Wyznaję zasadę: spodziewaj się najlepszego, ale bądź przygotowany na najgorsze. Dlatego nigdy nie jestem zaskoczony twoją wizytą.*

- Ha, ha, ha, to się uśmialiśmy. Posłuchaj, Raithe, mamy mało czasu.

*My?*

- My wszyscy. Cały świat.

*To brzmi dziwnie znajomo.*

- Nie proszę o wiele: jedna mała przysługa i zniknę. Prawdopodobnie na zawsze.

Cisza. A potem:

110

*Musisz mieć niezwykle ważny powód, dla którego prosisz o pomoc właśnie mnie, a nie swoich... bardziej przyjaznych sojuszników.*

- Łatwo to sprawdzić.

W końcu:

*Relien zaprowadzi cię do moich komnat. Puść Tamal, zaopiekuje się Ra-stlinem. Ansen usunie wam z drogi potencjalnych świadków.*

- Nie pożałujesz.

*Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać.*

\*\*\*

Raithe z Ankhany, ambasador Klasztorów przy Dworze Nieskończono-

ści, przyjął gościa w dużym gabinecie sąsiadującym z jego prywatnymi apartamentami. Wstał, ale nie wyciągnął ręki na powitanie. Podczas poprzedniej wizyty w tym gabinecie dzisiejszy gość ambasadora zamordował

jego poprzednika.

Ambasador był mężczyzną średniego wzrostu. Jego surowa, ascetyczna powierzchowność, z jaką obejmował urząd, z czasem złagodniała, padłszy ofiarą dyplomatycznych obowiązków, a zwłaszcza oficjalnych kolacji.

Włosy, które nigdy nie były przesadnie gęste, ostatnio zrzedły mu tak bardzo, że nie było sensu dłużej się nimi przejmować: od tej pory golił głowę na zero, odsłaniając połyskliwą powierzchnię w kolorze wyprawionej ba-wolej skóry. Tylko oczy się nie zmieniły - pozostały jasne jak zimowe niebo, a przy tym bystre i skoncentrowane. Pasowałyby do orła, u człowieka zaś przyprawiły o gęsią skórkę.

Jego gość również zmienił się przez te trzy lata, kiedy się nie widzieli.

Włosy i broda stały się szpakowate, skóra pociemniała, a na twarzy pojawi-

ły się całe dekady zmarszczek, przez co kolorem i fakturą upodobniła się do starego siodła. Wielowarstwowy strój skrywał (z czego Raithe świetnie zdawał sobie sprawę) różną broń, w tym zapewne zabawki bardziej śmiertelne od zatkniętego za pas olbrzymiego pistoletu - ale Raithe zupełnie się tym nie przejmował. Prawdziwą broń ten człowiek skrywał w głowie.

111

Na ironię zakrawał fakt, że on, Raithe, cieszący się zasłużoną sławą człowieka, który siłą woli zniewala, oślepia, a nawet zabija na miejscu, nie był w tej chwili posiadaczem najniebezpieczniejszego umysłu w tym gabinecie.

- Jak ręka?

- Boli. - Raithe uniósł lewą rękę i z lekkim niesmakiem spojrzał na ciemną plamę rozlewającą się po okrywających dłoń bandażach. - Przez ponad dwa lata wystarczało odnawiać opatrunek co dwa, trzy dni; po prostu dokładałem nową warstwę gazy i bandaża, kiedy ta wewnętrzna została strawiona. Ale ostatnio muszę ją opatrywać po trzy, cztery razy dziennie...

po czym nad ranem, jeszcze po ciemku, muszę to zrobić jeszcze raz, żeby jakiś przeciek nie podpalił mi łóżka.

- Teraz rozumiem, dlaczego się mnie spodziewałeś.

- To nie tylko to. Dzieją się... różne rzeczy. Subtelne gesty polityczne, małe demonstracje siły; wszystko to układa materię rzeczy we wzór, o któ-

rym wiadomo, że cię... zainteresuje.

- Dawno już nie słyszałem, żeby ktoś w jednym zdaniu połączył jakąś subtelność z moją osobą. - Mężczyzna machnął ręką, z irytacją obejmując tym gestem cały pokój. - Kurna, spójrz na to miejsce. Nawet dywanu nie zmieniłeś.

- Stałeś na nim, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - przytaknął Raithe. - Dziesięć lat temu. Kiedy zamordowałeś człowieka, który był dla mnie ojcem bardziej niż mój prawdziwy ojciec.

- Zrobiłem wiele rzeczy, których dziś żałuję. - Beznamiętny ton przyby-sza nie pozwalał stwierdzić, czy zalicza do nich także to zabójstwo. Ruchem głowy wskazał zajmujący pół pokoju olbrzymi,

poharatany stół do pisania. - Wiesz, że to nawet nie jest biurko Creele'a, tylko jeszcze Darthel-na?

- Stanowi własność ambasady - odparł z niewzruszoną precyzją Raithe.

- Jak chcesz. Musimy się spierać? Już sama obecność tutaj działa mi na nerwy.

112

- Spotkaliśmy się tutaj, ponieważ moim zdaniem obu nam dobrze zrobi przypomnienie... hmm... kontekstu naszej znajomości.

- Nie pieprz mi tu o kontekście. Ja ci nie wypominam, że zamordowałeś mi żonę.

- Właśnie wypomniałeś.

- Kurwa, Raithe, nie możemy poczekać z tym punktowaniem się nawzajem do czasu, aż ocalimy świat?

- Ależ tak, naturalnie. Przepraszam. - Raithe z westchnieniem usadowił

się w skórzanym fotelu. - Spałem, kiedy przyszedłeś. Ostatnio każda moja noc to jeden wielki marsz przez kolejne koszmary senne. Dlatego wybac mi, proszę, że zachowałem się nieco... irracjonalnie.

- Nie potrzebujesz mojego wybaczenia. Ja tylko... - Gość przygarbił się i przetarł oczy. Nagle wydał się bardzo, bardzo stary i pokonany przez zmęczenie. - Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Proszę.

Raithe stwierdził, że i jego oczy pieką ze znużenia.

- Chodzi o Dzień Wniebowstąpienia.

- To jakaś tajemnica?

- Nie. Pomału uczymy się, że wszystko ma jakiś związek z Dniem Prawdziwego Wniebowstąpienia. Powiedz mi jeszcze, jak mam się do ciebie zwracać? Imię Hari... budzi gorzkie echa. Co się zaś tyczy twojego drugiego, sławniejszego imienia... Wzdragam się przed wypowiedzeniem go na głos, żeby nie obudzić w ten sposób jakichś złych sił.

- Gdybym chciał cię nastraszyć, i to tak, że zesrałbyś się w gacie, powiedziałbym ci po prostu, że masz sto procent racji. - Przybysz przysunął

sobie krzesło i usiadł na nim, krzywiąc się z bólu. - Ostatnio używam imienia Jonathan Fist.

- Naturalnie. Przypadło ci do gustu?

- To taki hermetyczny żarcik. - Fist wzruszył ramionami i odwrócił

wzrok. - To postać z ziemskiej... to znaczy, artańskiej legendy. Facet zawarł umowę, z której nie mógł się wyplątać.

113

- Pamiętam, że my dwaj też kiedyś zawarliśmy umowę.

- Dostałeś to, za co zapłaciłeś.

- Nie spodziewałem się, że cena może być tak... bolesna.

- Nikt się tego nie spodziewa. - Fist zbył dalsze rozważania machnię-

ciem ręki. - Sprawa wygląda następująco. Większość wiosny spędziłem na południu, kursując do hrabstwa Faltane i z powrotem.

- Znam raporty. Tak jak i treść twojej rozmowy w ambasadzie w Ciernistej Rozpadlinie.

Stary ból przeorał twarz gościa.

- Jakżeby inaczej...

Raithe pozwolił sobie na ciche, niewesołe parsknięcie śmiechem.

- Aż tak odciąłeś się od Klasztorów, że zapomniałeś, kim jesteśmy?

- Niezupełnie. Po prostu myślałem.. No, myślałem, że moja historia się skończyła. Powoli oswajałem się z myślą, że nie jestem nikim wyjątkowym.

- Po czym wylądowałeś tutaj. Włamujesz się do najlepiej strzeżonego budynku na tej półkuli, grozisz ochroniarzom obcą bronią i opowiadasz o końcu świata.

- Następny pierdolony Armagedon. Powinniśmy się przyzwyczać.

Raithe uśmiechnął się półgębkiem.

- Jak mawia twój przyjaciel J'Than: wyniki z przeszłości nie gwarantują wyników w przyszłości.

Jonathan Fist odpowiedział smętnym spojrzeniem.

- Znasz raporty na mój temat, więc jesteś pewnie na bieżąco z projektem naszego starego dobrego znajomego Damona. To jego oczko w głowie.

Raithe skamieniał.

- Skąd o nim wiesz?

- Jeśli obaj przeżyjemy, to ci opowiem. Czy to prawda?

Raithe się nie poruszył. Nawet nie mrugnął.

- Co rozumiesz przez „prawdę”? - spytał.

- No, to wszystko wyjaśnia. W porządku, słuchaj. Czytałeś oryginał mojej *Historii złamania Czarnych Noży*?

114

- Naturalnie.

- Pamiętasz tę noc, kiedy im uciekłem? Niedługo przedtem Pretornio eksplodował, a główna suka, Shaikkak Nerutch'khaitan... walczyłem z nią pod krzyżem, uderzyła mnie, ja zablokowałem cios gwoździem i jej dłoń eksplodowała...

- Pamiętam. Napisałeś wtedy, że połączyła was Zewnętrzna Moc. I dowiedziałeś się, gdzie znajduje się Łza Panchasella.

- Mniej więcej tak to było, ale to nie wszystko... To tylko skrawek.

- Wiem. Jej imię oraz imiona...

- Nie. - Fist pochylił się na krześle. Już nie wyglądał staro. - Ona... była niczym. Nie liczyła się bardziej niż ziarnko piasku. Ale ta Moc... Ona mnie poznała. Poznała mnie całego. A ja, dopóki nie odzyskałem przytomności, poznawałem ją.

Raithe się zadumał.

- To była... rozumiesz, Zewnętrzna Moc - ciągnął Fist. - Ludzki umysł

nie jest w stanie ogarnąć takiej świadomości, nawet w przybliżeniu. W

każdym razie mój tego nie potrafił. Ale są rzeczy... Sam nie wiem. Przypominam sobie coś. Nie wiem jak. Głównie drobiazgi, czasem wcale nie takie drobne. A czasem kurewsko przerażające.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Muszę się dowiedzieć, co wiem, Raithe. Potrafisz robić różne sztuczki ze swoim umysłem... Muszę wiedzieć. Muszę odkryć wszystko, co mi siedzi w głowie, i to zaraz.

- Czemu nie pójdziesz z tym do cesarza? Jego moc przewyższa moją o całe rzędy wielkości, w dodatku jesteś jego najbliższym przyjacielem..

- Nie może się o tym dowiedzieć. Nic a nic. Nie mogę się z nim spotkać, a jeśli moje przeczucia okażą się słuszne, ty też będziesz musiał go unikać. Mówię serio: żadnych przyjaznych gestów na uroczystej kolacji, żadnych pogawędek przez Artańskie Zwierciadło... Nic. Wiem, że jesteś elKodianinem. Jesteś też jedynym człowiekiem, któremu ufam, że nie tylko umie trzymać gębę na

kłódkę, ale równie skutecznie potrafi zamknąć swój umysł. Bo nie wolno ci będzie nawet głośno myśleć.

115

- Jest aż tak źle?

- Coś ci pokażę. - Fist wyciągnął przed siebie lewą rękę. - Daj rękę.

Raithe uniósł prawą dłoń, ale jego gość pokręcił głową.

- Drugą.

Ambasador się zawahał.

- Opatrunek przesiąkł prawie na wylot - zauważył i dla potwierdzenia swoich słów wyprostował ramię. Ciemna plama w zagłębieniu dłoni rozlewała się coraz szerzej. - Dlatego w ambasadzie w każdym pomieszczeniu trzymamy otwartą beczkę z wodą. Odrobina tego czegoś może zażec w organizmie płomień, który nie zgaśnie, dopóki cały olej się nie wypali, a ciało razem z nim. Przepali ci kości na wylot.

- Możliwe. Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnio go dotknąłem?

- Ja... To znaczy...

Raithe zmarszczył brwi. Chaos rzezi, cierpienia i zgrozy, który później nazwano Prawdziwym Wniebowstąpieniem Ma'elKotha, wycisnął mu w pamięci trwale piętno. Jeszcze rano gotów byłby przysiąc, że pamięta tamten dzień ze wszystkimi szczegółami, teraz jednak zwątpienie zamgliło wspomnienia. Mocą umysłu potrafił sprawić, że przeszłe wydarzenia jawiły mu się równie wyraźnie, jak widok na drugą stronę pokoju...

Zazwyczaj.

- Nie wiem - odparł po długiej chwili. - Nie pamiętam, żebyś go w ogó-

le dotykał, ale... nie jestem pewien... Nie masz blizn.

- Może nie mówmy o moich bliznach. Gdzie trzymasz opatrunki?

Z szuflady biurka Raithe wyciągnął gruby zwój gazy.

- Nadal nie...

- Patrz.

Ujął obandażowaną lewą dłoń Raithe'a w obie swoje i ścisnął ją delikatnie, aż czarny olej przesączył się na powierzchnię opatrunku. Bandaż zapalił się z cichym jak szept *pfum!* i zaczął skwierczeć jak

nasmołowana po-chodnia.

116

Fist cofnął się i rozłożył ręce. Olej pokrył je tak grubą warstwą, że Fist musiał stulić dłonie, żeby nadmiar ciecchy nie skapnął na podłogę i nie podпалиł dywanu - ale z jego ciała nie uniosła się nawet najmniejsza smużka dymu.

- I co ty na to?

Raithe patrzył jak urzeczony, zapomniawszy o tym, że ogień pochłania mu lewą dłoń. - To... niemożliwe.

- Nie chcesz zamoczyć ręki w wodzie?

Raithe wsadził dłoń do beczki stojącej przy biurku, nasączył wodą także świeży opatrunek i zaczął nim owijać stary, nadpalony.

- Ten olej wszystko spala...

- Ciebie nie.

- Bo ja jestem inny - zirytował się Raithe. - Wiesz, że jestem inny, i wiesz dlaczego.

- O to właśnie mi chodzi. Poniekąd. Chcę się dowiedzieć, dlaczego ja też jestem inny.

Owijając rękę, Raithe podskubywał skraj bandaża i poprawiał jego ułożenie.

- Skąd wiedziałeś, że się nie poparzysz?

- Nie wiedziałem, ale miałem poważne powody, żeby tego się właśnie spodziewać. Pamiętasz Kosalla?

Skóra wokół lodowatych oczu Raithe'a wyraźnie się naprężyła.

- Nadzwyczaj wyraziście.

- Byłeś przy tym, jak wziąłem go do ręki. Kiedy wyrwałem go z dna Jamy. Pamiętasz?

Raithe zmrużył oczy i zacisnął usta.

- Prawdę mówiąc, nie.

Fist pokiwał posępnie głową.

- Ja też nie.

- Jak to możliwe?

- Drugie pytanie: kto wytarł olej z rękojeści? Ty?

- Nie... Na pewno nie, pamiętałbym przecież.

117

- Ja też. Ale nie pamiętam. Rękojeść Kosalla jest owinięta skórą. Ty władałeś nim lewą ręką, skóra musiała nasiąknąć olejem. Pamiętasz, jak przypaliła mi dłoń, kiedy wziąłem miecz do ręki?

- Nie.

- Bo nic takiego się nie stało.

Raithe zaniemówił i aż zamrugał ze zdumienia.

- Ale dlaczego?

- No właśnie. Dlaczego?

Skamieniały Raithe gapił się w przestrzeń, ale to, co w tej chwili widział, nie miało nic wspólnego z pokojem, który miał przed oczami.

- Domyślam się, że nikt nie wycierał rękojeści. Przypuszczam, że kiedy chwyciłem to kurestwo, olej... po prostu zniknął. I wszyscy zapomnieli, że w ogóle tam był. Albo coś w tym guście.

- Coś w tym guście... - powtórzył półgłosem Raithe. - Masz na myśli Interwencję. Cud.

- To dopiero początek.

- Szkoda, że nie możemy obejrzeć miecza. Gdybyście go z Ma'elKothem nie zniszczyli...

- Byłoby jeszcze gorzej.

- Gorzej niż już jest?!

- Uwierz mi.

Fist zacisnął prawą pięść i polana, ułożone w kominku z myślą o porannym chłodzie, buchnęły nienaturalnym białym płomieniem. Raithe odruchowo zasłonił się ręką przed eksplozją gorąca i stwierdził, że jego własna lewa ręka buchnęła kłębamii pary i zajęła się takim samym białym ogniem.

Rzucił przekleństwem, którego nie używał od czasów dzieciństwa spędzonego na obrzeżach Kolonii.

- Caine... Hari... Fist, czy jak cię tam zwa... Zgaś to!

- Kris zawsze powtarzał, że zapalić ogień jest łatwo. - Fist zacisnął drugą pięść. Płomienie przygasły

i przybrały naturalny, żółto-czerwony odcień. - Problem jest z jego ugaszeniem. Jeszcze tego do końca nie rozgryzłem.

118

Raithe znów wsadził rękę do beczki.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Od Ma'elKotha. Kiedy zniszczyliśmy Kosalla. Potem odesłał mnie na Ziemię, gdzie rozjebałem posiadłość Marca Vilo w drobny mak. Ogień naprawdę jest łatwy, nawet dla mnie. Wystarczy się skoncentrować. To nawet nie jest taumaturgia, bo taumaturgię ogranicza lokalna charakterystyka Przepływu, a mnie ogranicza tylko rzeczywistość. To nie Przepływ. -

Rozluźnił obie pięści i pokazał Raithe'owi otwarte dłonie. - To moc boga.

Wszelkie ślady czarnego oleju zniknęły i tylko płonące w kominku polana dowodziły, że kiedykolwiek istniał. Raithe'owi dzwoniło w uszach.

Poczuł, że bolą go szczęki, i uświadomił sobie, że zaciska je z siłą zdolną pogruchotać zęby. Z najwyższą ostrożnością wyjął rękę z wody i zaczął ją owijać nowym opatrunkiem.

- Moc boga - odparł - który jest twoim najbardziej zapięklonym wrogiem i największym zagrożeniem dla wszelkiego życia na tym świecie.

- Kiedyś też tak myślałem.

- I nic się nie zmieniło, chyba że na gorsze. Na początku, kiedy mi się to przytrafiło, olej był po prostu żrący i łatwopalny, ale sam z siebie nie wy-buchał ogniem.

- Wszystko się zmienia.

- Nadal nie rozumiem, jak to możliwe.

- Mam nadzieję, że pomożesz mi to wyjaśnić.

- Nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć.

- Mam taką teorię... Nie, to właściwie nie jest teoria, tylko zwykłe do-mniemanie... ale uzasadnione!  
- Fist spuścił wzrok. - Legendy Stosowane, pierwszy dzień. Dlaczego nikt nie wie, gdzie negocjowano Porozumienie z Pirichanthe? Dlaczego nikt nie wie, gdzie to całe zaszranie Pirichanthe jest?

Raithe spokojnie pośpieszył ze standardową odpowiedzią:

- Żeby żaden kraj ani żaden lud nie mógł zgłaszać wyłącznych pretensji do Porozumienia. Dzięki temu Porozumienie jest własnością wszystkich krajów i wszystkich ludów.

- Dlatego Jhantho Żelaznoręki w imieniu ludzi, a Khryl, bóg wojny, w imieniu bogów zawarli Porozumienie, i tak dalej, pierdu, pierdu. Ale przecież nie byli tam sami. Wszystkie Wielkie Ludy przysłały swoich przed-stawicieli. Pamiętasz, kto reprezentował pierwotnych?

- T'farrell Kruczowłósy.

- Zgadza się. Syn Panchasella Mithondionne, który Spętał Zewnętrzną Moc, by zapieczętować wrota łączące Dom z Krainą Ciszy. Ale Panchasell nie bał się dzikusów, to znaczy nas, ludzi. Bał się naszych bogów.

Kącki ust Raithe'a wygięły się w dół. Uniósł brwi.

- Do czego zmierzasz?

- Sam nie wiem. Mam za to przecucie, że wiem, czym jest Pirichanthe.

- Czym - powtórzył czujnie Raithe. - A nie gdzie.

- Otóż to. Właściwie nawet nie tyle czym, ile kim. - Fist nabrał powietrza głęboko w płuca i przeciągle westchnął. - I wygląda na to, że od dwudziestu pięciu lat rucha mnie w dupę.

## **KOŃSKA WIEDZMA**

### **ZDZICZAŁE**

W KRAINACH POŁUDNIOWYCH, OD KORU PO YALITRAYYE, MĄDRE KOBIETY POWIADAJĄ, ŻE TWÓJ KOŃ JEST TOBĄ, TYLKO BEZ TWOJEGO IMIENIA.

- KOŃSKA WIEDZMA

### *HISTORIA WOJNY W FALTANE (DODATEK)*

W lunetce karabinu wyglądała całkiem nieźle.

Poruszając delikatnymi palcami, wodził za nią celownikiem i cały czas mierzył jej w pierś, gdy olbrzymi gniadosz, którego dosiadała na oklep, snuł się niespiesznie po dnie wąwozu, wyskubując resztki trawy pozostałe po przejściu ogromnego stada. Nie potrafił określić jej wieku. Jej skóra miała barwę olejowanej dębiny, w skłębionych lokach połyskiwały jasne od słońca pasemka. Skórzany kaftan bez rękawów wyglądał tak, jakby wygarbowano go w dębowym pniaku, i odsłaniał ramiona, na których długie mięśnie rysowały się wyraźnie, pokryte tylko ociupiną tłuszczu. Nogi miała długie i mocne, ukryte pod rozciętą skórzaną spódnicą, do złudzenia przypominającą kowbojskie ochraniacze na spodnie. Siedziała na koniu 121

swobodnie, bez zaciskania kolan, z pustymi rękami.

- A niech mnie... - mruknął. - Jednak nie lecieli sobie w kulki.

Mimo że spędził w Domu szmat czasu, wciąż nie oswoił się z tym, że od czasu do czasu jakaś przypadkowa legenda lubi wyskoczyć z krzaków i ugryźć go w tyłek.

Przykucnięty obok niego ogrilio szturchnął go pod żebro.

- Daj popatrzeć.

Powoli i ostrożnie cofnął się znad skraju wąwozu. Dopiero kiedy miał

pewność, że żaden z koni na dole nie wyczuje gwałtowniejszego poruszenia, oddał SPARa-12 młodemu ogrillovi. U Hecklera-Colta nikt pewnie nie spodziewał się, że ich broń trafi kiedyś w takie ręce, ale jakiś przedsię-

biorczy skalnik przerobił karabin - dodał powiększony spust z wielgachną osłoną jak filiżanka do kawy, i zrobił wycięcie w kolbie, dzięki któremu ogrilio mógł złożyć się do strzału, nie wyłamując sobie prawego kła.

- Mmm... Zjadłoby się...

- Konia czy dziewczynę?

- Ty wybierz. - Ogrilio cofnął trójdzieloną górną wargę, obnażając kły. -

Są tam, na dole, braciszku.

- Co ty nie powiesz...

Ogrilio przytknął szpon do pomarszczonego pyska.

- Nos Orbeka, co?

- Nie zgrywaj mi tu wielkiego myśliwego, mieszczechu.

Orbek wzruszył dwudziestoma pięcioma kilogramami ramion.

- Widzę Carillona. Chłopak sobie używa.

Człowiek wspiął się z powrotem na krawędź i mrużąc oczy, spojrział w głąb wąwozu. Nie miał już tak sokolego wzroku jak dawniej, ale patrząc wzdłuż długiej czarnej lufy snajperskiego karabinu, dostrzegł szarą plamkę w ciemne cętki, która chyba dosiadła od tyłu drugą plamkę, kasztanową. Pokiwał głową. Skoro ogromny czterolatek tu był, nie powinno zabraknąć także Hawkwing i Phantoma. Chyba że napatoczyły się po drodze na pumę, gryfa, stado głodnych ogrillów albo innego z kilkunastu dużych drapieżni-ków zamieszkujących południowe pogórza Bożych Zębów.

- Masz pojęcie, gdzie jesteśmy?

Ogrillo znów wzruszył ramionami.

- Na Kansas mi to nie wygląda.

Człowiek się skrzywił.

- Żałuję, że ci opowiedziałem tę przeklętą bajkę.

- Ile bierzemy?

- Tylko te, po które przyszliśmy.

Ogrillo posłał mu spojrzenie zdolne zwarzyć mleko.

- Taki szmat drogi dla trzech zasranych koni? A ja w dodatku jestem głodny.

- Zostań tu i trzymaj ją na muszce. - Mężczyzna ostatni raz spojrział w głąb wąwozu. - Wolałbym uniknąć trupów, ale gdybym miał kłopoty, zdejmij ją.

- Jak chcesz, braciszku.

Mężczyzna zsunął się pomiędzy kamieniami do miejsca, w którym Kylassi czekał z dwoma pomagierami i końmi.

- Jest na dole. Jeden punkcik w stadzie liczącym dziesięć tysięcy sztuk.

Albo dwadzieścia.

Kylassi zagwizdał.

- To dużo koni.

- Nawet o tym nie myśl. Bierzemy tylko to, co nasze. Moje. Faith. -

Mężczyzna skrzywił się i machnął ręką. - Wiesz, o co mi chodzi. Na południe stąd jest żleb: zejście tamtędy, tylko powoli. I nic nie kombinujcie.

Idźcie prosto po Hawkwing, jeśli uda się ją wam wypatrzeć. Carillon i Phantom pójdą za nią, zgadza się?

Stajenny skinął głową.

- Być może. Najprawdopodobniej tak. A ty co zamierzasz?

Mężczyzna zmrużył oczy oślepione skośnym popołudniowym słońcem.

- Pogadam sobie z tą końską wiedźmą.

\*\*\*

123

Wyszedł spośród skał.

Idąc wśród rzadkich krzewinek, robił mniej hałasu niż konie skubiące trawę. Tylko dwa na niego spojrzały, ale wszystkie miały świadomość jego obecności. Stado usuwało mu się z drogi, rzedło i rozstępowało się naturalnie jak rozdierana zefirkiem chmura. Szedł powoli, żeby zdążyły się oddalić na odpowiadającą im odległość.

Zatrzymała gniadosza na zboczu dolinki, dwieście jardów od dna. Kru-che granie kościanej barwy wieńczyły wznoszące się za jej plecami piarżysko. Skośnie padające promienie słońca okrywały jej twarz zasłoną cienia.

Spojrzała na intruza.

Nie zatrzymał się. Utrzymawał równe tempo. Dawał jej czas do namysłu. Mnóstwo czasu na nieśmiałość.

A ona tylko patrzyła.

Stado wokół niego odsuwało się jak morskie fale w porze odpływu, wiatr kręcił, było słychać suchy szelest końskich zębów skubiących ko-strzewę, nerwowy stukot kopyt o ziemię. Czasem stukot przechodził w głośny werbel, skubanie cichło, a rzeński aromat soku świeżych traw ginął w piżmowej mieszance woni potu i moczu.

Kylassi z pomocnikami zsunęli się zlebem do miejsca, w którym stado ich widziało, ale nie zdążyli jeszcze zejść do wąwozu. Znow powiało inaczej i mogli podejść stado pod wiatr, ale konie zbiły się w ciasną grupę.

Zresztą, zgodnie z przewidywaniami, w tej chwili wyczuły Orbeka.

A w Domu konie dobrze wiedzą, co zwiastuje woń ogrillów.

Zatrzymał się w miejscu, w którym, jak domniemywał, oboje z końską wiedźmą mieścili się Orbekowi w celowniku.

- Cześć - zawołał cicho. - Masz jakieś imię?

Odwróciła głowę w jedną stronę, potem w drugą, powoli. Jedno oko miała brązowe jak sarna, ciepłe i błyszczące; drugie było szarobłękitne i zimne jak lód w środku zimy. Obrzuciła go spojrzeniem najpierw jednego z nich, potem drugiego, jakby chciała się upewnić, że oba widzą to samo.

124

- Jak ci na imię? - spytał głośniejszym głosem. - Na dole, we wsi, nazywają cię końską wiedźmą.

Zrobiła znudzoną minę.

- Do diabła... - Czuł się jak idiota. - Mówisz w ogóle po westerlińsku?

Jej pierś uniosła się i opadła szybko: dyskretne westchnienie rozczarowania.

- Tylko kiedy muszę.

- Jezu Chryste... - Zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem dookoła. Oczami wyobraźni widział uśmiech na pysku Orbeka. Miał ochotę nakłaść ko-muś po gębie. - Posłuchaj... Nie chcę kłopotów. Nie przyjechałem po to, żeby cię powiesić ani aresztować, w ogóle nic nie zamierzam ci zrobić.

Guzik mnie obchodzisz. Chcę tylko odzyskać swoje konie.

- W porządku.

Zamurowało go. Ona nadal sprawiała wrażenie znudzonej.

- Jak to... w porządku?

- Twoje konie to twoje konie.

Nie wiadomo dlaczego poczuł się tak, jakby ją okłamywał.

- Właściwie... - Przesząpił z nogi na nogę. - Nie są moje, tylko mojej córki.

Pokiwała głową.

- Ty nie lubisz koni.

- Lubienie koni nie ma tu nic do rzeczy.

- O tym właśnie mówię.

Spochmurniał jeszcze bardziej. Pokręcił głową i rozluźnił pięści; nie przypominał sobie, żeby je zaciskał.

- Mam przeczucie, że wkurwi mnie ta rozmowa.

Spojrzała na niego szarobłękitnym, lodowatym okiem.

- Niepotrzebnie.

Zmrużył oczy. Automag w kaburze na pasku, przy plecach, nagle mu zaciążył. Upomniał się w duchu,

że na razie nie dała mu powodu, żeby go użyć.

125

Obejrzała się przez ramię. Najwyraźniej znalazła na zboczu doliny coś znacznie ciekawszego od jego osoby. Olbrzymi gniadosz powoli okręcił się w miejscu i przybysz mógł teraz oglądać plecy końskiej wiedźmy oraz ćwierć tony końskiego zadu. Gniadosz zadarł ogon i wycisnął krągły balas wielki jak ludzka głowa.

Gówno plasnęło o ziemię - czarnozielone, wilgotne, parujące w chłodnym powietrzu.

- Zaczynam się zastanawiać, po kiego wała w ogóle przyszedłem rozmawiać z jakąś posraną końską wiedźmą?

- Powiedziałałabym ci - odparła, nie odrywając wzroku od stoku ponad doliną - ale byś mi nie uwierzył.

- Dobra, nieważne. - Odwrócił się do Kylassiego i pomagierów, którzy okrążyli grupkę koni. Podniósł rękę i zatoczył kółko dłonią, dając im znak, żeby brali się do roboty. - Zabierzemy konie i spadamy. Powiedziałałabym, że miło było cię poznać, gdyby było miło, ale... sama rozumiesz.

Poczuł, że przyciągnął jej uwagę. Miał nosa do takich spraw: ciepły dreszczyk przebiegł mu po plecach, jak gazowany promień słońca.

- To tak nie działa.

- Założymy się?

Usłyszał niespieszne kroki gniadosza wśród kamieni. Zbliżał się do niego od tyłu.

- Nie odwracaj się - powiedziała końska wiedźma.

Znieruchomiał - ale nie zmartwiał, wprost przeciwnie. Rozluźnił się całkowicie, gotów zareagować w każdej chwili. Jeżeli miała ochotę wykrę-

cić mu jakiś numer, znajdując się w zasięgu jego rąk, nie miał nic przeciwko temu.

- Podasz mi jakiś konkretny powód?

- Nie patrz na niego - odparła tym cierpliwym tonem wyjaśnienia, który sprawiał, że miał ochotę zaaplikować jej lewatywę skórzanym buciorem. -

Masz oczy drapieznika.

- Mówisz to wszystkim chłopakom?

126

- Z przodu głowy, ośle. Widzenie trójwymiarowe.

Obejrzał się przez ramię.

- Co?

- Widzenie trójwymiarowe - powtórzyła z roztargnieniem, patrząc, jak Kylassi oddziela Hawkwing od stada. - Tak drapieżniki postrzegają świat.

Prawdę mówiąc, w dupie miał te taksonomiczne pierdolety.

- Nazwałaś mnie osłem?

Z bliska zmarszczki wokół oczu zdradzały, że ma raczej czterdzieści lat niż trzydzieści. Najprawdopodobniej.

- A zachowałeś się jak osioł?

- Ja...? - Cholera jasna! - Może i tak.

- To o co chodzi?

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Zabijałem za takie wyzwiska.

- Dawno temu.

Nie zapytał, skąd ta pewność; miał niejasne przeczucie, że odpowie mu zgodnie z prawdą.

- Ten człowiek? - Ruchem podbródka wskazała Kylassiego, który, siedząc na koniu, popuszczał lasso zarzucone na szyję Hawkwing, podczas gdy dwaj spoceni pomocnicy próbowali jej założyć kantar. - To trener koni, po które przyszlście. Ich prawdziwy pan i władca.

Skąd ona to wiedziała? O to też nie zamierzał pytać.

- Moja córka go zatrudnia. Może o niej słyszałaś? Margrabina Harrakhy. To jej konie ukradłaś.

- Ja nie kradnę.

- Taaa, jasne. Same uciekły i po trzech tygodniach trafiły do ciebie.

Nadal w zadumie obserwowała Kylassiego.

- Wybatożył cię ktoś kiedyś?

- Że co, proszę?

-  
Wyobraź sobie niewolę, w której okładają cię biczem za to, że nie robisz tego, czego chce twój pan. Ale jednocześnie nikt ci nie mówi, czego on chce. Po prostu biją cię tak długo, aż sam się domyślisz.

127

Wybałuszyl oczy. Z tej pozycji dobrze widzial spód jej wdziecznie za-rylowanej zuchwy i dlugą, wdziecznie muskularną szyję - ale w tej chwili miał przed oczami zupełnie co innego.

Patrzył na sękatego poganiacza niewolników w hordzie Khulana, które-go poznał dwadzieścia parę lat temu, we wstępie do *Ostatniego Boju pod Ceraeno*. Stary ogrillo, trzysta pięćdziesiąt funtów żywej wagi, o skórze ogorzalej i ciemnej jak granitowe urwisko. Jeden oczodół ściągnięty i zaro-

śnięty starą blizną, w drugim leniwe, wredne ślepię barwy psich szczyn.

Czarne ołowiane ciężarki na końcówkach rozczapierzonego, wielorzemien-nego bicza opadały na pięść wielką jak ludzka głowa. Słyszał trwający pół

sekundy bezdźwięczny świst - jedyne ostrzeżenie, na jakie ktokolwiek mógł liczyć. Czuł ciężar ołowianych ciężarków, gdy wybijały mu powietrze z płuc. Po uderzeniu w nerki przez trzy dni sikał krwią.

- Brzmi znajomo - powiedział.

Skinęła głową, obserwując Hawkwing szarpiącą się w pętli. Z początku klacz była tylko podenerwowana, teraz jej kwik zdradzał panikę. Nie wiadomo kiedy i jak Carillon wynurzył się ze stada i teraz tańczył płochliwie wokół Kylassiego i jego pomocników.

Nawet z tej odległości wyraźnie widział białka łyskające w ślepiach jabłkowitego ogiera.

- Co byś zrobił? - spytała półgłosem. - Co byś zrobił, gdyby to twoją matkę katował? Albo twoje dziecko?

Nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią.

- To, co zrobiłem temu, który zrobił to mnie.

...spojrzenie jedyne go zdrowego oka poganiacza, gdy rzemienie bicza oplotły wzniesioną rękę, o której myślał, że jest bezpiecznie skuta; spojrzenie zmiażdżone wraz z okiem uderzeniem funtowego kamulca trzymanego w drugiej, również niespodziewanie swobodnej dłoni... Skinęła głową.

- No właśnie.

Nie był pewien, jak to się dokładnie stało. Później umiał sobie przypomnieć tylko nagły wypad Hawkwing, która skręciła gwałtownie szyję i uderzeniem barku zwała jednego pomocnika z nóg. Drugi przez ten czas 128

rozsądnie spieprzył jak najdalej od jej zadu. Klacz, zwrócona tyłem do Kylassiego, szarpnęła głową w dół, czym omal nie wysadziła go z kulbaki, ponieważ końcówkę lasa owinął sobie wokół nadgarstka. Kiedy wychylił łapał równowagę, Hawkwing wierzgnięciem tylnych nóg trafiła go w podbródek. W tym samym momencie ustawiony za jego plecami Carillon wykonał najlepszą kapriołę w dziejach świata i tylnymi kopytami uderzył

Kylassiego w podstawę czaszki.

Głowa Kylassiego pokoziołkowała w powietrzu. Reszta jego ciała została tam, gdzie była.

Jego wałach kwiknął i poniósł, z jeszcze drgającym trupem stajennego w siodle. W popołudniowym słońcu tryskająca z szyi fontanna krwi mieni-

ła się jak płynny rubin. Stado rozdzieliło się, przepuszczając spanikowane-go konia, po czym zamknęło się za nim.

Pomocnik stajennego, który jeszcze trzymał się na nogach, usiadł, i to z impetem. Drugiemu nieśpieszno było wstawać.

Głowa Kylassiego spadła i odbiła się od krzaka.

Mężczyzna spojrział najpierw na nią, a potem na bladych jak płótno chłopaków, którzy właśnie zaczęli dygotać. Przeniósł wzrok na stado.

Otoczyło ich kręgiem, konie stanęły bark w bark.

Nieruchome. Milczące. Dziesięć tysięcy koni. Więcej.

Patrzyły.

Obejrzał się na wiedźmę, która spojrzała mu w oczy. Nie odrywając od niej wzroku, skinieniem głowy wskazał głowę Kylassiego.

- To był mój przyjaciel.

- Chciał, żebyś tak myślał.

- Co takiego zrobił, że trzeba go było zabić?

- Nie wiem. Spytaj koni.

- No tak, ciekawe czemu od razu o tym nie pomyślałem... A, już wiem: bo to są konie, kurwa, zwykłe konie! Gównu mi powiedzą!

- Musisz słuchać.

Oparł ręce na biodrach; w tej pozycji sięgnięcie z tyłu za pasek i wyję-

człowiekowi mrugnięcie powiekami.

- Mhm. Wszystko jasne. Powiedzmy, że ich posłucham. Co mi powiedzą o tym, co im przed chwilą zrobiłaś?

- Im? Nic.

- Aha. Czyli to był ich pomysł, tak? Ich... przebiegły plan. Uciekły tutaj, żeby zabić faceta, którego widywały co dzień.

Wydawała się kompletnie niewrażliwa na sarkazm.

- Przybyły tutaj, żeby dołączyć do swoich braci.

- Nie trzeba tak daleko szukać, żeby znaleźć stado dzikich koni.

- Konie z wiedźmiego stada nie są po prostu dzikie. Są zdziczałe.

- Że... - Zawiesił głos i zmrużył oczy. - Niby... wszystkie?

- Sam zobacz.

Przyjrzał się. Pierwszy raz. Pierwszy raz naprawdę przyjrzał się koniom, zamiast patrzeć gdzieś ponad nimi lub obok nich. Stado było dla niego...

kontekstem, niczym więcej. Scenografią. Składnikiem lokalnego kolorytu.

Było całkiem naturalne, że szukając końskiej wiedźmy, spodziewał się znaleźć przy niej jakieś konie. Przecież inaczej nikt by jej nie nazwał koń-

ską wiedźmą, prawda?

A teraz, patrząc na nie, dostrzegł blizny.

Znał się na bliznach. Wiedział, jak wygląda blizna po biczu. Umiał od-różnić bliznę po nożu od takiej po grocie strzały, a jedną i drugą od blizny zostawionej przez ostrogę. Wiedział, jak wygląda blizna na skórze tylko rozciętej uderzeniem pałki, a jak, gdy pałka zmiażdży i zniszczy tkankę pod spodem. I znał to spojrzenie, które świadczy o tym, że blizny wewnętrzne są jeszcze gorsze.

Wszystkie wpatrzone w niego konie pamiętały każde uderzenie biczem.

Każdą ostrogę. Każdą pałkę. Przypominały sobie, jak głodem zmuszano je do uległości. Jak trzymano je na słońcu bez wody. Jak je pętano i jak z kwikiem próbowały uciekać, walczyć, zrobić coś, żeby tortura się skończy-

ła. Przypominały sobie bezgraniczny koszmar, którym był dla nich kontakt z człowiekiem. To właśnie robiły na widok ludzi.

Wspominały.

130

Wiedział, co wspominają, bo sam na widok ludzi zachowywał się dość podobnie.

- W mordę jeża... - mruknął bardzo, bardzo cicho. Spojrzał na końską wiedźmę. - Nie wiedziałem. Słowo daję, nie wiedziałem.

- Wierzą ci.

- Kto? Konie?

Wzruszyła ramionami.

- Nadal żyjesz.

- Eee... fakt. - Skinął na pomocników stajennego. - Idźcie do wsi, tam na mnie zaczekajcie.

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Pozbierali się z ziemi i ruszyli w stronę kamienistego zbocza, u którego stóp uwiązali swoje wierzchowce.

Drogę przegradzało im dziesięć milionów funtów końskiego mięsa. Bark w bark. Konie im nie groziły. Po prostu stały.

Pomagierzy cofnęli się i obejrzel na mężczyznę, który z kolei spojrzał na wiedźmę.

- Mogą przejść?

Mrużąc oczy, spojrzała ponad grzbietami koni.

- Nie sędę.

- Dajże spokój, to dzieci. Puść je.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego brązowym okiem.

- Nie rozumiesz, czym jestem.

- Też mi nowina... Ale powiem ci: mam w dupie to, kim jesteś...

- Nieprawda.

- ...chcę tylko, żeby ten dzień skończył się bez dalszych ofiar. Co ty na to? Da się zrobić?

Wzruszyła ramionami w na wpół przepraszającym geście.

- To raczej mało prawdopodobne.

- Co mamy zrobić, żeby się stąd wydostać, hm? No dalej, daj mi jakąś wskazówkę. Jakąkolwiek. Mówię serio.

- Nie lubią ludzi. Po to dołączyły do stada, żeby nie mieć do czynienia z ludźmi.

131

- Ciebie lubią.

- Bo ja jestem końską wiedźmą.

- No dobrze, końska wiedźmo, może byś zaczarowała te swoje zasrane chabety, żeby zeszyły nam z drogi?

- Ja tego nie robię.

- Następną wiadomość dnia, kurna.

Pochyliła się, oparła na szyi konia i spojrzała intruzowi prosto w oczy.

- Robię dwie rzeczy. Władanie tymi końmi nie jest żadną z nich. Przyjrzyj się moim oczom. - Jedno brązowe jak u sarny, drugie szarobłękitne, lekko mleczne, zimne jak lodowiec. - Robię dwie rzeczy - powtórzyła, dotykając policzka poniżej brązowego oka. - Wybaczenie. - Przesunęła rękę pod drugie oko. - Przyzwolenie.

- Wybaczenie i przyzwolenie? Wybaczenie czego i przyzwolenie na co?

- To proste. Wybaczenie wszelkiego zła, które cię spotkało. Przyzwolenie na bycie sobą. Wszystko poza tym jest... - Wzruszyła ramionami. - Po-za tym.

Spojrzał na nią spode łba. Powinien ją po prostu zastrzelić, porwać konie i spieprzać, zanim krew Kylassiego zwabi gryfy albo inne cholerstwo; diabli wiedzieli, jakie drapieżniki mogą żerować na obrzeżach wiedźmiego stada. Kiedy jednak jego dłoń zacisnęła się na rękojeści automaga, uświadomił sobie, że rozumie, co usiłowała mu powiedzieć. Zimna pusta przestrzeń otworzyła mu się w piersi. Nie dobył pistoletu.

Wybaczenie wszelkiego zła, które cię spotkało.

Przyzwolenie na bycie sobą.

Nie kazała koniom zabić Kylassiego. W ogóle im nie rozkazywała. Nie musiała.

Przyzwolenie.

Spojrzał na konie, potem na pomocników stajennego, bladych jak wa-pienne urwiska.

- Idźcie piechotą - poradził im.

- A co z końmi?

132

- Nie są wasze. Idźcie już.

Ostrożnie, jakby ukradkiem, zbliżyli się do żywego końskiego muru - i tym razem milczące stado zafalowało, cofnęło się jak morze przy odpływie i rozstało przed nimi.

Uświadomił sobie, że miała rację, kiedy powiedziała, że kłamie, twierdząc, że go nie obchodzi. Odwrócił się, żeby jej to powiedzieć, ale ona już odjechała.

Nie przyszło mu do głowy, że mógłby za nią nie pójść.

**KOŃSKA WIEDZMA 2**

# ZAWODOWCY

JEGO WROGOWIE NIE SĄ DEMONAMI, LECZ LUDŹMI, JAK ON.

- LAO TSE

## *KSIĘGA DROGI*

Łatwo było podążyć śladem końskiej wiedźmy.

Odwrócił się w kierunku urwiska, na którym czekał uzbrojony w SPARa Orbek, wzruszył ramionami i pytająco uniósł brwi. Chwilę później młody ogrillo pokazał się na ułamek sekundy na tle nieba i machnięciem ręki wskazał kierunek, w którym pobiegł spłoszony koń Kylassiego. Mężczyzna skinął głową i gestem otwartej dłoni pokazał w tę samą stronę. Orbek pomachał na potwierdzenie i zniknął.

Fist ruszył.

Konie opływały go ze wszystkich stron, ale pozostawiały mu całkowitą swobodę ruchu, na pozór ani na moment nie odrywając się od pracowitego przyszywania zielska. Stado przeredziło się jak mgła w porannym słońcu.

Dolinka dochodziła do łagodnej niecki o szerokości kilku mil; zanim stanął

134

na jej skraju, był już całkiem sam; konie przestały zwracać na niego uwagę i zostały daleko z tyłu. Dmący mu w twarz wiatr pachniał sosną, różową koniczyną i zmianą pogody. Nie widząc wiedźmy, znów spojrział w stronę wylotu wąwozu i wzruszył ramionami. Tym razem Orbek podniósł ręce, złożył je w X i wskazał na północny wschód.

Na północnym wschodzie dostrzegł coś, co miało kształt człowieka i w jednej ręce niosło coś, co miało kształt łuku - tuż przed tym, jak wśliznęło się między dwa niskie pagórki i zniknęło mu z oczu.

- Hmm... - mruknął. - Hej, ho, witaj, wędrowcze, miło cię widzieć, sranie w banię.

Zniknął na chwilę w głębi bocznego wąwozu i wynurzył się z niego po drugiej stronie, u stóp północnej ściany urwiska. Poruszał się jak duch, jak pasemko unoszącej się w powietrzu mgły. Kiedy wiatr dmuchnął mocniej, truchtał przez gęstniejącą trawę. Kiedy wiatr cichł, on nieruchomiał.

Zobaczył dwa konie przywiązane do wbitych w ziemię palików: jeden miał na sobie pełną uprzęż, drugi tylko kantar i uwiąz. Skręcił w ślad za łucznikiem, zanim konie go zwietrzyły.

Szedł pod wiatr - tak samo jak łucznik, który chyba tropił jakiegoś zwierzaka, i Fist systematycznie zmniejszał dzielący ich dystans. Nie był już młody, ale od ładnych kilkadziesiąt lat specjalizował się w podkradaniu się do ludzi.

Obszedł boczne ramię skalistego pagórka i zobaczył łucznika na szczycie następnego wzniesienia, nie

dalej niż trzydzieści metrów przed nim, klęczącego na spieczonym słońcem rumowisku. Refleksyjny łuk był krótki, gruby i musiał mieć niezłego kopa. Łucznik nałożył już strzałę, wyprostował lewą rękę i właśnie napinał cięciwę.

- Nie rób tego.

Przemówił niezbyt głośno, w sam raz, żeby być słyszalnym pomimo wiatru, ale nie aż tak, żeby przestraszyć strzelca. Łucznik skamieniał.

135

- Czego? - odpowiedział pytaniem, również nie za głośno. Pobrzmiewa-jąca w jego głosie leniwa, nosowa nuta zdradzała koczownika południowych stepów.

- Nie bądź osłem. - Na Boga, przez nią sam zaczął tak gadać! - Opuść łuk.

Łucznik powoli, ostrożnie zlizował cięciwę i wycelował w ziemię.

- Wyjdź stamtąd.

- Mogę się odwrócić?

- Jak chcesz.

Łucznik wycofał się w kucki, a wstał dopiero w miejscu, w którym jego sylwetka nie rysowała się na tle nieba. Fist z aprobatą pokiwał głową. Zawodowiec.

Miał pociągłą, nieufną twarz, ogorzałą jak kamienie za jego plecami, i ciemne, wąskie oczy, które rozszerzyły się wyraźnie, gdy zobaczył, że na-gabujący go intruz nie ma broni w rękach. Pokręcił głową.

- Przysięgłbym na włosy mamusi, że ktoś, kto potrafi mnie podejść, bę-

dzie miał dość oleju w głowie, żeby też mieć łuk.

- Kiepsko strzelam.

Łucznik zmrużył oczy.

- Kim jesteś?

- Niech będzie Fist. Jonathan Fist, obywatel Ankhany.

- Nie jesteś w cesarstwie, obywatelu.

- Nie? A gdzie?

- Gdzie indziej. Jesteś sam?

Fist wzruszył ramionami.

- Zwykle tak.

- Co tu robisz?

- Powstrzymuję cię przed zastrzeleniem końskiej wiedźmy. A ty?

- Nie twoja sprawa, trupie. - Łucznik uniósł łuk.

- Nie celuj do mnie.

Łuk znieruchomiał. Zmarszczki wokół ciemnych oczu zgęstniały.

- Bo?

136

- Bo mi się to nie podoba. I ty też nie będziesz zachwycony. - Człowiek przedstawiający się jako Jonathan Fist przekrzywił głowę o kilka stopni w bok i znów ją wyprostował. - Zrobisz sobie krzywdę.

- Zaryzykuję.

Łucznik wycelował, napiął cięciwę i w tej samej chwili niewidzialna pięść powaliła go z miękkim plaśnięciem na ziemię. Łuk wypadł mu z rąk i zaklekotał o skały. Wystrzelona strzała rozszepiła się na pobliskim kamieniu.

Od strony odległej o tysiąc jardów południowej ściany urwiska dobiegło wyraźne, ostre kasznięcie, jakby zdrowy człowiek odchrząknął znacząco.

- Ostrzegałem - powiedział Jonathan Fist.

Wszedł na pagórek. Karłowate krzaczki ustąpiły miejsca gęstej prerie-owej trawie, która w tym miejscu sięgała mu prawie do kolan. Pachniała zielskiem i pęczniała od soków. Łucznik miotał się na ziemi, złobiąc obca-sami bruzdy w jasnym piaszczystym gruncie przy próbie odczołgania się między kamienie. Na topornie wygarbowanym skórzanym kaftanie koloru sosnowej kory rozlewała się ciemna plama, poczynając od małej, schludnej dziurki w miejscu, gdzie prawe ramię wyrastało z tułowia. Lewą ręką trzymał się za bark od tyłu, jakby próbował tamować krwotok z drugiej, poważniejszej rany.

- Co zrobiłeś... Jak to... - wysapał. Głos miał teraz piskliwy, chrapliwy, wstrząśnięty. Tak to bywa przy postrzale w kość.

- Uprzedzę cię tylko, że to się może powtórzyć.

Znajdowała się sto jardów od niego na zboczu, zajęta zdejmowaniem uprzęży z konia Kylassiego.

Gniadosz pasł się spokojnie nieopodal. Odpię-

ła właśnie popręg masywnej kulbaki z wysokim łękiem, szarpnięciem ścią-

gnęła ją z grzbietu konia i odrzuciła niedbale za plecy jak przepoconą poduszkę. Siodło przekoziółkowało i potoczyło się po stoku.

Łucznik nadal próbował odpełznąć jak najdalej od Fista.

- Jakie to uczucie?

- He? - stęknął łucznik, ryjąc coraz głębsze koleiny w piachu.

137

- Chcesz jeszcze raz?

- Ehm... Ja... - Przełknął ślinę. - Nie.

- To się nie ruszaj.

Łucznik znieruchomiał.

Obiema rękami przytrzymała jedno z przednich kopyt wałacha. Podniosła je i opuściła, zmuszając konia do zgięcia i wyprostowania nogi.

- Co... co mi zrobisz? - spytał łucznik drżącym głosem. - Nie chcę...

umierać...

Nie spuszczając wzroku z końskiej wiedźmy, Fist odparł:

- To przestań ze mną pogrywać i oddaj nóż.

- Że... co?

Fist odwrócił się z westchnieniem i obrzucił łuczniaka spojrzeniem oczu czarnych jak obsydian.

- Zapomniałeś już, jak ci poradziłem, żebyś nie robił z siebie osła?

Łucznik przetrawił jego słowa. Strach i roztrzęsienie zniknęły z ogorza-

łej twarzy, ustępując miejsca skupieniu i ostrożności łowcy jeleni w krainie niedźwiedzi. Wyciągnął ukrytą do tej pory za barkiem lewą rękę, w której trzymał nóż do skórowania zwierzyny, z półksiężycowatą klingą i kastetową rękojeścią: zaciśnięta pięść z ośmiocalowym ostrzem w miejscu knykei.

- Nie możesz mieć do mnie pretensji, że próbowałem.

- Ale mogę cię za to zabić. - Fist machnął ręką. - Odrzuć go. Tylko po-mału.

- Między kamienie? Tak się nie robi... - Łucznik zrobił urażoną minę. -

Masz pojęcie, ile jest wart?

- Więcej niż twoje życie?

- Po prostu... Tak nie można. - Łucznik pokręcił głową. - To piękna stal... Tak się nie godzi. Posłuchaj, dam ci go, dobrze? Jest twój. Co ty na to? Tylko nie każ mi go tu wyrzucać.

Fist przygryzł w zadumie wargę.

- Zostaw go w trawie. Kołczan też. I odczołgaj się do tyłu.

138

Rozumiał zawodowca, który szanuje narzędzia swojego fachu.

Łucznik posłuchał, a wtedy Fist wziął nóż w jedną rękę, a drugą obmacał jego ranę. Twarz łuczniaka pobladła i nie przypominała już wyprawionej skóry, lecz kość słoniową. Drżenie rąk też nie było już udawane. Kiedy Jonathan Fist nacisnął ranę - najpierw z przodu, potem od tyłu - i namacał

w środku luźne odłamki kości, łucznik zadygotał i jęknął. Fist zdjął z niego szeroki pas i zapiął mu go na ramieniu, jak najciaśniej. Może się facet nie wykrwawi.

Przynajmniej przez jakiś czas.

Łucznik wziął się w garść.

- Jest źle? - spytał.

- Może uda ci się naciągnąć łuk. - Wzruszenie ramion. - Kiedyś.

- To kiepsko. Ten łuk to całe moje życie. Nie mam nic innego. - Wstawaj.

Łucznik podciągnął się na sąsiednim kamieniu i wstał, dysząc. Oparł się ciężko o kamień.

- O rety... Dzięki za opaskę. Tutaj mało kto tak by się przejął.

- Nie zrobiłem tego dla ciebie. - Jonathan Fist spojrzał w dół zbocza.

Jego oczy na ułamek sekundy spotkały się z oczami wiedźmy, nim znów zajęła się wałachem. - Chodź.

- Mam iść?

- Przedstawię was sobie.

- W świńskiej dupie chyba.

- Przedstawię was sobie, a potem opowiesz nam ze szczegółami, dlaczego chciałeś strzelić wiedźmie w plecy.

Pomógł mu zejść z pagórka. Powoli. Łucznik miał kolana jak z waty, a Fist nie miał ochoty nieść skurczybyka. Zatrzymał się na chwilę przed tym, jak jego sylwetka zniknęła z widnokregu, i nie odwracając głowy, zatoczył

szeroki łuk ramieniem. Łucznik zmarszczył podejrzliwie brwi, spojrzał

wzdłuż stoku i, mrużąc oczy, ocenił odległość do urwiska.

- Masz tam kumpli.

139

- Martw się o swoich. - Fist pomógł mu przejść po spękanej półce skalnej. - Jeśli jacyś są, to wykrwawią się na śmierć.

- Nie jestem towarzyski.

- Kiedy zaczną cię szukać?

Westchnienie łuczniaka przeszło w atak kaszlu.

- Razem się przekonamy. Chyba że wcześniej mnie wypuścisz.

- Może kiedy indziej.

Łucznik zszedł z wysiłkiem na płat suchej trawy.

- Dalej nie dam rady - powiedział.

Jonathan Fist mu uwierzył.

Końska wiedźma w ogóle na nich nie patrzyła. Zdejmowała wałachowi podkowy jedna po drugiej i odrzucała je na bok, nie patrząc, gdzie upadną.

- Hej?

Wyjęła skądś zakrzywiony nożyk i z uwagą rzeźbiła nim lewe tylne kopyto konia.

- Powiedziałem „hej”, do cholery! Wiesz, że ten kutas próbował cię zastrzelić?

- Wiem.

Jej dłonie poruszyły się szybko, a kiedy znów było je dobrze widać, nóż zniknął tam, skąd wcześniej

go wyjęła, a jego miejsce zajął gruby pilnik, którym z taką samą niepodzielną uwagą zaczęła szlifować kopyto.

- Przepraszam, że przeszkadzam, naprawdę kurewsko mi przykro, że ocaliłem ci życie. Nie przeszkadzaj sobie.

- W porządku.

Nie przerwała pracy.

Automag za paskiem znów mu zaciążył.

- Nie interesuje cię, dlaczego chciał cię zabić? Albo kto chce twojej śmierci?

- Nie.

Zamurowało go.

- To znaczy, że już wiesz, czy że gównno cię to obchodzi?

140

Puściła nogę konia i wzięła się za następną. Pilnik zniknął, wrócił nóż.

- Dużo gadasz.

- Gadałbym mniej, gdyby w tej rozmowie coś się działo na twoim końcu.

- Po mojej stronie, chciałeś powiedzieć.

- Co?

- To ty jesteś końcem. - Chyba znalazła w kopycie coś, co ją zaniepokoiło, bo w jej dłoni pojawił się inny nóż, mniejszy. - Obama końcami.

- Nieważne. - Machnął ręką. - Nie wracajmy do tego, dobrze?

- Jak chcesz.

Przekrzywiła głowę, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, a on sobie uświadomił, że ogląda kopyto najpierw jednym okiem, brązowym, a następnie drugim, mleczno-błękitnym.

Rozbolała go szczęka. Zgrzytał zębami.

- Ludzie tak często strzelają ci w plecy, że to cię nudzi? Czy po prostu strzały się ciebie nie imają?

W odpowiedzi tylko pokręciła z roztargnieniem głową. Wałach zaczynał się denerwować. Wiatr się zmienił i koń chyba zwietrzył krew łuczника.

Puściła jego nogę, ale nie ruszyła się z miejsca, przykucnięta, jakby tuż obok wcale nie tańczył ważący tysiąc trzysta funtów podenerwowany rumak bojowy.

- Myślicie, że... - Usta łuczника pobieleły. - Flirtujcie sobie dalej, ja się tymczasem położę, dobrze?

- Jak chcesz.

W końcu wiedźma uspokoiła wałacha i zaczęła oględziny następnej jego nogi, a Fist złapał się na tym, że wyszukuje jaśniejsze pasemka w jej włosach i patrzy, jak poruszają się na wietrze. Przywodziły mu na myśl brzask odbijający się w zmarszczonej drobnymi falami rzece.

Kiedy dotarło do niego, co robi, zamknął oczy.

Flirt, tak? Sukinsyn... Miał rację.

Może jednak będzie musiał ją zastrzelić.

141

A jak nie ją, to siebie.

Przysiadł na skalnym występie barwy piasku dwa jardy od miejsca, w którym ranny wyciągnął się na trawie. Leżący na wznak łucznik kurczowo zaciskał powieki. Pot perlił mu się na czole mimo wiosennego chłodu w powietrzu i rześkiego wiaterku. Jonathan Fist, który miał spore doświadczenie zarówno w zadawaniu, jak i odnoszeniu poważnych obrażeń ciele-snych, zdawał sobie sprawę, że do rannego dopiero teraz dociera, jak bardzo beznadziejne będzie od tej pory jego życie.

Po dłuższym zastanowieniu musiał przyznać sam przed sobą, że nawet jeśli końska wiedźma nie jest zainteresowana opowieścią łucznika, to on chętnie by jej wysłuchał. W tej okolicy ludzie nie podróżują samotnie. No i przynajmniej na jakiś czas zająłby myśli czymś innym niż długie, wdzięcznie uformowane, brązowe od słońca uda. Albo to spojrzenie, w którym ciepło mieszało się z zimnem, chociaż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w jego wypadku równowaga zdecydowanie przechyla się ku ciepłu.

Pokręcił głową. Stary był, powinien wiedzieć, czym to pachnie.

- Na początek powiedz, jak się nazywasz.

- Muszę? - Chrapliwie. Łucznik słabł. Krew wyciekła spod pasa na ramieniu. - Kiedy mówię, bardziej boli.

- Przejąłbym się, gdyby nie to, że dziesięć minut temu chciałeś mnie zabić.

- Jeśli będę mówił... - Łucznik obliznął wargi. - Masz wodę?

- Nie przy sobie.

- Ale możesz przynieść.

Fist wzruszył ramionami. Łucznik chyba zrozumiał, chociaż nie otworzył oczu.

- Zostawiłem konie. Mam trzy pełne bukłaki wody. Jeden możesz sobie wziąć.

- Mogę wziąć wszystkie.

- Wybacz, że ci to wypomnę, ale nie wyglądasz mi na takiego człowieka.

- Zaczniij od tego, jak się nazywasz.

142

- A połatasz mnie? Ale tak na serio, lepiej niż teraz? Potem wsadzisz na konia i skierujesz w stronę reszty mojego życia?

- Niewykluczone.

Łucznik zakaszał i krew pociekła mu z ust. Może pocisk zahaczył o płuco. A może przygryzł sobie język, kiedy upadł.

- Niespecjalnie się starasz dodać mi otuchy.

- Chciałeś mnie zastrzelić.

- Fakt. - Łucznik wciągnął powietrze i z dreszczem wypuścił je z płuc. -

Znajomi wołają na mnie Tanner. Mama woli Hack. Albo Hackford, kiedy się wkurzy.

- Masz jeszcze matkę?

- Pewno. Jestem młodszy od ciebie. Kurde, co ja gadam... Nawet mama jest od ciebie młodsza!

- Nie jestem taki stary, na jakiego wyglądam.

- Ja też nie, tatuśku. - Łucznik znów zakaszał. I znów pojawiła się krew. - To by ją zabiło, gdyby musiała mnie pochować.

- Nie będzie musiała.

Łucznik obrócił głowę w bok i rozchylił powieki, ciekaw wyrazu twarzy Fista. Twarz Fista niczego nie wyrażała.

- To nie brzmi jak obietnica, że przeżyję.

- Mimo wszystko jakaś obietnica.

- Chyba tak... - Zamknął oko i odwrócił głowę. - Co chcesz wiedzieć?

\*\*\*

Historia Tannera była przygnębiająco typowa: coś wartościowego pojawia się w zasięgu wzroku ludzi, którzy, jak to ludzie, postanawiają sobie to przywłaszczyć. A wiedźmie stado to ponad dziesięć tysięcy koni, w większości ujeżdżonych. Za takie pieniądze można by kupić na własność małe miasto. Miejscowy watażka robi pobieżną analizę kosztów i zysków i dochodzi do wniosku, że opłaca się wynająć dwudziestu pięciu albo trzydziestu chłopów, którzy zgarną stado, i kolejnych pięciuset albo sześciuset, 143

którzy na tych koniach zajmą pastwiska, pola i wodopoje należące do drugiego watażki, urzędującego po sąsiedzku. Wojna w hrabstwie Lincoln, tylko z użyciem mieczy, łuków i magji.

I podobnie jak w tamtej wojnie, tak i tutaj najciekawszym elementem byli wynajęci zabójcy.

Tytułujący się hrabią Faltane watażka z niczym się nie krył. Chciał, że-by wszyscy wiedzieli, na jakich zabijaków go stać. Połowę ekipy zebrał

wśród miejscowych, resztę stanowiła mieszanina importowanych twardzieli i czubów pod dowództwem potężnego maga bitewnego imieniem Bannon. Tanner był jednym z nich.

- Jestem myśliwym. Nigdy nie chybiam. Skradam się jak duch. Pierwszą oznaką mojej obecności jest strzała stercząca zwierzynie z karku. Jestem niewidzialny.

- Nie dla mnie.

- Nie polowałem na ciebie, prawda?

- Nie poluj. Następnym razem nie będę w tak łaskawym humorze.

Od trzech dni drużyna Bannona kręciła się na obrzeżach wiedźmiego stada, ale na razie udało im się oddzielić od niego tylko kilkadziesiąt starych, chorowitych, na wpół kulawych chabet. Pozostałe konie były sprytnie i płochliwe i zawsze uprzedzały zamiary ludzi, którzy usiłowali zwabić je na równinę.

- Miejscowi zaczęli gadać o tej końskiej wiedźmie, wariatce, która jeź-

dzi razem ze stadem. To jakaś miejscowa legenda. Wieśniacy zostawiają jej drobne podarunki, kiedy stado przebywa w pobliżu; zdarza się, że człowiek odwraca się zniecka i widzi przed sobą konia, który traktuje go jak dobrego znajomego. Ponoć te wiedźmie konie są na wpół magijne, supersilne i inteligentniejsze od zwykłych. Jak się je dobrze traktuje, to pójdą za człowiekiem w ogień; ale jak ktoś im zrobi krzywdę, to sam pójdzie. Do piachu.

- Uczciwy układ.

- Może i tak. Tylko że niektórzy nie chcą poprzestać na jednym.

- Zawsze trafi się jakiś chciwiec.

144

- Mnie również ta przypadłość nie jest całkiem obca.

Jonathan Fist wskazał brązowe plamy na nogawce swoich spodni.

- Widzisz tę krew? Jeden gość myślał, że da radę zwędzić parę koni ze stada. To było dzisiaj po południu.

- Myślał... Już się nie myśli.

- Otóż to.

- Ja nie myślę. Ja poluję. - Tanner pokręcił głową i się skrzywił. - Polowałem.

- Zabicie końskiej wiedźmy nie załatwi sprawy. To nie ona jest waszym problemem, tylko wy sami.

- Przypuszczam, że dotyczy to wielu ludzi. Co z tą wodą?

- Chwila. Opowiedz mi o tym Bannonie.

- To nasz szef. Ma takiego przydupasa, Charliego. Bannon jest mało-mówny, za to Charlie gada za trzech; facet upaja się swoim głosem. Podobno dziewczyny nazywają go Rozrywkowy Charlie. Muszę przyznać, że umie gość opowiadać. Potrafi też pokazać obrazki, tak że człowiek czuje, jakby przy tym wszystkim był. W życiu nie spotkałem lepszego wizualisty.

- Bannon.

- Mocny jest. Jadąc tutaj, napatoczyliśmy się przypadkiem na K'rrksów na wojennej ścieżce: uzbrojeni po zęby, wielgachni tacy, że jak przywała, to się potem goić nie chce, na dodatek jeszcze mieli ze sobą dwóch tych swoich zaklinaczy duchów. Bannon nawet nie zsiadł z konia. Zresztą, żaden z nas nie zsiadł. Po jakiejś minucie tamci byli poszarpani na strzępy, a jak któryś się ostał cały, to płonął żywcem. Nawet nie tknąłem swojego łuku.

Fistowi też zdarzało się spotykać wrogo nastawionych K'rrksów.

- Imponujące.

- Nie co dzień widzi się coś takiego, co?

- Trochę czasu minęło.

- Próbuję ci się odwdziżyć za to, że mnie oszczędziłeś. Ludzie, którzy narażają się szefowi, źle

kończą. Szybka śmierć. Fajna jest ta twoja sztuczka ze „zrobisz sobie krzywdę”, ale nie radziłbym ci jej próbować na Rudym Bannonie.

145

- Rudym? – Fist zmarszczył brwi. - Tak się nazywa? Rudy Bannon?

- My go tak nazywamy, bo ma rude włosy i brodę. Charlie mówi na niego Lazz, ale Bannon nie jest zachwycony. A ja nawet nie wiem, czy Bannon to jego imię, czy nazwisko.

- Czy ksywa. - Fist wbił wzrok w ziemię i pozwolił sobie na dwie sekundy żarliwej nadziei, że jednak się myli. - Więc Bannon, wysoki i rudy, jest zajebistym magiem bitewnym, tak? A Rozrywkowy Charlie, jego kumpel wizualista... Powiedz mi, nie jest czasem o dłoń albo dwie wyższy od Bannona, a przy tym chudy jak patyk? I śmieje się jak osioł, kiedy go kopnąć w jaja?

- Znasz ich.

- Niezupełnie.

Fist przetarł oczy. Szybko się zorientował, że próbuje rozmasować nadciągającą migrenę.

Kilka dni na wytropienie koni zbiegłych z należącej do córki stajni.

Całkiem jak urlop. Biwaki w górach, świeże powietrze i źródłana woda zamiast dymu i gorzały. A zamiast tego, nie wiadomo jak i kiedy, wpie-przył się prosto w następną maszynkę do mięsa. Mogliby stawiać jakieś znaki ostrzegawcze czy coś.

Bo jak już ci maszynka wciągnie fiuta, to jest za późno.

\*\*\*

Po jakimś czasie wałach potruczał się paść, a końska wiedźma podeszła do Fista i Tannera.

- Pokaż no ten bark.

Mężczyźni spojrzeli na nią krzywo.

- No co?

Fist zszedł jej z drogi. Łucznik parsknął śmiechem.

- To, że umieram, bynajmniej cię nie powstrzyma, co?

Odpięła pas. W jej dłoni pojawił się jeden z małych nożyków, którym zaraz rozcięła Tannerowi ubranie wokół barku, odsłaniając ranę.

- Nie umierasz.

- A gdybym umierał, uznałabyś to za dostatecznie ważną okoliczność, żeby najpierw podejść do mnie, a dopiero potem opiłować kopyta jakiegoś przeklętego wałacha?

- Nie.

Tanner zdziwił się i zmarszczył brwi. Spojrzał pytająco na Fista, który tylko rozłożył ręce.

- Pytałeś.

- No tak.

Wiedźma wyjęła zza pazuchy pęczek jakichś liści. Były ciemne i pomarszczone, ale jeszcze wilgotne. Włożyła je do ust i zaczęła żuć w zadumie, zupełnie jak koń, który skubnął garść słodkiej trawy.

- Nie przypominasz normalnej kobiety - powiedział Tanner.

Skinęła z roztargnieniem głową i dwoma palcami wyjęła z ust przeżute liście. Napchała ich do obu ran (wlotowej i wylotowej), po czym przykryła je mokrym od krwi kaftanem i na nowo zacisnęła pas wokół barku.

- Wyliżesz się.

Wstała i ruszyła pod górę.

Tanner już zaczął odzyskiwać rumieńce.

- Czuję, jakby... A niech to... Czy ty naprawdę właśnie mnie...?

Zawiesił głos. Końska wiedźma szła przed siebie, jakby zdążyła już o nich obu zapomnieć. Fist ruszył za nią.

- Chwila, poczekaj. Ej! - Szlag by ją trafił. - Jak ty się w ogóle nazywasz?

Zatrzymała się w najwyższym punkcie grzbietu.

- Krew je niepokoi - powiedziała. - A na górze jest ogrillo.

- Kogo niepokoi? I... - Fist zmrużył oczy i spojrzał na urwisko. - Widzisz go stąd?

- Stado wie. - Ruchem głowy wskazała płytkie zagłębienie, w którym Tanner uwiązał swoje konie. - Nic im już nie grozi.

Konie Tannera ruszyły ostrożnie w ich stronę, jakby wcześniej czekały na pozwolenie. Fist wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Kompletnie cię nie rozumiem - przyznał.

Wiedźma zrobiła znudzoną minę.

- Gdybym go nie powstrzymał, zabiłby cię...

- Ciągle ktoś mnie zabija.

- ...a ty mu pomagasz... I co to w ogóle znaczy, kurwa, że ciągle cię ktoś zabija?!

Mrugnęła do niego lodowatym okiem.

- Przyzwolenie.

- Pierdolenie.

Zawróciła i ruszyła z powrotem do wąwozu i stada.

- Kochają go.

- Kto, jego konie? Ja pierdolę, żarty sobie robisz, kobieto?! Konie go kochają, więc jest dobrym człowiekiem?

- Lepszym od ciebie.

- Co ty powiesz... To nie sztuka.

Nie zatrzymała się. Gniadosz, którego wcześniej dosiadała, wyszedł zza skalnego występu i dreptał jej na spotkanie. Konie Tannera kluczyły wśród skał, rżąc z lękiem, jakby nawoływały gniadego, a zarazem bały się, że odpowie.

Fist skinął na nie i machnął ręką za siebie. Czuł się jak idiota.

- Jest tam, na dole. Nic mu nie będzie.

Podeszły bliżej. Zupełnie jakby go zrozumiały. Obejrzał się na Tannera.

- Mam tu twój łuk. I nóż. I strzały. Na razie sobie nie postrzelasz.

- Jeżeli moja wdzięczność coś dla ciebie znaczy...

- Najlepiej podziękujesz, schodząc mi z oczu. Czuję się jak dureń, kiedy muszę zabić kogoś, kogo wcześniej oszczędziłem.

- Nikt tego nie lubi. - Tanner pomachał mu zdrową ręką. - Tak czy inaczej, dzięki.

- Odpierdol się.

Fist potruchtał za wiedźmą. Znowu.

**KOŃSKA WIEDŹMA 3**

# PROPOZYCJE

DZIEWCZYNA LUBI, KIEDY JĄ PROSZĄ, OŚLE.

- KOŃSKA WIEDZMA

*HISTORIA WOJNY W FALTANE* (WYD. POPR.)

Potruchtał za wiedźmą.

Zdążyła przez ten czas dosiąść gniadosza. Jechała na nim tak swobodnie, jakby był naturalnym przedłużeniem jej ciała. Fist pochylił się i przy-

śpieszył. Biegł lekko, bez wysiłku, i szczyrzył zęby w uśmiechu: to było piękne uczucie, kiedy nogi robiły to, co im kazał.

Gniady musiał go usłyszeć, bo przyspieszył kroku, aż Fistowe „bez wy-siłku” gdzieś się ulotniło.

- Ożeż kurwa wasza mać, nie moglibyście się po prostu zatrzymać?!

Zatrzymali się.

Dogonił ich, dysząc ciężko.

- No nareszcie. Zmieniłaś zdanie?

- Nie.

- Więc?

- Dziewczyna lubi, kiedy ją proszą, osie.

149

Spojrzała na niego swoim sarnim okiem. Na widok jej nieoczekiwanie łagodnego, dobrodusznego uśmiechu coś szarpnęło mu się w piersi.

- Jasne, rozumiem. - Pokręcił głową. Musiał odwrócić wzrok, żeby nie odpowiedzieć jej uśmiechem.  
- Powinienem chyba zacząć notować.

- Szorstki jesteś. Nastroszony. Kolczasty. Ciągłe naciskasz, pokrzyku-jesz, straszysz. Tak się nie postępuje z koniem.

Ani z kobietą, najwyraźniej. W każdym razie nie z tą kobietą.

- Przepraszam - odparł i ze zdumieniem stwierdził, że mówi szczerze. -

W moim życiu nie ma miejsca na oglądę towarzyską.

- To smutne.

- Na smutek też nie.

To jej dało do myślenia.

- Mimo to, żal mi cię.

- Niepotrzebnie. - Użalający się nad nim obcy mogli doprowadzić do tego, że sam zaczniesz się nad sobą użalać, co z wielu względów byłoby śmiertelnie niebezpieczne. - Nie martw się o mnie.

- Rozkazujesz mi się nie smucić?

- Droga pani, naprawdę ma pani większe problemy niż moje gówniane życie.

- Skąd wiesz?

- Przestań, dobrze? - Powstrzymał ją, unosząc dłoń. - Proszę. Nic nie mów i słuchaj.

Jej spojrzenie było równie cierpliwe jak skały za jej plecami.

- Ten gość z łukiem... Widzisz, nie on jeden się tu pęta z zamysłem zabicia cię. Jest ich więcej. Znacznie więcej. A w porównaniu z ich szefem ja jestem mniej więcej tak samo groźny jak worek szczeniaczków. Chodzi im o stado. Myślą, że jak cię zabiją, to je przejmą.

- Rozczarują się.

- Wiem, ale miło by było, gdyby ktoś im o tym powiedział, zanim cię stukną.

Pokiwała w zadumie głową.

- Miło by było.

150

- Nie chcą cię zabijać, kiedy jesteś przy stadzie, ale jeśli nie będą mieli wyboru, w końcu to zrobią. I nie ty jedna wtedy ucierpisz. Konie też. Niektóre zginą.

- Najprawdopodobniej.

- Nie przejmujesz się tym zbytnio.

- Ja tego nie robię.

- To znaczy? Ich los jest ci obojętny? Nie chronisz ich, nie rządzisz ni-mi... To co ty, kurwa, właściwie robisz, hę? Ale tak poważnie.

Spojrzała na niego obojętnie.

- Wybaczenie...

- I przyzwolenie, wiem, wiem. Pieprzenie w bambus. Wybaczenie, przyzwolenie, czasem pedikiur.

Uśmiechnęła się do niego i odpowiedziała przyjaźnie, bez cienia protekcjonalności.

- Zdarza się, że koń ma jakiś problem, przy którym mogę pomóc: obola-

ła noga, rozcięcie, wbity cierń z kaktusa... Tego typu sprawy. Kciuki bywają niezastąpione. Innym razem to ja mam problem, przy którym potrzebuję pomocy konia, kiedy muszę szybko gdzieś dotrzeć, powiedzmy. Albo wybieram się gdzieś daleko. Albo chcę, żeby ktoś mnie popilnował, kiedy śpię. Do niektórych rzeczy kopyta nadają się lepiej niż kciuki. Konie nie robią tego dlatego, że jestem końską wiedźmą, a ja nie dlatego im pomagam. Po prostu tak się zachowują przyjaciele.

- Zaraz, zaraz... - Zmarszczył brwi. To brzmiało sensownie. - Co się sta-

ło? Nagle zaczęliśmy prawie normalnie rozmawiać.

- Bo zaczęłaś rozumieć, czym jestem.

- Powiedziałem „prawie” - zastrzegł się. - Chciałbym cię zrozumieć, naprawdę. Kłamałem wcześniej, mówiąc, że mam cię w dupie. Tylko że jeśli przed zachodem słońca masz być martwa, to nie bardzo jest sens się starać.

Zmarszczki wokół jej oczu wyrażały tylko niezmałowany spokój i cierpliwe współczucie.

151

- Ja nigdy nie umieram.

- A gdzie się podziało „ciągle mnie ktoś zabija”?

- Zostać zabitym to nie to samo co umrzeć.

- Dla większości ludzi jedno depta drugiemu po piętach.

Lekceważące wzruszenie ramion.

- Ludzie.

Wiedział, że tylko bardziej się na nią wkurzy, ale nie umiał się powstrzymać.

- A ty nie zaliczasz się do ludzi?

- Jestem końską wiedźmą.

- Końska wiedźma nie jest człowiekiem?

- Końska wiedźma jest mną.

Otworzył usta do ciętej riposty, ale zmienił zdanie. Usiadł na kamieniu i podparł czoło dłonią.

- Dobra, nieważne. Śniło mi się, tak sobie teraz myślę, że rozmawiałem z taką całkiem niebrzydką babką na koniu i ta nasza rozmowa do czegoś prowadziła. Miała sens.

- Doprowadziła dalej, niż mylisz. Zaczynam cię lubić.

- Słucham?

- Lubię, kiedy milczysz. Jesteś rozważny. I przejmujesz się. Nawet mną, chociaż mnie nie znasz. Chciałam cię polubić od samego początku, ale to nie takie proste. Niełatwo cię polubić.

- Wszyscy mi to mówią.

- Mam nadzieję, że nie przestanę cię lubić, bo chciałabym, żebyś i ty mnie polubił. Kiedy na ciebie patrzę, myślę o seksie.

Zakaszłał, zakrztusił się i znów zakaszłał.

- Że co, proszę?

- Jesteś wyjątkowo pięknym mężczyzną. Silnym. Wysportowanym.

Wszechstronnie utalentowanym. Wiesz, że możesz pociągać kobiety. Mnie pociągasz. Kiedy na ciebie patrzę, myślę o seksie. Z tobą. Seks z tobą bę-

dzie bardzo, bardzo dobry.

Jeszcze raz zakaszłał. Nie pomogło.

152

- Nie jestem dla ciebie za stary?

- Za stary?

Roześmiała się. W jej śmiechu rozbrzmiał trzask cielących się lodowców, zgrzyt skał w podziemnych uskokach tektonicznych, szum przyboju i cisza miękkiej, wilgotnej zgnilizny, która staje się żyzną czarną ziemią, dudniącą pod miliardem lat kopyt, stóp i pazurów istot tak prastarych, że wszelki ślad po nich zagał...

A w niej przetrwał.

W niej nadal żyły, biegły, walczyły, pieprzyły się i wzywały ją, żeby przyszła się z nimi pobawić w

ich wymarłej wieczności.

- O rany... - stęknął. - Nie, bez jaj, przestań, nie...

Wpatrywała się w niego swoim lodowym okiem - i coś w głębi jego życia pękło, wystawiając go nagusieńkiego na pastwę wichrów wieczności.

Kłębili się wokół niego i rozdrapywały jego istnienie szeptem ostrego jak brzytwa lodu.

- Przestań. Proszę cię, przestań. - Zakrył oczy rękami. Na próżno. - Nie rób tego!

- Lata nic nie znaczą.

Jej głos znów stał się ciepły, ludzki. Dostrzegł figlarne zaproszenie w jej oczach, i w zimnym, i w ciepłym; znów coś podskoczyło mu w piersi.

Jeszcze raz i to coś pęknie.

- Tutaj obowiązuje czas koński - dodała.

- Nie wiem, co to takiego.

- Czasem zjedzenie jabłka potrafi wypełnić cały dzień.

- To ma być, nie wiem... metafora seksu?

- A chcesz, żeby tak było?

- Eee... Kurna. Już wiem. Rozumiem. Chyba. Posłuchaj, z tym seksem...

Nie wydaje ci się, że najpierw powinniśmy zostać sobie... przedstawieni?

- Ja cię znam. Ty mnie poznajesz.

- Nie znam nawet twojego imienia.

- Jakiego imienia?

Na to nawet nie zamierzał próbować odpowiadać.

153

- Podobno mam dryg. Do seksu.

- Ehm... Cieszę się.

- Ponadprzeciętny.

- Nawet sobie nie wyobrażam.

- To prawda. - Uśmiechnęła się szerzej. - To zmieni twoje życie. Na lepsze. To tylko opinia, ale nie bezpodstawna. Przeciwnie, solidnie uzasadniona.

- Wiesz co... - Przetarł oczy. Miał przecież na podorędziu jakieś kłamstewko, tak, na pewno, przed chwilą, ale teraz nawet się nie domyślał, co to mogło być. Westchnął. - Kiedy na ciebie patrzę, nie myślę o seksie. Prawdę mówiąc, w ogóle wtedy nie myślę. Nie bardzo mogę.

- Dziękuję.

- To nie miał być... - Ugryzł się w język, bo uświadomił sobie, że to miał być komplement i, zaprzeczając temu, tylko się bardziej wydurni. - Ja też cię lubię. Serio. Tylko że nie przepadam za takim przypadkowym seksem. Poza tym jestem teraz trochę zajęty, rozumiesz? Życie mi się skomplikowało.

- Nie rozumiesz, co tu się dzieje.

- A nie próbujesz mnie poderwać?

- W twoim świecie ludzie mówią różne rzeczy, żeby kogoś wysondować, przekonać, uwieść, zmanipulować, oszukać albo zdominować. Ale to jest mój świat. Kiedy coś mówię, to dlatego, że uważam, że to prawda, i chcę się nią z tobą podzielić. Chcę, żebyś wiedział, że mi się podobasz i że jeśli nadal będziesz mi się podobał, kiedy zdecydujesz się na seks ze mną, będziemy szczęśliwi. Oboje. Przez długi czas.

- A gdyby, tak teoretycznie, zachciało mi się seksu z tobą kiedy indziej, kiedy nie będę ci się podobał?

- Wtedy jedno z nas umrze.

- Aha...

- Mnie nie można zmusić. Ani do seksu, ani do niczego innego.

- Nie musisz się martwić...

- Nie martwię się.

154

- Mówisz serio? Nie można cię do niczego zmusić? Tak... zupełnie?

- Ja tego nie robię. - Spojrzała na niego zimowym okiem. - Ci, którzy próbują zmusić mnie do uległości, cierpią. Wielu umiera.

- Ale ty nie.

- Czasami. Ale ponieważ nigdy nie jestem martwa, nie przeszkadza mi to.

- Jedno ci powiem: jeżeli dzisiaj zginiesz, zapomnij o seksie. Ludzie różne rzeczy wygadują na mój temat, ale zimnych nie pukam.

Zmarszczyła brwi. Na jej czole zarysowała się sugestia przyszłej zmarszczki.

- W porządku. Zwykle po prostu daję im się zabić. Ale ty możesz być tego wart.

- Pochlebiasz mi.

- Powiedziałam „możesz”.

Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem. Cokolwiek to było w jego piersi, szarpnęło się po raz trzeci i tym razem pękło. Wiedział

już, że to się skończy łzami.

Beznadziejna sprawa: dostatecznie stary, żeby wiedzieć lepiej, a jednocześnie na tyle młody, żeby nie móc się oprzeć.

Otrząsnął się.

- Najpierw musimy wytropić skurwieli. Orbek jest niezłym zwiadowcą...

- Są tam. - Wskazała mniej więcej na wschód. - Łączą się trzy wyschnięte żleby. Mnóstwo kamieni. - No co? - zdziwiła się, widząc jego pytające spojrzenie. - Stado wie. Orbek jest ogrillem?

- Tak.

- W takim razie już ich znalazł.

Na jedno, może dwa uderzenia serca wiatr zmienił kierunek na wschodni i Fist usłyszał serię nieregularnych, odległych kaszlnięć. Magijne fajer-werki wystrzeliły ponad wzgórza i nagle kwestia tego, kto znalazł kogo, stała się całkowicie otwarta. Bez słowa puścił się biegiem w tamtym kierunku. Zdążył zrobić ledwie kilka kroków, gdy trzy eksplozje oblały niebo 155

ogniem i ostrzelały kamiennymi odłamkami, a potem cały wylot bocznego wąwozu stał się żywą falą: to wiedzmię stado zerwało się do galopu i po-gnało na otwartą przestrzeń.

Fist biegł, ile sił w nogach.

Od urwiska dzieliło go niewiele ponad pół mili. Klasztorna Autodyscy-plina pozwalała mu robić takie sztuczki z chemią krwi, że dobiegnie na miejsce sprintem, zdyszany, ale nie aż tak, żeby nie móc pociągnąć za spust.

Za jego plecami przetoczył się grzmot - a on sobie przypominał, że od trzech dni niebo było

całkowicie bezchmurne. Obejrzał się przez ramię. To ogromny gniadosz galopował w jego stronę, niosąc na grzbiecie końską wiedźmę. Wyciągnęła do niego rękę.

W sam raz wystarczyło mu czasu, żeby wyobrazić sobie (ze wszystkimi przykrymi szczegółami), jak we troje z gniadoszem i wiedźmą ryją twarzami w glebę, bo ona nie używa siodła, uzdy, strzemion ani innego ustrojstwa, które umożliwiłoby taki manewr - ale wtedy ona złapała go za rękę, w idealnym balansie odchyliła się w przeciwną stronę i wciągnęła go na koński grzbiet. Usiadł za nią, objął jej szczupłą talię i przytulił się do niej tak mocno, jakby naprawdę nie myślał o seksie z nią.

Skinęła mu głową i podnosząc głos, żeby przekrzyczeć świst wiatru i basowy tętent kopyt, przypomniała:

- Tak się zachowują przyjaciele...

Odpowiedział jej skinieniem głowy i ścisnął ją w pasie.

Jeszcze mocniej.

\*\*\*

Wyglądało na to, że stado doskonale orientuje się w rozmieszczeniu innych żywych istot w okolicy. Końska wiedźma wstrzymała gniadosza na nasłonecznionym zboczu, w miejscu, z którego dalej musieli ruszyć pieszo wśród skał. Fist nie widział żadnego śladu napastników, ona jednak bez namysłu wskazała mu dalszą drogę.

156

- Tędy.

I poprowadziła go krętą ścieżką najpierw przez to wzgórze, potem południowym stokiem następnego, wyższego i bardziej skalistego - i tam w końcu usłyszał charakterystyczne terkotanie krótkich serii ze SPARa-12.

- Orbek! - zawołał. - Orbek, ty niedoruchany ścierwojadzie, co tu się dzieje?! Całkiem cię, kurwa, pojebało?!

Nastąpiła cisza, w której spokojnie dogorywało echo.

- Ehm... Cześć, braciszku. Przepraszam.

- Kazałem ci się nie wychylać, i co? Nie dotarło do tępego łba? - Fist kluczył wśród głazów. Młody ogrillo leżał za naturalną barykadą z postrzę-

pionych skał z okiem przyklejonym do celownika. Mierzył w dół zbocza. -

Odlóż ten francowaty karabin!

- Już, braciszku. - *Barn!* Ktoś na dole jęknął. - Kutasina...

- Orbek...

- I tak najwyższy czas gdzieś przeskoczyć. - Orbek wycofał się ze stanowiska, usiadł i położył sobie broń na kolanach. - Cześć.

- Tak, kurwa, cześć.

Szare, skórzaste policzki ogrilla pociemniały. Spuścił wzrok.

- Zaskoczyli mnie, kiedy cię pilnowałem. Podeszli pod wiatr. Ale wiatr się zmieniał, to dla mnie dobrze, co? Gdyby nie to, nie zorientowałbym się.

Mogliby mnie zadźgać nożem. Słabo by to wyszło, co? Nikt nie chciałby umrzeć w taki żenujący sposób. Ale nie, ja ich zwęszyłem, i zwałem wy-

zej, a wtedy taki jeden wyszedł i mówi: „Nas jest trzydziestu. A ty? Co tam masz?”. - Wzruszył ramionami. - Więc mu pokazałem, skoro tak ładnie prosił...

Fist przetarł zmęczone oczy.

- Ilu zabitych?

- Żaden. Teraz pewnie powiesz, że jestem amatorem.

- Właśnie to próbuję ustalić.

- Paru jest rannych. Poważnie. Przestrzeliłem im kolana. Trzech, może czterech. Potem postawili Tarczę. No i jeszcze ten teraz, ostatni.

- Świetnie.

157

- Ale za to łucznika ładnie odstrzeliłem, co? Błyskotliwie, nie uważasz?

Fist nie odpowiedział. Znalazł sobie wśród skał miejsce, w którym mógł jeszcze chwilę pożyć.

- Panienko? Wybacz, proszę, mojemu braciszкови, nie ma za grosz dobrych manier. Jestem Orbek Czarny Nóż: Taykarget.

Z powagą skinęła głową.

- Końska wiedźma.

- Miło poznać. Nie chciałbym cię zjeść.

- Nawzajem.

Fist przeczołgał się wśród kamieni i wyrzwał na pole bitwy. Orbeka zaskoczył pewnie ktoś taki jak Tanner, zwiadowca, który przypadkiem wy-płoszył go z ukrycia, gdy wspinał się na skały, gdzie zamierzał urządzić sobie punkt obserwacyjny. A teraz ogrillo (który miał dryg do wszelakiego oręża, ale najlepiej radził sobie z bronią palną) zajmował pozycję na górze, miał SPARa i doskonały widok w głąb wszystkich trzech wąwozów. W

taką pułapkę każdy może wpaść, nawet ktoś bardzo bystry, jeśli nie przewidzi, że wróg może mieć karabin szturmowy.

Tyle że Orbek złapał smoka za ogon: gdyby się cofnął, przestałby szachować przeciwników i ci w mgnieniu oka opadliby go jak szarańcza.

Strzelanie po kolanach oznaczało, że mają unieruchomionych rannych, którzy wymagają opieki; to ich spowolni, ale na pewno też zmotywuje do akcji odwetowej.

- Chryste Panie, ależ się to wszystko popierdoliło... - mruknął Fist. -

Granaty?

- Mają taumaturgów, a ci mają Tarcze. Trzeba by je najpierw jakoś zdjąć. Jak to jest, że tamci zawsze mają swoich taumaturgów...

- Nie wiem. Co ja, kurwa, wróżka jestem?

- ...a my nigdy.

- Nienawidzę taumaturgów. A teraz się zamknij.

- Od kiedy to? Przecież ożeniłeś się z...

- Nie słyszałeś, jak kazałem ci się zamknąć?

158

- W dodatku kumplujesz się z cesarzem Deliannem, który jest chyba...

- Orbek.

- Przepraszam. Już.

Fist jeszcze raz przetarł oczy, przesunął ręką po czole, przeczesał włosy palcami, wytrząsając z nich piasek, aż w końcu mruknął:

- Pieprzyć to.

Zszedł ze stanowiska strzeleckiego.

- Danny! - zawołał. - Danny Macallister! Jesteś tam? Dobiegający z daleka głos odbił się echem od skał:

- A kto to, kurwa, jest, ten Tammie Mick Lassiter?!

- Danny, to ja, Hari Michaelson. Chodź do mnie. Pogadajmy.

Długą ciszę przerwał w końcu inny głos, bardziej basowy i dobiegający ze znacznie mniejszej odległości:

- Nie chrzań.

Fist pokiwał głową.

- Jest z tobą Liam? Tu Hari Michaelson. Liam, daj głos.

Trzeci głos, jeszcze bliżej:

- Jestem, jestem. Byłbym się wcześniej odezwał, ale mnie zatkało. Hari Michaelson, ja cię pierdolę w tę i z powrotem... Może mi ktoś wytrzeć gacie? Zesrałem się z wrażenia. Słyszałem, że nie żyjesz!

- Też tak słyszałem. Danny? Lee? Musimy pogadać.

- Znasz ich - zauważyła półgłosem końska wiedźma.

- Ze słyszenia - odparł, również zniżając głos. - Tak jak oni mnie.

Basowy głos Danny'ego poniósł się po zboczu:

- Jak cię mamy nazywać?

- Jonathan Fist. Ty jesteś Rudy Bannon, tak? A Lee to Rozrywkowy Charlie, zgadza się?

- Dziewczyny mnie tak nazywają.

- Tylko te, które cię nie znają - mruknęła końska wiedźma.

Fist wolał nie pytać, skąd to wie.

159

- Słuchajcie, panowie, proponuję nie wracać do przeszłości. Zgadza się?

- Zależy, o czym mówisz.

- O tym, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli nie będziemy używać swoich dawnych imion.

- W porządku. Chciałeś porozmawiać, tak? No to rozmawiajmy. Co możemy dla ciebie zrobić?

- Ważniejsze jest, co ja mogę zrobić dla was, Rudy. Tylko nie jestem pewien, czy na pewno chcesz, żebym o tym krzyczał na całą dolinę. Kapujesz?

Orbek pochylił się nad Fistem.

- *Aktiri*, co?

- Mhm.

- A jakie oni mają inne imiona, co? Może ja też ich znam?

- Stul dziób, pierdolcu jeden - syknął Fist i odwrócił się do ogrilla. Miał

bladą, ściągniętą twarz. Wyglądał tak, jakby od południa postarzał się o dziesięć albo dwadzieścia lat. - Rozrywkowy Charlie to Morgan Blackwood.

Orbek wybałuszył oczy.

- Grh... - warknął gardłowo. - W takim razie ten drugi to musi być...

- Byle cicho.

- Strzelałem do jebanego Lazarusa Dane'a?! - Ogrillo przewrócił oczami. - Kurwa, ja to jednak jestem w czepku urodzony...

- To teraz, kurwa, rozumiesz, dlaczego lepiej załagodzić sprawę, póki jeszcze jest co łagodzić. Hm?

- Ale... ale to jest Lazarus Dane, kurwa, braciszku! Lazz Dane! Przecież on by mógł spierdolić nam całą tę górę na głowy, gdyby chciał! Na co czeka?

- Masz karabin - odparł ponuro Fist. - A on nie chce go uszkodzić. Tak samo jak granatów i ewentualnych innych artańskich zabaweczek. Do tej pory nie wiedział, że coś takiego istnieje w tym świecie. Teraz wie.

Orbek przetrawił jego słowa i oparł się ciężko o głaz.

160

- W dupę...

- Magją można wiele spraw załatwić, ale nie da się dyskretnie odstrzelić klienta z odległości dwóch kilometrów.

- No tak... - Orbek westchnął. - Ale powiedz, ładnie trafiłem tego łucznika, co?

- Zapytasz mnie jeszcze raz, jak wyjdziemy z tego cała.
- Michaelson?! - zawołał Bannon. - Posłuchaj, jeżeli po prostu chcesz się stąd ulotnić, możemy się dogadać. Fajną masz spluwę.
- To prawdziwe dzieło sztuki, więc zapomnij. Ale mam coś lepszego.
- Lepsze też mnie interesuje, nie powiem.
- Spotkałem niedawno waszego łucznika, Tannera.
- Jego mama się zapłacze.
- On żyje.
- Powaga?
- Na razie.
- Tyle to o każdym z nas można powiedzieć. Pewnie wyjdę na zimnego drania, ale muszę zapytać: dlaczego go nie zabiłeś?
- Nie musiałem.
- Nie przypominam sobie, żeby kiedyś cię to powstrzymało.
- Może postanowiłem zacząć zachowywać się jak dorosły.
- Niech mi gówno uszami wypłynie... Cóż, wszyscy się starzejemy. Ty też.
- Tacy jak my się nie starzeją. Najpierw robimy się powolni, a potem jesteśmy martwi. Powolny już jestem.
- Ależ z ciebie pogodny chłopak...
- Ten wasz Tanner puścił farbę o was i tym waszym hrabim Palante czy jak mu tam... A ja zacząłem sobie kombinować: Rudy Bannon wygląda mi na poważnego zawodnika, ale ktoś pokpił sprawę. Myślę dalej, chyba wiem, kto to jest ten cały Bannon. A raczej kim był. Domyślam się też, kim był jego fumfel Charlie. Gdyby się dowiedzieli, kim ja kiedyś byłem, to razem moglibyśmy mierzyć dużo wyżej niż odgrywanie kowbojów dla jakiejś popierdółki.

161

- Domek na prerii fajna rzecz - odparł Bannon. - Za pieniądze z tej fu-chy będziemy balować przez cały rok.
- I co z tego? To zwykła fucha, Danny, nie więcej. Ja rozumiem, można zarabiać na życie, odwalając

za kogoś brudną robotę, ale nie wydaje ci się, że taki cwany sukinkot jak ty powinien raczej płacić innym, żeby na niego harowali? No powiedz, nie mam racji?

- Chyba nie będziecie słuchać tego patafiana, co? - zabrzmiał obcy głos.

- Hrabia nie będzie zachwycony, kiedy się o tym...

Wydłużające się cienie w wąwozie zniknęły w rozbłysku zielonego ognia. Grzmot eksplozji długo przetaczał się wśród skał. Cisza, która po nim zapadła, trwała jeszcze dłużej.

- Jeszcze ktoś? - spytał Bannon, nie podnosząc głosu.

Kolejna długa cisza.

- Mówię serio - powiedział Bannon. - Czy ktoś jeszcze chce mi tłumaczyć, co powie hrabia, kiedy się dowie?

Cisza coraz dłuższa.

- Michaelson?

- Fist. Jestem tutaj.

Bannon przeszedł na angielski:

- Co proponujesz? Szukasz zajęcia?

- Nie gniewaj się, Danny - odparł również po angielsku Fist - ale powiem ci, że prowadzisz kurewsko ostrą politykę dyscyplinarną w tej swojej korporacji. To nie dla mnie.

Bannon wybuchnął śmiechem.

- Więc jaką masz ofertę?

- Na pewno słyszałeś o mnie, Studiu i tak dalej?

- Coś tam słyszałem. Podobno po tym, jak ci sprzątnęli żonę, rozpieprzyłeś pół Ankhany. A potem kazałeś się za to całować po tyłku.

- Mniej więcej. Dla takich jak my nie ma powrotu do domu. Nie ma i nie będzie.

- Minęły trzy lata... Pewnie masz rację.

- A my się starzejemy, Danny. Facet w naszym wieku powinien sobie szukać przytulnego kąta na emeryturkę.

Cisza. A potem:

- Mów dalej.

- Hrabia Palante... Podobno nieźle się urządził? Wioski, kilka miast, ładna stolica. Właściwie nie potrzebuje już nawet nowych ziem, tylko po prostu lubi mieszać, bo taką ma skurwysyńską naturę.

- A kto jej nie ma?

- To fakt, ale są różne skurwysyny. Tacy jak on, i tacy jak my.

- Jak my... - Bannon się zadumał. - Słucham.

- Już mówię. W promieniu dwustu mil jest dosłownie paru ludzi, którzy wiedzą, kim byłem. A ja jestem chyba jedynym facetem w okolicy, który wie, kim wy byliście. W oparciu o tę wiedzę doszedłem do wniosku, że we trzech uda nam się bez problemu przekonać Palante, żeby zabierał ten swój hrabiowski zad w pizdu. Bez wahania, bez gadania oraz dupy zawracania.

- Ty jakoś specjalnie ćwiczysz takie pierdolenie? - zapytał Charlie, również po angielsku. - Czy po prostu masz naturalny słowotok?

- Pieprzyć konie. Zostawimy je w spokoju. Nie są nam potrzebne, a bez nich Palante nikogo nie napadnie ani w tym roku, ani w przyszłości. Nie pracujemy już dla Studia, Danny. Nie musimy wszczynać wojny, żeby zarobić na życie.

Cisza.

- Rudy? Facet ma trochę racji. - To Charlie. - Jeśli coś się źle ułoży, wojna przeora kraj, ludzie zaczną umierać i nie będzie się tam już tak przyjemnie mieszało.

- To ryzykowne. Kurewsko ryzykowne.

- Pomyśl, Danny. Zamiast wywoływać wojnę, możemy ją zakończyć, nim wybuchnie, i przejść na emeryturę jako ziemianie.

- To nie przejdzie - odparł ponuro Bannon. - Nie da rady, dopóki hrabia żyje.

- Oj Danny, Danny, Danny... - Fist zaśmiał się paskudnie. - Zapomnia-

łeś, z kim rozmawiasz?

163

Cisza.

- Powiem ci, Rudy, że tu też ma trochę racji.

- Taaa - przytaknął Bannon. - Bez dwóch zdań.

\*\*\*

Fist położył twardą dłoń na jeszcze twardszym ramieniu Orbeka. Zniżył

głos; nie było sensu zdradzać się z tym, ilu ich jest ani kim dokładnie są.

- Weź jedzenie i broń - powiedział po westerlińsku. - Zostaw mi zapasowe magazynki do automaga i dwa pudełka kompozytowych rozdzieraczy. Zabierz złoto. Wsadź tych naszych dwóch nieszczęśników na konie, daj im zapasy na drogę i kopa w dupę. Niech wracają do Harrakhy.

- Jak sobie życzysz, braciszku.

- Potem trzymaj się wiedźniego stada. Ja będę potrzebował dziesięciu, dwudziestu dni. Jeżeli przez ten czas ktoś przyjdzie po konie albo końską wiedźmę, zabij go. Rozumiesz?

Mięsiste brwi ogrilla zbiegły się pośrodku czoła.

- A jak nie wrócisz?

- O to się będziesz martwił, jak nie wrócę.

Ogrillo pokiwał głową.

- Jak sobie życzysz.

- Zgiń w walce, Orbek.

- Zgiń w walce, braciszku.

Orbek zszedł do składziku ze sprzętem i zapasami. Ściemniało się.

Fist odwrócił się do końskiej wiedźmy.

- Opiekuj się nim, dobrze?

- Ja tego nie robię.

- Nie jako końska wiedźma. Jako przyjaciółka.

- W takim razie nie ma sprawy. - Spojrzała na niego z powagą. - To będzie dla ciebie niebezpieczne.

Wzruszył ramionami.

- Wszystko jest niebezpieczne.

- Wolę cię żywego.

- Dzięki. Ja też.

- Nie lubisz koni, ale bronisz ich przed niebezpiecznymi ludźmi. Nie znasz mnie, ale mnie również bronisz. Wiesz, dlaczego ryzykujesz życie w taki sposób?

Jego usta zacisnęły się w wąską poziomą krechę.

- Co tu ma do rzeczy jakieś „dlaczego”?

- Mam nadzieję, że po prostu wiesz. Tylko tyle.

Długo milczał. Słusznie przewidywał, że to się skończy łzami. W tej kwestii nigdy się nie mylił. Zawsze były łzy, on dobrze o tym wiedział i był

dostatecznie stary, żeby to przewidzieć, ale jej włosy pachniały słońcem, trawą i dzikimi kwiatami, a supły w jego sercu zacisnęły się w końcu tak mocno, że ledwie mógł oddychać.

- W porządku. - Odkaszlnął, przełknął ślinę i wziął głęboki wdech. -

Mogę cię dotknąć?

- Naturalnie.

Wyciągnął lewą rękę. Końska wiedźma wyszła mu na spotkanie z powagą, uroczyście, a jej oczy, jedno płowe, drugie białe, spotkały jego oczy, czarne jak niebo o północy. Zamiast od razu przyciągnąć ją do siebie, po-wiódł dłonią po jej szyi do nasady żuchwy, gdzie kość była lekko zdeformowana, jak po źle zrosniętym złamaniu. Przesunął palcami po policzku i dotknął małej, ledwie widocznej blizny ściągającej w dół kącik ust. Drugą dłonią dotknął jej lodowego oka i węzowatej blizny nad brwią. Przyciągnął

ją. Czubkami palców namacał krawędź kołnierza luźnego kaftana i dotknął

tego, co spodziewał się tam znaleźć: delikatna jak jedwab skóra okrywała nieregularnie powęzłone ciało.

Blizny po biczu.

- To wpisowe - wyjaśniła. - Nie każda dziewczyna może zostać końską wiedźmą.

- Musiało boleć.

- Jedne bardziej, inne mniej. Niektóre bolą do dziś. Ale ty wiesz wszystko o bliznach. Zwłaszcza ty.

- To takie oczywiste?

- To dlatego jesteś tu mile widziany. Zawsze byłeś i zawsze będziesz.

Przybывaj i odchodź, kiedy zechcesz. Zapłaciłeś za to.

- Chyba wiedziałem o tym już wcześniej. - Pocałował ją żarliwie, na ile pozwalały mu węzły w sercu: skromne muśnięcie warg na czole. - To jeden z dwóch powodów, dla których to robię.

Jej uśmiech był jak świt nad górami.

- Nadal mi się podobasz.

- A to zabawne... Bo to jest ten drugi powód.

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ 4

### WEJŚCIE BOHATERA

JEST BOHATERKĄ, MA'ELKOCIE. PRAWDZIWA, NIE TAKĄ JAK JA CZY TY, BEZ URAZY. NIE MOGŁA SIĘ BEZCZYNNIE PRZYGLĄDAĆ, JAK GINĄ NIEWIN-NI LUDZIE, I W TEN SPOSÓB WPLĄTAŁA SIĘ W TĘ AFERĘ.

- CAINE (PRAC. HARI MICHAELSON)

### *Z MIŁOŚCI DO PALLAS RIL*

Duncan ponownie otwiera oczy i stwierdza, że dołączyła do nich kolejna kobieta.

Wysoka, odziana w lśniącą turniejową zbroję. Włosy ma krótkie, kasz-tanowe, gdzieniegdzie zrudziałe od słońca. Stoi, wodząc wzrokiem po pustkowiu o zmiękczonech śniegiem konturach. Pod prawą pachą trzyma garnczkowy hełm, na lewym ramieniu ma tarczę. Broni nie widać.

- Witaj - mówi Duncan.

Odwraca się, spogląda mu w oczy i z powagą skłania głowę.

- To dla mnie zaszczyt, doktorze Michaelson.

167

- Duncanie, przedstawiam ci Angvasse Khlaylock. - Caine siedzi po drugiej stronie Duncana, obok końskiej wiedźmy. - Dawną Bojowniczkę Khryła.

Khryła... Ciekawe. Duncan przypomina sobie inną Khryliankę, wystę-

powiała w kilku wczesnych Przygodach Caine'a. Przypomina sobie również nazwisko Khlaylock.

- To ja jestem zaszczycony, pani. Proszę wybaczyć, że nie wstaję.

Angvasse przechyla głowę i spogląda na miecz.

- Uprzejmość przegrywa z koniecznością, doktorze.

- Zręczna odpowiedź. Nie musisz mnie nazywać „doktorem”, pani.

- Proszę o wybaczenie, mój panie. Wydawało mi się, że taki właśnie ty-tuł ci przysługuje.

- Teoretycznie tak... Jednakowoż od dawna już nie praktykuję swojej profesji, a nawet wówczas zwyczajowo tytułowano mnie raczej „profesorem”. - Odwraca się do Caine'a. - Czy lady Khlaylock

również należy do

„ludzi”, o których mi mówiłeś?

- Mhm.

- Nie znam jej. Czy w związku z tym mogę założyć, że jest tym, na ko-go wygląda?

- To zależy. A na kogo wygląda?

- Na twoją sojuszniczkę.

- Ja nie mam sojuszników, profesorze. Dla mnie liczy się tylko moja przysięga.

- Twoja przysięga? To ona cię tu sprowadza?

- Wszędzie mnie prowadzi. Moim obowiązkiem jest zawsze i wszędzie przynosić chwałę Zakonowi Khryła. Tutaj mam także dodatkowe obowiązki: bronić tego miejsca i wszystkiego, co się w nim znajduje, za pomocą wszelkich dostępnych mi środków.

- Będziesz nas bronić? Przed kim?

- Przed każdym, kto chciałby was skrzywdzić.

- Aha. - Duncan spogląda na Caine'a, który trzyma rękę na kolanie koń-

skiej wiedźmy. - To niezwykle, jak wielki wpływ na twoje życie mają skomplikowane związki z wyjątkowymi kobietami.

168

- Niezwykle u faceta, który stracił matkę w wieku sześciu lat?

- Jeżeli koniecznie chcesz mi wbić tę szpilę, musisz lepiej przycelować.

- Z wysiłkiem odwraca głowę ku Angvasse. - Pani, mam nadzieję, że zosta-

łaś tu miło przyjęta. Spocznij, proszę. Czuj się swobodnie. Odpocznij.

- Czuję się zupełnie swobodnie, profesorze. Wolę stać.

- To jakaś krewna, tak? - pyta Duncan. - Córka?

- Kobieta, którą przypomina, jest jego bratanicą. Ale równie dobrze mogłaby być córką. - Caine wzrusza ramionami. - Wychowała się u niego w domu.

- W domu człowieka, którego okaleczyłeś przez zaskoczenie.

- A później tak samo zabiłem.

Duncan dawno osiągnął stan, w którym nic nie powinno go zaskoczyć, ale mimo wszystko trudno mu przełknąć tę nowinę.

- Wydawałoby się, że po pierwszym razie będzie wiedział, że lepiej się nie zbliżać...

Caine znów wzrusza ramionami.

- Wyjątkowe okoliczności.

- Kiedy to się stało?

- Głównie teraz.

- Mimo to, jego bratanica jest tu z nami.

- Poniekąd. Okoliczności znów są wyjątkowe.

- To nie on go zabił - wtrąca Angvasse. - Purthin Khlaylock splamił honor swój, rodu Khlaylocków i Zakonu Khryla. To Khryl odebrał mu życie.

Ten człowiek miał tylko zaszczyt wystąpić w roli Jego wysłannika, nic ponadto.

- Wmówiłeś jej, że działałeś w imieniu Boga? Lepszy z ciebie łgarz niż myślałem.

- Niczego jej nie wmawiałem. Poza tym, to nie jest ona. Rozumiesz to, prawda?

- Hmm... - Od długotrwałego marszczenia brwi zaczynała go boleć gło-wa. - Wiem, że w pewnym sensie wcale nie jestem sobą. To oczywiste: nie mogę być dwudziestolatkiem z mieczem w brzuchu. Ale poza tym...

169

- Poza tym też nie jesteś sobą. Nikt z nas nie jest.

- Ja jestem - odzywa się końska wiedźma. - Nigdy nie jestem niczym innym.

- Z wyjątkiem końskiej wiedźmy. Ale ona jest wyjątkowa.

- Nadal nie bardzo rozumiem, czym właściwie jest - przyznaje Duncan i kiwa głową końskiej wiedźmie. - To znaczy, czym jesteś.

- Jestem końską wiedźmą.

- A końska wiedźma jest...

- Końską wiedźmą - dopowiada Caine. - Przyzwyczaj się. Rzecz w tym, że to miejsce jest

prawdziwym miejscem, ale jednocześnie jest metaforą.

Tak jak ten miecz jest zarówno metaforą, jak i prawdziwym mieczem. Ze mną jest tak samo, a ty musisz zrozumieć, że z tobą również. Wszyscy coś reprezentujemy.

- Oprócz mnie - podkreśla końska wiedźma.

- Oprócz niej.

- Ale co reprezentujemy?

- Gdyby to było takie proste, że dałoby się opisać w dwóch zdaniach, metafory byłyby zbędne, nie sądzisz? Mogę ci odpowiedzieć co najwyżej kolejną metaforą. Nawiasem mówiąc, każde z nas jest na swój sposób wyjątkowe. Na przykład, ta Angvasse nie jest prawdziwą Angvasse, ale do złudzenia ją przypomina, ponieważ prawdziwa Angvasse jest najpełniejszym wyrazem tego, czym towarzysząca nam kobieta jest naprawdę.

- Czyli kim? Kim jesteś? - Duncan zwraca się do Angvasse.

- Mam ci podać inne imię?

- Nie chcę cię urazić, ale mam szczerą nadzieję, że cię zrozumiem.

Caine krzywi się z niesmakiem.

- Tłumaczyłem ci, jak to jest z tą antropologią?

Angvasse kiwa głową.

- Służba prawdzie nigdy nie jest zniewagą.

- Więc kim naprawdę jesteś? - pyta cierpliwie Duncan. - Kto przed chwilą przysięgał bronić tego miejsca i wszystkich, którzy się w nim znajdują?

170

- Ja.

- Ty, która nie jesteś Angvasse Khlaylock.

- Jestem tak samo Angvasse Khlaylock, jak ona jest Mną. Ona jest Mo-im aspektem w tym miejscu.

- Aspektem? - Osobliwe mrowienie emanuje od miecza wzdłuż wszystkich nerwów i naczyń krwionośnych. - Jesteś bogiem?

- Nie przeraża cię to.

- Mój syn był żonaty z boginią.

- Ach tak.

- Zatem... jeśli Rycerz Khryla jest twoim aspektem, ty musisz być...

- Zgadza się, profesorze Michaelson - przytakuje kobieta w zbroi. Odwraca się i pokazuje mu spodnią część tarczy. Nie ma dłoni, która mogłaby ją przytrzymać: tarcza jest przypięta do zakończonego tęym kikutem przedramienia. - Jam jest Khiyl.

**WCZORAJSZE JUTRO**

# PACYNKI

PRZECIEŻ TO NIE WINA TOURANNA, ŻE BÓG, KTÓREMU SŁUŻY, ZAMORDOWAŁ MI  
ŻONĘ I OJCA, DOKONAŁ PSYCHICZNEGO GWAŁTU NA MOJEJ

CÓRCIE, A Z MOJEGO NAJLEPSZEGO KUMPLA ZROBIŁ SOBIE NIEŚMIERTELNĄ

PACYNKĘ. TACY PO PROSTU SĄ BOGOWIE.

ZRESZTĄ, PRAWDA JEST TAKA, ŻE JEST TAKŻE MOIM BOGIEM.

- DOMINIC SHADE

*CAINE CZARNY NÓŻ*

Dym dławił księżyc i przyprawiał aureole płonącym domom. Śmierdział

przypaloną wełną, płonąca krwią i gęstą, cuchnącą sadzą, jaka wznosi się spiralką nad nieprzyciętych knotów. Krzyki rozbrzmiewały rzadko. Cywi-le w Brodzie Purthina wiedzieli, że krzykiem można przywabić Łów, a żołnierze nie chcieli się hańbić wzywaniem pomocy. W oddali rozlegała się regularna kanonada broni palnej, bliżej dało się słyszeć tylko krótkie serie i od czasu do czasu ryk:

- *Dizhrati golzinn Ekk!*

172

Pożar był istnym darem niebios. Głębokie cienie drgały i falowały, stale zmienne, maskując jego ruchy. Nawet oczy ogrillów nie adaptowały się do ciemności tak szybko, żeby wypatrzeć go wśród płomieni. Przemykał pustymi ulicami, kluczył po czarnych jak atrament zaułkach, a tupot jego miękkich zamszowych butów tonął w zawodzeniu wiatru i huku ognia.

Podążał z biegiem rzeki, aż wypatrzył ulicę, na którą tamci wyszli wtedy z wody. Ulicę, przy której stała gospoda.

Przy której kiedyś stała gospoda.

Zatrzymał się, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Oparł się o pobielony mur i usiłował rozewrzeć zaciśnięte kurczowo zęby.

- To nie była jakaś tam „gospoda”, do diabła! - wycedził. - To był „Pratt i Redhorn”. Przynajmniej to powiedz, kurwa...

Trudno było precyzyjnie ustalić, w jaki moment się wstrzelił, ale był w zasadzie pewny, że minęło raczej kilka godzin niż kilka minut od chwili, gdy Markham Tarkanen, pierdolony Sprawiedliwy, spoliczkował go tak, że mu pękła czaszka. Przez ten czas pięciu Uprzywilejowanych gnojów w przebraniu Dymnych Łowców używało sobie w najlepsze.

Kilka godzin. Jezu...

Próbował sobie wyobrazić jakieś szczęśliwe zakończenie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Pięć prawie niezniszczalnych potworów stero-wanych przez bandę nastoletnich socjopatów. Którzy mieli dostać dodatkowe punkty za zabicie wszystkich w „Pracie i Redhornie” i spalenie gospody.

Kravmik Redhorn, który potrafił tak upiec kaczkę, że przy każdym kęsie łyzy napływały człowiekowi do oczu. Który sam odkrył sekret wytwarzania szkockiej. Lasser Pratt, zapracowany i zabiegany gospodarz i ojciec rodziny. Ytrall, jego piękna i zapalczywa jheledzka żona. Małe bliźniaki. Starszy syn, strażnik marzący o zostaniu Rycerzem...

Miał wrażenie, że to było dawno temu. W pewnym sensie miał rację.

Ale w innym upłynęła zaledwie godzina.

173

Był za stary, zbyt zmęczony i zbyt winny, żeby oglądać zwęglone zwłoki ludzi, których naprawdę lubił.

Co to miasto miało takiego w sobie? Gdyby zadarł głowę i powiódł

wzrokiem po fasadzie Piekła, prawdopodobnie wypatrzyłby miejsce, w którym młotem bojowym Czarnych Noży roztrzaskał Staltonowi głowę.

Nie, musiał przestać o tym myśleć, bo inaczej za chwilę zacznie wspominać Marade, jej zapierającą dech w piersi odwagę i niewyobrażalną wytrzymałość, potem przypomni sobie cały *Wyścig po koronę Dal'Kannitha*,

w której przeżyli z Tizarre wszystko prócz Berne'a. Stamtąd już tylko krok do Shanny, a na te pierdolety naprawdę nie miał w tej chwili czasu. Co za pojebane miasto. Może w powietrzu jest tu coś takiego, że nie można po prostu pospacerować ulicami?

Jezu... Dlaczego wечно do niego wracał?

Dlaczego czuł się tak, jakby nigdy go nie porzucił?

Odepchnął się od ściany i zmusił do marszu. Podejdzie do gospody za-ułkiem, tak, boczną uliczką, tą samą, w której Markham czekał na Luźnego Gościa, Gwizdka i Jastrzębia. I na niego. Zbliży się stopniowo, zamiast od razu stanąć twarzą w twarz z tym widokiem.

Może coś tam znajdzie, jakiś ślad, wskazówkę, pety, łupinki po orzeszkach - cholera wie, co robią mieszkańcy Brodu Purthina, kiedy czają się w zasadzce; może w ten sposób dowiedziałyby się czegoś, gdyby tylko miał

we łbie coś więcej niż sieczkę, która wystarcza do mordowania ludzi.

Poza tym, to tam zgubił pistolet.

Może nikt go nie podniósł. Może nadal tam leży. Może tym razem bę-

dzie miał szczęście. Może. Przecież tak zawsze właśnie wyglądało jego szczęście: on ma fart, a reszta niech spierdala i chowa się po kątach.

Minał kwartał domów i znalazł wylot zaułka. Wszedł w niego bezszelestnie, powoli. Czekał, aż oczy oswoją się z ciemnością. Podkręcił trochę nocny wzrok, ale ten - zgodnie z przewidywaniami - nie wyłowił niczego ciekawego. Automaga nie było. Na drugim końcu uliczki, metr od jej wylotu, na ceglanej nawierzchni leżała oberwana łapa ogrilla. Gdyby podszedł

174

obejrzeć ją z bliska, nie mógłby nie zobaczyć zgliszczy „Pratta i Redhorna”.

Ale nie musiał oglądać jej z bliska. To była prawa łapa. Dobrze pamiętał

Łowcę, któremu ją odstrzelił, a ten się zatrzymał i podniósł ją z ziemi.

Packard. Tak się nazywał gnojek prowadzący jednorękiego Łowcę.

Gówniarz, dwa tygodnie brakowało mu do piętnastych urodzin. Zwyczajny dzieciak. Samozwańczy wielbiciel Caine'a, wyszczekany, bezczelny cwa-niak, który wykombinował sobie, że jego ekipa może zrobić coś, czego nikt przed nimi nie dokonał.

Zabić Caine'a.

Szczytowy moment jego młodzieńczego życia. Naturalna reakcja. Ot, po prostu jeszcze jedna nawalanka z bossem w grze. Jak spotkasz Caine'a, zabij go.

Dzieci to przyszłość.

Pewnie zabił i zjadł któregoś z bliźniaków Lassera i Yttrall Prattów. A jak nie on, to któryś z jego kumpli. Chociaż nie Turner, który nie miał już ust. Ani twarzy. Ani głowy, prawdę mówiąc.

Może Khrylianie mieli rację, może Ziemia naprawdę jest miejscem, do którego źli ludzie odchodzą po śmierci. Prawdziwym Piekiełem. Taką tezę dałoby się obronić. Czym Dymny Łów różnił się od opętania? A czym Aktorzy - mordujący, wszczynający wojny, niszczący innych ku uciesze swoich demonicznych braci i sióstr - różnili się od diabłów?

Czym on sam różnił się od mitycznego pomiotu piekielnego, który, wypełzłszy z Pandemonium, niósł światu cierpienie i śmierć?

Pamiętał, jak przeszyty Kosallem na wylot leżał na platformie transfe-rowej w Cavei. Shanna podtrzymywała mu głowę, a pod nim spoczywał

trup Berne'a. I wtedy zobaczył na twarzy Ma'elKotha to, co sam wypowiedział w solilokwium, aktorskim monologu wewnętrznym:

*\* Zaczyna rozumieć, że jego świat - Nadświat, ojczyzna okrucieństwa,  
ból i gwałtownej śmierci - jest wyśnionym, wymarzonym rajem dla świata,  
w którym teraz został uwięziony.*

*Ściągnąłem go dopiekle\**

175

Znał się na potworach. Berne był potworem. Kollberg też, nawet jeszcze gorszym. Ale są potwory i potwory. I niektóre potwory są prześladowane przez wizje twarzy tych, których zabiły.

Znów złapał się na tym, że ze zwieszoną głową opiera się o mur. Tylko zablokowane na sztywno kolana powstrzymywały go przed upadkiem.

Odepchnął się od ściany, uniósł głowę i wyszczerzył zęby do podświetlonych pożarem chmur.

- Nie złamiecie mnie, skurwiele. Żaden z was. Ani w pojedynkę, ani wszyscy razem.

Mówił głównie do siebie, bo sam był więcej niż jednym z tych skurwieli; gdyby sam się złamał, nie miałby go kto poskładać. Rozruszał spięte ramiona, rozluźnił szyję, wyłamał palce i wyszedł z zaułka.

W miejscu, w którym dawniej stał „Pratt i Redhorn”, znajdował się bu-dynek wyglądający dokładnie tak samo jak „Pratt i Redhorn”.

Stał na środku ulicy. Marszczył brwi, kręcił głową i nic z tego nie rozumiał, dopóki nie zobaczył kobiety siedzącej na drewnianym chodniku przy drzwiach.

Dawno przekroczyła granicę wieku średniego. Była krępa i kanciasta jak jej szczeka. Krótko przycięte włosy odsłaniały dużą jak dłoń bliznę po poparzeniu w miejscu prawego ucha. Na kolanach trzymała grubą laskę.

Siedziała całkiem spokojnie, nieporuszenie, i patrzyła prosto na niego. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

- Ożeż w mordę... - Z najwyższym trudem powstrzymał się od tego, że-by przebiec przez ulicę i porwać kobietę w ramiona. - O, w dupę! T'Passe!

Pocałowałbym cię, gdyby nie to, że pewnie zaraz oberwałbym za to w łeb.

Kurwa, t'Passe, jesteś absolutnie i bezwzględnie ostatnią osobą, której bym się tu spodziewał. Uratowałaś gospodę!

- Nie sama - odparła bezbarwnym głosem. - Ale ja również nie spodziewałam się ciebie zobaczyć. Myślałam, że nie żyjesz.

- Dużo ludzi tak myśli. Gdzie Prattowie? I Kravmik?

176

- W środku. Warto w tym miejscu nadmienić, że razem z nimi jest tam kilkanaście sztuk khryliańskiej broni palnej, i co najmniej dwie celują teraz w ciebie. Obsługują je ludzie, którzy znają się na rzeczy i kompletnie nie interesują się twoim stanem zdrowia. Nie wiedzą, kim jesteś.

Znieruchomiał.

- Rozumiem...

- Ja też nie wiem, kim jesteś.

- Kurwa mać, t'Passe, przestań się...

- Kravmik powiedział, że lord Tarkanen zabił cię i zabrał ciało.

- Niewiele brakowało, mówię ci.

- Dobrze wyglądasz.

- To skomplikowane.

- Oczywiście.

Rozłożył ręce.

- Dobrze, t'Passe, posłuchaj. Nie interesuje mnie to wszystko. Idąc tu, spodziewałem się zastać zgliszcza i zwęglone trupy. Myślałem, że może uda mi się odzyskać sprzęt...

- O tym mówisz? - T'Passe uniosła rękę i z rękawa jej szaty wysliznęła się automag.

- No, prawdę mówiąc... to tak. Wiesz, niełatwo o taką zabawkę.

- To prawda. - Wycelowwała w niego. - Wolałabym, żebyś nie podchodził bliżej.

Podniósł ręce.

- Dobra, weź go sobie, jeśli chcesz. Ja się po prostu cieszę, że Prattowie są cali i zdrowi.

- Poniekąd. Lasserowi szpon bojowy ogrilla poharatał pierś i przebił

płuco, a Kravmik ma połamane nogi. Ytrall i bliźniakom nic się nie stało.

Są jeszcze inni ranni, ale nikt, kogo byś znał. I nie są to rany, których Tyrkilld by nie uzdrowił.

- Widziałaś Tyrkillda? Jest cały?

- Mhm. - T'Passe nie miała chyba ochoty rozwijać tej myśli.

- Muszę się z nim zobaczyć. Mogłabyś go dla mnie znaleźć?

177

- Tak. - Na chwilę przekrzywiła pistolet, a potem znów go wycelowwała.

- Pytanie brzmi, czy to zrobię?

Tym razem nie miał jej za złe, że babrze się w tym cainistowskim gównie. Właściwie w ogóle nie miał jej tego za złe. Nadal nie mieściło mu się w głowie, że stoi przed nietkniętym „Prattem i Redhornem”.

- Super. Nie żartuję, t'Passe. To naprawdę super. Serio. Dzięki.

- Nie ma za co. - Beznamiętny ton jej głosu nie zmienił się ani na jotę. -

Za co mi dziękujesz?

- Jak to? Kurwa, t'Passe, wezwałaś cainistowską kawalerię i przyszliście Prattom z odsieczą! - Wciąż nie mógł w to uwierzyć. - Ja pierdzielę... Powiedz mi, jak się dowiedziałaś?

- Ach, widzę, że doszło do nieporozumienia. - Jej twarz złagodniała.

Nigdy wcześniej nie widział, żeby była tak bliska uśmiechnięcia się. - Fakt, że podjęliśmy się obrony gospody, nie miał nic wspólnego z twoją w niej obecnością. Lasser Pratt to nasz przyjaciel.

- To ty masz przyjaciół?

- On i Ytrall są Uczniami. Zresztą, Kravmik też.

- No tak. Zapomniałem.

- Dowiedziałaś się dwie godziny temu i już zdążyłaś zapomnieć?

Zbył jej słowa machnięciem ręki.

- Cieszę się, że wyszli z tego cało.

- Z wdzięcznością przyjmujemy ochronę Zakonu Khryła, ale przesadnie na niej nie polegamy. „Pratt i Redhorn” to nasze miejsce zbiórki na wypadek zagrożenia. A biorąc pod uwagę naturę tego

miasteczka, zagrożenie najczęściej wiąże się z Dymnym Łowem.

Tutaj sprawdzamy stan osobowy, organizujemy poszukiwania zaginionych, opatrujemy rany... Bronimy się.

- Tutaj?

- Gospoda jest solidniejsza niż się wydaje. Przez kilkadziesiąt lat mie-

ściła się w niej parafialna czuwalnia, zanim zbudowano jej nową siedzibę w Przystani. Poza tym... - T'Passe wzruszyła ramionami. - To najlepsza knajpa na całym Polu Bitwy.

178

Pokiwał głową.

- Mogę usiąść?

- Tam. - Cały czas mierzyła mu z automaga w pierś. - Może powiesz mi w końcu, kim jesteś?

Osunął się na drewniany chodnik w odległości kilku stóp od niej.

- Nazywam się Jonathan Fist.

- Aha. Różnisz się czymś od, powiedzmy, Dominica Shade'a?

- To skomplikowane.

- Nie wątpię. Wiem z... wiarygodnego źródła, że Dominic Shade, a wła-

ściwie jego ciało, albo twoje, zostało zabrane przez artańskich żołnierzy najprawdopodobniej do Arty. Czyli, jak ty byś powiedział, na tę waszą Ziemię.

- Masz informatora w BlackStone?

- Niejednego. Zdziwiony?

- Bożym Oczom nie udało się tam nawet palca wściubić.

- Boże Oczy... Proszę cię. - T'Passe prychnęła lekceważąco. - Jesteśmy Klasztorami. Robimy w tej branży od pięciuset lat. Nie wszystkie nasze instrumenty są tak tępe jak ty.

- Czy któryś z waszych mniej tępych instrumentów zna szczegóły ich zabezpieczeń?

- Być może. Możemy o tym porozmawiać, kiedy upewnię się w kwestii twojej tożsamości i zamiarów. Przejdźmy do sprawy twojej ucieczki.

Westchnął.

- Nie uciekłem. Nie uciekam. Prawdopodobnie nie ucieknę. Można powiedzieć, że dopiero próbuję to załatwić: zorganizować swoją ucieczkę, w pewnym sensie. I załatwić parę spraw przy okazji.

T'Passe siedziała całkiem nieruchomo. Poruszały się tylko jej oczy, z boku na bok, z boku na bok, jakby czytała zapisany w jego głowie tekst.

- Interwencja - powiedziała w końcu.

- Niedługo i tak byś się dowiedziała.

179

- Jak dawno... Hmm, ile czasu minęło od dzisiejszej nocy, z twojego punktu widzenia?

- Na to pytanie nie da się sensownie odpowiedzieć.

- Czy słyszysz bezpośrednio Mocy, która dokonała Interwencji?

- Jednej z nich. Poniekąd. Ale też nie do końca. Posłuchaj, jak tylko wyjdziemy z tego cało, odpowiem na twoje pytania. Wszystkie. Co tam pytania: będziesz mogła zrobić ze mną wywiad do tej swojej pieprzonej książki! - Ale nie dzisiaj.

- No właśnie. - Złapał się na tym, że się uśmiecha. - Jestem ci wdzięczny, naprawdę. Mam u ciebie dług. Ogromny dług.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie.

- Mimo wszystko.

- Za co?

- Za przypomnienie mi, że czasem się mylę. Że ludzie bywają lepsi, niż się spodziewam. Że sprawy mogą się ułożyć lepiej, niż śmiałybym mieć nadzieję.

- Pochlebstwo.

- Po co miałbym strzępić sobie język na schlebianie ci?

- Celne. - Pokiwała głową. - I przekonujące.

- Nie dogadalibyśmy się, ty i ja. Kurewsko działasz mi na nerwy, a sa-mo moje istnienie kłóci się z twoim światopoglądem i jest dla ciebie cią-

głym źródłem zakłopotania. Nie moglibyśmy być ze sobą, ale powinnaś wiedzieć, że jestem twoim przyjacielem.

Pokręciła z niedowierzaniem głową i zamknęła oczy z taką miną, jakby nie spodziewała się go

ponownie zobaczyć, kiedy je otworzy.

- Poważnie - ciągnął. - Bardzo cię szanuję za twój intelekt, prawość i kompetencje. A jeszcze bardziej za odwagę. Gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebowała, Boże Oczy mnie znajdą; zresztą, Klasztory też zwykle wiedzą, gdzie mnie szukać. Jeśli tylko będę żył, przybędę na twoje wezwanie, żeby ci pomóc. Wiem, że nie nadużyjesz tego przywileju.

180

Chodziło mu o to, że t'Passe doskonale zdaje sobie sprawę, jakim kata-klizmem może się zakończyć jego przybycie, więc nie wezwie go, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu nie oczekuj, że będę dla ciebie miły.

- Nie mam aż takiej wyobraźni.

- Widzisz? Kurewsko działasz mi na nerwy. Ale do rzeczy: kazałem Prattom wyjechać.

- Wiem.

- Nie ochronisz ich. Tobie też kazałbym wyjechać, gdybym wiedział, że posłuchasz. Ponieważ wiem, że tego nie zrobisz, to się przynajmniej nie wychylaj, do diabła. Przyczaj się.

- Jak bardzo?

- To Purthin Khlaylock pociągał za sznurki Dymnego Łowu. Markham Tarkanen też. Nie wiem, kto jeszcze od Khrylian, ale na pewno jest ich więcej.

Pokiwała głową w zadumie.

- Nie wyglądasz na zaskoczoną.

- Moi informatorzy sugerują, że wszyscy Mistrzowie Legend maczają w tym palce. Może nawet i sama Bojownicza.

- Nie, ona nie.

- Skąd ta pewność?

Spojrzał na nią. Po prostu spojrzał.

Po chwili westchnęła i odwróciła wzrok.

- Klasztory nie interesują się tym, w jaki sposób Rycerze Khryla utrzymują porządek wśród niewolników i cywilów.

- Więc niech się Klasztory nad tym zastanowią, do kurwy nędzy. Dymny Łów to nie taumaturgia, tylko teurgia. Zawsze tak było.

Zmrużyła oczy.

- Zatem...

- Właśnie, do chuja pana. To nie jest tłumienie zamieszek, tylko regularna krucjata.

- To niemożliwe.

181

- Tak samo niemożliwe, jak to, że teraz z tobą rozmawiam.

Znów przymknęła powieki. Potarła czoło.

- Nie uszło mojej uwagi, jakiego czasu gramatycznego użyłeś, mówiąc o Sędzim.

- Owszem. Zanim zapytasz: tak, to byłem ja.

Odkasznęła. Próbowała coś powiedzieć, ale tylko jeszcze raz odkasznęła.

- Nie śpiesz się.

- Wybacz, że się powtarzam, ale muszę to dobrze zrozumieć: wmiesz-

łeś się w świętą wojnę i zamordowałeś przywódcę najpotężniejszego zakon-  
nu rycerskiego w historii Domu.

- To nie tak - odparł, lekko urażony. - To była uczciwa walka. Bardziej niż uczciwa. On był uzbrojony po zęby, ciężko opancerzony i w pełni sił.

Ja byłem nagi, skuty i dopiero co odzyskałem przytomność po urazie czaszki.

- Zaatakowałeś przez zaskoczenie.

- Mów, co chcesz. Ja mam swoją wersję.

- To wypowiedzenie wojny!

- Pod więcej niż jednym względem.

- Popychasz Klasztory do otwartej wojny z Zakonem Khryła!

- To już mówiłaś.

- Masz pojęcie, jaka to katastrofa?!

- Wyluzuj. Myślisz, że wywołałbym wojnę, gdybym nie wiedział, jak ją zakończyć?

- Oczywiście! Wiem o co najmniej trzech takich wypadkach!

No tak, zaczyna się wyciąganie faktów.

- Ja mówię poważnie, t'Passe. Wrzuć na luz. Nigdy cię takiej nie widziałem. Histeryzujesz.

- Histeryzuję? Histeryzuję?! - Dopiero teraz usłyszała swój ostry, pod-niesiony głos. Oklapła, odłożyła pistolet i obiema rękami przetarła oczy. -

Masz rację. Przepraszam. Zainwestowałam znaczne zasoby... osobistej energii... żeby osiągnąć pozycję, którą dziś zajmuję. Wojna będzie czymś wielce... niefortunnym. Dla mnie. Osobiście.

182

- Osobiście? A co, bzykasz się z jakimś khrylianinem?

T'Passe tylko westchnęła w odpowiedzi. Wytrzeszczył oczy. Dobrze, że już siedział.

- Ehm... Wiesz, że to był żart, prawda?

- Nie dla mnie. - Znów westchnęła, po czym odwróciła głowę w stronę wejścia do „Pratta i Redhorna” i zawołała: - Powiedźcie grubemu, że jest mi tu potrzebny!

Zmarszczył brwi. Gruby? Znów mu się śni *Casablanca*?

Jego zaskoczenie trwało nie dłużej niż sekundę, może dwie, bo wtedy właśnie drzwi wypłuły zakrwawioną stal i po marynarSKU rozkołysaną sylwetkę Tyrkillda, Rycerza Aeddharra - najprawdopodobniej jedyneGO żyją-

cego człowieka, który potrafił przechadzać się nonszalanckim krokiem i podzwaniać przy tym jak kocioł parowy.

- Oto jestem, jak zawsze, moja droga: do usług na najlżejsze skinienie mojej damy. Czy mam natychmiast rozczłonkować tę złowieszczą zjawę, czy też mógłbym pierwej przysiąc na deskach obok mego rajskiego marzenia, w nadziei, że otrę się choć o rąbek płaszczka mej pani?

- Na boga, niech mnie świnia wyrypie...

Tyrkilldowi udało się wykonać chwiejną namiastkę ukłonu.

- Wal się na ryj, klasztorny kutasie. Pierdolę cię uprzejmię.

Fist tylko pokręcił głową.

- Wciąż jesteś napruty.

- Żaden uczciwy człowiek temu nie zaprzeczy. Jednakowoż jutro ja bę-

dę trzeźwy, a ty nadal będziesz klasztornym kutasiną.

- Już jest jutro - wtrąciła surowo t'Passe.

- W rzeczy samej, celny cios. Pozwolisz, pani, że się przysiądę i opatrzę ranę...

- Rany boskie, zachowujecie się jak para nastolatków! - Fist patrzył na przemian to na t'Passe, to na Tyrkillda, aż w końcu odskoczyła mu jakaś zardzewiała klapka w mózgu. Nie wiedział, czy ma płakać, czy raczej ko-goś zamordować. - Więc to stąd wiedziałeś, kim jestem. Nie rozpoznałeś mnie, kiedy skopałem ci dupsko na posterunku celnym, ale potem, w Iglicy, 183

wiedziałeś wszystko, włącznie z jakąś z dupy wziętą historyjką, której słuchałem jednym uchem. A ty... - Przeniósł wzrok na t'Passe. - Od samego początku spodziewałaś się, że zastaniesz mnie w Brodzie Purthina. Odkąd przyjechałaś. Chryste Panie, jak to dobrze, że nie muszę myśleniem zarabiać na życie.

- Człek bardziej dobroduszny ode mnie mógłby zauważyć, na twoją obronę, że twój dzień do tego stopnia obfitował w ważne wydarzenia, że doprawdy nie powinieneś nadmiernie troskać się o swoją zdolność trzeź-

wego rozumowania.

- Domyślam się, że dopiero dzisiaj usłyszałeś moją historię, co?

- Wraz z wieloma innymi, które wieczorem wpadły mi w ucho.

- Zamierzasz mnie aresztować?

Tyrkilld wzruszył ramionami. Zabrzmiało to jak zgrzyt torturowanej skrzyni biegów.

- Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie podejrzewałby, że taka żalosna klasztorna cipa jak ty mogłaby wyrządzić krzywdę Sędziemu Zakonu Khryła. Ponieważ mam niejakie pojęcie o misternej sieci kłamstw utkanej przez twój plugawy klasztorny mózg, mogę absolutnie szczerze zapewnić, że nie mam najmniejszych powodów podejrzewać, iż Sędzia nie cieszy się swoim tradycyjnym dobrym zdrowiem. Może mieć co najwyżej pewien kłopot z widzeniem peryferyjnym, że tak powiem, tudzież oceną głębi, niemniej jednak...

Fist pokiwał głową.

- A w samej służbie Khryłowi nie ma nic naganego, poza towarzystwem, w jakim się człowiek obraca.

- O, tu chyba cytujesz człowieka, który mądrością dalece przewyższa twoje żenujące...

- Tak, tak, daruj sobie. Pamiętasz, co mówiła o mnie t'Passe? O wszczy-naniu wojen? Zasadniczo ma

rację, ale tym razem jest inaczej. Tę wojnę możesz wygrać. Ty osobiście. Spiknij się z Kierendal i daj jej znać, że bomba pójdzie w górę jutro o zachodzie słońca.

- O zachodzie słońca?

184

- Wtedy skończy się Sąd Khryła, prawda? Jeżeli Angvasse się nie zjawi?

T'Passe zmarszczyła brwi.

- Ktoś z Khlaylocków miałby nie dotrzeć na Sąd Khryła? Rody ci się pomyliły, przyjacielu. Nawet śmierć najbliższego krewnego...

- A kogoś jeszcze bliższego?

T'Passe i Tyrkilld spojrzeli po sobie ponuro.

- Moja niechęć do Sędziego nie obejmuje całego jego rodu - zastrzegł

Tyrkilld. - Bojowniczką jest ulepiona z całkiem innej gliny. Stawię zdecydowany opór wszelkim próbom skrzywdzenia jej.

- Rozumiem. - Fist pokiwał głową. - Powiem więcej: zgadzam się z tobą. Z moich informacji wynika jednak, że ona nie przyjdzie. Coś ją zatrzyma. Niekoniecznie ja.

- Czy ten niesamowity informator, który szepcze do ucha twej nie-uczciwej osoby, to ktoś w rodzaju proroka?

- Prawie. Posłuchajcie: pojedynek Orbeka z Angvasse, na śmierć i życie, to by było nie lada wydarzenie, prawda? Nawet na Polu Bitwy. Żywa Pięść Khryła kontra ostatni *kwatcharr* Czarnych Noży. Walkę zaplanowano w samo południe. Angvasse nie przyjdzie, tłum będzie z czasem coraz bardziej gęstniał, aż o zachodzie słońca zbiorą się dosłownie wszyscy: albo żeby zobaczyć pojedynek, albo żeby patrzeć, jak Orbek odchodzi wolno.

Właśnie wtedy Twarz Wolności musi uderzyć na BlackStone.

- Czyli na twoich - zauważyła t'Passe. - Naprawdę chcesz, żeby Twarz Wolności zaatakowała twoich rodaków?

- Niezupełnie. Wystarczy, że zajmie i utrzyma ich siedzibę.

- To dlatego pytałeś o zabezpieczenia.

- Otóż to. Tyrkilldzie? Ty musisz poprowadzić to natarcie.

- Ja? Czyżbyś znów planował moją okrutną śmierć?

- To nie żadna twierdza, to w ogóle nie jest placówka wojskowa, tylko zwykła kopalnia. Owszem, mają strażników z nowoczesną bronią, ale to wszystko małe pukawki. Niewiele się różnią od karabinków, których wasi strażnicy używają podczas ruchawek.

185

- Zdaje się, że produkują gryfkamienie, prawda? Można się więc spodziewać magijnego systemu ochrony. I to silnego.

- A wy macie Kierendal. Ja tam dobrze wiem, na kogo postawiłbym pieniądze. - Fist się schylił i oparł ręce na kolanach. - Musimy przejąć *dil*,

bramę do Prawdziwego Piekła. Potrzebujemy dobrych ludzi, którzy obstawiają ją od naszej strony, bo inaczej z drugiej strony zaczną napływać źli ludzie. Kapujesz? Bardzo źli ludzie. Poproś swoją dziewczynę, niech ci opowie o Najeździe Artan. Na dodatek, musimy sprawę tak załatwić, żeby to wyglądało jak akcja Khrylian. Wóz albo przewóz.

- Wyjaśnij mi jeszcze, z łaski swojej, dlaczego Rycerze Khryla mieliby chcieć siłą zająć BlackStone, która to korporacja znajduje się pod opieką Zakonu nie tylko z mocy prawa, ale także na wyraźny bezpośredni rozkaz samego Sędziego?

- Zastanówmy się... Czy to czasem nie ten Sędzia został zamordowany w biurze gubernatora BlackStone? Czy to nie w BlackStone zatuszowano morderstwo, a zabójcę, ociekającego jeszcze krwią i mózgiem Sędziego, bezpiecznie przetransportowano do miejsca, gdzie nie sięga Prawo Khryla?

Zresztą, ta część o bezpiecznym przetransportowaniu nie jest nawet konieczna, możecie zgrywać durni.

Nie wiecie przecież o istnieniu bramy, prawda? Dlatego możecie udawać, że Artanie udzielili schronienia zabójcy. Co nawet jest prawdą. Prze-trzymują mnie, to znaczy jego, w innym świecie.

Tyrkilld się zamyślił. T'Passe z marszem na czole patrzyła w dal.

- W ogóle nie trzeba do tego mieszać Klasztorów, rozumiecie? -Fist przeniósł wzrok na t'Passe. - Tam, skąd pochodzę, nazywamy to szczuciem jednych na drugich. Poza tym uprzedzałem Markhama, że ryzykuje wojnę z Ziemią. Nie chciałabyś chyba, żebym wyszedł na kłamcę, co?

- Trudno zaprzeczyć, że pobrzmiwa w tym wyraźnie wyczuwalna nuta łotrowskiej, iście lisiej przebiegłości - przyznał Tyrkilld. - Ale co nam z tego przyjdzie? Wojna z Arta... Nie twierdzę, że jestem najwybitniejszym Rycerzem w Zakonie, ale podżeganie do takiego kataklizmu...

186

- Kataklizmu, który nie nastąpi. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, wojna zakończy się jutro przed północą, a Artanie nigdy więcej nie będą was niepokoić. Gdyby zaś coś się pochrzańiło... Cóż, wtedy zwrócicie im ich siedzibę, przeprosicie za nieporozumienie, zapłacicie za szkody... Tak to się

załatwia.

- Jeżeli wszystko pójdzie po twojej myśli... - powtórzyła posępnie t'Passe. - Nie cierpię, kiedy tak mówisz. Co dokładnie chcesz osiągnąć?
- Mówiłem ci o Pięści Rzeźnika... to znaczy, o Dłoni Pokoju?
- Tak. Myślałeś, że trzymają ją w Iglicy.
- Właśnie. Nie ma jej w Iglicy, ale ja wiem, gdzie jest.
- Cztery czy pięć godzin temu nie byłeś pewny, czy w ogóle istnieje.
- T'Passe, kurwa twoja mać, naprawdę musimy to młócić od początku?
- Nie... Oczywiście, że nie - odparła półgłosem. - Przepraszam. Ciężka noc.
- Tak? Poczekaj na jutrzejszy dzień, to zobaczysz. BlackStone ją ma.

Tyrkilld zerwał się na równe nogi. Nie wyglądał już na pijanego.

- Artanie mają Dłoń Naszego Pana Bitew?! Wystarczy, że ogłoszę alarm, a odzyskamy ją jeszcze tej nocy!
- Porządny z ciebie chłop, Tyrkilldzie, i wiem, że jesteś mądrzejszy, niż udajesz, ale naprawdę musisz popracować nad swoimi odruchami.
- Czy bardzo się w tej kwestii różnię od twojej żalosalnej osoby?
- Zwykle nie, ale to ważne, żebyśmy tym razem dobrze się zrozumieli.

Tylko ja mogę tego dokonać.

- I albo ci się uda, albo nie - mruknęła z goryczą t'Passe.
- Przestań. A ty, Tyrkilldzie, zastanów się. Jak chcesz przekonać Zakon, że Dłoń naprawdę tam jest? Poza tym musiałbyś im powiedzieć, skąd się dowiedziałeś. A na koniec ktoś zapyta, skąd się tam wzięła, i to będzie prawdziwa bomba. W takiej sytuacji wojna domowa byłaby najłagodniejszym wymiarem kary.

187

- Jak okropna może być prawda?
- To ty mi powiedz: Purthin Khlaylock oddał Dłoń Pokoju Artanom.

Tyrkilldowi oczy wyszły z orbit. Usiadł równie nagle, jak przed chwilą wstał.

- Nawet nie myśl o tym, żeby to nagłośnić. Tylko byś pogorszył sprawę.

- Pogorszył? - mruknął Rycerz. - W snach jakiego czarnego boga mogłoby być jeszcze gorzej?

- Powtarzam: zastanów się. Mówiłem przecież, że Khlaylock zaoferował Dłoń Pokoju jako swój wkład w Dymny Łów. Nie pamiętasz?

Świtająca w głowie Tyrkillda zgroza jeszcze szerzej otworzyła mu oczy.

- Prawda wygląda tak, że największy współczesny bohater Zakonu zabrał przenajświętszą Prawdziwą Relikwię Khryła, Pana Bitew, i oddał ją Czarnym Nożom.

Tyrkilld tylko jęknął. T'Passe położyła mu rękę na stalowym naramieniu. Długo milczeli, zanim t'Passe w końcu westchnęła i spojrzała na Jonathana Fista.

- Prawdziwy z ciebie demon - rzekła.

- Dzięki. Oddasz mi pistolet?

\*\*\*

Odwinął natłuszczony papier, który opadł mu na pięść, i odgryzł kolejny kawałek krwawej kiszki. Żuł w zadumie, patrząc, jak Khrylianie wynoszą zwłoki na ulicę.

Kiedyś była to bardzo chędogą dzielnica: schludne, szare mieszczańskie kamienice, każda z małym ogrodzonym ogródkiem na tyłach; wyłożone kamiennymi płytami czyste ulice, rozchodzące się promieniście od skweru z szemrzącą fontanną artezyjską; tabliczki na ścianach w narożnikach budynków, obwieszające, że skwer wraz z otaczającą go okolicą nosi nazwę Placu Tkaczy. W innym świecie nazwano by go dzielnicą niższej klasy średniej. Zamieszkiwali ją sklepikarze, pasamonicy, balwierze i urzędnicy.

188

Dzisiaj wszyscy ci sklepikarze, urzędnicy, balwierze i pasamonicy, a także ich żony i dzieci, zebrali się wokół placu, bladzi, wstrząśnięci, zapłakani, szlochający albo mamroczący półgłosem niezrozumiałe potoki przekleństw. Z kilkunastu schludnych kamieniczek i domów jednorodzinnych zostały wypalone, dymiące skorupy dławiące się nadpalonymi dźwigarami i gruzem, inne były pochłapane krwią, a na wszystkich fasadach widniały świeże, białe rany.

Dziury po pociskach.

Po tej nocy Plac Tkaczy najprawdopodobniej dorobi się nowego przezwiska.

Na razie nie liczył ofiar. Zbyt wielu strażników kręciło się w okolicy: badali puls nieprzytomnych, opatrywali rany, zasłaniali widok. Dwanaście lub trzynaście trupów.

A będzie więcej.

Dwóch Rycerzy modliło się w prowizorycznym lazarecie przy fontannie. Tu i ówdzie wśród rannych krwotoki ustawały i żółtawogie rany same się zasklepiały, czemu towarzyszyły bulgotliwe jęki i piskliwe stęknienia bólu. Tych, którym khryliańskie uzdrowienie nie mogło już pomóc, przekazywano strażnikom, a ci układali zwłoki na bruku.

Na razie cztery ogrille. Nasiąknięta czerwienią kupa szarego, skórzastego miecha. Jego rozmiękczony mózg cały czas wyławiał z pamięci jakieś szczegóły, jak szurze bobki z owsianki. Pamiętał, jak dostawał te rany.

Dobrze, że nie był przesądny.

Przyglądał się całej scenie z chorobliwą fascynacją, z jaką mógłby rozdrapywać zaropiałą strup, katalogując zbieżności między nocnym prorocstwem i rzeczywistością dnia. Ten sen śnił dawno, naprawdę bardzo dawno temu, ale kiedy tylko tu przybył, wspomnienia wróciły.

Ta starucha?

Pamiętał, jak szarą łapą zdławił jej wrzaski i wszystkimi zębami wgrzył się w ciepły, żywy brzuch.

Leżące obok porozrzucone członki?

189

Dawniej były dwoma szczupłymi, młodymi mężczyznami. Znalazł ich (też było go wtedy dwóch) razem w łóżku, poobrywał im ręce i nogi, po-

łamał biodra jak mostki kurcząt, strzaskał kolana, zmiażdżył barki... Cały czas krzyczeli, dopiero ukłucie łbów ich uciszyło.

Kobieta w średnim wieku, matka dzieciom...

Chrzanić to. Miał dość tej zabawy.

Strażnicy powstrzymywali napierającą cizbę, trzymając te swoje ozdoby inkrustowane karabinki skosem przez pierś. Ich oczy patrzyły ponuro w dal ponad głowami tłumu. Napięte mięśnie żuchw przeżyły się pod skórą.

Niektóre ciała pływające się w porannym blasku nosiły na piersi symbol złotego słońca.

Przypomniał sobie, że forma zbiorowa rzeczownika „ogrillo” brzmi

„masakra”.

Jeden z ogrillów, którymi wtedy był, uderzeniem pięści złamał kręgosłup tamtego nieżywego strażnika. Pięknie wykonana kolczuga zwisała z ciała w strzępach; pamiętał, jak szponiastą łapą

rozdarł ją jak przegniłą skórę. Rumak bojowy, który też leżał teraz na bruku, próbował go wtedy kopnąć. Inny ogrillo złapał go za kopyto, zacisnął pięść i skrętem nadgarstka złamał pęcinę.

Szkarłatny płomień, niedający światła ani ciepła, zrobił z ogrillów coś więcej. Nawet ten wspomnienie był oszałamiającą fantazją o wielkiej sile.

Fantazją o tym, że można być silniejszym niż Rycerz Khryła.

Strażnicy zapuścili się w zgliszcza poza obrębem kordonu. Patrzył, jak wynoszą następne ciało: szczątki dziewczynki, małej, może dziesięcioletniej. Przypomniawszy sobie smak jej czystego, miękkiego mięsa. Miał córkę w jej wieku. Krew pozlepiła włosy trupa, ale jedno czyste pasemko opadło na ramię niosącego go strażnika. Było delikatne, jedwabiste, złote. Jak włosy Faith.

Krwawa kiszka podeszła mu do gardła.

190

- To nie moja sprawa - burknął przez zaciśnięte zęby - W dalszym ciągu to nie jest moja sprawa.

Jego sprawa wyszła z osnutych dymem drzwi, niosąc na ramieniu czterysta funtów martwego ogrilla.

- Khlaylock! - zawołał ktoś w tłumie. - Khlaylock i Bóg!

Zachwiała się, skrzywiła i wbiła spojrzenie błyszczących oczu w zabitych i rannych. A on przypomniał sobie, jak dwadzieścia pięć lat temu słyszał te same pobożne wiwaty - wykrzykiwane innym głosem, dla innego Khlaylocka, na innym Boedecken. Inne głosy podchwyciły okrzyk:

- Khlaylock i Bóg!

Wiwaty narosły do ryku, w którym on, milcząc, wyławiał pojedyncze okrzyki:

- Zabij ich, Vasse! Zabij wszystkich! Zabij skurwysynów!

Pięści wzniosły się ku niebu. Mężczyźni poklepywali się po ramionach, kobiety wrzeszczały w stulone przy twarzach dłonie. Nabożne skupienie ustąpiło przed wściekłym chóralnym zawodzeniem:

- Vasse! Vasse! Vasse!

Był taki czas, kiedy to on potrafił w ten sposób wzburzyć krew w każ-

dym tłumie na Ziemi. Echa tamtych okrzyków słyszał do tej pory - i do tej pory odczuwał na ten dźwięk skwierczenie w jądrach. Uwielbiał być gwiazdą. Po to żył.

A ona najwyraźniej nie.

Niektóre głosy, słabe i rozproszone, nie włączyły się do ogólnej wrza-wy. Każdy niósł własny przekaz:

- Gdzie był Khryl, kiedy zabijali moją córkę?

- Gdzie był Khryl, kiedy moi rodzice wyli z bólu?

- Gdzie był Khryl wczoraj w nocy?!

Rozproszone głosy też się w końcu połączyły, przybrały na sile, wzmocniły się i chór „Vasse! Vasse! Vasse!” zaczął się mieszać z przeciw-chórem:

- Gdzie był Khryl?! Gdzie był Khryl?! Gdzie był Khryl?!

191

Zaczęły się przepychanki, pięści poszły w ruch, w tłumie potworzyły się wściekłe ogniska bójek. Strażnicy zaczęli łamać szyk, torując sobie drogę karabinami jak łomami.

Bojowniczką nawet na nich nie spojrziała.

Zrzuciła trupa w ramiona dwóch barczystych strażników, którzy ugięli się pod bezwładnym ciężarem, podeszła do fontanny i zanurzyła twarz w bulgoczącej chłodnej wodzie. Oskrobała policzki i czoło z zakrzepłej krwi, wyczesła strupy z włosów. Woda przelewająca się z marmurowej misy do okalającego ją granitowego zbiornika miała słomiano-brunatny kolor.

Patrzył, jak sunie wśród rannych i zabitych. Czasem przyklękała, dotykała czyjejś ręki albo czoła. Okrzyki gapiów przeszkadzały jej tylko w tych chwilach, gdy musiała się nad kimś nachylić, żeby szepnąć mu coś do ucha. Gdziekolwiek przeszła, w szklistych oczach zapalał się ogień, koń-

czyły się bolesne skurcze, szok rozplątywał się w łzach.

W jego wizji przybycie Bojowniczkii...

Zbroja jak manekin z wypukłych luster. Wychodzi z cienia u wylotu uliczki po drugiej stronie placu, z ciężkim oburęcznym morgenszternem przerzuconym niedbale przez ramię. Odblaski płomieni pełgają po budynkach. Jest go trzech, biegnie po bruku lepkiem od krwi najlepszych żołnierzy Domu. Bojowniczką wychodzi na spotkanie jego zwielokrotnionej osoby. Od niechcenia zdejmuje hełm, potrzęsa włosami. Jej twarz nie wyraża strachu. Nie wyraża gniewu. Maluje się na niej tylko wyniosły smutek.

Nazwali ją Vasse Khrylget.

Dobrze wiedział dlaczego.

Odsunęła się od lazaretu i wdała w rozmowę z dwoma strażnikami. Jeden z nich pokiwał głową i odszedł, a drugi stanął za jej plecami i z szacunkiem odebrał od niej zakrwawione naramienniki i napierśnik, które po kolei odpinała i zdejmowała.

Ciepły ciężar automaga obciążał mu spodnie z tyłu. Mógłby to zrobić.

Tu i teraz. W tym tumultcie nawet nie usłyszeli by wystrzału.

Unurzany we krwi tabard miała rozdarty na ramieniu i pod żebrami.

192

Kiedy odwróciła się, żeby obejrzyć poobijane blachy, strzępy szaty rozchyliły się, odsłaniając biały łuk piersi pożyłkowanej strużkami krwi. Tuż obok skórę na żebrach szpeciły małe, wypukłe rozgwieżdżone keloidy. Ich rozkład odpowiadał układowi dziur w pancerzu: wyglądało to na strzał ze śrutówki.

Doskonale pamiętał swoją senną wizję, w której wrywał takie karabinki z zimnych rąk zabitych strażników.

Za pół godziny po jej obrażeniach nie będzie nawet śladu.

Pokiwał głową. Nie było sensu walić w korpus, dopóki nie miało się pewności, że kula przebije kręgosłup - ale w obliczu uszkodzeń centralnego układu nerwowego khyriańskie uzdrowienie było głównie warte. O czym sam wiedział najlepiej.

Strzał w głowę był chyba najlepszym przybliżeniem miłosierdzia, na jakie mógł sobie pozwolić.

W jego wizji (którą potwierdzała zdrapana z twarzy i włosów krew) walczyła bez hełmu. Naraziła się na poważny uraz głowy. Prosiła się o niego. Arogancja? Pragnienie śmierci? A może jeszcze coś innego, coś, czego się nawet nie domyślał?

Ciekawe, co by mu odpowiedziała, gdyby o to zapytał.

Stał, patrzył na nią i wyraźnie czuł metaliczną twardość szturchającego go w nerkę automaga. A ona brała blachy w gołe ręce i prostowała wkle-

śnięcia jakby zamiast chromowanej stali miała do czynienia z folią alumi-niową. Przysiadłszy na skraju fontanny, wzięła się za poprawianie detali.

Patrząc, jak pod naciskiem jej kciuków zasklepiają się dziury po śrucinach, doszedł do wniosku, że lepiej będzie zaatakować na odległość. I to dużą, bo jeśli chybi, dobrze by było mieć fory przy ucieczce.

Wystarczyłoby przycelować i pociągnąć za spust.

A potem biec. Dobrze, żeby o tym pamiętał. Biec.

Wsunął dłoń pod tunikę na brzuchu, przesunął ją wzdłuż pasa na tył i namacał pistolet. Jego palce zacisnęły się na ciepłej, złobionej w romby rękojeści.

Ale...

To pochylenie ramion, gdy garbiła się nad zbroją. Błysk wschodzącego słońca na przesłaniających jej oczy mokrych włosach. Smukła gracia długich, niepospolicie silnych palców. Nakreślona przez zaciśnięte wargi cienka krecha wewnętrznego bólu...

Nieważne, że była przełożoną głowotłuków w teokratycznym państwie policyjnym. Nigdy się nie oszukiwał. Jeżeli musisz się tłumaczyć z czegoś, co zrobiłeś, to znaczy, że w ogóle nie powinieneś być tego robić.

Z pewnością była lepszym człowiekiem, niż on kiedykolwiek będzie.

Widział to po niej. Nosiła tę swoją świętość wojowniczkę jak koronę cieniową.

A on zamierzał ją za to zastrzelić.

Albo i nie. Psiakrew!

Może to właśnie naprawdę jest starość: człowiek nie jest w stanie udźwignąć konsekwencji swoich błędów.

Drugi z mężczyzn, z którymi rozmawiała, przeszedł się wśród powstrzymującego tłuszcę kordonu i tworzący go strażnicy zaczęli pomalutku powiększać jego obwód.

- W porządku. Koniec przedstawienia. Wracajcie do domów. Przepraszamy, odsuńcie się. Plac zostanie ponownie poświęcony. Wracajcie do swoich zajęć. O zmierzchu plac zostanie ponownie udostępniony dla publiczności.

Nie zwracał uwagi na ich uprzejme nalegania i nie poruszył się, gdy tłum wokół niego zaczął się uspokajać, rzednąć i bez entuzjazmu rozpląwać. Przypominał sobie, jak się sprawy miały, kiedy poprzednio był na Boedecken. Uciekaj albo walcz. Umrzyj szybko albo umieraj, wrzeszcząc.

Proste.

Już nie.

Uspokoił oddech, wyrzucił ze świadomości nadzieję i strach, które oślepiają śmiertelne oczy, i patrzył, jak pajęczyna nocy osnuwa Plac Tkaczy.

Rozległa plątanina kanałów energetycznych, która pojawiła się wokół

niego, była zbyt skomplikowana, żeby interpretować ją bezpośrednio. Na wyższych poziomach egzystencji wszystko łączy się ze wszystkim i 194

wszystko, co istnieje, staje się jednym systemem, w którym ruch każdego kwarka ma związek z metastrukturą galaktycznych gromad. Przykrojenie go do ludzkiej skali wymagało selektywnego samooślepienia. Świadome postrzeganie jest filtracją rzeczywistości i wymaga praktyki.

W tej chwili widział głównie to, że wszystko na tym placu łączy się z nim. Z jego osobą. Na pewnym poziomie wszystko znajdowało się tutaj z jego powodu.

I na odwrót.

Rany, pomyślał. Ożeż w mordę.

Świadomość, że ma Odegrać Rolę w Wielkim Planie Wszechrzeczy, do złudzenia przypominała uczucie, jakby coś wwierało mu się w tyłek.

Niektóre z tych grubych czarnych sznurów puchły w oczach, pęczniały od energii więzionej w splotach łączących jego życie z życiem innych ludzi. Jego obecność już zmieniała ich losy. Kręte czarne linie wijące się nad stosem zabitych ogrillów również stawały się coraz grubsze...

Najczarniejsze i najgrubsze kanały energetyczne biegły prosto do niego.

Łączyły go z Bojowniczką.

Nie miałoby to najmniejszego sensu, gdyby nie liścik na tablicy ogłoszeń - ale i on niewiele pomagał. Im dłużej się w niego wpatrywał, tym mniej go rozumiał.

Przypomniawszy mu się cytat z książki z kolekcji ojca: „Kiedy wyeliminujemy to, co niemożliwe, cokolwiek pozostanie - choćby najbardziej nieprawdopodobne - musi być prawdą”. Tylko że w Domu „niemożliwe” to śliskie pojęcie.

Z irytacją pokręcił głową. Nigdy nie będzie wielkim detektywem. Pies go jebał.

Skoro jednak brakowało mu nadludzkiej spostrzegawczości i nadnatu-ralnej umiejętności dedukcji, może powinien po prostu kogoś zapytać?

Kiedy odwrócił się do tej, którą miał na myśli, już na niego patrzyła.

195

Nawet z odległości dwudziestu metrów egejski błękit jej oczu zapierał

dech w piersi.

Odłożyła napierśnik i naramienniki, po czym statecznie wstała, odwró-

ciła się do niego plecami, zdjęła trzewiki i odpięła paski mocujące nabiodrki. Schyliła się, żeby wyplatać nogi ze stalowych osłon, i wypięła na niego tyłek, którym mogłaby łupać orzechy.

Przypomniawszy sobie Marade w schronie burzowym. Minęło tyle lat...

Przypomniawszy sobie również, że w kodeksie Khryla nie ma mowy o tym, że Rycerz musi być cnotliwy. Przypomniawszy sobie biały łuk piersi Bojowniczką, zaróżowiony od świeżych blizn...

Zawinął kieszonkę w papier i schował do sakiewki. Wzruszył ramionami i ruszył w stronę Bojowniczeki. Zanim jednak wszedł między szeregi zabitych, ciężka, opancerzona dłoń spoczęła mu na ramieniu.

- Wybacz, dobry człowieku. - Uprzejmy ton. Pełen szacunku. Władczy.

- Powinieneś stąd odejść. Dla własnego bezpieczeństwa.

Zdjęła nagolenice. Jakiś strażnik spinał części zbroi paskami, tworząc z nich luźne zawiniątko. Zaczęła odchodzić z placu.

- Lady Khlaylock! - zawołał za nią.

Jeżeli nawet go usłyszała, nie dała tego po sobie poznać. Nie miał do niej pretensji - pokazywanie się publicznie w jego towarzystwie z pewno-

ścią zajmowało wysoką pozycję na jej prywatnej liście rzeczy opisanych jako nie-ma-kurwa-mowy. Chociaż przyznanie się, że go zna, musiało być jeszcze wyżej.

- Dobry człowieku... - Uścisk dłoni na ramieniu zelżał. - Wróć do swoich zajęć. Jesteś proszony o opuszczenie placu.

Mógł ją poprosić, żeby zawróciła. Czemu nie? Przyklęknąłby na jedno kolano i błagał, żeby zniżyła się do zauważenia go. A zaraz potem wyrosłyby mu skrzydła i przefrunąłby nad placem, pierdząc wrózkowym pyłem.

- Dobry człowieku, nalegam...

Zawodowo pakował się w kłopoty. Miał do tego dar. Instynkt. A kiedy żadnych kłopotów nie było pod ręką, sam je sprawiał. Do tego też miał

dryg. Dawne dzieje. Sam upływ czasu nie opisywał różnicy między 196

Aktorem sprzed lat i człowiekiem, którym był obecnie. Czasem jednak zapominał, jaki jest stary. Czasem zapominał o swoich bliźnich.

Czasem dorosłość go męczyła.

Spojrzał na dłoń strażnika: duża, silna ręka odziana w kolczą rękawicę.

- Tego ciała dotyka się wyłącznie na zaproszenie - powiedział.

- Słucham?

- Nie lubię, kiedy obcy mnie dotykają. Proszę zabrać rękę.

- Dobry człowieku...

- Powiedziałem „proszę”. Nie powtórzę tego.

Dłoń zacisnęła się, żeby go odwrócić.

- Dobry człowieku, zgodnie z przepisami zmuszony jestem poinformować *ghmprf...*

Rozmycie się słów w zwierzęcym sieknieciu zaskoczenia i bólu zbiegło się w czasie z płynną dźwignią na nadgarstek, po której strażnik zgiął się wpół. Kciuki cywila przygięły dłoń strażnika do przedramienia, a skręt całego ciała usztywnił rękę w łokciu.

Z nadgarstka dobiegło wilgotne trzeszczenie.

Jeszcze trochę przycisnął dłoń strażnika, który wydał zdławione sapnię-

cie i osunął się na jedno kolano.

- Tobie też się to nie podoba, prawda?

- Za tę zniewagę zapłacisz krwią - odparował z wściekłością strażnik, oglądając bruk z odległości rozcapierzonej dłoni.

- Serio? Na razie nikomu nie stała się krzywda, ale to się może zmienić.

- W imieniu Prawa Khryła obowiązującego na Polu Bitwy... - Brzmiało to tak, jakby strażnik gryzł cegły. - Żądam, abyś uzbroił się i stawiał na...

- Może kiedy indziej. Jak już wyleczysz nadgarstki.

Mężczyzna okręcił się w miejscu i wilgotne trzeszczenie przeszło w lepkie młaśnięcie. Zza zaciśniętych zębów strażnika dobiegło gardłowe stęknięcie.

- Hej, ty tam! Zostaw go!

Dookoła zaroiło się od strażników. Zbiegli się z całego placu. Bojowniczką obejrzała się przez ramię. Najbliżej stojący strażnik wyciągnął

197

karabinek i wycelował.

- Puść tego khrylianina!

- Jeśli chcecie, mogę mu w ogóle dać wolną rękę. Tylko musicie mi pozwolić życzyc nóż.

- Puść go i cofnij się. - Strażnik położył palec na cynglu. - Natychmiast.

Inaczej strzełę.

- My tylko rozmawiamy. - Przesunął chwyt na ramieniu strażnika w taki sposób, że oparł dłoń na jego usztywnionym łokciu. Gdyby teraz nacisnął

minimalnie mocniej, złamałby staw. - Temu panu wydawało się, że może mnie dotykać, więc mu tłumaczę, że się mylił.

Kropla wywołanego bólem potu skapnęła z czubka nosa strażnika.

- Ten dobry człowiek zaatakował mnie bez ostrzeżenia i bez Wyzwania.

Złamał mi nadgarstek.

- To tylko nadwyręzenie. Mięczak.

Nagle bardzo wyraźnie zobaczył lufę karabinka - oparła się o jego nos.

- Kto bez ostrzeżenia napada na sługę Khryła, popełnia poważne przestępstwo.

Wzruszył ramionami.

- Właśnie go ostrzegłem.

Bojowniczką wśliznęła się pomiędzy nich i ruchem smukłej dłoni odepchnęła broń.

- Puść go, dobry człowieku.

- Poproś ładnie.

- Dobry człowieku, jestem...

- Wiem, kim jesteś. A ja nie jestem dobrym człowiekiem, tylko obywatel.

- Z Ankhany. Dominic Shade, zgadza się? - Uniosła głowę i rozpromieniła się, jakby to wszystko wyjaśniało. Może faktycznie tak było; na pewno zasłużyła na wysokie noty za styl. - W takim razie, obywatelu, proszę cię, puść tego człowieka.

- Nie ma sprawy. - Przyjaźnie poklepał uwolnionego strażnika. - Tylko nie rób głupstw, okej?

198

Strażnik wstał i wyprostował się, zdrową ręką podtrzymując obolały nadgarstek. Jego twarz wyglądała jak wykuta w lodzie.

- Domagam się honorowej satysfakcji na placu boju.

- Honorowej... Mhm, jasne.

Małeńkie kurze łapki zagnieździły się nad kośćmi policzkowymi Bojowniczkii.

- Co cię tu sprowadza, obywatelu?

- Chciałem zamienić słówko z lady Khlaylock. To wszystko.

Ruchem głowy wskazała pieniącego się ze złości strażnika.

- Zrobiłeś to... żeby zwrócić moją uwagę?

Wzruszył ramionami.

Stojący obok Bojowniczkii khrylianin skinął karabinkiem.

- Klękaj.

- Że co?

- Uklęknij, kiedy Bojowniczkii do ciebie mówi - wyjaśnił strażnik. Ton jego głosu mówił: „Bo inaczej spuszczę ci łomot”.

Czarny Nóż nie klęka.

Przymknął powieki, westchnął i znów otworzył oczy. - Jestem obywatelem Cesarstwa Ankhańskiego. Ty chyba nie rozumiesz, co to znaczy.

- Nie jesteś w cesarstwie.

- To bez znaczenia. Nie podoba ci się, że stoję? To mnie przewróć.

Khrylianin zakołysał się na palcach i podniósł karabinek jak kij. Pozostali strażnicy poszli w jego ślady.

- Myślisz, że nie dam rady?

- Na pewno dasz. Rzecz w tym, że będziesz musiał. - Uśmiechnął się przepaszająco do Bojowniczkii.

- Nie mamy ważniejszych spraw do załatwienia?

Jej indygowie oczy spojrzały w dal. Zwróciła się do strażnika z obolałym nadgarstkiem.

- Powinieneś odwołać swoje Wyzwanie.

Opadł na jedno kolano tak szybko, jakby mu odstrzelili goleń.

199

- Za pozwoleniem, pani, nie możesz mi tego nakazać.

- To nie rozkaz. To dobra rada. Ten człowiek jest Uzbrojonym Wojow-nikiem. Chcesz z nim walczyć tu i teraz?

Strażnik obmacał naciągnięty przegub. Skrzywił się. - Jeśli to konieczne...

Angvasse Khlaylock westchnęła.

- Jeżeli takie jest twoje życzenie, będę Świadkiem.

- Zaraz, chwila... Ja nie mam tu nic do powiedzenia?

- Nie. Jako Uzbrojony Wojownik masz obowiązek przyjąć Wyzwanie każdego innego Wojownika niższej lub równej rangi.

- Przyjąć znaczy... walczyć?

- Albo poddać się i przyznać do popełnienia przestępstwa. Za które w tym wypadku grozi ci rok karnej pracy w Posiadłościach.

- Gówniana alternatywa.

- Powinieneś był to rozważyć, zanim wdałeś się w przepychankę z Żoł-

nierzem Khryła. Nie czytałeś naszego Regulaminu Potyczek?

- Byłem zajęty.

- Nim zaczniecie - Angvasse znów zwróciła się do strażnika - powinieneś wiedzieć, że człowiek ten używa w Brodzie Purthina nazwiska Dominic Shade. Celnik uznał go za Zbrojnego szóstego stopnia. Bez broni.

Wargi strażnika zadrżały, mięsień w kąci oka drgnął nerwowo.

- Obywatel Shade jest klasztornym ezoterykiem. - Indygowe oczy pociemniały. - Zabójcą.

- Emerytowanym - wtrącił Shade.

- Słyszałeś zapewne o wczorajszych wydarzeniach w lucanixerilu.

Nieuzbrojony więzień obezwładnił trzech strażników i Rycerza Pałacowe-go. Jednego strażnika zabił, dwóch pozostałych ciężko ranił. Rycerz od-niósł tak poważne obrażenia, że tylko łasce Khryła zawdzięcza życie.

Kolejne mięśnie zadrzały nerwowo, tym razem na zuchwie strażnika.

Powoli tracił rumieńce.

- Rozstrzyganie sporów w walce spoczywa w prawych rękach Pana Bitew - odparł ponuro. - Nie

lękam się.

200

- Tym Rycerzem Pałacowym był Tyrkilld, Rycerz Aeddharr.

Strażnik zbladł. Autentycznie zbladł, jakby tylko wstyd nie pozwalał mu zemdleć na miejscu.

- Prawda jest prawdą, a sprawiedliwość sprawiedliwością. Moje życie należy do Khryła.

- I właśnie w imię Khryła proszę cię, żebyś się wycofał. - Angvasse po-

łożyła mu rękę na głowie, jakby uspokajała rozdrażnionego psa. - Nie mogę ci tego nakazać, dlatego cię błagam. Odwołaj Wyzwanie. Czy nie dość przelano dziś krwi?

- Kara...

- Strażniku, proszę.

Strażnik zwiesił głowę.

- Jak sobie moja pani życzy.

- Niech lord Storyxe obejrzy twoją rękę.

- Tak, pani.

Strażnik wziął się w garść i rzuciwszy ostatnie złowieszcze spojrzenie, podszedł do jednego z Rycerzy w lazarecie. Jego towarzysze wrócili do usuwania gapiów z placu.

Dyskretny ruch ręki potwierdził, że automag spoczywa na swoim miejscu.

- Drażliwe te twoje skurczybyki.

- Mówisz jako specjalista od drażliwych skurczybyków? - Na chwilę surowe płaszczyzny jej twarzy złagodniały, jakby zamierzała się uśmiechnąć. Ale tylko na chwilę. - Nie są moi. Służą Khryłowi, tak jak ja. - Zniżyła głos, jej usta ledwie się poruszały. - I tak jak ty, dopóki Dymny Łów nie zostanie zmiażdżony raz na zawsze.

- Ja właśnie w tej sprawie...

- Jakiś problem? Bo taki sprytny znalazłeś pretekst, żeby ze mną porozmawiać...

- Wydawało mi się, że khrylianie nie wiedzą, co to sarkazm?

- Oto więc nastał dzień zaskakujących odkryć. Powiedz, czego ci trzeba, a ja postaram się to zapewnić. - Uniesieniem brwi zmieniła przygarbienie w 201

przepraszające wzruszenie ramion. - Zrobię wszystko, żeby uniknąć następnego takiego poranka.

- To nie takie proste.

- Porzuciłam już nadzieję, że cokolwiek będzie proste. Mów. - Ledwie zauważalnym skinieniem głowy przypomniała mu nie tylko o kostnicy na placu, ale przy okazji o całym Brodzie Purthina, Piekło i otaczających je ziemiach. - Jestem... zajęta.

- Co ty powiesz... - Spojrzał ponad jej ramieniem na Rycerza, który wyniósł z ruin następnego martwego ogrilla. - Dymny Łów to betka. Poniekąd. - Wziął głęboki wdech. - Prawdziwym problemem jesteś ty.

- Słucham?

- Pamiętasz może, stała tu taka tablica ogłoszeń... W nocy ktoś ją połamł, ale wiele wiadomości ocalało. Jedna z nich brzmi: „Rob, to jest numer twojej skrzynki” i dalej są jakieś cyfry.

- I co?

- Ja jestem Rob, nie ma żadnej skrzynki, a te cyfry to data, o której sprawdzenie poprosiłem jednego znajomego. To dzień, w którym zostałam Bojowniczką Khryła.

- Mogłeś mnie po prostu zapytać.

- Nie wiedziałem, że powinienem znać tę datę. Zresztą, ciekawe, że sama o niej nie wspomniałaś, zwłaszcza wczoraj w nocy, na purificapeksie.

Kurewsko nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- I nic ponadto.

- Widzisz? Sarkazm naprawdę ci nie wychodzi.

- Jaki to ma związek z naszą obecną sytuacją?

- Tego nie wiem. Ale po kolei, spróbujmy to rozebrać na czynniki pierwsze. Znajdujemy się na jebanym Świętym Polu Bitwy i spotykamy Żywą Pięść Khryła na Dłoni Pokoju, gdzie przelewa moc swojego boga w Jedyńą Prawdziwą Dłoń Ma'elKotha. I co, naprawdę nie wydaje ci się znaczącym fakt, że zostałam Bojowniczką Khryła dokładnie w dniu Wniebowstąpienia Ma'elKotha?

202

Nawet nie mrugnęła.

- Wyjaśnij mi, na czym polega ten związek, z łaski swojej.

Wyjaśnić? Szlag by to...

- To... ehm... to skomplikowane.

- Jak wszystko.

Przygryzł wargę.

- Jadłaś już?

- Że co, proszę?

- Całą noc byłaś... w pracy. - Machnął ręką w stronę sterty zabitych ogrillów. - A ja od rana zjadłem tylko kawałek krwawej kiszki, więc pomy-

ślałem, że, no wiesz, mógłbym ci... postawić śniadanie. I przy okazji przedstawić parę faktów z życia, które nie wyglądają dokładnie takie, jak ci się wydaje.

Trochę ją tym zaskoczył.

- Chcesz mi... kupić śniadanie?

- No... - Rozłożył ręce. Czuł się tak samo zaskoczony, jak ona wygląda-

ła, ale im dłużej o tym myślał, tym lepiej to brzmiało. - Tak. Zjedzmy coś.

Chyba że chcesz skubnąć kawałek mojej kiszki?

- Skubnąć kawałek twojej kiszki?! Obywatelu Shade... - Pochyliła się nad nim i znów otaksowała go chłodnym, domyślnym spojrzeniem. - Czy ty ze mną flirtujesz?

- Czy ja...

Ożeż ty w dupę, pomyślał. Czy ja z nią flirtuję?

Leciutki ślad szelmowskiego uśmiechu zarysował się w kącikach jej ust.

Im dłużej Shade zwlekał z odpowiedzią, tym szerszy stawał się ten uśmiech. Zanimby choć zdecydował, jak brzmi prawdziwa odpowiedź, nawet na długo przed tym, jak w jego umyśle zamajaczyłby cień pomysłu, co powinien powiedzieć tej straceńczo niebezpiecznej i nadludzko silnej morderczynie, której zachowanie sugerowało, że mogłaby rozważyć ideę podkochiwania się w nim, za jej plecami jeden z Rycerzy rzucił na stos ostatniego zabitego ogrilla.

Świat eksplodował mu prosto w twarz.

203

pusta biała nieciągłość

permanently chwilowa

\*\*\*

W końcu otworzył oczy.

Braź, szarość i czerń przewalały się i kłębiły wokół niego. Mające we mgle sylwetki to pojawiały się przy nim, to znikwały, poruszały się, przemieszczały, rozdzielały na dwie, na trzy i znów scalały się w całkowi-tej ciszy.

Nie tak zaplanował ten poranek.

Powinien po prostu znowu zasnąć. Nie przychodziło mu do głowy żad-ne inne sensowne zajęcie, a nie przypominał sobie, kiedy ostatnio czuł się aż tak zmęczony. To łóżko, pomyślał, na pewno mieści się w pierwszej dziesiątce Najbardziej Niewygodnych Łóżek w Dziejach Świata. Jakby leżał na stercie potrzaskanych skrzyń. Próbował się przesunąć i znaleźć jakąś namiastkę wygody wśród kantów i ostrych krawędzi, ale nie mógł

poruszyć nogami. W ogóle ich nie czuł.

No to, kurwa, piękny dzień mamy.

Ile razy już się tak budził? Może się jeszcze zesrał przez sen, jak zwykle? Czy na pewno chciał to wiedzieć?

Coś zadygotało mu pod plecami, jakby graniaste łóżko przeniosło wi-bracje uderzenia, które powinien był usłyszeć. Pół sekundy później gorący deszcz rozbryznął mu się na wargach. Odruchowo wysunął język i stwierdził, że gorący deszcz przypomina w smaku krew.

Zaczęło do niego docierać, że to, co wziął za zwykły spieprzony poranek, jest w istocie czymś o wiele, wiele gorszym.

W ogóle, co to za miejsce? Dlaczego z nieba pada krew? Brażowo-szaro-czarna breja mogła być dymem, ale on nawet nie mógł zogniskować wzroku, żeby utwierdzić się w tym przypuszczeniu. Poza tym, co to za zapach, kurwa? Kuchnia się pali?

Pachniało pieczoną kaczką.

204

Spróbował usiąść. Był przygwożdżony przez coś dużego, miękkiego i najprawdopodobniej mokrego, co leżało mu na piersi. Rękami też nie bardzo mógł ruszać, ale w końcu udało mu się zaprzeć łokciami o kanciasty stos... Pudeł? Kamieni? Cegieł? Uniósł się i spojrział...

Na jego piersi leżała martwa dziewczyna, zwrócona twarzą w dół.

Kurwa, co to ma być?!

- Shan...? Shanna?

Zdrętwiałe wargi nie chciały współpracować, odmawiały formowania zrozumiałych słów. Czy naprawdę coś powiedział? To jakiś sen. Tak, na pewno: on przemówił, ale głos się nie rozległ.

- Shanna... co oni ci... dlaczego jesteś...

Nie, zaraz...

Przypomniawszy sobie. Jego żona nie żyła. Poniekąd. Od dawna. Była prawie tak samo martwa jak ta dziewczyna.

Tylko kim jest ta dziewczyna, do diabła?

Nadal nie mógł skupić wzroku, ale mrużąc oczy, był w stanie nadać jej rozmazanej postaci jakieś pozory sensu... Jezu, ależ była zmasakrowana.

Krwawa miazga w miejscu potylicy, głowa opadająca jak wisielcowi, ubranie w strzępach...

Plecy również.

Zakrwawione kręgi wynurzały się z żółtego tłuszczu, lśniąc jak stara kość słoniowa, ciemnoczerwone mięśnie okrywały żebra, z korpusu sterczały dwie kości, których nawet nie umiał rozpoznać, ponieważ wystawały pod jakimś dziwnym kątem, w dodatku były stanowczo za duże jak na ludzkie, ale zanim ogarnął ten popierdolony widok i cokolwiek z niego zrozumiał, kątem oka zauważył jakiś ruch, podniósł wzrok i - wciąż wściekle mrużąc powieki - dostrzegł majaczącą we mgle ciemną plamę...

To był ogrillo wielki jak góra.

Wynurzył się z dymu owiany płomieniami, ze zwieszonym łbem i spuszczonego wzroku, przepatrywał ziemię, w łapie trzymał dostosowaną do rozmiarów ogrilla wersję khryliańskiego morgenszterna, uderzył nim z góry na dół i ziemia znów zdrząła, mocniej, lecz nadal bezgłośnie, 205

morgensztern trafił w opancerzoną stalowym hełmem głowę człowieka leżącego na kupie gruzu, a kiedy wznosił się do kolejnego ciosu, z nieba spadł świeży deszcz ciepłej krwi i mózgu, ogrillo obrócił łeb...

Spojrzeli sobie w oczy.

Miał wrażenie, że ogrillo go rozpoznał.

Trójdzielna warga obnażyła umazane czerwienią kły, zuchwa się poruszyła, jakby artykułował, ale głosu wciąż nie było słyhać. Podszedł bliżej, gigantyczny morgensztern wznosił się na tle pulsującej karmazynowo rany, jaką we mgle wydarło słońce - a on mógł tylko leżeć nieruchomo z martwą dziewczyną na piersi, gapić się w otępieniu w przestrzeń i czekać na śmierć.

Zamknął oczy.

Zamiast umrzeć, poczuł, że martwi budzą się do życia. Dziewczyna na jego piersi...

Poruszyła się.

Kiedy znów otworzył oczy, stwierdził, że jakimś cudem zdołała uklęknąć i choć głowa latała jej na boki, trupio bezwładna na złamanym karku, jedna mała piastka uderzyła prosto w wydatne, zakutane w przepaskę bio-drową krocze ogrilla - tak szybko, że ludzkie oko za tym nie nadążyło, i z taką mocą, że szponiaste tylne łapy bestii oderwały się od ziemi. Ogrillo zgiął się wpół wokół pięści martwej dziewczyny i wijąc się z bólu, zarył

pyskiem w stertę potrzaskanych cegieł.

Aha. Czyli nie była całkiem martwa, tylko trochę.

Przypominała Shannę bardziej, niż mu się pierwotnie zdawało.

Dziewczyna sięgnęła ręką wstecz ponad ramieniem, jakby chciała się poklepać po plecach. Zaciśnęła palce na guzie stawu jednej z tych niewy-tłumaczalnie gigantycznych kości, które sterczały jej spomiędzy żeber, i wyszarpnęła ją, całą zakrwawioną. Z drugiej strony kość była obłamana, poszczerbiona i rozłupana na drzazgi. Dziewczyna podczołgała się do kula-

cego się z bólu ogrilla i wbiła mu tę postrzępioną końcówkę kości z boku w szyję, po czym, używając jej jak dźwigni, przyciągnęła łeb ogrilla do siebie, 206

zerwała go z karku i odrzuciła na bok. Następnie wzięła się za odrywanie mu łap.

Ostra dziewczucha, przysłała mu do głowy mętna refleksja. Kurewsko ostra.

Podziwiał takie kobiety.

Majaczące we mgle kontury jej ciała i twarzy okryły się własnym ogniem, migotliwą obwódką niebieskich płomieni, które na wpół widział, na wpół zaś tylko sobie wyobrażał, i ta wyobrażona, wyhalucynowana, wyśniona połówka płomienia, wijąc się i strzelając, rozjarzyła się jak łuk aparatu spawalniczego, aż całe wnętrze jego czaszki zapalało oślepiającą elektryczną bielą.

Jego oczy nadal widziały normalnie, ale obraz, który przekazywały do skwierczącego mózgu, też musiał być wyobrażeniem, halucynacją albo snem, ponieważ złamany kark dziewczyny nagle się wyprostował, a zmiażdżona potylicca wysklepiła się i zagoiła.

Dziewczyna otrząsnęła się jak mokry pies, od głowy po pięty.

Pochylona na czworakach nad szczątkami ogrilla obrzuciła go spojrzeniem intensywnie indygowych oczu i poruszyła zakrwawionymi, osmoło-nymi ustami - lecz w jego uszach nadal dźwięczała tylko upiorna cisza.

Spojrzała na niego, przez niego, w jej oczach zapłonął ten wyimaginowany ogień, a on nagle się zorientował, że w ogóle go nie widzi. Z wysiłkiem wstała i na chwiejnych nogach zniknęła w dymie.

Doszedł do wniosku, że chętnie by ją poznał bliżej.

Zwłaszcza że miała zgrabny tyłek.

Słońce pojaśniało od karmazynu do szkarłatu i żwawo zmierzało ku oranżowi. Bezgłośny wietrzyk zakręcił pachnącym pieczoną kaczką dymem i zaczął go rozwiewać. Ze ścian osmolonych domów puste oczy roz-bitych okien wpatrywały się w mgłę stopniowo odsłaniającą wyłożony kamiennymi płytami szeroki plac, na którym walały się ludzkie ciała. W

większości opancerzone. Dym bił z krateru, w którym z powodzeniem zmieściłyby się dwie karety razem z zaprzęgami. Czysta woda lała się do niego z potrzaskanej wyrwy w murze fontanny.

207

Z mętnych głębin w jego mózgu wyłoniły się dwa słowa: Dymny Łów.

Nie pamiętał, co znaczą. Była tylko cisza, dym i smak krwi.

W dymie roilo się od ogrillów.

Było ich co najmniej sześć, może siedem. Płonące czerwienią widma przechadzały się wśród opancerzonych ciał ostrożnym, złowieszczo meto-dycznym krokiem, przystając od czasu do czasu, żeby groteskowo przero-

śniętym morgenszternem zmiażdżyć którąś czaszkę.

Martwa dziewczyna podeszła do najbliższego z nich, złapała go za wielką szarą łapę, odwróciła do siebie i drugą ręką wymierzyła mu błyskawiczny cios, od którego jego pierś się zapadła wokół jej pięści. Krew trysnęła mu z pyska i wlokła się za nim długą fontanną, gdy poleciał do tyłu jak szarpnięty przez niewidzialnego boga.

Inne ogrille znieruchomiały, odwróciły się i dopiero teraz ją zobaczyły.

Osaczyły ją. Zachwiała się, ale stawiała im czoło. Pierwszy zginął, drugi również, ale potem ją otoczyli i dopadli, bo przecież była złamana i martwa.

No, prawie.

Ale niedługo będzie całkiem martwa, bo już ją dorwali.

Jeden ogrillo złapał ją za jedną rękę, drugi za drugą, a trzeci zamachnął

się olbrzymim morgenszternem jak zawodowy golfista kijem w sennym koszmarze morfinisty.

Jakiś przedmiot szczególnie uwierał go w plecy, kawał żelastwa do-kładnie pod prawą nerką. Jego ręka przesunęła się w tę stronę bez żadnego świadomego polecenia, palce zacisnęły się na tajemniczym obiekcie, mię-

śnie się napięły, pociągnął - i z niejakim zdumieniem stwierdził, że ma pełną garść pistoletu. Jebitnie wielkiego pistoletu.

Wycelował i z lufy buchnęła fontanna niemego ognia.

Ogrillo z morgenszternem okręcił się w miejscu i opryskał wszystkich dookoła krwią, kawałkami ciała i odłamkami kości bryzgającymi z kraterów, które znieścacka otworzyły mu się w piersi i kikucie prawej łapy.

Tym razem pozostali odwrócili się i spojrzeli na niego.

208

Następny strzał rozpruł drugiego byka od jaj po pysk, dziewczyna wyrwała się - i było po zawodach. Uderzała, podchodziła, znów uderzała, a on dosięgał ich smugami bezgłośnego metalu, który trafiał z siłą niewiele mniejszą od jej pięści: miednica, kolano, bark, kręgosłup. Strzaskać kości.

Obalić przeciwnika. On miał metal, ona mięśnie. Wszystkie ogrille zginęły.

Gorzej, zostały rozczłonkowane. Rozdarte na strzępy.

Nawet nie próbowały uciekać.

Każde pociągnięcie za spust pompowało mu wspomnienia do głowy.

Kiedy walka dobiegła końca, wiedział już, gdzie jest, jak się tam znalazł i dlaczego.

Wiedział też, kim jest dziewczyna.

Dlatego, kiedy było po wszystkim i stanęła nad nim na stercie gruzu, z osmoloną, poważną twarzą, odziana w krzepnący szkarłat, wycelował prosto między te niesamowite oczy barwy indygo.

Musiał przytrzymać pistolet oburącz.

Nawet nie spojrzała na broń. Patrzyła na niego.

Ich oczy spotkały się ponad przyrządami celowniczymi i jej wyniosłość stopniała. Jej oczy, usta, przekrzywiona głowa - wszystko krzyczało smęt-ną, rozdygotaną rozpaczą. Jakżeby mógł do niej strzelić?

Trwało to mgnienie oka, zanim jej twarz znów przybrała nieprzenikniony wyraz. Wyciągnęła rękę po pistolet.

Rany boskie... Naprawdę się zestarzał.

Oddał jej broń.

Przytuliła ją niczym jakiegoś egzotycznego ptaka, który umarł jej na rę-

kach. I przemówiła. Z początku słyszał tylko wysokie, śpiewne skomlenie, które bardzo powoli przybierało na sile, w miarę jak jego uszy budziły się do życia. Wszystko jednak wyczytał z jej warg.

- Dominicu Shade - powiedziała - jesteś aresztowany.

**WCZORAJSZE JUTRO**

# INTERWENCJA

KIEDY BOGOWIE CHCĄ KOGOŚ UKARAĆ, ODPOWIADAJĄ NA JEGO MODLITWY.

- RZEM. TAN'ELKOTH (DAWNIEJ MA'ELKOTH,

PIERWSZY CESARZ ANKHANY

I PATRIARCHA KOŚCIOŁA ELKOTHAŃSKIEGO),

CYTUJĄC DUNCANA MICHAELSONA

*OSTRZE TYSHALLE'A*

Kiedy spłukał krew z twarzy i włosów, do celi przyszedł strażnik, żeby zabrać miskę rdzawej wody.

- Ręcznik też.

Leżał obok niego na polowym łóżku: gruba, wybielona szmata poplamiona ceglaną czerwienią i upstrzona skrzepami. Podał ją przez kraty.

Strażnik złożył ręcznik - starannie, z szacunkiem - włożył go do miski i odwrócił się.

- Ej, ty...

Strażnik się zatrzymał.

- Mógłbym dostać swoje ubranie? Tu jest jak w lodowni.

210

- Zwróć się do Bojowniczk.

Niósł miskę oburącz, z czcią, jakby zawierała coś świętego. Może zresztą tak właśnie było - jego krew raz już ocaliła ten świat. Jeżeli mieli nadzieję, że jej krew również może coś ocalić, to mieli cholernego pecha.

Odprowadził strażnika wzrokiem, w zadumie obmacując językiem dwa wytrychy schowane między dżąsłem i policzkiem. Wykrztusił je z ma-gicznego schowka w gardle już po tym, jak Rycerze zakończyli brutalną rewizję osobistą obejmującą wszystkie naturalne otwory ciała. Mógłby bez wysiłku uwolnić się z celi, ale goły nie zaszedłby daleko po ulicach roją-

cych się od rozeźlonych khrylian.

Poza tym, i tak w każdej chwili spodziewał się odwiedzin Bojowniczk i chyba było warto poświęcić się, zaczekać i zamienić z nią dwa słowa.

Wszystkie kości miał chyba całe. Zachował dość samodyscypliny, żeby doprowadzić do reabsorpcji płynu surowiczego z siniaków, a wraz z nimi zniknęła większość bólu; z resztą rozprawi się za pomocą naturalnych en-dorfin i dopaminy. Później za to zapłaci, przeciążenie gruczołów to nie przelewki, ale w tej chwili musiał jak najszybciej odzyskać zdolność poruszania się.

Dla zabicia czasu bawił się kajdanami na nogach: na przemian zamykał

je i otwierał wytrychem, które to zadanie plasowało się na skali trudności między łatwym i średnio trudnym. Siedział nagi na łóżku i koncentrował

się na przesuujących mu się w głowie obrazach. Takich jak sterczące z jej pleców potrzaskane kości.

Szrapnele. Szrapnele ze świeżych gnatów.

Nie śmierdziało benzyną, nie czuł prochu, którego woń zawsze przypominała mu smród przypalonej grzanki zmieszany z pierdnięciem po gro-chówce... Tylko przypalona kaczką. To nie była bomba. W każdym razie nie chemiczna.

Magijna.

To dlatego okiem umysłu widział energię gromadzącą się wokół zabitych Dymnych Łowców. Każdy dorzucony na stertę trup przybliżał eksplozję. Magijna masa krytyczna. Taki ulepszony zapalnik czasowy, który 211

dawał pewność, że w pobliżu znajdzie się maksymalna liczba Rycerzy i strażników.

Zadziałał bez zarzutu.

Mimo to, coś tu nie grało, chociaż nie potrafił powiedzieć, co dokładnie.

Właściwie nic w tym dziwnego, jego umysł po wybuchu funkcjonował

raczej przeciętnie. Już pomijając nawet zamieszanie z chronologią.

Śmieszna sprawa - facet, któremu skręcił nadgarstek, jednak miał rację: powinien był opuścić plac. Dla własnego bezpieczeństwa.

Gdyby Angvasse stała wtedy stopę bardziej w lewo lub prawo, te gnaty sterczałyby później z jego brzucha.

Fart. Po prostu. Stary farciarz z niego.

Człowiek, który w swojej głowie stał się bogiem, mawiał, że „fart” to słowo, którym ignoranci określają swoją ignorancję. Są ślepi na przepływ sił ożywiających wszechświat i swoją ślepotę nazywają nauką, trzeźwością sądów albo pragmatyzmem. A kiedy wyrzną łbem o ścianę albo spadną z urwiska, swoją niezdarność nazywają fartem.

On jednak okiem umysłu wyraźnie postrzegał rozkład tych sił - i mimo to, nie znajdował lepszego określenia.

Stary farciarz.

\*\*\*

Pasy słonecznego blasku wpadały skośnie przez kraty świetlika. Było koło południa. Cela znajdowała się na piętrze stajni niewielkiego garnizo-nu. Panująca w garnizonie cisza miała w sobie coś z wieloletniej pustki, jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Większość służących w nim żołnierzy była niedawno na Placu Tkaczy.

Był jedynym więźniem.

Przebiegająca obok ulica tętniła życiem, choć hałas był niewielki. Przytknąwszy czoło do krat małego okienka (szorstki dotyk chłodnego żelaza, na skórze), patrzył, jak strażnicy okrywają wozy lśniącem białym jedwabem przetykanym złotą nicią i zaprzęgają do nich potężne, muskularne

rumaki bojowe. Ubrany na biało dobosz powolnym, posępnym rytmem bębna zwoływał okolicznych mieszkańców i sklepikarzy.

Wzywał ich na świadków Ostatniego Marszu.

Na każdym wozie leżał jeden Rycerz, umocowany do grobowej deski olbrzymimi tępymi hakami w kroczu i pod pachami. Wszyscy mieli zdjęte osłony hełmów, żeby było widać krwawą miazgę, która pozostała im z twarzy. Dobosz z emfazą wybijał końcówkę, gdy deski postawiono do pionu i umocowano w tej pozycji. Poległych Rycerzy znosi się z pola bitwy w pozycji stojącej.

Zabici strażnicy jechali szóstkami na zwykłych wozach, niczym nie-przybranych. Oni także byli w pełnym rynsztunku. I także odslaniali śmiertelne rany.

Widział już wcześniej Ostatnie Marsze - dwadzieścia pięć lat temu tutaj, na Boedecken, i w Ankhanie po Ceraeno. Marsz przejdzie ulicami miasta.

Powolny rytm werbla uciszy handel, wstrzyma ruch, zgromadzi smutnych świadków. Ludziom pod opieką Khryla nie wolno zapominać, jaka jest cena ich bezpieczeństwa.

Krew z wozów będzie swobodnie spływać ulicami - to rodzaj chrztu po-twierdzającego świętość tej ziemi. Żywi pójdą za wozami, deptając po krwi i znacząc drogę krwawo-piaszczystym tropem.

Krwawy trop na Pustkowiu Boedecken. W miejscu, które khrylianie nazywali Polem Bitwy, a ogrille Swoim Miejscem.

Widział także ją.

Odziana w biel. Luźny kaptur narzucony na głowę. Woal zamazujący twarz. Rozpoznał ją po wyprostowanej sylwetce. Po przechyleniu głowy.

Po szacunku strażników, gdy, chodząc wśród nich, tu coś powiedziała, tam czegoś dotknęła. Po fakcie, że sama jej obecność dodawała im sił.

Kiedy na nią patrzył, oczami wyobraźni oglądał krwawą miazgę potylicy, która sama się wysklepiła. Przez chwilę się zastanawiał, kiedy ostatni raz zwracała sobie głowę wkładaniem hełmu.

Khrylianie muszą wstać, żeby się pomodlić. Ona nie wstała. Nie pomodliła się.

213

Dobrze, że do niej nie strzelił. Tylko by się wkurzyła.

Simon Faller powiedział mu - to znaczy, powie mu, na Ziemi, w Buke, za kilka dni - że od czasu Dymnego Łowu nikt jej nie widział. Że nie stawi-

ła się na Sąd Khryła, nie stanęła do pojedynku z Orbekiem. Może tak wła-

śnie by się to skończyło, gdyby nie zaczął strzelać do Łowców.

A może nie miało to z nim nic wspólnego. Może zostanie odczynione.

Na pewno. To możliwe.

Kiedy wyeliminujemy to, co niemożliwe...

Zaraz, chwileczkę.

Jego ojciec miał jeszcze taki drugi ulubiony cytat, o tajemnicy psa, któ-

ry nie szczeka w nocy. Shanna lubiła powtarzać, że najtrudniej zobaczyć to, co powinno być...

No jasne. Właśnie to nie dawało mu spokoju. To, co powinno tam być.

- Święty Boże... - mruknął. - I to dosłownie.

Dzień Wniebowstąpienia na Drodze Bogów w Ankhanie. Ma'elKoth Ucieleśniony, rozplątany od barku po biodro...

Więc człowiek-bóg jednak nie gadał od rzeczy.

Dymni Łowcy również.

\*\*\*

Później do niego przyszła, cała w bieli, taka jak widział ją na ulicy: pe-leryna, tunika, szerokie spodnie z bielonego płótna, rękawiczki, kaptur okrywający włosy, półprzezroczysty woal łagodzący surowe kontury twarzy. Przyniosła mu jego ubranie - wyprane, złożone, jeszcze wilgotne. Po-

łożyła je na drewnianym stole przed całą. Obok, na podłodze, postawiła świeżo wyczyszczone zamszowe buty.

Obserwował ją w milczeniu. Nie zanosił się na to, żeby którąkolwiek z tych rzeczy zamierzała podać mu przez kraty. To jak, miał z nią rozmawiać z pindolem na wierzchu? W porządku. Nigdy nie był nieśmiały, pod żadnym względem.

Przyszła cała zasłonięta, od stóp do głowy nie pokazywała ani kawałka

nagiej skóry. Przygryzł policzek. Było ewidentne, które z nich ma coś do ukrycia.

Przyniosła też płaskie zawiniątko w gładkiej brązowej skórze, przywo-dzące na myśl paczkę sztućców. Przysunęła sobie stół, szorując nim po obdrapanej drewnianej podłodze, i rozwinęła pakunek obok leżącego na blacie ubrania. Otworzyła go jak mapę, wygładziła starannie, choć z roztargnieniem, jakby nakrywała do stołu, myślami będąc na drugim końcu świata.

W zawiniątku znajdowały się noże. I nie tylko noże: sięgnęła po automaga i zważyła go w dłoni.

- Tylko raz widziałam taki pistolet - rzuciła od niechcienia po dłuższej chwili.

Jego automag był starszym bratem pistoletu Orbeka. W przeszłości oba należały do funkcjonariuszy 82. Batalionu Policji Społecznej.

- Więc o to chodzi? Przez taką pierdołę kazałaś mnie aresztować? Nie-legalne posiadanie broni?

- Pierwszy raz widziałam, żeby pocisk powalił ogrilla - ciągnęła takim tonem, jakby go nie usłyszała.

Westchnął.

- To kompozyty, sekwencyjne pociski łączone po trzy. - Tu wykonał

dyskretny, lecz ekspresyjny gest. - Zaprojektowane specjalnie do powalania różnych rzeczy.

- Rozpadają się na małe odłamki.

- Dlatego nazywają się „rozdzieracze”.

Pokiwała głową.

- Słabo penetrujące.

- Stuprocentowy transfer kinetyczny. Maksymalne walnięcie, po waszemu.

- Rozumiem. - Z podziwem oglądała broń w poszatkiwanym przez kraty świetle. - Przebiją pancierz?

- Nie wiem.

Spojrzała mu spod woalu prosto w oczy.

- Czyżby?

- Kiedy Orbek strzelał, przebijały. - Wzruszył ramionami i spuścił

wzrok. - Pewnie zależy od pancerza.

- Bez wątplenia. - Znow spojrzała na broń. - Imponujące.

- Podoba ci się? Jest twój.

- W rzeczy samej. - Położyła pistolet wśród noży. - One również. Zdumiewający zestaw zakazanej broni.

To nie wymagało żadnej odpowiedzi, więc po prostu usiadł na łóżku.

Spuściła głowę, jakby woal nie dość skrywał jej oczy, i wzięła do ręki pałkę teleskopową.

- A to? - odezwała się nieobecny głosem. - Coś pięknego. Pewnie nawet nie jest nielegalna. - Wcisnęła guzik zwalniający blokadę i pałka wy-ciągnęła się na pełną długość. - Skuteczna przeciw drobnym i cienkim ko-

ściom. Palce. Nadgarstek. Obojczyk. Skroń. Trafienie w kręgi szyjne może być śmiertelne.

- Nie przysłaś tu po to, żeby rozmawiać o moim sprzęcie.

- To prawda. - Odłożyła pałkę i spuściła wzrok. Zaciśnęła pięści, na chwilę wstrzymała oddech. Odwróciła się i podeszła do okna. - Znalazłam się w trudnym położeniu. Jako Pięść Khryła nade wszystko jestem zobowiązana wypełniać Jego Prawo.

- Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że uda nam się przeżyć dzień bez twojego pieprzenia o obowiązkach.

Cień jej twarzy drgnął, woal zafalował leniwie.

- Osobiście zaprzysięgam cię przed Khrylem i udzieliłam ci Jego Mo-cy.

- Właściwie o tym też chciałem...

- Przysięgałam bronić Pola Bitwy i jego mieszkańców dłonią, sercem i honorem.

- Musimy porozmawiać o tobie i Orbeku. I o Sądzie Khryła.

- Stłumiłeś rebelię Czarnych Noży? Zmusiłeś Orbeka do kapitulacji?

- Niezupełnie.

- W takim razie nie ma o czym rozmawiać.

216

- Nie załatwię jednego ani drugiego, dopóki będę świecił gołą dupą w waszej celi.

- Oboje wiemy, że wyjdiesz stąd parę sekund po tym, jak udam się na Arenę Sprawiedliwości. Wystawienie strażników tylko by sprowokowało rozlew krwi.

- Bez którego pewnie i tak się nie obejdzie.

- A ja nie zdołam mu zapobiec, tak jak nie zapobiegłam wczoraj. Ani dzisiaj rano. Ani, jak wszystko wskazuje, nie zapobiegnę w przyszłości.

- Będzie coraz gorzej.

- Daj sobie spokój. Nie przyszedłam tu wysłuchiwać truizmów.

- To po co w ogóle przyszedłaś, do cholery?

- Po... Placu Tkaczy... chciałam zasięgnąć rady stryja - odparła półgłosem. - Nie mogłam go nigdzie znaleźć, aż w końcu... przekonałam... lorda Tarkanena, żeby powiedział mi, co się z nim stało.

- Aha...

- To byłeś ty?

- To skomplikowane.

- Czy to byłeś ty?!

Westchnął.

- Tak. No, w każdym razie prawie.

- Ale dlaczego?

- Żadne „dlaczego” nie wyjaśni ci tego, co powinnaś wiedzieć.

- Powiedz mi.

Tak prosto z mostu? Proszę bardzo.

- Taka praca.

- Praca? Mówisz o naszej umowie? Dążyłeś do celu, który ci wyznaczyłam?

- Otóż to.

- Użyłeś... Świetlistej Dłoni, tak? Mocy Khryła, której osobiście ci udzieliłam?

- Niczego innego nie miałem.

217

Z powagą skinęła głową i już jej nie uniosła.

- Surowy osąd życia mojego stryja. Wierzyłam, że był lepszym człowiekiem.

- Nie, no, zaczekaj, nie tak szybko. Owszem, był skurwielem, bez dwóch zdań, ale wydaje mi się, że po prostu starał się jak najlepiej robić to, co musiał. Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy...

- Nie. Ta plama pozostanie na jego Legendzie po kres dziejów. - Jeszcze bardziej zniżyła głos. - Taka była Wola Khryła. Ty byłeś tylko Jego naczyniem, tak jak ja nim jestem.

- Nie posuwałbym się aż tak daleko...

- Już się posunąłeś. Ale to nie dyshonor mojego stryja mnie sprowadza.

Ja... chciałabym cię... chciałabym, żebyś...

W końcu się poruszyła: osunęła się półobrotem na stół, którego zdołała się złapać i nie upaść. Znieruchomiała, bezkształtna sylwetka w słonecznej aureoli. Podniosła jedną rękę i drżącą wsunęła pod woal.

- Chcę, żebyś mi powiedział... - zająknęła się. - Chcę się tylko dowiedzieć... muszę...

- Tak?

Uniosła głowę i cofnęła rękę, a wraz z nią cofnął się woal. Pałające indygowo oczy miały czerwone obwódki, łzy spływały po policzkach.

- Dlaczego nie strzeliłeś?

Teraz to on skamieniał. Między nimi ziała przepaść ciszy.

Wyciągnęła rękę, rozmasowała sobie kark i znów podeszła do okna. Patrzył na nią. Tylko patrzył. Nie mrugał. Nie oddychał. Nawet nie myślał.

- Bo przecież miałeś taki zamiar, prawda? Chciałeś mnie zastrzelić. -

Mówiła do słońca skrzącego się między kratami. - Dlatego przyszedłeś dziś rano na Plac Tkaczy. Dlatego wziąłeś ten ogromny pistolet. Dlatego wycelowaneś mi w twarz.

- Miałem... - pokręcił głową, jakby dopiero się przebudził - ...mętlik w głowie. A po wybuchu, sama

rozumiesz... Kiedy się ocknałem, nie miałem pojęcia, co się stało.

218

- To nie jest odpowiedź. - Odwróciła się do niego i oparła o stół. Drewno jęknęło w jej uścisku. Jej nieruchoma postać zamigotała delikatnie: ślad bezlitośnie stłumionego dreszczu. - Mów prawdę.

- Jaką prawdę masz na myśli?

- Każdą, którą możesz mi dać.

Wzruszeniem ramion przeprosił za bezużyteczną szczerłość.

- Chciałem to zrobić.

- Tak.

- Nie miałem lepszego pomysłu. Nie miałem żadnego innego pomysłu.

W Dniu Wniebowstąpienia... - Spojrzał w jej obtarte do żywego oczy. -

Rzeczy, które się wtedy wydarzyły, nie powinny były się wydarzyć. Ty jesteś jedną z nich.

- A mimo to... - Skraj blatu odłamał się, wydając przy tym krótki, zgrzytliwy kwik. Podniosła postrzępioną deskę do oczu, jakby nie rozumia-

ła, co ma przed sobą, i wypuściła ją z ręki. - Mimo to...

- No właśnie.

- Ocaliłeś mnie. - Jej beznamiętny ton zmiękł, przyblakł, zabrzmiał melancholijnie. - Uratowałeś mi życie.

W pewnym sensie. Być może. Wzruszenie ramion.

- Tego wymagała uprzejmość.

Spuściła głowę, tak że skraj woalu przesłonił zaczerwienione oczy.

- Proszę cię... Pytam szczerze. Naprawdę chcę się dowiedzieć, dlaczego oddałeś mi broń, zamiast jej użyć. Uszanuj moje pragnienie uzyskania szczerzej odpowiedzi.

Nie miał żadnego powodu, dla którego miałby jej posłuchać. Najmniejszego. Czekala. W końcu westchnął.

- Może mi kogoś przypominasz.

- Aha.

Nieruchoma biel. Słup soli.

- Kogoś... wyjątkowego?

- Tak. Chyba tak. - Zapatrzył się na swoje poblížnione dłonie. - Chociaż 219

nie była aż tak wyjątkowa, jak powinna być.

Mikroskopijny ruch głową.

- Czyli nie żyje.

- Od dawna.

- Ty ją zabiłeś?

- Pierdol się.

- Chcę tylko...

- Mam ci to przetłumaczyć? „Pierdol się” to po artańsku „nie chcę o tym rozmawiać”.

Ślad skinienia głową, lekkie opadnięcie podbródka - wystarczyło, żeby poczuł się jak dupek. Był do tego przyzwyczajony.

Wyrzała przez zakratowane okno. Przez chwilę był tylko wiatr, powolny rytm bębna, skrzypienie wozów i odległy stukot kopyt na bruku.

- Ta kobieta, którą, jak powiedziałeś, ci przypominam... - odezwała się w końcu. - Czy to nie była czasem Marade Promienna? Marade, Rycerz Tarthell z Kavlińskiego Skoku?

- Ehm... - Zmrużył oczy. Zaskoczyła go. Powinien być czujny. - Tak, to ona.

- Miałam taką nadzieję. - Znów oparła okryte woalem czoło o kraty. -

Bywała gościem na dworze mojego stryja. Ogromnie ją podziwiałam. Jej Legenda jest żywa i szanowana w Zakonie. W swoim czasie uważano ją za dobrą kandydatkę na Bojowniczkę.

Poczuł się malutki.

- Pamiętam.

- Przywoziła mi prezenty z egzotycznych krajów. Wśród dzieci w moim wieku opowieści o jej przygodach urastały do rangi mitów, mimo że nie wolno nam było o nich słyszeć. Z powodów, które na pewno są dla ciebie oczywiste.

Rzeczywiście. Przez dwa lata sam był jednym z tych powodów.

- Kiedy podrosłam na tyle, żeby oficjalnie się z nimi zapoznać, nie mogłam się oderwać od *Legendy o Zmiazdzeniu Czarnych Noży*. Co też nie powinno cię dziwić.

220

Zakaszłał, jakby coś uwięzło mu w gardle. Lepsze to, niż próbować odpowiedzieć.

- To Rycerz Tarthell, nikt inny, zachęciła mnie do ćwiczeń i służby Khryłowi.

Udał, że przetyka ślinę.

- Cała ona. Miała w sobie... coś takiego. Umiała natchnąć człowieka wiarą, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wystarczył jeden jej uśmiech.

- Stąd jej przydomek. Nie chodziło tylko o urodę, z której słynęła, ale także o charakter. Miała w sobie mnóstwo ciepła, ogrom dobroci, wielkie poczucie humoru, a zarazem o jej gniewie opowiadano legendy. Była jak słońce: mogła pocałować, mogła i spalić. Wspaniała kobieta. Znakomity Rycerz.

- Fakt.

- Rozumiesz zatem, że pochlebia mi skojarzenie z nią. - Odwróciła się od okna i podeszła do krat celi. Jej oczy wyglądały jak jajka pływające we krwi. - Naprawdę tak bardzo ci ją przypominam?

Pięknie, kurwa. Pięknie. Wystarczająco dobrze znał kobiety, żeby się zorientować, że w ułamku sekundy ich rozmowa zmieniała się w śliskie zбочe góry wznoszące się nad jeziorem płonącego gnoju.

- No wiesz... ja... to znaczy...

- Pod jakim względem? Jestem podobnie ciepła? Podobnie łaskawa?

Lubię się śmiać? - spytała ostrzejszym tonem. - A może to moje piękne rysy każą ci ją wspominać?

Kłęby gównianego dymu w jego głowie zgęstniały.

- Posłuchaj, ja tylko...

- Ja nie mam przydomka, wiesz? Co najwyżej taki, jaki ktoś rzuci za moimi plecami, kiedy myśli, że go nie usłyszę. Siekiera. Czarna Wrona.

Stalowa Picz. Wiesz, że nie noszę już hełmu?

- Coś słyszałem...

- Przestałam go nosić w dniu, gdy usłyszałam chichot dwójki obywateli.

„Tak”, mówił jeden, „to prawda. Rycerze powinni walczyć w pełnej zbroi, ale wystarczy spojrzeć na jej twarz, żeby stwierdzić, że to nie jest żaden 221

wymóg, tylko raczej zalecenie”. Na co ten drugi odparł: „Gdyby miała tyle samo rozumu, ile pary w łapach, wkładałaby hełm do łóżka”.

*\* Kurwa, Jezusie Nazareński, za jakie grzechy mam słuchać tego pierdo-lenia? \* Wzniósł wzrok ku sufitowi. \*To twoja robota\**

Spojrzał na nią i postanowił skoczyć na główkę do jeziora płonącego gnoju.

- Wiesz co? Dziwię się, że dziewczyna wychowana przez ludzi tak bezlitośnie, tak niestrudzenie ugrzecznionych jak Khrylianie nie nabyła za grosz dobrych manier.

Wzdrygnęła się, jakby ją spoliczkował.

- Kiedy zadajesz facetowi jakieś pytanie, uprzejmość nakazywałaby chyba przynajmniej na chwilę zamknąć jadaczkę, żeby miał szansę odpowiedzieć. Hm?

Stała przy kracie, zaczerwienione oczy patrzyły wyzywająco. Bez cienia pokory. Cokolwiek zamierzał jej powiedzieć, musiał się postarać.

Nagle odkrył, że zna dobrą odpowiedź. Nie tylko dobrą: użyteczną. Odpowiedź, która pomoże mu ją urobić.

A najlepsza rzecz? Ta odpowiedź była prawdziwa.

- To dlatego, że jesteś taka nieszczęśliwa.

Bezceremonialne wyzwanie w jej spojrzeniu ustąpiło miejsca zagadkowej melancholii.

- Aha...

Ściągnęła brwi, zadarła brodę... a on już wiedział, o co za chwilę zapyta.

- Nie wiem - odparł. - Nigdy mi nie powiedziała.

- Ale wydawała się taka...

Odetchnął głęboko.

- Wiem tylko, że miała pewne... problemy. Emocjonalne. Poważne. Takie, na które nie można nic poradzić. I taka Marade jaką ty znałaś, czyli Rycerz w lśniącej zbroi, sławny, radosny, mężny, nadzwyczajnie silny i tak dalej... To była jej odpowiedź na te problemy. W ten sposób ratowała się przed tym, co zżerało ją od środka. I myślę, że to dlatego była w tym taka świetna. Bo innego ratunku nie miała.

Spojrzała w dół, na swoje dłonie.

- A skąd ty o tym wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. To znaczy, w pewnym sensie wiedziałem, ale niezbyt mnie to obchodziło. - Na pewno nie wtedy, gdy pomagało mu wepchnąć się jej między nogi. Wzruszył ramionami; ta konkretna blizna niezbyt mu się podobała. - Byłem dzieciakiem. Też miałem swoje problemy.

Jej palce zacisnęły się na kratkach. Żelazo stęknęło. - To olśnienie spły-nęło na ciebie... zbyt późno.

- Tak to bywa z olśnieniami.

- Pograżona w bólu - wyszeptała, pochylając głowę, aż woal znów przesłonił jej oczy - musiała się stworzyć od nowa. - To stwierdzenie musiało jej chyba sprawić jakąś ponurą satysfakcję, niczym rozwiązanie ostatniej zagadki w życiu. - Żeby uciec przed bólem, musiała... stać się kimś innym.

Kimś, kto nigdy nie poczuje... nie poczuje takiego...

Aha. Przynajmniej wiedział, na czym stoi.

- Wielu z nas tego próbuje.

W odpowiedzi odwróciła się do niego plecami.

- Po wuju uczucie, kiedy człowiek w końcu odkryje, że to nie działa, co?

Westchnęła cicho i oparła się o kraty, sięgając rękami nad głowę, żeby się ich przytrzymać.

- A jak... - Jej głos był stłumiony. Niewyraźny. - Jak Marade... poradziła sobie z tym odkryciem?

- Wcale. Wydaje mi się, że od początku nie miała szans. To było dla niej nie do udźwignięcia. - To wspomnienie paliło żywym ogniem. Mani-pulowanie Angvasse również. - Zrobiła... coś głupiego i została zabita.

- W Yalitrai. Szukaliście wtedy korony Dal'Kannitha Tysiącrękiego.

- Zgadza się.

- Byłeś przy tym, jak zginęła?

- Nie. - Wbił wzrok w podłogę. - Spóźniłem się.

O kilka dni. Ta świadomość przyprawiała go o mdłości.

- Jej Legenda milczy... na temat jej śmierci.

- To była paskudna śmierć. - W jakimkolwiek piekle smażył się Berne, nie było dla niego dostatecznie gorące. - Gorsza niż Czarne Noże. Gorsza niż możesz sobie wyobrazić.

- A gdybyś... - Jej głos brzmiał tęsknie i bardzo słabo, jakby nawoływa-

ła go z wielkiej odległości. - Gdybyś mógł ją ocalić, zrobiłbyś to? Nie przed śmiercią. Przed bólem.

- O, kurwa... - mruknął. - Chryste Panie, ależ ze mnie idiota.

Przecież to było oczywiste. Ślepy bo się zorientował, nawet gdyby stał

na drugim końcu miasta.

Kiedy odkryła jego prawdziwą tożsamość, musiało to być dla niej jak dar niebios. Potajemne spotkanie, w pojedynkę, bez broni, w świętym mie-

ście Zakonu. Skąpiana we krwi bohaterów, która zmyje jej grzechy... Wrę-

czy naładowany pistolet człowiekowi, który w przeszłości zabijał chyba wszelkie możliwe kurestwo, wszystko, co fruwa, chodzi albo pełza po ziemi. A gdyby nie chciał...

Dogada się z nim. Dobije targu z człowiekiem, który zabił boga.

Tak czy inaczej, wygra.

Bo wiedziała, że zawsze jakoś tak się składa, że zadania, które mu się zleca, zostają wykonane, a ludzie, którzy go wynajmują, umierają.

Jezu...

Językiem wydłubał wytrychy z zębów. To może być trudne.

Odchrząknął i wykaszał wytrychy w pięść.

- Dla Marade... zrobiłbym prawie wszystko. - Zaczął od lewej obręczy kajdan. Pracował po omacku, cały czas mówiąc, żeby zagłuszyć szcęk metalu. - Nie wiem, co stryj ci o mnie opowiadał, ale nie jestem potworem.

- To już chyba wiem.

Obręcz otworzyła się w jego dłoni. Wziął się za drugą.

- Nie znam jej Legendy. Nie wiem, co mówiła o... no, o nas. Wtedy, tam w ciemności, był taki... taki moment...

- Napisała, że nie zgodziłeś się odebrać jej życia. Można i tak to ująć.

- To prawda.

- Napisała też, że w ciemności potrafiła powiedzieć i... i zrobić rzeczy, których nie powiedziałyby ani nie zrobiła w świetle dnia.

Jakby ujrzała sama siebie, nie używając oczu. Twierdziła, że to była próba. Próba jej cnotliwości, odwagi i wiary. Najtrudniejszy sprawdzian w jej życiu. - Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu. - I że tylko dzięki tobie wyszła z niej zwycięsko. Twoja wiara w nią natchnęła ją wiarą w siebie.

Znów poczuł w ustach ten znajomy smak.

- To nie tak było.

- Dla niej owszem.

- Tak, tak, rozumiem. - Tak jakby od gadania o tym ból mógł się zmniejszyć. - Na pewno by nie kłamała.

- Naturalnie, że nie.

- Widzisz, rzecz w tym, że... - Musiał spuścić wzrok. - Ja wcale nie próbowałem jej pomóc. Chciałem ją tylko zerznąć.

- To by tłumaczyło, dlaczego tobie to wspomnienie tylko sprawia ból, a ją natchnęło do wielkości.

Pieprzyć to. Miał serdecznie dość walenia łbem osobno w każdy kamień, którym wybrukowana była uliczka pamięci.

- Nie zrobiłbym tego, w tym rzecz. Nie zabiłbym jej, żeby oszczędzić jej bólu. Nie zrobiłbym tego nawet dla Marade. I nawet wtedy.

- Ach tak...

- Dlatego ni chuja nie pojmuję, skąd pomysł, że mógłbym to zrobić dla ciebie.

Wydała taki dźwięk, jakby wyrznął ją w krtań. Zniżył głos. Nadał mu łagodniejszą barwę. Bardziej delikatną. Na ile potrafił, a nie było to wiele.

Nie miał wprawy.

- Nie może ci czytać w myślach, wiesz?

- Co?!

- Musiałabyś myśleć do Niego, w zasadzie subwokalizować. Inaczej może się tylko domyślać, co myślisz. Wnioskować z twoich uczuć. - Przygryzł w skupieniu wargę i otworzył zamek prawej obręczy. - Zresztą, pewnie już o tym wiesz. Nigdy nie mówisz niczego wprost.

- Ja... - Zachrypiała, prawie się zadławiła. - Ja...

- Nie możesz mi nawet o Nim powiedzieć, prawda? Nie możesz mówić o tym, że siedzi w twojej głowie. Że każe ci robić różne rzeczy. Nie możesz pisać ani słowa. Bo wtedy ktoś mógłby to zakończyć.

- Przestań...

- Wiem, że nie możesz mnie o to poprosić. A ja nie mogę cię ocalić, nie w taki sposób, jak ty byś chciała. - Wstał, trzymając w rękach połączone łańcuchem obręcze kajdan. - Ale jeśli mi pomożesz, może ja mimo wszystko też zdołam ci pomóc.

- Nie... przestań... ty nie rozumiesz...

- Możesz się opierać Jego woli? Pozwala ci? - Podszedł do niej bosą, bezszelestnie. Łańcuch zwisał swobodnie, ale bez zbędnego luzu, kiedy wzrokiem mierzył szerokość jej kaptura. - Czy gdybyś chciała znierucho-mieć, pozwoli ci na to?

Wzdrygnęła się, sapnęła głośno i odskoczyła od krat, zbyt szybko dla ludzkiego oka, jak dwa odległe kadry wycięte z filmu odtwarzanego w jego głowie. Przypadła do ściany naprzeciw celi. Drżała na całym ciele.

Pokiwał głową, wypuścił z rąk łańcuch i pokazał jej puste dłonie.

- Posłuchaj mnie. Mam pewne pojęcie o opętaniu przez boga, rozumiesz? I to nie tylko jakieś tam klasztorne bzdety. Rozumiem, co się z tobą dzieje. Wiem nawet z grubsza, co czujesz. - Stał przy drzwiach celi. Po drugiej stronie korytarza ona cały czas dygotała, oparta o zimny kamień. -

Nie interesuje mnie, od czego się zaczęło. Jak cię skrzywdzono. Dlaczego pomyślałaś, że warto spróbować. Ale muszę wiedzieć, co możesz zrobić dla mnie.

226

- Dla ciebie? Dla ciebie?! - krzyknęła przenikliwie. Palcami w rękawiczkach odłupywała kawałki kamienia i zaprawy. - Po co się odzywałaś?

Jeśli choć zasugerujesz... uczynisz aluzję... będę cię musiała... będę musia-

ła... - Zacisnęła kurczowo powieki. - Może tak czy inaczej będę musiała.

- Co powiesz na to, by po prostu stąd odejść? Odwróć się i wyjdź.

- Nie... nie mogę. Po prostu nie mogę. Powiedziałaś za dużo.

Dygotała coraz gwałtowniej.

- Posłuchaj mnie, Angvasse. Nie skrzywdzę cię. Nigdy cię nie skrzywdzę.

- Oboje wiemy, że twoje słowa nic nie znaczą.

Zdawał sobie sprawę, że nie mówi o sobie i o nim, tylko o sobie i o Nim.

- Wszyscy tyle o mnie wiedzą, kurwa... Czasem jest w tej wiedzy ziarno prawdy. Na przykład takie, że zabijanie z litości to nie moja działka.

- Litość to nie twoja działka.

- Fakt. Nie jestem człowiekiem, który skraca męki, tylko takim, który tych mąk przysparza. I Khryl o tym wie. Dlatego zgodził się, żebyś mnie zatrudniła.

- Żebyś mnie dręczył?

- Bogowie są, jacy są, ponieważ to my jesteśmy tacy, a nie inni. Nic na to nie poradzisz.

- A chcesz się przekonać? - Łzy płynęły strumieniami z jej opuchnię-

tych oczu. - Chcesz się przekonać, co naprawdę mogę?!

- Spokojnie - odparł półgłosem. - Już dobrze. Uspokój się.

Z tą samą nieuchwytną dla oka szybkością porwała ze stołu pistolet, oparła kciuk na spuście i otworzyła usta. Kiedy jednak próbowała go podnieść, błękitny płomień przebiegł jej po ręce od barku do przegubu dłoni i lufa znieruchomiała o cal za nisko, zanim zdążyła wycelować w twarz.

Powietrze wokół niej zamigotało. Zawibrowało od mocy. Żyły wystąpi-

ły jej na nabrzmałym karku, rozbiegły się pajęczyną po czole, krew poszła z nosa, twarz zaczęła czernieć.

- Dobra, przestań! - powiedział. - Wystarczy, kurwa, wystarczy!

227

Upuściła automag na stół i osunęła się na ścianę, dysząc ciężko.

- Widziałeś?! - Już nawet nie próbowała kryć się z płaczem. - Chciałam tylko... To nie tak miało być, ja tylko chciałam... być w tym dobra, nic wię-

cej. Nie musiałam wcale być najlepszym Rycerzem, tylko po prostu przy-zwoitym. A teraz... teraz... - Osunęła się po ścianie z twarzą wykrzywioną w płaczliwym grymasie. Na jej twarzy łzy mieszały się

z krwią z nosa. -

Tak niewiele... mnie zostało...

- Ja pierdolę... - mruknął.

Zaskoczyła go wybuchem przepełnionego gorczą śmiechu.

- To akurat da się zrobić. - Wyprostowała się. - Niewiele mogę, ale to jedno na pewno.

- Ehm, jak by to... widzisz...

Odepchnęła się od ściany i nachyliła w jego stronę. W jej oczach zapalił

się niebezpieczny ogień obłądzenia.

- Tego właśnie chcesz? Zerznąć mnie?

Cofnął się.

- To była przenośnia.

- Tak się zastanawiam, jak ci się udało zdjąć kajdany? - Zaciśnięła dłonie na kracie obok zamka, bez widocznego wysiłku szarpnęła drzwi i wy-

łamała zamek, który poddał się ze zgrzytem przypominającym koński kwik. - Nie zostałeś zrewidowany? Widzę, że się nie postaraliśmy...

Bardzo szybko oparł się plecami o ścianę.

- Posłuchaj, tak naprawdę to wcale tego nie chcesz...

- Marade Promienna oddała ci swoją cnotę. Nie mogę być od niej gorsza.

W mgnieniu oka dopadła go i objęła. Jego żebra jęknęły jak wcześniej pręty krat. Ich twarze się zetknęły. Jej oddech pachniał miętą i miodem.

Zmiażdżyła sobie usta o jego zęby. Pocięła krew.

- Przestań...

Nie mógł oddychać, w głowie zbierały mu się czarne chmury, aż w końcu

zadziałał instynktownie i krótkim uderzeniem z byka rozbił jej nos.

Krew trysnęła im na policzki.

Jęknęła. Ale nie z bólu.

- Walcz ze mną - wyszeptwała. - Walcz ze mną, Caine...

Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, sprawił, że krew zadudniła mu w uszach. Zresztą, nie tylko w uszach. Zadarła głowę i spojrzała mu w oczy. Nos goił się jej błyskawicznie.

- Gdzieś ty schował ten wytrych? - zainteresowała się i jej palce w rękawiczkach zaczęły mu zaglądać w odbył.

- Przestań! Do kurwy nędzy, przestań!

- Przestań! Do kurwy nędzy, przestań!

Nic więcej powiedzieć nie zdążył, bo przywarła wargami do jego warg i wepchnęła mu język do ust. Przygryzł go, mocno, poczuł w zębach krew i żywe mięso. Cofnęła głowę, pojękując.

- O, tak... - Stęknęła, gdy rana na języku też się zagoiła.

Odgroził się od niej ramieniem; wierzchem dłoni otarł się o twarde jak pocisk sutek i wraził dwa palce w zagłębienie między obojczykami. Nacisnął, ona zaczęła się dławić i wreszcie mógł coś powiedzieć.

- Angvasse... to jest gwałt. Rozumiesz? Gwałt. Tego chcesz?

Puściła jego pośladki i położyła mu rękę na członku. Spojrzał w dół. Był

twardy jak stal.

- Ty tego chcesz. Nie mów, że nie.

Nie mógł zaprzeczyć.

- Może facet lubi, kiedy go proszą.

- Mówisz poważnie? Jestem nie dość uprzejma dla ciebie?!

To też. Ale przede wszystkim nie kręcił go seks z maszyną do zabijania, która ma nadludzką siłę i skłonności samobójcze.

- W takim razie zgódź się, Caine. Proszę.

Uklękła przed nim i przesunęła ustami - powoli, mocno, nieubłaganie -

po całym członku.

Niewiele brakowało, żeby akurat w tym momencie się zdekoncentrował, bo właśnie przypomniał sobie pewną ciekawostkę na temat khryliańskich pistoletów.

Nie znali tu broni samopowtarzalnej.

- Skoro tak stawiasz sprawę... - Delikatnie wycofał się z jej ust. -

229

Zaczekaj. Zaczekaj, Angvasse. Weź pistolet. Tak będzie lepiej.

Zmarszczyła podejrzliwie brwi.

- Weź go. To ci się spodoba. Obiecuję.

Sięgnęła przez kraty i podniosła pistolet ze stołu.

Podszedł do niej i objął ją od tyłu. Piersi miała małe, twarde prawie jak mięśnie. Drugą dłoń wsunął jej od tyłu pod spodnie. Zadygotała.

- Ten przycisk przy kciuku? To blokada magazynka. Naciśnij go.

Posłuchała go. Magazynek kompozytowych rozdzieraczy zaklekotał o podłogę.

- Co teraz?

- Daj mi go i zdejmij spodnie.

Okręciła się na pięcie.

- Co takiego?!

- No już. - Przygarnął ją i odszukał ustami jej zakrwawione wargi. -

Śmiało. Przecież tego właśnie chciałaś, nie? Będę cię trzymał na muszce i rznął jednocześnie. Mogę ci go przystawić do głowy. - Wsunął jej dłoń między nogi. - Możesz go też wziąć do ust, jak chcesz.

Zadrżała na całym ciele i ścisnęła go ramionami, które mogły zmiażdżyć mu kości na proszek.

- Ale... ale On...

- Pistolet nie jest naładowany, więc On nie będzie ci przeszkadzał. Dlaczego miałby to zrobić?

- No tak. Oczywiście. Nie jest naładowany. - Podniosła lufę do ust, ostrożnie, z wahaniem. Na próbę. Polizała matową stal i przymknęła powieki. - Tak, Caine. O tak...

- No dalej, spróbuj - mruknął jej w kark. - Chcę zobaczyć, jak próbujesz to zrobić.

Cofnął się o pół kroku, gdy wsunęła sobie lufę do ust. Drugą ręką się-

gnęła sobie między uda. Pociągnęła za spust.

Jej głowa eksplodowała.

I to nawet niezbyt głośno - zabrzmiało to jak klaśnięcie dwóch mokrych łap, nic więcej. Jej korpus się skręcił, nogi się ugięły i biało-szkarłatna 230

masa osunęła się na ziemię.

Stał nad jej zwłokami, a szczątki jej twarzy skapywały mu na pierś.

- Nie ma za co - powiedział.

Broń palna wciąż stanowiła tu nowinkę, a broń samopowtarzalna była praktycznie nieznana. Ani Angvasse, ani jej bóg nie zdawali sobie sprawy, że pistolet tego typu po wystrzeleniu pocisku samoczynnie wprowadza nowy nabój do komory. Życie jest najlepszym nauczycielem.

No, może nie w tym wypadku.

Uklęknął. Strząsnął krew i strzępy ciała z twarzy i włosów prosto na jej płaszcz. Wyjął jej automag z dłoni, wsunął świeży magazynek, przeładował. Kiedy wstał, niebieski płomień pełgał już po jej zwłokach.

- Na razie - mruknął i wymknął się z celi.

Zmasakrowane ciało na skroniach już się sklejało, wybrzuszało i odzyskiwało dawny kształt. Rozbryźnięte po podłodze większe kawałki czaszki i mózgu jeszcze zachowywały kształt i rozmiar, ale pojedyncze krople krwi poznikały, a duże kałuże kurczyły się w oczach, jakby błyskawicznie parowały.

Włożył spodnie, wciągnął tunikę przez głowę i wbił stopy w buty, nie bawiąc się we wkładanie skarpetek. Zabezpieczył automag, dorzucił go do noży i zawinął je razem w skórę. Mimo że miał jeszcze trochę czasu, zanim bóg do końca poskleja jej łeb, zbiegł po schodach, przemknął przez stajnię i potruczał uliczką najszybciej, jak się odważył.

Zapowiadał się pracowity dzień.

\*\*\*

Nie dotarł nawet do następnej przecznicy.

U wylotu zaułka zatrzymał się, dysząc ciężiej, niż było to konieczne.

Spojrzał w głąb ulicy, ale przed oczami miał wewnątrz garnizonowej celi.

Przypomniawszy sobie ciepłe muśnięcia kobiecych łez rozbryzgujących się na jego nagiej pierś, wiele lat temu, gdy w pokoju ciemnym jak mroki pamię-

ci położyła jego głowę na swoich kolanach i półgłosem opowiadała o 231

ludziach, których mieli już nigdy nie zobaczyć.

Musiał uciekać. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby tak stać w tym miejscu. I z całą pewnością nie mógł wrócić.

Musiał ją zostawić. Po prostu musiał.

Cały czas to sobie powtarzał, kiedy zawrócił i potruchtał z powrotem.

Na chwilę skręcił do maleńkiej garnizonowej stajni. W boksach stały tylko dwa konie: jeden miał wzdęty brzuch, sugerujący kolkę, drugi starał

się nie obciążać prawej tylnej nogi.

Otworzył drzwi obu boksów.

- Jesteście wolne. Możecie uciec, możecie zostać. Wasza decyzja.

Nie śpieszyło im się na wolność; khrylianie, jak na zawodowych kawalerzystów przystało, umieli dbać o wierzchowce. Wszedł do boksu okulał-go konia, zaszedł go z lewej strony i spojrzał mu głęboko w ślepię.

- Zmiana planów. Nie czekam. Nie mogę. Muszę zaryzykować. Dzisiaj.

Mniej więcej o zachodzie słońca.

Oko konia zamgliło się, zbielało i zmętniało jak późnozimowy lód.

Żałował, że nie może po prostu wyciągnąć ręki i jej dotknąć, ale miał do dyspozycji tylko słowa.

- Powiedz Faith, że jej mama jest mi potrzebna. Każ jej skontaktować się z Deliannem, bo Ma'elKotha też potrzebuję. I jeszcze z Raithem, Raithem z Ankhany, ambasadorem Klasztorów na Dworze Nieskończoności.

Pamiętaj. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zobaczymy się wieczorem. Jeśli nie... - Teraz już nawet słów mu zabrakło. - Trzymaj się. Jeśli będziesz miała okazję zatroszczyć się o mnie, mam nadzieję, że to zrobisz. Muszę lecieć.

Zostawił wrota stajni otwarte.

Wśliznął się z powrotem do celi, przysiadł na podkulonych nogach przy trupie Angvasse Khlaylock i oparł sobie na udach jej ramiona i głowę zwieńczoną koroną niebieskiego ognia. Kiedy bóg uzdrowił ją na tyle, że 232

znów zaczęła oddychać, pierwsze kilka łapczywych wdechów przeszło w cichy, zdławiony szloch.

Ledwie odzyskała oczy, od razu zapłakała. Długo trzymała się go kurczowo, a łzy wsiąkały w jego spodnie.

- Widzisz... - odezwał się półgłosem. - To był drugi powód, dla którego cię nie zastrzeliłem.

\*\*\*

Wciąż leżała mu na kolanach, ale wystarczająco doszła do siebie, żeby przypomnieć sobie o swoich obowiązkach.

- Sąd Khryła... - Stęknęła. - Spóźnię się...

- Sąd Khryła poczeka. Masz czas do zmierzchu, prawda?

- Tak. Do zmierzchu. Jestem Rycerzem Oskarżycielem. To mój obowiązek.

Pogłaskał ją po włosach.

- Może uda nam się to jakoś załatwić.

- Nam?

- Musimy porozmawiać o paru sprawach. Na przykład, o tym ogrillu, z którym miałaś się pojedykować. To nie jest Orbek. Nie tak do końca.

- Kim innym mógłby być?

- Kimś takim jak ty.

- Jak... - Usiadła, bardzo powoli, chyba niepewna działania świeżo zre-generowanych nerwów układu ruchu. Tak samo powoli odwróciła się w jego stronę i zmrużyła oczy, usiłując zogniskować wzrok. - A jak myślisz, kim... czym... ja jestem?

- Nie człowiekiem.

Zacisnęła usta.

- Na pewno się domyślałaś - ciągnął. - Ile razy musisz odzyskać przytomność po tym, jak coś zmiażdżyło ci czaszkę, żeby dojść do wniosku, że jednak różnisz się od zwykłych ludzi?

- Wcale nie... - Spuściła głowę. - Czymkolwiek jestem, jestem dziełem Khryła.

233

- Oraz swoim własnym. Swój udział mieli też twoi rodzice, nauczyciel i najpewniej stryj.

- Czyli...

- To nie tak, że nie jesteś sobą. Po prostu nie jesteś taką sobą, jaką ci się wydaje, że jesteś.

- Czy to ma choćby jakieś pozory sensu?

- Jesteś czymś, co w klasztorным żargonie nazywamy autoteurgicznym wtórnikiem protoaspektowym.

- Uciszył ją gestem podniesionej ręki. -

Wiem, to nie pomaga, ale sama idea jest prosta. Wtórnik to sztucznie stworzony duplikat. Może to być duplikat istoty żywej; w ten sposób Dal'Kannith Tysiącręki był w stanie przeobrazić się w całą armię. Ale może to być też duplikat czegoś nieożywionego, jak w przypadku Delianna, cesarza Ankhany. Ma'elKoth stworzył go z wielkiej kupy gówna... to znaczy, nie dosłownie gówna, po prostu z różnych... no wiesz, różnych rzeczy... które ludzie zwozili z całego cesarstwa. Ściśle rzecz biorąc, sam Ma'elKoth też był wtórnikiem: użył Korony Dal'Kannitha, żeby stworzyć sobie ciało. Do tego trzeba boskiej mocy. Nie był wprawdzie duplikatem żywego stworze-nia, tylko swojej wyimaginowanej istoty, ale zasada pozostała niezmienio-na. Nadażasz?

Pokiwała w milczeniu głową, cały czas wpatrując się w deski, na któ-  
rych siedziała.

- Aspektem nazywamy ciało stworzone lub przejęte przez Moc Konceptualną, czyli bóstwo takie jak Khryl, które za jego pośrednictwem wyraża swoją wolę. A autoteurgia to takie przemądrzałe stwierdzenie faktu, że jesteś odpowiedzią na własne modlitwy.

Mięsień szczęki drgnął jej nerwowo.

- Teraz będę zgadywał: był jakiś turniej, ty chciałaś w nim wypaść jak najlepiej, więc pomodliłaś się do Khryla, żeby cię... no wiesz, żeby udzielił

ci swojej siły, biegłości, celności i tak dalej, coś w tym guście. Tak było?

- Tak.

- A kiedy wygrałaś, byłaś najbardziej zdziwiona ze wszystkich.

Świeże łzy skapnęły z jej twarzy.

234

- Byłam niegodna - szepnęła. - Nadal jestem.

- Khryl jest innego zdania. - Położył jej rękę na ramieniu. - Ja również.

Strząsnęła jego dłoń.

- Twoje słowa nic nie znaczą.

- Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, jak wiele mogą znaczyć. -

Wzruszył lekko ramionami. - Myślisz, że tylko ty jedna modliłaś się wtedy do Khryła?

- Ja... Oczywiście, że nie. Wszyscy się do Niego modlimy. To tradycja.

- Ale to ciebie wybrał.

- Och, jakże nisko zatem upadłam...

- Nie wydaje mi się. Nie sądzę, żebyś w ogóle mogła upaść.

- To, co z tobą zrobiłam...

- Prawie zrobiłaś.

- Tylko dzięki twojej przebiegłości skończyło się na „prawie”.

- Zrozum, ja nie próbuję ci wybaczyć. To było kurestwo z twojej strony, wobec mnie i wobec siebie samej; zachowanie niegodne ciebie i zajmowa-nego przez ciebie urzędu... Ale ja cię rozumiem. Przekonanie kogoś, żeby cię zabił, jest trudne, kiedy nie możesz mu tego powiedzieć wprost.

Zwłaszcza kiedy jest się kimś takim jak... no, jak ty. Gdyby zwykła broń mogła cię zabić, byłabyś teraz martwa.

- A zatem nie dość, że jestem niegodna, to jeszcze tchórzliwa... Staję do walki, chociaż wiem, że nie można mnie zabić...

- Można. Ja mogę. Przychodzą mi do głowy jeszcze ze dwie inne osoby, które też by mogły.

- Ale nie za pomocą takiej broni, jakiej dotychczas stawiałam czoło w bitwach i turniejach. To jest tchórzostwo. Nie, to coś gorszego, to ukrywa-nie grzechu pod maską cnoty.

- Proszę cię, Angvasse, przestań pierdolić głupoty i pogódź się z tym.

Gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na niego. Oczy znów miała czerwone od płaczu.

235

- Jak śmiesz?!

- Normalnie. Za to ludzie mnie lubią. - Podciągnął kolana do piersi i odwrócił się do niej twarzą w twarz. - Wiem, że jest ci z tym ciężko. To ci, którzy nie wiedzą, czym jest pogarda dla samego siebie, powinni ją odczuwać. Raz postąpiłaś źle, ale to nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem. Tak jak jeden dobry postępek z nikogo nie robi bohatera.

Znów spuściła wzrok.

- Bohatera... To słowo nie pasuje do żadnego z nas.

- Nie będę się bardziej zagłębiał w mistyczno-techniczne pierdolety, powiem tylko, że całe to twoje szkolenie, modlitwy, Prawo Khryła, kodeks rycerski, sranie w banię... wszystko to łącznie nazywamy dostrojeniem teofanijnym. Ma na celu maksymalne przybliżenie cię do ideału Khryła. On cię wybrał. Stworzenie żywego wtórnika wymaga boskiej mocy, a to oznacza, że jesteś bliższa Jego wizji Bojowniczkii, czyli, w praktyce, Jego wizji samego siebie, niż ktokolwiek inny na świecie. Kiedykolwiek.

- To komplement dla mnie czy obelga dla Khryła?

- Jeśli nie umiesz powiedzieć nic miłego na swój temat, to lepiej się zamknij. - Zerwał się na równe nogi. - Znałem wielu Rycerzy, chyba zbyt wielu, ale tylko dwoma z nich nie pogardzałem - powiedział bez ogródek.

Hardo. Brutalnie. - Jednym była Marade. - Wyciągnął do niej rękę. - Drugim jesteś ty.

Nie podała mu ręki.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Zwykle tak. Teraz nie.

Nadal nie chciała na niego spojrzeć.

- Marade była bohaterką. Prawdziwą bohaterką. Zależało mi na niej.

Nawet kochałem ją, w stopniu, w jakim umiałem wtedy kogokolwiek kochać. Na tyle, że nigdy sobie nie wybaczyłem, że tak źle ją potraktowałem.

Była naprawdę wielkim Rycerzem i fantastycznym człowiekiem, a i tak do pięt ci nie dorastała.

- Jak możesz tak mówić...?

236

- Zwyczajnie: język, wargi i jakoś leci. Normalka.

Zwiesiła głowę jeszcze niżej.

- Dlaczego w ogóle się tym przejmujesz?

- No, na pewno nie z dobroci serca, nie ma wała. Po prostu jesteś mi potrzebna.

Teraz na niego spojrzała.

- Ja... jestem ci... potrzebna...?

- Nie w takim sensie - odparł. - To nie znaczy, że... że bym nie chciał, rozumiesz... - poprawił się pośpiesznie. - Wiesz, że tak. Naprawdę. Sama widziałaś. Nie będę zaprzeczał. Ale... mam kogoś.

- Kobietę? Ludzką kobietę?

Doszedł do wniosku, że jednak nie chciała mu ubliżyć.

- Powinnaś ją poznać. Serio. Mogłaby ci pomóc. Więc ty potrzebujesz jej, a ja ciebie.

- Ale po co? Do czego? Co miałabym zrobić?

- Potrzebuję bohatera. Nie znam innego niż ty.

- Dlaczego... bohater... miałby chcieć ci pomóc?

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu tak szerokim, że w końcu odsłoniły zęby.

- Wyobraź sobie, że mogłabyś cofnąć najgorszą rzecz, jaką zrobiłaś w życiu...

Wytrzeszczyła oczy. Długo się tak w niego wpatrywała, z całkowicie obojętną miną, wreszcie zamrugła, westchnęła przeciągle, głęboko, aż zafalowały jej ramiona i pierś - i w końcu podała mu rękę.

- Super. - Pomógł jej wstać i położył sobie jej dłoń na sercu. - Wiem, że twój prawdozmysł na mnie nie działa, więc możemy się zachować jak normalni ludzie. Możesz mi zaufać albo nie. Ja cię proszę tylko o to, żebyś spojrzała mi w oczy i uwierzyła, że nigdy umyślnie cię nie skrzywdzę.

Spojrzała mu w oczy. Długo w nie patrzyła, a potem dotknęła jego policzka.

- Przez wzgląd na pamięć lady Tarthell. Na honor Marade Promiennej.

To było więcej, niż zasługiwał.

237

- Musimy doprowadzić cię do porządku.

- Co zamierzasz?

- Zamierzamy.

- Niech będzie. Co zamierzamy?

- Spróbujemy zmienić historię - odparł z figlarnym błyskiem w oku.

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ 5

### ABSOLUT MIŁOŚCI

TO BYŁA WOJNA, CAINE. OBAJ WALCZYLIŚMY O TO, CO NAJBARDZIEJ  
KOCHAMY.

- DOM (T'NALLDION, MA'ELKOTH W NIEBIOSACH I IN.)

### *OSTRZE TYSHALLE' A*

Znów pada śnieg - wszędzie, tylko nie na końską wiedźmę.

Inni widzą płatki jak z bajki, jasne, piękne i tylko orzeźwiająco chłodne.

Dzień zmienił się w noc, nie rozpalili ognia, ale otacza ich miękka, zwiew-na poświata, w której nie rzucają cieni. Blask sięga nawet nieco dalej, w głąb obszaru szepczącej bieli. Kiedy Duncan zapytał o niego człowieka, który wygląda jak jego syn, ten ruchem głowy wskazał Khryła.

- Bóg słońca.

- Ach tak, naturalnie. Powinienem był pamiętać.

- Przy Nim nigdy nie jest naprawdę ciemno.

- Pewnie trudno Mu się gdzieś podkraść, co?

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

239

Niedługo potem Caine zrobił się niespokojny, zaczął się wiercić, zaciskać zęby i marszczyć brwi jeszcze bardziej niż zwykle, aż w końcu wstał i oddalił się w półmrok. W tej chwili jest zaledwie cieniem, który na przemian gęstnieje, rzednie i znów gęstnieje, przechadzając się na granicy światła i ciemności.

Duncan spogląda na końską wiedźmę.

- Wygląda, jakby się czymś martwił.

- Martwi się. Martwi się zawsze, gdy tylko znajdzie na to czas. Taki już jest. Kiedy przestanie się martwić, ty powinieneś zacząć.

- To chyba rozumiem. Ale co go dręczy? Wydawało mi się, że panuje nad sytuacją.

- On gra. Jest aktorem.

- Był.

- Nad niczym nie panuje. To wbrew jego naturze. Kiedy próbuje, rzeczy się psują. Ludzie krwawią. Zwykle on, ale czasem także inni. Najczęściej wtedy umierają.

- Aha.

- Nie chce, żebyś stał się jednym z tych innych.

- Myślałem, że ma jakiś plan.

- Ma. Wie jednak, że jego plany nigdy nie spełniają się tak, jak on by tego chciał. Najczęściej zamieniają się w gówno. Głębokie gówno. Na szczęście, on świetnie pływa.

- Pamiętam. Dlaczego śnieg na ciebie nie pada?

- Nie lubię śniegu.

- Ja uwielbiam. Od dziecka.

- Pewnie dlatego pada.

- On to robi dla mnie?

Końska wiedźma wzrusza ramionami.

- Trudno stwierdzić, co kto dla kogo robi. Zwłaszcza tutaj. Może to twoja robota.

- Jak miałbym sterować pogodą?

240

- To jeszcze trudniej stwierdzić. Jeżeli produkujesz śnieg, to robisz to w jakimś innym czasie. Gdybyś po prostu miał sprowadzać śnieg, przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego mógłbyś to zrobić?

Opiera głowę na chłodnej poduszce bajkowego śniegu. Przychodzą łzy.

- No tak. - Końska wiedźma kiwa głową. - Przypomina ci o żonie.

Oczy Duncana przymykają się powoli.

- Wszystko mi o niej przypomina.

- To musi być smutne.

- Czasem tak. Najczęściej tak. W dniu, kiedy wyznaliśmy sobie miłość, też padał śnieg.

- Czyli smutne i radosne zarazem.

- Pewien ziemski pisarz twierdził, że nie ma większego smutku, niż w niedoli wspominać chwile szczęścia.

- Dante Alighieri.

Zaskoczenie każe mu otworzyć oczy i unieść głowę.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi to kiedyś człowiek, który wyglądał jak ty. A ja nie zapominam.

- Człowiek, który wyglądał jak ja?

- Poznaliśmy się, zanim jego syn przyszedł na świat. Poznałam też jego partnerkę, kobietę, z którą miał się ożenić. Była bardzo piękna.

- To prawda - przytaknął półgłosem. - Bardzo. Dobrze, że Hari bardziej wdał się w nią niż we mnie. Bardzo mu to pomogło w karierze.

- Twój syn musiał być bardzo przystojny.

- Był. Jest. Prawdopodobnie. Kimkolwiek naprawdę jest.

- Jesteś z niego dumny.

- Bardzo. Ale nie mogę mu tego powiedzieć.

- Nie cierpi być podziwiany.

- Dobrze go znasz.

- Bardzo.

- Poza tym... napawa mnie trwogą. Zabijał ludzi i ocalał. Walczył z potworami i z ludźmi, którzy się potworami stali. Ratował królestwa i obalał

241

imperium. A teraz postanowił stawić czoło bogom, żeby uratować wszech-

świat... A ja kiedyś zmieniałem mu pieluchy. Krzyczałem na niego, kiedy nie posłał łóżka.

- Biłeś go tak, że potem leżał bez ruchu i krwawił.

Upłynęła długa chwila, zanim zdołał odpowiedzieć.

- Mówił, że umiesz boleśnie uderzyć - wychrypiał. - Powinienem być mu uwierzyć.

- Powiedział mi kiedyś, że gdy na niego patrzysz, widzisz tylko to, jak go skrzywdziłeś. To prawda? Zakrył ręką oczy.

- Dlaczego o to pytasz? I dlaczego miałbym ci odpowiedzieć?

- Ja już tak mam. Możesz mi odpowiedzieć lub nie, z dowolnych powodów, jakie uznasz za słuszne, albo bez żadnego powodu.

- W takim razie nie. Nie mogę o tym mówić.

- Powinieneś wiedzieć, że nie dlatego tu jesteś, że go biłeś.

- To on tu jest dlatego, że go biłem.

- To dla mnie zbyt złożona kwestia. Sprowadził cię tutaj, bo tak chciał.

Uważa, że jesteś mu tu potrzebny.

- Nie wyobrażam sobie, czego mógłby ode mnie chcieć.

- Czy w twojej rodzinie wszyscy mężczyźni są tacy tępi? Jesteś tu z te-go samego powodu co ja. I z tego samego powodu co Angvasse, Khryl czy kim ta dziewczyna chce być.

- Bo myśli, że mogę mu pomóc?

- Jesteś tu, bo cię kocha.

Nie wiadomo dlaczego ta rana jest jeszcze głębsza od poprzedniej.

- Nawet nie jestem jego ojcem. Zresztą, gdybym nim był, i tak bym go nie znał. Nie tak naprawdę.

- Czy to ma znaczyć, że on także cię nie zna?

Duncan nie wie, co powiedzieć.

- To nie takie proste. Nic, co dotyczy was dwóch, nie jest proste.

Nie wiem, jak dobrze cię zna, ani nawet, jak dobrze mu się wydaje, że 242 cię zna. Ale wie, że cię kocha. A mnie się wydaje, że ty kochasz jego.

- To... trudne.

- Dla mnie też. Trudny z niego człowiek. Dobrze, że mogę sobie pozwolić na cierpliwość.

- Wyobrażam sobie.

Sięga w jego stronę i bierze go za rękę.

- Nie zawsze mam rację, Duncanie, ale kiedy mówię nieprawdę, to dlatego, że się myślę, a nie kłamię. To, że z tobą rozmawiam, nie jest częścią jego planu. Nie jest częścią żadnego planu. Powiedziałam ci to, co powiedziałam, ponieważ wierzę, że to prawda, i chcę, żebyś to wiedział.

- Czemu tak ci na tym zależy?

- Bo jemu zależy.

Duncan znowu milczy.

- Zależy mu na różnych rzeczach - ciągnie końską wiedźma lekkim tonem. - Niektóre z nich są o wiele mniej oczywiste niż twoja osoba. Kocha w taki sam sposób, w jaki robi wszystko inne. Kiedy cofa się od krawędzi urwiska, to tylko po to, żeby wziąć rozbieg.

- Większość ludzi uważa, że on kocha tylko siebie.

- Nie mają racji. Całe jego życie obraca się wokół tego, kogo i co kocha.

Zawsze tak było. Dla niego miłość to absolut.

- Zanim poznał Shannę, interesował się wyłącznie swoją karierą.

- Niektóre rzeczy, które kocha, nie są przyjemne. Ani trochę. Ale kocha to, co kocha.

- Przeprosiłem... Próbowałem przeprosić. Gdybym był dobrym ojcem, gdybym chociaż był lepszym ojcem niż byłem, nie musiałby stać się Caine'em...

- Ale on uwielbia być Caine'em. Jego miłość do bycia Caine'em też jest absolutem. Mówiłam przecież: nie wszystko, co kocha, jest przyjemne.

- Jak on może kochać bycie... kimś takim?

- Może, bo jest durniem. Na pewno sam zauważyłeś.

**ŚRODEK KOŃCA**

# TEST DROZDA

NIEDAWNO ZA MNIEJSZE GRZECHY NIŻ TWOJE ZABIŁEM CZŁOWIEKA LEPSZEGO, NIŻ TY KIEDYKOLWIEK BĘDZIESZ. NAPRAWDĘ MYŚLAŁEŚ, ŻE

DARUJĘ CI ŻYCIE?

- CAINE (PRAC. HARI MICHAELSON)

*Z MIŁOŚCI DO PALLAS RIL*

Olej ścieka mi do krwiobiegu bez bólu, bez gorąca, bez żadnego wrażenia mocy. Było tylko przecucie, a potem pewność, że jestem kochany.

Kochany przez siłę tak wielką, że mój rozum nie jest w stanie jej ogarnąć.

Patrzę na uzbrojonych ochroniarzy, na trzymane na skos przez pierś karabiny, i wiem, że praca w ochronie Studia to nie odrębna profesja, tylko nowy przydział. Nie są emerytowanymi pospołami, bo pospoły nie idą na emeryturę.

Teraz rozumiem dlaczego.

244

Gayle podejrzliwie marszczy brwi.

- *Zabić drozda!*

Mam wrażenie, że minął rok, odkąd zadałem to pytanie.

- Czytałeś?

- Czy czytałem... Poniekąd... To znaczy... - Jeszcze bardziej marszczy brwi, pręży pierś i wyciąga szyję. Zastanawia się, czy nie robię go w bam-buko. - To była ulubiona książka mojej matki. Czytała mi ją, po kilka stron, zamiast bajki na dobranoc. A kiedy poszedłem do szkoły, zaczęliśmy czytać ją razem. Pomagała mi artykułować słowa, tłumaczyła rzeczy, których nie rozumiałem... Czemu pytasz?

- To była też ulubiona książka mojego ojca. Była dla niego jak Biblia.

Więcej niż Biblia. Mawiał, że można się o człowieku dowiedzieć prawie wszystkiego, pytając, kto jest jego ulubionym bohaterem. - Ruchem głowy wskazuję palmpad w jego ręce. - Tak mi się przypomniało, à propos taty.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- A ty, Simonie? Czytałeś ją?

Faller wzrusza ramionami.

- Pewnie. Dawno temu.

- Zdaniem taty sam fakt przeczytania *Zabić drozda* dowodzi, że macie mózg, z grubsza wiecie, jak go używać, czytacie beletrystykę i cenicie klasykę, przynajmniej teoretycznie. Ale poza tym, większość czytelników tej książki lubi sobie wyobrazić, że wciela się w tę lub inną postać, bo wydają się one bardziej rzeczywiste niż my sami. Niektórzy identyfikują się na przykład z Tomem Robinsonem i z godnością znoszą niesprawiedliwość.

Inni wolą Jema, starszego brata. Shannie podobała się Smyk; to chyba rozumiałe. Tata powiedział mi kiedyś, że mama lubiła Maudie Atkinson.

Czasem, jak się kogoś dobrze zna, to w ogóle nie trzeba go pytać o ulubioną postać. Na przykład, ty idealnie pasujesz mi na Dilla.

Faller wytrzeszcza oczy, mruga, znów się na mnie gapi.

- Skąd wiedziałeś?

- To oczywiste. Dill ma to do siebie, że dużo wie, prawda? Tak dużo, że to aż przerażające. Nie jest może silny, ale jest czarujący, przedsiębiorczy, 245

pomysłowy... I trochę smutny. A ty wyrosłeś na nekromantę. Powiedz mi, że się mylę.

Kręci głową.

- Nie mylisz się, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Gayle?

- Brzmi to przekonująco, przyznaję, ale trochę abstrakcyjnie.

- Jasne. Nie miej mi za złe, jeśli się pomylę, ale mam przeczucie, że spodobał ci się szeryf. Heck Tate.

- No... Rozmawialiśmy z matką o nim i o tym, że musiał przestrzegać prawa, z którym nie zawsze się zgadzał. Wszystkich znał, wszystkich lubił, i wszyscy lubili jego, mimo że przecież był władzą. Ale nie tylko on mi się podobał.

- Tak? A kto jeszcze? Może Calpurnia? Wierna, gorliwa, staje się członkiem rodziny. Poza tym jest kimś więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje...

Gayle rumieni się i spuszcza wzrok, jakby nagle zafascynowało go zaplatanie palców w koszycek.

- To... ja... to znaczy...

- Co wiesz o moim ojcu?

- Chyba... to, co wszyscy. Do twojego pakietu promocyjnego... to znaczy nie twojego, tylko Caine'a, była dołączona taka ułaskana biografia.

Sam też czasem o nim mówiłeś, kiedy pracowaliśmy razem. Mieszkał u ciebie, prawda?

- Taaa. Simon?

Wzruszenie ramion.

- Na jego tekstach uczyłem się westerlingu, czterdzieści lat temu. Wię-

cej. *A Opowieści Pierwszego Ludu* są lekturą obowiązkową dla studentów Magji Bitewnej w Konserwatorium.

- Ulubionym bohaterem mojego ojca był... - Muszę przełknąć ślinę, że-by nie chrypieć. Na samą myśl o tym pieką mnie oczy. - Ulubionym bohaterem ojca był... jest... Atticus.

Gayle kiwa głową w zadumie. Dał się wciągnąć w tę grę.

246

- Pasuje. Właściwie wybór jest oczywisty: niekonwencjonalny samotny ojciec, wykształcony, intelektualista ze skłonnościami do filozofowania, wybitna odwaga, nieprzeciętna moralność...

- Nie... - Dławię się. - Nie dlatego.

Pieczenie w oczach grozi przemianą w wilgoć, która pocieknie mi na policzki. To chyba dlatego, że w głębi serca wciąż jestem tym samym siedmiolatkiem co wtedy.

Czasem wściekłość jest tak wielka, że pozostają tylko łzy.

- Ojciec chciał nim być. Chciał być Atticusem. Oddał życie, miłość, umiejętności, nadzieję i serce sprawie, której nie mógł wygrać, sprawie, o której wiedział, że jest nie do wygrania. Zrobił to dlatego, że ten jebany Atticus Finch nauczył go wierzyć, że są rzeczy ważniejsze niż wygrywanie.

- Jesteś na niego zły? Na Atticusa? Mówisz tak, jakbyś go nienawidził.

- Wypatroszyłbym skurwiela jak rybę.

Szczera prawda.

I to też jest prawda:

- Atticus Finch wpoił tacie wiarę, że sposób przegranej może zmienić ludzi, a zmieniając ludzi, zmieniamy świat. Widziałeś na ekranie to, co ja.

Widziałeś, jaką nagrodę dostał tata za walkę w słusznej sprawie.

Znów ta fascynacja zaplataniem palców.

- Hari, ja...

- Widziałeś. Obaj widzieliście.

- T-tak... - przytakuje ostrożnie Gayle. - Widziałem.

Faller tylko odwraca wzrok.

- Mój ojciec nie był... nie jest... zdrowym człowiekiem. Nie umiał do-równać swojemu ideałowi, ale to nie znaczy, że nie próbował. Wierzył w rządy prawa. Nadal wierzy. Wierzy w cywilizację. Wierzy, że racjonalna dyskusja może zmienić świat na lepsze. Wierzy we wszystko to, w co wierzy Atticus Finch. Nie dorównał swojemu bohaterowi, ale komu się to udaje?

- Nadal nie widzę związku...

247

- Jaki jest mój ulubiony bohater?

- Twój? - Spogląda w dal. Zastanawia się. - Nie Atticus. Nie przepadasz za cywilizacją.

- Wierzę w nią, nie wierzę natomiast w siłę racjonalnej dyskusji. Ludzie są cywilizowani tylko w takim stopniu, w jakim im się to narzuci. Koniec, kropka, szlus. Taka prawda.

- Jem? - Patrzy na mnie spod zmrużonych powiek. - Niczego się nie boi i...

- Poczekaj. Motyw przewodni tej książki, przesłanie, które wynosi z niej przeciętny czytelnik i które, być może, było zamiarem pańci, która ją napisała, jest dokładnie takie, jak wyczytał to tata. Kapujesz? Że miłość, nadzieja, odwaga, cierpliwość i rozsądek mogą naprawić zło, a przynajmniej ukazać je ludziom i pchnąć świat na drogę sprawiedliwości i pokoju.

Ty też ją tak zinterpretowałeś, prawda?

Faller wzrusza ramionami.

- Bo o tym właśnie jest.

- Nie dla mnie.

- Moja matka - Gayle cedzi słowa, zerkając przez ramię na pospoły udające ochroniarzy - twierdziła, że to książka o tym, co się dzieje, kiedy ktoś zapomni, jakie jest jego miejsce w społeczeństwie. O tym, że twoja mą-

drość, dobroć, prawość nie są ważne. Nie mają żadnego znaczenia. Jeśli naruszyś normy społeczne, społeczeństwo cię zniszczy.

- Hari? - pyta Faller, krzywiąc się sceptycznie.

Wzruszam ramionami.

- Ja zrozumiałem z niej tyle, że Atticus Finch był skończonym debilem.

Faller mruży powieki i taksuje mnie wzrokiem. Znam to spojrzenie, tak samo patrzył na mnie, kiedy staliśmy na urwisku nad pionowym miastem -

jakbym był jakimś egzotycznym robalem, a on zastanawiał się, czy mogę być niebezpieczny.

Zaraz się dowie. Wszyscy się dowiedzą.

Ja też.

248

- Atticus to w ogóle jest zajebisty kolo, nie? Myśliciel. Delikatny, uprzejmy, rozsądny. Cywilizowany. Jemu jest z tym dobrze, ale inni mają przerabane. Dzięki tym jego wyrąbistym przymiotom jego klient zostaje zastrzelony, a dzieci dźgnięte nożem.

- To nie... Wydaje mi się, że przesadzasz...

- Kiedy dzieci zostają napadnięte przez ciężko obrazonego pojeba, który zamierza je zamordować, Atticus jest zupełnie gdzie indziej, zajęty zabawą w cywilizację. Organa ścigania są zajęte ściganiem. Społeczeństwo obywatelskie jest zajęte budowaniem społeczności obywatelskiej. I kiedy prawdziwy świat rzuca się dzieciakom do gardeł, kiedy grozi im myśliwskim nożem, kto staje w ich obronie? Kto rozumie, co się dzieje? Kto czuwa, bo wie, jaki ten świat naprawdę jest popierdolony?

- Serio? - Faller dalej wpatruje się w przestrzeń, ale już nie mruży oczu.

Patrzą po sobie z Gayle'em. - Boo Radley?

- A żebyś wiedział, kurwa: Boo Radley. Potwór z sąsiedztwa. To wła-

śnie wyczytałem w tej książce: kiedy prawdziwy świat rzuca się z nożem na tych, których kochacie, wy, cywilizowane bubki, módlcie się, żeby znalazł się jakiś potwór, który ich obroni. Jebać Atticusa Fincha, jebać tę jego cywilizację. Atticus może sobie pozwolić na to, żeby zgrywać cywilizowanego, bo, ma potwora, który pilnuje mu tyłka.

- Boo Radley nie jest potworem.

- Fakt. - Włoski na karku stają mi dęba. Słyszać cichutkie trzaski, jakby wyładowań elektrycznych. - Tym się różnimy.

No dobra. Pamiętajcie, jak przed chwilą powiedziałem, że nic nie czuję?

Zupełnie nic?

Cofam to.

Pompowana w moje żyły materia Ślepego Boga rozpala mi krew. W

bardzo brzydki sposób.

- Hari? Dobrze się czujesz? - Gayle sprawia wrażenie autentycznie za-troskanego, ale chyba nie o mnie, bo cofa się od łóżka, żeby zejść ochroniarzom z linii strzału. - Co się dzieje?

249

A teraz stoję pod ścianą i ciągle nie umiem ubrać tego w słowa. Za dużo tego jest. Spoglądam na Gayle'a.

- Chcę coś powiedzieć. Chcę coś powiedzieć Radzie, Kongresowi Uprzywilejowanych... Nie wiem, kto ci wsadził rękę w dupę i zrobił z ciebie pacynkę, i gównu mnie to obchodzi. Zaręczam ci, że będą chcieli mnie wysłuchać.

Marszczy brwi. Myśli.

- Chyba nie zaszkodzi zapytać - przyznaje. Sięga po palmpad. Bardzo przy tym uważa, żeby nie znaleźć się w zasięgu moich przypiętych pasami rąk. Cofa się i klepie w klawisze. - Momencik.

- Simon? - odzywam się półgłosem, kiedy Gayle jest zajęty palmpadem.

- Uciekaj.

Gwałtownie unosi głowę. Oczy wychodzą mu z orbit.

- Co?!

- Uciekaj. Ale już.

- Ale ja... ja nie...

- Nie mam czasu ci tego tłumaczyć. Pamiętajsz, co wam opowiadałem?

Pamiętasz rozmowę z t'Passe?

Oczy zachodzą mu mgłą, jakby spoglądał w głąb siebie.

- Nawet twoje kłamstwa stają się prawdą...

- W tym rzecz, kurwa.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz. O ile pożyczysz wystarczająco długo. Ile potrzebujesz czasu, żeby poderwać dupsko i ruszyć do domu?

- Nie mogę... Nie w tej chwili.

- Nawet nie myśl o tym, żeby tu zostać. Musisz wywieźć rodzinę. Całą, jeśli tylko dasz radę. Sam też zniknij. Masz góra dwadzieścia cztery godziny, chociaż nie stawiałbym na to życia twoich wnuków.

- Mam... uciec?!

- Ukryj się. Wykop sobie norę i zasyp się w niej. Weź swoich bliskich i razem z nimi ukryj się przed światem. Wtedy może to przeżyjecie.

Patrzy na mnie tępo. Nie rozumie.

- Co przeżyjemy?

250

- To co zwykle: trupy wstaną z grobów, morza zaczną wrzeć, księżyc spłynie krwią... Standardzik. Lista przebojów świętego Jana Apostoła.

- Żartujesz.

- Z tego żyję.

- Nie dasz rady...

- Nie musisz mi wierzyć. Ostrzegam cię tylko dlatego, że dzięki temu będę miał ciut mniejsze wyrzuty sumienia, kiedy Policja Społeczna zamę-

czy twoje wnuki na śmierć.

- Policja... Ale Michaelson... to znaczy, Hari... - Oczy wychodzą mu z orbit, usta otwierają się i zamykają, jak u człowieka, któremu ktoś założył

worek foliowy na głowę. - Nie mogę stąd wyjechać. Jesteśmy odcięci. Do-póki tu jesteś, nikt nie wyjeżdża, nikt nie przyjeżdża. Poza tym jesteśmy objęci strefą zakazu lotów. Nawet gdybym jakoś dopadł do swojego wozu, pospoły mnie rozwalą.

No tak. To by było za proste.

- Rozumiem. W takim razie wracaj do swojego pokoju, zamknij się w nim i nie wychodź. Za skarby świata nie wychodź. I porozmawiaj z rodziną. Drugiej okazji do pożegnania może nie być.

- Caine... Caine, proszę cię...

- Gayle? Faller nie jest nam już chyba potrzebny?

Podnosi wzrok znad palmpada. Ruchem głowy i wyrazem twarzy pró-

buję mu przemówić do rozsądku: *Gościu, zatroszcz się trochę o swoich ludzi.*

- Odpuść mu, co? Sam zobacz: wygląda jak trup. I wcale nie ma ochoty tego oglądać. Kurde, facet, znamy się z Simonem od lat.

- Nie wydaje mi się, żeby z jakiegokolwiek powodu miał się czuć...

- Kurwa, Gayle, chociaż na chwilę zapomnij o firmie, bo pierdolisz jak potłuczony. Nie obchodzi mnie, jak powinien się czuć. Weź go stąd wy-puść.

Przenosi marsowe spojrzenie na Fallera, który trochę wziął się w garść i zgrywa dobrego żołnierzyka, właśnie meldującego, że jest cały i zdrowy.

- Panie Administratorze... - Głos mu się łamie. - Zostanę, jeśli pan sobie 251

tego życzy. Proszę się o mnie nie martwić, nic mi nie będzie, panie Administratorze...

- Nie - przerywa mu Gayle. - Nie mam dla pana więcej zadań, Pracowniku. Dziękuję.

Faller się chwieje.

- To ja dziękuję, panie Administratorze.

- Nie ma mi pan za co dziękować. Dobrze się pan spisał, Faller.

- Dziękuję, panie Administratorze.

Faller kłania się lekko, maskuje wzdrygnięcie, posyła mi znaczące spojrzenie i na miękkich nogach wychodzi.

I już go nie ma.

Żyje jeszcze tylko trzech ludzi, którzy znali mnie w wieku dwudziestu paru lat. Jeden z nich jest nieśmiertelną pacynką-zombie, drugi ma druty zamiast oczu, a trzecim jest Faller.

- Co mu jest? Rak?

Gayle znów bawi się palmpadem. Nie słucha.

- Od paru lat kursuje między Studium i tym ośrodkiem, prawda? Na po-czątku nie mieliście tu osłon radiacyjnych, promieniowanie musiało być zabójcze.

- Hmm? - Zerka na mnie i chyba wreszcie do niego dociera, o czym mówię. - Ach, tak. Szkoda go. To dobry człowiek.

- A magia? Nie możecie mu pomóc?

- Odnoszę wrażenie, że zdaniem szefostwa inwestycja w heroiczne środki zaradcze nie gwarantowałyby należytych zysków.

- Jezu, Gayle... Słyszałeś kiedyś o dziewiątym kręgu piekła?

W kącikach oczu pojawiają mu się zmarszczki.

- I to mówi człowiek, który stał się sławny i bogaty dzięki zabijaniu ludzi dla sportu.

- Czy to sprawia, że mniejszy z ciebie skurwysyn?

- Mniejszy od ciebie, to na pewno.

- Jestem, kim jestem, Gayle. Ale to nie ma nic wspólnego z tym, kim ty jesteś.

252

Na chwilę opuszcza palmpad. Marszczy brwi.

- Ja chyba też jestem, kim jestem.

- Czyżby? Gdzie twoja lojalność i przyjaźń, kiedy Faller jej potrzebuje?

- Nie będziemy o tym rozmawiać, Hari. - Znow wraca do swojej zabawki.

- Długo jeszcze?

- Próbują zebrać kworum. Zdziwisz się pewnie, kiedy ci powiem, że najbogatsi ludzie na Ziemi mają swoje życie i nie jest tak, że czekają z za-partym tchem na każde twoje słowo.

- Właśnie, że czekają. Czekają i nasłuchują.

Ja to wiem. Ja to czuję.

To ten olej... Oni wszyscy są teraz we mnie.

Powiniennem mieć przygotowane przemówienie, ale nie mam. Pewnie dlatego, że jestem tak samo głupi jak oni. Chyba do końca spodziewałem się, że wszystko potoczy się jakoś inaczej. Może nawet miałem taką nadzieję, co byłoby jeszcze głupsze, bo przecież, kurwa, wiem lepiej.

Nadzieja jest dla frajerów.

Bo oni zapominają, wiecie? Mija parę lat i zaczyna im się wydawać, że nie jestem już tym samym

człowiekiem, co dawniej.

Właściwie... Mają rację. Nie jestem tym samym człowiekiem.

Śmiesz mnie tylko, że sobie tego nie przemyśleli. Nikt z nich nie usiadł

spokojnie i nie zadał sobie pytania: Skoro nie jest tym samym człowiekiem, to kim?

A takie niezadane pytanie to kurewsko niebezpieczna rzecz. Nie przyszło im do głowy, więc nie pomyśleli też o następnym. Tym prawdziwym.

A jeżeli stał się kimś jeszcze gorszym?

## **DZIWIY, DZIWIY**

## **DOBRO I ZŁO**

KIEDY KTOŚ ZACZYNA MÓWIĆ O DOBRU I ZŁU, TRZYMAJ SIĘ ZA PORT-FEL.

- DUNCAN MICHAELSON

Wiosną wiedznie stado przemieściło się na północ. Kiedy wiosna stopniowo przechodziła w lato, dziczące konie włóczyły się po wschodnich zboczach Bożych Zębów, pasąc się w strefie wysokich zarośli powyżej linii lasu, a poniżej śniegów. Dni się wydłużały, stado stawało się coraz bardziej niespokojne. Nerwowe. Spięte. Podczas walk ogierów o przywództwo lała się krew, czasem słał się trup. Klacze też gryzły się między sobą. Trzy wa-

łachy i jeden ogier spadły z urwiska w zamieszaniu podczas burzy, które zamieniło się w ogólną bijatykę. Ogier i dwa wałachy zginęły na miejscu, roztrzaskawszy się na kamieniach; ocalały koń kwiczał z bólu prawie do końca burzy. Porywisty wiatr i bijące w ziemię zygzakowate pioruny opóź-

niły przybycie końskiej wiedzmy - nawet ona nie potrafi zbiec po skalistym stoku w oślepiającej ulewie. Zanim wreszcie dotarła do rannego wałacha, uspokoiła go i odesłała poza zasięg wspomnień bólu, setki koni kwiczały rozpaczliwie.

254

Stado zaczęło tracić spójność, dzielić się na coraz mniejsze grupki, spłoszone i unikające kontaktu ze sobą nawzajem. Sama wiedzma również z każdym dniem robiła się coraz bardziej opryskliwa i porywcza. Orbek, który pewnej nocy zaszedł do jej obozowiska z nadzieją na przekąskę z suszonej wołowiny, fasoli i podplomyków wyłożonych dla niej przez mieszkańców pobliskiej wioski, widział, jak zwałała jeden z garnków znad ogniska, rozchlapała wrzątek w ciemność i zakłęła tak szpetnie, że nawet jego brat-człowiek by się zarumienił.

- Cześć.

Siedziała w kucki plecami do niego, czarna sylwetka obwiedziona ogniem.

- Przykro mi, że musiałeś to zobaczyć.
- Nic się nie stało.
- Jestem nieszczęśliwa.
- To mnie nie dziwi. Byłem tu przez cały czas, nie?
- Jestem wściekła na niego.
- Każdemu się zdarza. Taki już jest.
- Jest do dupy.
- Przynieść ci wody?
- Martwię się o niego.
- Ja też.
- A nie powinnam. Ja się nigdy nie martwię.
- „Powinnam” nie ma tu nic do rzeczy. - Orbek wzruszył ramionami. -

Przykro mi, że to powiem, bo ratuje mi tyłek po dwa, trzy razy w miesiącu, ale strasznie się nim przejmujesz, jak na faceta, którego spotkałaś miesiąc temu i spędziliście razem pół dnia.

- Wcześniej nigdy się nie martwiłam. Już nawet zapomniałam, jakie to uczucie. Nie podoba mi się to. Ja tak nie robię.
- Tak się zachowują przyjaciele.
- Ludzcy przyjaciele są po wuju.
- Dopiero teraz na to wpadłaś?

255

Nie odpowiedziała. Zimny szept spływał z góry, z lodowej czapy na wierzchołku. Zimozielone gałęzie w ognisku strzelały i pluły iskrami.

- Przyniosę wody, co? Jestem głodny.

W końcu się poruszyła: zwiesiła głowę.

- Dziękuję - odparła po chwili.
- Przyjaciele, co?

- Przyjaciele.

\*\*\*

Wczesnym latem w Bożych Zębach ściemnia się zdumiewająco szybko.

Niebo przechodzi z błękitu w indygo obsypane gwiazdnym pyłem, a cień gór zdaje się mroczniejszy niż nadciągająca noc. W tym właśnie momencie Jonathan Fist wyszedł spomiędzy drzew, obrzucił rozproszone stado czuj-nym spojrzeniem, poprawił ciężące mu na ramieniu wypchane sakwy i zaczął się wspinać.

Szedł powoli, często przystawał dla złapania tchu. Kiedy ruszał dalej, kulał lekko, dopóki nie rozchodził obolałej nogi, która jednak sztywniała przy każdym odpoczynku. Ubranie miał nowe, solidne, uszyte ze skóry i grubego brokatu. Buty błyszczały jeszcze resztkami pasty, która całkiem starła się już z pięt i palców. Włosy miał jak delikatny szept na spalonej słońcem czaszce. Nad lewym uchem widniała blizna po nie całkiem zago-jonym oparzeniu.

Wspinał się bezszelestnie, lecz mimo to, od czasu do czasu słyszał rzenie i tętent, gdy konie dostrzegły go lub zwęszyły i postanawiały się oddalić. W końcu jednak odgłosy uciekających zwierząt ucichły i rozległ się nierówny tupot konia, który ostrożnie kluczył wśród kamieni.

Zatrzymał się i czekał. Księżyc, krótko po pełni, rzucał ledwie tyle światła, że z najwyższym trudem rozpoznał sylwetkę jeźdźca.

- Niech mnie wyruchają do góry nogami... Jakim cudem dałeś się wpakować na konia?!

256

- Lepiej niż ja widzi drogę wśród skał. A ja zmęczyłem się czekaniem na ciebie.

- Przecież ogrille zjadają konie.

- Ludzi też.

Rozejrzał się. Nigdzie nie było jej widać. Ścisnęło go w piersi, w ustach poczuł smak octu i popiołu.

- Nie przyjdzie - wyjaśnił Orbek. - Jest na ciebie zła.

Zmarszczył brwi. Ból w piersi zaczął ustępować.

- To chyba dobra wiadomość. Więc myślała o mnie, tak?

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

To chyba nie była dobra wiadomość.

- W okolicy spokój?

- Od paru dni.

Pokiwał głową.

- Posłuchaj, idzie za mną taki jeden facet. Widzisz go?

Orbek poruszył tylko oczami: w taką noc, przy skąpym księżycu, widział nie gorzej niż w pochmurny dzień. Tysiąc jardów od nich, w dole, szczupła ludzka sylwetka przemykała z cienia do cienia. Wspinała się powoli, lecz systematycznie, szlakiem równoległym do obranego przez Fista.

- Tak.

- Jak jest uzbrojony?

- Ma kuszę. Dużą.

- Trafiłbyś go z karabinu?

- Widzi nas. Na tyle dobrze, że wie, że i ja mogę go zobaczyć. - Orbek westchnął. - No i wie o karabinie.

- Czemu tak myślisz?

- Widzę, jak się porusza: od kamienia do kamienia, z cienia w cień.

- Cwany z ciebie skurczybyk, wiesz?

- To możliwe. - Orbek wyszczerzył kły w uśmiechu, który nawet zwyczajny ludzki wzrok Fista z łatwością wyłowił w ciemności. - Oszczędza prawą rękę.

257

- Szlag by to trafił! - Miesiąc podchodów, morderstw i jazdy na złamanie karku zwałił się Fistowi na ramiona. - Ależ ze mnie dureń. Dobra, urzą-

dzimy sobie małą strzelaninę. Wchodzisz w to?

- Jeszcze się pytasz? - Uśmiech Orbeka rozszerzył się. - Mamy trochę czasu do zabicia, co?

- To też. Nie zgub go. Wystarczająco dużo razy oberwałem z kuszy jak na jedno życie.

Orbek przesunął się na grzbiecie konia - całkiem naturalny gest, który pozwolił mu się odwrócić wprost w stronę skradającego się z dołu człowieka.

- Jak ci poszło z hrabią, wojną i tak dalej?

- Mniejsza o szczegóły.

Próbował rozmasować sobie stwardniałe na supeł mięśnie karku, ale su-płów było jakoś więcej niż mięśni. Kurczę, był naprawdę wykończony. I naprawdę za stary na takie rzeczy. Zrzucił sakwy z ramienia i podał Orbekowi.

- Głównie zapasy, ale jest tam też tysiąc rojali.

Ogrillo zważył sakwę w dłoni.

- Sympatycznie...

- Pięciu zbrojnych, kawalerzystów z ciężkiej jazdy, odeskortowało mnie tutaj. Kiedy się rozstawaliśmy, zapewnili mnie o wiecznotrwałej wdzięczności nowego hrabiego za przyście mu z pomocą w trudnych czasach, a także niegasnącym szacunku wszystkich jego poddanych. Przypomnieli mi również, że gdybym próbował tam wrócić, wrzucą mnie do studni głową naprzód. - Westchnął, znużony. - O innych częściach ciała nie wspomnieli.

- Czyli normalka.

- Odjeżdżając, zabrali mi konia.

- A to skurwysynki. Nowy hrabia, powiadasz? To twoja robota?

- Okazało się, że młodszy syn poprzedniego nieodżałowanego hrabiego to całkiem przyzwoity człowiek, skłonny do zajmowania się swoimi sprawami i zostawienia sąsiadów w spokoju. Załatwiło się grzeczne przekazanie władzy i po sprawie.

258

- Grzeczne jest piękne.

- Przynajmniej nie musiałem uspokajać jego mamusi.

- A co z Dane'em i Blackwoodem?

- Emerytura.

- Dobrowolna czy wymuszona?

Fist pokręcił głową.

- Co słyhać u pana kusznika?

- Mamy jeszcze dwie, trzy minutki. Wracając do Dane'a i Blackwooda...

- Zapomnij.

- Nie mógłbyś skorzystać z okazji i, jak to mówisz, oświecić mnie?

- Odupść sobie, mówię.

- Boisz się o moje niewinne uszeta?

- Nie. - Odetchnął głęboko. Wcale nie zrobiło mu się od tego lepiej. -

Nie było to ekscytujące, zabawne ani sprytne, nie wymagało odwagi ani tym bardziej heroizmu. Nie ma o czym opowiadać. Zrobił się syf, ktoś musiał posprzątać. Sprawa zamknięta.

- Nie bocz się na mnie, braciszku. Tak cię tylko zagaduję.

Fist milczał. Próbował myśleć o czymś innym niż twarze zabitych i mrowienie poprzedzające trafienie bełtem z kuszy. Wątła chmurka przesłoniła księżyc, za nią skradały się kolejne, gęstsze.

- Zaraz zrobi się znacznie ciemniej.

Orbek pokiwał głową.

- Jeśli widzi za pomocą magji, to będzie jego szansa.

Fist przeciągnął się, rozluźnił mięśnie i odsunął się dwa kroki w bok; je-

śli sukinkot chybi, to na pewno nie trafi Orbeka.

- Nie będzie dla ciebie za ciemno?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Nie czekaj na niego. Ma niesprawną rękę, będzie chciał oprzeć kuszę na jakimś głązie.

Nie musiał dodawać, że w ten sposób skurwiel będzie skutecznie zasłonięty od nosa w dół - Orbek dużo się przez ostatnie trzy lata nauczył. Fist przyłożył dłoń do skroni, przekrzywił głowę, aż trzasnęło mu w szyi, po 259

czym oparł ręce na biodrach i odchylił się do tyłu, jakby się przeciągał - co zresztą przy okazji też zrobił, ale nie dlatego trzymał ręce w tej pozycji.

- Na twój znak.

Chmury zakryły księżyc. Noc poczerniała.

- Teraz.

Płynnym ruchem - tak płynnym, że wcale nie wydawał się szybki -

przesunął prawą dłoń z biodra na plecy, pod tunikę, i zacisnął palce na rę-

kojeści automaga. Wyciągnął pistolet i delikatnie, od dołu, rzucił go w miejsce, w którym ostatnio

widział prawą rękę Orbeka. Zamknął oczy i zatkał sobie uszy.

Grzmot przetoczył się po zboczu, a kiedy ucichł, rozległ się wysoki, piskliwy wizg.

Wyjął palce z uszu, otworzył oczy i spojrzał w dół stoku.

- Trafiłem? - Orbek leżał na ziemi, wymachując automagiem z grubsza w tamtym kierunku. Gdzieś z góry dobiegł tętent oddalającego się konia. -

Ni chuja nie widzę! Trafiłem?!

Jego głos wydawał się dziwnie odległy.

- Jeszcze do mnie nie strzelił. - Fist zaczął po omacku posuwać się w stronę swojego prześladowcy.  
- To już coś.

- Co mówisz?! Nie słyszę, kurwa, nic nie słyszę! Nienawidzę strzelać między skałami!

- Chujnia...

- Chujnia to jest tutaj, braciszku. Wiedziałeś, że masz tylko trzy naboje?

- Orbek wymachiwał pustym pistoletem, jakby chciał siłą woli przyciągnąć dodatkową amunicję. -  
Trzy naboje! Chujnia, normalnie...

- Wspominałem ci o grzecznym przekazaniu władzy?

- Trzy naboje, a ty mi proponujesz strzelaninę? Pojebało cię?! Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz tylko trzy naboje?!

- Żebyś się niepotrzebnie nie martwił.

Orbek wydał taki dźwięk, jakby dusił kota.

- Widzisz? Właśnie dlatego.

\*\*\*

260

Chmury odsłoniły księżyc. Z zagłębienia wśród skał wystawał but, piętą do góry. Fist nie widział za dobrze, nie był pewien, czy w bucie tkwi stopa.

- Tanner?

Cichy, bulgotliwy jęk.

- Odrzuć kuszę, tak żebym ją widział, to pomogę ci odejść.

Próba artykulacji, którą zinterpretował jako „ty lachociągu”.

- Jak chcesz. Nie muszę patrzeć, jak umierasz. Spotkamy się w piekle, Hack.

- Grh... Chuj ci w dupę. Już po mnie.

- To właśnie próbowałem ci powiedzieć.

- Naprawdę mi pomożesz?

Nie odpowiedział.

- Jonnie? - Wilgotny kaszel, który prawie przerodził się w wymioty. -

Pomożesz mi, Jonnie?

- Zmieniłem zdanie. - Przykucnął wygodnie i oparł się plecami o kamień. - Pewnie masz tam jakąś niespodziankę, w sam raz, żeby zabrać mnie ze sobą. To by było w twoim stylu.

Bulgoczący śmiech.

- Przez ostatni miesiąc nieźle mnie poznałeś, co?

- Przejrzałem cię na wylot, jak tylko cię zobaczyłem.

- W porządku?! - zawołał z góry Orbek. - Pomóc ci? Może chcesz gnata?

- Nie wychylaj się. Jestem prawie pewien, że skurczybyk jest sam, ale nie chciałbym się pomylić.

Tanner parsknął śmiechem, po czym się rozkaszał.

- Mówiłem ci przecież, że nie jestem towarzyski.

- A ja ci mówiłem, żebyś mi nie wchodził w drogę.

- Kiedy... ugh... kiedy mnie zwęszyłeś?

- Dwa dni temu.

- Zastrana przełączka, szlag by ją trafił. Tycia szczerbina, w dupę jebana mać. Wiedziałem, że to zły pomysł. Znam ją. Wszystko widać na tle nieba.

- Najwidoczniej nie jesteś taki dobry, jak ci się wydawało.

261

- Najbliższa przełęcz jest dwa dni na południe stamtąd... Wiedziałem...

Przekłeta szczerbina. Ryzykowna. Kurewsko ryzykowna.

- Mimo to, poszedłeś przez nią.

- Musiałem. Musiałem!

- Wtedy na pewno tak ci się wydawało.

- Hrabia, jego pierworodny, cała reszta... Cóż, takie jest życie na pograniczu. Nawet Bannon; to był skurwiel, nikt po nim nie będzie płakał. Ale Charlie? To, jak go załatwiłeś... jak go zostawiłeś... Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak cierpiał przed śmiercią. Ależ wrzeszczał... poza tym, że płakał i jęczał w jakimś obcym języku, nie wiem w jakim, ale „mama” brzmi w nim tak samo jak w westerlingu.

- Powiedziałbym, że jest mi przykro, gdyby mi było. Rozumiesz.

- Charlie był moim przyjacielem. Twoim też, Jonnie, do diaska! Nie mogłem odpuścić. Nie mogłem ci tego darować. Po prostu nie mogłem.

- Jasne.

- Jak można zrobić coś takiego człowiekowi, którego... się zna... z któ-

rym się jadło, piło... walczyło ramię w ramię... śmiało nawzajem ze swoich żartów... Ty go tak po prostu... - Kolejny atak kaszlu. - Ależ z ciebie lachociąg bez uczuć. Powinieneś umrzeć.

- Ludzie ciągle mi to powtarzają.

- Kiedyś ktoś cię dorwie.

- Nie dziś.

- Charlie nie był złym człowiekiem. Nie był taki jak Bannon. Nawet ode mnie był lepszy. Co ci zrobił, że go tak zostawiłeś?

- Zwykle zabijam ludzi za to, co dopiero zamierzają zrobić.

- Ale Charlie?!

- Ścigałby mnie za to, jak załatwiłem Bannona. Tak jak ty ścigasz mnie za to, jak załatwiłem Charliego. I nie obraż się, ale był sto razy bardziej niebezpieczny niż ty.

- Ha... Gdyby nie ta... szczerbina pierdolona... przekonałbyś się, jaki mogę być niebezpieczny. - I znów: napad mokrego kaszlu i bryzg wymiocin. - Ale... Charlie...

- Zostawiłem go przy życiu, żeby powiedział wam wszystkim, pierdolce głupie, żebyście mnie nie szukali. I żeby pokazał dlaczego.
- No tak, wyświadczyłeś nam przysługę...
- Poniekąd. Ale głównie to go nie lubiłem.
- Charliego wszyscy lubili. Jak mogłeś go nie lubić?
- Trudno powiedzieć. Musiałbyś chyba popytać ludzi, którzy zginęli w *Skoku w bok*. Albo którzy mieszkali w Blacie, kiedy jeszcze istniał. O ile ktoś przeżył.
- W Blacie? Zaraz, zaczekaj, przecież... aaagh... To robota Dane'a i Blackwooda, wszyscy o tym wiedzą.
- To prawda.
- Więc co tu ma Charlie do rzeczy? Przecież wiadomo, że tamci to są skurwiele...
- Byli.
- Ale daj spokój... Charlie? Nie wierzę, żeby...
- Nikogo nie obchodzi, w co wierzysz.
- Dlaczego w ogóle mi o tym mówisz?
- Bo zapytałeś. Zagaduję cię dla zabicia czasu i czekam, aż się wykrwawisz.

Kaszel. Napięcie w głosie:

- Tak po prostu, co?
- Chyba że wcześniej utopisz się w swojej krwi.
- Ty nawet... W ogóle nie zamierzasz... - Tanner zaczął się krztusić i krztusić. I nie mógł przestać.
- Ostrzegałem cię.
- Ja bym to... zrobił. Dla ciebie. Dla zwierzęcia bym...
- Nie jestem tobą. Za parę minut ty będziesz martwy, a ja nie. I wiem, gdzie mieszka twoja mama.
- Ghah...? Moja mama? Obiecałeś...
- Najpierw obetnę ci łeb. Zabiorę go, pokażę twojej mamie i powiem, że umarłeś tak samo, jak żyłeś: skamląc jak rozmemłany, zarzygany, tchórzliwy pizduś, którym w istocie jesteś. Potem odetnę ci twarz i każę jej ją 263

zeżreć. A na koniec wezmę twoją martwą czachę, już bez ryja, i jak mi Bóg miły, wsadzę jej ją w dupę.

- Nieghgh... Jonnie, przestań!

- To nie była przerośnia. Rozumiesz, co mówię? Zabiję ją.

- Ha. Ha, ha. Ha, ha, ha, ha.

Tanner się śmiał. Naprawdę się śmiał, skurczybyk!

- Wybacz, że to powiem, ale... Jonnie, nie wygłupiaj się. Przecież ja cię znam. Nie jesteś taki.

- Charlie i Bannon też mnie znali. Jak już będziesz w piekle, zapytaj swojego kumpla Rozrywkowego Charliego, kto go załatwił. Zapytaj Bannona, kim jestem. Chcesz usłyszeć imię, które ci podadzą?

- Jonnie, nie żartuj. Próbujesz mnie...

- To imię brzmi Caine.

Cisza.

- Co, już ci nie do śmiechu, chujku jeden?

Oddech chrapliwy jak zgrzyt pilnika. Gdzieś w górze stoku zaturkotał

toczący się kamień. Opończa chmur pogłębiła mroki nocy.

W końcu, ledwie słyszalne, jak dogasające kaszlnięcie:

- Caine...

- Pomyśl o tym. Pomyśl o mnie. A potem pomyśl o mamie. I zabierz te myśli ze sobą w ciemność.

Świszczący oddech. Mozolny, charkotliwy wydech. I szept:

- Jonnie... Jonnie, błagam...

- Jonniego tu nie ma, kutasino.

- Ale dlaczego... dlaczego miałbyś zrobić... coś takiego...

- Przez ciebie wyszedłem na idiotę. A poza tym nie lubię cię tak samo jak Charliego.

Następne „ha, ha, ha” nie brzmiało już jak śmiech.

Długo tak siedział, przykucnięty, oparty o kamień, i słuchał, jak Tanner umiera. Myślał o swoim imieniu. O swoich imionach.

Dużo ich miał.

Miał też inne tematy do rozmyślań. Na przykład, krew.

264

W magazynku pistoletu znajdowały się rozdzieracze. Kompozyty, trzy sztuki po trzy pociski. Facet wykrwawiał się na śmierć tuż obok, a on nie czuł zapachu krwi. Co jeszcze niczego nie dowodziło: wieczorny wiatr wieje w dół zboczy, Tanner leżał niżej od niego, czyli z wiatrem, a on nigdy nie miał najlepszego węchu. Ale nie tylko to dało mu do myślenia.

Jonathan Fist poświęcił chwilę na pogawędkę z Morganem Blackwoodem - Charliem - już po tym, jak go załatwił, a jeszcze przed tym, jak zostawił go, żeby umarł. Charlie nigdy nie był bohaterem i chętnie podzielił

się z nim całą swoją wiedzą o tych członkach swojej ekipy, którzy przeżyli grzeczne przekazanie władzy - w zamian za perspektywę szybkiej i litościwej śmierci. Tanner i Charlie bardzo się przyjaźnili, w takim stopniu, w jakim to u takich ludzi możliwe. Razem pili, bzykali, żartowali i wymieniali się opowieściami w rzadkie spokojne noce spędzane przy dogasającym obozowym ognisku. Charlie znał sporo szczegółów z życia kumpla - wiedział, na przykład, że wieczne marudzenie Tannera o mamusi to taki żart dla wtajemniczonych. Matka Tannera nie żyła od dziesięciu lat.

Bulgotanie przeszło w rżenie, w końcu ucichło zupełnie. Chmury od-słoniły księżyc. Rozejrzał się po oświetlonym stoku. Dookoła walało się mnóstwo kamieni. Wybrał jeden, nieco większy niż dwie złożone pięści, zdjął z grzbietu tunikę z grubego płótna i zawinął w nią kamień. Związał

rękawy przy mankietach i zarzucił sobie tunikę na szyję w taki sposób, że kamień miał na plecach, mniej więcej w połowie wysokości.

- Tanner? Dychasz jeszcze? Tanner!

Odczekał chwilę, ale słyszał tylko szmer nocnego wiatru i, z rzadka, turkot spadających po zboczu kamieni.

- Jeszcze dziesięć minut - mruknął półgłosem, jakby do siebie. - Nigdzie nam się nie śpieszy.

Nagarnął w dłonie trochę suchej, piaszczystej ziemi i odwrócił się w stronę zagłębienia. Wymacując szczeliny i występy skalne, zaczął się wspinać na jedną z okalających zagłębienie skałek. Wdrapał się na wysokość trzykrotnie przewyższającą jego wzrost, odczekał, aż chmury znowu zakryją księżyc, po czym przegramolił się na wewnętrzną stronę skalnej bariery, 265

żeby spojrzeć z góry na Tannera. W zagłębieniu zalegała kałuża nocy, czarna jak wnętrze studni.

Skoncentrował się, wyrównał oddech - i w ciemności zaczęła się powoli rysować ludzka sylwetka. Mężczyzna przykucnął obok widocznego z góry pustego buta, trzymając kuszę w pogotowiu.

Kiedy nagle zdał sobie sprawę, że stanowczo zbyt dobrze widzi Tannera, ten odwrócił się błyskawicznie i strzelił, na pozór w ogóle nie celując, ale tylko na pozór, bo Fist uświadomił sobie, że zaaferowany Samodyscypliną nie zauważył, że chmury odpłynęły i on, tępy dureń, amator i frajer, rzuca cień w miejsce doskonale widoczne dla Tannera. Natychmiast wybił

się z obu nóg i po długim skoku zarył w ziemię. Zamiast oberwać półmetrowym stalowym grotem prosto w mostek, poczuł na plecach grad kamiennych odłamków.

Skurwysyn nadal mógł strzelać.

Jonathan Fist już za młodu doszedł do wniosku, że różnica między zawodowcem i amatorem nie polega na tym, że zawodowiec nigdy nic nie spieprzy. Każdemu się czasem zdarza. Zawodowiec od amatora różni się tym, że zawodowiec najpierw walczy, a dopiero potem robi sobie wyrzuty.

Gdyby zaczął od wyrzutów, nie byłoby żadnego „potem”.

Wyskoczył w powietrze i zrobił salto w locie. W ostatniej chwili ścią-

gnął z szyi obciążoną kamieniem tunikę, żeby nie udusiła go przy lądowaniu, ale ciężar wytrącił go z równowagi, a poza tym, prawdę mówiąc, minę-

ło już niefortunnie dużo lat od czasu, gdy ostatni raz próbował takich akrobacji w powietrzu, przez co wykręcił pół obrotu za dużo i pierdyknął głową prosto w skalną półkę, haracząc sobie przedramiona i zdzierając skórę z jednego kolana, i zanim zdążył się choćby odwrócić, Tanner już go dopadł

i zamachnął się kuszą jak oskardem, które to porównanie było tym bardziej na miejscu, że stalowy łuk do złudzenia przypominał obuch - zwłaszcza z punktu widzenia kręgosłupa, który po ewentualnym trafieniu raczej nie zauważyłby różnicy.

W ostatnim ułamku sekundy wyturlał się spod ciosu, naprawdę niewiele brakowało (łuk kuszy rozorał mu bok, ale tylko ześliznął się po żebrach, 266

zamiast je zgruchotać), ponieważ zaś był po pierwsze, zawodowcem, a po drugie, trzecie i czwarte, również, poturlał się bliżej Tannera, zamiast się od niego oddalić, po czym, wykorzystując siłę rąk i impet toczącego się ciała, z rozmachem uderzył zawiniętym w tunikę kamieniem prosto w jądra tamtego.

Widząc, co się święci, Tanner skręcił się w biodrach i przyjął cios na udo zamiast na klejnoty, ale mimo to, oberwał sporym kamulcem ciśniętym z całkiem przyzwoitą prędkością, który na tyle wytrącił go z równowagi, że Fist zdążył się dźwignąć na jedno kolano, zakręcić tuniką nad głową i rzucić nią prosto w rzepkę kolanową Tannera, z uzasadnionym przeświadczeniem, że za chwilę będzie po walce.

Tyle że rzepki wcale tam nie było.

Uderzenie kuszą zbiło z kursu wypchaną kamieniem tunikę, która owinęła się wokół drzewca. Tanner

cofnął się i oburącz szarpnął kuszę. Fist w porę się zorientował, że znalazł się w niekorzystnej pozycji. Puścił tunikę, zanim szarpnięcie zdążyło go powalić na brzuch, ale wykorzystując jego impet, zrobił przewrót w przód przez bark i znalazł się tuż przy Tannerze.

W rękach trzymał już gotowe do użycia noże wyciągnięte z cholew butów.

Jednym pchnął w górę, w kierunku szyi, żeby odwrócić uwagę Tannera, a drugim dźgnął prosto w tętnicę udową. Jakimś cudem kusza znowu stanęła na drodze jego ciosu: dłoń Fista zaplątała się między łuk i cięciwę i Tanner szybkim skrętem kuszy przyblokował ją w takim położeniu. Obrócił przy tym kuszę do pionu, kolbą odbił nóż mierzący w szyję i wyrznął Fista drzewcem w nos z taką siłą, że Fistowi zadzwięczało w głowie, łzy pociekły z oczu, i nagle się okazało, że strzelanie z tej pierdolonej zabawki to wcale nie jest największa umiejętność Tannera. No, kto by się, kurwa, spodziewał? Facet walczył prawie jak...

Nie, nie „prawie”. Walczył jak Klasztorny. Jak Ezoteryk. I to dobry.

Stanowczo za dobry.

Fatalnie się złożyło, że akurat tu i teraz Fist musiał spotkać kogoś lepszego od siebie.

267

Naparł na Tannera całym ciałem i odepchnął go, wykorzystując swój niżej położony środek ciężkości, zmienił chwyt na górnym nożu i przyparł

nim kolbę kuszy do przedramienia przeciwnika. Spychał go wstecz, na skraj półki, aż w końcu Tanner ugiął nogi w kolanach, szykując się do przewrotu w tył, i Fist w ostatniej chwili uskoczył w bok, zamiast dać się rzucić w tonącą w cieniu na pozór bezdenną przepaść. Przeszorował nożem po kolbie kuszy, za co został nagrodzony nieartykułowanym warknięciem oraz dwucalowym kawałkiem ciała zdartym z bocznej powierzchni kciuka Tannera. Okrawek plasnął miękko o ziemię, chlapiąc drobnymi jak kurz kropelkami krwi.

Siłowali się przez chwilę, połączeni blokującą ich obu kuszą. Uderzenie wyprostowaną dłonią nie wymaga użycia kciuka, Tanner dźgnął więc Fista prosto w szyję. Fist zakrztusił się i złapał za krtań, ale zdążył drugim no-

żem rozplątać Tannerowi brzuch - prawdopodobnie dostatecznie głęboko, żeby go zabić, jednakże nie dość głęboko, by go powstrzymać od zabijania.

Tłukli, zahaczali i blokowali się nawzajem kolanami i stopami, dłońmi, nożami i kuszą, szukając każdej okazji do zranienia przeciwnika, spowolnienia go lub zmuszenia do błędu. Tanner był młodszy, silniejszy i lepiej wyszkolony i nie można było mieć cienia wątpliwości co do wyniku pojedynku, zwłaszcza że Fist prawie nie mógł oddychać.

Trzeba było zacząć się gdzieś daleko z karabinem i posłać na dół Orbeka. Co za głupia śmierć.

Fachowym wykręceniem kuszy Tanner rozbroił lewą rękę Fista, skręcił

ciało w bok, przyblokował mu prawą dłoń kolanem, i równie fachowo uderzył kolbą z góry na dół, prosto w unieruchomione przedramię. Rozległ się mokry trzask i trupia drętwa rozplynęła się po ręce Fista, w górę i w dół.

Znał ten dźwięk doskonale. Tanner złamał mu nadgarstek.

Z drugiej strony, gdyby przysłał tu Orbeka, ten skurwysyn by go zabił i Fist i tak musiałby się z nim w końcu trzaskać.

Tanner uderzył go kolanem w podbrzusze - i chyba spodobał mu się uzyskany efekt, bo natychmiast mu poprawił, i to dwa razy, po czym 268

wyskoczył w górę i oplótł udami biodra Fista. Zamachnął się trzymaną oburącz kuszą i powiedział:

- Od początku zamierzałem cię nią zabić. Cieszę się, że mi się uda.

Uderzył z góry na dół, zamierzając zdruzgotać czaszkę Fistowi. W tej samej sekundzie Fist przypomniał sobie o półksiężycowatym nożu do skó-

rowania zwierząt, który Tanner tak bardzo lubił i nosił w pochwie na udzie.

Tanner był praworęczny. Pochwa musiała więc znajdować się najdalej sześć cali od sprawnej dłoni Fista.

Kiedy Tanner uderzył kuszą, Fist pchnął półksiężycem do góry, odłupał

poskręcany wiór z kolby kuszy i byłby oberznął Tannerowi prawą rękę w nadgarstku, gdyby nie fakt, że skurwiel był cwany: dostrzegł błysk stali i w porę cofnął dłoń. Kolba trafiła Fista w czoło z mniejszym niż planowany impetem, ześliznęła się i naderwała mu ucho. Nie mógł złapać tchu, tracił

resztki koordynacji i energii i ostatkiem sił dźgał Tannera jego własnym nożem - nie było w tym żadnej wprawy, żadnej sztuki, została tylko ślepa, zwierzęca żądza okaleczenia. Tanner z pogardliwą łatwością blokował

ciosy kuszą.

- Jesteś żaloszny, wiesz? Jesteś... Ożeż ty skurwysynu! Ty łajzo pierdolona! - wrzasnął, gdy dotarło do niego, że każde kolejne cięcie odłupuje kawałek drewna z łoża lub kolby broni. - To moja najlepsza kusza!

Rozluźnił uścisk na biodrach Fista, zsunął się na ziemię, zrobił przewrót w tył i wylądował na kolanach. Zamaszystym uderzeniem stalowego oku-cia trafił Fista w kostkę i pozbawił go czucia w stopie, ale Fist już rzucił się na niego, tnąc nożem na oślep.

Tanner cofnął się i wstał. Fist upadł.

- Jasne, tatuśku. Na pewno tego właśnie chcesz? No to chodź i...

Przerwało mu *plap* - krótkie, ostre, do złudzenia przypominające kła-

śnięcie otwartej dłoni o pierś. Ułamek sekundy później: *plap, plap*.

Tanner się zachwiał, trochę jak człowiek, który zniecka przyjął dwa, trzy proste na korpus, ale zaraz odzyskał równowagę i podejrzliwie zmarszczył brwi. Mars na jego czole pogłębił się, gdy, próbując napiąć 269

kuszę, stwierdził, że jego ręka nie bardzo chce chwycić dźwignię, a gdy w końcu zacisnął na niej palce, nie miał siły za nią pociągnąć. Spojrzał na swoją rękę, potem na rozlewające się po tunice czarne plamy... i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wyszedł z cienia skał i stoi w świetle księżyca.

- Kurwa mać... - Nogi ugięły się pod nim. Osunął się na kolana i runął

naprzód. Zdażył się jeszcze podeprzeć kuszą i spojrzeć na stojącego w cieniu Fista. - Ty skurwysynu - powiedział raczej z pogardą, niż ze złością. -

Znowu ta sama jebana sztuczka...

Padł na brzuch, na kuszę, i znieruchomiał.

Fist nie odpowiedział. Ze ściśniętej spazmatycznie krtani i tak dobyłoby się co najwyżej piskliwe stęknienie. Nie próbował też wstać; nie chciał

wstawać, dopóki nie sprawdzi, czy nie ma złamanej kostki. Odłożył nóż i zdrową ręką masował sobie gardło, aż - niedługo po tym, jak Tanner osunął

się na ziemię - obolała krtan pozwoliła mu w końcu zaczerpnąć potężny haust powietrza. Razem z nim wciągnął do płuc własne wymiociny.

Krztusząc się, dławiąc i kaszląc odczołgał się kawałek po skalnej półce, żeby nie klęczeć w rzygowinach, po czym puścił pawia. Usłyszał, jak roz-bryzguje się na twardej, trawiastej ziemi metr albo dwa niżej. Tak jest najlepiej. Raz, a porządnie.

Ale jaja wcale nie przestały go od tego boleć.

- Ej, braciszku?! - zawołał z góry Orbek. - Pomóc ci?

- Nie ruszaj się - wycharczał przez obolałe gardło. - Nie ruszaj się - po-wtórzył głośniej - i trzymaj skurczybyka na muszce.

- To on jeszcze dycha?

- Dycha.

- Coś mi się nie widzi...

- Rób, co mówię. I nie każ mi krzyczeć, do kurwy nędzy!

Odpychając się jedną zdrową ręką i jedną zdrową nogą, przeczołgał się do miejsca, w którym zgubił noże. Zebrał je i schował do cholew. Zabrał

również swoją tunikę, wytrząsnął z niej kamień i zwiniętą przycisnął do rany: szorstki materiał przyspieszy krzepnięcie, a on miał bardzo niewiele krwi na zbyciu.

270

Cał po cały przeczołgał się do głazu nad zagłębieniem i oparł o niego plecami. Poświęcił chwilę na uspokojenie oddechu i przywołał Samodyscyplinę, żeby stłumić ból, który systematycznie narastał, w miarę jak koń-

czyło się działanie adrenaliny. Spojrzał na Tannera. Tanner na nic nie patrzył. Leżał na brzuchu, a jego szkliste oczy wpatrywały się w niemożliwą dal w głębi góry.

Odkąd dowiedział się, kim jest Tanner, wszystko się zmieniło. Ta wiedza eliminowała przypadek, wykluczała zbieg okoliczności i niczym zakłę-

cie rzucone nad szklaną kulą wyostrzała zmysły. Wszystko stawało się jasne.

Prawie wszystko.

\*\*\*

- W mordę jeża... - mruknął Orbek, zaglądając do zagłębienia z karabinem pod pachą. - Dał ci buziaka?

- Kazałem ci się nie ruszać. Czegoś nie zrozumiałeś, pojebie jeden?

Fist siedział oparty plecami o kamień. Twarz miał pomalowaną krzepnącą krwią z nosa i z rozcięcia na czole. Lewe oko już mu prawie zapuchło, chociaż miało to niewiele wspólnego z ranami czoła i nosa, a znacznie wię-

cej z zabójczym prawym prostym Tannera. Pozdzierane przedramiona upodobniły się do hamburgera, którym ktoś przeciągnął po żwirze. Prawą rękę - już w tej chwili spuchniętą w nadgarstku do dwukrotnie większej objętości - opierał na udach. Lewą ręką obmacywał sobie kostkę przez wyrąbane okuciem kuszy rozcięcie w bucie.

- Chyba powinienem nauczyć się słuchać rozkazów kogoś innego niż ty.

Więc jak, było buzi-buzi?

- Co ty pieprzysz?

- O nim mówię. - Orbek ruchem głowy wskazał ciało Tannera. - Czy dał

ci buzi, zanim cię wydymał?

Wymacał w kostce coś ostrego. Pęknięta kość, może coś gorszego.

- Orbek, klnę się na dowolnego boga, jakiego sobie wybierzesz, że gdybym mógł w tej chwili wstać, zjebałbym to twoje smętne dupsko na samo 271

dno doliny.

- Jędrne dupsko, powiadasz?

- Zamknij dziób. Albo ja ci go zamknę.

- To mi już obiecywałeś ze dwa albo trzy razy. Bardzo boli?

- Chwilę wytrzymam, ale nie za długo. Wyszedłem z wprawy.

Trzeba będzie rozciąć but, a nie miał drugiej pary na zapas. Musiałby chodzić boso - wczesną wiosną, w górach, na takiej wysokości... Przerąba-ne. Zresztą, to i tak optymistyczne założenie, bo przecież na razie nie wiedział, czy w ogóle w najbliższym czasie da radę chodzić. A przecież z optymizmem rozstał się ćwierć wieku temu.

- Jeśli końska wiedźma nie uzdrowi mi kostki, zapowiadają się dwa przesrane miesiące. Jak nie więcej. Masz wodę? Napiłbym się.

- Została na górze, przy koniu.

- Kiepsko... Może będziesz musiał mnie tam zanieść.

- Jak za starych dobrych czasów, co? W Jamie. Wtedy też brakowało nam wody, co?

Orbek podszedł bliżej.

- Muszę przepłukać usta. Kiedy mnie tak tu napierdalał, to ze dwa albo trzy razy trafił w jaja. Solidnie. Rzygałem.

- Za dużo jarzyn, braciszku. To źle robi na żołądek.

- Na dodatek, w drugą stronę wcale nie smakują już tak fajnie.

Orbek otaksował wzrokiem zwłoki Tannera.

- Nie wygląda na twardziela.

- Już nie. - Tanner miał przyzwoite buty. Był wyższy, więc pewnie będą trochę za duże, ale lepsze to, niż odwrotna sytuacja. - Mój ostatni równie dobry przeciwnik był ukochanym synem klasztornego instruktora sztuk walki. Ten tutaj był chyba jeszcze lepszy.

- Poważnie? Czy tylko próbujesz się tłumaczyć, dlaczego tak bardzo skopał ci tyłek?

- Jedno i drugie.

- Kto to w ogóle jest? Lubię wiedzieć, kiedy zabiję jakiegoś sławnego gościa.

272

- Wiem tylko, że wywodzi się z Klasztorów. Ezoteryk, diabelnie dobry.

Spędziłem z nim pół miesiąca i ani przez moment nie nabrałem podejrzeń, nic a nic. Facet nawet na chwilę nie wyszedł z roli. A dzisiaj? Nie używał

prawej ręki, kiedy się wspinał. A weź spójrz na moje oko, to najlepiej dowodzi, że z jego ręką wszystko w porządku. Udawał rannego, bo spodziewał się, że mogę mieć na niego baczenie. Udawał rannego od paru dni.

Wiedział, że po tym go rozpoznam, ale wiedział też, że o wiele lepiej być niedocenianym niż nieznanym. To robota zawodowca. Ten facet to prawdziwy artysta.

- Ktoś od was? Jak Dane albo Blackwood?

Fist pokręcił głową.

- Słyszałbym o nim. Może nawet znałbym go osobiście. Posłuchaj, Orbek, muszę wziąć jego buty.

- Zaraz. Najpierw mi powiedz, jak to możliwe, że taki z niego artysta, a ty mimo to, go pokonałeś.

- Nie ja, tylko ty. Przyznaję. W porządku?

- W porządku, ale będziesz musiał przyznać potem jeszcze raz. Przy świadku.

- Zrobię to. Ocaliłeś mi życie.

- Drugi raz w tym miesiącu, co? Mój rekord. Jak go wywabiłeś z cienia?

- Wpadłbym na to wcześniej, gdyby nie próbował mnie zatłuc na śmierć. - Zirytowany Fist machnięciem ręki wskazał przyszpiloną ciałem Tannera kuszę. - Za bardzo przywiązuje się do swoich narzędzi. To błąd.

- Ładna kusza. Szkoda, że taka pochlastana.

- Nożowi też to nie wyszło na zdrowie.

- No to jak, na co jeszcze czekam, co? Co masz mi powiedzieć? Przecież przeżyłeś, nie?

Fist westchnął.

- Świetny strzał, Orbek.

- Słucham?

- Świetne strzały, powinienem powiedzieć. Naprawdę doskonałe.

- Może być.

273

- Szkoda tylko, że spieprzyłeś zasadzkę.

- Że co?

- Za pierwszym razem nawet go nie drasnąłeś, snajperze za dychę.

- Tak? To spróbuj, cwaniaczku w dupę jechany, trafić na sto jardów w dół zbocza, i to po ciemku. Z prawie pustego pistoletu, kurwa jego mać.

- Nie mówię, że ja bym trafił, tylko że ty nie trafiłeś.

- A ja mówię: wal się!

- Nie przejmuj się tak. Na pewno jest tam gdzieś jakiś kamień, który już nigdy nikogo nie zabije.

- Wiesz co? Wrócę rano, zobaczymy, jak się wtedy będziesz czuł, co? O

ile trafię tu za dnia. Mówiłem ci, że w tych górach żyją koshoi? I że zabiorę tę ładniutką kuszę?

- Na twoim miejscu bym tego nie robił. Zabije cię, jak się do niego zbliżysz.

- He?

- Nie żartuję.

- On żyje? Wygląda jak trup. Śmierdzi jak trup.

- Jest mistrzem udawania.

Orbek przewrócił oczami.

- Znowu jakieś klasztorne sranie w banię?

- Z tego samego powodu nie krwawi przesadnie. Dawno by mnie zabił, gdyby nie ty; wie, że jak tylko się ruszy, strzelisz.

- Może i tak strzelę? Na wszelki wypadek...

- Spróbujmy najpierw porozmawiać.

- Namówisz go, żeby zmartwychwstał?

- Być może. - Fist przekrzywił głowę. - Jak się tak w to wgryźć, bracie w-dupie-mam-twoje-imię, chodzi o dziewczynę. Mam rację?

Po dziesięciu sekundach absolutnej ciszy i bezruchu, kiedy zaczynał już powątpiewać, czy aby na pewno się nie pomylił, Tanner westchnął przecią-

gle i mruknął:

- Kurwa mać...

**DZIWIY, DZIWIY 2**

**CHODZI O DZIEWCZYNE**

**PIEPRZE TO MIASTO. SPALIŁBYM CAŁY ŚWIAT, ŻEBY JĄ OCALIĆ.**

- CAINE (PRAC. HARI MICHAELSON)

*Z MIŁOŚCI DO PALLAS RIL*

- Jeżeli będziesz się poruszał bardzo, bardzo powoli, Orbek raczej cię nie zastrzeli - powiedział Jonathan Fist do umierającego zabójcy. - Chociaż to pewnie niewygodne.

Bardzo, bardzo powoli Tanner przeturlał się na bok, odsłaniając kuszę.

- Wybaczcie, że nie wstanę. - Prząd jego tuniki lśnił od krwi, która w świetle księżyca była całkiem czarna. - Co chcecie wiedzieć, skurwysyny?

Orbek wziął go na cel.

- Może na początek podaj nam jeden powód, dla którego nie mieliby-

śmy cię torturować, aż się znudzimy, a potem palnąć ci w łeb.

- Rób, jak chcesz. - Głos Tannera był tak samo zimny jak kamień, na którym leżał, Miał płaską, miejską melodię mieszkańca Siedmiu Studni. - I tak nigdzie się nie wybieram.

275

Fist westchnął.

- Wołałem, kiedy udawałeś wieśniaka.

- Nie mogę się doczekać, kiedy mi powiesz, co jeszcze ci się we mnie podoba.

- O, tak lepiej.

- Na początek powiedz, jak się nazywasz - zasugerował Orbek. - I dlaczego chciałeś zabić mojego młodszego brata.

Tanner uniósł głowę i zerknął pytająco na Fista.

- Powiedział „brata”?

- To długa historia.

- Z pewnością.

Młody ogrillo podszedł bliżej. Obnażył kły.

- Imię, chujku.

- Orbek, nie za blisko...

- Bo co? Wykrwawi się na mnie?

- No tak, Orbek, bo ja to się przecież, kurwa, nie znam. Na niczym się nie znam, a już najmniej na walce wręcz! Chcesz się wpierdolić prosto w ręce faceta, który omal nie pobił mnie na śmierć uzbrojony tylko w niena-bitą kuszę i paskudny charakter? Proszę cię bardzo, podstaw mu to swoje szare dupsko. A ja sobie tu posiedzę z moim złamanym nadgarstkiem i kostką i będę cię dopingował, aż mi oba ślepia w pizdu zapuchną. Pasuje ci to?

Orbek spochmurniał, ale się cofnął o krok. Potem o drugi.

- Stąd też trafię.

- I ze stu jardów też mogłeś, więc wypierdalaj tam w podskokach. Serio mówię. Spadaj.

Mięśnie nabrzmiały na karku Orbeka.

- Najpierw niech się przedstawi.

- Wiecie co? Leżałem tak i się zastanawiałem, po co ogrillowi noże -

odezwał się Tanner. - To mi się wydawało bez sensu. Ale teraz widzę, że lubisz długi rękaw, co właściwie wyjaśnia...

Orbek uniósł karabin do ramienia.

- Powiedz jeszcze jedno słowo, które nie będzie twoim imieniem...

- Ja pierdolę, co z wami jest?! - nie wytrzymał Fist. - Nie widzicie, że chodzi wam obu o to samo?

Obaj spojrzeli na niego. Był zbyt zmęczony, żeby zmusić się do żartu, w dodatku ból zaczynał pomalutku przesączać się przez mur Samodyscypliny.

- On cię chce zastrzelić, a ty chcesz, żeby to zrobił. Więc mówię wam obu: wyluzujcie i dajcie mi pracować.

- Co będę z tego miał? - spytał sceptycznie Tanner.

- Chcesz się dowiedzieć? To przestań lecieć w chuja.

- Zawsze tak ostro pogrywasz?

- Tylko z tobą. I tylko dlatego, że się wykrwawiasz. Orbek? Wypierdalaj na spacer. Jak spotkasz końską wiedźmę, powiedz jej, gdzie jesteśmy.

- Spoko. Powiem koniowi.

- Koniowi?

- Nie wiedziałeś? Jak się coś powie koniowi ze stada, ona od razu o tym wie.

- No proszę...

- Bądź ostrożny, braciszku.

Olbrzymi ogrillo wycofał się w mrok, cały czas trzymając Tannera na muszce.

Fist odprowadził go wzrokiem, po czym skinął na leżącego zabójcę.

- Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale jesteś najlepszy ze wszystkich, o których słyszałem. Nie jesteś po prostu lepszy ode mnie; jesteś lepszy, niż ludziom się wydaje, że ja jestem. Naprawdę chciałbym wiedzieć, z kim miałem przyjemność.

Prychnięcie Tannera zabrzmiało jak gardłowy kaszel.

- Tylko miernoty stają się sławne. - Skinął ręką w przeproszającym ge-

ście. - Bez urazy.

Fist zbył go machnięciem ręki.

- Posłuchaj, nie obchodzi mnie twoje prawdziwe imię...

- Jestem Buyay Vory, lord Hakciwsmak, hrabia Bolec herbu Stolec, jedenasty markiz Jebałciępies.

- Co ty, gościu, masz dziesięć lat?

- Jak nadgarstek?

- Złamany. Jak dziura w kłacie?

- Wal się. Jak to u nas mówią, Samodyscyplina rządzi.

Fist pokiwał głową.

- Powtarzam: nie interesuje mnie twoje imię ani nazwa twojego opactwa. Nie zamierzam cię nawet pytać, jakie masz zadanie, bo historyjkę o zemście za śmierć przyjaciela mamy już z głowy. Następna byłaby pewnie o łowcy nagród.

- Młody Faltane może ci być nie wiadomo jak wdzięczny za pomoc w trudnych czasach, ale jakkolwiek by na to patrzeć, załatwiłeś jego staruszka.

- Idźmy dalej: teraz usłyszę, że Rada Braci ogłosiła polowanie na *Aktirich*, z przykazaniem „strzelać bez ostrzeżenia”.

- Bardzo uprzejme z twojej strony, że wyręczyłeś mnie w sprzątnięciu Dane'a i Blackwooda. Jak cię załatwię, zgarnę tysiaka i za ciebie.

- Trzy poziomy bajeczki: standard. Zresztą, pewnie masz jeszcze sześć kolejnych. Nie interesują mnie. Chcę usłyszeć coś na kształt prawdy.

- Powodzenia.

- Chodzi o dziewczynę. Końską wiedźmę. To ty zmontowałeś ekipę.

Oddałeś Dane'owi dowództwo, bo w ten sposób on i Blackwood mieli zaję-

cie i nie pętali ci się pod nogami.

Tanner zamknął oczy.

- Wiesz, że ci nie powiem.

- Zagarnięcie wiedźmiego stada to też był twój pomysł, chociaż założę się, że tak to ustawiłeś, żeby hrabiemu się wydawało, że sam na niego wpadł; ale przecież obaj wiemy, że staruszek nie był geniuszem zła. A ty zyskałeś pretekst do sprowadzenia na wzgórze bandy twardzieli, którzy 278

mieli cię chronić podczas polowania na końską wiedźmę.

- W jednym ma rację - przyznał Tanner. - Strasznie dużo gadasz.

- Legenda o końskiej wiedźmie ma swoje źródła gdzieś w okolicy Faltane; im dalej na południe się posuwałem, tym więcej ludzi o niej słyszało.

Rana barku ci posłużyła: zostałeś zwolniony od mokrej roboty i miałeś masę czasu, żeby rozmawiać z miejscowymi. O wiedźmie.

- Widzę, że na nią lecisz. No dobrze, ja wiem, że po prostu lubię porąbane dziewczyny, ale ty? Od czego ci staje?

- Na przełęcz wcale nie popełniłeś błędu: chciałeś, żebym się zorientował, że ktoś mnie śledzi. Czekałeś, aż zбочę z trasy i udam się do miejsca, gdzie ja będę miał wsparcie, a ty nie. Domyślałeś się, że będzie to gdzieś w pobliżu wiedźmiego stada. Gdybyś pozbył się mnie i mojego snajpera, droga do wiedźmy stałaby otworem.

- Uroczą historią.

- I nieźle trzyma się kupy, zwłaszcza jak na kogoś, komu dopiero co zafundowałeś festiwal ciosów tępych narzędziem i urazów głowy. Zauważy-

łeś pewnie, że nie musiałem nawet zadawać ci pytań, na które odmówiłbyś odpowiedzi?

- Bardzo ładnie.

- Wiem, że nie mogę cię zmusić do wyjawienia żadnych informacji.

Zmierzam jednak do pytania. Wiem, że skłamiesz w odpowiedzi, ale kiedy będziesz kombinował, jak skłamać, musisz o czymś pamiętać.

- Wiesz co? Na wschód od Bożych Zębów nie ma chyba drugiego takiego gadatliwego zakapiora jak ty.

- Przeszedłem klasztorny trening, tak jak ty. Szkoliłem się na Ezoteryka i w końcu nim zostałem, tak jak ty. Przysięgałem, uczciwie i bez zastrze-

żeń, służyć Przyszłości Rodzaju Ludzkiego. Tak jak ty.

- Z tą różnicą, że ja nie złamałem przysięgi.

- Cóż, gdybym był taki porządny jak ty, nie rozmawialibyśmy teraz.

- To nie jest żadna rozmowa! To pieprzenie kotka za pomocą młotka, z rzadka okraszone sardonycznym komentarzem!

279

- Naprawdę nie dociera do ciebie, że możemy grać w jednej drużynie?

Tanner wybałuszył oczy. Mięśnie żuchwy zagrały mu pod skórą, zmarszczki wokół oczu napięły się... Fist uznał, że czas na zabójczy cios, bo Tanner lada chwila może się zdekoncentrować. A jeśli Samodyscyplina zawiedzie, wykrwawi się w kilkanaście sekund.

- Jeżeli jesteśmy wrogami... To proste. Klasztory przyślą następnych. Ja ich zabiję. Przyślą kolejnych. Ich również zabiję, a potem zabiję tych, któ-

rzy ich przysłali. Jeżeli będę musiał, wyrnę w pień całą tę jebaną Radę Braci, spalę wszystkie pierdolone klasztory i posypię pogorzelniska solą.

Spójrz mi w oczy i powiedz, że tylko żartuję.

Zamiast spojrzeć mu w oczy, Tanner odwrócił wzrok i wyszeptał w ciemność:

- Klasztory są... świadome... faktów towarzyszących Prawdziwemu Wniebowstąpieniu Ma'elKotha.

- Jeżeli stoimy po przeciwnych stronach barykady, nic nie tracisz. A je-

śli po tej samej, zyskujesz wszystko.

- Żebym szczeł... To najdziwniejsza metoda przesłuchiwania, o jakiej słyszałem.

- Wiem już, kogo ścigacie. Chcę się dowiedzieć dlaczego. Co w niej takiego jest, że Klasztory chcą jej śmierci?

- To... - Tanner podrapał się po twarzy. Drugą rękę przycisnął do dwóch ziejących w piersi dziur. - Chcą ją pojmać, nie zabić. Wszystkie strzały i bełty są naładowane Powstrzymaniem. Nawet ten, którym strzeliłem do ciebie. Nie mają zabijać.

- Pewnie dlatego prawie przestreliliś mi serce na wylot.

- Wystraszyłeś mnie.

- A następnie postanowiłeś rozłupać mi łeb kuszą.

- Postaw się w mojej sytuacji. Próbuję podkraść się do mojego dobrego kumpla Jonniego Fista, żeby go uśpić, na chwilę, nie na długo: mam w tym czasie tylko porwać dziewczynę i zwiać. A tu nagle się błyska, grzmi i coś trafia w kamień tak blisko mojej twarzy, że do tej pory mam we włosach pełno granitowych odłamków, a mój kumpel Jonnie opowiada mi zza 280

kamienia, że wcale nie jest żadnym Jonniem, tylko najstraszliwszym skurwysynem w całej pisanej historii straszliwych skurwysynów, i że zamierza mnie zabić. Tylko że najpierw chce mi zrobić krzywdę, a potem jeszcze zrobić krzywdę mojej rodzinie. Co ty byś zrobił na moim miejscu?

- To co ty: kłamałbym, aż by mi jaja uschły. Porwać dziewczynę i zwiać... dokąd?

- Gdzieś, gdzie jest ciemno i cicho. Tak przypuszczam.

- Prędzej by umarła.

- Wiem. - Tanner usiłował ułożyć się wygodniej, ale chyba bez powodzenia. - Już dwa razy ją zabiłem.

Fist długo się zastanawiał, co by tu powiedzieć mądrzejszego niż narzucające się „Aha”, lecz wynik tych rozmyślań był równie niezadowolający.

- Dlatego tym razem miało być tylko Powstrzymanie, rozumiesz?

- Jak to działa? Ona zmartwychwstaje?

- Nie, pojawia się nowa. Na zastępstwo. Mamy szczątki pięciu poprzednich, bodajże.

- Pięciu...

- Pięć potwierdzonych śmierci. Ze dwa tuziny niepotwierdzonych.

Wszystko wskazuje na to, że istnieje tylko jedna na raz, ale jakoś się nie kończą.

- Nie ogarniam tego.

- Ja też nie. Ale to nie moja broszka.

Fist podrapał się po czole i otworzył zaschniętą ranę. Kurewsko bolesną ranę. A Samodyscyplina za cholerę nie pomagała.

- Czym ona właściwie jest?

- Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć.

Fist pokiwał głową, która rozbolała go od tego jeszcze bardziej.

- Nie próbowaliście zapytać?

Tanner wytrzeszczył oczy.

Fist wzruszył ramionami.

- Jeśli wolisz, możemy sobie jeszcze pozgadywać, a ty się spokojnie wykrwawisz.

281

- No... kiedy tak stawiasz sprawę... - Teraz to Tanner wzruszył ramionami. - Jeden gość w Radzie Braci, Damon z Urwiska Jhanthogen, forsuje taką popieprzoną teorię... Ale przynajmniej ma jakąś teorię...

- Znam go. I nie wygląda mi na miłośnika popieprzonych teorii. To chyba najnormalniejszy facet,

jakiego w życiu spotkałem.

- Jego zdaniem jest to przypadek spontanicznej teogonii.

- Że co?!

- Spontaniczna teogonia, czyli...

- Wiem, co to znaczy, do diabła! Ale on tak poważnie?

- Ona nie jest zwykłym człowiekiem.

- Boga też nie przypomina. - Fist usiłował wzruszyć ramionami. Zabolało. - Wiem, co mówię.

- Tak słyszałem. Ale faktem jest, że dzieją się wokół niej dziwne rzeczy. Wokół nich wszystkich.

Wokół nich wszystkich. Fist oparł potylicę o kamień.

- To jest ich więcej?

- Na to wygląda.

- Końskich więdźm?

- Nie, więcej takich niezwykłych typków... No wiesz, tu jakiś Duch Wiosny, tam Dziki Gon... Gdzie się obrócisz, dziwy, panie, dziwy niestwo-rzone.

- Próbowaliście szukać jakiejś korelacji? Zbieżności czasowej?

Tanner również spróbował wzruszyć ramionami i - sądząc po jego minie

- również popełnił błąd.

- To też nie moja sprawa. Ale słyszałem, że legenda o końskiej więdź-

mie pochodzi z czasów przed Deomachią. Podobno mamy taki anonimowy lipkeński przekład zachodniej wersji *Danellari Tffar*, w którym stwierdza się, że była na świecie wcześniej od elfów! Czyli, ile to jest, trzydzieści tysięcy lat?

Fist spochmurniał.

- Była wtedy człowiekiem?

282

- A teraz jest?

- Wiesz, o co mi chodzi. Wtedy w tym świecie w ogóle nie było ludzi.

- Chcesz się pospierać z elficką sagą sprzed dziesięciu tysięcy lat? Proszę bardzo, mogę ci nawet powiedzieć, gdzie jej szukać.

- A co się stało z zasranym Porozumieniem z Pirichanthe?

- Ty się stałeś. Tak w każdym razie uważa Damon. Ty i twój kumpel Ma'elKoth.

- Bzdura. Ktoś to próbował zweryfikować?

- Podobno Damon kazał Inkwizytorom i Lektorom na całym świecie przekopać się w ciągu miesiąca przez wszystkie Skarbce. Niecałe trzy lata temu. Mówi ci to coś, tatuśku?

Fist przymknął powieki.

- Niech mnie na wylot wydymają...

- Zaskoczony? Serio? Musiałeś chyba przynajmniej coś podejrzewać; sam przecież podsunąłeś Ma'elKothowi materialny aspekt.

- Miałem chyba nadzieję, że w tym wypadku Porozumienie nie obowiązuje.

- Kiedy nadzieja wali się w gruzy rzeczywistości, ludzie dostają po dupie.

- Co prawda, to prawda. - Pokręcił głową. Westchnął raz i drugi. - Gdybyś miesiąc temu powiedział mi, co naprawdę knujesz, nie musiałbyś tu teraz umierać.

- Tak samo nie umierałbym, gdybyś ty miesiąc temu powiedział mi, kim naprawdę jesteś. Bo zamiast mnie przybyłoby dziesięć albo dwanaście oddziałów szturmowych Ezoteryków i jakiś smok. Albo pięć smoków.

- Daj spokój, rumienie się.

Tanner spojrzał badawczo na Fista i przymrużył powieki, jakby nie do końca wierzył własnym oczom.

- Ty nie wiesz, prawda? Naprawdę nie wiesz.

- Więc ci wszyscy w dupę jebani tak-jakby-w-pewnym-sensie-półbogowie, to znaczy, końska wiedźma i chuj ich wie, kto jeszcze... Coś 283

ich łączy? Poza tym, że nie mogą istnieć?

- Powinieneś sam zadać sobie to pytanie.

- Czyżby? A po kiego wała?

- Bez szczególnego powodu. Może poza tym, że jesteś jednym z nich.

\*\*\*

Oparty plecami o zimny, wilgotny od nocy kamień czekał na końską wiedźmę.

Na siedząco odsunął się od Tannera w górę zbocza. Nie było sensu ryzykować. Nieprzytomny zabójca leżał tam, gdzie padł. Oddychał szybko i płytko, oczy uciekły mu w głąb głowy i w blasku księżycy łyskały tylko białka. Fist był prawie pewien, że tym razem Tanner nie udaje - ale nie chciał się pomylić.

Czekając, próbował poukładać sobie wszystko w głowie, ale nie potrafił. Rozwój wydarzeń przekroczył jego najśmielsze wyobrażenia. Czegoś takiego nawet we śnie by nie wymyślił. Gubił się w tym wszystkim, w tych

„co” i „dlaczego”, „kiedy”, „jak”. Natomiast pytanie „kto”...

Zagrzechotały kamienie, gdzieś bardzo blisko, i nagle ktoś znalazł się tuż przy nim. Błyskawicznie, szybciej niż myśl, chwycił za rękę i szarpnął, nie bacząc na skowyt strzaskanego nadgarstka. Głowa intruza przyciśnięta do skały, nóż powstrzymany ułamek cala przed wypatroszeniem tułowia... i upuszczony na ziemię.

- Co ty robisz, do cholery?! Mogłem cię zabić! - warknął. - Powiedz coś, kiedy się tak skradasz. Cokolwiek. Na przykład: „Cześć, ośle, to ja”.

- Cześć, ośle - powiedziała końska wiedźma. - To ja.

Osunął się na kamienie.

- Jezu Chryste miłosierny...

Nóż leżał tam, gdzie upadł, jego ostrze lśniło słabo w świetle księżycy.

Nie mógł go podnieść. Nie mógł nawet na niego patrzeć. Na nią zresztą też.

- Orbek mówi, że jesteś na mnie zła.

284

- Bo jestem.

- I w ten sposób chcesz mnie ukarać? Zmuszając mnie, żebym cię zabił?

- Nie przychodzę po to, żeby cię karać, ośle.

- Mówisz to w taki sposób, jakby to było moje imię.

- A nie jest? - W przefiltrowanej przez chmury księżycowej poświacie jej wiedźmie oko mieniło się jak śnieżny opał. - Może chcesz, żeby było?

Pokręcił głową, trzymając się za obolały nadgarstek.

- Przez cały czas ciągle myślałem o tym, jak bardzo chcę cię znów zobaczyć, a teraz nawet nie pamiętam dlaczego.

- Mogłabym ci powiedzieć...

- Ale bym ci nie uwierzył. Taaa, pamiętam. Tylko że tym razem jest inaczej. Dokładnie odwrotnie.

- Zmierzałam do tego, że mogłabym ci powiedzieć - mruknęła - ale ty wolisz nie wiedzieć.

Otworzył usta, żeby jej przypomnieć, najdobitniej jak umiał, jaka potrafi być niepospolicie wkurwiająca, lecz w tej samej chwili chmury się roz-pierzchły i zobaczył jej uśmiech, jej chytry, ukradkowy uśmieszek, mówią-

cy „sam zobacz, jak świetnie się razem bawimy”, i coś się w nim wreszcie odblokowało, puścił jakiś zawór, tylko troszeczkę, odrobinę, ale to wystarczyło, żeby przepelniający go wieczny, chory, czarny gniew zaczął ciurkać przez tę szczelinę jakby mógł po prostu cały wyciec i zniknąć.

Jakby wcale nie był taki wieczny.

A ponieważ jego gniew nigdy przedtem się tak nie zachowywał, złapał

się na tym, że nie bardzo wie, co o tym myśleć. Poza tym, że prawie na pewno nie było to nic złego.

Na tym kończyła się jego zdolność do refleksji, gdy księżyc odbijał się w oczach końskiej wiedźmy. Może później jeszcze pogłókuje. Kiedy nie będzie na nią patrzył.

- No dobrze... Ehm... - Zakaszłał. - Cześć.

- Cześć.

- Miło cię widzieć.

285

- Dzięki. Powiedziałabym ci coś miłego, ale wciąż jestem na ciebie zła.

- Rozumiem. Ehm, a gdybyś... gdybyś nie była na mnie zła, no nie, to może... mogłabyś mi zdradzić, co miłego byś mi wtedy powiedziała, co?

Rozumiesz, gdybyś się nie złościła.

- Powiedziałabym, że odkąd się poznaliśmy, każdy dzień bez ciebie jest jak tysiąc lat, a każda noc

bez ciebie jest jak wieczność.

Rozdziawił usta i długo nie mógł ich zamknąć - przynajmniej dopóki nie przyszło mu do głowy, że za chwilę zacznie się ślinić.

- Aha. Mhm. No tak.

- Jeśli wolisz nie wiedzieć...

- Tak, tak, wiem. Powinienem to sobie chyba zapisać.

- Nie bój się. Początki zawsze są trudne.

- Ty jakoś sobie radzisz.

- Dla mnie to nie jest początek. Dla nas również nie. Tylko dla ciebie.

- Ja... ehm... ehm... ja...

- Ciii. - Położyła mu palec wskazujący na ustach. - Porozmawiamy później. Najpierw praca.

- Praca? Co masz na myśli, końskie czary-mary? Czy jakieś inne cholerstwo?

Dotknęła swojej twarzy dwoma palcami, kładąc je sobie pod oczy. Zrozumiał.

Wybaczenie. Przyzwolenie.

- Nadal tego nie łapię.

Podąła mu bukłak, który niosła przerzucony przez ramię.

- Wino - wyjaśniła. - Przepłucz usta.

Stłumił niespodziewany impuls, który kazał mu powiedzieć, że ją kocha. Nie był pewien, czy to prawda.

- Ehm, posłuchaj... Jak już nie będziesz na mnie zła...

Przeszła obok niego, nie zaszczyciwszy go następnym spojrzeniem.

- Dam ci znać.

286

Odkręcił bukłak i wycisnął sobie wino do ust. Wyrazisty, żywiczny płyn obudził niewiarygodną liczbę rozcięć i rozdarć w ustach, które nagle zapiekły go wściekle. Kurewsko cudowne uczucie.

Wypluł, przepłukał, jeszcze raz wypluł, a potem przepłukiwał już bez wypluwania, bo prawie od dziesięciu dni nie miał w ustach nic mocniejszego i zasłużył na drinka.

Końska wiedźma wyjęła zza pazuchy pół garści zwiędłych, jakby roz-moczonych liści. W jej drugiej dłoni pojawił się woreczek z jakimś proszkiem. Wytrząsnęła pokaźną ilość proszku na liście, schowała woreczek do tej samej kieszeni, z której przedtem nie wiadomo jak i kiedy go wyjęła (znajdującej się pewnie w pobliżu pochew z nożami), i uformowała w dłoniach ciemną kleistą kulkę. Kiedy z kulki zaczął się dobywać cuchnący dym, wyciągnęła rękę najwyżej jak tylko mogła i przykleiła ją do skały.

- Nie patrz na nią - ostrzegła.

Ostonił oczy zdrową ręką. Przylepiona do skały klucha zaskwierczała i buchnęła białym magnezjowym ogniem, który i tak poraził oczy Fista.

Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył końską wiedźmę patrzącą na niego i Tannera, strzępy ich ubrań, zdezelowaną kuszę i masę przelanej krwi.

- Teraz mi wierzysz? - zapytała.

- Z czym?

- Że łatwiej jest dać im mnie zabić?

W ciągu miesiąca, jaki upłynął od ich poprzedniego spotkania, regularnie sobie obiecywał, że jeśli jeszcze kiedyś ją zobaczy, zastanowi się sekundę albo dwie za każdym razem, gdy przyjdzie mu do głowy otworzyć tę swoją tępą jadaczkę.

- Wierzę, że tak właśnie uważasz - przytaknął ostrożnie. - I chyba cię rozumiem. Ale się z tobą nie zgadzam. Stanowczo. I prawdopodobnie nigdy się nie zgodzę.

- Wiem - przyznała z powagą. - Czuję to samo w stosunku do ciebie.

Dlatego byłam na ciebie zła.

- Byłaś? Czy właśnie dajesz mi znać, że już nie jesteś?

- Nie, nadal jestem, ale teraz z innego powodu. - Przykucnęła przy nim i 287

zaczęła oglądać jego rany. - Chcę, żebyś zaczął dbać o siebie.

- Postaram się. Naprawdę.

- Wierzę ci. - Dotknęła rozcięcia na czole, które zawdzięczał kolbie kuszy. Zmarszczyła brwi i pokiwała głową. - Zmieniłeś sposób mówienia.

- To przez kobietę, którą poznałem.

Jej palce wbiły się w opuchnięty nadgarstek z taką siłą, że krople potu wystąpiły mu na twarz.

- Trzeba nastawić kość. Będzie bolało.

- W porządku.

- Mogę ci dać coś, co pomoże. Ból nie ustanie, ale nie będzie ci przeszkadzał.

- Zrobię się od tego senny?

- Zwykle tak to działa.

- W takim razie nie teraz.

- Ugh... - Tanner zakaszłał jak nałogowy palacz budzący się ze snu. -

Czy byłoby z mojej strony bardzo niegrzeczne, gdybym wytknął, że on jeszcze nie umiera, a ja owszem?

- Bynajmniej. - Końska wiedźma nawet nie spojrzała w jego stronę. -

Myślałeś, że nie wiem? Właściwie to nawet rozumiem, jak mogłeś popełnić taki błąd. Założyłeś, że nie wiem, ale się przejmuję. A w rzeczywistości jest odwrotnie.

- Jak zawsze urocza.

- Nie muszę być miła dla ludzi, którzy mnie mordują.

- No, jeśli tak stawiasz sprawę... - Tanner westchnął i znów się rozkaszał. - To ja jeszcze sobie pośpię. Obudź mnie albo pogrzeb. Twoja decyzja.

Stała przed Fistem z lekko przekrzywioną głową, żeby uchwycić go szaro-błękitnym lodowym okiem.

- No co? - zdziwił się Fist.

- Przeżyje?

- Ty mi powiedz.

- Nie. Ty zdecyduj.

288

Teraz zrozumiał.

- Oczywiście. Przepraszam. Ciężka noc, rozumiesz...

- Rozumiem. Mimo to, musisz podjąć decyzję.

- Dobrze. Już, moment. - Zamknął oczy. - Chciał się dowiedzieć, kim jesteś. Ludzie, dla których pracuje, chcą to wiedzieć.

- Jestem końską wiedźmą.

- Wydaje mi się - dodał, cedząc słowa - że pytanie brzmi: dlaczego w ogóle istnieje końska wiedźma?

- Nie istnieje. My wszyscy tylko udajemy, że istnieje.

- W porządku...

- Dałeś się zwieść nazwom. Jak większość ludzi.

- Ehm.,.

- Nazywają mnie końską wiedźmą - tłumaczyła cierpliwie - ponieważ wydają im się dziwna. Wiedźmia. No i przebywam wśród koni. Przebywam wśród nich dlatego, że je lubię, a one lubią mnie. Rozumiemy się nawzajem. Dzielimy się mocą. Większość koni na mnie zasługuje. Większość ludzi nie.

- Wydaje mi się, że idea wiedźmy, która zajmuje się wybaczeniem i przyzwalaniem, nie trzyma się kupy.

- Niektóre rzeczy trudno wyjaśnić, ponieważ są skomplikowane. Inne jeszcze trudniej, ponieważ są proste. Wybaczenie i przyzwolenie to tylko słowa, pojęcia abstrakcyjne. A ja robię coś bardzo konkretnego. Ściśle określonego.

- To może i mnie spróbowałabyś wyjaśnić, co? Najlepiej jakimiś pro-stymi słowami...

- Mogę używać słów, kiedy to konieczne. A ty chyba naprawdę ich potrzebujesz.

Lodowe oko wiedźmy otworzyło się przed nim niczym kwiat. W jego głębi dostrzegł zgrozę, która nie mieściła mu się w głowie.

- Wszystko, co żyje, rozumie ideę kary, bólu wynikającego z czynienia zła. Rodzimy się z tą wiedzą. Po to właśnie jest ból. Klaps w rękę za pod-kradanie cukru. Poparzenie za dotknięcie gorącego żelazka. Policzek za 289

niewłaściwe podejście do kobiety, albo ciężkie lanie za podejście do niewłaściwej kobiety. Ale gdy spojrzeć głębiej, tam, gdzie spojrzeć nie mo-

żemy, okazuje się, że kara jest źródłem każdego bólu. Wszelkiego bólu.

Kiedy więc jesteśmy niewoleni, biczowani, gwałceni, okaleczani, torturo-wani i mordowani... to w mrocznej głębi naszej istoty wiemy, że na to za-służyliśmy. Bo gdybyśmy nie byli źli, nie przytrafiałyby się nam złe rzeczy.

- Ale to nie... No bo człowiek dorasta i któregoś dnia stwierdza, że to nie takie...

- Nie wierzysz w to.

- Ha... Może i tak, niektórzy nie potrafią tak po prostu zapomnieć o...

- Ty mnie nie słuchasz. - Jej twarz pociemniała i przybrała dziki wyraz, a w oczach zapłonął żar wściekłości, która byłaby chyba zdolna spalić go razem z całą górą za jego plecami. - Powiedziałam, że to ty nie wierzysz.

Zmartwiał.

Przez długą chwilę mógł co najwyżej zamrugać powiekami.

I to powoli.

- Którego słowa nie zrozumiałeś? „Konkretne”? Czy „określone”?

- Nie - odparł otępiały. Odrętwiały. - Nie, ja to rozumiem, tylko że...

Wszystkie moje skurwysyństwa...

- ...nie mają ze mną nic wspólnego - dokończyła z naciskiem. - Wiem, że nazywasz siebie złym człowiekiem. Wiem, że krzywdziłeś ludzi, którzy nie stanowili dla ciebie zagrożenia. Wiem, że pozostawiłeś po sobie ślady potworności, które niczym blizny szpecą oblicze tego świata. Wiem znacznie więcej i nic mnie to nie obchodzi. To wszystko nie ma ze mną nic wspólnego. Ja tego nie robię.

- Może gdybyś zaczęła od wyjaśnienia mi, co robisz, zamiast tłumaczyć, czego nie robisz...

- Moim dziełem jest obłąd twojego ojca - odparła z powagą. - Moim dziełem jest śmierć twojej matki. Moim dziełem jest ból, strach i konieczność matkowania własnemu rodzicowi, kiedy sam jeszcze jesteś dzieckiem.

- Ale skąd... Jakim cudem...

290

Położyła mu rękę na przedramieniu. Jej dotyk, jednocześnie ciepły i zimny, rozplatał w jego głowie sploty wieczności.

- To, jak się nazywasz, jak nazywają cię inni, to, co zrobiłeś... To wszystko nic dla mnie nie znaczy. Ja cię znam. Ty mnie poznałeś miesiąc temu, ale ja cię znam od czasu narodzin świata. Jesteś wszystkim, czym miałeś być; wszystko, czym miałeś być, jest tobą. Znam cię całego i nie ma w tobie nic, czego bym nie kochała.

Otchłanna głębia wieczności była zbyt czarna, żeby odważył się w nią spojrzeć. Wzdrygnął się, jakby

wiedźma go poparzyła.

- Nie rób... nie rób tak...

Zamiast go puścić, przyciągnęła go bliżej, aż stała się wszystkim, co widział, wszystkim, co słyszał, czego dotykał, czego smak i zapach czuł.

Nie powiedziała tego, nic nie powiedziała, ale nie musiała.

*dziecko*

*wybaczam ci*

Tego było za dużo. Zawsze będzie za dużo.

- Nie możesz tego zrobić... Nie zasługuję...

- To, na co zasługujesz, nie ma ze mną nic wspólnego.

- No to chyba mam fart... - Cofnął rękę i aż stęknął z bólu; zdążył już zapomnieć, że ma złamany nadgarstek. Drugą ręką przetarł oczy. - Widzisz, jestem... - Musiał odkaszlnąć, bo głos mu się załamał. - Jestem stanowczo za stary na sentymenty, czułe słówka, kwiatuszki, serduszka i tym podobne pierdoły.

- Musimy znów rozmawiać o naszym wieku?

- Nie. Naprawdę nie. Wszystko pamiętam.

- Mówię ci to samo, co powiedziałam Orbekowi. To samo, co powiem temu umierającemu zabójcy. To samo, co mówię wszystkim pokaleczonym koniom, które trafiają do wiedźmiego stada. - Nachyliła się, dotknęła jego ucha wargami i wyszeptała: - Nie bój się, dziecko. Bądź, kim jesteś.

Spojrzał na Tannera, który leżał nieruchomo. Oczy miał zamknięte, oddech rwany i płytki.

„Poza tym, że jesteś jednym z nich”, powiedział wtedy.

291

Końska wiedźma się uśmiechnęła.

- To nic nie szkodzi, wiesz?

- Niby co?

- Świat wcale nie każe nam zabijać przyjaciół.

- Przyjaciel, akurat... - Spojrzał na nią wilkiem. - Miałem kiedyś przyjaciela... Nazywał się Stalton i nie zgodziłby się z tobą.

Tylko wzruszyła ramionami w odpowiedzi. Znów zerknął na Tannera.

Trudno było powiedzieć, czy zabójca w ogóle jeszcze żyje, nie mówiąc już o tym, czy jest przytomny.

- Pieprzyć świat. Nie potrzebuję usprawiedliwienia, żeby go zabić. Tak jak nie potrzebuję usprawiedliwienia, żeby go oszczędzić.

- Właśnie to próbuję ci pomóc zrozumieć.

Odwrócił się do niej, marszcząc brwi.

- Przyzwolenie...

- To tylko słowo.

Zamrugał. Zamrugał drugi raz i kiedy tym razem otworzył oczy, dokładnie zrozumiał, co miała na myśli.

- Tanner? Powiedz swojemu opatowi... nie, powiedz Damonowi, najlepiej osobiście, że mam końską wiedźmę.

- Słucham?

Czyli jednak nie był nieprzytomny. I nasłuchiwał. A to ci zaskoczenie.

- Powiedz mu, że ją mam. Powiedz mu, że zrelacjonuję mu wszystko, czego się dowiem. I powiedz mu jeszcze, że nie potrzebuję jego pomocy.

Niech się wypcha.

- Ehm...

- Powiedz Radzie Braci, że będziemy mieli pokój, jeśli dadzą końskiej wiedźmie spokój. Jeżeli tego nie zrobią, będziemy mieli coś innego.

- To rozumiem. Wszyscy wiedzą, co to jest dla ciebie „coś innego”.

- Powiedz im, że końska wiedźma należy do rodziny. Mojej rodziny.

Będą wiedzieli, co to znaczy.

- Nawet ja rozumiem. Mniej więcej.

292

- Mam nadzieję, że właściwie cię oceniłem i jesteś zbyt cwany, żeby znów mieszać się do moich spraw.

- To znaczy? Myślałem, że do trzech razy sztuka...

- Za trzecim razem będzie grób, Tanner. Zapewniam cię.

- Nie śmiałybym wątpić. Słuchaj, nie wiem, czy moja wdzięczność coś dla ciebie znaczy...

- Przestań.

- Jasne. Nie ma sprawy. - Tanner odprężył się i przymknął oczy. - Rodzina, powiadasz... od kiedy?

On spojrzał na nią. Ona spojrzała na niego.

- Wygląda na to, że od zawsze - odparł.

## **DZIWY, DZIWY 3**

### **WIARYGODNE ŹRÓDŁA**

ŁUDZIE PRZEZ CAŁE ŻYCIE UDAJĄ, ŻE CAŁY SYF, KTÓRY IM SIĘ PRZYTRAFIA, WCALE NIE JEST PRZYPADKOWY. DOSZUKUJEMY SIĘ ZWIĄZKÓW

MIĘDZY FAKTAMI, A POTEM NADAJEMY TYM ZWIĄZKOM SENS I TAK TWORZYMY HISTORIĘ SWOJEGO ŻYCIA. DZIĘKI NIM MOŻEMY UDAWAĆ, ŻE NIC

NIE DZIEJE SIĘ BEZ POWODU.

- CAINE

### *OSTRZE TYSHALLE'A*

Przedsiónek ambasady Klasztorów w Ciernistej Rozpadlinie był szeroki, wysoki i przyjemnie ciepły w porównaniu z panującym na zewnątrz wio-sennym chłodem. W zgodzie z klasztornym obyczajem ambasadę wybudowano z dostępnych na miejscu materiałów - w położonej tuż pod Siodłem Khryła Ciernistej Rozpadlinie oznaczało to kamień, przede wszystkim różne odmiany granitu i porfiru. I tak, na przykład, ściany wykonano z polerowanego porfiru, który w popołudniowym słońcu przybierał ciemno-różowy odcień.

294

W środku zastał tradycyjną ekipę złożoną z tuzina nowicjuszy, zajętą odkurzaniem, szorowaniem i pucowaniem wszystkiego, co nie mogło przed nimi uciec. Jego wprawne oko rozpoznało wśród nich czterech utajonych Ezoteryków, oraz dwóch takich, którzy również mogli być Ezoterykami, tylko lepiej się maskowali - co oznaczało, że są najgroźniejsi. Już czterech w przedsiönku można by nazwać lekką przesadą jak na tę ambasadę - małą placówkę w sennej stolicy pokojowego kraiku - gdyby tylko Klasztory lubiły uciekać się do przesady, a z doświadczenia wiedział, że raczej im się to nie zdarza. A zatem byli czujni i spodziewali się kłopotów. I to takich, które da się rozwiązać siłowo.

Może to jego się spodziewali? Jego osobiście?

Kilku nowicjuszy i dwóch Ezoteryków podniosło wzrok, gdy jego obca-sy zastukały na marmurowej posadzce. Jeden Ezoteryk, wyraźnie poruszony, wybałuszył oczy, rozdziawił usta i wziął wdech, żeby wrzasnąć, ale procedurę tę przerwało mu pojawienie się wielgachnego pistoletu z czarnego matowego metalu. Lufa mierzyła dokładnie w jego prawe oko.

- Zamknij. Kurwa. Ryj.

- Słucham, panie?

- Są takie chwile, że warto blefować, młody, ale to nie jest jedna z nich.

- Obrzucił wzrokiem pozostałych. - Ani słowa. Morda w kubel. Wszyscy.

Kto mnie rozpoznaje, ręka w górę.

Ręce podnieśli obaj domniemani Ezoterycy, dwaj ewidentni i trzech zwykli nowicjusze. Sława miewa także złe strony.

- Przejdźcie tam. Stańcie przy drzwiach kanciapy Mistrza Dyżurnego i trzymajcie jadaczki na kłódkę.

Spojrzeli po sobie w taki sposób, jakby wahali się, czy wykonać polecenie, grać na zwłokę, czy od razu rzucić się na niego.

- Wiecie, kim jestem. - Nie tracił cierpliwości. - Wiecie więc także, że powinniście robić, co mówię.

Posłuchali go.

Obejrzał się na pozostałych nowicjuszy. Wycelował w ostatniego Ezoteryka.

295

- Ten też mnie zna, ale nie podniósł ręki. Nie zdecydowałem jeszcze, czy go za to zabiję. Dlatego reszcie kłamczuchów też dam szansę: przyznajcie się i podnieście ręce... Zresztą, pies was trącał. Dołączcie do tamtych, wszyscy. Ty! Otwórz drzwi. Pogadamy z Mistrzem Dyżurnym.

Pokój był mały i skąpo umeblowany, całe wyposażenie stanowiło biurko i drewniany taboret. Na biurku spoczywała wielgachna księga o kartach z włókna zamokrzycy, oprawiona w coś, co mogłoby być smoczą skórą. Na taborecie siedział niski, całkiem przeciętny człowieczek, starszawy, lecz w trudnym do określenia wieku. W obu rękach trzymał lupę do czytania.

Uniósł głowę i bez słowa spojrział na gości, marszcząc przy tym oczy z wyjątkowym namaszczeniem.

Pokazał Dyżurnemu pistolet. Nie uzyskał żadnej reakcji.

- Wiesz, kim jestem?

- Jesteś Jonathan Fist - odparł człowieczek.

Przybysza замуrowało.

- Ha... Imponujące.

- Dziękuję.

- Skąd znasz to nazwisko?

Niski, przeciętny człowieczek odłożył lupę, zamknął księgę i wstał.

- Wy wszyscy zostańcie tutaj - polecił. - Zamknijcie drzwi i siedźcie cicho jak myszy pod miotłą, dopóki was nie wezwę.

Cała dwunastka splotła ręce za plecami i stanęła w lekkim rozkroku. Niski, przeciętny człowieczek wziął księgę ze stołu, ułożył ją sobie w zgięciu łokcia i skinął na Fista.

- Będziemy kontynuować rozmowę na osobności. Pozwól za mną.

- A oni? Będą tak tutaj stać?

- Tak.

- Ja bym nie stał.

- W takim razie obaj mamy szczęście, że nie jesteś moim pracowni-kiem.

- Chcę rozmawiać z Mistrzem Lektorem.

296

- To ja. - Człowieczek wskazał na trzymaną w ręce księgę. - Być może, zainteresuje cię fakt, że jest to pochodzący z naszego archiwum swobodny egzemplarz *Historii hrabstwa Faltane*, zawierający najświeższe relacje z wojny w Faltane.

- O Tannerze też już piszą?

- Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Ja też nie. Ciekawa lektura?

- Nadspodziewanie.

- Po kiego wała właśnie ty ją czytasz? W ogóle, po co wam ona tutaj?

Od Faltane dzielą was całe tygodnie drogi, a tam w promieniu trzech dni jazdy konnej są dwa inne opactwa. Dlaczego tam nie mają takiej księgi?

- Mają - zapewnił go Mistrz Lektor. - Doniesienia z niedawno stoczonych wojny sprawiły, że *Historia hrabstwa Faltane* została objęta pewnym specyficznym protokołem, w myśl którego jeden egzemplarz każdego wydania musi zostać uwięziony w Skarbcu w Ciernistej Rozpadlinie.

- Serio? Czemu?

- Bo ty w niej jesteś. - Mistrz Lektor ruchem głowy wskazał drzwi. -

Pozwól, bracie Jonathanie.

\*\*\*

Kuchnia mieściła się w podziemiach ambasady. Za sprawą opalanych drewnem i węglem drzewnym pieców i piekarników panowało w niej radosne ciepło. Po drodze Mistrz Lektor wyjaśnił Fistowi, że wzmiankowany protokół został wprowadzony w życie przez poprzedniego ambasadora, Raithe'a z Ankhany, i nigdy nie został odwołany z tego prostego powodu, że z biegiem lat nagromadziło się w Skarbcu tyle informacji, że ambasada w Ciernistej Rozpadlinie stała się głównym klasztornym archiwum poświę-

conym życiu Caine'a.

- Kurwa, cały czas jestem sławny...

- Obawiam się, że tak.

Przystanęli przy garderobie, gdzie Mistrz Lektor wyszukał gościowi tradycyjną ziemistą szatę z kapturem.

297

- Możesz zostawić broń. Nie będzie ci potrzebna.

Fist spojrzał na trzymany w ręce pistolet i wzruszył ramionami.

- I tak nie jest naładowany.

- Czyżby?

- Nie musisz mi wierzyć, ale miałem szczerą nadzieję, że uda mi się dożyć wieczora bez zabijania kogokolwiek.

- Ależ oczywiście, że ci wierzę - odparł Mistrz Lektor. Skóra wokół jego oczu napięła się w sposób, który mógłby zwiastować cień uśmiechu. -

Wiara to mój zawód.

W kuchni zastali Mistrza Gospodarza: parzył herbatę, doglądał pieców, szorował sztućce i oddawał się kucharskiej krzątaninie.

Usiedli z Mistrzem Lektorem przy okrągłym stoliku, który, sądząc po licznych bliznach, musiał również pełnić rolę pieńka do rąbania mięsa.

Mistrz położył księgę na blacie.

- To ma być „na osobności”?

- W ambasadzie przebywają w tej chwili jeszcze inni goście, którzy mogliby zapragnąć mojego towarzystwa. Tu mnie nie znajdą.

- A wasz kucharz?

Mistrz Lektor się uśmiechnął.

- W obecności Mistrza Ptolana możemy rozmawiać zupełnie swobodnie.

- Z całą pewnością - zapewnił ich Ptolan. - Niewiele wiem, ale na pewno wiem, jak trzymać język za zębami.

- Czasem nawet ma okazję tego dowieść.

- Też coś! Chciałbym jeszcze coś powiedzieć naszemu gościowi, jeśli Jego Gderliwość pozwoli. - Podszedł do stolika i zniżył głos: - W życiu nie powiedziałbym złego słowa o innym bracie, ale zawsze mi się wydawało...

zresztą, nadal tak uważam... że poprzedni ambasador bardzo źle cię potraktował. Bardzo.

- Kurewsko delikatnie powiedziane, jeśli wziąć pod uwagę, że skurwiel najpierw zamordował mi żonę, a potem mnie torturował. Ale mniejsza z tym.

298

- Coś okropnego, coś okropnego... - przytaknął smętnie Mistrz Gospodarz. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że reszta personelu nie po-chwalała jego zachowania ani nie współpracowała z nim z własnej woli.

- Dawno temu i daleko stąd. - Tak to przynajmniej czuł. - Jestem tak bliski zapomnienia o całej sprawie, że bliższy już nie będę.

- Jesteś bardzo łaskawy. Tak między nami, powiem ci, że nigdy go nie lubiłem. Ani trochę.

- Założę się, że nikt go nie lubi.

- A mimo to, awansował, i to na ambasadora przy Dworze Nieskończoności! Słowo daję, czasem się zastanawiam, czy braciom zasiadającym w Radzie nie brakuje piątej klepki!

- To nie ich wina. Sam go wybrałem do tej roboty.

- Że jak, proszę?

- Wybrałem go. Osobiście. Rada musiała tylko zatwierdzić jego kandydaturę.

Mistrz Ptolan zamrugał i pokręcił głową.

- Obrazisz się, jeśli powiem, że kompletnie cię nie rozumiem?

- Ludzie często mi to mówią. - Fist przeniósł wzrok na Mistrza Lektora.

- Chciałbym spędzić godzinkę albo dwie w waszym Skarbcu.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- A co, zepsuł się? Zgubiliście klucz?

- Skarbiec działa bez zarzutu. To ty nie możesz tam wejść.

- Co ty powiesz...

- Ze Skarbca korzystają w tej chwili goście, o których wcześniej mówi-

łem, a tak się składa, że jest to ekipa naukowa Inkwizycji. Powinieneś ich unikać.

Fist spochmurniał.

- Pytali o mnie?

- Jeszcze nie.

- Jeszcze.

- Nie wiedzą, że tu jesteś.

Fist westchnął.

299

- Dlatego przybyłem w taki a nie inny sposób. Nie przeszkadza mi, że ktoś o wie mojej obecności, pod warunkiem, że zdążę się ulotnić, zanim się o niej dowie.

- W takim razie czas nagli. - Mistrz Lektor otworzył księgę i odwrócił ją do Fista. - Chodzi o końską wiedźmę?

- Niezły jesteś, wodzu...

- On tak zawsze - wtrącił Ptolan. - Imponujące, dopóki człowiek się nie dowie, jak to robi.

Mistrz Lektor przerzucił kilka stron.

- Pierwsze wzmianki o końskiej wiedźmie pochodzą sprzed ponad czterystu lat, z okresu założenia najbliższego opactwa, Chanaz'taa, dwa dni drogi na południe od Faltane. Najdawniejsi historycy traktowali ją jako szczególnie mocno zakorzeniony lokalny mit, w czym nie było nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę pasące się na tamtejszych równinach olbrzymie stada dzikich koni. Do pierwszej potwierdzonej obserwacji doszło dwieście osiemdziesiąt siedem lat temu. Następna miała miejsce sto trzydzieści pięć lat temu. Opisy są zbieżne, ale nikt nie rozwodził się nad tym podobień-

stwem, ponieważ nie było jak stwierdzić, czy obie kobiety są jedną i tą samą istotą. Wygląda na to, że weryfikacja była niezwykle utrudniona, zresztą, opis nie jest do końca jasny w tej kwestii, przez co dopiero dwa i pół roku temu końska wiedźma została uznana za obiekt godny naszego zainteresowania.

Rysy Fista stężały.

- Po Dniu Wniebowstąpienia.

- Prawdziwego Wniebowstąpienia, bo tak dzisiaj mówimy. Tak.

- A tutaj? Wiedźmie stado zapuszcza się daleko na północ, do was, nawet jeszcze dalej. Macie coś na jej temat?

- W naszym Skarbcu? Kolejne dwa egzemplarze tej samej księgi. Uwięziona.

Niedobrze. Ale miał przecucie, że będzie jeszcze gorzej.

- To wszystko?

Mistrz Lektor westchnął i zaczął kartkować księgę.

300

- Oczywiście, główne archiwum dla tamtych terenów znajduje się w Chanaz'taa. I tu zaczynają się kłopoty...

- „Kłopoty” jakiś czas temu zostawiliśmy za sobą. Teraz zaczynam się po prostu bać.

- Pierwsza poważna potwierdzona wzmianka na jej temat przechowywana w Skarbcu w Chanaz'taa również znajduje się w tej samej księdze.

- Tej samej, znaczy... tej samej?!

- Dokładnie tej samej.

- Tak jakby przed wojną w ogóle nie istniała?! Bo kiedy ją spotkałem...

- Powiedziałem „pierwsza potwierdzona” - przypomniał Mistrz Lektor z dyskretną precyzją. - W Skarbcu jest jeszcze jedna relacja, która może jej dotyczyć. Nie została tam wymieniona z imienia, ale wygląda na to, że kobieta odpowiadająca jej rysopisowi była ofiarą wojny w Faltane. To niewolnica, która zginęła przy próbie ratowania koni, gdy w dworskiej stajni wybuchł pożar.

- Zaraz, to jakaś bzdura... W tamtym pożarze nikt nie zginął. Byłem przy tym. Konie zostały wcześniej wypuszczone. Zresztą, skąd ten palant Tanner miałby o tym wiedzieć? Kutas jeden, był wtedy gdzieś na drugim krańcu hrabstwa... Kurwa, przecież osobiście przepędzał te konie!

- Uwięzione w Skarbcu *Kompendium wojny w Faltane* nie wspomina o człowieku, który odpowiadałby jego rysopisowi. Wydaje się, że nasza analiza sugeruje, że ta relacja dotyczy zdarzenia, które zostało odczynione.

Fist poczuł, że drętwią mu palce i twarz. Reszta ciała zresztą również.

Czuł tylko stertę potrzaskanych cegieł w miejscu bebeczków.

- Interwencja?

- Trudno o inne wiarygodne wytłumaczenie.

Zatem Tanner jednak nie kłamał. Fist zamknął oczy.

- Czyli to naprawdę jest koniec świata.

- Był.

- Był?

301

- Z naszej analizy wynika, że nasz świat... ten, który znaliśmy... przestał istnieć w Dniu Wniebowstąpienia. Świat, w którym dziś żyjemy, jest... innym światem.

- Jak to, innym? W jakim sensie?

- To właśnie próbujemy ustalić.

- Co robimy... to znaczy, co robicie w tej sprawie?

Mistrz Lektor rozłożył ręce.

- Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie.

Fist podparł głowę rękami, ale wcale nie przestało mu się w niej kręcić.

- Dobra, chwila... Po kolei. Skoro Tannera nie było wtedy w Faltane, to kto był? Kto napisał uwięzione u was *Kompendium*...?

Mistrz Lektor przekrzywił głowę o milimetr, może dwa.

- Ty.

- Bez jaj.

Mistrz Lektor tylko westchnął współczująco. Fist pomasaował obolałe oczy. Nie pomogło.

- Proszę, powiedz, że żartujesz.

- Mistrz Lektor słynie z poczucia humoru - wtrącił cierpko Prolan. - Potrafi rozbijać każdy pogrzeb.

- Ta niewolnica zrobiła na tobie ogromne wrażenie. Przyznałeś, że w głębi duszy podziwiasz jej zajadłość. Jednego strażnika pchnęła nożem w gardło, drugiemu przecięła tętnicę udową. Obaj zmarli. A ona użyła zwykłego kuchennego noża, zgrubnie naostrzonego na jakimś brukowcu.

Schwytąłeś ją, rozbroiłeś i próbowałeś powstrzymać przed wejściem do stajni. Wtedy ugryzła cię w twarz pod lewym okiem, zadając ci, jak napisa-

łeś, ranę, która będzie cię szpeciła do końca życia, i zdołała się wyrwać. Z

twoją pomocą udało się uratować kilkanaście koni, zanim stajnia się zawa-liła.

- Nie mogłeś jej zatrzymać, więc postanowiłeś pomóc, tak? - zainteresował się Prolan. - Mimo że cię zraniła? To do ciebie niepodobne.

- To też często mi ludzie mówią.

302

Oczy Mistrza Gospodarza zaszkliły się od łez.

- Biedne konie...

- Te konie, Mistrzu, są w tej chwili całe i zdrowe - zauważył Mistrz Lektor. - I bezpieczne.

- Nie. - Fist dotknął lewego policzka, tuż pod okiem. Czuł ją. Czuł tę ranę. I jej zęby. Zapisane w zmysłach wspomnienie czegoś, co się nigdy nie wydarzy. Echo niewypowiedzianych słów. - To tak nie działa. Te konie nie żyją. Ona też nie żyje.

- Słucham?

- Spłonęły żywcem, kwicząc z bólu. Krzyczały, że jest im przykro, że przepraszają za swoje złe zachowanie, ale jeśli ktoś przyjdzie i je wypuści, już nigdy więcej nie będą niegrzeczne.

Mistrz Lektor nachylił się nad stołem.

- Pamiętasz?

- Zginęła, bo została tam z nimi. Z tymi, których nie mogła uratować.

Tylko umierając razem z nimi, umiała im pokazać, że to nie ich wina.

- Na pewno dobrze się czujesz? - Ptolan wyraźnie się zaniepokoił.

- Nie. To wszystko... jest takie pochrzanione. Wiem, że to się wydarzy-

ło. Wiem, bo ona mnie zna, a i ja zaczynam ją poznawać. Mówi... końska wiedźma mówi, że żadne inne stworzenie nie kocha tak jak koń.

Mistrz Lektor zmarszczył brwi, jak człowiek, który zboczył z zaplanowanej trasy i zaczyna się zastanawiać, jak bardzo niebezpieczny okaże się ten nowy, nieodkryty jeszcze kraj.

- Bracie Jonathanie...

- To nawet ma sens, wiecie? Weźmy inne udomowione zwierzęta: psy, koty, bydło, nawet jastrzębie i sokoły... Wykorzystujemy je w sposób, któ-

ry współgra z ich predyspozycjami, prawda? Polują, pilnują, mnożą się, jedzą... Nie każemy im postępować wbrew ich naturze. A konie wiedzą, że się na nie poluje. Oczy mają umieszczone w taki sposób, żeby mieć jak najszersze pole widzenia. Po co? Żeby wypatrywać drapieżników. Wiecie, po czym koń rozpoznaje drapieżcę? To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie mi powiedziała: oczy z przodu głowy. Widzenie trójwymiarowe. Psy i 303

ludzie to naturalni sojusznicy. Konie i ludzie to naturalni wrogowie. Dla konia drapieżnik na jego grzbiecie oznacza pewną śmierć. Kiedy koń pozwala się nam dosiąść, składa życie w nasze ręce. Za każdym razem.

Mistrzowie spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Podać ci coś? - zapytał Ptolan. - Wina? Herbaty? Masz na coś ochotę?

- Koń może ważyć nawet ponad tysiąc funtów; są takie, które ważą du-

żo więcej. Mają refleks dziesięć razy lepszy niż my. Mogą zabić człowieka w mgnieniu oka, ale tego nie robią. Przeciwnie, powierzają nam swoje życie. Wiecie dlaczego? Bo nas kochają. - Odwrócił wzrok. Przed oczami miał sceny, które rozgrywały mu się w głowie. - Okładamy je batem, głodzimy,

zakuwamy w kajdany, łamiemy ich ducha i umysł, a one wciąż nas kochają. Wciąż bez zastanowienia powierzają nam swój los. Bo kiedy koń kocha, to jest to miłość absolutna. W zamian chcą tylko być kochane.

Większość nie dostaje nawet tego. - Spuścił głowę. - A ona to właśnie robi-

ła. Robi. Odwzajemnia ich miłość.

Mistrz Lektor wyciągnął do niego rękę, z wahaniem, niepewnie, jakby nie ważył się go dotknąć.

- Gdybyście ją znali, zrozumielibyście - ciągnął Fist. - To do niej podobne. Tak by właśnie zrobiła. Oddałaby życie, żeby im udowodnić, że nie mylą się w ocenie nas.

- Proszę cię, bracie Jonathanie, czy możemy coś dla ciebie zrobić? -

spytał Ptolan.

- Czemu co rusz mnie o to pytasz?

Mistrz Lektor położył tę swoją niepewnie wyciągniętą rękę na blacie stołu i odparł, łagodnie, lecz precyzyjnie:

- Bo płaczesz.

- Gówno prawda. - Kiedy jednak dotknął policzka, palce miał wilgotne.

- Kurde balans...

- Zacząłeś płakać, mówiąc o pożarze. Wygląda na to, że konie i miłość budzą w tobie nieoczekiwane emocje.

Wiedział, że to się skończy łzami - ale przecież jeszcze się dobrze nie zaczęło, a łzy już się pojawiły. I to u niego. To nie wróżyło nic dobrego.

304

Wytarł oczy rękawem.

- To nic nie znaczy.

- Może dla ciebie.

- Wedle najstarszych przekazów ustnych w Krainie Ciszy, skąd wyprowadził nas Pierwszy Lud, konie i ludzie od zarania dziejów pozostawali nierozłączni - odezwał się Ptolan. - To konie przyniosły ludziom dar cywilizacji, a u kresu dziejów, gdy bramy Piekła rozpękną się, a gwiazdy spadną i podpalą świat, konie przybędą nas ocalić. Nas wszystkich. Zabiorą nas do domu.

- Moglibyśmy zmienić temat? - Fist nie był w stanie spojrzeć mu w oczy. - Będziesz tak dalej pieprzył, to znów się rozbeczę.

- Och, przepraszam. Dla mnie to po prostu uroczy pomysł. Ogromna liczba opowieści i tradycji z czasów, gdy rodzaj ludzki był młody, jest po-

święcona wojnom, rzeziom i koszmarom, które trudno objąć umysłem. Ale ten powrót koni to idea tak cudowna... że prawie nie-ludzka. Brzmi to jak kołysanka, którą nuca nam konie, szturchając nas pyskiem po uszach.

- Ty to, kurna, czytany jesteś, jak na Mistrza Gospodarza.

- Ptolan jest również naszym Mistrzem Wiedzy. - Drugi Mistrz przekrzywił głowę, by po chwili ją wyprostować. - Jesteśmy małą placówką.

Mistrzowie są bardziej potrzebni gdzie indziej.

- Poważnie? A jaką ty masz dodatkową fuchę?

- Domyśliłeś się już zapewne, że jestem Mistrzem Strażnikiem - odparł

beznamiętnie Lektor. - Za pozwoleniem, bracie Jonathanie, chciałbym jeszcze wrócić do tej niewolnicy... Dziwi mnie, że nie udało ci się jej obezwładnić.

- Mnie również.

- Nawet czysty domysł z twojej strony byłby cennym uzupełnieniem mojego komentarza. Czy twoje niespodziewane... olśnienie... coś ci podsuwa?

- Pojęcia nie mam.

- Mogłeś pozbawić ją przytomności, prawda?

305

- Nie noszę przy sobie środków uspokajających ani paralizujących.

Mógłbym ją albo związać, co jest kiepskim pomysłem, kiedy dookoła szaleje pożar, albo złamać jej nogę, co również byłoby takie sobie. Poza tym nie lubię bić kobiet.

- Doprawdy? Z twojej biografii...

- Wiem, biłem kobiety. Zabijałem kobiety. - Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. - Mój ojciec bił matkę. Umarła przez niego. Nie lubię tego robić.

- Mówisz o swojej artańskiej rodzinie, prawda? O Duncanie Michelso-nie i Davii Khapur, nie o pathquańskim kowalu?

- Nie pochodzę z Pathqui. To była fałszywa biografia, niezbędna, kiedy rozpoczynałem szkolenie w Twierdzy Garthan. Ten kowal nigdy nie istniał.

A jeśli nawet, to na pewno nie był ze mną spokrewniony.

Mistrz Lektor westchnął.

- Zależy, kogo o to zapytamy.

- Nie, no, daj spokój...

- Nasze archiwum jest bardzo obszerne.

- Nie dziwię się, skoro pełno w nim szajsu, który nigdy nie miał miejsca.

- „Nigdy” jest słowem, które w tym wypadku może nie mieć zastosowania.

- Chcesz powiedzieć, że bajeczka, którą sobie zmyśliłem, jest... no, nie wiem... w jakimś tam sensie prawdziwa? Że od początku była prawdziwa?

- To możliwe. W tej sytuacji słowo „prawdziwa” ma wiele wspólnego z

„nigdy”. Chyba najłatwiej byłoby myśleć o tej historii jak o zbiorze faktów, które się odwydarzyły. Niektórzy nasi taumatolodzy-teoretycy domnie-mywają, że takie odczynione wypadki rzucają na rzeczywistość cień, takie jakby... echo, które przejawia się potem w opowieściach, legendach i mitach.

- Chyba powinienem tu wrócić przy innej okazji, kiedy będę mógł spokojnie wejść do tego waszego Skarbca. Coś mi się widzi, że sporo bym się o sobie dowiedział.

306

- Obawiam się, że nie możemy do tego dopuścić.

- To znaczy?

- Zgodnie z postanowieniami ogólnoświatowego edyktu rozpowszechnionego za pośrednictwem Artańskiego Zwierciadła, nie zostaniesz wpuszczony do żadnego Skarbca. Nigdy. Gdybyś tego próbował, należy cię powstrzymać za pomocą wszelkich dostępnych środków, nie wyłączając użycia siły ze skutkiem śmiertelnym. A także, w razie konieczności, zniszczenia Skarbca i opactwa, w którym się znajduje.

- Ja pierdołę... - W głowie mu się to nie mieściło. - Czyli wzmocniona ochrona w przedsionku... to było ze względu na mnie.

- Sam zaproponowałem wprowadzenie tego zakazu, nieco ponad rok temu. Rada Braci zatwierdziła go natychmiast po odkryciu uwięzionego w Skarbcu egzemplarza *Kompendium wojny w Faltane*.

- Ty go zaproponowałeś? Po kiego grzyba?

- Nie masz wstępu do Skarbców z jednego prostego powodu: nikt w ca-

łym Domu nie jest w stanie przewidzieć, co by się mogło wydarzyć, gdybyś tam wszedł.

Fist wytrzeszczył oczy.

Bardzo długo tylko patrzył na Mistrza Lektora.

W końcu się odezwał:

- Kiedyś myślałem, że w towarzyszącym mi wiecznie osobistym bagnie nie chodzi tak naprawdę o mnie. Wydawało mi się, że takie bagna po prostu gdzieś tam sobie istnieją, a ja co rusz ląduję w samym ich środku tylko dlatego, że bawi to ludzi, którzy mi rozkazują.

- Niewykluczone, że jest w tym coś więcej - przyznał ostrożnie Mistrz Lektor.

- No, nie mów...

- Z pomysłem zakazu wystąpiłem po tym, jak przez ponad rok badałem sprawę Prawdziwego Wniebowstąpienia. Cały czas coś mnie dręczyło.

- Przeczucie?

307

- Poważnie niepokoiły mnie zarówno opisy samego Wniebowstąpienia, jak i raporty z prowadzonych przez nas dochodzeń w jego sprawie. Dopiero po odkryciu uwięzionego w Skarbcu *Kompendium...* udało mi się wskazać prawdziwe źródło mojego niepokoju. Otóż, wszystkie relacje i doniesienia pomijały, wręcz zbywały milczeniem, jedno ważne pytanie.

- Jedno pytanie pozostawione bez odpowiedzi? Tylko tyle?

Twarz Mistrza Lektora była o włos od przybrania wyrazu, który naprawdę by coś wyrażał: ściągnięte kąciki ust, zmarszczki wokół oczu, ślad rumieńca na skroniach.

- Bez odpowiedzi, istotnie, ale nie to jest najważniejsze. To pytanie nigdy nie padło. Nikt go nie zadał. Ja również. A jest to pytanie niezwykle istotne w kontekście Prawdziwego Wniebowstąpienia i niebezpieczeństwa, które nawet w tej chwili zagraża wszechświatowi. Pytanie w tak oczywisty sposób kluczowe dla zrozumienia tego wiekopomnego wydarzenia, że sam fakt niezadania go może być wynikiem Interwencji.

- Ja chromołą.

- Stajemy w obliczu bezprecedensowego wydarzenia, którego wagę można porównać chyba tylko z Deomachią. Wszystkie Klasztory na świecie prowadzą w tej sprawie dochodzenie. Tysiące

raportów, miliony słów, zapisywanych, weryfikowanych, krytykowanych, poprawianych, redagowanych, a mimo to, po blisko trzech latach od Prawdziwego Wniebowstą-

pienia nikt nawet nie uświadamia sobie istnienia tak fundamentalnej wątpliwości. A teraz jest już za późno.

- Nie trzymaj mnie w niepewności.

- Masz na myśli pytanie? - Ramiona Mistrza Lektora drgnęły w nieskończenie małej namiastce przepraszającego wzruszenia. - Jak to się stało, że przeżyłeś?

Fist tylko patrzył. Zamrugał. I dalej patrzył. Ślepy. Odrętwiały. Pusty.

Powinien się spierać, wściekać, kpić, zadawać pytania - coś robić, zamiast tkwić tam nieruchomo jak czyrak na dupie. Nieprzeliczone komplikacje w jego życiu nagle stały się zbyt poplątane, żeby mógł je ogarnąć, nie 308

mówiąc już o możliwości sformułowania jakiejś sensownej odpowiedzi.

- No tak - mruknął Mistrz Lektor - widzę, że ty również nie zadałeś sobie tego pytania.

- Nie.

- Ale doceniasz wagę problemu.

- Uważacie, że nie przeżyłem. Że nie jestem sobą, tylko jakimś wtórnikiem.

- Trudno o inne...

- ...wiarygodne wytłumaczenie, wiem. - Zacisnął mocno powieki, podrapał się po głowie i szorstką tkaniną przetarł oczy. - Mam inne pytanie.

- Mianowicie?

W drugiej ręce Fista pojawił się czarny pistolet.

- Ilu ludzi będę musiał dzisiaj zabić, żeby się stąd wydostać?

Obaj Mistrzowie zamarli bez ruchu.

- Nie chcesz tego robić - odparł Mistrz Lektor.

- Przeciwnie. Jak najbardziej, chcę.

Po twarzy Lektora przemknął ulotny ślad zmarszczenia brwi.

- Chcesz odłożyć pistolet na stół - powiedział z naciskiem. - Chcesz go odłożyć. Natychmiast.

- Niektóre magijne efekty na mnie działają - przyznał Fist. - Ale ten akurat nie. - Wstał i wycofał się powoli ku drzwiom. - Fajny był ten tekst o ekipie naukowej. Wygadany jesteś, patafianie. Wstawiłeś mi kit o jakiejś tam zastranej Inkwizycji, żebym się nie zorientował, że rozmawiam z Inkwizytorem. Piękne, naprawdę. Mistrzostwo świata. Jesteś lepszym śledczym, niż ja kiedykolwiek byłem.

- Nie specjalizowałeś się w przesłuchaniach - przyznał spokojnie Mistrz Lektor.

Żaden z Mistrzów się nie poruszył, nie drgnął żaden mięsień na ich twarzach, lecz w tej samej chwili ciężka zasuw na drzwiach za plecami Fista zamknęła się ze szcękaniem.

309

- A jaka była moja specjalność? Niech no pomyślę... Ach tak, już sobie przypominam. - Wycelował pistolet prosto w czoło Mistrza Lektora. - Naprawdę chcesz ze mną tak pogrywać?

- Pistolet nie jest naładowany.

- O czym wiesz, bo twój prawdozmysł działa na mnie równie skutecznie, jak Dominacja.

Mistrz Lektor westchnął ciężko.

- Mówiłem ci przecież, że broń nie będzie ci potrzebna.

- Mój prawdozmysł z radością rzuciłby się na te słowa. Gdybym go miał.

- Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą.

- Jeżeli nikt nie będzie próbował mnie zatrzymać ani śledzić, nie będę musiał nikogo zabijać. Tak by było sympatycznie. Przypominam wszakże, że jeśli waszym zdaniem „sympatycznie” nie wchodzi w grę, nie zawaham się was zabić. Obu.

- Przepraszam za nieporozumienie - odparł półgłosem Mistrz Lektor. -

Osobiście zaleciłem Radzie Braci oraz Inkwizycji, że lepiej być twoim przyjacielem niż wrogiem. Zwłaszcza teraz. Nie otrzymaliśmy jeszcze oficjalnej odpowiedzi, ja jednak głęboko wierzę w słuszność mojej rady.

- Będzie to brzmiało bardziej przekonująco, kiedy otworzycie drzwi.

Mistrz Lektor przechylił głowę. Zasuwa szcęknęła i otworzyła się.

- Przez wzgląd na naszą przyjaźń nie zamierzam wspominać w raporcie o tym, że sprowokowałeś konfrontację, by dramatycznym zejściem ze sceny zamaskować fakt, że w istocie jesteś znacznie sprawniejszym śledczym, niż próbujesz to okazywać. Do tego stopnia, że żaden z nas nawet nie zauważył, kiedy bardzo wiele się dowiedziałeś, nie mówiąc w zamian nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

- Nigdy nie kantuj kanciarza. Powiedzieliście mi to, co chcieliście, żebym wiedział. A pistolet... -  
Wzruszył ramionami. - To na wypadek, gdyby nie spodobała się wam moja reakcja.

310

- Rozumiem. Zapewniam cię, że nie zamierzamy działać pochopnie; nie będziemy cię zatrzymywać ani ci przeszkadzać. Jak już wspomniałem, nasze archiwum jest bardzo obszerne i obfituje w opisy podobnych prób, które zawsze rodzą boleśnie gorzkie owoce.

- Może na wszelki wypadek ściągniemy tu ambasadora, żeby mnie odprowadził, co? Tak dla pewności, żeby komuś nie przyszło do głowy coś głupiego.

Mistrzowie spojrzeli po sobie i Ptolan skinął potulnie głową.

- No dobrze, jestem także ambasadorem. - Westchnął przeproszająco. -

To naprawdę bardzo mała ambasada.

- Czyli rozmowa „na osobności” to zmyłka.

- Odprowadzę cię do wyjścia - zaproponował zażywny ambasador. - Za-trzymaj szatę. Wieczór jest chłodny, w dodatku pada śnieg.

Niewiele brakowało, żeby Fist zapytał, skąd to wie. Doszedł jednak do wniosku, że wyczerpał swój przydział szczęścia na jeden dzień. Na całe życie. Albo dwa. Albo ile ich tam naprawdę ma.

\*\*\*

Orbek czekał na niego przy tej samej ulicy, przy której stała ambasada, wtulony w zacieniony kąt, z głową wciągniętą w ramiona dla ochrony przed zacinającym deszczem ze śniegiem. Wiosna późno przychodzi do Transdei, a jeszcze później do Ciernistej Rozpadliny, położonej wysoko na wschodnich zboczach Bożych Zębów.

- Nie zimno ci? Ja chromolę... - burknął smętnie ogrillo. - Po co komu jaja, jeśli ma je sobie odmrozić, co?

Fist przetarł dłonią oczy jak budzący się ze snu lunatyk.

- Rzeczywiście, zimno. - Wcześniej tego nie zauważył. - Masz sprzęt?

- Tu leży.

Fist spojrział w dół. Faktycznie, leżał.

- Gdzie go miałem dać? Nawet mi nie powiedziałaś, która gospoda.

311

- Nie myślałem, że to tyle potrwa.

O wielu rzeczach nie myślał. I żałował, że nie mogło tak zostać.

- Wyleczyli ci rękę, co?

Spojrzał na swój złamany nadgarstek takim wzrokiem, jakby ten należał

do kogoś innego. Poruszył ręką, zacisnął pięść.

- Przez grzeczność. Za darmo. - Zarzucił plecak na grzbiet i ruszył ulicą stromo pod górę. - Chodź ze mną.

Orbek ruszył za nim, sapiąc ciężko. Jego plecak ważył sześć razy więcej.

- Nie słyszałeś o tym nowym wynalazku? Nazywa się tragarz. Płaci się mu, a on nosi różne rzeczy za ciebie.

- Nie mam pieniędzy.

- A co się stało z twoim tysiącem rojali?

- Są w twoim plecaku.

Ogrillo przystanął, marszcząc brwi. Fist się nie zatrzymał. Orbek pokrę-

cił głową, spochmurniał jeszcze bardziej i znów zaczął iść.

Pochłodziło, wiatr ustał, deszcz ze śniegiem przeszedł w śnieg. Biały całun bezszelestnie okrywał brukowane uliczki, zbierał się na okapach dachów i furtek ogrodowych.

Orbek znów się zatrzymał.

- Powiedz mi, dokąd idziemy, co?

- Pośpiesz się.

Ogrillo westchnął i przyśpieszył kroku.

- Nie cierpię, kiedy się tak zachowujesz.

- Ja też.

Dotarli w okolice niegdyś niepozorne, a obecnie stanowiące centrum Ciernistej Rozpadliny, ponurą, rozświetlaną gazowymi latarniami płataninę torów kolejowych rozchodzących się promieniście z Dworca - olbrzymiej szklanej kopuły, poczerńiałej od węglowego dymu i przykrywającej dawniej

modne domy, w których dziś mieściły się biura Kolei Transdejskiej.

Na widok szklanej budowli Orbek sposepniał jeszcze bardziej.

312

- Jedziemy na wycieczkę, braciszku?

- Ty jedziesz.

Ogrillo się zatrzymał.

- Sam?

Człowiek szedł dalej.

- Nie lubię sam podróżować - poskarżył się ogrillo. - Może nie pojedę.

- Pojedziesz.

- Może dasz mi powód. A potem wsadzisz go sobie w dupę, bo twoje powody są gównem warte.

Fist przystanął.

- Orbek, do diabła...

- Nie. Nie, do chuja! - Orbek zrzucił plecak na ziemię. Żyłki nabrzmiały mu na szyi. - Powiedziałeś: „Obnoś mnie po Jamie”. Obnosiłem. Powiedziałeś: „Chodź ze mną”. Poszedłem. Powiedziałeś: „Zostań z dziewczyną”, to, kurwa, zostałem z dziewczyną! Kazałeś mi czekać na ulicy i co?

Czekałem, kurwa? Czekałem! Gdzie? Na ulicy! Od trzech lat jestem twoją dziwką. Więc jeżeli chcesz mnie odesłać w pizdu, to spróbuj mnie do tego przekonać. Chociaż raz, co? Ten jeden raz, kurwa twoja mać!

Człowiek też zrzucił plecak, usiadł na nim, złapał się za głowę i zaczął

sobie masować czoło.

- Nic nie rozumiesz.

- To mi wytłumacz.

- To dobry plan, tylko że ja też nic nie rozumiem.

- No to w czym problem, co?

- To nie takie proste, piesku. Od walki z Tannerem... odkąd spotkaliśmy końską wiedźmę... coś się dzieje. Albo coś się nie dzieje, nie umiem odróż-

nić. Ale jeśli się dzieje, to nie powinno. A jeśli się nie dzieje, to powinno.

Wiem tylko, że jest złe. I to od dawna.

- Jak to możliwe, że ani ty, ani nikt inny nie próbował tego naprawić?

- Ja nie mogę tego naprawić. Ja jestem tym czymś. Częścią tego czegoś.

Coś mnie wybrało.

313

- Do czego?

- To właśnie próbuję rozgryźć. Wiem tylko, że zapowiada się niezła chujowizna. Dla wszystkich. Pamiętasz Dzień Wniebowstąpienia?

- Nie, ptasi mózdzku, nie pamiętam. Przypomnij mi.

- W promieniu dwustu jardów ode mnie wszyscy zginęli. Wszyscy. Ty też byś zginął, gdyby Raithe nie ściągnął cię wtedy z dachu. Znaleźli mnie na dnie głębokiego na dwadzieścia stóp krateru, do kurwy nędzy! A Ma'elKoth wyparował. Zostałem tylko ja i miecz.

- No i?

- Kurwa, Orbek, jak nazywa się facet, który znajduje się w epicentrum wybuchu magijnej bomby atomowej, a po eksplozji otrzepuje się i odchodzi, bogatszy o parę blizn i utykający na jedną nogę?

- Poddaję się, nie wiem.

- Nazywa się Caine.

Ogrillo zmrużył oczy. Milczał.

- Nie wiem, co mnie wybrało, ale domyślam się, że właśnie dlatego mnie wybrało. Wszyscy poza mną zginęli, a ja poszedłem prosto do na-stępnych jebanych w mózg idiotów, którym do łba nie przyjdzie, żeby na mój widok spierdalać w podskokach. Jezu, Orbek, gdybyś widział, co się działo w Faltane, sam byś spierdalał.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Przez cały ten czas ja... ja to wszystko wiedziałem, ale nie byłem w stanie się zmusić, żeby o tym pomyśleć. Trochę jak z Płaszczem: taumaturg stoi przed tobą, ale uniemożliwia twojemu umysłowi zarejestrowanie faktu, że twoje oczy go widzą. To trochę przypomina taki Płaszcz, tylko działają-

cy na pomysły. Na idee. Tata mawiał, że jak się czegoś nie wie, to dobrze jest przynajmniej wiedzieć, kogo o to spytać. Ale nie możesz nikogo o nic spytać, jeśli nie zdajesz sobie sprawy z

istnienia pytania.

- A ta twoja końska wiedźma, ona zna odpowiedzi?

- Być może. Tylko najpierw muszę wykombinować, jak ją zapytać.

314

- A ma to coś wspólnego z jej smakowitym wyglądem? Może jest trochę żylasta, ale...

- Może mieć. Nie wiem. Jeżeli wszyscy wokół mnie giną i jedyną ocala-

łą osobą w okolicy okazuje się niebrzydka kobitka, która własną śmierć zbywa wzruszeniem ramion, to... Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Jasne. - Orbek wzruszył ramionami. - Pallas Ril też tak ma, nie? No i Ma'elKoth, oczywiście.

- Pewnie, pocieszaj mnie... - Mężczyzna westchnął i wstał. - Chodź, schowajmy się gdzieś przed tym przeklętym śniegiem.

Wziął mniejszy plecak. Orbek podniósł większy.

- Masz jakichś kandydatów? Kto cię mógł wybrać do roli atomowego bohatera?

- Owszem, mam. - Ruszył w stronę Dworca. - Twój ojciec przeżył Złamanie, prawda? To znaczy, Koszmar?

- Owszem - przytaknął Orbek, mówiąc do pleców towarzysza. - A co?

- Musimy pogadać. O Czarnych Nożach. O tym, kim dawniej były...

Zerwał się wiatr, deszcz ze śniegiem znów zaczął zacinać. Orbek ledwie usłyszał resztę zdania:

- ...i o ich bogu.

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ 6

### ROZWAŻMY COŚ SZALONEGO

A GDYBYŚ MÓGŁ COFNAĆ NAJGORSZĄ RZECZ, JAKĄ W ŻYCIU ZROBIŁEŚ?

- CAINE

Wyraźnie zatroskany Caine wraca ciężkim krokiem przez śnieg do Duncana i pozostałych.

- Angvasse... to znaczy, Khrylu, czy kim tam jesteś... Jeżeli pojawi się Ma'elKoth, chcę, żebyś odwrócił jego uwagę. Potrzebuję czasu, żeby się zorientować, dlaczego Krisa jeszcze nie ma.

- Ma'elKoth? - powtarza Duncan. - To on żyje?

- Jest teraz kimś w rodzaju Boga.

- Już wcześniej był kimś w rodzaju boga.

- Ale teraz to jest Bóg przez duże B. - Caine się krzywi, jakby od tego słowa piekły go usta. - To skomplikowane.

- Jak wszystko. Kim jest Kris i po co jest ci tu potrzebny?

- To mój kumpel ze szkoły. Kris Hansen.

316

- Pamiętam to nazwisko... Zginął podczas szkolenia na czemodzie, prawda?

- Obecnie jest cesarzem Ankhany. Oraz członkiem Domu Mithondion.

Duncanowi nie pozostaje nic innego, jak tylko pokręcić głową.

- Jest faerie? To jakim cudem chodził z tobą do szkoły?

- To też skomplikowane.

- Spotkałem kiedyś pewnego Mithondionne, z pięćdziesiąt lat temu. Nazywał się T'farrell. Król Zmierzchu. Miał przydomek „Kruczowłósy”, od pasemka czarnych włosów, które u faerie są rzadkością. Razem z Davią przeprowadziliśmy z nim długi wywiad na potrzeby *Opowieści Pierwszego Ludu*. Okazał nam niezwykle łaskawość i cierpliwość, bardzo mu zależało na tym, żebyśmy precyzyjnie opisali jego kulturę. Nie wiem, czy o tym wiesz, ale powiedział nam, że od czasów Deomachii to dopiero jego drugie spotkanie z ludźmi.

- Słyszałem o tym.

- Jeżeli ten twój kolega, Kris, faktycznie należy do Domu Mithondion...

Duncan wzdycha. Daje się uwieść wspomnieniom lepszych dni i żałuje, że tak szybko przeminęły.

- Oczywiście, T'farrell miał dobrze ponad tysiąc lat, ale zachował młodzieńczy wigor. Musiało mu się przydarzyć coś strasznego.

- Przydarzyło się - dobiega z tyłu cichy, obcy głos. Duncan nie może się odwrócić i spojrzeć w tamtą stronę. - To my. My mu się przydarzyliśmy.

W mgnieniu oka z Caine'a spływa całe napięcie.

- Kris! Kurczę, miło cię widzieć.

Kiedy Kris pojawia się w polu widzenia Duncana, wygląda jak człowiek o twarzy faerie. Ma na sobie koszulę i spodnie z białego płótna. Jest boso, nie ma broni, platynowe włosy opadają mu swobodnie poniżej łopatek.

- Hari. Za długo się nie widzieliśmy

Duncan zauważa dyskretnie, z lekkim ukłuciem żalu, że Kris najwyraź-

niej może mówić do Caine'a „Hari” i nie zostaje natychmiast przeszyty mieczem.

317

Caine zagarnia go w ramiona, wypuszcza, mierzy wzrokiem od stóp do głów i uśmiecha się w taki sposób, jakby - to ci dopiero niespodzianka! -

naprawdę był szczęśliwy.

- Zawsze jest albo za długo, albo za krótko, co? Co ty, ukrywasz się?

- Poniekąd. Mam kłopot z takim jednym kultem śmierci, a twoje Wezwanie... Wyglądało i brzmiało jak od ciebie, ale różnie to bywa. Zwłaszcza kiedy już tu dotarłem i zobaczyłem, że stoisz nad jakimś gościem, który ma pierś przebitą wielkim czarnym mieczem.

Caine kiwa głową.

- Deliannie Mithondionne, przedstawiam ci Duncana Michaelsona.

- Duncan Michaelson... - powtarza Kris w zadumie. Kuca przy Duncanie i podaje mu rękę. - Powiedziano mi, że nie żyjesz.

- Mnie również. - Ściskają sobie dłonie. - Deliann Mithondionne... To ty jesteś Księciem-

Odmieńcem?

- Byłem. Skąd znasz ten przydomek?

Duncan się uśmiecha.

- Miałem mnóstwo wolnego czasu i tylko czytnik sieciowy do towarzystwa. Podczytywałem sobie o ważnych tubylcach.

- W Buke, tak? Hari mi mówił.

- Zatem Książę-Odmieniec nie był żadnym odmieńcem, tylko Aktorem, tak?

- Urodziłem się na Ziemi, ale nie jestem Aktorem. Nigdy nie byłem.

- A to jest końska wiedźma - wtrąca Caine.

- Aha. Miło mi.

- Dziękuję - mówi końska wiedźma. - On wyraża się o tobie w samych superlatywach, a w myślach ceni cię jeszcze wyżej. Poza tym nie chce ci się przyznać, że wie, że Boże Oczy się nim interesują.

- No, ja pierdolę, kobieto... - Caine się krzywi. - Teraz będzie ich dwa razy trudniej wypatrzeć.

- Nie nam.

318

- Mnie tak. Wam nie.

- Więc czemu narzekasz?

- Widzisz, z czym ja się tu muszę na co dzień użerać? - Caine wyciąga rękę. - A tę tam widzisz? To Angvasse Khlaylock. W przybliżeniu.

Angvasse pozdrawia Krisa skinieniem głowy.

- Cesarzu.

On odpowiada w ten sam sposób.

- Panie Bitew. C

aine rozdziawia usta.

- To wy się znacie?

- Zapomniałeś, jakie mam wyczulone zmysły?

- Nawet jeśli, to właśnie sobie przypominam, niech cię diabli... O co chodzi z tym kultem śmierci?

- O to, że nie należy się do niego mieszać.

- Jasna sprawa. Po prostu, wiesz, dziwię się, że powstał jakiś kult śmierci i nie ma w nim roli dla mnie. Czuję się urażony. Cierpię.

- Ależ jesteś w nim obecny, jak najbardziej - przyznaje smętnie Kris. -

Oni czczą Berne'a.

- Pierdolisz... I co, nazywacie ich „berny”?

- Bernici. To nie żart. Ofiary składane świętemu Berne'owi są zbiorowo gwałcone i torturowane przed śmiercią.

- Jezu Chryste... - Caine jest wyraźnie zde gustowany. - To znaczy, co, ja jestem dla nich zbyt łagodny? Wszczywanie wojen i mordowanie bogów jest za mało... grzeszne?

Duncan patrzy z niedowierzaniem na człowieka, który wygląda jak jego syn, i stwierdza, że on naprawdę czuje się urażony. Dziwne ma powody do dumy, doprawdy...

- Hari, ten kult po prostu istnieje i już. Nie zwracaj sobie nim głowy.

- Gdybyś zmienił zdanie, szepnij mi słówko. Kiedy zechcesz i gdzie zechcesz. Możesz na mnie liczyć.

- Mam nadzieję, że uporamy się z tym bez sięgania po tak... apokalip-tyczne rozwiązania.

319

- Ej no, Ankhana to nie była moja wina...

- Ankhana? - wtrąca Duncan. - A co się stało w Ankhanie? Albo co się stało Ankhanie?

Hari i Kris spoglądają na niego w taki sam sposób i odpowiadają uniso-no:

- To skomplikowane.

- Pytam tylko dlatego, że bez powodzenia próbuję sobie wyobrazić wydarzenie tak straszliwe, że nawet Caine nie chce przyjąć za nie odpowiedzialności...

- Bardzo śmieszne. Już lepiej stul dziób. - Caine odwraca się do Krisa. -

Posłuchaj, wiem, że jesteś zajęty, rządzisz cesarstwem i tak dalej, ale jesteś mi potrzebny. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Jeżeli tylko jest to w mojej mocy i nie stoi w sprzeczności z moimi obowiązkami wobec cesarstwa i Domu.

- Mamy poważniejsze problemy niż berny.
  - Bernici.
  - Muszę pokazać ci coś, co się nigdy nie wydarzyło.
  - Słucham?
  - To będzie przeszłość, ale nie nasza. Jeszcze nie. Rzecz w tym, że możemy sprawić, żeby to była nasza przeszłość.
  - Chcesz zmienić przeszłość? To coś jak... Interwencja? Przecież jesteś z Klasztorów. Jak możesz w ogóle rozważać coś tak szalonego?
  - Moduł sterujący w moim analizatorze obłądu dawno spalił się w pizdu. Wcale nie przesadzę, mówiąc, że od tego, co się stanie, zależy prze-trwanie wszechświata.
  - To znaczy, wszechświat przetrwa, jeśli to zrobisz? Czy jeśli ktoś cię przed tym powstrzyma?
  - Kurde, Kris, obaj wiemy, że czasem pakuję się w niezłe gówno, bo nie analizuję wszystkiego z wyprzedzeniem, ale...
  - Czasem?
  - ...ale ty jesteś moim przeciwieństwem. Może się okazać, że będziesz 320
- w tym wszystkim kluczową postacią, więc chcę mieć pewność, że zdajesz sobie z tego sprawę.
- Muszę ci przypominać, co się dzieje, kiedy daję ci się do czegoś na-mówić?
  - To właśnie chcę ci pokazać: co się stanie, jeśli cię do tego namówię.
  - Jeśli.
  - Tak. Wszystko jest warunkowe. Nierozstrzygnięte. - Caine spogląda na Duncana. - To samo odnosi się do wszystkiego, co pokazałem tobie.

Tam też nic nie jest pewne. Jedno pstryknięcie czyichś palców może wszystko wymazać w diabły. Ja wam pokazuję najlepszy możliwy efekt, rozumiecie? Co się stanie, jeżeli dostanę wszystko, o co proszę, i uda mi się zrobić to wszystko, na co wydaje mi się, że mnie stać.

Kris nie wygląda na przekonanego.

- Co to dokładnie jest, to „wszystko”, o którym mówisz?
- Co byś zrobił - pyta półgłosem Caine - gdybyś mógł cofnąć najgorszą rzecz, jaką w życiu zrobiłeś?



CHYBA POWINIENEM BYŁ TO PRZEMYŚLEĆ.

- DOMINIC SHADE

Barman jest pierwotnym. Włosy (na których ma więcej lakieru niż na ekstrawagancko długich różano-perłowych paznokciach) upina w trzy gro-teskowe platynowe fale, niczym podkulone skrzydła i sztywny ogon piku-jącego sokoła wędrownego; wkrętki z czarnymi perłami w podziurkowanej dolnej wardze mogłyby udawać oczy, a szpiczasto zakończony podbródek dziób. Woskowe, jakby półprzezroczyste policzki zdradzają nałogowego miłośnika *lachrymatis*, zresztą, dłonie mu drżą - wciąż jest na lekkim haju.

W oczach koloru nierdzewnej stali widać tylko zawodową uprzejmość i równie profesjonalny dystans, co jest imponujące, jeśli wziąć pod uwagę moje sztywne od podróżnego brudu ubranie, ogólne rozmemłanie i przykry zapach, jaki wydzielam.

Rzucam na bar lśniącego rojala.

- Brandy. Tinnarską, jeśli macie. Rocznik nie gra roli.

Wyraźnie urażony barman uśmiecha się szerzej i odsłania kły. U pierwotnego nie jest to przyjazny grymas. Chyba nie powinienem był dodawać

„jeśli macie”.

322

Gdzieś spod lady, z wysokości swojego krocza, wyławia nijako wyglądający dzbanek i odwraca się do lustra po koniakówkę.

- Czy szanowny pan życzy sobie przydymione szkło?

- W życiu! A koniakówki są dobre dla turystów. Lej setkę.

Już nie jest taki skwaszony. Stawia na jedwabnej serwecie wysoką, wąską setkę, napelnia ją z dzbanka i przygląda mi się wyczekująco, gdy piję.

To dobra brandy. Naprawdę dobra. Jedyne problem z nią polega na tym, że nie jest szkocką.

Widzi po mojej minie, że dobrze trafił. Wykonuje drobny gest lewą ręką i rojal z kontuaru wskakuje wprost do jego prawej dłoni.

Taka sztuczka, pewnie po to, żeby nie łamać sobie paznokci.

- Dzięki. Reszty nie trzeba.

Delikatna, prawie biała lewa brew unosi się o kolejny milimetr.

- Reszty, szanowny panie?

Jakoś udaje mi się nie zakrztusić brandy.

- Szanowny pan zaznaczył, że rocznik może być dowolny...

- Fakt. Tam, skąd pochodzę, oznacza to „lej, co masz najtańszego”.

- Ach tak. Przepraszam zatem za nieporozumienie. - Złoty rojal z cichym brzękiem wraca na kontuar.

- Brandy będzie na koszt firmy. W ten sposób najlepiej wyrażę swój żal.

- No już bez przesady. Po prostu chciałem dać ładny napiwek.

Ładny i efektowny; ankański robotnik zarabia ze dwa rojale miesięcznie, o ile jest naprawdę dobry. Mimo to, twarz barmana tężeje. Znow go obraziłem.

Najwidoczniej w tych okolicach dwutygodniowa wypłata nie jest niczym ładnym.

Dorzucam drugiego rojala. Barman trochę się rozpogadza.

Na drugiej monecie kładę trzecią.

- Rith. Przefermentowany. Co najmniej półroczny, ale roczny będzie lepszy.

- Do palenia czy do żucia, szanowny panie?

323

- Zapalę. Co więcej... - Dokładam jeszcze jednego rojala. - Słyszałem, że miejscowa mieszanka jest godna uwagi. Wasz liściarz cieszy się doskonałą opinią.

- Szanowny pan jest doskonale poinformowany. - Barman taje. - Mam zaszczyt pełnić obowiązki osobistego liściarza pani Kierendal. Gdyby nie wrodzona skromność, sam rozplęwałbym się w zachwytach nad naszą mieszanką.

Liściarz. Kiedy teraz mu się przyglądam, widzę, że czarna jedwabna ob-różka na szyi nie do końca maskuje siniak. Czyżby ktoś próbował go przy-dusić? Ciekawe.

I bardzo wygodne. Nie będę musiał się wygłupiać z paleniem. Od rithu boli mnie głowa.

- Powiem tak. - Stosik monet rośnie do pięciu sztuk. - Jeśli będę zadowolony, wytapetuję całe królestwo niesponsorowanymi referencjami.

- Zawsze cieszę się, gdy koneserzy doceniają moją sztukę, szanowny panie. Gdybym mógł być

pomocny szanownemu panu w jakikolwiek sposób, wystarczy szepnąć słówko.

- Owszem, mam sprawę... - Nachyłam się do niego nad blatem. -

Wchodząc tu, zjrzałem po drodze do saloniku i muszę przyznać, że nie znalazłem tego, czego szukam.

- Czyżby? Rzadko się zdarza, by nasi klienci skarżyli się na personel.

- Nie, no, personel macie spoko. Wszyscy śliczni jak z obrazka. Nawet ta ogrillowa suka jest niczego sobie, czego nie można zwykle powiedzieć o ogrillach. Rzecz w tym, że mam dość... konkretne wymagania.

Słowo „konkretne” podnosi brew barmana o kolejny milimetr.

- Oferta *Egzotycznej Miłości* zaspokaja nawet najbardziej wyrafinowane gusta, szanowny panie. Z radością spełnimy każdą... szczegółową prośbę wymagającego dżentelmena.

Zniżam głos - głównie po to, żeby mieć pretekst do jeszcze niższego pochylenia się nad barem:

- Zależy mi na osobie wyrafinowanej. Wyrobitej. Posiadającej 324

określone umiejętności. I określone gusta.

- Jak dokładnie określone?

- To proste. Musi to być ktoś, kto lubi grać ostro. Kto nie boi się pójść na całość. Kto to lubi. I nie boi się, że tak powiem, permanencji.

- Ach tak... - Jego rysy lekko się wyostają. Jest zaintrygowany.

Ja mu się nie dziwię.

- Ktoś doświadczony - mówię dalej. - Naprawdę doświadczony. Ponieważ w grę wchodzi permanencja, potrzebuję kogoś, kto zna tę materię na wylot.

- Jak bardzo doświadczony?

- Dziesiątki lat. Albo setki, jeszcze lepiej.

- Mhm...

Stalowszarskie oczy taksują mnie badawczo, dociekliwie, analitycznie; odnotowują blizny, szacują krzywiznę mięśni i kości pod podróżnym ubraniem z szarej serży, szukają oznak rozmiękczenia w talii, starzejącej się skóry pod brodą, zgrubień na skórze dłoni. To, co znajdują, odciska na jego masce zawodowca cień podziwu.

- Być może uda nam się sprostać tym wymaganiom, szanowny panie.

Obowiązuje jednak przepisowy strój...

- Mówisz o tym ubraniu? Możecie je spalić w pizdu.

- Ależ nie, szanowny panie, jeszcze raz przepraszam. Chodzi nie tyle o strój, ile o... sprzęt. - Pstryka palcami w geście, za którym mój wzrok nie nadaża, i wszystkie noże, które mam przy sobie, drżą w pochwach. Nie jest to niemiłe wrażenie; facet po prostu daje mi do zrozumienia, że o wszystkich wie.  
- W zabawie, o której rozmawiamy, dopuszczalne są wyłącznie miejscowe przybory. Dżentelmen o tak wyrobionym smaku z pewnością to rozumie.

- Mogę się chyba zdać na ciebie, że dobrze zaopiekujesz się moim sprzętem.

Kąciki ust mu drgają. Może powstrzymuje uśmiech. A może chce mu się rzygać. Albo jedno i drugie. To bez znaczenia. Nie za to płacisz kurwie, 325

żeby cię polubiła.

- W takim razie... - Opieram się łokciami o kontuar, przez co jeszcze bardziej przybliżam się do barmana. - Gdyby dżentelmen miał na myśli konkretną osobę... i chciał razem z nią rozkoszować się waszym znakomitym rithem... Mam na myśli osobę z wyrobionym gustem, która doceni jego wyjątkowy charakter...

W jego oczach widzę szelmowski błysk.

- Dałoby się to załatwić... Najpierw jednak dżentelmen zechciałby się zapewne, ehm... wykąpać.

- A czy znalazłaby się konkretna osoba, chętna umyć mu plecy?

Szelmowski wyraz spłynął z oczu na uniesione w uśmiešku kąciki ust.

- Osobiście o to zadbam.

Biorę do ręki stosik monet i potrząsam nimi jak kośćmi przed rzutem.

- Będzie miał kto stanąć za barem?

- O to proszę się nie martwić, szanowny panie.

- Doskonale. Do zobaczenia wkrótce. - Wyciągam przed siebie pięść pełną złota. - Dzięki.

Odruchowo wystawia rękę. Otwieram dłoń i wypuszczam złoto, a kiedy on jest zajęty łapaniem monet i pilnowaniem, żeby połamane paznokcie albo inne nieprzewidziane wypadki nie zakłóciły jego idealnej służby, chwytam go za przegub i przyciągam do siebie po kontuarze. Akurat zdąża

- no, prawie - zamrunąć, kiedy moja lewa kontra rozmazuje mu nos na tych niebosiężnych kościach

policzkowych.

Ma wyraźny problem z ponownym otwarciem oczu, a zamiast krzyczeć na trwogę mówi tylko „muhaaghk”, ja zaś przez ten czas chwytam go za jedno z tych lakierowanych sokolich skrzydeł i skręcam je w dłoni w taki sposób, że powinienem mu wytargać garść piór. Co zresztą faktycznie mi się udaje. Efekt jest nawet lepszy od spodziewanego: całe to kurestwo odrywa mu się od łba, którego gładziutko wygolona powierzchnia jest po-szatkowana bliznami w kolorze klawiszy starego fortepianu.

326

Peruka. Ależ oczywiście, że to peruka, ćwoku. Inaczej musiałby od no-wa układać tę chujowiznę po każdym bzykanku.

Dopiero kiedy uderza mnie ciężar tego ustrojstwa, uświadamiam sobie, że to jednak nie peruka, tylko element biżuterii. To nie jest zwykły platynowy blond, lecz najprawdziwsza platyna. Udająca włosy.

Nieźle. Rojal to chyba faktycznie gówniany napiwek w takim lokalu.

W ciągu tej sekundy, której mój wytężający się umysł potrzebuje, żeby zatoczyć krąg i wyruchać sam siebie w dupala, barman się otrząsa (jest twardszy, niż wygląda, a najgorsze, że ja to przecież od początku wiedzia-

łem, do kurwy nędzy!) i wydaje wrzask, jakiego nie powstydziałaby się banshee. Jazgot wibruje mi pod czaszką jak wycie policyjnej syreny.

Wzdrygam się i odskakuję, czyli robię dokładnie to, czemu ma służyć ten pisk, ale to jeszcze nie powód, żeby puścić jego nadgarstek. Więc nie puszczam. A pół sekundy później stwierdzam, że wrzask nie dobył się bynajmniej z jego ust.

Stwierdzam to, gdyż jego usta przywarły do przegubu mojej prawej dłoni i okazuje się, że te jego pierdolone kły są jeszcze ostrzejsze, niż się na pierwszy rzut oka wydawały (a wydawały się kurewsko ostre), wrzask trwa i trwa, on mi się pomału przegryza do kości łokciowej, mógłbym wprawdzie sięgnąć drugą ręką i złamać mu kark jak ołówek, ale to bardzo niedo-bry pomysł, więc zadowolam się wbiciem mu kciuka pod zuchwę i siłowym rozwarciem szczęk, i wiem już, że najwyższy czas spierdalać, bo nagle sobie przypominam, że Kierendal lubi zatrudniać ogry w kolczugach w charakterze wykidajłów.

Co bym musiał zrobić, żeby zobaczyć jego prawdziwe włosy? Ściągnąć mu nachy?

Czy elfy w ogóle mają włosy łonowe?

Kiedy tak sobie kombinuję, on rzuca się na mnie zza baru jak jakaś jebana puma, same zęby i pazury. Cofam się i w ostatniej chwili stawiam gardę. Przyjmuję na nią bardzo profesjonalne kopnięcie boczne, które i tak odrzuca mnie wstecz. Tępy żar przenika mi lewe ramię. Tryska krew. I nie 327

jest to krew barmana.

No, zajebicie po prostu... Facet nosi szpilki.

Bardzo ostre. Jak szpilki.

Nawet warczy jak puma.

- Ty męcie jebany! Żaden pierdolony dzikus nie będzie mnie macać ty-mi swoimi brudnymi łapami, dopóki mi dobrze nie zapłaci!

Nie, właściwie nie jak puma, tylko jak podkurwiona dziwka.

Skacze na mnie i nagle wszędzie jest go pełno: kopie, bije, kurwa, paznokcie ma jak brzytwy, rzuca się jak błyskawica w butelce, w której ktoś zamknął moje głupie dupsko. Jest szybszy niż Berne, najebany *lachrymatis*,

prawdziwa sieczkarnia; co drugim trafieniem rani mnie do krwi. Nie umieram jeszcze tylko dlatego, że jestem od niego dwa razy większy, a szybkość tylko w ograniczonej mierze kompensuje słabszą muskulaturę. Poza tym wiem, jak się ruszać, żeby nie wystawiać głównych tętnic na strzał.

Wycofuję się, zasłaniam i pilnuję, żeby szponami nie chlasnął mnie po szyi, nie trafił w okolice serca ani wątroby.

Dobra, przyznaję: mogłem się spodziewać, że zaprawiony w bojach kurwiszon, który ma trzysta lat, okaże się ostrym zawodnikiem. Poza tym pochodzi z arystokracji, jasna sprawa, dziesięciolecia ćwiczeń i treningów, sztuki walki, te rzeczy - ja to wszystko wiem, tylko że nie planowałem rozgrywać tego publicznie i teraz nie mogę go zabić, a on oczywiście nie ma takich skrupułów:

To by był dobry moment, żeby zasunąć tekstem „Dobra, gościu, a teraz się ode mnie odpierdol. Jestem Caine”, tylko że tutaj jeszcze przez wiele lat nikt nie usłyszy tego imienia.

Mam za swoje, improwizować mi się zachciało.

Zostało mi góra dziesięć sekund, zanim przybiegną ochroniarze - i bardzo dobrze, bo jeśli ten numer nie wypali, będą potrzebni, żeby mnie ratować. Cofam się w lewo, aż opieram się tyłkiem o jeden ze stołków baro-wych. Naczelna zasada - jedyna zasada - w walce z mocniejszym 328

przeciwnikiem brzmi: nie boksuj z bokserem, nie siłuj się z siłaczem, nie strzelaj do strzelca.

Inaczej mówiąc, nawet sto lat praktyki w rycerskich pojedynkach nie przygotowuje na cios stołkiem w pysk.

W każdym razie, warto spróbować.

Okręcam się na pięcie, zwiększam dystans, chwytam stołek i kontynu-uję piruet, mierząc świszczącym w powietrzu meblem prosto w te jego zasrane kły, a on ugina kolana, robi unik - ależ jest szybki, skurwysyn -

rozpędem wchodzę w drugi obrót, tym razem celuję w kolana, on wybija się w powietrze jak sprężyna, przeskakuje nad stołkiem i kopniakiem w wyskoku mierzy prosto w moje prawe oko, tylko że mnie teraz chuj obchodzi, jaki on jest szybki, bo wiem, że w locie nie zrobi uniku, trafia piętą w nogę od stołka i jego kościste elfie dupsko frunie w pizdu pod ścianę, łagodzi upadek przewrotem w tył, ale zanim zdąży się pozbierać z podłogi, ja już szarżuję, zasłaniając się stołkiem jak tarczą, która celuje w niego czterema nogami, bo druga rzecz, której nie uczą rycerzy, to jak sobie poradzić z przeciwnikiem, który próbuje cię trafić czterema kijami jednocześnie.

Decyduje się na niskie obrotowe kopnięcie w przysiadzie, równoległe do podłogi, mniej więcej na wysokości moich kolan, ale trafienie prosto w rzepkę nie wybija mnie z rytmu i spadam na niego z góry, rozdziela nas tylko stołek, podpórka pod stopy miażdży mu nos, jedna noga trafia w bark, druga pod serce, patrzę, jak przewraca oczami, a ja, kurwa, marzę tylko o tym, żeby chwilę tak poleżeć i odsapnąć, ale podłoga już drży od tupotu buciorów większych i cięższych, niż mógłby włożyć człowiek.

Łapię go za bezwładną rękę i jego własnym brzytwiastym paznokciem przecinam mu obrożę na szyi. Przy okazji zdieram mu trochę skóry, co zupełnie mi nie przeszkadza. Zwijam obrożę i maczam we krwi tryskającej z rozkwaszonego kinola. Powinno wystarczyć.

Jezusie, ależ będę miał przejebane, jeśli pomyliłem kurwy...

329

Tupot z lewej strony nagle cichnie. Rzucam się przewrotem w tym kierunku. Jedną ręką wpycham sobie obrożę za pazuchę, a drugą walę zdumiewająco trwałym stołkiem prosto w krocze ogra mierzącego dziewięć stóp z hakiem. Nie robi to na nim wrażenia.

Oczywiście: kolczuga plus saczek. Czy już się dobrze bawię?

No, mogło być gorzej. Ogr boi się uszkodzić elfa, więc zamiast od-mózdzić mnie nabijaną gwoździami, wielką jak na kreskówkach pałą, się-

ga w dół, żeby mnie złapać. Robi to jednak na tyle wolno, że zdążam odtur-lać się od niego, wstać i znów chwycić stołek w garść. Po jego stronie barykady sprawy wyglądają źle: chwycił mocniej maczugę, drzwi, przez które wszedł, właśnie wypełniają się sylwetkami dwóch krzepkich skalników, a drugi ogr, jeszcze większy, właśnie przemieszcza się w kierunku drugiego wyjścia z sali, żeby całkiem je zablokować.

To chyba Clausewitz powiedział: „Kiedy masz wątpliwości, bezzwłocznie atakuj”. Albo może Lombardi.

Pochylam głowę i szarżuję w kierunku ostatniej resztki dziennego światła, jaka mi została: błyskawicznie kurczącej się luki między tym drugim wielgachnym skurwielem i łukowato sklepionym wyjściem. W jednym miejscu drobię, co pozwala mi wykonać kolejne pół obrotu i z całej siły cisnąć stołkiem prosto w jego głowę. Podnosi ręce, żeby zasłonić się przed koziołkującym pociskiem, i odwraca się bokiem, kiedy stołek w niego trafia, a ja tymczasem przemykam obok jego krocza, pod

łukiem, i robiąc przewrót, wypadam na korytarz, staję na nogi i pędzę do wyjścia. Jeśli do-padnę do drzwi, powinienem być bezpieczny. Jakkolwiek by na to patrzeć, nikogo nie zabiłem.

Kurna, prawie się nie połała krew! A jeśli już, to moja.

Jest środek dnia i na ulicy jest tak jasno, że w pierwszej chwili niewiele widzę, ale mój słuch i dotyk działają bez zarzutu: słyszę skwierczący świst tuż obok mojej głowy, czuję podmuch czegoś, co przelatuje stanowczo zbyt blisko. Ułamek sekundy później z przodu dobiega metaliczne *sparing* i fragment kamiennej fasady sklepu po prostu eksploduje.

330

Co jest, kurwa?

Hamuję z poślizgiem i oglądam się przez ramię. Dwa ogry pędzą na mnie ile sił w nogach, a za ich plecami trzeci rozkręca procę i rzuca czymś okrągłym i błyszczącym prosto w moją twarz, w ostatniej chwili robię unik, pocisk trafia w ścianę, kamienne odłamki furkoczą we wszystkie strony i widzę już, że kutas ciska we mnie metalowymi kulkami, które wyglądają jak kulki z łożyska, tylko są wielkości mojej pięści. Jezu Chryste, nawet draśnięcie czymś takim może zabić.

Chyba sobie jeszcze pobiegam.

Stalowa igła, długa na metr i ostra jak brzytwa, ma na ten temat inne zdanie: wbija mi się z tyłu pod kolano, przeszywa staw na wylot, skrobie w rzepekę od spodu i nalega, żebym wyrzwał twarzą na bruk. Jest cholernie przekonująca. I właściwie jej rada wychodzi mi na dobre, bo w ten sposób unikam trafienia sześcioma czy siedmioma jej koleżankami, które przelatują na wysokości mojego tyłka z dźwiękiem, jaki mogłby wydać milion wkurwionych ważek.

Pad na ryj zamieniam w przewrót przez bark i po drodze wyciągam sobie to kurestwo z nogi, zanim uderzenie o nawierzchnię wepchnie je głębiej i przebije mi kość na wylot. Staję na nogach z bronią w ręce i... Ja pierdolę w tę i nazad: to drzewinkowa lanca.

Drzewinki. Nienawidzę skurwysynów.

Nie jestem bigotem. Dogadujemy się, dopóki niewidzialne nie bzyczą mi wokół głowy i nie próbują dźgnąć mnie lancą w oko, ale to nie jest jedna z tych sytuacji. Przed nimi nie ucieknę. Muszę się gdzieś schować, do jakiegoś wnętrza, ciasnego, najlepiej opancerzonego. Zanim jednak znajdę coś takiego, ogry przypominają mi o swojej obecności: jedna z tych jebanych stalowych piłek do baseballa trafia mnie w prawy bark. Impet uderzenia okręca mnie w miejscu.

W mordę...

Gdybym miał chociaż pół sekundy, mogłbym dostroić się do Płaszcz drzewinków i je zobaczyć, ale to wymaga koncentracji, która chwilowo jest 331

uskoczyć za stojący w pobliżu żłób, zanim ogry skopią moje smętne dupsko na dno Ciernistej Rozpadliny. Na dodatek kwestia schowania-się-

do-jakiegoś-wnętrza też staje się problematyczna, ponieważ zatłoczona ulica z obleganymi przez klientów sklepikami zmienia się w mgnieniu oka w dzielnicę wymarłego miasta. Zamknięte na głucho sklepy upodabniają się do bunkrów, co jeszcze bardziej utrudnia mi życie, bo kołesie, którzy mnie gonią, nie muszą się już przejmować niewinnymi przechodniami, a od strony *Egzotycznej Miłości* dobiega miarowe *czump, czump, czump* podku-tych buciorów i synkopowany metaliczny łomot, jakby nawalone kofeiną goryle waliły w kotły, Panie Jezu Miłosierny, to maszeruje oddział skalników. I mają co najmniej jednego zaklinacza kamienia.

Nie wiadomo jak i kiedy moja nieprzemyślana bójka w barze przeobraziła się w *Największe Przeboje* w wykonaniu Brygady, Której Lepiej Nie Podskakiwać. I to wszystko przez jedną elficką kurew płci męskiej? Ależ oni muszą go kochać.

A może Kierendal po prostu wie, kim on naprawdę jest.

Dobiegające zza złoju dwa głucho uderzenia i trzask pękającego drewna świadczą o tym, że nikt tam o mnie nie zapomniał. Wyżej. Muszę wspiąć się gdzieś wyżej, i do diabła z drzewinkami, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie stawia czoła zaklinaczom kamienia, stojąc na bruku.

Przetaczam się na drewniany chodnik i turlam się po nim do miejsca, w którym mogę wstać, opierając się o ścianę domu. Jedna z zabójczych kulek roztrzaskuje cedrowe deski na niespełna szerokość dłoni od mojego lewego biodra, ale przynajmniej stoję na drewnie i mam drewno za plecami, a to oznacza, że skalnicy mogą poczekać. Sklep znajdujący się dwoje drzwi dalej wystaje sześć stóp przed pierzeję ulicy - to jest sześć stóp litej osłony przed ogrami, rzucam się więc w tamtą stronę wysokim tygrysim skokiem i osłaniam głowę rękami, który to manewr taktyczny przypłacam trafieniem kulka z łożyska w prawy pośladek. Pocisk spycha mnie w bok w locie i drętwieje mi cała noga, ale mogło być gorzej. Czasem w trakcie strzelaniny 332

warto wystawić dupę, bo zawsze znajdzie się po drugiej stronie jakiś popieprzony żartowniś, który postanowi ci ją odstrzelić zamiast głowy.

Wprawdzie postrzał w zadek to nie koszyk róż, ale i tak lepsze to niż większość innych możliwości.

Przypadam do ściany i przyklękam na jedno kolano; prawa noga odmawia współpracy, ale udaje mi się odwrócić w taki sposób, żeby mieć przed sobą całą długość chodnika - najlepszy tor nalotu dla rozpędzonych drzewinków. Doświadczeni lansjerzy zwykle mierzą w oczy, ale ten, który dziabnął mnie w kolano, chciał mnie raczej unieruchomić niż zabić. Poza tym, Płaszcz to nie to samo, co prawdziwa niewidzialność. Wpływa tylko na umysł ofiary, nie zmienia oświetlenia, nie odkształca przestrzeni, nic z tych rzeczy. Otwieram więc szeroko oczy, rozluźniam ręce, rozcapierzam palce i zdaję się na odruchy. Mój umysł nie rejestruje drzewinków, ale oczy mam przecież sprawne.

Podobnie jak ręce.

Lewa ręka wystrzeliwuje w przód na wysokości kolana - i z wierzchu dłoni już sterczy pół drzewinkowej lancy; dalej nie weszła, bo lansjer trzyma ją w połowie długości za uchwyt. Prawą ręką łapię go za nogi, robię półobrót i wystawiam go, odwróconego plecami, wprost na cios drzewinki leżącej tuż obok. Jej lanca przeszywa go na wylot i dźga mnie w lewy bark, przechodzi tuż

pod obojczykiem i ociera się o pierwsze żebro, co za chuja nie poprawia mi humoru, postanawiam więc odpłacić jej pięknym za na-dobne, wyrywam lancę z dziury w lewej dłoni, odwracam broń ostrzem do przodu i nadziewam na nią tę głupią sucz jak na pal.

Z warknięciem chwyta lancę oburącz i próbuje przesunąć się po niej w moją stronę, nabijając się coraz głębiej i wywrzaskując piskliwe przekleń-

stwa; brzmi w tej chwili jak rozjuszona wiewiórka. Jej partner po prostu wrzeszczy. Wrzask drzewinka nie jest jakiś szczególnie głośny, ale wgrzyza się człowiekowi w ucho jak wzmocniony sprzężeniem zwrotnym zgrzyt paznokci po tablicy.

- Zamknąć się - mówię i dla podkreślenia trafności swojej sugestii ściskam lance obiema rękami za końce. Miażdżone drzewinki przestają 333

wrzeszczeć i przeklinać, a zaczynają sapać i jęczeć piskliwie. - Ojej, zabołało? No to pięknie, kurwa, bo mnie też boli. Na przykład ręka. I bark. I kolano. Więc albo mordy w kubeł, albo pozdejmuję was bokiem z tych waszych pierdolonych wykałaczek.

Chyba coś do nich dociera, bo przestają się drzeć i szarpać. Może tracą przytomność. A może właśnie umarli. Jakoś nie potrafię się tym przejąć.

Czas się przekonać, jak głęboko wpadłem w gówno.

- Wychodzę! Mam zakładników!

Trzymając drzewinki przed sobą, wychodzę na chodnik, żeby rozeznąć się w sytuacji. Widzę trzy ogry, ze dwudziestu pięciu pancernych skalników, nieokreśloną liczbę drzewinków i jednego bardzo wkurzonego elfa, do którego kiwam głową.

- Człowieku, nie wygłupiaj się. Przepraszam. To nie tak miało być.

- Nie jestem człowiekiem. - Obnaża kły do tego stopnia, że cała jego twarz składa się już tylko z oczu i zakrwawionych zębów. - Ty dzikusie, ty gwałcicielu, ścierwo pieprzone... Zabić go.

Gwałcicielu?

- Zaraz, chwila...

- Zabić go!

- Ej, kurwa, powiedziałem: chwila! - Pokazuję mu drzewinki. - Na razie nikt nie zginął. Powiedźcie im. - Dla zachęty potrząsam lancami. - No już, zasrańce.

- Ja jeszcze żyję - piszczy bez entuzjazmu drzewinka.

- Ja też - wtóruje jej mężczyzna.

- Rozumiecie? Nikogo nie zabiłem, przynajmniej nie dzisiaj. Ale niedługo będzie za późno, żeby tę dwójkę dało się uratować klaskaniem w łapki.

Wszyscy pochmurnieją. No, kurwa, tym odwołaniem do Dzwoneczka błysnąłem jak chrząstka w salcesonie.

- Zrozumcie, gdybym naprawdę był bandziorem, niektórzy z was już by nie żyli. Ci dwoje na bank, i ręczę, że nie oni jedni. - Przenoszę wzrok na kurwę. - Mogłem cię zabić w barze, co najmniej dwa razy. Nie wiem, co im 334

powiedziałaś, ale widziałem, co potrafisz. A że nie jesteś głupi, to masz pewne pojęcie, co ja potrafię. Wiesz, że żyjesz tylko dlatego, że tak zdecydowałem. Dwa razy. Co ja mówię, trzy razy: przecież mogłem cię stuknąć jeszcze zanim wylazłeś zza kontuaru. Ale tego nie zrobiłem. Nikt nie zginął

i nie zginie, dopóki ty tak nie postanowisz.

- I co, mam ci podziękować? Ludzie. Dzicz. Hołota. Nic, tylko byście brali i brali; grabicie, rabujecie, gwałcicie, a potem każecie sobie dzięko-wać, że zachowaliście ofiarę przy życiu!

- Dobra, ludzie są beznadziejni, niech ci będzie. Chociaż nie aż tak, że-byś nie miał ochoty dać mi się zerznąć w dupala, co?

Blednie jeszcze bardziej, tylko zęby ma czerwone. No i teraz oczy. Podnosi ręce i powietrze wokół jego dłoni skwierczy białym ogniem, i wiecie co, naprawdę powinienem raz na zawsze sobie zapamiętać, że warto być dla innych uprzejmym bez względu na to, jak zarabiają na życie, bo mam wrażenie, że w tej chwili gość kładzie lachę na drzewinki, sklepy i w ogóle całe to zafajdane miasto. W tej chwili chce po prostu usmażyć mi dupę.

Tymczasem jeden z ogrów wykazuje się zdrowym rozsądkiem, jakiego zwykle się po ogradach nie spodziewamy: kładzie elfowi rękę na ramieniu, nachyla się do niego i szepcze mu słówko albo dwa do tego szpiczastego uszka. Obnażone zęby znikają, oczy znów robią się fioletowe i zamiast mnie rozpirzyć, po prostu wyciąga rękę w moją stronę i mamrocze:

- Ciało odejmę połowę mocy... Błyskawica przecina powietrze między nami. Wzruszam ramionami.

- Chyba nie trafiłeś.

Marszczy brwi. Widzę, jak magja znów gromadzi się wokół niego.

- Oka błysk o północy...

- Mhm. Powodzenia życzę.

Warczy coś po swojemu i powietrze wokół mnie zaczyna się mienić, jakbym wsadził łeb prosto w tęczę. Oczy mi łzawią, w nosie mnie kręci...

- Wrózkowy pył? No, proszę cię...

Ale on najwyraźniej nie żartuje, a jego wrózkowy pył to nie przelewki, 335

bo nagle gwałtowne kichnięcie zgina mnie w pół i wypuszczam drzewinki z rąk, a kiedy próbuję nabrać tchu, kręcenie w nosie zamienia się w kolonię rozjuszonych tropikalnych mrówek, które maszerują mi po zatokach, pro-wokując następne kichnięcie, od którego krew tryska mi z ust i nosa, osu-wam się na kolana, przed oczami latają mi głównie poszarpane czarne placki, a zamiast mrówek mam teraz we łbie galon stężonego kwasu siar-kowego, który konwulsyjnym dyszeniem wciągam do płuc, i wtedy ktoś mówi...

- Niech cię Khryl błogosławi, przyjacielu. Niech Pan Sprawiedliwy stanie pomiędzy tobą i straszliwą magią mrocznego ludu.

...i chyba faktycznie tak się właśnie dzieje, bo nagle mogę znów oddychać i nawet coś tam widzę...

Wstaję i wycieram twarz. Autorka błogosławieństwa, moja uzdrowi-cielka, stoi na ulicy dwadzieścia pięć stóp ode mnie. Patrzy na ogry, skalników i elfa, a na jej twarzy maluje się niedorzecznie sceptyczne zakłopo-tanie. Pod pachą trzyma drewniany antałek.

- Parę włosów z jego głowy, powiedział - mówi. - Dosłownie parę wło-sów. Nie będzie zamieszania, nie będzie awantury. Tuzin rojali i sprawa załatwiona, powiedział. Nie będzie rzezi, która podąża jego śladem jak kruki za wojskiem. Tylko parę włosów z jego głowy. Tak powiedział.

- Ehm... - Gdybym nie był taki poobijany, właśnie bym się rumienił. -

To skomplikowane.

- Doprawdy? A niech mnie licho, sądząc po tej scenie, nikt by się chyba nie spodziewał żadnych komplikacji.

- W mordę jeża... - Zaczynam się bać. - Jesteś pijana.

- W mordę jeża - powtarza. - Krwawisz.

Patrzę na nią, na nich i znowu na nią.

- Mam to, czego potrzebujemy. Moglibyśmy jakoś się... no wiesz, wycofać...?

- Mielibyśmy oddać pole? Podać tyły? Lękasz się tych... zwierząt? - Jest ewidentnie urażona. - Czyżbym aż tak się pomyliła w ocenie twojej odwagi?

336

- Każdemu się zdarza. - Potrząsam głową, żeby krew nie ściekała mi do oczu. - To nie są zwierzęta. W dodatku są o wiele groźniejsi, niż wygląda-ją.

- To tak jak ja.

Z tym nie będę się spierał. Jest w niej coś takiego - w jej posturze, w tej prostej, niewzruszonej, niezachwianej pewności siebie - że jak żywa staje mi przed oczami Marade („Chcesz uciekać? Wycofać się? Czmychnąć?

Zwiąć? Nie chciałabym użyć słowa zaczynającego się na C”) i zapominam, co chciałem powiedzieć.

- Bardzo nisko upadłam, ale nadal zaliczam się w poczet Mistrzów Legend.

O, już wiem, co to było:

- No i chuj. Za pięćdziesiąt lat...

- Jestem, kim jestem. Gdziekolwiek i kiedykolwiek jestem. Moje obowiązki pozostają niezmiennie.

Mam ochotę jej powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoje obowiązki, ale byłaby to z mojej strony niewdzięczność, biorąc pod uwagę fakt, że tylko dzięki nim jeszcze dycham.

- Nie mieszaj się do tego, ludzka krowo - prycha pogardliwie elf. - To złodziej i gwałciciel. Zostaw go nam.

- Ja twierdzę inaczej i dlatego nie zamierzam go zostawić - odpowiada ona spokojnie. - Czy poddamy nasze przekonania próbie, tu i teraz?

- Jesteś nienormalna...

- Być może. Jestem również Rycerzem Khryła.

To zwraca powszechną uwagę. Ogry zaczynają się niepokoić, skalnicy spoglądają po sobie ponuro. Wszyscy przynajmniej słyszeli o Zakonie Khryła.

Zakon jest w chuj groźniejszy ode mnie. I jeszcze trochę.

- Nie mogliście wiedzieć, że chroni go tarcza Pana Bitew. Dlatego nie żądam od was ofiary życia za to, że przelaliście jego krew.

Od tej pory nie możecie się jednak tłumaczyć niewiedzą, dlatego, kto następny podniesie na niego rękę, nigdy więcej ręki już nie podniesie. Nie 337

na tym świecie.

- Jesteś Rycerzem Khryła? Nie kpij...

Elf krzywi się pogardliwie. Właściwie trudno mieć do niego pretensję, bo kiedy ona tak stoi na ulicy w podróznym ubraniu z surowego płótna, to wygląda jak zwyczajna dwudziestoparoletnia dupencja, seksowna, może nieco męska, z kasztanowymi włosami i awersją do makijażu. Przynajmniej dopóki

nie zwróci się uwagi na muskularną szyję i podejrzanie grube, silne nadgarstki.

- Jak cię zwa? Wy, Rycerze, lubicie się przechwalać, zdaje się? To jak, usłyszę jakiś zwierzęcy jazgot o twoim rodzie, randze, posiadłościach...

Żołądek zaciska mi się jeszcze mocniej, ale ona odbija piłeczkę jak urodzona aktorka:

- Gdybyś zamierzał mi stawić czoło jak człowiek, grzeczność nakazywałaby mi Proklamację: powinnam podać prawdziwe imię, szarżę i nazwę ziem, którymi władam. Ponieważ jednak nie jesteś człowiekiem, to i tak dostałeś już więcej, niż zasługujesz.

- Jesteś khrylianką, tak? To dlaczego pokazujesz się publicznie bez zbroi? I gdzie twój jebany morgensztern?

- Mam urlop.

Nawet nie mrugnęła. Naprawdę, urodzona aktorka. Tłumię śmiech, bo nie chcę nikomu przypominać o swojej obecności.

- Urlop, tak? Sranie w banię... - Elf zwraca się do stojącego obok ogra: -

Przepędź stąd tę wariatkę.

Ogr marszczy brwi z powątpiewaniem, ale zaczyna rozkręcać procę.

Ona ani drgnie.

Ogr nadaje kuli taką prędkość, że widzę ją tylko jako srebrną smugę.

Ona nawet nie mruga, gdy trzymany pod pachą antałek eksploduje. Pie-nisty bursztynowy płyn bryzga jej na spodnie i ścieka do butów. Piwo.

Sądząc po zapachu, dobre piwo.

- Chyba nie powinienes był tego robić - mówię do ogra.

Nie będę po nim płakał, zwłaszcza kiedy przypomnę sobie o wielgachnym siniaku, który mam w tej chwili w miejscu prawego półdupka, ale 338

biedny pierdoła nawet nie potrafi sobie wyobrazić, jak bardzo się pograżył.

Ona z marsem na czole spogląda na szczątki beczułki, po czym kuca i bierze metalową kulę do ręki. Waży ją w dłoni.

- Ciekawe...

- Nie zabijaj go.

Spogląda na mnie.

- Naprawdę nie powinnam?

Rozkłada zakrwawione ręce.

- Mógł cię trafić w twarz, gdyby chciał.

Z namysłem kiwa głową. Bierze zamach, ale ogr jest szybszy: druga kula z wizgiem przesywa powietrze i z druzgocącą siłą trafia prosto w prawy staw barkowy. Sterczące z rany kawałki kości przebijają skórę i ubranie.

Zatacza się, ale stoi. I sprawia wrażenie rozdrażnionej.

Nawet nie wypuściła kuli z ręki.

- Piękny rzut - przyznaje. - Celny. - Przekłada kulę do lewej ręki. - Ale ja nie jestem praworęczna.

Tym razem nie widać zamachu, tylko rozmazaną plamę w miejscu ręki.

Szybszy niż ludzkie oko stalowy pocisk ryczy w powietrzu i pierś ogra zapada się jak krater meteorytu, razem z kolczugą i całą resztą. Pada na ziemię, jakby ktoś zwałił mu na łeb kamienicę.

- Rany boskie... Co ja ci powiedziałem?!

- Słyszałam twoją radę.

- Niech cię szlag...

Ona jednak już podchodzi do pozostałych ogrów i skalników. Łapie się lewą dłonią za prawy nadgarstek, wzrusza ramieniem, pociąga za rękę - i odłamki kości znikają w otworach, z których wyszły. Ogrzy i skalnicy zaczynają się cofać.

Przystaje nad dogorywającym ogrem.

- Dzielnie walczyłeś. Jeżeli jeszcze kiedyś się spotkamy, możesz zwracać się do mnie w taki sam sposób, jak niektórzy moi rodacy: Vasse - mówi z powagą, ale i z nutą dumy w głosie. - Vasse Khrylget. Zapamiętaj.

339

Myślę, że zapamięta. Myślę, że wszyscy zapamiętają. Unosi głowę.

- Khryl jest nie tylko patronem bitew, lecz także sprawiedliwości. To szlachetne stworzenie nie musi umrzeć. Tak jak nie muszą umrzeć wasi chochlikowi przyjaciele; Miłość Khryła ich także może ocalić. Nie poproszę Pana Sprawiedliwego o łaskę, dopóki nie zagwarantujecie, że ja i ten mężczyzna będziemy mogli stąd bezpiecznie odejść.

Elf patrzy na nią spode łba. Pewnie zastanawia się, jak to załatwić, żeby mimo wszystko wypatroszyć mnie po kawałeczku.

- Kurwa, gościu... - odzywam się. - Piździelcu niedojebany, ilu jeszcze twoich kumpli musi zginąć przez to, że uraziłem twoją dumę?

- Okradłeś mnie. Mnie i *Egzotyczną*. Przemocą.

- Chodzi ci o ten strzępek czarnego jedwabiu? No, weź nie pierdol...

- Mówię o przywileju dotykania mojego ciała, ty odrażająca, dzika, krwiożercza małpo.

- Nieźle. Powinieneś pisać kartki z życzeniami.

- Jestem profesjonalistą. W tej krainie wszyscy znają mnie i szanują.

Książęta Gabinetu klękają przede mną i błagają, bym łaskawie pozwolił im obwąchać swoje kostki.

O, kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa. Zaczynam rozumieć.

Nie zagadałem go jak jakiś przeciętny klient, tylko jak dorosły, do-

świadczony facet, któremu zamarzyła się wyrafinowana zabawa z innym facetem, który go jara; zbieżność gustów, podobieństwo doświadczeń, szczerza nadzieja na krok czy dwa w kierunku autentycznej bliskości, żeby nie traktować tego jak transakcję, tylko bardziej jak randkę.

Jezusie Nazareński, powinienem był wiedzieć, że polecą na coś takiego.

Od wieków tego szuka.

Przecież to dlatego tak przypadli sobie z Krisem do gustu.

Można być wrednym patafianem, spoko. Ale żeby do tego być komplet-nym idiotą?

- Posłuchaj - mówię - przepraszam. Naprawdę jest mi przykro. Tak bardzo, że nie umiem tego wyrazić słowami. Zachowałem się jak palant 340

i naprawdę, naprawdę tego żałuję. Jeśli cię to pocieszy, za barem zostało jeszcze ze sześć, siedem rojali...

Zamiast jego twarzy widzę już wyłącznie zakrwawione zęby.

- Myślisz, że mnie chodzi o pieniądze? - cedzi.

- Nie. Wiem, że nie. Uwierz mi. Po prostu... myślałem, że zrozumiesz.

Przepraszam. Powinienem był ci zaufać.

Teraz jest zdziwiony. Wolę to niż tę jego minę mordercy.

- Dlaczego miałbyś mi zaufać?

- Bo mamy... wspólnego znajomego.

- To mało prawdopodobne.

- Przyjaciele nazywają go Rroni.

Zaciska wargi z takim impetem, że nawet stojąc po drugiej stronie ulicy, słyszę szczęk jego zębów.

- Nie znam nikogo o tym imieniu.

- Może tutaj przedstawia się inaczej. Od dłuższego czasu się ukrywa.

Rodzina go szuka. Zresztą, nie tylko rodzina. Mają wrogów. Ci wrogowie też chętnie by go znaleźli.

Jego zmrużone oczy są wąskie jak rany od noża.

- Mów dalej.

- Mogę nie wiedzieć, gdzie jest Rroni, ale muszę przekonać pewnych ludzi, że wiem. Rozumiesz? Nie muszę im nic powiedzieć; wystarczy, że im wmówię, że mogę to zrobić w każdej chwili.

- A co będzie z twoim... przyjacielem?

- Nic. Zupełnie nic. Nie chodzi o niego, tylko o jego rodzinę. Zresztą, on wcale nie musi mi ufać. Wystarczy, że ktoś mu powie, co jest grane, i wtedy... No, albo dojdzie do wniosku, że nie dochowam tajemnicy, a wtedy będzie miał aż nadto czasu, żeby znaleźć sobie nową kryjówkę, albo uwierzy mi na słowo i nie będzie musiał w ogóle nic robić.

- Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś?

- Gdybym miał choć cień podejrzeń, że możesz być tak kurewsko niebezpieczny, tak właśnie bym zrobił. Tylko że wtedy raczej bym cię nie

przekonał. Teraz jest inaczej: widzisz, że kładę na szali swoje życie. Dlatego mam nadzieję, że mi uwierzysz i rozstaniemy się jak przyjaciele.

- Słowo „przyjaciele” jest w tym wypadku monstrualnym nadużyciem -

cedzi ponuro, taplając się w resztkach gniewu. - Do tego stopnia, że przerasta samą ideę monstrualności.

Znów mogę nieco swobodniej odetchnąć.

Angvasse przyklęknęła już przy ogrze i ogląda jego ranę, ale teraz spogląda na mnie. Przymyka

leciutko powieki i posyła mi minimalistyczne skinienie głowy. Właściwie to krępujące dla etatowego bandziora w moim wieku i z moim doświadczeniem, żeby jarać się jak zapalka tylko dlatego, że jakaś dziewczyna dwa razy ode mnie młodsza daje mi do zrozumienia, że dobrze się spisałem.

No dobrze, to nie jest jakaś tam dziewczyna. To bohaterka. Prawdziwa bohaterka. O takich bohaterach przeciętny człowiek może co najwyżej przeczytać w książce, ale nie wierzy, żeby istnieli naprawdę.

Szkoda, kurwa, naprawdę wielka szkoda, że musi umrzeć.

**WCZORAJSZE JUTRO 2**

# OD PRAWDY DO MOCY

HEJ, CO MAM POWIEDZIEĆ? JESTEM, KIM JESTEM.

- CAINE OSTRZE TYSHALLE'A

Angvasse płaci kapitanowi barki, dziękuje mu z powagą i zarzuca sobie sakwy na ramię. Cienie gęstnieją, gdy schodzimy po trapie na lyrissański brzeg.

Lyrissan jest bardzo dziwny. Najdziwniejszy ze wszystkich miejsc, w których byliśmy. Ankhana zawsze będzie Ankhana, obojętne, który mamy rok. Nawet Harrakha ma w sobie jakąś trwałość, która kojarzy mi się z wioskami środkowej Anglii. Ale Lyrissan, do którego schodzimy z barki, jest zlepkiem zapchlonych nor, burdeli i spelunek stłoczonych wokół

ogromnej faktorii handlowej zajmującej środek miejsciny. Nawet ulic tu nie mają. To tylko przystanek na szlaku myśliwych i traperów z Bożych Zę-

bów: tu sprzedają zdobycz, a potem przepuszczają szmal na gorzałę, hazard i dziwki.

Za czterdzieści kilka lat, kiedy Kompania Nadświatowa przeprowadzi tędy biegnącą nad morze odnogę Kolei Transdejskiej, Lyrissan stanie się 343

zamożnym miasteczkiem targowym, pierwszym przystankiem na drodze z Siodła Khryła. Na razie wzgórze, na którym stanie dwór hrabiny Avery, jest zalesionym pagórkem dwa kilosy za miastem. Nie ma nawet drogi.

Tylko rzeka.

A ja na myśl o rzece dostaję gęsiej skórki.

Nie chcę na nią patrzeć. A już, kurwa, na pewno nie zamierzam się w niej kąpać. Sama świadomość, że jest częścią przyszłej Shanny... Wciąż na tę myśl robi mi się niedobrze, mimo że mam przecież za sobą rejs na barce.

To tak, jakby znaleźć cyfrogram własnej matki, kiedy była nastolatką, i stwierdzić, że była wybitnie nachalna. Ilekroć o tym pomyślisz, za każdym razem cię odrzuca.

Przynajmniej nie muszę się obawiać, że napatoczę się na Shannę: jako Moc Naturalna jest tak samo spętana okowami czasu jak ja. Ha, nawet bardziej niż ja w tej chwili.

Nie wiadomo dlaczego z tego powodu też mnie mdli.

Angvasse znalazła właśnie lyrissańską wersję rynku. Wodzi teraz wzrokiem po szyldach kolejnych dziur do spania i marszczy brwi z coraz wyraźniejszym niesmakiem, który w końcu kieruje i w moją stronę.

- Noc zapada tu powoli, ale w końcu zapadnie - mówi bez entuzjazmu. -

Nie zdążymy przed zmierzchem do najbliższej wioski.

- To się bardzo dobrze składa, bo nie ma żadnej „najbliższej wioski”.

Nie tam, dokąd się wybieramy.

- Nawet najmniej odrażający z tych przybytków może przyprawić o koszmary senne. Wydaje mi się, że lepiej wypoczniemy wśród drzew w górze rzeki.

- Cieszę się, że tak uważasz.

W dół rzeki od miasta nie ma stajni z prawdziwego zdarzenia, tylko dwa ogrodzone trawiaste wybiegi. Konie wyglądają na zadowolone. Jeszcze kilka znajdujemy nieco dalej, są spętane lub uwiązane do wbitych w ziemię kołków. Dwa z nich są wyraźnie rozdrażnione, ale to nie wystarczy. Wśród zabudowań znajdujemy w sumie tylko cztery konie, poprzywiązane do słupków. Jeden stoi sam: stary, wielki i chudy jak szczapa kary wałach z 344

siwiejącym pyskiem.

Ma na sobie kompletny rząd, z siodłem, uzdą i sakwami. Został uwiązany w taki sposób, że musi wykręcać głowę, żeby chociaż zobaczyć inne konie, a ja po sekundzie zdaję sobie sprawę, że nie interesują go same konie, tylko stojące przy nich poidła.

On swojego nie ma.

Z budynku, przed którym stoi, sączy się blask ognia i dobiega bełkotliwy, piwny śmiech, ktoś zaczyna śpiewać... Nie, jeśli będę za dużo myślał o pałancie, który poszedł sobie coś przekąsić i strzelić drinka, podczas gdy jego spragniony koń sterczy sam jak palec W ciemności na dworze, to pójdę i skurwiela zabiję. Angvasse nie byłaby zachwycona.

- Ile nam zostało pieniędzy?

Nie musi przeliczać.

- Trzy rojale, siedem baronów i trzynaście miedziaków.

Zerkam zezem na wałacha.

- Rojal powinien wystarczyć.

- Dałeś mi do zrozumienia, że się tutaj nie zatrzymamy. - Podaje mi monetę. - Poza tym, za ankhańskiego rojala można kupić znacznie lepszy dom niż ten.

- Nie kupuję domu.

Wchodzę do środka. Tawerna jest zwykłą szopą, którą ktoś obudował

prymitywną kuchnię. Widoczne w głębi obwiedzione ziemnym wałem palenisko stanowi główne źródło światła. Kilka usmolonych latarni robi nastrój wśród stołów na kozłach i topornych ław. Pięciu gości siedzi w przybliżeniu razem: czterech chyba dobrze się zna, piąty odsunął się kawa-

łek, ale wszyscy się kumplują, bez dwóch zdań. Pod obiema ścianami sporo miejsca zajmują rzędy beczek w piwem. Prawie przy każdej wisi na haku zardzewiały metalowy kubek.

Facet z sadzą na gębie i rękami tak brudnymi, że na ich widok Lasser Pratt narzygałby sobie do piwa, nie wstając, kiwa do mnie z drugiej strony paleniska.

- Czego ci trza, przyjacielu?

345

- Chciałem porozmawiać o koniu.

Wzrusza ramionami i osiada z powrotem na stołku. Najwyraźniej nie interesuje się sprawami, które nie wiążą się bezpośrednio z wyciąganiem kasy od klientów.

Witam siedzącą przy stole piątkę przyjaznym skinieniem głowy i uśmiechem komiwojażera.

- Który z was jest własnością tego czarnego wałacha uwiązanego na zewnątrz?

- A kto pyta? - odzywa się ten siedzący z boku.

To dobrze.

- Ile za niego chcesz?

- Ile... co? - Mruga gwałtownie, jakby nagle ociemniał. - Chcesz kupić staruszka Shandy'ego?

Widziałem tego konia, więc rozumiem jego niedowierzanie.

- Nie przyszedłem się targować, dobry człowieku. Chcę zabrać twojego konia, a tobie zostawić... - Wykonuję wdzięczny gest iluzjonisty i już trzymam w palcach błyszczącego rojala. - To.

Jest zbyt nawalony, żeby się bawić w subtelności. Na ułamek sekundy rozdziawia gębę, a potem mruży chytrze oczy.

- No, nie wiem, brachu. Jestem do niego strasznie przywiązany.

- Jak mój but przywiąże się do twoich jaj, to będzie jeszcze straszniej. A za rojala możesz kupić cztery konie lepsze od niego. Weź go.

- Twój but do moich jaj, przybłęd?! - Zrywa się od stołu. Duży jest.

Tak duży, jakby całkiem niedawno po jego drzewie genealogicznym przespacerował się jakiś ogrillo.

I wyciąga nóż, który jest niewiele mniejszy od niego samego. - Powtórzysz to?

- To zależy. Wolisz stąd wyjść z tym rojalem w garści czy dać się wynieść z rym nożem w dupie?

Waha się. To dobrze i źle jednocześnie. Dobrze, bo mamy szansę za-kończyć tę sprawę bez zbędnego przelewu mojej krwi. Źle, bo najwyraźniej ma dość doświadczenia, żeby wiedzieć, że niższy, starszy i nieuzbrojony intruz, który nie kuli się ze strachu na widok noża, może być niebezpiecznym

przeciwnikiem w przypadkowej bijatyce. Więc jeśli coś się zacznie, nie będzie to przypadkowa bijatyka.

Mnie to pasuje.

Wyglądam zza niego, żeby skinąć głową pozostałej czwórce.

- Któryś z was czuje się związany z tym zjebem? Pytam, bo chciałbym wiedzieć, ilu ludzi będę musiał zabić.

- Trudno powiedzieć, obywatelu. - Jeden z nich przerzuca nogi nad ławą i wstaje. - Jafe to my możemy mieć w dupie, ale paniczyk, który chce wy-dać rojala na starą chabetę, każdego zainteresuje. Bo na pewno ma tych rojali więcej.

Wszyscy czterej wstają od stołu. Nie tak miało być. Zdarzyło mi się pa-rę razy wdać w jakąś rozpierduchę z traperami i nigdy nie byłem tym zachwycony, mimo że działo się to w czasach, gdy byłem znacznie młodszy i o wiele, wiele twardszy. No i nigdy nie napażiałem się z pięcioma naraz.

Chyba powinienem był to przemyśleć.

Z drugiej strony, podróżowanie w towarzystwie Rycerza Khryła ma pewne zalety taktyczne. Skoro o tym mowa...

- No, naprawdę, jak kocham sprawiedliwość... - słyszę za plecami głos Angvasse. - Czy tak jest wszędzie, gdzie się pojawia?

- Ehm... Prawdę mówiąc, tak. I z czasem robi się coraz gorzej. - Kiwam głową w bok, wrzucam ramionami i rozkładam ręce. Facet patrzy teraz na nią. - Przykro mi.

W półobrocie łapię go lewą ręką za nadgarstek, a prawą za pięść i walę nią w kant stołu z siłą zdolną pogruchotać kości każdemu człowiekowi.

Prawie każdemu.

Przynajmniej rozluźnia trochę chwyt na nożu. Łapię go w ten sposób, że ostrze wystaje mi z dołu dłoni, i kiedy koleś cofa się i zasłania przed spo-dziewanym pchnięciem w pierś albo brzuch, ja uderzam z góry i trafiam rękojeścią prosto w nos. Mimo wszystko udaje mu się zasunąć mi solidne-go kopniaka kolaniem w podbrzusze; będę wymagał opieki Angvasse, jeśli mam jeszcze kiedyś prosto chodzić.

Przebijam mu nożem przedramię i przyszpilam je do blatu. Facet 347

skowycze z bólu. Wolną ręką pakuje mi taką bombę w łeb, że widzę wszystkie gwiazdy, zaczynam więc wiercić nożem w ranie (i stole), czym wywołuję głośniejsze wycie.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o moim bucie? - przypominam i pakuję mu go dwa razy w jądra.

Skowyt przechodzi w zdławione stęknienie.

Pozostali manewrują, żeby dobrać mi się do tyłka. Jednemu udaje się przeskoczyć nad stołem i zająć mnie z boku - i miałbym poważne kłopoty, gdyby nie stała tam Angvasse. W typowej dla siebie bezpretensjonalnej demonstracji przerażającej siły łapie go za kurtkę na grzbiecie, podnosi nad głowę i ciska nim przez całą salę, prosto w palenisko.

Jedną ręką.

To daje pozostałym do myślenia i przez chwilę słychać tylko rżenie mojego przeciwnika oraz wiąchy przekleństw rzucanych na przemian przez barmana i jego podpieczonego klienta.

- Weź go sobie! Weź go! - wykrztusza mój nowy najlepszy przyjaciel. -

Weź go, tylko mnie puść!

- Ale na pewno? Na bank? Bo tak sobie myślę, że może wolałbyś, żebym cię tu wypatroszył tym twoim ślicznym, dużym nożem. Oszczędził-

bym ci wstydu, nie musiałbyś nikomu tłumaczyć, jak to się stało, że jakiś przybłęda zafundował ci nową bliznę.

- Nie rób tego - rozlega się za moimi plecami głos Angvasse.

No jasne.

- Jak chcesz.

Puszczam nóż i cofam się o krok.

Facet prawie płacze z wdzięczności, kiedy, chwyciwszy rękojeść, zaczyna wyciągać nóż z blatu. Porusza nim w przód i w tył, w przód i w tył, a ja rzucam mu rojala na dłoń przyszpilonej ręki.

Nie jestem przecież złodziejem.

Wiedząc, że Angvasse osłania mi tyły, wychodzę bez pośpiechu. Może któryś z tamtych jeszcze czegoś spróbuje. Może coś powie. Cokolwiek. Da mi pretekst.

Ale oni tylko zbijają się w kupę i siedzą cicho. Kto wie, może jednak warto zatrzymać się na noc w tej dziurze. Jestem prawie pewien, że za chwilę zaczną omawiać plan, który może mi dostarczyć pretekstu.

Nie, nieważne.

Deliann zapytał mnie kiedyś, czy kiedykolwiek zrobiłem coś, co nie skończyłoby się gwałtowną śmiercią wielu ludzi. Może kiedy mów się spotkamy, będę miał dla niego odpowiedź.

\*\*\*

Całkiem się ściemniło. Księżyc muska srebrem szczyty gór. Wałach nawet nie podnosi łba, kiedy odwiązuję mu wodze i odpinam uzdę. Przecinam popręg, zrzucam siodło i zostawiam je tam, gdzie spadło.

Angvasse wychodzi ze speluny.

- Miłość Khryła uzdrowiła jego rękę, podobnie jak oparzenia tego drugiego.

- Dzięki wielkie. - Zerkam w jej stronę. Na przerzuconym przez ramię sznurze taszczy jedną z beczek z piwem. - I przy okazji odnowiła twój zapas piwa, jak widzę.

Stawia beczkę na ziemi.

- Będę musiała ocenić jego jakość. To się dobrze składa, alkohol wy-czula mnie na niedoskonałości innych.

- To miała być obelga? Następnym razem bardziej się postaraj.

- Sprowokowałeś ich - mówi. Cicho, bez cienia oskarżenia w głosie. -

Gdyby nie ja, on by nie żył. Ty również.

- Gdyby nie ty, nawet by nie zauważył, jak bym go załatwił.

- Jeszcze zanim wszedłeś do środka, postanowiłeś, że go zabijesz. Zaatakowałeś, kiedy mogłeś się wycofać.

- Nikt mu nie kazał wyciągać noża.

- Nie zaprzeczysz?

- Nie ma czemu zaprzeczać. Facet żyje, chwilowo jest przy forsie... Ko-go to obchodzi, kto zaczął?

349

- Ciebie najwyraźniej tak.

Odcinam jedną sakwę i wysypuję jej zawartość obok siodła. Na ziemię spadają jakieś narzędzia i paczka suszonego mięsa.

- Weź, z łaski swojej, przejrzyj pozostałe sakwy i resztę bagażu, może znajdziemy jakieś ziarno, suszone owoce, cokolwiek. Mój koń jest głodny.

Kiedy ona się tym zajmuje, przenoszę sakwę w pobliże poidła i wlewam do niej dwie kwarty wody. Donoszę z powrotem tylko dwie trzecie tej ilo-

ści, ale to nic nie szkodzi; z wodą trzeba powoli i ostrożnie. Nie mam jeszcze takiego doświadczenia w obchodzeniu się z końmi, żeby stwierdzić na oko, jak bardzo jest odwodniony, ale wiem, że nie należy przesadzać.

- Co to za koń, że jesteś gotowy za niego zabić?

- Po prostu koń. - Wracam po drugą sakwę wody. - Nie chodzi o niego.

Chodzi o kogoś, kto go tak traktuje. Kimkolwiek jest.

- Nie wygląda, jakby bardzo cierpiał.

Podstawiam sakwę wałachowi. Pije.

- Nie umiesz patrzeć.

- Wybaczysz mi, mam nadzieję, kiedy ci przypomnę, że konie to po prostu żywy inwentarz. Bydło.

- To my je tak traktujemy, ale to nie znaczy, że tym są. - Wzruszam ramionami. - Gdybym cię potraktował jak tępą cichodajkę, która za dwa miedziaki zrobi mi loda na zapleczu knajpy, kim byś wtedy była?

Z wnętrza speluny pada akurat tyle światła, żebym zobaczył, jak marszczy brwi.

Nie chcę, żeby musiała zgadywać.

- Byłabyś Mistrzynią Legend Zakonu Khryła.

- Rzeczywiście - przytakuje półgłosem. - Rozumiem to. Jestem, kim jestem.

- Otóż to. A kim byłbym ja, gdybym cię tak potraktował?

Cień uśmiechu.

- Trupem. A w najlepszym wypadku człowiekiem, który jest nieprzytomny.

- Dlatego mamy szczęście, że przeciętny koń nie jest taki wredny jak ty.

- Zerkam na nią z ukosa. - Tak mi się skojarzyło z tym, jak khrylianie traktują ogrille...

Sztywnieje.

- Ogrille nie są miłe.

- Zależy, co rozumiesz przez „miłe”.

- Na Polu Bitwy nie dzieje im się krzywda.

- Nie? Wiesz co, zajrzyj kiedyś wieczorkiem na ten wasz parking platform transportowych. Potem pogadamy.

- Gdyby to ogrille rządziły królestwem Khryla...

- Posiadanie kogoś na własność to obosieczna broń; dla posiadanego znaczy zupełnie co innego niż dla posiadacza. Nie wiem, czy to was krzywdzi, czy tylko odsłania wasze naturalne pojebanie, ale wali mnie to.

Tak czy inaczej, wygląda to paskudnie.

- Skoro cię to nie interesuje, dlaczego o tym wspominasz?

- Bo dla ciebie to ważne. - Odrzucam pustą sakwę. - Nic na to nie poradzisz. Jesteś, kim jesteś.

- Tego cię nauczyła ta twoja końska wiedźma?

- Nie jest moja. Już prędzej ja jestem jej. No, nie do końca. Na ogół po prostu nie próbuje przede mną uciekać.

- Musi mieć niepospolitą cierpliwość.

- Nie dowiesz się, co to jest prawdziwa cierpliwość, dopóki nie poznasz końskiej wiedźmy. - Zdejmuję sznurową pętlę z łęku siodła i zakładam wałachowi na szyję. - Chodź.

- Gdzie chcesz iść?

- W górę rzeki. Niedaleko. - Zrzucam swoją torbę na ramię. - Musimy się wynieść z miasta.

- Co z jego ekwipunkiem?

- Zostaw, weź tylko swój bagaż. I beczułkę.

- Co zrobisz bez siodła i uzdy? Puścisz go wolno?

Uśmiecham się do niej.

- Chodź ze mną, to się przekonasz.

Walach trochę się szarpie, kiedy go prowadzę. Stara się iść spokojnie i ostrożnie, jakby spodziewał się bicia bez względu na to, czy się znarowi, czy nie. Boi się ręki, nie mogę go więc pogłaskać, a ponieważ nie chce mi nawet spojrzeć w oczy, mogę mu co najwyżej dodać otuchy, pomrukując.

- Już dobrze, stary byku. Chodź, jeszcze kawałeczek. No chodź.

Wszystko gra.

Nucę, pomrukuję, mamrocę... Słowa i tak nie mają znaczenia, liczy się dźwięk mojego głosu, cichego, spokojnego, ludzkiego głosu, bez złości i gróźb. Głosu, który nie należy do szczurojeba, od którego go zabrałem.

Nie musimy iść daleko. Jakieś sto jardów od ostatnich zabudowań naty-kamy się na szeroką połąć zielska i krzewów nad strumykiem, który dalej uchodzi do rzeki. Zdejmuję koniowi pętlę z głowy i cofam się, a ten bieda-czyna nawet nie spuści łba, żeby skubnąć trawę, tylko łypie na mnie kątem oka, aż mu łyska biało. Czeka, jak zamierzam go skrzywdzić.

Podchodzę do niego od przodu, na wyciągnięcie ręki, ale odwracam się bokiem i patrzę lewym okiem w jego lewe.

- Nie bój się - mówię. - Nie mogę ci obiecać, że już nigdy nie stanie ci się krzywda, ale ja na pewno cię nie skrzywdzę. Nigdy. A jeśli będę ci mógł jakoś ulżyć w cierpieniu, zrobię to. Kiedyś byłem inny, ale się zmieniłem. Nie bój się.

- Mówisz do niego jak do człowieka - zauważa półgłosem Angvasse. -

Jakby cię rozumiał.

- Rozumie. Nie tak jak ty, która znasz znaczenie słów, nie sędzę. Chociaż trudno mieć pewność. Konie są niezgłębione.

- Skąd zatem wiesz, że w ogóle rozumie?

Wzruszam ramionami.

- Widziałem, jak to działa. Kiedy mówisz prawdę, rozumieją.

- To dlaczego wciąż jest przerażony?

- Pewnie się boi, że zmienię zdanie.

Powoli, ostrożnie Angvasse przysiada na trawie w odległości paru jardów.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego chciałeś zabić tamtego człowieka.

- Widzisz, czym jest ten koń?

- Widzę, czym jest dla ciebie. To wystarczy.

Walach odrobinę się odprężył; Angvasse miała chyba dobry pomysł.

Odsuwam się jeszcze o dwa kroki i przysiadam na kamieniu.

- Mężczyzna, którego zraniłem z twojego powodu, nazywał cię Shandy.

To tylko słowo, możesz na nie reagować, ale nie musisz. Nie jest tobą. Nie musisz być niczym, czym nie jesteś. Możesz zostać z nami albo odejść, dokąd zechcesz. Na razie radziłbym ci trzymać się blisko nas, bo wśród wzgórz żyją tu wilki, niedźwiedzie i pumy, a my możemy cię przed nimi obronić, ale nie musisz tego robić. Jesteś wolny.

- Nie rozumiem - mruczy Angvasse. - Mogłeś zginąć, próbując zdobyć tego konia, a teraz go odrzucasz?

- Nie w tym rzecz. - Spoglądam w połyskujące w blasku księżyca oko wala. - My jesteśmy tutaj. Wiem, że o tej porze roku ty zwykle przebywasz na południe i zachód stąd, ale jesteś nam potrzebna. Jest nas troje.

Potrzebujemy cię. Przybądź, kiedy będziesz mogła.

Przez długą chwilę nikt z nas się nie porusza. Słychać tylko szmer strumienia i szeleszczenie zwierzęcego drobiazgu w krzakach. I wtedy walach pierwszy raz robi coś, czego mu nie kazałem: odwraca łeb w taki sposób, żeby spojrzeć na mnie także drugim okiem. To, co widzi, chyba go uspokaja, bo wreszcie spuszcza łeb i zaczyna skubać trawę.

No i pięknie.

- Co tu się przed chwilą wydarzyło? - Głos Angvasse jest zaledwie o pół

tonu głośniejszy od szeptu. - Rzuciłeś na niego urok? Od kiedy to władasz magją?

- To nie moja magja - odpowiadam tak samo cicho. - Najlepiej działa o zmierzchu lub o świcie. Kiedy światło jest przyćmione. Jeżeli nie wstrze-lisz się w taką porę, warto przynajmniej wyjść na dwór, znaleźć ciche, ciemne miejsce, bez ludzi... Takie jak to.

- Ale po co?

Rozkładam ręce w przepraszającym geście, bo wiem, jak to zabrzmi.

- Kiedy przemawiasz do konia z wiedźmiego stada, ona czasem może cię usłyszeć.

- Stada? - Rozgląda się z udawaną konsternacją. - Złożonego z jednego osobnika, przez którego przemawiasz do kobiety, którą poznasz dopiero za pięćdziesiąt lat?

- To skomplikowane.

- Niewątpliwie. Ile będziemy musieli czekać, zanim uznasz, że ona się nie zjawi?

- W ogóle. Jeśli się zjawi, to...

Wałach zadziera głowę i rzy cicho. Z otchłani rozgwieżdżonej nocy odpowiada mu rzenie innego konia.

- O, właśnie.

Kiedy rąbek księżycy wyziera sponad gór na wschodzie, ona wynurza się z ciemności jak utkana z nocy. Koń jest wysoki, mocno zbudowany, w blasku księżycy trudno odgadnąć jego maść. Idzie powoli, swobodnie, nie-podkute kopyta z rzadka stukają o kamienie. Ona jest jednym z wielu posrebrzonych cieni, sylwetką, której twarz ginie w mroku na tle podświetlonej jak aureola chmury włosów.

Widać tylko jej wiedźmie oko. Lśni jak wykuty z lodu sztylet.

- Widzę, że znów cię nie doceniłam. - Angvasse wstaje i wychodzi jej na spotkanie. - Witam cię, dobra...

- Angvasse... Nie rób tego.

Zatrzymuje się i odwraca do mnie, marszcząc brwi. Ruchem głowy wskazuję wałacha.

- Są ważniejsze sprawy.

- Ale...

- Nie musisz się przedstawiać. Zaczekaj.

Ogromny koń zatrzymuje się nad strumieniem. Wiedźma zeskakuje z jego grzbietu, wchodzi do strumyka i przystaje w środku nurtu. Stoi tak i obserwuje wałacha, który parska i zarzuca łbem, robi parę kroków bokiem w jedną stronę, w drugą, cofa się, znów kręci łbem i parska.

Walach rusza w jej stronę, nadal trochę chyłkiem, ale coraz odważniej, stawia coraz większe kroki, sztywno i nieporadnie jak staruszek, który uparł się, że pokaże wnukom, jak się tańczyło za jego czasów. Wygina szyję w łuk, przystaje raptownie, tupie przednią nogą i wydaje dwa groźne sapnięcia, jak ogier.

Ona stoi. Patrzy. Nic więcej.

Angvasse przysuwa się do mnie.

- Widziałeś to już wcześniej, a mimo to, patrzysz. Ona obserwuje konia, ty ją... jakbyś chciał zapisać w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół.

- To takie oczywiste?

- Twój uśmiech... Nigdy nie widziałam, żebyś się uśmiechał. Nigdy.

Widziałam, jak szczerzysz zęby, obnażasz kły jak pies, który zaraz ugryzie...

- Wolę sobie wyobrażać, że to wilk.

- Widziałam też twój fałszywy, twardy uśmiech, kiedy coś cię rani. Ale ten teraz...

- Ciii. To moja ulubiona część.

Walach staje nad strumieniem. Prycha, tupie dwa razy, odchyła łeb w tył, jakby zamierzał uciec, ale jakieś przyciąganie, jakiś magnetyzm ściąga go coraz bliżej i bliżej, a im bliżej jest, tym mniej chce czmychnąć, i w końcu wchodzi do wody i staje obok niej.

Ona wyciąga do niego rękę.

Walach się cofa, rzuca łbem, boi się ręki, płoszy się. Wiedźma ani drgnie; stoi po kolana w wodzie z wyciągniętą ręką i patrzy na niego w taki sposób, jakby nie miała nic ważniejszego do roboty, ani teraz, ani w przyszłości. Może tak stać, aż gwiazdy się wypalą, jeśli będzie trzeba - ale oczywiście nie trzeba.

Szybciej, niżbym przypuszczał, gdybym nie oglądał takich scen setki albo tysiące razy wcześniej, walach bierze głębi wdech, zbiera się na odwagę, podchodzi i przytyka łeb do jej ręki.

Stoją tak obok siebie, nieruchomi, jeśli nie liczyć oddechów, tak jakby 355

on chciał tylko czuć ciepło jej dłoni, a ona chciała go nim obdarzyć. W

końcu wyślizguje się spod jej ręki, spuszcza łeb i szturcha ją pyskiem w bark. Ona dotyka policzkiem jego szyi. Stoją razem w blasku księżyca i, Jezu, niech mi ręka uschnie, jeśli nie jest to najpiękniejszy widok, jaki mam nadzieję w życiu zobaczyć.

- Czy to... - Głos Angvasse wydaje mi się lekko zdławiony. - Czy to się zawsze udaje?

- Nie. Niektóre są zbyt poranione. „Wtedy można je co najwyżej zostawić w spokoju.

- Ale zwykle tak? Zwykle się udaje?

Znam ten błagalny ton. Odpowiadam najlepiej jak umiem:

- Ze mną się udało.

\*\*\*

Niedługo potem wałach, już spokojny, skubie trawę razem z jej koniem, a ona wychodzi z wody i podchodzi do nas. Patrzy na nas bez słowa.

Angvasse bierze wdech, jakby zamierzała coś powiedzieć. Uciszam ją gestem. Milczy.

W końcu końska wiedźma wzdycha i kiwa głową. Podchodzi do Angvasse.

- Przepraszam - mówi. - Wiem, że to boli.

- Co boli?

- Może pewnego dnia będę mogła ci pomóc. Ale nie dziś. Nie jesteś gotowa.

- Dziękuję za troskę. Jestem Angvasse, lady Khlaylock...

Zawiesza głos, widząc, że końska wiedźma już jej nie słucha.

- Ty - mówi do mnie. - Znam cię.

- Poznasz. Spotkamy się za pięćdziesiąt lat.

- Znam cię - powtarza. - Jesteś chodzącym nożem. Echem zmienno-kształtnego. Cieniem mroku i blizn.

Chwilę obracam jej słowa w głowie i stwierdzam, że ich wydźwięk wcale mi nie przeszkadza.

356

- Dobrze mi z tym.

- Teraz tak. Ale nie zawsze tak będzie.

- Właśnie przed tym mnie ocalisz.

- Dobrze wiedzieć. A ty przed czym mnie ocalisz?

Udaje mi się przełknąć ślinę, zamiast nią zadławić. Ledwie, ledwie. Po-syła mi krzywy porozumiewawczy uśmiezek.

- Najwidoczniej zasugerowałam już, że powinniśmy się nawzajem uratować.

- Rozmawialiśmy o tym.

- Dobrze, niech tak będzie. Co cię tu sprowadza?

- Los całego świata jest w naszych rękach i... - zaczyna Angvasse.

- Naturalnie - przytakuje łagodnie końska wiedźma. - Tyle że „los” znaczy zupełnie coś innego, niż ci się wydaje. Poza tym, bez urazy, ale pyta-

łam jego.

Biorę głęboki wdech.

- Chcę cię prosić o przysługę - mówię.

- Tak?

- Chcę, żebyś czegoś dla mnie przypilnowała.

# JUTRZEJSZE WCZORAJ 3

## KŁOPOT Z OJCEM

KAŻDEMU... KAŻDEMU MOŻNA WYBACZYĆ ODROBINĘ DUMY Z WŁASNEGO SYNA.

- DUNCAN MICHAELSON

### *BOHATEROWIE UMIERAJĄ*

Czysta woda tryska ze szczeliny w skale, mieni się i spływa do szerokiej granitowej misy, zanim z wysokości piętnastu stóp spadnie do trawiastego łóżyska strumienia. Poranek jest zimny, mój oddech kłębi się jak dym.

Końska wiedźma dotyka mojego ramienia.

- Jak tu pięknie.

Wykasłuję supeł z gardła.

- Fakt.

- Tu zawsze jest pięknie, ilekroć mnie tu przyprowadzisz.

W jej przeszłości, jednej lub więcej. W niektórych z moich przyszłości.

Potencjalnie. W poplątany kontinuum czasowy naszego związku najlepiej trzymać się blisko terażniejszości.

358

- Kiedy jestem tu bez ciebie, wcale nie jest pięknie. Nic a nic.

Kiedy opętany przez demona trup Berne'a powali mnie nad brzegiem tego strumienia, woda będzie zanieczyszczona ropą, ściekami i diabli wiedzą jakim toksycznym kurestwem z kopalń. Rosnący wokół wrzos zniknie, razem z nim znikną dzikie kwiaty, a z osikowego zagajnika, który widać w dole, zostaną poczerńiałe pniaki, gdy drwale z Obozu Palatyn wytną wszystkie drzewa.

Nie ma sensu jej o tym mówić. Zwłaszcza że jestem właściwie pewien, że słowa nie przeszłyby mi przez gardło. Zresztą, ona i tak już pewnie wie.

- Przykro mi.

Zdejmuję jej dłoń z mojego ramienia i splatam palce z jej palcami.

- Niepotrzebnie.

- Wiem. Ale to miejsce zawsze cię zasmuca. Wiem, jak bardzo ją kochasz.

- Kochałem.

Zarzuca sobie moją rękę na ramiona i wtula mi się w pierś.

- Nie udawaj.

Jej włosy pachną wrzosem i sosną.

- Będzie... było, będzie ciężko. Dla mnie. A dla Faith jeszcze gorzej.

- To twoja córka.

- Poznasz ją za jakieś pięćdziesiąt lat. Macie... wiele wspólnego. Ona cię uwielbia.

- Cieszę się. Zejdziemy nad wodę?

Kręcę głową.

- Chciałem tylko popatrzeć, żeby... sam nie wiem. Żeby mieć stąd inne wspomnienie.

Spogląda na mnie swoim sarnim okiem. Jej uśmiech jest jak letni deszcz.

- Takie, w którym ja będę. Teraz źle mi z tym.

- Może nie powinienem był...

359

Wzdycha na mojej piersi.

- Przykro mi, że wtedy mnie tu nie będzie.

- Nie możesz jej uratować.

- A ty nie będziesz potrzebował ratunku. Mimo to, jest mi przykro.

- Mnie też.

Mija chwila, zanim poruszy się i wyslizgnie spod mojego ramienia. Ruchem głowy wskazuje na zbocze i cofający się po nim cień góry. Angvasse czeka tam cierpliwie z końmi, tuż pod Siodłem Khryła.

- To długa droga...

- I nie stanie się krótsza, dopóki w nią nie wyruszymy.

\*\*\*

Wolno zjeżdżamy do Ciernistej Rozpadliny. Słońce mija nas, zmierzając w przeciwnym kierunku, i cień Siodła Khryła popycha nas w chłodny, wilgotny zmierzch na długo przed zachodem. Angvasse z końską wiedźmą i naszym maleńkim wiedźmim stadem okrążają miasto opłotkami, a ja wjeżdżam do środka, żeby poszukać jakiegoś tropu.

W tej epoce Ciernista Rozpadlina niewiele się różni od miejsciny, którą poznam w przyszłości. Jest nieco mniejsza, węższe i bardziej koślawe uliczki cuchną śmieciami i końskim gnojem zamiast dymem z węgla i pochodnymi ropy, a wobec braku latarni gazowych wszędzie zalega gęsty mrok, ledwie muskany srebrną księżycową poświatą.

Z niepublikowanych dzienników, z których narodziła się *Opowieści Pierwszego Ludu*, wiem, w jaki sposób wyszukuje przewodników na swoje eskapady. Po dwóch godzinach stawiania piw i brandy różnym ludziom w rozrzuconych po miasteczku barach nie mam dobrych wiadomości. Skracam więc wieczorne rozrywki i biegiem braci opuszczam Rozpadlinę, kierując się na wschód, aż w pewnym momencie z czarnej plamy osikowego zagajnika dobiega mnie rzenie konia. Zatrzymuję się zdyszany. Mokra od 360

potu lodowata koszula lepi mi się do pleców. Macham w stronę drzew.

- Spóźniliśmy się. Wyprzedzają nas o prawie pół dnia i mają kłopoty.

- Kłopoty?

Angvasse wychodzi z zagajnika. W świetle księżyca widzę za jej plecami końską wiedźmę; dosiada muskularnej klaczy. Reszta koni wychodzi gęsiego spomiędzy drzew. Denerwują się.

- Jesteś pewien?

- Problem polega na tym, że to zwykli naukowcy, tyle że uzbrojeni w karabiny. Wczoraj wieczorem i dziś od rana szukali po knajpach przewodników, którzy poprowadziliby ich do Diamentowej Studni. Przy okazji szastali srebrem jak debile, aż w końcu zaczęło ich dwóch cwaniaczków, którzy powiedzieli, że znają skrót na Migotliwą Przełęcz.

Końska wiedźma z powagą kiwa głową i spogląda w dal. Podejrzewam, że cwaniaczki nieszczególnie dobrze opiekują się swoimi końmi.

- W czym problem? - dziwi się Angvasse.

- Nie ma takiego skrót - wyjaśnia końska wiedźma i klnie: - Ogłuszający grzmot i czerwony piorun, krew i ludzkie gówno...

Angvasse zaciska pięści.

- Bandydzi!

Końska wiedźma ruchem głowy wskazuje północno-wschodni filar No-

za, opadającą w dół poszczerbioną grań. Daleko w dole snuje się cienka, wątła jak duch smuga dymu.

- Nie ujechali daleko. Nie ukrywają się, więc palą świeżym drewnem.

To dwie godziny konno. - Spogląda na mnie wiedźmim okiem. - Pieszko mniej.

\*\*\*

Strażnik wybrał sobie całkiem wygodny punkt obserwacyjny: siedzi na szczycie pagórka, oparty plecami o karłowaty dąb. Diabelnie trudno go wypatrzeć, a gdy tylko chmury odsłaniają księżyc, ma doskonały widok na 361

drogę i podejście do obozowiska. Gdyby jeszcze miał dość wrodzonej dyscypliny, żeby się nie ruszać - albo był odpowiednio wytrenowany - może by przeżył.

Tylko że wiecie, jacy są chłopcy: uwielbiają zabawki. A on właśnie ba-wi się swoim nowym nożem. To prawdziwe cudeńko, sprężynowiec z ostrzem składanym bokiem w rękojeści. Takich noży długo nikt tu nie zobaczy - dopiero po Dniu Wniebowstąpienia uda się je zabrać zabitym pospołom. Na przemian *szszk*, składa go, i *ksnpp*, otwiera. Składa, otwiera.

Tak się świetnie bawi, że nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności, aż mój nóż - długi obosieczny sztylet, o bardzo tradycyjnej konstrukcji (taki już jestem w tych kwestiach, trochę staroświecki) - wchodzi mu w szyję jedną stroną i wychodzi drugą, tworząc bardzo poręczną dźwignię, którą łamię mu kark.

Zamykam tę jego sprężynę i chowam do kieszeni. Piękna sztuka, naprawdę: jedwabista praca mechanizmu, piaskowane ostrze pokryte azot-kiem tytanu, ostre jak ceramiczny skalpel. Poza tym, jeśli przez najbliższe dziesięć minut wszystko pójdzie po mojej myśli, będę miał okazję oddać nóż prawowitemu właścicielowi.

Leżę jak długi, zanim mój mózg zdąży zarejestrować, co kazało mi paść na glebę: krótkie, szokująco głośne *pkou!* gdzieś bardzo blisko, zbyt blisko.

Strzał z pistoletu, może z karabinu. Mijają dwie sekundy, moje serce odwala w tym czasie dwadzieścia albo trzydzieści uderzeń. Następne *pkou!*, odrobinę cichsze (to dobrze), parę sekund później trzecie (jeszcze lepiej).

Ktoś się bawi następną nową zabawką. Karabin musi niewąsko imponować facetowi, dla którego najbardziej zaawansowaną technicznie bronią jest pewnie kusza. No, chyba że właśnie rozstrzeliwują więźniów, co byłoby kiepawe, ale jeszcze nie takie najgorsze.

Przynajmniej nie strzelają do mnie.

Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt jardów ode mnie ognisko podświetla drzewa rosnące nad malutką

niecką w zbczu góry. Lepiej się zamelduję, nim podejdem zbyt blisko.

- Hej tam, przy ogniu!

362

Szelesty, metaliczne szczęknięcie albo dwa.

- Hej tam, w lesie...

- Idę do was. Mam tylko noże.

- Ilu was jest?

- Na razie idę sam. Jest jeszcze dwóch ze mną, ale dopóki nie dam im znać, nie wyjdą.

- Czego tu szukacie?

- Moi znajomi wyruszyli dziś do Rozpadliny, kierowali się w tę stronę.

Gdybyście natknęli się na nich żywych, mogę załatwić nagrodę.

Świerszcze, łagodny wiaterek... Długo to trwa.

- Znaczy jak? Okup?

Kurwa, co za amatorzy.

- Jeśli chcecie...

Znowu świerszcze i wiaterek. W końcu:

- Chodź. Tylko powoli. I ręce na widoku.

Tak właśnie robię.

\*\*\*

Amatorzy bywają niebezpieczni, ale zwykle tylko wtedy, gdy oczekuje się po nich reakcji profesjonalistów.

Dorzucam ostatniego trupa do pozostałych. Świat stał się lepszy o kolejnych siedmiu bandziorów: brudnych, nieogolonych, ubranych w kosz-towne, ale znoszone ciuchy, ewidentnie szyte na miarę dla tych, którzy w nich umarli. Tych, którzy pierwsi w nich umarli, ma się rozumieć. Zabezpieczam oba pistolety i kładę je obok strzelby i karabinu. W uchu wciąż mi wściekle dzwoni, przypalone włosy na skroni cuchną, ale osmalony pro-chem policzek to nie jest poważna rana. Poza tym, dziewczyny i tak są w tej chwili zajęte.

Końska wiedźma zajęła się już ich stadem, trzymanym w zagrodzie z rozpiętego między drzewami sznura. Dwa tuziny spłoszonych, podenerwowanych koni boczą się, parskają i tupią na nią, na wiatr i siebie nawzajem.

363

Idę do niej. On jest w obozowisku, a ja na razie nie jestem gotów stanąć z nim twarzą w twarz.

- Cześć.

Podchodzi do ogrodzenia i ponad sznurem podaje mi rękę.

- Boisz się?

- To aż tak oczywiste?

- Pewnie tylko dla mnie.

- Przypuszczam, że znasz mnie o wiele dłużej niż ja ciebie.

Uśmiecha się.

- Znam cię o wiele dłużej niż ty kogokolwiek.

Tu ma rację.

- Gdzie moja...? Ehm, gdzie dziewczyna?

- Nie wiem. - Kręci głową. Na czole rysuje jej się ślad zmarszczek. -

Czasem tu jest, ale nie tym razem.

- Rozumiem. - Przeciągłe westchnienie zdejmuję mi ciężkie brzemień z pleców. - Może to i lepiej.

- Dla mnie to zbyt skomplikowane.

- Ale wiesz, jak tam trafić? Domyślam się, że to miejsce jest po prostu w jakiś sposób ukryte. Urok, coś w tym guście...

- Byłam tam już kiedyś.

Na moment odbiera mi mowę.

- Jak to, byłaś?

- Byłam w wielu...

- Niezwykłych miejscach, wiem. Posłuchaj, razem z Angvasse możecie go tam zabrać, nawet jeśli

jest... nawet jeśli trzeba go będzie związać.

Prawda?

Zamyśla się, wzrusza ramionami i lekko kiwa głową.

- Byłoby wygodniej, gdybyś namówił go do współpracy.

- To ja wiem, tylko że wtedy musiałbym... no wiesz, porozmawiać z nim.

- To właśnie napawa cię lękiem? Jego się boisz?

- Nie, chodzi o mnie. To znaczy, o niego. I o mnie też. Nie wiem, 364

kurde... Po prostu... nie mogę się zmusić, żeby z nim porozmawiać. Nie tutaj. Nie, kiedy jestem... no... sobą. - Ciężkie westchnienie, które wcale nie staje się lżejsze od tego, że wypuszczam je z płuc. - Wiem, co myśli o takich ludziach jak ja.

- Nie zna takich ludzi jak ty. Tylko tego, którego widzi w lustrach.

- To właściwie nie jest komplement, wiesz? Dla żadnego z nas.

- Nie zamierzałam ci schlebiać.

Ściska moją dłoń. Ja ściskam jej.

Uśmiecham się.

Angvasse jest w obozowisku. Opiekuje się jednym z ocalałych - jeżeli dobrze rozpoznaję twarz z cyfrografu w *Opowieściach*... jest nim Ridpath, gliniarz z uniwersytetu oddelegowany do roli ochroniarza. Angvasse modli się o uleczenie jego ran. Drugi ocalały klęczy na jednym kolanie, przygar-biony. Trzyma dużą, kanciastą dłoń na czole tego, który nie przeżył.

Moje serce gubi rytm, wali jak młot, raz, drugi, trzeci. Z trudem powstrzymuję się od objęcia tych zgarbionych ramion. To, co go czeka w przyszłości, jak będzie wyglądało jego życie... Chryste Panie, wolałbym nie wiedzieć.

Przynajmniej on nie wie. To już coś. Jeżeli wszystko w miarę się ułoży, czeka go jeszcze pięć, sześć dobrych lat, zanim rzeczywistość rozpiardoli mu marzenia i nasra na resztki nadziei. Pięć albo sześć dobrych lat to i tak więcej, niż dostaje się przeciętnemu człowiekowi.

Wzdryga się na odgłos mojego kaszlnięcia. Daję mu chwilę, żeby wziął się w garść.

- To ty jesteś tym profesorem, tak?

Bierze głęboki wdech i wstaje, ale nie odwraca się do mnie. Nie odrywa wzroku od zabitego przyjaciela.

- Instruktorom - cedzi jakby gdzieś z daleka. - To są... moje badania te-reno-owe. Do doktoratu, czyli tak jakby... nie, mniejsza z tym. To nieważne.

Odwrócenie się do mnie wymaga od niego wyraźnego wysiłku woli.

Jest blady jak lód, oczy ma wilgotne, wzrok przymglony; musi przełknąć ślinę, zanim znów będzie mógł coś powiedzieć. Nie mam do niego 365

pretensji, że się denerwuje, chociaż przecież odłożyłem broń, a jest ode mnie prawie dwa razy większy. Na jego oczach zginęło dziś sporo ludzi.

Większość z nich zabiłem ja. Biorąc pod uwagę, że jego dotychczasowe doświadczenie w obcowaniu z gwałtowną śmiercią wynika głównie ze starych filmów i gier sieciowych, musi mieć jaja ze stali, żeby spojrzeć mi w oczy, kiedy stoję na wyciągnięcie ręki.

- Jesteś człowiekiem religijnym?

- Nie bardzo.

- A wierzysz w Boga?

- Zależy od boga.

Spogląda na zwłoki swojego towarzysza.

- Był chrześcijaninem. To religia z mojej ojczyzny. Bóg Jedyny staje się śmiertelnikiem i daje się ukrzyżować za grzechy całej ludzkości. Przed chwilą poleciłem ducha tego człowieka Jego opiece.

- Różni ludzie umierają na krzyżu. Bardziej interesują mnie ci, którzy przeżyją.

Cień skinienia głową.

- Dlaczego modlitwa do Boga, w którego nie wierzę, wydaje mi się grzechem?

Dobra, przyznaję, niewiele brakuje, żebym zesrał się ze strachu.

- Może to grzech wobec twojego intelektualnego szacunku dla samego siebie.

Mgła wyparowuje z jego oczu, wzrok mu się wyostrza, jakby dopiero teraz naprawdę mnie zobaczył.

- Mówisz po angielsku.

- Tak jak ty.

- Twój akcent... Ameryka Północna, duże miasto... zachodnie wybrze-

że... podkastowy, słycać nutę Pracownika... nie, raczej Robotnik, który brał lekcje wymowy... Oakland? Co Robotnik z Oakland robi na wschodnich zboczach Bożych Zębów?

- Spójrz na siebie. Henry Higgins się znalazł, psia jego mać...

- Ojej, przepraszam. Naprawdę przepraszam, to... odruch. Po prostu.

366

Dziwię się, że wcześniej nie zauważyłem, ale jestem trochę...

- Miałeś ciężki dzień.

- Jestem Duncan Michaelson. - Podaje mi rękę. - Z kim mam przyjemność?

- Z kimś, kogo nie chcesz lepiej poznać.

Nie cofa wyciągniętej ręki, więc wkładam mu w nią sprężynowiec.

- Twój?

- Tak... Tak, to mój nóż. Dziękuję. - Ścisza go, jakby był mi wdzięczny, że ma się czego złapać. - Od dawna go mam.

- Masz czarny nóż.

Wszechświat właśnie sobie z nas zażartował.

- Bardzo go lubię. - Odkładając nóż, próbuje uśmiechnąć się serdecznie.

- A ty wyglądasz mi dziwnie znajomo.

To dlatego, że wdałem się w matkę, w której już się podkochuje. Ale powiedzenie mu o tym żadnemu z nas nie wyszłoby na dobre.

- Ludzie często mi to mówią.

- No cóż... Dziękuję. Przykro mi, że dopiero teraz. Uratowaliście nas.

- Nie zrobiliśmy tego ze względu na was.

- Ale... No tak, naturalnie. - Oczy znów zachodzą mu mgłą. - Mam oczywiście trochę srebra, a nasz lud chętnie zapłaci wam za bezpieczne odstawienie nas z powrotem...

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Cofa się o pół kroku, jego twarz przybiera nieprzenikniony, ostrożny wyraz.

- Moja wdzięczność ma swoje granice.

- Zaczniemy od tego, co ja mogę dać wam.

- Poza naszym życiem?

- Co powiesz na... osobiste spotkanie z T'farrellem Mithondionne?

- Z Kruczowłosym?! - Wybałusza oczy, ale zaraz mruży je sceptycznie.

- Szczerze mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy to całe bajanie o Królu Elfów nie jest zwykłym połączeniem ludowej legendy z jakimś żartem dla wtajemniczonych.

367

- Przyjmijmy, że nie. Hipotetycznie. Załatwię to tak, żebyście znaleźli się z Kruczowłosym w jednym pokoju. Opowie ci każdą historię, jaką bę-

dziesz chciał usłyszeć.

- Hipotetycznie... - Parska śmiechem. Kręci głową. - Za taką szansę od-dałbym swoją hipotetyczną duszę.

Teraz moja kolej, żeby pokusić się o serdeczny uśmiech.

- Na taką właśnie odpowiedź liczyłem.

\*\*\*

To polana. Stoję na polanie. Szedłem. Wszedłem na tę polanę.

Musiałem na nią wejść, bo wcześniej szedłem.

Ładnie tu. Nawet więcej: przesycone zielenią promienie słońca, delikatnie szepczące liście, gdzieś niedaleko za drzewami szemrze wodospad.

Jakbym wszedł w obraz. Pachnie też lepiej niż po prostu „ładnie”: dzikie kwiaty, żywica, jabłka, gruszki, może nawet brzoskwinie, świeża czarna ziemia... Byłem w wielu lasach i żaden nie pachniał tak jak ten. Wszystko tu wygląda i pachnie tak, jakbym mógł się obrócić na pięcie i zderzyć z Królowną Śnieżką. Chyba powinienem wiedzieć, co tu robię.

I mam wrażenie, że wiem. Tylko nie wiem, co wiem.

Zaraz.

Pierdolone elfy. Pierwotni, faerie, jak zwał, tak zwał. Znam to zakłęcie.

Zamykam oczy i obracam się wokół własnej osi przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Odliczam

obroty wstecz:

- Trzy. Dwa. Jeden.

To nie przeciwzakłęcie, tylko mnemoniczny wyzwalacz wdrukowanej kaskady logicznej. Bezpośrednie zastosowanie Samodyscypliny. Gdybym nie dał się zwieść urodzie tego miejsca, skurwiel nie zdołałby mnie tak zaskoczyć.

Otwieram oczy.

- Lepiej się pokaż. Ja nawet w swoich najlepszych dniach nie jestem z natury cierpliwy.

368

Drobinki kurzu wirujące w prześwietlonym zielenią promyku słońca gęstnieją i materializuje się z nich wysoki faerie o twarzy jakby wykutej z zamrożonego wapienia. Nawet nie udaje, że jest prawdziwy, jego głos jest utkany z wiatru i śpiewu ptaków:

*Dzikusy nie są tu mile widziane.*

- Nie jestem dzikusem.

Odpowiada mi szyderczym, nieznośnie protekcyjnym uśmiechem.

Przypomina mi Kierendal.

*Słowo „dzikus” oznacza tylko, że...*

- Wiem, co oznacza, pierdolcu. I nie jestem dzikusem. Pochodzę z Krainy Ciszy.

*A cóż ty możesz wiedzieć o Krainie Ciszy?*

- O tym właśnie przyszedłem porozmawiać.

*Płytką kałuża mojego rozbawienia właśnie wyparowała. Odejdź.*

- Niezły tekst. Na poziomie trzyletniej dziewczynki.

*Możesz odejść cały i zdrowy.*

- Przy odrobinie szczęścia może nie będę musiał ci tego wypominać. -

Staram się nie podnosić głosu, ale okazuje się to trudniejsze niż myślałem.

- Muszę się spotkać z Kruczowłosym. A właściwie to on musi się spotkać ze mną. Tylko jeszcze o tym nie wie.

*Możesz odejść z własnej woli, albo możesz zostać do tego zmuszony.*

Stara śpiewka.

- Nie chcę kłopotów, ale powinieneś wiedzieć, że nie będę ich przesadnie unikał.

Zbudowany z drobinek kurzu elf wyciąga niematerialną rękę. Moc gęstnieje wokół niej.

*Odejdź, potworze! Wracaj do swojego bagna!*

- Skoro tak mówisz... - Wzruszam ramionami. - Nie.

Otwiera szerzej oczy, ściąga delikatne brwi. Blask mocy skupionej wokół jego pięści razi mnie w oczy.

*Odsyłam cię! Opuść to miejsce najszybciej jak możesz i nie myśl o tym,  
by tu wrócić!*

369

- Owszem, jest magja, która na mnie działa - przyznaję. - Ale to nie ta.

Podnosi drugą rękę. Między jego dłońmi strzelają z trzaskiem iskry.

*Wobec tego zostań tu, gdzieś jest. Czekaj bez ruchu, bez tchu, bez myśli,  
człowieku z kamienia...*

- Nic z tego.

*Odbieram światło oczom twym...*

- Przykro mi. - Naprawdę mi przykro. Trochę. Troszeczkę. - To nie twoja wina.

Na twarzy elfa maluje się zaduma. Niechętnie opuszcza ręce.

*Kim jesteś i co tu robisz?*

- Ty pierwszy.

*Jestem Ouelliar, Najstarszy Domu Massall. Strzegę tej drogi do Żyjące-go Pałacu, tak jak faerie z  
mego Domu strzegą jej od dziesięciu tysięcy lat.*

Mówi o tym tak, jakby był z tego dumny. Na jego miejscu też bym pewnie był. Tylko to jego imię...  
Już je gdzieś słyszałem. Ale gdzie?

- Możesz mi mówić Dominic Shade.

*Będę cię nazywał jak zechcę, odpowiada cierpko. Czy Dominic Shade to twoje nazwisko?*

Wzruszam ramionami.

- Dzisiaj.

*Co cię sprowadza, Dominicu Shade Dzisiaj?*

- Już mówiłem.

*Nie podałeś jednak powodu, dla którego mielibyśmy zgodzić się, abyś zbrukał Mithondion odorem swego skwaśniałego potu, oddechem cuchną-*

*cym jak wymioty kruka, brudnymi ludzkimi stopami i...*

- Srutu-tutu. Brudny, ludzki itepe...

Już wiem! Wiem, co to za jeden.

Nie bardzo mogę mu to powiedzieć, bo większość mojej wiedzy na jego temat pochodzi z przyszłości odległej o czterdzieści sześć czy siedem lat, kiedy Raithe zamorduje go w sali audiencyjnej Vinsona Garrette'a... Ale nawet odrobina wiedzy to rzecz niebezpieczna.

370

- Quellar Massalle, tak? Jak się miewa twoja siostrzyczka, hm? Jakże jej było... Finall?

Projekcja elfa nieruchomieje. Ale tak na maksa, jak królik na dźwięk kroków wilka.

- Znam również twojego ojca, Querisynne. - Wkurzył mnie. Nie będę go oszczędzał. - Przeżyje cię.

*A jak zamierzasz odszukać moją osobę, nie mówiąc już o wyrządzeniu mi krzywdy?*

- To nie była groźba.

*Nie? A co?*

- Proroctwo.

*Z ust dzikusa?*

- Zginiesz z ręki człowieka, ale to nie ja nim będę.

To jest ta chwila. Jeżeli to w ogóle ma zadziałać, niech zacznie działać od niego.

Wyjmuję zza pazuchy czarną jedwabną obróżkę. Krew, dawno zakrzepła i zbrązowiała, łuszczy się płatkami.

- Widzisz? Daj to Kruczowłosemu. Wy skur... to znaczy, wy, elfy, macie swoją magię i tak dalej. Umiesz chyba stwierdzić, czyja to własność, hm?

Robi taką minę, jakbym chciał mu wręczyć psie gówno.

*Jestem wprawdzie nieśmiertelny, ale i tak szkoda mi czasu na ten teatrzyk.*

Teatrzyk, skurczybyku?

- Powiedz Kruczowłosemu, że to pamiątka od Torronella.

Mruży ślepią jak kot.

*Najmłodszy członek Domu Mithondion nie żyje od stuleci.*

- W takim razie powiem ci, że jak na trupa to zajebicie robi łaskę.

Głos z wiatru i ptasich treli całkiem udatnie naśladuje odgłos dławienia się rzygowinami.

- Nie jestem jedynym człowiekiem, który wie, gdzie on jest i jak zarabia na życie, ale gwarantuję absolutną i bezwarunkową dyskrecję w tej kwestii, 371

w zamian za dziesięć minut rozmowy z T'farrellem Mithondionne. To wszystko. Musi mnie wysłuchać.

W wyrazie jego twarzy następuje subtelna zmiana. W końcu postanowił

traktować mnie poważnie.

*Zaczekaj tutaj. Jeżeli pozwolą ci wejść, przyjdę po ciebie.*

- Tylko daruj sobie następne czary-mary, kutasino.

*Czekaj tutaj, powtarza i rozplywa się w słonecznym wirze.*

\*\*\*

Żyjący Pałac jest naprawdę imponujący. No bo wiecie, wybudowanie takiego wielgachnego zamczyska z kamienia to by już było nie w kij dmuchał: trzeba mnóstwa czasu, wysiłku i w ogóle. Ale ile trzeba czasu, żeby taki zamek sobie wyhodować?

Setki drzew... nie, nie setki, tylko tysiące... rosną posplatane ze sobą od małego. Jakieś sekwoje albo coś w tym rodzaju. Stare jak czas i tak ogromne, że nie sposób to wyrazić. Łagodnie zespolone, uformowane, wypolerowane, podtrzymujące się nawzajem i tworzące rozgałęzioną konstrukcję wysoką na setki stóp, wyższą niż wszystkie ziemskie drzewa (przynajmniej od czasu, gdy są na Ziemi jacyś ludzie, którzy mogą je oglądać). Ten widok w tak absurdalnym stopniu przekracza wszelkie wyobrażenie, że jedynym użytecznym porównaniem byłoby powołanie się na Yggdrasill, ale to i tak nie wystarczy.

Deliann powiedział mi kiedyś, że twierdzą Domu Mithondion zaprojektował i zapoczątkował jego

dziadek Panchasell (ten sam, który stworzył *dil T'llanri*) dziesięć tysięcy lat temu. I powiem wam, że dopóki nie zobaczy się tego cholerstwa na własne oczy, są to słowa jakich wiele. A potem człowiek wchodzi do Żyjącego Pałacu, prowadzą go do Serca Drzewa, oficjalnej sali audiencyjnej królów Mithondionne, która prawie, prawie wystarczyłaby, żeby smoki mogły zagrać w niej w rugby, i nagle uświadamia sobie, że znajduje się w sercu żywego organizmu, który jest równie stary jak ludzka cywilizacja... Język zawodzi.

372

Warto w tym miejscu nadmienić, że widok pałacu wkopał mi moje tradycyjne chojractwo tak głęboko w dupę, że mało mi oczy z orbit nie wyszły. Nie przesadzę, jeśli powiem, że nie wiem, co to trwoga, a na słowo

„rewerencja” zareagowałbym sięgnięciem po słownik, żeby sprawdzić, co znaczy, ale kiedy wchodzi na Płomień - lśniący czerwony dysk wbudowany w posadzkę przed galerią królewską - niewiele brakuje, żebym padł na kolana.

Na galerii jest pięcioro pierwotnych - dwóch mężczyzn, dwie kobiety i jedno nie-każcie-mi-decydować-co. Mithondionne rzuca się w oczy: nie dość, że jest z nich wszystkich najwyższy, to jeszcze w opadających do pasa platynowych włosach ma czarne pasmo grube jak mój kciuk, spadające od czoła przez lewe ramię, wprost do zdobionej filigranem koszowej rękojeści rapiera.

*Nazwisko.*

Nawet nie udaje, że mówi. Bezkrwawe usta są zaciśnięte w okrutną poziomą krechę, a w jego słowach słyszę charakterystyczny szelest suchych liści, jak w ulubionym przez Kierendal Szepecie.

- Dominic Shade.

*To nie jest twoje nazwisko, dzikusie.*

Kruczowłosa denerwuje się na drugiego z mężczyzn: „głos” niby brzmi tak samo, ale wygląda na to, że słowa wypowiedział właśnie ten drugi.

*Zmiażdżę serce, wolę skruszę, usta twe do prawdy zmuszę...*

- Tak, tak, próbuj dalej. - Od razu z czarami? Tyle, jeśli chodzi o trwogę, rewerencję i inne pierdolety. - Tłumaczyłem już temu waszemu Quel-liarowi, że nie jestem dzikusiem. Pochodzę z Krainy Ciszy i nazywam się tak, jak powiedziałem.

Nagle szelest przybiera na sile tak bardzo, jakby pod czaszką wybuchła mi burza elektromagnetyczna. Kruczowłosa występuje krok naprzód i ucisza tamtych gestem, w którym jego ręka gwałtownie tnie powietrze.

- Opowiedz nam o naszym synu, a ich bracie - mówi.

Jego głos jest mroczny, wyrazisty i nieludzko dźwięczny, jak brzmienie obsydianowego dzwonu. Czuję, jak wgryza się w moją wolę: subtelności 373

się skończyły, to już jest prosta Dominacja.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

- Poproś ładnie.

Jeszcze mocniej zaciska zęby.

- Te sztuczki, dzięki którym się nam opierasz... Osobiście nauczyłem ich Żelaznorękiego przed półtysiącleciem, zakonniku. Mamy moc, której Samodyscyplina nie jest w stanie się oprzeć.

- Primo, emerytowany zakonniku. Secundo, dzięki za przypomnienie, dlaczego was nienawidzę, skurwysyny. Przybyłem tu, żeby wam pomóc, popaprać. Poniosłem spore wydatki i położyłem na szali swoje życie śmiertelnika, żeby odszukać twojego syna, wszystko po to, żeby przez niego trafić do ciebie i porozmawiać. Bo wiem, że wy, aroganckie pizdy nie-dojebane, traktujecie nas, ludzi, jak szczury buszujące po waszych zasyfio-nych sypialniach. I tertio... - Rozkładam ręce. - Naprawdę chcesz ze mną spróbować? Twój ruch, królu elfów. Ja też mam swoją moc.

Zanim zdąży oszacować bezczelność mojego blefu, wyższa z kobiet podchodzi bliżej i dotyka jego łokcia.

- Mój panie, proszę... W dawnych dniach ludzie dobrze służyli Domowi Mithondion. Bądź łaskaw uznać, że ten śmiertelnik może być spadkobiercą długu, który zaciągnęliśmy u Żelaznorękiego i Bogobójcy.

- To bardzo ciekawe, że o nich wspomniałaś...

Kiedy spogląda na mnie, oślepiający żal w jej oczach ucisza mnie jak trzaśnięcie w pysk.

- Dominicu Shade, mój panie, zechciej łaskawie podzielić się ze mną wieściami o moim synu.

- Nie jestem żadnym „panem”, a poza tym... - Ożeż kurwa. Niech mnie na wylot wydymają. - Twoim synu?

- Uplętnęło dwa i pół stulecia, odkąd ostatni raz usłyszałam o moim Tor-ronellu. Na osobności opłakałam go jak zmarłego i po dziś dzień noszę żałobny woal. Zdejmij go z mego serca, a zaskarbisz sobie przyjaźń Domu Mithondion, która trwać będzie, póki stąpam po polanach dnia.

Czyli krócej niż jej się wydaje, ale mniejsza z tym.

374

- Wybacz, pani. Ja sam... straciłem matkę dawno temu i zawsze jestem zaskoczony, kiedy się okazuje, że inni w ogóle mają matki.

Tym bardziej nie jestem gotowy, żeby spojrzeć jej w oczy i powiedzieć:

„Twój najmłodszy syn jest narkomanem i drutociągiem, robi laskę w Ankhanie”.

- Torronell jest liściarzem w niezwykle ekskluzywnym przybytku roz-rywkowym w ludzkim mieście. Cieszy się znakomitą reputacją, ma wielu stałych klientów. Nie nazwałbym go szczęśliwym, lecz bez wątpienia słusznie chlubi się swoim profesjonalizmem.

Jego matka minimalnie przekrzywia głowę.

- A jeśli „ładnie poproszę”, żebyś powiedział także to, co na razie ukrywasz...?

- Wtedy z szacunkiem odmówię, pani.

- Czy powiesz... - Zaplata palce i pochyła głowę. - Powiesz mi, gdzie jest? Jak mogę go odszukać?

- Nie. Nim zaczniesz go szukać, obojętne, czy kogoś po niego pošlesz, czy wyruszysz osobiście, powinnaś chyba zadać sobie pytanie, ile prawdy jesteś w stanie udźwignąć, pani.

Przymyka oczy.

- Ach tak...

- A także, czy on udźwignie prawdę na swój temat, gdy odkryje, że ją znasz.

- Tak... - Jej głos cichnie, zgnieciony jak kartka papieru. - Możesz mu przekazać wiadomość?

- Nie.

Gwałtownie unosi głowę.

- Nie?

- Jestem teraz zajęty.

Odsłania zęby, a w jej oczach błyska coś takiego, że zaczynam się do-myślać, po kim Torronell odziedziczył porywczy charakter.

- Jakie ważniejsze sprawy może mieć dzikus, niż życie i honor księcia Pierwszego Ludu?

375

- Powiedziałem już, że pochodzę z Krainy Ciszy, którą my nazywamy Ziemią. - Kiwam głową na Kruczowłosego. - Kiedy twój ojciec Spętał *dil T'llann*, Krainę Ciszy zamieszkiwało kilkaset milionów ludzi. Teraz jest nas blisko trzynaście miliardów. I z każdym dniem nas przybywa. Niedawno odkryliśmy, w jaki sposób możemy się przedostać do tego świata bez pośrednictwa *dillin*. *Dil T'llann* stała się bezużyteczna. Już tu jesteśmy i będzie tylko coraz gorzej. Za pięćdziesiąt lat

twoje królestwo obróci się w proch, a twój lud wyginie.

Teraz równie dobrze mógłbym mieć przed sobą pięć alabastrowych po-sągów.

- Skoro już tu jestem, powinienem chyba wspomnieć, że wiem o Pirichanthe. I wiem, co próbowaliście zrobić, żeby nikt nigdy nie poznał prawdy. Wiem o wszystkim.

Kruczowłosa robi krok w przód. Temperatura w Sercu Drzewa spada o dwadzieścia stopni.

- To niemożliwe.

- Tak jak ja.

Nie rozumie.

- Jestem człowiekiem tylko w większości, ale nie całkiem. Za niecałe pięćdziesiąt lat Pirichanthe wyciągnie kopyta. A wtedy cała masa bogów rzuci się w pośpiechu pod prąd ciągu przyczynowo-skutkowego, żeby odczynić Deomachię.

- To niewykonalne.

- Wystarczy, że spróbują. Świat i tak zostanie zniszczony.

- Kim jesteś, że tak wiele wiesz o rzeczach, które jeszcze się nie wydarzyły? Prorokiem? Bożkiem, który cichaczem przekradł się przez mury czasu?

- Jestem aniołem.

Coś mi się widzi, że chwilowo zapomnieliśmy o brudnych dzikusach, bo są zbyt uprzejmi, żeby roześmiać mi się w twarz.

- Ściśle rzecz biorąc, jestem teofanicznym wtórnikiem człowieka, który za nieco ponad rok przyjdzie na świat w Krainie Ciszy. Kiedy dorośnie, 376

zostanie... zamieszany, powiedzmy... w unicestwienie Porozumienia. Stąd wiem. Dobije targu z jednym z bogów, żeby zminimalizować szkody. I ten właśnie bóg stworzył mnie kilka miesięcy temu. Kilka miesięcy czasu miejscowego. Stworzył mnie specjalnie po to, żebym przyszedł tu, spotkał

się z tobą i o wszystkim ci opowiedział.

- Dlaczego ów bóg nie objawił mi się osobiście przy dźwiękach trąb niebiańskich, zstępując po słupie ognia sięgającym gwiazd?

- Nie uważałeś, kiedy mówiłem o minimalizowaniu szkód? Ufa mi, że załatwię tę sprawę za niego, ponieważ mam... to znaczy facet, którego z wyglądu przypominam, ma kilka użytecznych cech. Na pewno zwróciłeś uwagę na moją Powłokę?

Mruży czujnie oczy.

- Jest... niezwykła.

- Jest czarna, prawda? Emanuję i chłonę tylko czarny Przepływ. Kogoś ci to przypomina?

Trochę to trwa, zanim odpowie, ale w końcu wydusza:

- Tak. Znałem go.

- Więc te wasze Dominacje, Uroki i tym podobne... Nie potrzebuję Samodyscypliny, żeby je przełamać. Naprawdę nie. Spróbuj czytać mi w my-

ślach. Prawdozmysł, wróżenie, magijne wykrycie, całe to badziewie na mnie nie działa, jeśli sobie tego nie życzę. Już nie.

- Bogobójca był taki sam - przyznaje Kruczowłosa. - Ale ty nie jesteś Jherethem.

- Uwierz w to. - Wzruszam ramionami. - Jestem tutaj, bo wiemy, co zrobiliście. Wiemy o wszystkim: *dil T'llann*, Pięść Rzeźnika, Miecz Człowieka.

- Znasz zaledwie ułamek prawdy.

- Zgoda, ale za to znam taki jej kawałek, którego ty nie znasz. Wiem mianowicie, że jeszcze nie wszystko stracone. To będzie trudne, ale ty mo-

żesz tego dokonać.

- Czego? Naprawić Porozumienie? Ocalić Pirichanthe?

377

- Nie. Porozumienie jest spętane okowami czasu, niezmiennie. Ale można sprawić, żeby zostało złamane w sposób, który nam pasuje. Rozumiesz?

Tak jak powiedziałem: zminimalizować straty.

- Jak mamy to osiągnąć? Czy ty i twój bóg macie jakieś sugestie?

- Trzeba Spętać inną Moc. Pirichanthe to... tępe narzędzie, jeśli można tak powiedzieć. Gdyby Pirichanthe zrobił to, czego od niego oczekiwali-

ście, Pierwszy Lud po dziś dzień rządziłby tym światem. Tymczasem kryjecie się po lasach.

- Co masz na myśli, mówiąc o innej Mocy?

- W Krainie Ciszy żył kiedyś taki facet, nazywał się Alexander Pope.

Napisał coś takiego: „Człowiek poczciwy dziełem najpiękniejszym Bo-ga\*”. Sto lat później inny facet, niejaki Robert Ingersoll, wpadł na lepszy pomysł. Napisał: „Bóg poczciwy dziełem najpiękniejszym człowieka”.

\* Przeł. L. Kamiński.

Kruczowłosa wybałusza z niedowierzaniem oczy.

- Mam stworzyć boga?

- Potrzebuję tylko miejsca, w którym będzie mógł zamieszkać. I musi umieć otwierać i zamykać *dillin*. To wszystko.

- Masz choćby przybliżone wyobrażenie, jak wielka jest twoja prośba?

- Jeszcze jedno: nie może się to wydarzyć wcześniej niż za pięćdziesiąt lat.

- To niedorzeczne.

- Też bym w to nie wierzył, gdyby nie jedna sprawa.

- Mianowicie?

Wzruszam ramionami.

- Bóg, o którym mówimy, to właśnie ten, z którym się dogadałem.

\*\*\*

Stoję przy galionie okrętu flagowego Domu Mithondion, patrzę na zajmującą kawał północnego Boedecken flotę lądową Kruczowłosego i po raz tysięczny, jeśli nie milionowy, nachodzi mnie refleksja, że Żyjący Pałac 378

powinien być dla mnie ostrzeżeniem: w tej rodzinie nic się nie robi na pół

gwizdka.

Okręt flagowy nie dorównuje wielkością lotniskowcom, jest mniejszy nawet od pancernika, ale sprawia nie mniej imponujące wrażenie, bo jest

największym bydlęciem, jakie mógłbym sobie wyobrazić sunące po lądzie.

Główny pokład nie ustępuje rozmiarami boisku piłkarskiemu, a Opactwo (mój dworek w San Francisco, z czasów, gdy byłem supergwiazdą) z łatwością zmieściłoby się w kącie największej ładowni. Nie wiem, jak są zbudowane olbrzymie walce, na których się to cholerstwo przemieszcza, ale sama jego wielkość sprawia, że jedzie się absurdalnie płynnie i gładko; już nie mówię o tym, jak ładnie wyrównuje i ubija ziemię, po której sunie.

Tam, gdzie przejeżdżamy, zostaje za nami droga.

Statków lądowych też się nie buduje, tylko hoduje, tka z żywych drzew

- może z jakiejś odmiany baniana, bo zwieszające się z kadłuba grube cumy są splecione z korzeni przybyszowych, które na każdym postoju jak macki obmacują ziemię i wrastają w nią, żeby jednocześnie unieruchomić i odżywić okręt. Takie same liny łączą też kadłub z jego jednostką napędową: zamiast silników mamy zakute w jarzma ogrille.

Bardzo dużo ogrillów. Zaprzęg samego okrętu flagowego liczy ze cztery, pięć tysięcy sztuk. Tworzą litą masę nieco szerszą niż sam okręt i prawie na milę długą. Przypuszczam, że w każdej chwili ciągną nas jakieś dwa tysiące, nieustannie wymieniane w jakimś makabrycznie skomplikowanym systemie zmianowym, dzięki któremu te zbyt zmęczone mogą wypocząć.

Co też skwapliwie czynią, truchtając za okrętem po świeżo wygładzonym trakcie.

Nawet nie próbuję zgadywać, jaką szybkość rozwijamy. Wiem wprawdzie, z jaką prędkością przemieszcza się nieobciążony ogrillo, ale sądząc po tym, jak odległe góry rosną mi w oczach, w tej chwili poruszamy się znacznie szybciej. Kruczowłosemu nie mogę teraz zawracać głowy pytaniami (zamknął się w swojej kabynie, gdzie przygotowuje się do rytuału), a żaden inny z tych skurczygnatów nie chce ze mną rozmawiać. Prawdę mówię,

też są zajęci: na samym okręcie ponad setka pierwotnych magów 379

bezustannie wali zaklęciami, generując taką moc, że widzę ją bez odwoływania się do wewnętrznego widzenia. Powietrze drży i mieni się jak miraż i wygląda na to, że każdy krok ogrillów liczy się dziesięciokrotnie. Albo dwudziestokrotnie. Aż zaczynam się martwić, że będziemy na miejscu przed końską wiedźmą, Angvasse i tatą.

Naprawdę bym nie chciał, żeby Kruczowłosey poczuł się wystawiony do wiatru.

Ale niepotrzebnie się martwiłem: kiedy o poranku słońce wyławia z mroku zarys górskich grani, nawet ja widzę wijącą się po oślepiająco błę-

kitnym niebie smużkę dymu. Wznosi się nad najwyższym punktem urwiska, pewnie tuż obok jedyne-  
go wąskiego przejścia prowadzącego z pionowego miasta na płaskowyż.

Flota rozpościera się jak fala, która za chwilę roztrzaska się o podnóże klifu.

Jesteśmy na miejscu.

\*\*\*

O zmierzchu błękit przechodzi w padający cicho śnieg. Kolana mnie bo-  
lą od długiego siedzenia na ziemi na krawędzi urwiska, ale nie mam ochoty się ruszać.

W dole rozciąga się ogromna flota lądowa Domu Mithondion, zacumowana do ziemi wśród ognisk,

na których piecze się mięso dla dziesiątków tysięcy ogrillów. Większa niż Naród Czarnych Noży. Mniejsza niż Bród Purthina. Dwieście metrów za moim lewym ramieniem majaczy ich okręt flagowy, wielki niczym blok mieszkalny dla Robotników w Mission District.

Wszystko tu wraca.

Napadało dość śniegu, żeby buty Angvasse skrzypiały lekko, gdy podchodzi do mnie z tyłu.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, nic mi nie jest. - To nieprawda, ale przecież nie ma sensu o tym 380

gadać, prawda? - Szkoda, że jej tu nie ma.

- Wiedźmie stado płoszy się w obecności ogrillów.

- Ja też.

Siada obok mnie na przyprószonej białym pyłem trawie, z westchnieniem słabym i pozbawionym nadziei jak podmuch wiatru.

- To... upiorne - mruczy, patrząc w dół na pustkowiu. - Widzieć te ognie i wiedzieć, że nie są to lampy i ogniska domowe porządnych ludzi, lecz ogniska obozowe elfów i ich prymitywnych wojowników...

- Fakt. - Skinieniem głowy wskazuję jurte stojącą obok naszego malutkiego ogniska. - Jakieś postępy? Ktoś coś powiedział? Cokolwiek?

- Nie. Żadnych dźwięków, żadnego ruchu. Pewnie porozumiewają się bezgłośnie, za pomocą jakiejś demonicznej magji.

- Albo obaj zasnęli.

Przekrzywia z zaciekawieniem głowę.

- Czy elfy śpią?

- Nie wiem. Pewnie, kiedy chcą, to tak.

Ci dwaj nie śpią. Cokolwiek T'farrell Mithondionne i tata robią tam przez tyle godzin, na pewno nie śpią. Zresztą nie chcę wiedzieć.

Chcę, żeby to się skończyło.

- Ja... - Angvasse wzdycha znów po swojemu, ledwo słyszalnie, i mówi dalej: - Nie znałam swojego ojca.

Patrzę na nią, a przed oczami przewijają mi się wspomnienia *i* tatą w ro-li głównej (niektóre są nawet miłe). Nie wyobrażam sobie swojego życia bez niego.

- Przykro mi.

Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

Kiwa głową, raczej w zadumie niż melancholijnie.

- Poznałam jednak, co to miłość. W domu stryja. Tam mnie kochano.

Odpowiadam takim samym skinieniem głowy.

- Mnie również. W domu ojca.

- To chyba powinno wiele ułatwiać, prawda?

381

- Taaa. - Patrzę na ginący w mroku śnieg. - Tylko że zwykle wychodzi dokładnie odwrotnie.

\*\*\*

Jakiś czas potem jej uwagę zwraca subtelna zmiana oświetlenia. Zerka przez ramię. Wstaje.

- Wychodzi.

Nie patrzę w tamtą stronę.

- To dobrze.

- Wycofam się.

Dzięki temu wiem już, który z nich wychodzi z jurty.

- Dobrze.

Chrzęst śniegu pod jego stopami jest nierówny, prawie przypadkowy, jakby co chwila przystawał, a potem dochodził do wniosku, że powinien jednak podejść nieco bliżej.

- To była... niezapomniana rozmowa.

Nie chce mi się odpowiadać.

- Kruczowłosa jest... niezwykłą istotą. A jego propozycja...

- Zgodziłeś się? Zrobisz to?

- Nie chciałem.

- Ale zrobisz.

- Ta rozmowa...

- Domyślam się: ogrom wiedzy, pierdu, pierdu. Weź, książkę napisz, jeśli chcesz.

- On mówi, że naprawdę napiszę książkę. *Opowieści Pierwszego Ludu*.

Uczucie jest podobne, jak gdyby ktoś wyrzucił mnie z plaskacza w czubek głowy. Dopiero teraz odwracam się, nie bardzo wiedząc, co zobaczę.

Widzę tylko ogromny cień na tle ogniska... ale jego sylwetka jest dla mnie równie czytelna, jak dla innych ludzi znaki drogowe.

- Naprawdę chcesz do tego wracać?

382

- My... nie rozmawialiśmy o wiedzy, on mi ją po prostu włożył do głowy. Mówi, że to jedyna rzecz, jaką będę pamiętał. Że obudzę się w Ciernistej Rozpadlinie z najgorszą migreną w życiu, ale będę w stanie zapisać wszystko, co mi dał. Zrobię doktorat, dostanę profesurę, ożenię się z kobietą, którą kocham. I będę miał syna.

- Czyli tak naprawdę rozmawialiście o...

- O przyszłości. Mojej przyszłości. - Jego sylwetka przesuwa się w taki sposób, jakby chciał wyciągnąć do mnie rękę, ale bał się, że mu ją urwę. -

Powiedział mi, kim jesteś.

Kurwa mać...

Moja głowa nagle zaczyna ważyć dwie tony.

- Nie jestem twoim synem.

- Wy tłumaczył mi to. Mogę usiąść?

- Nie.

- Słucham?

- Mam ci to przeliterować? - Stoję przed nim. Nie przypominam sobie, że bym wstawał. Nie przypominam sobie również, że bym się wściekł. - Nie będziemy kontynuować tej popierdolonej

rozmowy. Nie będziemy rozmawiać ani o moim dzieciństwie, ani o mamie. Mowy nie ma.

- Ale... - Garbi się, kołysze na piętach. - Ja nawet nie wiem, jak masz na imię...

- Wymyśl coś, jak się urodzę, kurwa! To bez znaczenia. Kiedy się obudzisz, nie będziesz mnie pamiętał, a zanim nastanie ranek, ja będę już martwy. Więc po prostu się odpiardol.

- Martwy? Nie wspomniał o... no, o tym, że ktoś umrze...

- Nie jestem kimś, tylko czymś. I „martwy” nie jest najlepszym słowem.

Powinienem powiedzieć „zniszczony”.

- Nie rozumiem... - Składa dłonie razem, jakby próbował w nie nabrać zrozumienia, żeby potem się go napić. - Tysiąc pierwotnych magów. Dwadzieścia pięć tysięcy ogrillów. I ja. Jeden dzień. Potem odstawi mnie tam, skąd mnie ściągnąłeś, z głową pełną historii, z których da się zrobić książ-

kę. Taka jest umowa. Nie mówił...

383

- Nie wspomniał o Prawdziwych Relikwiach?

- O Mieczu i Dłoni? Owszem, powiedział, że ulegną zniszczeniu podczas rytuału... Ale to przecież tylko symbole, prawda? Tak jak fragmenty Krzyża Świętego. Albo Święty Graal.

- Nie symbole, tylko metafory. To nie to samo.

- Oczywiście, że nie to samo, ale w tym wypadku nie jestem przekonany o ważności tego rozróżnienia.

- To proste. - Machnięciem ręki wskazuję Angvasse, widoczną jako duch w padającym śniegu. - Widzisz Angvasse? Po drodze zdążyliście się pewnie trochę poznać. Zauważyłeś coś niezwykłego?

- Poza tym, że jest superbohaterem?

- Nie jest człowiekiem. Tak samo jak ja.

- A czym?

- Jest Dłonią Khryła.

- No, weź nie mów...

- A ja... - Ciche westchnienie, lekkie wzruszenie ramion, dziwaczny dreszcz na całym ciele, bo w końcu muszę to powiedzieć na głos. - Ja jestem Mieczem Człowieka.

**BEZCZASOWA**

**TERAŻNIEJSZOŚĆ 7**

# SZTUKA ODCZYNIANIA

NIEKTÓRZY NASI TAUMATOLODZY-TEORETYCY DOMNIEMYWAJĄ, ŻE

TAKIE ODCZYNIONE WYPADKI RZUCAJĄ NA RZECZYWISTOŚĆ CIEŃ, TAKIE

JAKBY... ECHO, KTÓRE PRZEJAWIA SIĘ POTEM W OPOWIEŚCIACH, LEGENDACH I MITACH.

- MISTRZ LEKTOR Z CIERNISTEJ ROZPADLINY

Kris klęczy na śniegu z pochyloną głową. Nie porusza się, nie mówi, łzy spadające mu z policzków dźwięczą cichutko przy uderzeniu o ziemię i roztrzaskują się na małe klejnociki.

Duncan długo mu się przygląda, a w końcu odwraca się do Caine'a.

- Ty jesteś Mieczem Człowieka?

-

Być może. - Wzruszenie ramion. - Dużo zależy od tego, komu pozwoliłeś wyciągnąć miecz ze swojej piersi. Jedną z konsekwencji mogą być twoje rozmowy z Kruczowłosym. Wracając jeszcze do Miecza Człowieka... Pamiętasz, jak mówiłem o metaforach? Można chyba powiedzieć, że w pewnym sensie mógłbym być fizyczną manifestacją metafizycznej energii, którą wyrażał Miecz Człowieka.

385

- Niezły tekst.

- Dalej będzie gorzej.

- Dopiero się rozgrzewa - potwierdza końska wiedźma. - Wydaje mu się, że im więcej słów użyje na wyjaśnienie czegoś, tym lepiej druga strona to zrozumie.

Duncan unosi brwi.

- Nie jesteś dla niego zbyt surowa?

Wiedźma się uśmiecha.

- To mu się w kobietach podoba.

Kiedy Duncan spogląda na Caine'a, na twarzy zabójcy igra uśmiech tak czuły, szczęśliwy i figlarny, że Duncan sam łapie się na tym, że się uśmiecha.

- Domyślam się, że w naszej rodzinie poszło to po mieczu.

- Naturalnie.

- Hari... - Kris kładzie rękę na ramieniu Caine'a, a kiedy ten wstaje, przygarnia go i obejmuje. - Cokolwiek się wydarzy, Hari, dziękuję. Cokolwiek się wydarzy. Dziękuję, że mogłem jeszcze raz zobaczyć swoich bliskich. Ten jeden raz. Są cali, zdrowi... Nie umiem wyrazić, ile to dla mnie znaczy.

- Nie ma za co - mówi Caine. - Zresztą, to nie wszystko.

- Naprawdę?

- To dopiero początek.

- Poprosiłeś mojego ojca, by... coś zrobił. Udało mu się?

- Nie wiem.

- Czyli to jedna z tych trudnych spraw.

- Tak. Przekonamy się, kiedy spróbujemy: zadziała albo nie.

- Ta Moc, którą chcesz Spętać, żeby kontrolować *dil T'llann*...

Czym właściwie jest?

- Nie powiem.

- Hari...

- Nie. Przykro mi.

386

- Powiedziałeś mi kiedyś, że w całym swoim życiu ufałeś tylko trzem ludziom: jednym z nich był twój ojciec, pozostałe dwie były mną.

- To się nie zmieniło. - Caine skinieniem głowy wskazuje końską wiedźmę. - Tyle że z trzech zrobiło się czworo.

- Czworo?

- Właściwie pięcioro. Pamiętasz Orbeka?

- Oczywiście.

- Sześcioro. Jeszcze Avery Shanks.

- Bez żartów, proszę cię...

- Siedmioro. Raithe.

- Raithe?!

- To skomplikowane. Im też nie powiedziałem. Masz tylko powiedzieć

„tak” albo „nie”. Zgadzasz się albo nie. Co zobaczyłeś? Mogę sprawić, że to się spełni.

- Bardzo źle obszedłeś się z Rronim.

- Wiem. Zapłaciłem za to.

- Byłeś okrutny. Poniżyłeś go. A myślałeś o nim jeszcze gorzej, niż mówiłeś.

- Nie myślałem. To było solilokwium.

Kris kiwa głową i na smutną twarz wypływa mu łagodny uśmiech.

- Rroni... Chyba warto byłoby do tego doprowadzić. Choćby po to, żeby zobaczyć twoje zdziwienie, kiedy skopałby ci tyłek.

- Tak daleko bym się nie posuwał...

- Sklepałby ci zad jak staremu mułowi na wiejskiej paradyzie...

- Dobra, dobra. - Caine ucisza go machnięciem ręki. Ma dość zabawy. -

Bądź poważny, Kris. Zastanów się. Nie cofniesz raz podjętej decyzji, a jesteś chyba jedyną osobą w dziejach świata, która może powiedzieć: „Caine, nie rób tego” i mieć choćby cień nadziei, że posłucham.

- Nie wyobrażam sobie, dlaczego miałbym odmówić.

- Bo jeszcze tego nie przemyślałeś. Nie chodzi o mój plan. Nie chodzi o to, czego chcę od Kruczowłosego. Nieważny jest mój sukces, porażka czy 387

jakiś stan pośredni. Dla ciebie problemem jest to, co zrobiłem przez przypadek.

- Przez przypadek?

- Wdałem się w bójkę z twoim bratem.

- Nie rozumiem.

- Rroni umie się bić, ale przy okazji zbryzgała go moja krew.

Kris wytrzeszcza oczy.

- Twoja krew...

- Pytałem cię, co byś zrobił, gdybyś mógł cofnąć swój najgorszy uczynek - przypomina grobowym głosem Caine. - Co jest w mojej krwi?

- O mój boże... - Nogi uginają się pod Deliannem; Caine łapie go, żeby nie upadł, i pomaga mu usiąść. - Rroni...

- No właśnie. Tym sposobem wyłącznie przez swoją nieuleczalną głupotę potencjalnie zaraziłem najbardziej poszukiwaną kurew w całej Ankhanie zmodyfikowanym przez Pallas Ril antywirusem zwalczającym HRVP.

- Rroni nie zachoruje... - szepcze Deliann. - Nigdy.

- Ani on, ani Kierendal, ani Tup. Ani Toa-Sytell. Nikt nie zachoruje.

Kiedy trzydzieści lat później poznasz Torronella, zabierzesz go z powrotem do Domu Mithondion...

- O boże.

- Sam rozumiesz, że to nie jest dobra wiadomość. Kiedy dotrzecie do tej wioski, wszyscy wasi przyjaciele będą już odporni na HRVP. Kurczę, mo-

że nawet faerie będą uodpornieni! Może w ogóle go nie złapią. A jeżeli epidemia HRVP nie wybuchnie, możesz nie wprowadzić J'Thana. Ja cię nie rozpoznam. Caine nie wróci do Nadświata.

- Hari, na boga... Na boga! Mógłbyś odczynić śmierć Shanny!

- To możliwe, ale nikt nie wie tego na pewno. Coś takiego właśnie klasztorni mózgowcy nazywają pętlą bezprzyczynową. Wyleczenie HRVP

zanim ktokolwiek ją złapie mogłoby oznaczać, że Pallas Ril w ogóle nie wytworzy antywirusa.

388

- I co wtedy?

- Tego nikt nie wie. Są różne teorie. Uważa się powszechnie, że odczy-nienie najprawdopodobniej samo też zostanie odczynione, ale tu też pojawiają się komplikacje i chyba nie ma dwóch takich speców, którzy by się ze sobą do końca zgadzali. Najlepszy scenariusz? Shanna albo ktoś inny tworzy antywirus z jakiegoś innego powodu i cała reszta wydarzeń toczy się bardzo podobnie jak w oryginale, a my na koniec łądujemy tutaj.

- Tyle tylko, że moja rodzina będzie żyła. Mój lud.

- Mogą umrzeć na coś innego.

- Deliannie... - Końska wiedźma pociesza go skąpym potrząśnięciem głowy, jakby mówiła „nie martw się”. - Są jeszcze lepsze najlepsze scena-riusze.

- Nie pomagaj. - Caine z marsem na czole patrzy w dal, jakby coś mu się nie podobało. - Kris, czas na decyzję. Tak czy nie?

- Czas na decyzję? Dlaczego? Co się stało?

- Śnieg przestał padać.

Duncan spogląda do tyłu. Nie tylko śnieg przestał padać, ale trawa wyrosła tam, gdzie jeszcze niedawno była naga skała, i dzikie kwiaty pną się ku słońcu.

- Mamy towarzystwo - rozbrzmiewa ponury głos Angvasse.

- Nie mów...

- Caine? Na twój znak.

- Nie czekaj. Jeżeli sprawa się rypnie, przyszpil kurwę do gleby. Później się nią zajmę.

- Hari... Caine... - jąka się Duncan. - Jaką kurwę? Co się dzieje?

- Bogowie nas znaleźli. Wysyłają egzekutora, który ma nas powstrzymać. A mnie prawdopodobnie zabić.

Angvasse wkłada hełm.

- Nie powinieneś był wymawiać Jej imienia.

- Egzekutora?! Czy grozi ci niebezpieczeństwo? Albo nam?

Z porośniętej trawą ziemi kielkują maleńkie drzewka. Jęczą i trzeszczą, jakby cierpiały katusze, ale wykręcają się i pną coraz wyżej, kwitną, 389

okrywają się liśćmi, mnożą w dal: topole, brzozy i wiązy, i klony, i orzechy, i dęby, i nagle szczyt urwiska staje się zieloną polaną, prześwietloną słońcem i dźwięczącą śpiewem ptaków.

- Taaa, wszystko jasne. - Caine wzdycha. - To moja pierdolona żonka.

- Świętej pamięci - dodaje końska wiedźma.

Na polanie pojawia się Obecność, gęstnieje, zagarnia światło, kwiaty i czarną ziemię kipiącą powracającym życiem, i nagle Ona jest wśród nich.

**PODSTĘPY I MANEWRY**

# BIEGNIJ I STRZELAJ

JEST CZAS NA OSTROŻNOŚĆ, SPRYT I REKONESANS - ALE JEST TAKŻE

CZAS, KIEDY TRZEBA PO PROSTU WEJŚĆ DO AKCJI.

- CAINE

*OSTRZE TYSHALLE'A*

Tabliczka na zamkniętej na kłódkę przesuwanej bramie była wypisana w trzech językach: westerlińskim, lipkeńskim i angielskim: ZAMKNIĘTE NA CZAS SĄDU

PONOWNE OTWARCIE -

DWIE GODZINY PO ZACHODZIE SŁOŃCA.

Doszedł do wniosku, że jest to przejaw niespotykanej uprzejmości ze strony kierujących kopalnią Aktorów i Policji Społecznej, biorąc pod uwagę fakt, że poza nadzorcami zatrudniano w niej wyłącznie ogrillów, niema-jących przecież żadnych praw. Z drugiej strony, Tourann sugerował, że górnicy z BlackStone są nietykami, a to mogło oznaczać, że kopalnię 391

zamknięto w samoobronie. Zabronienie dwóm tysiącom ogrillów wstępu na imprezę mogło się źle skończyć, i to w mgnieniu oka. Dodatkowe dwie godziny miały zapewne stanowić margines bezpieczeństwa dla szefostwa, żeby zdążyło się zorientować, czy szykuje się zadyma.

Nie miałoby znaczenia, kto wygra, a kto przegra. Zamieszki wybuchły-by tak czy inaczej.

Ogrodzenie z anodyzowanej siatki uzupełniały kłęby drutu kolczastego na górze i przy ziemi. Nie powstrzymałoby zdeterminowanego napastnika, ale na pewno spowolniłoby napór ludzi. Przeciętnych ludzi, bo uświadomił

sobie, że ktoś obdarzony nadprzyrodzoną siłą i ciężko opancerzony - taki Tyrkilld, powiedzmy - z marszu przedarłby się przez takie zasieki.

Stróżówka była jak żywcem przeniesiona z Ziemi - pudełko z pustaków z oknami ze wszystkich stron. W środku płonęły już lampy gazowe; chmury zbite jak granitowe płyty rzucały cień gęsty niczym zmierzch. W stró-

żówce tłoczyło się pięciu albo sześciu facetów, co oznaczało, że niektórzy z tych, którzy powinni patrolować ogrodzenie, postanowili wpaść do kumpli z wizytą i wspólnie ponarzekać, że muszą harować, kiedy wszyscy inni mają wolne popołudnie.

Zatrzymał się przy bramie, podniósł garść żwiru i rzucił nim, całkiem mocno, w najbliższe okno stróżówki. Chwilę później otworzyły się drzwi i ze środka wytarabanił się wkurwiony wartownik, który od razu zaczął wy-dzierać mordę, że nie życzy sobie rzucania czymkolwiek w stróżówkę, zanim

jeszcze podszedł na tyle blisko, żeby przyjrzeć się intruzowi.

Był prawie pewny, że wartownik go rozpozna. Siodlarz z Przystani był

tak rozanielony nieoczekiwaną wizytą lady Khlaylock w jego warsztacie, że z entuzjazmem ofiarował jej kilka jardów miękkiej czarnej skóry. A ponieważ Kravmik był prawie równie dobrym krawcem jak kucharzem, w niespełna godzinę zmajstrował cały strój, włącznie z mankietami i kołnierzem. Kolejną godzinę zajęło mu wszycie pochew, które pomieszczą wszystkie noże właściciela.

392

Ubranie nie leżało idealnie i nie było przesadnie wygodne (jak wszystkie jego skórzane wdzianka), ale nie zamierzał się przejmować dopasowaniem i wygodą. Nie dzisiaj.

Przyjemnie solidne ubranie podróżne Jonathana Fista zostawił w „Pratcie i Redhorne”. Wraz z nimi pozbył się tego nazwiska.

Wartownik stanął jak wryty i z niedowierzaniem zmrużył oczy.

- Słodka matko gównojadko... To ty!

- To ja.

- Chłopaki! Chodźcie, musicie to zobaczyć... To Caine, kurwa! Caine!

Jego kumple wysypali się ze stróżówki i szybko osiągnęli konsensus w tej kwestii: faktycznie, to był Caine. I natychmiast zaczęli go wypytywać, skąd się tu wziął co porabiał gdzie się podziewał przez ostatnie trzy lata i czy słyszał o tym że znów otworzyli połączenie z Ziemią i...

- Dzięki, chłopaki. Naprawdę. Nie miałem zielonego pojęcia, co tu robicie, dlatego wpadłem z wizytą. Właśnie dlatego. Bo nie wiedziałem, co tu się dzieje. Otwórzcie bramę.

Dwóch skoczyło do kłódki. Czasem życie gwiazdy nie jest takie złe.

Kiedy odsuwali opartą na rolkach bramę, miał okazję dobrze się im przyjrzeć. Błazny. Cała szóstka miała krótką broń. Czterech miało ubranie dostatecznie obszerne, żeby ukryć pod nim pancerz. Dwóch wróciło po karabinki, które stały oparte o ścianę stróżówki.

Aktorzy. Wszyscy wyglądali mniej lub bardziej znajomo, dwóch pró-

bowoło mu przypomnieć, przy jakiej okazji niby się spotkali, ale jednego rozpoznał po opisie: wysoki, szczupły, rudy i blady; nosił pistolet w kaburze na udzie.

- Pamiętam cię - przyznał. - Nazywasz się... Dale? Frank? Pomóż mi...

- Deacon Tucker - odparł wysoki rudzielec. - Mów mi Deak.

- Deak, jasne... Grałeś... płatnego zabójcę? Nie, to nie tak... Ale jakiegoś kilerą, prawda?

393

- Pojedyńkowicza. Broń biała, magia, gołe pięści... Co tylko zechcesz.

Wybierz broń, a ja się stawię. Głównie robota na zlecenie. W Nadświecie nazywają mnie Żar.

- Oczywiście! Żar. Miło cię znów widzieć.

Żar skinął przyjaźnie głową.

- Pochlebia mi, że mnie pamiętasz. I też się cieszę, że cię widzę. Wszyscy myślą, że nie żyjesz.

- Nie wszyscy. Posłuchaj, muszę się dostać do waszej komory z polem normalnym Ziemi. Mam raport. Do rąk własnych szefostwa.

Tucker skinął głową równie przyjaźnie jak przed chwilą.

- Nie mogłeś im tego powiedzieć wczoraj? Po tym, jak Tarkanen przy-wlókł tu twoją gołą, zakrwawioną dupę i sprzedał ci kopniaka na Ziemię?

- Mówiłem ci, że wczoraj to nie był on - powiedział ktoś do kogoś innego. - Widzisz? Nie mówiłem? Mówiłem.

Tucker zmierzył Caine'a spojrzeniem, w którym nie było już nic przy-jaznego.

- Może ty mi powiesz, kim był tamten facet?

- Moim złym bratem-bliźniakiem. Zresztą, chuj cię to obchodzi. Nadal jestem na waszej liście do aresztowania, prawda? Więc i tak powinniście mnie złapać i odstawić do szefostwa, żeby zdecydowali, co ze mną zrobić.

- Właśnie dlatego już nie lubię tej gównianej roboty. - Zrobił dwa kroki w tył i wyciągnął pistolet ruchem tak płynnym, że wcale nie wydawał się szybki. Wydawał się magijny. Za to w widoku lufy z bliska nie było nic magijnego. - Rzućcie mu dwie bransoletki.

Jeden z pozostałych rzucił Caine'owi pod nogi parę plastikowych kajda-nek.

- Skuj sobie ręce - polecił Tucker. - Z tyłu. Drugą bransoletką przypnij sobie pierwszą do paska. Mocno. Benson, stań z tyłu i patrz. Przypilnuj, żeby zrobił to jak trzeba.

Caine podniósł kajdanki.

- To nie musi tak wyglądać.

- Właśnie, że musi. Nie zastrzeliłem cię jeszcze tylko dlatego, że nie 394

mam ochoty dźwigać twojego starego dupska. Jastrząb był moim przyjacielem.

- Kiepsko dobierasz sobie przyjaciół. - Westchnął i skuł się zgodnie z instrukcją. - Zadowolony?

- Będę zadowolony, kiedy albo umrzesz, albo wylądujesz na Ziemi. Do tego czasu zakładam, że chcesz mnie zabić.

Caine wzruszył ramionami.

- Może powinieneś być dla mnie miłszy.

- Benson, idziesz ze mną. Pozostali: rozstawić się i zebrać wszystkich w pogotowiu. Wszystkich. Skoro Caine tu jest, to szykuje się ostra gra. Prze-czeszcie budynki. Posterunki na wszystkich zaporach, snajperzy na komi-nach. Faller jest na Ziemi. Ja złożę meldunek.

Jeden ze strażników spojrzał na niego wilkiem.

- A kto zrobił z ciebie dowódcę, nowy?

- Ty. Kiedy tak stałeś z palcem w dupie, zamiast robić, co do ciebie na-leży. - Tucker cofnął się i przepuścił więźnia, trzymając się ponad dziesięć stóp od niego. - Benson, trzymaj go na muszce, ale nie wchodź mi na linię ognia. I żebyś mnie przypadkiem nie trafił, kurwa! Idziemy.

\*\*\*

Ostrożnie szli wśród masywnych budynków. Wszędzie przybywało ludzi z bronią. W końcu dotarli do kompleksu biurowego kopalni. Zastali tam jeszcze tylko jednego człowieka; Tucker kazał mu wziąć karabin i zmiatać.

Przeszli przez gabinet Fallera. Dywan zniknął, ale na ścianach wciąż by-

ło widać w miarę świeże rozbryzgi krwi. Benson wziął lampę gazową i ją zapalił.

Za gabinetem znajdowała się winda towarowa zawieszona na dwóch przechodzących przez jej podłogę łańcuchach.

- Pilnuj go, żeby nie zbliżał się do łańcuchów - ostrzegł Tucker i pocią-

gnął za jeden.

Winda z szarpnięciem ruszyła w dół. Z góry dobiegł syk pary, zawieszona na splecionych łańcuchach przeciwwaga zaklekotała i zaczęła sunąć do góry.

395

Zjazd nie trwał długo. Na dole Tucker wyjął z rękawa sztylet i prze-włókł ostrze przez ogniwo łańcucha, unieruchamiając windę.

- To gdybyśmy musieli szybko uciekać.

W tunelach były rozmieszczone latarnie gazowe, ale wygaszone. Większość korytarzy miała niewielką długość. Połączone nimi ogromne komory były puste, jeśli nie liczyć ciosanych kolumn, które pozostawiono nietknię-

te, żeby podpierały strop. Podłóże było równe i czyste. Komory znajdujące się na różnych poziomach blisko siebie połączono za pośrednictwem schodów lub przyśrubowanych do skały metalowych drabin. Rolę dłuższych łączników pełniły pochyłe tunele.

Na końcu jednej ze schodzących w dół spiral znaleźli pancerny właz w ścianie.

- Benson? Pilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Nie życzę sobie żadnych niespodzianek.

Benson odstawił lampę, otworzył właz i wszedł. Padające ze środka światło miało chłodny, niebieskawy odcień nowoczesnych jarzeniówek.

Benson wrócił.

- Spokój. W środku jest tylko Anders, ma dyżur.

- Dzięki - powiedział Tucker i strzelił mu w twarz.

Głowa Bensaona odskoczyła w tył i natychmiast wróciła do pionu, jakby nie mogła się zdecydować, czy podążyć za rozbryzgiem krwi, kości i mó-

zgu, czy uciec przed nim w przeciwnym kierunku.

Zza włazu:

- Co jest, kurwa?!

I łoskot przewracanych krzesel.

- Anders! - zaskrzeczał Tucker. - Ja pierdolę, Anders... o mój boże...

Ze środka:

- Co się dzieje?! Co się tam wyrabia?!

Tucker strzelił raz za razem, w bardzo krótkim odstępie.

- Nic.

Ze środka: głuchy łoskot, jakby wór ziemniaków przewrócił się na pod-

łogę.

- Jezu Chryste...

- Lubił małe dziewczynki - wyjaśnił ponuro Tucker. - Naprawdę małe.

Nie widziałem powodu, dla którego miałby przeżyć.

- A Benson?

Wzruszenie ramion.

- Kantował przy kartach.

- Wydymał cię, a ty się nie zorientowałeś.

- Powiedziałem, że kantował, a nie że się nie zorientowałem.

- Co się przytrafiło prawdziwemu Deakowi Tuckerowi?

- To było dwa lata temu... Wdał się w pojedynek z podstarzałym i przygłupim starszym synem paqulskiego barona, który wcale nie był taki podstarzały i przygłupi, jakiego udawał. - Tucker schował broń. - A ten baron wcale nie był jego ojcem.

- Ładne. Ty go tak załatwiłeś?

- Facet żyje. Ktoś tam, na Ziemi, uznał najwyraźniej, że należy mu wy-

łączyć aktorskie warunkowanie. To niesamowite, ile można z ludzi wycią-

gnąć, jak już zaczną mówić. Nie chcę, żebyś pomyślał, że jesteś mi coś winien za oszczędzenie cię, nic z tych rzeczy, ale powiem ci, że znam ludzi, którzy twierdzą, że ty i Deak powinniście być sąsiadami. Drzwi w drzwi.

- A ty jak uważasz?

- Ze mnie żaden dyskutant, Jonnie...

- Nie rób tego, dobrze? Ciary mnie przechodzą, kiedy mówisz głosem Tannera.

Tucker wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy to dla ciebie ważne, ale wszystkim powtarzam, że nie chcemy takich kłopotów, jakie zwiastujesz.

- Dzięki.

- To zwykła samoobrona. Denerwuję się już kiedy jestem na tej samej planecie co ty.

- Posłuchaj, Tanner...

397

- Tucker. - Podniósł rękę. - Traktuj mnie jak faceta, którego naśladowę.

Przyzwoitość tego wymaga.

- Fajny akcent podłapałeś.

- Nic dziwnego, że ci się podoba. To twój. - Tucker zaszedł Caine'a od tyłu. - Angielski był dla mnie wystarczająco trudny, nie mam czasu, żeby się jeszcze pierdolić z dialektami. Nie ruszaj się.

Nie ruszył się. Kajdanki się zacisnęły, a potem strzeliły z trzaskiem.

Roztarł nadgarstki i rozruszał napięte mięśnie ramion.

- Miło być po tej samej stronie, tak dla odmiany.

- Przekazałem twoją wiadomość Damonowi. Jak się żyje w wiedźmim stadzie?

- Nerwowo. T'Passe cię wprowadziła?

- Trochę. Masz naprawdę coś do załatwienia w tej komorze?

- Co nieco.

- Zaczekam tutaj.

- Dobra.

- W środku dostaję dreszczy. Od miesiąca wymyślam różne preteksty, żeby tylko nie musieć tam wchodzić. Bez urazy, ale Ziemia jest do dupy i trudno mi sobie wyobrazić chociaż jeden argument przeciw.

- A poza tym mógłbym zobaczyć, jak wyglądasz naprawdę.

- Nie obrażaj mnie. Co ty sobie myślisz, że produkowałbym się przed aktorską legendą ubrany w same Pozory?

- Na mnie i tak nie działają. Więc czego używasz?

- To tajne. - Tucker szturchnął trupa czubkiem buta. - Wciągniesz go?

Ja tu posprzątam.

Caine podniósł pistolet Bersona i wetknął go sobie za pasek.

- To nie potrwa długo.

Rzecz jasna komora z polem normalnym Ziemi w kopalni BlackStone nie przypominała tej na Dworcu w Ciernistej Rozpadlinie. Tamta czerpała energię z nierównowagi mikrotransferu, co wymaga sprawnych agregatów do Transferu Winstona, natomiast ta tutaj... Trudno powiedzieć. W pierwszym odruchu pomyślał o zasilaniu parowym, ale turbina musiałaby się 398

znajdować bardzo blisko, praktycznie w samej komorze. Dwanaście wy-

świetlaczy podłączonych do pięciu stacji roboczych - i ani jednej klawiatury; aż trudno było uwierzyć, że pomieszczenie jest dostatecznie solidnie ekranowane, żeby działały w nim ekrany dotykowe. Ekran były zrobione z jakiegoś czarnego kompozytu, do złudzenia przypominającego włókno węglowe, i wszystkie wyglądały na wyłączone, również ten, przed którym leżał trup.

Po obu stronach wyświetlaczy w białe wbudowano czarne dyski z tego samego tworzywa, mierzące jakieś dziewięć, dziesięć cali średnicy. Przesunął palcami po jednym z nich, ciekaw jego faktury, i najbliższy wyświetlacz się włączył.

- Więc tak to działa... - mruknął.

Zabrał rękę. Na Ziemi nie było nikogo, z kim naprawdę chciałby porozmawiać, a gdyby Ziemia dowiedziała się o jego obecności tutaj, miałby kurewsko poważny problem. Schylił się i zajrzał pod blat. Zamiast kabla zasilającego albo czegoś, co by go chociaż przypominało, znalazł tam rozgałęzioną sieć czarnych rurek; w ich nie całkiem przypadkowym układzie było coś niepokojącego. Wyglądały jak naczynia krwionośne.

W pobliżu bramy wszystko jest chyba nieźle popieprzone.

Wyjętym z buta nożem dziabnął najcieńszą rurkę, grubości przewodu od kroplówki. Kiedy go cofnął, kropla czarnego oleju na czubku ostrza już zaczynała dymić.

- Ha... - Skreślamy tamto „chyba”. - No dobrze.

Dwie minuty później wrócił na korytarz do Tuckera. Zatrzasnął za sobą właz.

- Czas się zbierać.

- A co z biurem?

- Zaraz będą mieli w nim pożar.

Te słowa podkreśliło głośne *bum!*, nie całkiem wyciszone przez masywny właz. Towarzyszył mu wstrząs, który poczuli przez kamienną pod-

łogę. Właz się wybrzuszył, dym zaczął się przesączać przez uszczelkę na obwodzie.

- No dobrze, to coś więcej niż pożar.
- To co, do bramy?
- A damy radę?
- Trudno powiedzieć. Pilnują jej PG, ale bez eskorty Policji Społecznej.
- PG?

- Poważni Goście. Plus dwóch wartowników przy pancernym włączniku, takim naprawdę pancernym, bo ten tutaj to jakieś gówno jest.

- Tak czy inaczej, nie ma sensu tutaj sterczeć.

Tucker wzruszył ramionami.

- Tędy.

\*\*\*

Podejście do bramy znajdowało się dwa i pół poziomu niżej. Na ostatnich trzydziestu jardach tunel biegł prosto, poziomo i miał najwyżej siedem stóp szerokości. Zgodnie z zapewnieniem Tuckera, na jego drugim końcu powinny czekać dwa pospoły w pełnej zbroi antymagijnej, uzbrojone w karabiny szturmowe, granaty, noktowizory... Kompletny ekwipunek.

- To kurewsko nieprzyjemne.
- Nie po to tu są, żeby było łatwo.
- Jaki jest plan?

Tucker podał mu coś okrągłego i ciężkiego.

- Może się okazać, że ostrożność na nic się nam już nie przyda. Granat.
- Super. Mam dość tego skradania się.
- Dlatego zawsze będziesz lepszym Aktorem niż tajnym agentem.
- Co z tego?
- Nic. Zostaw lampę. Zostało sto jardów.
- Ale ja nie widzę po ciemku. Mam tylko Samodyscyplinę.
- Wskażę ci kierunek. Potem przyświecę nam płonące pospoły.

- Rany, jakbym słyszał sam siebie...

- Przestań. Obrażasz mnie.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego nikt mnie nie lubi.

400

- Ciii.

Było ciemniej niż ciemno. Po blisko minucie ostrożnego skradania się poczuł dotyk czyjejś dłoni na ramieniu. Zatrzymał się. Tucker nakierował

jego rękę na znajdujący się tuż przed nim narożnik muru. Obmacał go ostrożnie. Palce na nadgarstku: trzy, potem dwa, potem jeden, a potem odbezpieczył granat, rzucił go mocno za róg, przywarł płasko do ściany i zatkał uszy rękami; poczuł, że Tucker robi dokładnie to samo.

Jeden z pospołów zdążył krzyknąć „Granat!”, nim podwójna eksplozja plunęła ogniem z głębi korytarza.

Rozległ się również inny, mniej sympatyczny dźwięk: huk strzelających seriami karabinów. Ogień zaporowy. Jazgoczące pociski rozbijały się na ścianie na wprost wylotu tunelu.

- Powiniennem sobie załatwić taki pancierz - mruknął Tucker.

Wystawił za róg rękę z pistoletem przestawionym w tryb automatyczny: dwusekundowa seria, dziesięć strzałów na sekundę. Kanonada karabinowa ucichła.

- Idziemy.

Płomienie pełgały jeszcze po resztkach środka zapalającego. Dwa pospoły leżały jak porzucone manekiny, z mięśniami zastygniętymi w takim napięciu, że w ogóle nie przypominały ludzi. To musiało być magijne Powstrzymanie albo coś w tym rodzaju.

- Ja chromolę...

Tucker posłał mu uśmiech.

- Modyfikowana amunicja.

- Co ty nie powiesz...

- Dałbyś mi jeden z tych swoich roznów na żaby?

Wyjął zza pazuchy nóż do walki wręcz i podał go Tuckerowi, który wsunął czubek ostrza pod hełm poniżej ucha pospoła, wbił je do oporu i na wszelki wypadek przekręcił. To samo zrobił z drugim pospołem, po czym wytarł ostrze w pancierz jednego z nich i oddał nóż.

- Kiedy Tucker zniknie zamiast wrócić, ktoś sobie przypomni, że nie zabrał ci noży. Gdybym musiał kiedyś znów się nim stać, wystarczy mi 401

dramatyczna historyjka o tym, jak cudem udało mi się uciec.

- No dobra, używasz poprawionej amunicji, która rozwała im broje.

Ale jak się mają do tego granaty?

- Drzwi. Można je otworzyć tylko od drugiej strony, a ja nie znam ha-sła.

- A jeśli tamci nie będą ciekawi, co się stało? Albo nie dadzą się nabrać?

- Nie podoba ci się mój plan? Wymyśl lepszy.

- Aha. - Spojrzał na zabite pospoły. - Widziałeś?

Ich krew płonęła.

- Co jest, kurwa... - Tucker przyklęknął i ostrożnie powąchał czarny dym, sączący się spod hełmów pospołów i przez szczeliny w pancerzu na piersi. Dymił nawet ten kawałek pancerza, o który wytarł nóż. - To nie krew. I nie olej. Żaden olej tak nie cuchnie. To w ogóle są ludzie?

- Poniekąd. - Przykucnął i dotknął rany na szyi jednego z pospołów.

Ogień zgasł, a jemu na palcach została znajoma czarna maź. - W pobliżu bramy wszystko jest popieprzone.

- Co to za syf?

- Krew. Poniekąd.

- Tak jak „poniekąd” są ludźmi?

- Mhm. To nie jest ich krew, tylko ich boga. Poniekąd.

- Ehm...

- Lepiej się odsuń. - Włożył obie dłonie w olej i położył się całym cięż-

żarem na piersi trupa, żeby wycisnąć z niego jak najwięcej. - Będzie roz-rywkowo.

- To zajebicie. Już się, kurwa, bałem, że przysnę z nudów.

Wstał, wyciągając ręce przed siebie jak chirurg gotowy do włożenia rę-

kawiczek. Olej ściekał mu z dłoni na nadgarstki i dalej w kierunku łokci.

Kilka kropel skapnęło na podłogę, gdzie natychmiast buchnęły oleistym płomieniem. Tucker odwrócił się bokiem i odsunął pod ścianę, jakby zastanawiał się, czy nie czas brać nogi za pas.

- Dlaczego na tobie się nie pali?

402

- Z tego samego powodu, dla którego nie spalił pospołów od środka. Jego energia jest zużywana na coś innego.

- Mianowicie?

- Ciii. - Zamknął oczy. - To trudniejsze, niż się wydaje.

- Z pewnością.

- Cicho bądź!

Uspokoił oddech i przestawił się na wewnętrzne widzenie. Szybko po-szło. Dużo ćwiczył. W głowie zaczęły mu się wyostrzać obrazy.

- Cztery pospoły po drugiej stronie. Pełny oddział pacyfikacyjny: spec od obezwładniania, z pianolepem, płatonogami i diabli wiedzą, czym jeszcze; główny strzelec; rezerwowy strzelec; plus ciężkie wsparcie. Do tego dwie zapory po drodze.

- Nie jest to najlepsza nowina, jaką dziś słyszałem.

- Nie otworzyli na razie drzwi, bo jeszcze na kogoś czekają.

- Wsparcie?

- Może oddział szturmowy? Nie wiem, kto to ma być, ale są przerażeni.

Ożeż kurwa... To nie „ktoś”, tylko „coś”. Prawie szczają po nogach ze strachu. Nie, nie zmyślam.

Próbował zanurzyć się głębiej w olej, odszukać źródło ich lęku, gdy wtem jakaś ogromna, pradawna świadomość musnęła jego umysł. Posmakowała go.

I mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Odskoczył, zachwiał się na nogach i otworzył oczy.

- Wiesz, czego się boi policja społeczna?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też nie. Ale będziemy mieli wyrąbiście poważny problem.

- Możesz... nie wiem, jak to robisz, ale możesz zanurkować głębiej?

Rzucić okiem?

Pokręcił głową.

- Poczulem opór. Nie wiem, co to za kurewstwo, ale wyczuło, że się zbliżam, i nie było zachwycone. Ani trochę. A jest ode mnie silniejsze.

Dużo silniejsze. Pewnie na nie właśnie czekają.

403

- Jesteś prawdziwą krynicą dobrych wiadomości. Tylko że nie dla nas.

- Posłuchaj najlepszego. - Musiał głęboko odetchnąć, żeby rozluźnić przyprawiający o mdłości supeł w bebeczach. - To coś mnie rozpoznało.

- Rozpoznało cię?! No to faktycznie nieźle. Ty też je znasz?

Napięte mięśnie szczęki zarysowały mu się pod skórą.

- Mam parę pomysłów... Żaden by ci się nie spodobał. Posłuchaj, Tucker, Tanner, cholera cię wie... Możesz się jeszcze stąd wyrwać. Spisałeś się na medal. Idź, pożyj jeszcze trochę, zrób znowu coś dobrego.

- To ma być żart? - spytał Tucker głosem Tannera. - Nie lubię twojego poczucia humoru.

- Klasztory potrzebują takich jak ty. A człowiek, który wejdzie za te drzwi, będzie miał przesrane.

- Ty wchodzisz.

- Ja nie mam wyboru. Ty masz. Wybierz mądrze.

Tucker rozluźnił ramiona, pokręcił głową, aż zatrzeszczały kręgi szyjne, sprawdził, czy pistolet jest naładowany.

- Miałem kiedyś kumpla, nazywał się Jonnie... Polubiłbyś go. -

Uśmiechnął się krzywo. - Miał takie powiedzonko: „Nie wbijałbym na imprezę, gdybym nie chciał zatańczyć”.

- Jak chcesz. - Znowu zamknął oczy. - Siedź cicho, daj mi jeszcze sekundę. Załatwię pospoły.

- Powaga?

- Ciii.

Wewnętrzne widzenie włączyło się błyskawicznie. Oddział pacyfikacyjny był ledwie widoczny, w trzech czwartych zagrzebany w transzeczy-wistym gównie.

Nie miał czasu na subtelności.

Ochoty też nie.

Zacisnął lewą dłoń w pięść, jakby mógł w ten sposób utrwalić ten widok. To samo zrobił z prawą ręką. Pospoły zniknęły mu przed oczu. Za plecami usłyszał stłumione, charkotliwe i mokre *fopcz!* Tłusty dym zgęstniał i przerodził się w dławiącą czarną chmurę.

404

Tucker kwiknął, odskoczył i rozpląszczył się na ścianie.

- Kurwa, gościu... - stęknął. - Nie mogłeś mnie uprzedzić?!

Obejrzał się na trupy pospołów. Wszystko wskazywało na to, że *fopcz!*

rozsadziło im głowy w hełmach.

- Mogło być gorzej - zauważył.

- Gorzej?!

- Mogliśmy im wcześniej zdjąć hełmy. Odsuń się.

Na rękach wciąż miał olej, jakby przed chwilą smarował koła wozu. Zacisnął pięści i krawędzie stalowych drzwi buchnęły oślepiająco białym ogniem.

- Ja pierdziu... - Tucker rozdziawił usta. - Powtórne przyjście Lazarusa Dane'a, kurwa...

- Tylko o rząd wielkości mocniejsze. Albo o trzy. Mimo to, dzięki.

- To nie był komplement - odparował z naciskiem Tucker. - Nie mogę się doczekać, kiedy złożę raport. Zapuszczają mnie, nie ma bata...

Boczne kopnięcie w sam środek drzwi wyrwało je z futryny. Po drugiej stronie z hełmów czterech leżących pospołów buchały kłęby dymu.

- Ehm, posłuchaj no... - Tuckerowi głos się załamał. - Jeżeli zrobiłem coś, kiedyś, kiedykolwiek, co ci się nie podobało, to bardzo cię przepraszam. Naprawdę, stary, nie chciałem. Przepraszam bezwarunkowo i...

- Którędy do bramy?

- Nigdy tu nie byłeś?

- Byłem. Nieprzytomny i z workiem na głowie, patafianie.

Trzy łukowato sklepione przejścia prowadziły w głąb trzech korytarzy.

Jedynym źródłem światła były zwłoki pospołów po drugiej stronie drzwi.

W tym pomieszczeniu żadnych drzwi nie było, tylko stół, a na nim czarne worki (ciekawe, pomyślał odruchowo, czy w jednym z nich nadal znajdują się resztki moich rzygów), talerz ciastek, owoce, krojone mięso i sery. Z

boku stał baniak z wodą do picia. Zmarszczył brwi.

- Co jest? - zaniepokoił się Tucker.

- Ciasteczka - wycedził. - Ktoś częstuje pospoły ciasteczkami.

405

- Część nawet zjedli. Martwi cię to?

- Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu... Nie wiem. Coś tu nie gra. -

Otrząsnął się. - Tucker? To twoja ostatnia szansa. Spadaj stąd.

- Którego kawałka „nie wbijałbym na imprezę” nie zrozumiałeś?

- Nie chrzań. Chodzi ci o Pięść Rzeźnika.

Tucker przyjął to bez mrugnięcia okiem.

- Jeżeli to prawda, a nikt tak nie twierdzi, szansa uwiezienia Dłoni Khryła w Skarbcu jest warta więcej niż życie nas obu. Bez względu na to, ile tych żyć masz...

- Ty nic nie rozumiesz. Wszystko, co powiedziałem t'Passe, to była podpucha. Nie przyszedłem tu po Pięść.

- W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby ktoś inny podpierzył ją i wywiózł do Ciernistej Rozpadliny. Mam rację?

- Taka próba cię zabije. O ile będziesz miał szczęście. Są gorsze rzeczy od śmierci.

- Słyszałem. Jak kiedyś taką rzecz napotkam, dam ci znać.

- Pies cię jebał. Nie lubię cię aż tak bardzo, żeby się teraz z tobą wykłó-

cać. - Podszedł do wyjścia najbliższego korytarza, który jak okiem sięgnąć biegł prosto i poziomo. W regularnych odstępach, mniej więcej co dziesięć jardów, kawałek sufitu wielkości rozpostartej dłoni jarzył się zielono. -

Oho. Elfie światło.

Tucker zajrzał w głąb drugiego tunelu.

- Co z tego?

- Pospoły mają w hełmach wbudowane noktowizory, nie potrzebują el-fiego światła. A dla człowieka i tak jest tu za ciemno.

- Ogrille - zadudnił głos Tuckera.

- Otóż to. Zbliżamy się.

- Nie o to mi chodziło. Pamiętasz tę potworę, na którą czekali ci tutaj...

Czy powinna przybyć od strony bramy?

- To możliwe. Co tam masz?

- Nie wiem. Chyba Dymny Łów.

\*\*\*

406

Ponad ramieniem Tuckera spojrział w głąb korytarza, który rozszerzał

się i opadał, a w oddali przechodził chyba w jakąś dużą komorę. Być może, płonęły w niej ogniska albo pochodnie, ale przede wszystkim już w korytarzu rzucał się w oczy ogromny tłum gołych ogrillów.

Korytarz do ostatniego cala kwadratowego był wypełniony nagimi ogrillami, które stały stłoczone bark w bark i pyta w zad. Po prostu stały.

Niedający światła szkarłatny promień pląsał po ich ciałach. Były tam też elfie światła, trudno jednak byłoby stwierdzić, czy ogrille ich potrzebują.

Wszystkie miały zamknięte oczy.

I właściwie wcale nie były prawdziwymi ogrillami, tylko ponad tysiącem manekinów (czy raczej ogrillokinów) o identycznie ciastowatych gębach, niczym nie do końca uformowane gliniane figury.

- Odłóż broń.

- Całkiem cię pojebało?!

- To nie są Dymni Łowcy. - Pokręcił głową. - Jeszcze nie.

- A co?

- Puste wtórniki. Widziałeś kiedyś, jak się robi noże? Wiesz, co to jest odkuwka?

- Więc to są odkuwki Czarnych Noży, tak?

- Bardzo śmieszne. Odłóż broń, do diabła! Chcesz to przeżyć? - Położył

pistolet Bensa na posadzce i zaczął po kolei wyjmować noże. - Użyłeś pistoletu i granatów przeciw pospołom, więc to coś już wie, czym są, nawet jeśli wcześniej nie wiedziało. Czary, których używałeś na Polu Bitwy, też musisz sobie odpuścić.

- Ty jesteś jakiś... popierdolony.

- No i?

- No i zawsze to w tobie podziwiałem.

Tucker przyklęknął i zaczął się rozbierać. Obok pistoletu i trzech noży położył garść kryształów różnych kształtów i kolorów, kilkanaście malutkich metalowych figurek przedstawiających jakieś nieprawdopodobne stwory, oraz trzy krążki wielkości monet, wykonane z ciemnego drewna i inkrustowane złotym filigranem.

407

- To wszystko?

Tucker wzruszył ramionami.

- Wszystko, co można znaleźć bez grzebania w naturalnych otworach ciała.

- Jestem przekonany, że schowałeś jeszcze dość zabawek, żeby zrobić dziesięć albo piętnaście głupstw. Ale nie rób tego. Mówię serio. Albo za-grasz uczciwie i grzecznie, albo nie wyjdiesz stąd żywy.

- Czy to nie ja zawsze byłem mózgiem w tej ekipie, tatuśku?

- Kazałem ci przestać. - Podszedł do pierwszego szeregu nedorobionych Dymnych Łowców. Dotknął piersi jednego z nich. - No dobra, jestem gotowy. Zaczynamy.

Wtórniki odsunęły się od niego, jeszcze bardziej zagęszczając szyki i robiąc mu miejsce.

- Ehm... - zakaszłał Tucker. - Zachowujesz się tak, jakbyś wiedział, co jest grane.

- Chodź.

Wtórniky odsuwały się im z drogi, tłoczyły pod ścianami, a potem żywą masą zasklepiały korytarz za ich plecami.

Wzruszył ramionami.

- Nadal są rzeczy, których nie kumam, ale z każdym krokiem wszystko rysuje się coraz wyraźniej.

- To nie wyjaśnia wcale tak dużo, jak ci się wydaje.

- Ale to nic skomplikowanego. Nie wiem, co powiedziała ci t'Passe o mojej sytuacji, i nie mam czasu wszystkiego tłumaczyć. Dysponuję szczegółowymi informacjami na temat tego miejsca w dniu dzisiejszym, ale nie są to informacje do końca wiarygodne. Z powodów, których też nie będę ci teraz wyjaśniał. Mam pewne pojęcie o tym, co się tu dzieje, ale to wszystko jest warunkowe. Nawet gorzej, to probabilistyka. Kurna, byłoby łatwiej, gdyby w klasztornych szkołach wykładali mechanikę kwantową... Powiem tak: nic tutaj nie jest do końca prawdziwe, dopóki tego nie zobaczę.

- Mówisz o spętaniu czasem.

Spojrzał podejrzliwie na Tuckera, który rozłożył ręce.

408

- Po naszej ostatniej rozmowie przesłuchiwał mnie inkwizytor z Ciernistej Rozpadliny.

- Naturalnie.

- Mówił, że rozstaliście się w przyjaźni.

- Bywało gorzej. Dobra, słuchaj: ograniczenie „Możliwego” do „Fak-tycznego” przypomina trochę eliminację analityczną. Po tym, jak okazałeś się agentem t'Passe, odpadł cały kosmos różnych możliwości. Komora z polem normalnym Ziemi była zasilana przez czarny olej; to znowu poważ-

nie uszczupliło pulę Możliwego. Dużo mi powiedziała obecność pospołów przy drzwiach, a fakt, że w środku było ich więcej niż na zewnątrz i na dodatek mieli regularne zapory obronne, wyjaśnił mi jeszcze więcej. Potem był pospoł krwawiący olejem Ślepego Boga i upchnięte za bramą puste wtórniky Dymnych Łowców, które na coś czekają, zamiast nas zaatakować.

- Jakby ktoś się nas spodziewał. - Tucker zamrugał i zrezygnowany skinął głową. Nagle poczuł się zmęczony. - Nie nas. Ciebie.

- Kazałem ci odejść.

- Przysięgam ci na wszelkie kurewstwo, które jest dla ciebie święte: je-

śli wyjdę z tego cało, zacznę słuchać twoich rad.

- To będzie zajebiście wyglądało na twoim nagrobku. - Westchnął. -

Jest jeszcze jedna sprawa, o której chyba powinieneś wiedzieć. Kiedy ci mówiłem o tym makabrycznym potworze, który napędził strachu pospo-

łom... No więc, nie wszystko, co ci powiedziałem, było prawdą, ściśle rzecz biorąc. Chciałem cię po prostu przekonać, żebyś stąd wypierdalał i wiódł długi i szczęśliwy żywot zabójcy gdzie indziej.

- To znaczy jak, nie przestraszyli się? Nie ma żadnego potwora?

- Nie, nie, przestraszyli się jak najbardziej, a potwór naprawdę istnieje.

To wszystko szczerą prawdą.

- Więc gdzie tu kłamstwo?

Wzruszył przepaszająco ramionami.

- Powiedziałem, że nie był zachwycony, kiedy mnie zwęszył.

\*\*\*

409

Korytarz prowadził do olbrzymiej jajowatej komory. Była pełna ogrillów.

- *Rint diz Etk Perrogk, Nazutakkaarik.*

- O, kurwa... Cześć. - Caine pomachał ogrillom. - I wiecie co jeszcze?

Walcie się.

Mogłoby być lepiej.

- Witaj w Naszym Miejscu, Skórołazie? - mruknął Tucker. - Wy tak na serio? Znacie się?

- Zamknij się.

Wysoko sklepiony sufit odbijał echem nawet głośniejszą rozmowę.

Wypolerowana posadzka lśniła jak trawertyn na deszczu. Na najwyższym poziomie - tu, gdzie teraz stali - podłoga miała co najmniej piętnaście stóp szerokości, nim zaczynała opadać ku środkowi komory schodkowatymi pierścieniami o szerokości dziesięciu i wysokości dwóch stóp. Dziesięć takich stopni prowadziło do centralnie ulokowanego kręgu, który przywo-dził na myśl środek tarczy strzelniczej. Musiał mieć ponad dwadzieścia stóp średnicy i był chyba zrobiony z jakiegoś kryształu pałającego we-wnętrznym żółtym blaskiem. Sklepienie było lustrzanym odbiciem podłogi.

Ściany, również wypolerowane do połysku, zostały ozdobione artystycz-nymi reprodukcjami klanowych petroglifów.

- Co to za miejsce, ja pierniczę... - stęknął Tucker.

- Trochę je przebudowali, odkąd ostatni raz tu byłem.

- Byłeś tu?!

- Dawno temu.

Na najwyższym poziomie amfiteatru tłoczyły się puste wtórniki ogrillów. Nawet nie próbował zgadywać ich liczby. Zresztą, niedorobionych ogrillów wszędzie było pełno, także w kolejnych dwóch wychodzących z komory korytarzach.

Na drugim stopniu powyżej środka tarczy stało pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt ogrillów, samców, całkowicie prawdziwych, włącznie z brodawkami i całą resztą. Marszczyli z niezadowoleniem brwi, jakby wiedzieli, kim jest. Po drugiej stronie pomieszczenia wznosiła się schodkowa 410

piramida, jakby wykuta ze ściany. Dziesięć stopni, na co drugim miejsca do siedzenia. Pod szczytem siedziały trzy suki, dwa stopnie niżej dziewięć kolejnych, potem było ich pewnie dwadzieścia siedem, bo trójka w ogóle wydawała się tu ważna. A to był zły znak.

Oszacowanie wzięte z powietrza: trzysta pięćdziesiąt suk. Czyli, z grubsza rzecz biorąc, cała kasta kapłańska Czarnych Noży. Siedzą w swoim *sanctum sanctorum*, zamiast oglądać Sąd Khryła.

Czasem na gówno nie ma rady. Czasem człowiek robi to, co robi, i czeka, co będzie dalej.

Podszedł do skraju pierwszego kręgu amfiteatru.

- Chodź ze mną - polecił Tuckerowi. - Udawaj, że wiesz, co robisz.

- Martwisz się czymś.

Skinął głową w stronę piramidy.

- Nie ją chciałem tu spotkać.

- Mówisz o tej suce na górze? Kogo się spodziewałeś?

- Kogokolwiek innego.

Zeskoczył na niższy poziom. Tucker wylądował tuż obok niego.

- Jeżeli ma nam sprawić kłopot, mogę ją zdjąć na dystans. Stąd. Nikt się nie zorientuje. Będzie wyglądało jak atak serca.

Caine szedł dalej.

- Jeden wrogi ruch i sam cię zabiję.

Tucker się nie ościagał.

- Kim ona dla ciebie jest?

- Bratową.

- W chuja sobie lecisz?!

- Nie rób jej krzywdy. Nawet nie myśl o tym zbyt głośno. - Zeskoczył

poziom niżej. - Nie podobało ci się, kiedy się na mnie rzuciłeś? Poczekaj, aż to ja rzucę się na ciebie.

- Ale jak to... to znaczy... Twoja bratowa przewodzi Dymnemu Łowo-wi?! Ty naprawdę w kulki ze mną pogrywasz. - Tucker był Wyraźnie ura-

żony. - Czy Klasztory w ogóle coś wiedzą na twój temat? Chociaż jedną rzecz, która byłaby prawdą?

411

- Pewnie. Mnóstwo. - Skok na niższy poziom. - Tak myślę.

Znaleźli się na stopniu bezpośrednio powyżej tego, na którym zebrały się samce. Ależ to były bydlaki, rany... Stał dwie stopy wyżej od nich, a ten pierwszy z brzegu i tak sięgał mu na wysokość nosa. I wcale nie zamierza-

ły się odsunąć.

Spojrzał na wierzchołek piramidy.

Patrzyła na niego spode łba przez sekundę albo dwie, zanim warknęła gardłowo. Samce rozstąpiły się, żeby przepuścić intruzów.

Zeskoczył na samo dno amfiteatru i spojrzał pytająco na Tuckera, który zatrzymał się stopień wyżej.

- Idziesz?

- Nie, tu mi dobrze.

Podłoga na środku komory była gładka jak szkło. Włoski na rękach i karku zjeżyły mu się i zaskwierczały od błękitnych iskier.

- Dobra, kurwa, może jakaś wskazówka? - mruknął. - Nie wezwaliście mnie tu po to, żeby się cieszyć moim towarzystwem.

Kaiggez warknęła coś w etk dag, języku ogrillów. Udał, że jej nie słyszy.

- Tucker, przydad się na coś - powiedział półgłosem. - Gdzieś tu musi być potrójny aspekt.

- Jak to, potrójny aspekt?

- Trafiliśmy trójcę. Zewnętrzna/Konceptualna/Naturalna. Znajdź ją.

- Przydałyby się imiona.

Odetchnął głęboko.

- Moc Naturalna nie ma imienia, możesz ją nazywać Ślepym Bogiem.

Dwie pozostałe to Pirichanthe i Khryl.

- Khryl, tak? Jasna sprawa: Pięść i tak dalej. Ale ta druga?

- Pirichanthe.

- Nie nadażam.

Kaiggez znów warknęła. Nawet nie podniósł wzroku.

- Czytałeś moją *Historię Złamania Czarnych Noży*. Moc Zewnętrzna 412

spętana w pionowym mieście, podtrzymująca *dil T'llann*, to właśnie Pirichanthe.

- Przykro mi, stary... - Tucker wyraźnie się zmieszał. - Ja... nadal nie rozumiem, co próbujesz mi powiedzieć.

- Mhm. - Oczywiście, to by było za proste. - To jest Dymny Bóg, rozumiesz? Moc, która ożywia Dymny Łów.

- Czemu od razu tak nie powiedziałeś? Ale... ten dymny coś tam... nie znasz jego imienia?

- Nieważne. Sam skurwiela znajdę.

Kaiggez pochyliła się na tronie. W jej warknięciu zabrzmiała gniewna nuta.

Teraz na nią spojrział.

- Wiesz, że nie znam tego waszego gównianego bełkotu.

- *Paggallo?*- zdziwiła się. - *Paggannik ymik, paggtakkuni.*

Był prawie pewien, że w etk dag znaczy to mniej więcej: „Że co? Zaraz zaczniesz inaczej śpiewać, karaluchu”. Mniej więcej.

- Kurwa twoja mać, Kaiggez, możemy tak stać w nieskończoność: ty będziesz dziamgotać, a ja będę umierał z nudów. Albo możesz zachować się jak dorosła i przejść na westerling.

- Dorosła? - W westerlingu jej pogarda brzmiała jeszcze bardziej lodo-wato. - Skórolaz mówi mi o dorastaniu? Ten sam Skórolaz, który pali szczenięta żywcem, żeby nie dorosły?

- Aha. - Wychwycił charakterystyczny akcent. - Więc jesteś Ankhanką.

Zerwała się na równe nogi.

- Jestem Czarnym Nożem!

- Dobra, dobra, jak tam sobie chcesz. Gdzie Dłoń?

Wyszczерzyła kły w uśmiechu i zacisnęła pięść.

- Tutaj jest tylko ta dłoń. Moja.

- Im dłużej to będzie trwało, tym mniej ci się spodoba.

- Raz już przepchnęłam cię przez *taggannik*. Mogę to zrobić ponownie.

- To znaczy, przez bramę? Nie sądzę.

Kaiggez podniosła zaciśniętą pięść. Jej oczy rozblęły tym samym złotym 413

blaskiem, co środek amfiteatru, w mgnieniu oka światło kryształu przybra-

ło na sile tak bardzo, że zaczęło oślepiac. Komora zniknęła, razem z nią zniknęły samce i suki ogrillów, a nawet jego własne ciało... Kiedy jednak oślepl na wszystko, coś zobaczył: cień pod nogami, zatopiony w niemożliwej światłości. Cień w kształcie człowieka.

- Aha... - mruknał. - Więc to tak.

Światłość zgasła równie szybko, jak przed chwilą się nasiliła. Wszyscy sprawiali wrażenie zdziwionych, że nie zniknał razem z nią.

- Widzicie, problem polega na tym, że już tu nie rządzicie. Czarne No-

że, Białe Widelce, to nie gra roli... Jesteście skończeni. Zabierzcie swoje suki i spierdalajcie stąd. Samice też weźcie.

Kaiggez stała nieruchomo z uniesioną pięścią.

- Kto ci dał prawo mówić, kim jestem? - warknęła. - Kto ci dał prawo się odzywać?

- Ja nie dyskutuję. Ja wydaję rozkazy.

- Ty? Ty rozkazujesz mnie?!

- A nie tak powiedziałem?

- Nie wyrwałam ci języka tylko przez szacunek dla mojego samca. Od-dychasz tylko dlatego, że on cię kocha.

- A to ci zbieg okoliczności...

- Jak wydostałeś się z Prawdziwego Piekła, do którego cię zesłałam, suczko?

- Będziesz się musiała przyzwyczaić, że to, co robisz i czego nie robisz, nie ma żadnego wpływu na to, co się naprawdę dzieje.

- Co ja robię? Przemawiam Głosem Boga. Jedno moje słowo na wieki zgasi światło twoich oczu.

- Jesteś mocna w gębie. Chcesz spróbować ze mną, ale tak na serio? -

Rozłożył ręce, jakby zamierzał ją uściskać. - Twój ruch.

Samce zareagowały groźnym pomrukiem, ale tylko do momentu, kiedy Kaiggez rzeczywiście wykonała swój ruch, który uciszył szmery jak cios w krtań.

414

Pochyliła się i obnażyła imponująco długie i ostre kły. Żółte ślepia zapa-

ły triumfalnie.

Uniosła pięść, wokół której natychmiast zebrała się moc - widoczna głównie przez to, że wszystko inne wydało się przy niej nagle mniej rzeczywiste.

Widział to już wcześniej: garść Rzeczywistości. Moc, dzięki której Krucza Grzywa zakrzywiała czasoprzestrzeń jak chory w malignie. Poczul ją na purificapeksie, kiedy Żywa Pięść Khryła dotknęła Miecza Człowieka.

Poczul ją także na zachodnim krańcu Drogi Bogów w Ankhanie, patrząc, jak Ma'elKoth Ucieleśniony zstępuje z nieba.

Tucker zaczął się wycofywać.

- Czy tak wygląda twoje nierobienie głupstw?

- Stul pysk.

Podniósł pięść i pokazał Kaiggez wyprostowany środkowy palec. Na wszelki wypadek pomachał ręką, żeby na pewno go zauważyła.

- Chciałbym uniknąć, jak to mówią, nieporozumień międzykulturo-wych, więc ci wyjaśnię: ten gest, który w tej chwili wykonuję, w mojej ojczyźnie oznacza w przybliżeniu: „Podskocz mi, a wyrucham cię w dupę moim szponem bojowym”.

- Bóg może cię skrzywdzić i zostawić przy życiu - warknęła Kaiggez. -

Ale wystarczy jedno moje słowo, żebyś zaczął błagać o śmierć...

- Cały twój zasrany słownik może mi co najwyżej zmierzwić loczek.

- Jesteś pewien? - bąknął półgębkiem Tucker.

- Zaraz się przekonamy - odparł w ten sam sposób.

- Później przeproszę Orbeka; wybaczy mi, bo cię zna i wie, że potrafisz być jak szerszeń w bożej piździe.

- W porządku.

- To jak cię skrzywdzimy, suczko? Może postarzymy cię, żeby kości popękały ci jak trzciny? A może każemy ci zgnić, żebyś wył, kiedy kolejne kawałki ciała będą z ciebie odpadać?

- Zrobisz coś wreszcie, czy nie? Zdecyduj się, mam robotę.

- Niech i tak będzie. - Skinęła pięścią w jego stronę. - Spłoń!

415

- Bardzo oryginalne.

Nie płonął. Nie ruszył się z miejsca. Podniósł lewą rękę, na której za-częła gęstnieć migotliwa antysfera Rzeczywistości. Kiedy zmaterializowa-

ła się na dobre, stała się jedyną Rzeczywistością w całej komorze. Pięść Kaiggez była tylko kośćmi, ciałem i skórą, jak zawsze.

- Musisz wiedzieć coś jeszcze - mówił dalej. - Dobrze się znamy z waszym bogiem. Lubi mnie bardziej niż ciebie.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Wydała słaby odgłos, jakby się krztusiła.

Uśmiechnął się.

- Pokazać ci sztuczkę?

- Byle nieźłą - mruknął Tucker.

Podniósł Rzeczywistość wyżej, spojrział w nią i przez nią na wylot, przechodząc na wewnętrzne widzenie. Znow coś do niego mrugnęło. Za-chęcająco.

- Osłaniaj mnie - wycodził przez zęby.

- A co się będzie działo?

- Nie wiem. Dlatego chcę, żebyś mnie osłaniał. Jeżeli przeżyjemy, będziesz zadowolony, że mnie posłuchałeś.

- Skoro tak stawiasz sprawę...

Tym razem próbował wspiąć się na taki poziom umysłu, który pozwoli mu śledzić połączenia i prądy czarnego Przepływu. Powoli, ostrożnie oddzielił pojedyncze włókno od swojej Powłoki. Kiedy poprzednio wydarzy-

ło się coś podobnego, prawie urwało mu łeb, więc tym razem postanowił

działać bardziej stopniowo...

Musnął włóknem Rzeczywistość i głowa mu eksplodowała.

\*\*\*

Niezupełnie...

Ale takie właśnie miał wrażenie.

Przyszło mu do głowy, że chyba klęczy. Czuł gorzką woń palonych włosów. Przypomniało mu się, jak jeden z Uprzywilejowanych szczeniaków 416

uczestniczących w Dymnym Łowie zachwycał się wizją eksplodujących gałek ocznych; chyba miał już pewne pojęcie, o co gówniarzowi chodziło.

Panował straszny hałas, rozlegały się krzyki, wiwaty, pogardliwe gwizdy i ogólny jazgot i wydało mu się całkiem logiczne, że skoro słyszy, mimo że eksplodowały mu uszy, powinien też widzieć rozsadzonymi oczami...

Rozejrzał się. Faktycznie klęczał, za to oczy nie tylko mu nie wybuchły, ale chyba zaczęły działać lepiej niż przedtem, bo spojrzawszy w głąb pała-jącego złotym blaskiem kryształu pod nogami, ujrzał znajomy cień...

I go rozpoznał.

- Tucker? - Zakaszłał, zakrztusił się i z najwyższym trudem przełknął

wymiociny, zamiast obrzygać kryształ. - Czy ja płonę?

- Już nie. Ale chyba powinieneś się przebrać. I ogolić głowę. - Tucker przykucnął obok niego. - Co się stało?

Stęknął ciężko.

- Pamiętasz... pamiętasz, jak ci mówiłem... - znów zakrztusił się, i znów przełknął - ...o szczegółowych informacjach, które nie są wiarygodne...?

- No...

- Wydaje mi się, że właśnie je poznałem.

- Nie będę cię pytał, jak to działa, ale mam nadzieję, że masz dobre wiadomości. Wygląda na to, że HMS *Zastraszone Czarne Noże* podniósł kotwicę w tej samej chwili, kiedy ty runąłeś na kolana. Pamiętasz może, jak kazała ci spłonąć?

Podniósł głowę.

- Mam coś lepszego niż dobre wiadomości. Mam wszystkie wiadomości.

- Może masz rację, mówiąc o Bogu - wymruczała Kaiggez. - Może się nad tobą lituje. A może po prostu chce, żebym mogła dłużej się tobą bawić.

Demonstracyjnie otrzepał się z kurzu, zastanawiając się, jak zabawić się jej kosztem.

- Wasz bóg nie jest taki, jak ci się wydaje - odparł w końcu. - Nie Wyskoczył tak po prostu z dupy wszechświata. Został stworzony, został

417

zaprojektowany i zmontowany w określony sposób, żeby wykonać konkretne zadanie. Nie kocha was. Nie jesteście jego dziećmi. Zwykle nawet nie pamięta o waszym istnieniu. Istniał na długo przed pojawieniem się takiego tworu, jak Naród Czarnych Noży, i powiedziałbym ci, że będzie istniał długo po waszym zniknięciu, gdyby nie to, że to nieprawda. Nie będzie. Tam, skąd pochodzę, pewien gość zrobił furorę powiedzonkiem

„Bóg umarł”. A było to w świecie, w którym nikt nie wiedział, czy bóg jest w ogóle czymś prawdziwym. Z waszym bogiem sprawa ma się inaczej: jest prawdziwy jak diabli. Ale jest także martwy.

- To ty tak twierdzisz. - Kaiggez uniosła zaciśniętą pięść. Rzeczywistość zgęstniała wokół niej. - Powtórz to. Powiedz, że Bóg umarł!

- No dalej - odparł. - Daj mi to.

Rzeczywistość zniknęła z jej ręki i pojawiła się w jego dłoni. Kaiggez zachwiała się, kolana się pod nią ugięły i trzy siedzące niżej suki musiały do niej doskoczyć, żeby pomóc jej usiąść na tronie.

- Dzięki - powiedział.

Naprawdę był jej wdzięczny, bo nie bardzo mógł się skupić, żeby odwo-

łać się do Samodyscypliny, a oparzenia zaczynały kurewsko boleć. Wiedział już, że nie potrzebuje widzenia wewnętrznego. Nie tutaj.

Oparzenia się zagoiły. Włosy odrosły. Broda również.

Jego ubranie się zmieniło. Nowe, mięciutkie skóry zniknęły bez śladu, wraz z nimi przepadły równe ściegi Kravmika i ulotnił się czysty zapach lanoliny. Jego nowy skórzany strój był znoszony, powycierany, upstrzony białymi plackami soli i starego potu, a nici trzymające w kupie wszystkie jego dziury i rozdarcia były brązowe od starej krwi. Nie była to może zmiana na lepsze, ale przynajmniej ubranie zrobiło się wygodniejsze.

I pierwszy raz, odkąd sięgał pamięcią, nic go nie bolało.

Już nie.

- No tak... - mruknął Tucker. - Trochę się... zmieniłeś...

418

- To tylko kostium. - Wzruszeniem ramion idealnie dopasował ubranie.

- A ty siedź cicho.

Zostało mu jeszcze bardzo dużo Rzeczywistości, więcej niż potrzebował, żeby wszystkich obdzielić. Odwrócił rękę dłonią do góry, balansując na niej kulą Rzeczywistości.

- Wyładowanie temporalne - powiedział. - Skutki mogą się utrzymać przez kilka dni, może nawet miesiąc albo dwa, ale potem wszystko się skończy. Nie będzie Dymnego Łowu, nie będzie bramy, mocy, boga... -

Wzruszył ramionami. - Przykro mi. Jeśli będziecie dla mnie mili, może nie zabiję waszego następnego bóstwa.

Kaiggez oparła się na wypolerowanym kamiennym podłokietniku z taką siłą, jakby tylko on powstrzymywał ją przed spadnięciem z tronu.

- Mówisz, że zabiłeś Boga?

- Niechący.

- Twój mózg zgnije, aż nawet ludzie poczują jego smród.

- No i? Wasz bóg umarł w Dniu Wniebowstąpienia. - Pokręcił głową. -

Ale jego trup jeszcze drga, to wszystko. - Poruszył dłonią, jakby szacował

ciężar Rzeczywistości. - Tak jak powiedziałem, to było wyładowanie temporalne. Przesłał moc w przyszłość, żeby podtrzymać swoją świadomość podczas oczekiwania.

- Boskie oczekiwanie właśnie się skończyło. - Głos Kaiggez zabrzmiał

głośnie. Przysiadła na skraju tronu. - Od dziś Czarne Noże znów rządzą Naszym Miejscem. Jest tu moc, i to więcej, niż potrzeba bogom. Nasz bóg będzie żył wiecznie.

- Nie słuchałaś, co mówiłem? On was nigdy nie potrzebował. A wy nie możecie zrobić nic, żeby go ocalić. To już się stało. Dziś próbujemy tylko ustalić, co będzie dalej. Kumasz?

- Na co zatem Bóg czekał przez cały ten czas?

Podniósł kulę Rzeczywistości i spojrzał przez nią na Kaiggez.

- Na mnie.

Znów zaskrzeczała, jakby miała się zakrztusić. Pokiwał współczująco głową.

419

- Wiem, że trudno ci to ogarnąć. Ale postaw się na moim miejscu. Przez całe życie z nim walczyłem. Uciekałem przed nim. Unicestwiłem wszystkich, których kochałem, bo nie umiałem stawić czoła temu, czym naprawdę jestem. Całkiem niedawno dowiedziałem się o sobie paru rzeczy, które dały mi do myślenia. Niektórych rzeczy się nie wybiera. Jak powiedział Orbek:

„Klanu się nie wybiera. Rodzisz się Czarnym Nożem, jesteś Czarnym Nożem”. Dlatego doszliśmy z waszym bogiem do porozumienia.

- Kim zatem jesteś? Za kogo się uważasz?

- Jestem władcą tego miejsca. I waszym również.

Na te słowa wszystkie suki zerwały się z miejsc, wrzeszcząc i wymachując pięściami. Samce odpowiedziały rykiem i zaczęły mu wygrażać szponami bojowymi.

- Bóg nie jest tu jedyną siłą, suczko. - Kaiggez opuściła pięść i zwróciła się do pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu samców stojących dwa kręgi nad nim i Tuckerem. - Zabijcie ich, ale wcześniej zróbcie im krzywdę. Będziecie żyć wiecznie.

To pewnie dlatego nie zrobiłeś kariery w dyplomacji, odczytał z ruchu warg Tuckera.

*No to patrz*, odpowiedział w ten sam sposób.

Podniósł kulę Rzeczywistości, a jego głos zabrzmiał jak grzmot:

- Cisza.

I stała się wola jego: natychmiastowa cisza, od której aż dzwoniło w uszach. Na razie nieźle. Odwrócił się do samców.

- Chcecie sobie wyszarpnąć kawałek mnie, pierdolce? Podejdźcie. Pojedynczo albo kupą, jak chcecie.

Samce spojrzały po sobie, aż w końcu największy, najbardziej pobliz-

niony i wyglądający na największego twardziela wzruszył ramionami i wystąpił naprzód.

- Oto nasz szczęśliwy zwycięzca. - Opuścił rękę z kulą Rzeczywistości i spojrzał na olbrzymiego byczka. - Umrzyj.

420

Ogrillo prychnął i spróbował zrobić następny krok, ale tylko się zachwiał. Oczy wyszły mu z orbit, gdy z narastającym niedowierzaniem zła-pał się za pierś. Nogi się pod nim ugięły. Osunął się na kolana, wydał

zdławiony, bulgotliwy dźwięk, runął na pysk i znieruchomiał.

- Czy ktoś przegapił to, co się przed chwilą wydarzyło? Może komuś trzeba coś wyjaśnić?

Powiódł wzrokiem po komorze, patrząc prosto w oczy każdemu ogrillowi z osobna.

Spojrzał na leżącego nieruchomo samca.

- Wstań i idź - powiedział.

Upłynęła jedna cicha, bardzo długa sekunda, po czym ciało ogrilla przebiegł dreszcz, a jego pierś ze świstem napełniła się powietrzem. Dźwignął

się na kolana - ale zamiast wstać, przypadł pyskiem do podłogi i tak już pozostał.

- Nieźle... - mruknął z podziwem Tucker.

- Nie musicie się przede mną korzyć. I tak jesteście moi. Wszystko, co macie, należy do mnie. Wszystko, czym jesteście, należy do mnie. Kiedy rozkażę, wychodzicie. Kiedy rozkażę, wracacie. Kiedy rozkażę, chodzicie po świecie. Kiedy rozkażę, zalegacie w mroku. Kiedy rozkażę, żyjecie.

Kiedy rozkażę, umieracie. Moje słowo jest dla was prawem. Nie macie innego prawa ponad moje słowo. Kto złamie prawo, będzie cierpiał. Kto sprzeciwi się prawu, będzie błagał o śmierć. Kto mnie znieważy, umrze.

Kto znieważy mój lud, mnie znieważy. Uważajcie, żebyście nie zrobili żadnej z tych rzeczy. Oto moje słowo. Oto wasze prawo.

- Twój lud?! - Na grubej szyi Kaiggez nabrzmiały żyły. - Masz na myśli handlarzy niewolników, którzy chlaszczą nas batem? Morderców, którzy niszczą nas i Nasze Miejsce? Ludzi, którzy nie umieją prosto stanąć, jeśli nie postawią buta na karku Czarne Noża?

- Nie.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? Po prostu „nie”?

421

- Wasz kark jest moim karkiem. Kto znieważy was, mnie znieważy.

Usiadła głębiej na tronie i popadła w zadumę.

- Orbek Czarny Nóż: Taykarget jest moim bratem. Twój samiec. Twój mąż. Byłem znany jako Caine, Dominic Shade, Jonathan Fist, K'Thal i Hari Michaelson. Miałem także inne imiona. Ze wszystkich jestem dumny, ale żadne nie jest mną. - Wyszczrzył zęby i zwrócił się do Kaiggez: - Wiesz, kim jestem. Powiedz im.

Wyglądała, jakby zmęła w zębach przekleństwo. Ścisnął mocniej kulę Rzeczywistości.

- Powiedz im!

Niechętnie wstała. Bez entuzjazmu nabrała powietrza w płuca.

- To *Nazutakkaarik*. *Nazutakkaarik* z Koszmaru Piekła. - Spuściła głowę. - To Skórołaz. We własnej osobie.

Cisza.

Cisza się pogłębiła, gdy, wodząc wzrokiem po komorze, patrzył po kolei w każde żółte ślepie z osobna.

- Jeżeli ktoś ma jakieś głupie pomysły, niech najpierw znajdzie kogoś, kto przeżył Koszmar. I niech zapyta, co robię, kiedy ktoś mnie wkurwi.

Podniósł lewą rękę i przyjrzał się skłębionej, wirującej kuli. Z niewiadomych powodów był przeświadczony, że powinien ujrzeć w niej przyszłość. Ale widział tylko moc.

Więc jej użył. No bo w końcu, po co jest moc, jeśli nie po to, żeby jej używać?

- Co wy tu jeszcze robicie? - spytał, kiedy znów spojrział na nieruchome i milczące Czarne Noże. - Wypierdalać! Wszyscy. Ale już!

Ogrille poruszyły się jak przebudzone ze snu i zaczęły zbierać do wyj-

ścia.

Spojrzał na Kaiggez.

- Ty nie. - Skinął na nią. - Musimy pogadać.

Czarne Noże opuściły gęsiego komorę, zostawiając za sobą puste wtórniki i Kaiggez, która niechętnie zeszła z piramidy.

- Umiesz zrobić przedstawienie - przyznał Tucker.

422

- Dzięki. Ładna sztuczka z tym „umrzyj”.

- Nie ma za co. „Wstań i idź” było trudniejsze. Ciężko skasować taką magję, kiedy ma się tak mało czasu. Albo kiedy w ogóle się go nie ma.

- Wierzyłem w ciebie.

- Co dowodzi, że masz znakomity gust i znasz się na ludziach, ale co byś zrobił, gdyby mi nie wyszło?

Wzruszył ramionami.

- Coś innego. Ale tak było lepiej.

- Tak?

- Dla mnie „wstań i idź” to nie jest szczęśliwe zakończenie.

- Rozumiem co masz na myśli.

Kaiggez zsunęła się na dno amfiteatru, przyklękła na jedno kolano i pochyliła głowę.

- Jakie są życzenia Skórołaza?

- Skórołaz chce... - Zawiesił głos. Skrzywił się. - Kurwa, Kaiggez, wstawaj. A jeśli znów zacznę mówić o sobie w trzeciej osobie, możesz mi dać w pysk.

Wstała, ale nie ośmieliła się podnieść wzroku. Odpuścił jej. Dla ogrillów pojedynkę spojrzeń to próba dominacji, a on nie chciał się już w tym babrać. Nie teraz. Położył jej prawą rękę na głowie.

- Wezwałem cię tutaj, żeby cię przeprosić.

Jej głowa podskoczyła i przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy, zanim znów odwróciła wzrok.

- Przepraszasz za teraz? Czy za wszystko?

- Za teraz.

- To niewiele.

- Więcej nie będzie. Tamto wtedy? Szczenięta, w tym twoje... Była wojna. Możesz mnie za to nienawidzić. Ale teraz... Przepraszam, że upokorzy-

łem cię przed przyjaciółmi.

- Przed moją rodziną - warknęła gardłowo.

- Naszą rodziną. - Jeszcze raz położył jej rękę na głowie. Pogładził ostre jak szczotka włosy na karku. - Takie sprawy powinno się załatwiać na 423

osobności. Przykro mi, że stało się inaczej. Chcę ci to wynagrodzić.

Odsunęła się i przekrzywiła głowę. Spojrzała na niego z ukosa.

- Wynagrodzić? Jak?

- Pomożesz mi.

- Pomogę ci wymordować niedobitki Czarnych Noży?

- Chcę, żebyś się zaopiekowała naszą rodziną. Więcej, chcę, żebyś ich poprowadziła.

Zmrużyła oczy. Nie odpowiedziała.

- Tak, jestem twoim wodzem. I mówię ci, że ty jesteś wodzem wszystkich pozostałych.

- A on? - Wzruszeniem ramion wskazała Tuckera. - Kim jest, żeby stać u boku Skórołaza?

- Nikim. Jeśli go jeszcze kiedyś zobaczysz, zabij go.

- Chwila! - wtrącił się Tucker. - To nie było miłe.

- Gdybyś miał rozkaz strzelić mi w łeb, nie zawahałbyś się.

- Ale potem czułbym się z tym źle. To się nie liczy?

- Nie.

Znowu zwrócił się do Kaiggez:

- Przed zachodem słońca całe miasto będzie wiedziało, co tu zaszło.

Może się zrobić zamieszanie. Uspokój swój klan; musicie być gotowi do działania. Wszyscy. Dużo wiem, ale nie potrafię przewidzieć, co się wydarzy podczas Sądu. Może będziemy musieli walczyć. Albo uciekać. Albo wziąć się w garść i po prostu przeczekać. To będzie twoja decyzja.

- Moja. - Zamyśliła się, ale nie wyzbyła jeszcze podejrzeń. - Mogę to zrobić.

- Walczyłaś o siłę dla swojego klanu. O wolność dla nas i o przyszłość Naszego Miejsca. Teraz będzie prościej. Masz nas tylko chronić. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała.

- Oto moje słowo. Oto twoje prawo. Rozumiesz? Powiedz.

Cicho:

- Rozumiem.

424

- Ty i twoje suki... kapłanki, chuj was wie, macie się opiekować Naro-dem Czarnych Noży jak suka szczeniętami. Reszta to już nie wasz problem.

- Suki walczą.

- Wiem. Ale suki Czarnych Noży walczą tylko w obronie szceniąt. W

obronie rodziny. Takie jest prawo. Od teraz po wieki wieków.

- Kto w takim razie zniszczy naszych wrogów? Kto zgnoi świat, żeby się bał? Kto?

Posłał jej autoironiczny uśmiech.

- Kiedy Orbek mnie adoptował, powiedział, że zhańbiłem Czarne Noże.

I że stając się jednym z nich, będę współdzielił tę hańbę. Tak się stało. Ale powiedział również, że mój honor to także honor klanu. Dlatego będziecie mieli udział w moim honorze.

- Mówisz... - W ślepiach suki zapłonął żółty ogień. - Mówisz, że od teraz Skórolaz będzie za nas walczył.

- Widzieliście, jak walczyłem przeciw Czarnym Nożom. Teraz zobaczycie, jak walczę jako jeden z was.

- *Nazutakkaarik terkallaz keptarrolymik kaz tash...* - wyszeptała Kaiggez z czymś na kształt szacunku.

Pochyliła głowę, a potem okręciła się na pięcie, wspięła na sam szczyt amfiteatru i popędziła

tunelem w stronę BlackStone. Odprowadził ją wzrokiem. Kiedyś w końcu powinien naprawdę nauczyć się tego etk dag.

Obejrzał się na Tuckera, który sprawiał wrażenie wyjątkowo zaduma-nego.

- Co ty na to?

- To brzmiało jak przysłowie. Powiedziała: Skórolaz stał się własną zwierzyną.

- Ha... - Nie umiał stwierdzić, czy to znaczący zbieg okoliczności, czy czysty przypadek. - Jak to się śmiesznie w życiu układa...

- Śmiesznie?

- Znasz lipkeński. Czytałeś kiedyś ich poezję? Tradycyjna lipkeńska metaforyka, zwłaszcza w epodach o Tyshalle'u, obejmuje noc, nieoświetlone 425

jaskinie, wnętrza grobów, tym podobne. W starszych dziełach, zwłaszcza dawnych eposach, w których Tyshalle występuje jako jeden z bohaterów, często opatruje się go przydomkiem, który można tłumaczyć jako „wiecznie mroczny”. A czasem piszą o nim po prostu Mrok, przez duże M.

- Ja chromolę...

- Poważnie. „Ostrze Tyshalle'a” to nic innego, jak poetyckie określenie czarnego noża.

- I to cię bawi? - Tucker był wstrząśnięty. - Masz dziwne poczucie humoru.

- Ludzie często mi to mówią. - Usiadł na najniższym stopniu amfiteatru.

- Teraz musisz odejść.

- Ile jeszcze razy będziemy do tego wracać?

- Nie o takim odejściu mówię.

Tucker zamarł.

- Posłuchaj, jeśli chodzi o Dłoń...

- Chodzi o ciebie. Pozwoliłbym ci po prostu odejść, gdybym był w stanie uwierzyć, że naprawdę to zrobisz.

Tucker westchnął.

- Skoro tak stawiasz sprawę...

- Wiele ci zawdzięczam. - Oparł się na łokciach, wśliznął głębiej, podcią-

gnął nogi i oparł stopy na stopniu, na którym leżał. - Pomogłeś mi spiknąć się z końską wiedźmą. Pomogłeś mi spiknąć się ze mną samym. Dzisiaj pomogłeś mi się tu dostać. Wiem, że żadnej z tych rzeczy nie zrobiłeś dla mnie, ale i tak jestem twoim dłużnikiem. Dlatego nie zabiję cię od razu, tak jak stoisz.

- Powiem ci, Jonnie, że kurewsko przykro mi to słyszeć. Myślisz, że mamy szansę dojść do jakiegoś porozumienia?

Tucker podrapał się z roztargnieniem po rękę i powietrze przecięła szkarłatna lanca mocy...

Na granicy najniższej części amfiteatru wyparowała, jakby nigdy jej nie było.

- Nie obrażaj mnie.

- Raczej myślałem o zaskoczeniu cię.

426

- Ognisty Pocisk. Cwane. Jaki masz utrwalacz? Tatuaż?

- Jeżeli naprawdę tak cię to interesuje, to zejdź tu do mnie i sam się przekonaj.

- Powinienem cię zabić. Wiem, że powinienem. Gdyby sytuacja była odwrotna...

- To niemożliwe. - Tucker usiadł na kryształowej posadzce. W jego głosie brzmiało zmęczenie. - Ja jestem profesjonalistą, ty nie. Nigdy nim nie byłeś.

- To chyba prawda.

- Profesjonalista wykończyłby mnie wtedy na urwisku.

Wzruszenie ramion.

- Widzisz, kłopot w tym, że w duchu cię podziwiam.

- Nie musisz mi teraz robić loda.

- To nie jest tylko kwestia umiejętności. Chodzi o zaangażowanie, o poważne traktowanie swojej roboty. Lubię cię.

- Ale nie aż tak, żeby pozwolić mi odejść.

- Bo przekonywanie ludzi, żeby cię polubili, to element twojego fachu.

Jesteś w tym tak samo dobry, jak w innych jego aspektach.

- Skończyłeś?

- Odpowiesz mi na jedno pytanie? Tylko jedno. Pytam z czystej ciekawości, bo ty już nigdy nie zobaczysz tego świata.
- Nie chciałbym cię rozczarować. - Tucker wzruszył ramionami. - Co powiesz na mały handelek? Skoro mam już nigdy nie zobaczyć tego świata...
- Bardzo chętnie.
- Po co ci Dłoń? Chcesz ją zatrzymać dla siebie?
- Nie, do diabła!
- Ma wielką moc.
- Nie taką, jaka mnie interesuje.
- To jaki masz plan? To musi być coś niezwykłego, skoro zamierzasz stuknąć faceta, którego lubisz, tylko po to, żeby przypadkiem nie wszedł ci w drogę.
- Tak, to jest coś niezwykłego. Oddam ją Khrylowi.

Tucker wybałuszył oczy.

427

I patrzył.

Patrzył.

Patrzył jeszcze jakiś czas.

W końcu powiedział:

- Masz rację: zabij mnie.
- Nie mam takiego zamiaru.
- T'Passe wie?
- Oczywiście, że nie! Jezu... Łeb by mi urwała, zanimbym skończył zdanie.
- Nie jest taka sentymentalna jak ty.
- Można tak powiedzieć.

Tucker westchnął.

- Pytaj.

- Jak się nazywasz?

- Słucham?

- Jak się nazywasz? To wszystko. Chcę poznać twoje prawdziwe nazwisko. Wiesz, jak będę potem opowiadał ludziom.

Tucker chwilę się zastanawiał, po czym z westchnieniem skinął głową.

Wzruszył ramionami.

- Dobra - przytaknął niechętnie. - To chyba nikomu nie zaszkodzi. Jestem Buyay Vory, lord Hakciwsmak, hrabia Bolec herbu Stolec, jedenasty markiz...

Reszta zniknęła w oślepiająco żółtej eksplozji mocy. A gdy moc się rozplynęła, Tucker rozplynął się razem z nią.

\*\*\*

W komorze zapadła cisza tak absolutna, że słyszał zsynchronizowane oddechy tysięcy nieruchomych wtórników stłoczonych na jej najwyższym poziomie. Podniósł wzrok.

No... niezupełnie nieruchomych...

Miały otwarte oczy.

Wszystkie.

428

I wszystkie te ślepie wpatrywały się w niego.

- W porządku, rozumiem aluzję.

Zeskoczył na środek komory. Na lśniącej powierzchni nie pozostał żaden ślad po Tuckerze. Po nim samym zresztą też nie. Tylko zatopiony w kryształach cień. Owad w bursztynie. Uklęknął na środku i przyłożył do po-sadzki rozpostartą dłoń.

- Hej! - zagadnął półgłosem. - Gotowa?

Odpowiedź, którą usłyszał, obeszła się bez głosu, nawet bez języka. To było milczące porozumienie.

*Byłam gotowa, zanim którekolwiek z nas się urodziło.*

- Miałem wobec ciebie inne plany. Zupełnie inne. Chciałem cię skrzywdzić, skrzywdzić tak bardzo, żebyś pamiętała o mnie w każdej godzinie każdego dnia do końca życia. Ale nie tak.

*Przysiągłeś, że kiedy obudzę się w Piekło, ty już tam będziesz, żeby mnie zabić.*

- To miało być inne Piekło. Inne przebudzenie. Inne zabijanie.

*Czy sens nadal istnieje? Bo słowa tak. Słyszę je, teraz i zawsze.*

- Nie zawsze. Kwestią „zawsze” zaraz się zajmiemy.

*Zawsze, mój ukochany, znaczy coś innego, niż ci się wydaje.*

- Dobra, dobra. Nie wiem w ogóle, po co z tobą rozmawiam. - Sięgnął

umysłem, znalazł Rzeczywistość i przymusił ją do swojej woli. - Shaikkak Neruch'khaitan, przybądź!  
Albo wstań i idź, jak wolisz.

Cień w kryształach się poruszył.

Zaczął rosnąć i gęstnieć, krzepnąć w łagodnej żółtej poświacie. Im wyraźniejszy przybierał kształt, tym mniej ludzki się wydawał. Powierzchnia kryształu rozstała się i niczym bogini z morskiej piany wyłoniła się z niej stara, zasuszona suka ogrilla, bezwłosa, z potrzaskanymi kikutami w miejscu nóg i grubą blizną okrywającą prawy policzek i oczodół. Lewe, zdrowe oko, żółte jak kryształ, pałało zapiekłym obłędem.

- Siemanko, ruro pojebana. Kopę lat.

*Cała wieczność, króliczku. Ale w tej wieczności cały czas cię widzę.*

429

Zamiast prawej dłoni, unicestwionej przez zapożyczoną moc, miała pancerną, stalową pięść, chromowaną i lśniącą jak lustro, nieskalaną, idealną.

Wyciągnęła ją do niego, jakby podawała mu rękę na powitanie.

*Opiekuj się naszym ludem, króliczku.*

- Przecież wiesz. - Ucisnął metalową dłoń swoją dłonią z krwi i kości. -

Dobranoc, Krucza Grzywo. Spij dobrze.

*Będę śnić o tobie, mój ukochany.*

- A ja w tym śnie będę cię ruchać w oczodół pyta z drutu kolczastego.

*Ja też będę tęsknie.*

- Nadal jesteś zgniłą szczurzą pizdą. *Ch'syavallanaig Khryllantai.*

Płomień Władzy Khryła z jego dłoni liźnął ciało Jego Pięści i biały ogień podpałił wszechświat.

\*\*\*

Kiedy znów zaczął rejestrować zmysłami otoczenie, Dłoń Khryła zniknęła, a jedynym źródłem światła w komorze był płomień pochłaniający zwłoki Kruczej Grzywy. Leżał na gładkim, zimnym kryształach i próbował

wykombinować, jak by tu wstać; nie mógł sobie przypomnieć, jak się porusza rękami i nogami. Bolała go dłoń - podobnie jak reszta ręki, bark, pierś, ucho, twarz... Nawet kiedy poświęcił na to dłuższą chwilę i naprawdę się postarał, nie znalazł ani jednego kawałka ciała, który nie dygotałby z bólu.

- No tak - mruknął - o tym już mi nie powiedzieli...

Jego skórzany strój był w niewiele lepszym stanie niż on sam. Rozpostarł szerzej umysł w poszukiwaniu Rzeczywistości, żeby uleczyć ciało i naprawić ubranie... ale nie znalazł żadnej Rzeczywistości, której mógłby dotknąć. Nie zarejestrował nawet wtórników, które leżały pokotem, jak zrzucone do zbiorowej mogiły.

Westchnął. Zgoda, tak to właśnie miało wyglądać... Tylko że ból wcale się od tego nie zmniejszył.

Udało mu się dźwignąć na czworaki, ale potem musiał zrobić sobie dłuższą przerwę na złapanie tchu. Krwawił z nosa. W świetle płomieni kapiąca na kryształ krew była czarna.

430

Czarna?

Krew w blasku ognia nie jest czarna. Dotknął twarzy i jego dłoń pokryła się czarnym olejem. Patrzył na swoje odbicie w obsydianowo-czarnej, opalizującej powierzchni, i tak jak w kuli Rzeczywistości, w której szukał wizji przyszłości, zobaczył moc.

Tyle że teraz zobaczył także przyszłość.

Pokiwał głową.

- Przedstawienie czas zacząć.

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ 8

### MROCNIEJĄCY LAS

*NEL MEZZO DELCAMMIN DI NOSTRA VITA MI RITROVAIPER UNA SELVA OSCURA, CHE LA DIRITTA VIA ERA SMARRITA.*

- DANTE ALIGHIERI

### PIEKŁO

Jest niewidzialna i niesłyszalna, nie można jej wyczuć dotykiem, wywęszyć ani posmakować, a jednak tu jest, ponieważ tutaj Ona trwa wiecznie.

- Amen - mruczy Duncan.

Ogromnie się cieszy, że jest przyszpilony do ziemi, bo zwalnia go to od nieznośnej konieczności przyklęknięcia. Pod czaszką kłębi mu się egzystencjalny lęk, od którego dostaje zawrotów głowy - boi się, że jest tylko wytworem Jej wyobraźni, przelotnym kaprysem, który przy najmniejszej nieuwadze z Jej strony ulotni się w nicość, która nigdy nie istniała.

Kris Hansen, Deliann Mithondionne, cesarz Ankhany i ludzki król el-fów klęczy ze spuszczoną głową. Nawet Angvasse Khlaylock, Pan Bitew, 432

przyklęknęła z szacunkiem. Tylko końska wiedźma ani drgnie: siedzi obok Duncana i plecie wianek z kwiatów. Caine wychodzi na środek polany i mówi:

- Przestań, do kurwy nędzy.

Kiedy Obecność mu odpowiada, nie używa słów, nie wydaje dźwięków, lecz przemawia bezpośrednio znaczeniami:

*Jak zwykle żądasz, bym była kimś mniej, niż jestem.*

- Gdybym mógł czegoś żądać, zażądałbym, żebyś spierdała stąd w podskokach. Co u Faith?

*Martwi się o ciebie. Ja również.*

- A ja mam się znakomicie, sama widzisz. A teraz wypad.

Powietrze obok Duncana mieni się od gromadzącej się mocy, która przeradza się w światło, które z kolei przybiera kształty żony jego syna.

- Shanna...

*Pallas Ril. Miło cię znów widzieć, Duncanie. Pozwól, że ci pomogę.*

- Pomożesz? Mnie?

*Mogę ci ulżyć w bólu.*

- Ale to nie boli.

*Nie mówię o bólu ciała, Duncanie.*

Czuje dotknięcie Jej Mocy - ciepłe jak kuchnia w zimowy dzień, bezpieczne i dodające otuchy jak wspomnienie matczynego uścisku.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - upomina go Caine.

- Pamiętam. - Duncan uśmiecha się smutno do bogini. - Dziękuję za okazaną mi troskę, Pallas Ril - mówi celowo oficjalnym tonem - ale gdyby nie ten ból, nie wiedziałbym, kim jestem.

*Czy to takie straszne? Zapomnienie to spokój, cisza, brak cierpienia, strachu i żądz. Zostaje tylko spoczynek.*

Czuje, że w kącikach oczu zbierają mu się łzy.

- Jesteś bardzo łaskawa, ale nie, nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

- Rozkłada ręce. - Hari wciąż mnie potrzebuje.

*Hari nie żyje. Ten człowiek nie jest twoim synem.*

433

- Ale jest czyimś synem. Synem ojca, który pokochał go bezwarunkową miłością, i matki, w której najpiękniejszym śnie stał się mężczyzną. - Łzy płyną. - Dla mnie to wystarczy.

*Przez pamięć naszej wspólnej miłości do Hariego, pozwól przynajmniej uwolnić się z tego więzienia.*

Migotliwa sylwetka gęstnieje jeszcze bardziej, ręka sięga po czarny miecz.

- Zostaw - mówi Angvasse Khlaylock. Jej klęcząca postać przeniosła się z drugiego krańca polany i teraz oddziela rękę bogini od miecza. Nadal klęczy z pochyloną głową, nadal jest bezbronna. - Miecza dotykają tylko ci, których o to poproszono. Nie jesteś jedną z nich.

*Chcesz Mi się sprzeciwić, mały bożku? Mnie? Przerastam cię tak dalece, jak ty przerastasz tych śmiertelników, których masz nadzieję obronić.*

- Jestem w pełni świadoma Twojej potęgi, lecz Mój obowiązek pozostaje niezmienny. - Angvasse

podnosi głowę i taksuje wzrokiem utkaną z czystej mocy twarz bogini. - Nie wynoszę się ponad śmiertelnych, Dzika Kró-

lowo. Stawiam się na równi z nimi. Moja Tarcza jest i zawsze będzie zwrócona przeciw tym, którzy chcieliby ich skrzywdzić.

*Krzywda dla śmiertelnych ze śmiertelnej ręki.*

- Nie tym razem.

*Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.*

- Są tylko dwa wyjścia z sytuacji, w której ktoś grozi tym, którzy chronią się w cieniu Mojej Tarczy. Jedno z nich jest takie, że się wycofasz. -

Angvasse wstaje. - Wtedy obędzie się bez przemocy.

*Możesz Mi wierzyć, że gdybym mogła powstrzymać was wszystkich, nie krzywdząc nikogo, zrobiłabym to.*

- Wierzę w to, co widzę. Jeżeli nie chcesz ani krzywdzić, ani zaznawać krzywdy, odstęp.

*Zaczynam rozumieć, dlaczego Caine tak cię podziwia. Do zobaczenia, mały bożku.*

434

Dłoń bogini dotyka opancerzonej piersi i bezgłośny, oślepiający błysk unicestwienia boga, który przybrał postać Angvasse Khlaylock, jakby ani on, ani ona nigdy nie istnieli.

*Teraz wezmę Miecz. Jego zniszczenie położy wszystkiemu kres.*

- Nie. - To Kris Hansen klęczał, ale to Deliann Mithondionne wstaje. -

Rozumiem już, dlaczego Caine Ci nie ufa.

*Ty, kreaturo? Ty, żaloszny sztuczny twórce, ośmielasz się przeciwstawiać Mojej woli? Nie masz nawet ułamka mocy Khryla, którego przegnałam stąd samą myślą. Jedno mrugnięcie Moich powiek unicestwi cię na wieki.*

- Spróbuj to potem wytłumaczyć Ma'elKothowi. - Deliann ogląda się przez ramię na Caine'a. - Znasz już moją odpowiedź.

Nad polaną przetacza się grzmot, niebo ciemnieje, rozwidlone błyskawice skupiają się na Deliannie. Kiedy wszyscy odzyskują wzrok, ziemia w miejscu, gdzie stał, jest wypalona do żywej skały.

- Zawsze ją znałem - mówi Caine.

Bogini znów sięga po Miecz.

Duncan się krzywi. Jest przerażony tym, co chce powiedzieć, ale i tak to mówi:

- Nie.

*Jak śmiesz?*

- Sranie w banię - wtrąca Caine. - Zostaw sobie takie teksty dla turystów.

*Twoja wola przeciw mojej? Tego właśnie chcesz?*

- Caine mówi, że nie możesz zabrać miecza, dopóki sam ci go nie dam.

*W takim razie daj Mi go.*

- Powiedziałem już: nie. - Duncan zaciska zęby. - Nie podoba mi się to, jak prosisz.

*To nie była prośba.*

- To mi się w niej właśnie nie podoba.

*Mogę uczynić z tej ślicznej polanki piekło przekraczające wszelkie wyobrażenie...*

435

- To właśnie jest Piekło, tępa cipo - odzywa się końska wiedźma, nie przerywając wyplatania wianka. - Nie uważałaś.

Cała uwaga bogini skupia się na niej.

*Ty. Czym jesteś? Czymś tak mało ważnym, że ledwie cię widzę. Jak mu-cha bzycząca wokół spraw, które przekraczają twoją zdolność pojmowania.*

*Nawet mniej.*

- Jestem końską wiedźmą. - Wiedźma z westchnieniem kładzie sobie wianek na kolanach i nakrywa go dłońmi. - Wiesz, dlaczego jeszcze cię nie zabił?

*Jesteś tak samo męcząca jak Khryl.*

- Chodzi o Faith. Kocha ją, a nie wie, jak przyjąłaby zabicie cię. Ale ja to wiem, i wiem też, że niespecjalnie by się przejęła. Dlatego powinnaś być dla ludzi miłsza.

*Jesteś obłąkana.*

- Powinnaś zrozumieć, że próbuję ci pomóc, mimo że na to nie zasługujesz. On mi w końcu uwierzy w kwestii Faith, a wtedy nie jest wykluczone, że postanowi się pozbyć twojego kurwiego dupska, Rzeczna Zdziro. I przekona się, że miałam rację. Faith za tobą nie zatęskni.

- Ehm... - Duncan odchrząkuje. - Na pewno chcesz z Nią rozmawiać takim tonem?

*Wiem, że gzisz się z mężczyzną, który był w przeszłości Moim małżonkiem. Nie widzę powodu, żeby zrobić ci krzywdę, ale nie widzę również powodu, żeby dalej znosić twoje towarzystwo.*

Fizyczna postać bogini staje się prawie materialna.

*Precz.*

Końska wiedźma wrusza ramionami i wraca do wyplatania wianka.

*Jak to możliwe, że nadal tu jesteś?*

Znów nadciągają chmury, po niebie przewala się grzmot.

*Precz, rzekłam!*

Końska wiedźma tylko przewraca oczami. Nawet nie podnosi głowy.

- A pies cię jebał, pizdo niedomyta...

Oślupiała Obecność nieruchomieje.

436

- Nie lubi cię - tłumaczy jej Caine. - Rzadko się wścieka i nie ma zwyczajowo chować urazy do nikogo, ale ty jesteś wyjątkiem.

*To niemożliwe!*

- A jednak.

*To niepojęte...*

- Po pierwsze, nie możesz jej do niczego zmusić. Możesz ją zabić, ale nie możesz sprawić, żeby zrobiła coś, czego nie chce. A po drugie, nie możesz jej zabić.

*Zobaczmy.*

- Tu nie chodzi o ciebie i o mnie. Ani nawet o Ciebie i o mnie. Rzecz w tym, że dawno temu ona, a właściwie... hmm... pewni ludzie, część których wyglądała tak jak ona, uciekali, chowali się po lasach i modlili do Ciebie o pomoc. O nadzieję na wolność. A Ty im nie pomogłaś.

*Nadal nie pomagam.*

- To prawda. Ona wcale nie nienawidzi Shanny. Wiedziała o niej. Nawet pomogła uciec jakimś *tokalim*, kiedy tamtej jesieni znalazła się nad rzeką. Wie, że Shanna Leighton bez namysłu oddałaby życie w obronie ludzi, których Ty ignorujesz. I ludzka Pallas Ril naprawdę oddała życie, żeby pomóc takim jak oni. Ale Ciebie to nie interesuje. Dlatego końska wiedźma jest zła i pewnie nadal będzie, nawet jeśli Cię zabiję.

*Mnie? Ty?*

- Nie rozumiesz, co tu się dzieje. Ma'elKoth, Dom czy chuj wie kto przysłał cię po Miecz, ponieważ jesteś jedynym bóstwem w Jego pante-onie, które już przed Dniem Wniebowstąpienia miało materialny aspekt.

Jedynym, którego nie można odczynić.

*Odczynić...?*

- Uwierz mi.

*Naprawdę myślisz, że istnieje choćby nieskończenie mała szansa na od-czynienie Umysłu Domu?*

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

*Jesteś szalony.*

437

- Ludzie często mi to mówią. Wiem, co teraz myślisz: powinnaś Go ostrzec, albo przynajmniej spierdalać, gdzie pieprz rośnie, ale nie możesz tego zrobić. On też nie może, bo nie jesteście do końca rozdzielnymi byta-mi. Stanowisz wyraz Jego części, prawda? Dopóki Cię tu trzymam, trzymam i Jego.

*Jak zamierzasz mnie zatrzymać?*

- To ma być żart? Kurwa, kobieto, czyś ty kompletnie zapomniała wszystko, co kiedykolwiek o mnie wiedziałaś? Przecież to już się stało.

*Stało się...*

- Wiem, że jesteś Mocą Naturalną, więc nie dysponujesz wszechobec-nością temporalną, ale ktoś ci chyba powinien był powiedzieć, kim był

Khryl. Prawdziwy Khryl. Angvasse? Z łaski swojej, przyprowadź tu Krisa.

W cieniu pod drzewami rozchylają się poły filcu przy wejściu do jurty i ze środka wychodzi Angvasse Khlaylock, bez zbroi, w zwyczajnej tunice i spodniach. Obok niej idzie Kris Hansen.

- Następnym razem mnie uprzedź - mówi Kris. - Bałem się, że naprawdę umrę.

- Mam wrażenie, że wam, nieśmiertelnym, trzeba o tym od czasu do czasu przypominać. Poza tym spieszyłeś sprawę. Jesteś bardzo utalentowanym człowiekiem, Kris, ale aktor z ciebie jak z koziej dupy trąba.

Kris robi taką minę, jakby nie mógł się zdecydować, czy wrzeszczeć, czy płakać.

- Masz pojęcie, jak trudno jest być twoim przyjacielem?

Caine zwraca się znów do Obecności:

- Tak między nami i Ma'elKothem: to Khryl was wszystkich Spętał, ćwoki. Musnęliście go Waszą mocą, Jego moc musnęła Was... Całkiem niezłe to wszystko wyszło, biorąc pod uwagę, że Mistrz Uczciwej Walki mógł po prostu skopać Ci dupę jak stąd do Ameryki.

*Nie możesz... Nie liczysz chyba na to...*

- Czyżby? Kiedy poprzedni raz poprzytykałem się z Tobą i Ma'elKothem, co zrobiłem, żeby mnie zaatakował?

438

*Och... czarny nóż... olej...*

- Żeby tak drugi raz dać się nabrać na tę samą sztuczkę... Przejebane, co?

Grzmot przeradza się w słowa:

***DLATEGO SIĘ NIE NABIERZEMY.***

Wszyscy podnoszą wzrok. Niebo od horyzontu po horyzont wypełnia Twarz Ma'elKotha: chmury są Jego brodą, góry Jego zębami, a słońce i księżyc Jego oczami.

- No cześć - mówi Caine. - Fajnie, że wpadłeś. Chcę ci coś pokazać.

**PODSTĘPY I MANEWRY 2**

**SĄD**

POZWÓL, ŻE CIĘ ZACYTUJĘ: „WIERZĘ W SPRAWIEDLIWOŚĆ, PÓKI TRZYMAM NÓŻ NA GARDLE SĘDZIEGO”.

- SHANNA LEIGHTON MICHAELSON

*BOHATEROWIE UMIERAJĄ*

Patrzył ze szczytu Piekła na Arenę Sprawiedliwości i nie mógł nie podziwiać skurwieli.

Zakon Khryła doskonale rozumiał potęgę dobrego widowiska. Zorganizowali imprezę na miarę wiecu w Norymberdze z *Triumfu woli*. A może nawet lepszą, ponieważ naziści byli zbyt wybredni, żeby oprzeć wielkie wydarzenie narodowe na walce między czempionami dwóch różnych ras.

Khrylianie przekonali by Hitlera, żeby zapowiedział walkę w klatce między Joem Louisem i Maksem Schellingiem, uzbrojonymi w najeżone kolcami rękawice. Bez sędziów. Na śmierć i życie. To się nazywa show-biznes...

Mniej więcej taki właśnie efekt chcieli uzyskać przy okazji tego Sądu Khryła.

440

Arena Sprawiedliwości została wybudowana i poświęcona specjalnie na tę okazję. Okrągła platforma o wysokości dwunastu stóp i średnicy około pięćdziesięciu kroków stała pomiędzy Brodem Purthina i Piekłem w takim miejscu, żeby zapewnić doskonałą widoczność z obu tych miejsc - na parkingu platform transportowych, między podnóżem Iglicy i dolnym poziomem Piekła. Krąg został wyłożony kilkoma warstwami grubego, chłonnego płótna, które - białe i nieskalane - miało uwidocznic każdą kroplę krwi. Krew przelana na Sądzie Khryła jest ofiarą złożoną Panu Bitew.

Platformę otaczały dwa koncentryczne kręgi, jeden wysoki na trzy stopy, drugi, zewnętrzny, na sześć. Na tym drugim stało ramię w ramię stu zbrojnych, zwróconych twarzami na zewnątrz, uzbrojonych w karabinki antyzamieszkowe, z twarzami ukrytymi w lśniących hełmach. Na dole, na bruku, stało dwustu kolejnych. Od dłuższego czasu nastroje społeczne nie były najlepsze, a ostatnie rzezie i zniszczenia - pokłosie Dymnego Łowu z poprzedniej nocy oraz porannego wybuchu na Placu Tkaczy - wprawiły cywilów i żołnierzy w wyjątkowo podły humor.

Iglica była wprost najeżona snajperami. Prawie wszyscy koncentrowali swą uwagę na kolejnych poziomach Piekła, ale całkiem spora ich liczba przepatrywała także zgromadzony w dole tłum ludzi. Oficerowie gwardii Khryła doskonale zdawali sobie sprawę z ryzyka wybuchu ogólnych zamieszek i wiedzieli, jaki byłby skutek ich rozprzestrzenienia się.

Prosta arytmetyka: pięciuset Rycerzy. Dziesięć tysięcy strażników.

Trzydzieści tysięcy zaprzysiężonych Żołnierzy Khryła, plus drugie tyle niezaprzysiężonych cywilów... I dwieście tysięcy ogrillowych niewolników.

Nikt nie chciał się przekonać, jaka będzie suma.

W porze krótkocienia, jak na Polu Bitwy nazywa się południe, na Arenę wprowadzono młodego, barczystego ogrilla, skutego dociążonymi łańcuchami. Tam, jak nakazywała tradycja, kazano mu uklęknąć i oczekiwać przybycia Rycerza Oskarżyciela. Po krótkiej pyskówce strażnicy pozwolili mu stać. Tłum nie był zachwycony.

441

Teraz, pod wieczór, pomruki ciżby przybierały coraz bardziej gniewną nutę, a od czasu do czasu wznosił się ponad nie wyzywający okrzyk, kiedy młodszy, mniej zdyscyplinowani i bardziej wstawieni spośród widzów pro-wokowali się nawzajem do wspięcia się na Arenę i załatwienia Złamanego Noża bez względu na to, czy lady Khlaylock w końcu przybędzie, czy nie.

Stał na parapecie nisko umieszczonego okna we wschodniej fasadzie trzeciej kondygnacji, niedaleko miejsca, z którego Caine i jego towarzysze obserwowali zbliżanie się Czarnych Noży. Wtuliwszy się w kąt w punkcie styku dwóch budynków, utonął w otoczonym krwawą obwódką cieniu, z którego lścisły tylko białka jego oczu. Na wznoszącym się przed nim szczycie muru oporowego stłoczyły się milczące ogrille, ciasno, nóż w nóż.

Nie przeszkadzało im chyba, że zagląda im przez ramię.

Byłoby inaczej, gdyby wiedzieli, kim był kiedyś.

Byłoby jeszcze bardziej inaczej, gdyby wiedzieli, kim jest teraz.

Zmrużył oczy i zadarł głowę. Na tle nieba rysowało się pomalowane na biało szkieletowe ramię dźwigu, wywieszona znad gniazda ładunkowego nad urwisko. Miał wrażenie, że na samym jego czubku dostrzega odzianą na biało postać, ale było całkiem możliwe, że tylko sobie schlebia: wzrok już miał nie ten, co dawniej, a biała kratownica tworzyła idealny kamuflaż.

Widział jednak wystarczająco dobrze, żeby dostrzec tłum kłębiący się na ulicach wokół Iglicy. Twarz Wolności spisała się na medal. Z biegiem czasu coraz więcej gapiów rozchodziło się do domów. Panowało ogóle rozczarowanie, konsternacja i znudzenie. Nikt nie rozumiał, dlaczego Bojowniczkę jeszcze nie ma, i nikt nie wiedział, co jej nieobecność oznacza dla ogrillów, khrylian i samego Pola Bitwy.

W pewnym momencie wszystko się zmieniło.

Przed godziną wysłannicy Kierendal rozproszyli się po Brodzie Purthina z następującą wiadomością:

*Bojowniczka przybędzie o zachodzie słońca. Sprawiedliwości stanie się zadość. Dymny Łów dobiegnie końca. Ostatni z Czarnych Noży ukorzy się przed Żywą Pięścią Khryla - albo zginie.*

442

Wszyscy chcieli to zobaczyć.

Zabawne, że właśnie to zamierzał im pokazać.

Nieco dalej od Areny, pod ścianą, przy której zbiegały się dwa odcinki zygzakowatej pochylni, wybudowano małe podwyższenie. Siedem krzesel.

Na sześciu zasiedli mężczyźni w lśniących jak lustro pełnych zbrojach płytowych: Mistrzowie Legend. Każdy z nich był w przeszłości Bojownikiem Khryla; każdy zajmował bardzo wysoką pozycję na liście osobników, którym nigdy i pod żadnym pozorem nie należy podskakiwać. Puste

krzesło pośrodku było przeznaczone dla ostatniego z Mistrzów Legend, który zbiegiem okoliczności był także Sędzią Zakonu Khryła. Tym razem jednak miał inne plany.

Wydawał ucztę dla kruków i robactwa.

Ciekawe, pomyślał, czy któryś z tych palantów w ogóle wie o tym, że Khlaylock nie żyje. Nie mógł wykluczyć, że Markham w końcu pokazał, że ma jaja, i się przyznał, ale to wydawało się mało prawdopodobne. Prawdziwe jaja - to by był u niego nazbyt ludzki rys.

Może później ściągnie gnojowi gacie i sam się przekona.

Patrzył z góry na czubek głowy Markhama. Skurwiel stał sobie jak gdyby nigdy nic, w pozycji na spocznij, po prawej stronie pustego krzesła, nieco z tyłu, z hełmem pod pachą.

Jezu, gdyby miał automag...

Zresztą, może i dobrze, że nie miał. Mógłby się nie powstrzymać.

Markham wyglądał jak wykuty w wapieniu, za to Mistrzowie Legend wiercili się niespokojnie, nachylali ku sobie nawzajem, jakby szepcząc, pewnie dyskutowali o tym, czy Angvasse na pewno przybędzie - bo jeśli chciała zdążyć przed zmierzchem, jej orszak powinien już być widoczny, a od co najmniej dziesięciu minut powinni słyszeć hymn *Khryliański Zew Sprawiedliwości*.

Orszak, kurwa... Jeszcze czego. Ja wam dam orszak.

- Kierendal... - wycedził cicho przez zęby. - Jak nam idzie?

443

*Wszyscy na stanowiskach.* Jej Szept był ledwie słyszalny, prawie ginął

w przypominającym oddech szeleszczeniu wiatru. *T'Passe mówi, że wszystko gotowe. A my chyba musimy jej zaufać, mimo jej niefortunnych priorytetów.*

- Masz na myśli Klasztory czy mnie osobiście?

*Sam wybierz.*

- Jest o wiele bardziej wiarygodna ode mnie.

*Jak każdy. Zresztą nie martwią mnie jej zamiary. Ostrzegałam cię, że nie można tu polegać na magji.*

- Wiesz, Kier, gdyby magja miała być jedyną rzeczą, która dziś zawiedzie...

*Zmierzam do tego, że jeśli ta maskarada pierdyknie, nie licz, że uratuję ci skórę.*

- I czym to się właściwie różni od innych naszych wspólnych zwario-wanych przedsięwzięć?

Długa, pusta cisza.

*Zgiń w walce, Caine.*

- Ehm... Ale wiesz, że to powinno znaczyć „powodzenia”?

*Dla nas obojga.*

- Urocza jak zwykle. - Spojrzał w lewo, w prawo i jeszcze raz w dół, na fasadę Pieła. - Nie widzę powodów do dalszej zwłoki.

*Czy to znaczy że zaczynamy?*

- Tak. Zaczynamy.

Eksplozja rozdarła niebo. Świat zadygotał.

\*\*\*

Wszyscy w Piele i Brodzie Purthina odczuli impet wybuchu jak uderzenie pięścią w pierś. Pulsująca ściana srebrnego ognia przyćmiła światło, a potem rozpadła się na tysiące oślepiających gwiazd, które wrzącym deszczem spadły z nieba. W ich powodzi spłynęła postać odziana w lśniącą biel, ogniecie błyszcząca, z jedną stopą w strzemieniu na końcu łańcucha, który zniknął w górze w otchłani płonącego nieboskłonu.

444

Im niżej zjeżdżała, tym gęstsza ciemność gromadziła się wokół niej, przez co lśniła jeszcze bardziej, jeszcze jaśniej, aż zaczęła oślepić - ale wzrok przyzwyczajają się do jasności i wkrótce rozległy się wiwaty tłumu, którym z Pieła odpowiedział oceaniczny ryk głodu i wściekłości.

Powitanie Angvasse Khlaylock.

Przyjmowała wiwaty i ryk obojętnie, nieruchomo, niewzruszenie, dopó-

ki łańcuch nie dosięgnął Areny, kiedy to zstąpiła na płótno i pozdrowiła widzów, podnosząc prawą rękę.

Na jedno uderzenie serca wszystkie głosy umilkły.

Jej wzniesiona dłoń zacisnęła się w pięść.

Ryk zatrzęsł Polem Bitwy od Przystani po purificapex Iglicy.

Owszem, Zakon Khryła wiedział, co to widowisko. Byli w tym nawet całkiem nieźli. Ale między

znaniem się na rzeczy i byciem widowiskiem jest przepaść.

On przez pół życia był widowiskiem.

Nie przeszkadzało mu, kiedy ktoś inny grał główną rolę. Przez jakiś czas. Krótco. W jego oczach to tylko dowodziło jego dojrzałości. Poniekąd.

Być może.

Spod zmrużonych powiek obserwował bezbronną kobietę stojącą w miejscu, gdzie wszyscy spodziewali się ujrzeć Żywą Pięść Khryła. Przeszło mu przez głowę - po raz setny, jeśli nie tysięczny - że, być może, powinien był powiedzieć Angvasse, co znajduje się pod parkingiem, pod tak zwaną Areną Sprawiedliwości: ruiny pradawnej bramy pionowego miasta, w któ-

rych dawno temu grupka *Aktirich* urządziła zasadzkę na oddział zwiadowczy Czarnych Noży, czym podpaliła lont tej całej maksymalnie popieprzonej bomby.

Teraz już na to za późno.

\*\*\*

Sięgnął rękami w tył i do góry, namacał dolną krawędź okna, płynnym ruchem podciągnął się, odbił nogami od ściany i robiąc salto w tył, 445

wylądował w środku. Spadł na podłogę, przetoczył się w bok i wstał - plecami do ściany, z nożami w rękach.

Nikogo nie było w domu. Tak właśnie miało być, ale nie dlatego dożył

swojego wieku, że przyjmował takie rzeczy na wiarę. Wszedł do mieszkania, oddalając się od oświetlonych okien, i zanurzył w sieć korytarzy i tune-li, w głąb skały.

Nie chował noży.

\*\*\*

Angvasse Khlaylock powolnym, statecznym, uroczystym krokiem szła w stronę Orbeka Czarnego Noża. Skinęła na dwóch czekających w pobliżu Rycerzy Adiutantów, żeby rozpięli skuwające go ciężkie łańcuchy.

Orbek obnażył kły, chwycił łańcuch w zaciśnięte pięści, naprężył ścię-

gna, napiął mięśnie, aż zafalowały mu pod skórą, i rozerwał go na dwoje.

Tłumy - ludzki i ogrylłowaty - odpowiedziały zgodnym rykiem. Odrzucił

łańcuch i ruszył naprzód, pochylony, napierając na grzmot głosów, jakby ten mógł mu stawić fizyczny

opór. Uniesieniem pięści pozdrowił gapiów w Piekło, a gdy zgiełk przycichł, ryknął:

- Jestem Czarny Nóż! Orbek Czarny Nóż!

- CZARNY NÓŻ! - Od odpowiedzi zadrżały mury Piekła. - ORBEK

CZARNY NÓŻ!

- Jestem Orbek! Wybraniec Boga! Zgroza Naszego Miejsca! Dzisiaj Orbek Czarny Nóż zmiażdży Pięść Khryła! Kiedy Khryl ULEGNIE przed CZARNYM NOŻEM, cały świat się o tym dowie! Od dziś po wiek wieków, CZARNY NÓŻ NIE KŁĘKA!

Angvasse spojrzeniem odprawiła Adiutantów i przemówiła półgłosem, tak że usłyszał ją tylko Orbek:

- Nie jesteś Orbekiem. Nie jesteś *kwatcharrem* Czarnych Noży. Khryl karze niewiernych.

Zwrócił kły w jej stronę.

446

- Gównu mnie obchodzi, co Khryl robi albo nie. Jestem twoją zgubą.

- To też nieprawda. Żadne z nas nie jest tym, kim myślało, że będzie w tym dniu, tu, na tej Arenie. Czy musimy to robić?

- Poddajesz się?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie zginiesz.

- To mało prawdopodobne.

- A Proklamacja? Powinnaś się chyba oficjalnie przedstawić, czy chuj wie, co wy tam robicie, zanim cię zabiję?

Skinęła głową i odwróciła się w stronę zasiadających na podwyższeniu Mistrzów Legend. Podniosła rękę i odczekała, aż tłum ucichnie, po czym przemówiła - powoli i wyraźnie, tak że wszyscy dobrze ją słyszeli, chociaż wcale nie podnosiła głosu:

- Jestem Angvasse Khlaylock z Lockholmu, Mistrzyni Legend, Rycerz Oskarżyciel w bieżącej sprawie. Dopilnuję, żeby ten rzekomy ogrillo albo uklęknął, albo umarł.

Nie odpowiedział jej ogłuszający ryk, lecz szmer, który narastał jak sztorm wzburzający suche liście. Odwróciła się do Orbeka.

- Gotowy?

Orbek podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Gdzie twoja zbroja? Gdzie masz broń?

Jej spojrzenie na ułamek sekundy złagodniało, jakby powstrzymała łaskawy uśmiech.

- Będą mi potrzebne?

- A co miał znaczyć ten „rzekomy”? Rzekomy ogrillo. Przecież wiesz, jak mam na imię. Co to za gierki?

- Jeśli to gra, już przegrałeś. Nie jesteś *kwatcharrem* Czarnych Noży.

Jesteś po prostu Orbekiem. Nie jesteś nawet ogrillem, nie bardziej niż Dymni Łowcy.

Ściągną na szyi Orbeka napięty się i szarpnęły łeb w dół. Włosy na karku stanęły mu sztywno jak druty. Nie odpowiedział.

447

Ze szmeru tłumu zaczęły się wyłaniać głosy - zaskoczone, pytające, za-intrygowane, coraz więcej szyderczych. Markham Tarkanen ciężkim krokiem wyszedł przed podest Mistrzów Legend i uniósł ręce.

- Cisza! W imię Khryła, Pana Bitew, nakazuję wam, byście się uciszyli!

- A tego co w dupę ugryzło?

- Twój brat przesyła wiadomość - ciągnęła półgłosem Angvasse. -

Chciał, żebym przekazała ci ją, zanim rozpocznie się Sąd.

- Co to za wiadomość? Zgiń w walce?

- Zacytuję go dosłownie: „Jak już spuszcza ci wpierdol, zabieraj swój głupi psi zad z symfotela i goń do bramy. Przyjdzie tam pewien facet. Wygląda inaczej i pachnie inaczej, ale to Tanner. Bądź dla niego miły. Jest nam potrzebny. Odezwę się”.

- Ja pierdołę... - mruknął Orbek.

- Bał się, że umrzesz... to znaczy, że to ciało, ten wtórnik z Dymnego Łowu, którym sterujesz za pomocą ziemskiej techniki, umrze, nim zdąży ci o tym powiedzieć osobiście.

- Serio? Musi wiedzieć coś, czego ja nie wiem.

- Jest wyjątkowo dobrze poinformowany.

Tłum się uspokoił. Markham dudniącym krokiem wszedł na Arenę.

- Lady Khlaylock! - zagrzmiał. - Gdzie twoja Proklamacja?

- Hmm... - mruknęła i pokiwała głową. - Wiedziałam, że tak będzie. -

Wyszła naprzeciw Sprawiedliwego i zwróciła się do niego i do tłumu: -

Mój panie, użyłam wszystkich tytułów, które zgodnie z prawem mi przysługują.

- Ale... - Markham zamrugał, jakby oślepiła go swoim blaskiem. - Jesteś przecież Pięścią Khryła!

- Już nie.

- Jesteś Jego Bojowniczką dłużej, niż wszyscy twoi poprzednicy przez ostatnie dwieście lat!

- Byłam. - Jej głos dźwięczał jak spiżowy dzwon. - Dzisiaj w południe ośmieliłam się zaatakować Uzbrojonego Wojownika i zostałam pokonana.

Straciłam więc wszelkie tytuły poza rangą zakonną i prawem do ziem stryja.

448

- Pokonana? - powtórzył oszołomiony Markham. - Ty?

- Tak właśnie powiedziałam. - W jej oczach błysnęła groźna skra, gdy delikatnie przeniosła ciężar ciała. - Śmiesz podawać w wątpliwość słowo Khlaylocka? Publicznie?

Sprawiedliwy zmartwiał.

- Sąd... To miało być spotkanie Pięści Khryła z...

- Nie interesuje mnie, czym miał być ten Sąd. Moją jedyną troską i troską każdego prawdziwego żołnierza Khryła jest dopilnowanie, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ni mniej, ni więcej.

Markham poczerwieniał po same cebulki włosów, a Angvasse wyminę-

ła go i stanąwszy naprzeciw Mistrzów Legend i zgromadzonych nad nimi w Piekło ogrillów, rozłożyła ręce.

- Wielu z was wierzyło, że Pan Bitew dowiedzie dzisiaj, iż zniewolenie ogrillów było i jest czymś chwalebny, lub że zaprzeczy tej tezie. Niektó-

rzy podawaliby w wątpliwość orzeczenie oparte na wyniku pojedynku wo-dza Czarnych Noży z Żywą Pięścią Khryła. Wynik ten pozostanie nieznan, ponieważ taki pojedynek się nie odbędzie. Ja nie jestem Bojowniczką Khryła, a ten stwór nie jest *kwatcharrem* Czarnych Noży.

Te słowa wywołały gniewny basowy pomruk zarówno zgromadzonych na dole ludzi, jak i

obserwujących ją z góry ogrillów. Uciszyła go, podnosząc dłoń.

- Czy muszę zabić lub zginać, aby dowieść prawdy znanej każdej żywej istocie, która się tu dziś znalazła? Czy muszę przelać krew w obronie zbrodni? Czy muszę kłaść na szali swoje umiejętności, życie i Siłę Khryła w służbie godnej pogardy sprawiedliwości? Gdyby Nasz Pan Bitew był

dziś wśród nas, zapłakałby ze wstydu na myśl o rzeczach, jakich dokonywano w Jego imieniu.

Oczy wyszły Markhamowi z orbit, żyły zagrały na szyi.

- Co ty robisz?!

- Mówię prawdę, tak jak przysięgałam. - W oczach barwy indygo groź-

ba zmieszała się z palącą pogardą. - A ty co robisz?

449

Markham okręcił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z Orbkiem.

- Powiedz, że jesteś *kwatcharrem*. Orbek zwiesił łeb.

- Powiedz!

- Jestem Orbek, *kwatcharr* Czarnych Noży.

Markham wzdrygnął się jak spoliczkowany.

- Słyszeliście. Khryl też słyszał.- Angvasse jednocześnie podniosła głos i głowę. - Wszyscy Rycerze Khryła w zasięgu głosu wiedzą, że Khryl słyszał to kłamstwo! Cokolwiek mieliście nadzieję dzisiaj tu zobaczyć, nie wydarzy się. Nigdy się nie wydarzy.

- Nie możesz tego zrobić - warknął Markham.

- Mogę. I robię.

- Czarny Nóż musi się ukorzyć przed Khrylem.

- To się nie zdarzy.

- Jak możesz tak mówić?

- Bojownik Khryła osobiście mnie o tym zapewnił, podobnie jak Czarny Nóż. Nie będzie ani kapitulacji, ani walki. Nigdy.

- „Zapewnił cię”?! Tylko ciebie, tak?

- Jeżeli uważasz, że zostałam wprowadzona w błąd albo źle go zrozumiałam, możesz sam go o to

zapytać.

- Kogo? O kim mówisz?

- Bojownik jest tylko jeden. - Przeszył ją dziwnie przyjemny dreszcz emocji (zaczynała rozumieć, dlaczego nowy Bojownik tak bardzo lubi te-atralne gesty) gdy wskazała mur oporowy pierwszej kondygnacji Piekła, bezpośrednio nad podwyższeniem, na którym zasiedli Mistrzowie Legendy. - Oto on.

Oczy wszystkich zwróciły się ku fasadzie Piekła. Rozległ się grzmot, w którym utonęły wszelkie inne dźwięki, i w momencie zapadła ciemność, jakby jakiś bóg zgasił słońce. Ślepy wstrząs trwał jednak tylko tyle czasu, ile trzeba na nabranie tchu w płuca, zanim mrok rozdarła zygzakowata kolumna błyskawicy, która wiła się w powietrzu, tańczyła, aż eksplodowała gro-mem... A kiedy ten przebrzmiał, w miejscu wskazanym przez Angvasse 450

stał (dymiący jeszcze po wściekłym wylądowaniu) szczupły szpakowaty mężczyzna z siwiejącą brodą, odziany w tunikę, spodnie i buty z poplamionej, wypłowiałej czarnej skóry. W rękach trzymał noże z czarnymi ostrzami.

- Przepraszam za spóźnienie - przemówił kpiącym, pogodnym tonem. -

Coś mnie ominęło?

- Co... ale... co... - jękał się Markham. - Nie możesz... To nie może być...

Orbek tylko stał i patrzył spode łba.

- Jedno trzeba Bojownikowi przyznać - mruknęła Angvasse. - Wie, co to znaczy dobre wejście.

\*\*\*

Wziął jeden krok rozbiegu i skoczył w przepaść. Wykonał eleganckie salto w powietrzu i z donośnym *buuum!* wylądował na podwyższeniu Mistrzów Legend.

- Cześć, chłopaki. Nie wstawajcie - powiedział. - Mówię serio: nie wstawajcie - powtórzył, gdy dwóch z nich próbowało zerwać się na nogi i sięgnąć po broń. - Nie zabiłem dzisiaj jeszcze żadnego porządnego człowieka. Nie bądźcie pierwsi.

Saltem w tył zeskoczył z podestu i wylądował na Arenie w przykłęku na jedno kolano, z pochyloną głową. Pozwolił sobie na trwającą sekundę refleksję, że potrafi być naprawdę rewelacyjny, jeśli ma się przed kim popi-sać.

Może wtedy, przed laty, Kollberg miał rację; może faktycznie jedyna moc, jakiej potrzebował, to moc gwiazdy.

- Szlachetni panowie - odezwał się z powagą. Kiedy wstał, karabinki kilkuset strażników były już wymierzone w przybliżeniu w jego kierunku.

Podniósł prawą rękę. - Lady Khlaylock! - Dwa ostatnie słowa zostały tak wzmocnione, jakby wykrzyczał je cały świat. Odbiły się echem od ściany Piekła i jak grzmot poniosły się po białych, kamiennych uliczkach Brodu 451

Purthina. - Kto jest Bojownikiem? Kto jest Żywą Pięścią Khryła?

Angvasse zrobiła krok w przód.

- Tyś jest, mój panie!

Stał i czekał, aż okrzyki niedowierzania i gniewu zaczną cichnąć.

- Jak się nazywam?

- Ludzie zwą cię Caine'em, mój panie!

Cisza spadła jak wielki głaz, zdolny zmiotć całe miasto.

- A jak brzmi moje pełne imię?

Angvasse Khlaylock przyklęknęła na jedno kolano.

Pomruk tłumu jak odległe trzęsienie ziemi.

- Bojowniku, mój panie, tyś jest Caine Czarny Nóż, *kwatcharr* ogrillów z Boedecken.

\*\*\*

W późniejszych latach powiadano, że ryk tłumów będących świadkami Proklamacji Caine'a narastał tak długo, aż rozsadził świat.

Była to oczywiście tylko metafora, poetycka przesada mająca podkreślić wagę wydarzenia. Z czasem słowa „to było jak druga Proklamacja Caine'a” coraz bardziej powszechniały jako określenie dowolnego kataklizmu, aż w końcu zaczęto je stosować na opisanie wszelkich głośnych - nawet nieko-niecznie dramatycznych - wypadków. Na przykład, podczas burzy z pioru-nami ktoś rzucał „No, Caine nam tu dziś niezłą Proklamację urządził”; ktoś inny, chcąc podkreślić swoją niezłomną determinację, twierdził „Choćby tu Caine wyskoczył z nową Proklamacją, ja zdania nie zmienię”. Z upływem czasu wyrażenie to coraz częściej nabierało szyderczego wydźwięku, stając się sarkastyczną hiperbolą na opisanie banalnych zdarzeń.

Ludzie (zwłaszcza pospolici i przesądni) powiadali również, że Proklamacja Caine'a strzaskała nie sam świat, lecz niebo ponad nim i piekło w dole, a ryk, który ją przywitał, nie pochodził wcale z gardeł ludzi i ogrillów, tylko był wyrazem strachu i rozpacz wszystkich bogów, aniołów i demonów, którzy wtedy pierwszy raz usłyszeli o Czarnym Nożu. I to, w 452

odróżnieniu od cytowanych wyżej przysłów i powiedzonek, nie była tylko metafora.

\*\*\*

Odczekał, aż zgiełk ucichnie.

A potem się odwrócił i powiódł wzrokiem po tłumie, powoli, jakby chciał wszystkim po kolei spojrzeć w oczy. Rzucił noże w dół; wbiły się w Arenę u jego stóp i zawibrowały. Rozsznurował tunikę, zdjął ją i przemó-

wił:

- Każdy mężczyzna i kobieta, każdy samiec i suka, którzy chcieliby mi odmówić prawa do któregośkolwiek z tych tytułów, niech wystąpią i ustawią się w kolejce. Chcę policzyć, ilu ludzi mam dziś do zabicia.

Półnagi, z obnażoną siatką blizn, podszedł do miejsca, w którym Markham i Orbek stali, a Angvasse klęczała.

Angvasse pochyliła głowę.

- Bojowniku, mój panie.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Dobry wieczór, lady Khlaylock. Miło cię widzieć. Wstań.

Mimo że wcale nie podnosił głosu, jego słowa zadudniły nad całym Polem Bitwy.

- Kierendał, pierdolona... - mruknął pod nosem Orbek. - Mogłem się te-go spodziewać. Elficki kurwiszon... Sprzedała mnie!

- Nikt nikogo nie sprzedał, piesku. Stul pysk i siadaj.

- Nie słucham twoich rozkazów. Już nie.

- Tak po prostu?

- Przecież wiesz.

- Jak chcesz. - Rozejrzał się. - Ktoś jeszcze?

Nikt się nie wyrywał.

- No dalej, na pewno jest wśród was jakiś posrany półmózg, któremu się wydaje, że mi podskoczy.

- Ja ci podskoczę, pierdolcu - warknął Orbek.

- To prawda, ale ty nie jesteś posranym półmózgiem.

Markham poczerwieniał, jego rysy stężały. Przeszedł na środek Areny.

- Jestem Markham Tarkanen z Brodu Purthina, Sprawiedliwy Zakonu Khryła. Twierdzę, iż rzekomy Caine Czarny Nóż nie jest Bojownikiem Khryła, nigdy nie był Bojownikiem Khryła i nigdy nie będzie Bojownikiem Khryła. Jeżeli ktoś poda moje słowa w wątpliwość, podejmę się udowodnienia ich prawdziwości na jego ciele, tu i teraz.

- O tym właśnie mówiłem. Dzięki, Markham. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wiedziałem, że będę musiał zabić dziś jakiegoś Rycerza. Cieszę się, że padło na ciebie.

- Raz cię już pokonałem.

- Z zaskoczenia, Rycerzu Tchórzliwy, Rycerzu Odstępco, chuj ci w dupę. Jeżeli dzisiaj podniesiesz na mnie rękę, przypalę ci to rycerskie dupsko jak tanie cygarko. Tu i teraz. Uwierz mi.

Sprawiedliwy położył dłoń w pancernej rękawicy na okrytej lśniąca płytą piersi.

- Mam zdjąć pancerz?

- Nikt cię tu nie chce oglądać na golasa.

- Doskonale. - Markham włożył hełm. - Wybierz broń.

- Mam przy sobie całą broń, jakiej potrzebuję. To ty weź, co chcesz.

Markham podszedł do podwyższenia Mistrzów Legend. Jeden z nich podał mu morgensztern.

- Jak sobie życzysz.

- Wiecie co? Mam pomysł: Orbek, tobie się chyba wydaje, że mógłbyś mi wygarbować skórę i zostać Czarnym Nożem, prawda?

- Wiesz, że mógłbym, ludzki kutasku.

- A tobie, Markhamie, wydaje się, że jak mi sklepiesz maskę, zostaniesz Bojownikiem?

- Jeżeli taka będzie wola Khryła.

- Jasne. Mam inną propozycję: ja spuszczę manto wam obu jednocześnie.

Co wy na to? Robi się późno, a ja mam jeszcze huk roboty.

Orbeka również poczerwieniał, spochmurniał i zmrużył podejrzliwie ślepią.

- Co to za nowa sztuczka, niedojebańcu?

- Możesz się bardzo łatwo przekonać. - Wyjął oba noże wbite w powierzchnię Areny i od niechcenia rzucił je Orbekowi pod nogi. - Co ty na to? Myślisz, że to tylko taka bajeczka, co? Ogrillo z czarnymi nożami i Rycerz z morgenszternem w garści, a naprzeciwko was dwóch tylko jeden facet z jajami. Tak sobie myślę, że jak już zabiję was obu, to inni zamkną ryje.

Orbek podniósł noże i zważył je w rękach.

- Gdzie twoja broń?

- Na pewno coś sobie znajdę. O ile będzie taka potrzeba.

- To jakiś absurd. - Markham odwrócił się do Mistrzów Legend. - Ten człowiek kpi sobie z Sądu Khryła.

- Sąd Khryła od początku był kpina.

- To bezprecedensowe...

- Oczywiście. W przeciwieństwie do tego, że klasztorny zabójca został

Bojownikiem Kryła, bo to się zdarza regularnie. No dalej, suczki, czego się boicie? Przegranej? Czy zwycięstwa? Bo wiecie, jeśli wygracie, to ty zostaniesz Bojownikiem, a ty *kwatcharrem* i będziecie musiały, drogie pa-nienki, odegrać tu tę swoją pokazową bitwę na poduszki.

Orbek przekrzywił głowę w jedną stronę, potem w drugą. Trzask krę-

gów zabrzmiał jak werbel.

- Jeśli Suki Khryła są gotowe, Czarne Noże są gotowe.

Oczywiście, Mistrzowie Legend nie rwali się do bitki - oni byli od za-chowywania godności, przestrzegania tradycji i pilnowania zasad. Ale kiedy w szczelinach hełmu Markhama błysnęły złowieszcze ogniki, wiedział

już, co musi zrobić.

Poza tym tłum i tak nie usłyszałby ani słowa z przemowy Mistrzów Legend.

- Jestem *kwatcharrem*! - warknął pod adresem Orbeka - i twierdzę, że powstrzymanie się od walki jest jak kapitulacja! - Odwrócił się do 455

Markhama. - Jestem Bojownikiem Khryła i ogłaszam, że zawahanie Rycerza Tarkanena dowodzi tego samego tchórzostwa, za które zabiłem Purthina Khlaylocka!

Kiedy te słowa przetoczyły się nad Polem Bitwy, nie było nikogo, kto nie zerwałby się na równe

nogi, nie krzyczał i nie żądał krwi.

Wyszedł na środek Areny, stanął dokładnie pomiędzy Orbekiem i Mar-khamem i rozłożył ręce.

- Zaczynamy - powiedział.

Markham opuścił głowę, ryknął „Na chwałę Khryla!” i zaszarżował.

Orbek ryknął bez słów i zaszarżował dwa razy szybciej. Stojący w pół drogi między nimi Caine Czarny Nóż wypowiedział tylko jedno słowo:

- Angvasse.

Z nadnaturalną szybkością była Bojowniczką Khryla sięgnęła prawą ręką

pod tunikę na plecach, gdzie na wysokości krzyża miała przymocowaną kaburę.

Noże w rękach Orbeka eksplodowały białym ogniem, jak wykute z termitu, zbyt gorące, żeby zmysły zdążyły zarejestrować to wrażenie jako ciepło. Orbek stęknął, zatoczył się i rozpaczliwie strzepnął dłońmi, usiłując pozbyć się noży, ale metal zdążył mu się wezreć w skórę, ciało i kość. Potknął się o własne nogi, runął jak długi i tarzał się po arenie, próbując ugasić nienasycone płomienie.

- *Tahhonnall!*- wrzasnął Markham.

Upiorny niebieski płomień rozlał się po jego pancerzu, a sam Rycerz trzykrotnie zwiększył prędkość, stając się śmiertelnie pociskiem, które

ry z całą pewnością rozerwałby Caine'a na krwawe strzępki i rozsmarował

po całym Brodzie Purthina - gdyby nie sam Caine, który zręcznie złapał

rzucony przez Angvasse wielgachny czarny pistolet i wstrzelił dwa kompozytowe rozdzieracze prościutko w oczy Markhama.

Pociski nie przebiły tylnej powierzchni hełmu Sprawiedliwego, toteż kiedy jego trup upadł na brzuch i przeszorował po Arenie, zostawił po sobie smugę krwawego puddingu z resztek twarzy, mózgu i kości czaszki.

456

Caine usunął się mu z drogi. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jezu, jak pięknie jest czasem odwalić jakiś dobry numer...

- Orbek.

- Co je...

Oszołomiony ogrillo zdążył się dźwignąć na kolana i wetknąć stojące w ogniu dłonie pod (również już płonące) pachy. Rozdziawił pysk.

- Tak wygląda dobrze zrobiona strzelanina, piesku. Może powinieneś robić notatki?

- Kurwa, ty skurwielu! I ty mi, kurwa, mówisz, że chujowo strzelasz, pokurwieńcu jeden?!

- Uwierzyłeś mi? Ha! Chyba jednak umiem zagrać to i owo. - Caine po-kręcił głową i parsknął śmiechem. - Przywitaj ode mnie Tannera - dodał i strzelił Orbekowi w twarz.

Trafiona kompozytem głowa Orbeka odskoczyła w tył, zanim ogrillo przewrócił się i znieruchomiał, płonąc. Od jego ciała zajęła się reszta Areny.

Caine odrzucił pistolet, nie patrząc, gdzie spadnie.

- A trzy pociski wystarczą aż nadto.

Tłum ucichł tak niespodziewanie, że przez kilka sekund dało się usłyszeć świergot ptaków i cichy chłopot fal Drogi Caine'a. Wrócił na środek płonącej Areny rozłożył szeroko ręce i krzyknął, ile sił w (pokaźnych) płu-cach, a magia Kierendał dodatkowo wzmocniła jego głos:

- Czy ktoś PRZEGAPIŁ to, co się przed chwilą wydarzyło?! Może ko-muś trzeba coś WYJAŚNIĆ?!

Nikt nie zgłosił wątpliwości. Mistrzowie Legend spierali się chyba o to, czego życzy sobie Khryl. Dwustu strażników nerwowo majstrowało przy karabinkach i wywijało nimi na wszystkie strony, próbując jednocześnie mieć na oku tłum i celować w Caine'a.

No dobrze.

- Kiedy stałem tu dwadzieścia pięć lat temu, powiedziałem Czarnym Nożom, że to miejsce należy DO MNIE. Powiedziałem, że jeżeli tu zostaną, 457

czeka je ŚMIERĆ. Powiedziałem, że ich suki będą WYĆ, a szczenięta WYZDYCHAJĄ Z GŁODU. Że to miejsce jest dla nich PIEKŁEM. Niektórzy z was byli tu wtedy i mnie słyszeli, a znacznie więcej z was zna kogoś, kto był i słyszał. Czy KŁAMAŁEM? MYLIŁEM SIĘ? A może ŻARTOWAŁEM?

Od ryku, który mu odpowiedział, powierzchnia areny zadrżała jak membrana bębna.

- Czym jest moje SŁOWO? Czy jest FAŁSZYWE? Czy jest PUSTE?

Tym razem odpowiedź miała słowa, miała rytm, przypominała śpiew.

- Słowo Skórołaza jest PRAWEM! Słowo Skórołaza jest PRAWEM!

Uśmiechnął się. Oto cała Kaiggez. Świetna robota. Mistrzowie Legend osiągnęli chyba jakiś konsensus, bo nagle wstali z miejsc, zaczęli wkładać hełmy i sięgać po broń. Uniósł rękę. Zaśpiew

ucichł.

- Wtedy ostrzegałem Czarne Noże. Dziś ostrzegam ŻOŁNIERZY

KHRYLA. To nie jest POLE BITWY. To nie jest BRÓD PURTHINA. To miejsce należy DO MNIE.

Zrobił pół oddechu przerwy. Dla lepszego efektu.

- Do kogo należy TO MIEJSCE?

Odpowiedź z dwustu tysięcy gardzieli:

- DO CIEBIE!

- KIM JESTEM?

- Jesteś SKÓROŁAZEM!

- Jak brzmi moje IMIĘ?

- CAINE!

- Jak brzmi moje IMIĘ?

- CAINE!

- JAK BRZMI MOJE IMIĘ?

- CAINE! - Teraz ryk gawiedzi rzeczywiście brzmiał tak, jakby mógł

rozsadzić świat. - CAINE CZARNY NÓŻ!

- JESTEM CAINE CZARNY NÓŻ!

- CAINE CZARNY NÓŻ!

458

- Jestem CAINE CZARNY NÓŻ i powiadam wam... to jest NASZE

MIEJSCE!

Piekło eksplodowało huraganem triumfalnego gniewu.

Angvasse spojrzała mu w oczy i poruszyła bezgłośnie ustami: „Nieźle”.

\*\*\*

W huragan triumfalnego gniewu rzuciło się sześciu Mistrzów Legend.

Ich równoczesny skok na Arenę zabrzmiał tak, jakby eksplodował kontynent. Uciszył miasto.

Jeden z Mistrzów wystąpił naprzód.

- Ta... potworność... właśnie się kończy. Poddajcie się oboje, do czasu, aż zdecydujemy, jak najlepiej odczynić ten koszmar.

- Koszmar, tak? A wiecie, że kiedy Czarne Noże rozmawiają o spotkaniu ze mną, też używają tego słowa? Koszmar. - Wyszczrzył zęby. - Może wy będziecie mieli więcej szczęścia.

Pozostali Mistrzowie Legend zaczęli rozstawiać się na obwodzie Areny.

Ich rzecznik mówił dalej:

- Celuje w was tysiąc karabinów. Wystarczy jedno moje słowo i sam Khryl nie rozpozna waszych ciał.

- Khryl rozpoznaje swoich - odparła smutno Angvasse. - Ale ty do nich nie należysz.

Mistrz Legend podniósł pancerną pięść.

- Strażnicy! Cel!

- Jest dokładnie tak, jak powiedział Bojownik Khryla. Zawładnięcie Polem Bitwy przyniosło nam hańbę i na wieki splamiło imię Naszego Pana Bitew.

Caine się uśmiechnął.

- Ten wasz Pan Bitew to cieć i frajer. Zróbcie go lepiej patronem miło-

ści, światła i tym podobnych głupotek. Może wtedy Zakon Khryla będzie zdolny do czegoś lepszego niż trzymanie niewolników i zabijanie ludzi.

459

- Sam powiedziałaś, że, by mieć lepszych bogów, musimy być lepszymi ludźmi.

- Fakt. - Przeniósł wzrok na Mistrza Legend. - Chcesz nas rozstrzelać, gnoju? Proszę bardzo. Tylko najpierw chcę coś powiedzieć.

- Mianowicie? Caine rozłożył ręce.

- Ostrzegałem was. Wszystkich.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

- W takim razie poddaj się. Uklęknij, a przeżyjesz.

Spojrzeni po sobie z Angvasse.

- Bracia - powiedziała. - Do końca.

- I siostry. - Uśmiechnął się. - A to jeszcze nie koniec.

- Poddajcie się!

- Pierdol się.

Mistrz Legend opuścił pancerną pięść.

- Ognia!

I rzeczywiście, doczekał się ognia.

Z całej Areny wytrysnął grzmiący słup białego płomienia. Strażnicy na balkonach Iglicy walili salwami; kilku Mistrzów Legend zdołało się wyto-czyć z ognia w rozpalonych do czerwoności pancerzach. W tej samej chwili, gdy Mistrz Legend wydał rozkaz, Angvasse wykrzyknęła „*Tahhonall!*”,

zgarnęła Caine'a w ramiona, rzuciła się do łańcucha, na którym zjechała na Arenę i wyprysnęła w powietrze na kolumnie upiornego niebieskiego ognia.

Złapała łańcuch. Wysoko nad urwiskiem przeciwwaga opadła gwałtownie i oboje pofrunęli w górę w gradzie kul jak wystrzeleni z armaty. Pociski nie robiły wielkiego wrażenia na Angvasse, która owinęła sobie nadgarstek pętlą z łańcucha, żeby przypadkiem nie spadli, gdyby straciła przytomność.

Miłość Khryła podtrzymywała ją i błyskawicznie odnawiała rozdarte kulami ciało. Kiedy zaś oberwał Caine, mełł w zębach przekleństwo - głównie z przyzwyczajenia, ponieważ moc płynącego mu w żyłach czarnego oleju 460

w mgnieniu oka unicestwiała pociski. Kłopot w tym, że oparzenia od oleju bolały bardziej niż rany od kul, a skórzane ubranie płonęło wszędzie tam, gdzie nie zostało zdarte ognistym podmuchem.

- Na pewno są jakieś lepsze sposoby! - wydarła się Angvasse, przekrzy-kując wiatr.

Objął ją mocniej i przytknął usta do jej ucha.

- O co ci chodzi? Źle się bawisz?

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ 9

### JEBAĆ BOGA

BOGA SIĘ BÓJ

I PRZYKAZAŃ JEGO PRZESTRZEGAJ,

BO CAŁY W TYM CZŁOWIEK!\*

- KSIĘGA KOHELETA, 12:13

\* CYTAT ZA BIBLIĄ TYSIĄCLECIA.

- Równie dobrze mógłbyś tu zstąpić osobiście - mówi Caine do nieba wypełnionego Twarzą. - Serio mówię. Znasz mnie. Krzywda, którą chcę ci wyrządzić, już się dokonała.

### ***JAK MOGLIBYŚMY UWIERZYĆ TWOIM SŁOWOM?***

- Jezu... A możesz nie uwierzyć? Zresztą, źle wyglądasz, kiedy zajmujesz całe niebo. Te kłaki w nosie... Poza tym, kurna, naprawdę, gościu, powinieneś czasem użyć nici dentystycznej. Ohyda.

### ***ZWABIŁEŚ NAS TUTAJ, BY URZĄDZAĆ SOBIE TAKIE SZCZE-***

### ***NIACKIE KPINY?***

462

- Nie, no co ty, szczeniackie kpiny to tylko moja prywatna rozrywka.

Mam prawdziwy powód. Pamiętasz popołudnie tego dnia, kiedy zjaraliśmy Kosall?

### ***ŻYWO I WYRAŹNIE.***

- Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem?

### ***KONWERSOWALIŚMY DOSYĆ DŁUGO, NA RÓŻNE TEMATY.***

- Wiesz, gdybym chciał, mógłbym tu przywołać tamten obraz; wszyscy byśmy sobie popatrzyli. Ale to nie jest najważniejsze. Mówiłeś wtedy, że jesteś moim przyjacielem.

# **BO JESTEM.**

- Super. A pamiętasz, co ci odpowiedziałem? Że ja nie jestem twoim.

Zabiłeś mi żonę, skurwysynu. Skrzywdziłeś moją córkę.

***DZIĘKI TEMU OCALILIŚMY ŚWIAT.***

- No proszę... Więc jednak pamiętasz. Powiedziałem też tak: „Możesz ocalić cały ten pierdolony wszechświat, ale ja ci nie wybaczę. Nie obchodzi mnie, czy jesteś Bogiem. Pewnego dnia i tak cię wydymam”. Pamiętasz?

## **NATURALNIE.**

- Ten dzień właśnie nadszedł.

## ***JESTEŚ SZALONY.***

- I jeszcze nienormalny na dodatek. Odczyliłem twoje nieucieleśnione dupsko. Witaj w nowym życiu po życiu.

## ***CO TAKIEGO?***

- A wiesz, co jest najzabawniejsze? Że nie zrobiłem tego umyślnie. Po prostu kiedy się zorientowałem, co jest grane, nie próbowałem tego powstrzymać. To nawet w moim stylu, można by powiedzieć.

## ***COKOLWIEK ZROBIŁEŚ, MOŻNA COFNAĆ. WYSTARCZY CIENÍ***

## ***NASZEGO ZAMIARU, ABY WSZYSTKO, CO ODCZYNIŁEŚ, WYDA- RZYŁO SIĘ PONOWNIE.***

- Być może. Tylko że chwilowo jesteś tu... uwiązany, że tak powiem.

Kiedy wyciągnę ten miecz... kiedy Duncan uzna, że mogę go wyciągnąć, rozwiejesz się jak pierdnięcie sikorki.

463

## ***COŚ CIĘ JEDNAK POWSTRZYMUJE. TAKIE CHEŁPIENIE SIĘ***

# TRIUMFEM... TO DO CIEBIE NIEPODOBNE.

Caine kiwa głową.

- To wcale nie jest takie fajne, jak się spodziewałem.

***DLACZEGO ODWLEKASZ NIEUNIKNIONE?***

- Bo jest mi przykro.

Twarz, która jest niebem, nie odpowiada.

- Ma'elKoth, do diabła, zejź tu do mnie. Bądź znów mężczyzną. Chociaż przez chwilę. Chcę cię przeprosić. Osobiście. Twarzą w twarz. Proszę cię, przez wzgląd na przyjaźń, która mogła nas połączyć.

- Zatem jestem z tobą, Caine.

I rzeczywiście, jest.

\*\*\*

Obleczonego w niemal słoneczny majestat Boga nie sposób oglądać śmiertelnymi oczyma. Nawet kiedy Duncan zasłania oczy obiema rękami, postać Boga pali go w oczy i wyciska tchnienie z piersi.

- Kurwa, przestań!

Teraz następuje jakiś wątek poboczny, który Duncan nie bardzo może śledzić, bo nie słyszy zbyt wyraźnie; jest tam coś o Mieczu, o końskiej wiedźmie i o nim samym. W końcu Jego Wściekła Wysokość przechodzi przez niego i za niego i znów może oddychać. Odślania twarz i, mrużąc ostrożnie oczy, dostrzega w pewnej odległości siedzącą na trawie dobrze znaną postać: to Tan'elKoth, ubrany jak przeciętny Rzemieślnik z Ziemi w koszulę z krawatem, gładko ogolony, z gęstymi włosami związanym w konserwatywny kucyk. Obok niego stoi Caine. Razem wpatrują się w dal.

Mimo że znajdują się dość daleko i rozmawiają półgłosem, Duncan wie, co mówią.

- Chciałbym, żeby wszystko ułożyło się inaczej - mówi właśnie Caine. -

Sam chciałbym być inny.

Ma'elKoth jakby go nie słyszał.

464

- Co się zmieniło? - pyta.

- We mnie? W tym, co nas łączy?

Ma'elKoth wzrusza obojętnie ramionami i odwraca wzrok.

Caine wzdycha i siada obok niego.

- Dużo myślę, po prostu. Miałeś rację wtedy w Katedrze: obaj zrobiliśmy to, co było konieczne, żeby chronić tych, których najbardziej kochaliśmy.

- Wtedy niezbyt ci się ta myśl spodobała.

- Byłem zły.

- A teraz nie jesteś?

- Wiesz, że jestem, ale... Sam nie wiem. Większość złych rzeczy, które zrobiłeś, przynajmniej po części wynikała z czegoś, co ja zrobiłem wcz-

ściej. Ale to nie to, nie w tym rzecz. Trudno mi o tym mówić.

- Nigdy nie miałeś kłopotu z wysławianiem się. Często tego żałowałem.

- Dobra, sam chciałeś. W klasztornej Skarbcu w Ciernistej Rozpadlinie mają co najmniej jeden egzemplarz *Historii Cainea*, w której naprawdę jestem synem kowala z Patliqui, czyli takiej, w której mój zmyślony rodowód jest prawdziwy; później w jakiś sposób został odczyniony i przetrwał

już tylko jako fikcja literacka. Nie wiem, jak to się stało ani dlaczego, ale to w gruncie rzeczy bez znaczenia. Zacząłem się zastanawiać, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie był Aktorem, rozumiesz, tylko naprawdę tym, kogo udaję.

- Myślisz, że bardzo by się zmieniło?

- Nie wiem. Za to jestem absolutnie pewny, że twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Ma'elKoth popada w zadumę.

- Mówię poważnie. Nie zostałbyś uprowadzony na Ziemię, historia obu światów by się zmieniła, a to jeszcze wcale nie koniec.

Gdybym nie był Aktorem, tylko prawdziwym Dominikiem, synem kowala, prawdziwym Caine'em, to znalazłbyś mnie, kiedy zacząłbyś szukać. I to ja, a nie Berne, mógłbym być twoim wiernym łamignatem. Pomyśl tylko, 465

ile by nam to oszczędziło... Kurczę, gdybym był bardziej odpowiedzialny, no i łatwiejszy do

znalezienia, Hannto mógłby uznać, że wcale nie potrzebuje Berne'a do tej sprawy z DaTkannithem.

- Uważasz, że ten hipotetyczny żywot byłby wspanialszy od tego, który dzieliliśmy?

- Wspanialszy to raczej nie, ale... Spokojniejszy? Szczęśliwszy? Mniej katastroficzny? Założyłbym się, że tak.

Ma'elKoth reaguje poważnym skinieniem głowy.

- W rzeczy samej.

- W dodatku... - Teraz to Caine odwraca wzrok. - Stało się coś, co sprawiło, że cię zrozumiałem. Naprawdę zrozumiałem. Pojąłem, dlaczego sta-

łeś się tym, czym jesteś.

- Byłem.

- Fakt. Teraz to rozumiem. Rozumiem cię.

- Ja natomiast nie rozumiem, dlaczego postanowiłeś mi o tym powiedzieć.

- Pokażę ci. Wszystkim wam pokażę. - Caine wstaje i wraca do pozosta-

łych. - To, co za chwilę zobaczycie, wszystko wyjaśnia. Nie dowiecie się, dlaczego to wszystko się zaczęło ani kiedy... Ale dowiecie się, jak ja się zacząłem. Bójki, zabójstwa, podstępny, moja kariera... co tam kariera, całe moje życie nic bez tego nie znaczy. Kiedyś mawiałem, że „dlaczego” jest głównie warte, bo wystarczy żyć i uczyć się na błędach, ale to, co tu mam...

to właśnie jest dlaczego.

## **KOŃSKA WIEDZMA 4**

### **KOŃSKI CZAS**

**CZASAMI ZJEDZENIE JABŁKA POTRAFI WYPEŁNIĆ CAŁY DZIEŃ.**

- *KOŃSKA WIEDZMA CZASAMI*

Obudził się o zmierzchu wśród drzew i kamieni. Gdzieś niedaleko - ale i nie blisko - rozbrzmiewał cichy szmer spadającej wody. Teren wznosił się ze wszystkich stron. Wysoko w górze obramowane spieczonymi słońcem skałami indygowo niebo mieniło się gwiazdami.

Zatem: wąwóz.

Pamiętał, jak wchodził do wąwozu, nie był jednak pewien, czy to ten sam. Tamten tak się wił, kręcił i zapętlał, że całkiem zatracił w nim wszelkie poczucie kierunku i nie wiedział już, gdzie jest północ,

gdzie południe, wschód i zachód. Nie przejmował się tym; kierunki na kompasie i tak są na wpół wyimaginowane, a użyteczne głównie dla tych, którzy nie znają drogi. A tutaj mógł iść tylko w tę stronę albo w tamtą, w górę albo w dół. I to wystarczało.

Ocknął się ze świadomością, że nie śpi, lecz idzie. Nie był pewien, od jak dawna i z jak daleka, ale tak samo nie był pewien, czy ma to jakieś 467

znaczenie. Nie był również pewien, dlaczego teraz idzie w pełni świadomie, a do niedawna szedł w jakimś innym stanie.

Wyszedł zza ostrego zakrętu i wtedy ją zobaczył. Siedziała przy obudowanym ziemią ognisku, na płaskiej łączce wypełniającej długie, łagodne zakole rzeki. Towarzyszyły jej dwa konie. Jeden spokojnie skubał trawę, drugi, większy, zwiesił łeb i zarżał, jakby mówił „Widzę cię i wcale się nie boję”. Rozpoznał młodego ogiera, za którym szli z ogrillem na południe.

- Lubi cię - powiedziała kobieta przy ognisku.

- Tak?

- Chce wiedzieć, czy i ty go lubisz. Pyta, czy chcesz, żeby był twój.

Prosi mnie, żebym o to zapytała, bo ty nie znasz końskiego.

Zatrzymał się po drugiej stronie ogniska i usiadł na trawie.

- Będę się musiał zastanowić.

Pokiwała głową.

- To poważna sprawa.

- Rozumiem.

- Lubi cię, ponieważ jesteś silny i groźny; inni ludzie się ciebie boją i robią, co im każesz. Uważa, że we dwóch będziecie wiatrem. Będziecie się śmiać z płotów, łańcuchów i zamkowych murów. Uważa, że razem będziecie błyskawicą; ludzie będą drzeć, zasłaniać twarze i modlić się, żebyście ich oszczędzili.

- Brzmi dramatycznie.

- Jest bardzo młody. I bardzo męski. - Uśmiechnęła się. - A ty o czym marzyłeś, kiedy stawałeś się mężczyzną?

Nie mógł się nie uśmiechnąć w odpowiedzi.

- Dobra, dobra. Rozumiem.

- Poza tym, i to jest bardzo ważne, lubi cię, bo ja cię lubię. Uważa, że jestem bardzo mądra i umiem zagłębiać się głęboko w serca.

- Ja też w to poniekąd wierzę.

- Ponieważ ja cię lubię, wierzy, że jest w tobie coś więcej niż siła i groźność. Wierzy, że możesz być delikatny i łagodny, i że się o niego 468

z troszczysz. Wierzy, że wiesz, co znaczy kochać i być kochanym.

Musiał odwrócić wzrok.

- Jest młody i ma głowę pełną niezwykłych fantazji; jego serce mieści więcej snów niż rzeczywistości. Tacy młodzi są delikatni. Jeżeli zgodzisz się, żeby był twoim koniem, złożysz świętą przysięgę nam obojemu, mnie i jemu, że nie pomylił się co do ciebie. Że ja się nie pomyliłam.

- Właśnie dlatego muszę to przemyśleć - odparł głosem niewiele gło-

śniejszym od szeptu. - To bardzo intensywny związek.

- Są konie, które przeżywają całe życie bez troski i radośnie, które ba-wią się ze swoim stadem, którym nie przeszkadzają niedoskonałości jeźdź-

ców, choćby było ich bardzo wielu. Wiele koni, właściwie nawet większość, nie potrzebuje jednego konkretnego człowieka, którego obdarzą przywiązaniem i ufnością. - Spojrzała mu w oczy ponad ogniskiem. - Takie konie nie dołączają do wiedźmiego stada.

Podciągnął kolana i objął je ramionami.

- Z ludźmi właściwie jest tak samo, prawda?

- Czekałam, aż to zrozumiesz.

Na jakiś czas umilkli oboje i tylko trzask ognia i szmer rzeki przemawiały w ich imieniu. Szum wiatru, rechot żab, metodyczne *skub, skub* za-dowolonej z życia klaczy.

- Te dźwięki, rzeka, żaby, trawa... Głównie trawa. Kiedy słyszę, jak je trawę...

- To uspokaja - powiedziała. Powoli. Cicho.

- Lepiej niż środek nasenny.

- Nawet całkiem przeciętny koń ma zmysły sto razy bardziej wyostrzone niż człowiek. Na konie się poluje. Strach wypełnia całe ich życie.

Wzrok, węch, słuch. To dzięki nim mogą przetrwać. A konie z wiedźmiego stada mają zmysły sto razy czulsze. Nauczyły się, że zwykły strach to za mało. Koń może jeść, kiedy się boi... ale nie

powoli. Nie w równym rytmie.

Nasi przodkowie od ponad stu tysięcy lat wiedzą, że spokojnie skubiący trawę koń oznacza bezpieczeństwo.

469

- Kiedyś byłaś mniej rozmowna.

Wzruszyła ramionami.

- Żyjesz słowami. Nie rozumiesz czegoś, dopóki nie zostanie to wyja-

śnione - tobie albo przez ciebie.

- Każdy tak ma.

- Ja nie.

- Ale ty jesteś końską wiedźmą.

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech rozgrzał go jak pocałunek ognia. Obejrzał się na młodego rumaka.

- Pieprzona trawa. Gdybym o tym wiedział dawno temu...

- Gdybyś o tym wiedział dawno temu, byłbyś kimś innym.

- Lepszym?

- Innym.

- Ale mimo wszystko... trawa. Po prostu trawa.

- Jedzenie ma wielką moc. Dzielenie jedzenia jeszcze większą. Masz. -

Rzuciła mu marchewkę, którą musiała wydobyć z tego samego nie-miejsca, w którym trzymała noże, pilniki i lekarstwa. - Weź gryza. Albo dwa.

Posłuchał jej. Marchew była idealna: słodka, krucha, z lekką ziemną nutą. Uśmiechnął się.

- Daj mu resztę.

Podniósł głowę i stwierdził, że ogier ostrożnie skrada się za jego plecami, bokiem, obserwując go z ukosa. Podał mu resztę marchewki na otwartej dłoni. Koń poważnie, oficjalnie, z godnością przyjął przysmak i zaczął

gryźć. Człowiek też żuł. Przyglądali się sobie nawzajem. Ogier przez chwilę wpatrywał się natarczywie w człowieka, chcąc się upewnić, czy dalsze marchewki nie pojawią się przez

zaskoczenie nie wiadomo skąd, a kiedy stwierdził, że jednak nie, odwrócił się i dołączył do skubiącej trawę klaczy.

- Właśnie go uszczęśliwiłeś.

- Raczej on mnie.

- Jeżeli będziesz z nim, to cokolwiek jego uszczęśliwi, uszczęśliwi i ciebie. Jeśli ty będziesz z czegoś dumny, on również. W krainach 470

południowych, od Koru po Yalitrayyę, mądre kobiety powiadają, że twój koń jest tobą, tylko bez twojego imienia.

- To jak magia.

- Bo to jest magia. Dobra magia. Taka, która nikogo nie krzywdzi.

Stwierdził, że jest głodny. Zerknął na ognisko i zobaczył zawieszony nad nim dwa rożny, na których piekły się udka i tuszka jakiegoś małego zwierzęcia, zapewne zająca. Obok wisiał całkiem okazały kociołek bez pokrywki, w którym gotowała się gęsta mamałyga z fasoli i jęczmienia.

- To zawsze tu było?

- Tak.

- Zawsze, czyli przed moim przybyciem, czy zawsze jak, no wiesz...

zawsze?

Wzruszyła ramionami.

- Ładnie pachnie - dodał, bo naprawdę ładnie pachniało.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

- Kiedy będzie gotowe?

- A kiedy chciałbyś zjeść?

Rozejrzał się. O zmierzchu kamienie, drzewa, trawa i rzeka jakby ożywały, zmienne i wieczne jednocześnie. Trawa pachniała jak świeże siano po deszczu. Nad rzeką otwierały się nocne kwiaty, woda niosła ich delikatny, przyjemny zapach.

Zatarł dłonie i spojrzał spode łba na stwardniały pod paznokciami brud.

Nagle uświadomił sobie, że ubranie ma wytłuszczone i sztywne od potu.

Ależ musiał śmierdzieć!

- Poczekasz, aż się wykapię? Może zrobię przepierkę...

- Jeżeli mięso zacznie się przypalać, pokroję je, wrzucę do garnka i zrobię gulasz. A jeśli jesteś zbyt zmęczony, żeby jeść teraz, rano na pewno będzie jeszcze ciepły.

Chciał wstać, ale ciężar leżący mu na sercu przytrzymał go w pozycji klęczącej, na jednym kolanie.

- Od dawna tu jestem?

- Odkąd przyszedłeś.

471

- Nie o to... Mam wrażenie, że minęło dużo czasu. I zarazem niedużo.

Tymczasem światło się nie zmienia...

- Dlatego lubię wąwozy. Wydaje się, że zmierzch trwa tu wiecznie.

Świt również.

Znów pokiwał głową.

- Wszystko trwa tyle, ile trwa. Ile musi trwać. Koński czas.

Jej sarnie oko błysnęło.

- Wolę moje porównanie z jabłkiem.

- Ja chyba też. - Znów spróbował wstać i znów ugiął się pod brzemieniem przewyższającym jego siły. - Mam wrażenie, że długo tu szedłem.

Przebyłem szmat drogi.

- Szedłeś trzy, może cztery dni. Chyba że bardzo szybko chodzisz.

- Nie, miałem raczej na myśli... dwadzieścia pięć lat. Więcej. Całe życie.

- A od kiedy to ja jestem dosłowna, a ty mówisz metaforami? Nie powinno być odwrotnie?

- Teraz się ze mną droczysz.

- Troszeczkę. - Uśmiechnęła się czule. - Ze sobą też.

\*\*\*

Jakiś czas potem znów postanowił się odezwać.

- Szkoda... - Pokręcił głową. - Szkoda, że nie spotkaliśmy się dawno temu. Może wtedy wszystko byłoby inne.
- Spotkaliśmy się dawno temu. I wszystko jest inne.
- Nie to miałem na myśli.
- Ależ tak. Po prostu jeszcze o tym nie wiesz. Zrobił zbolaną minę.
- Wystarczy, dobra? Dość tych gnomicznych aforyzmów.
- Gnomicznych aforyzmów! - Roześmiała się z zachwytem. - To mi się podoba.
- Nie, po prostu przestań. Mówię poważnie.
- Podejdz do tego z powagą i determinacją, a zje cię żywcem. A nawet nie ma ostrych zębów.

472

- O czym *ty* mówisz, do diabła?
- W tym świecie zostały uwolnione moce, przez które przyszłość staje się bardziej szalona niż koszmar wariata, a przeszłość mniej ważna niż słowa, które mógłbyś nakreślić palcem na powierzchni tej rzeki.
- Prawdę mówiąc... - Zmarszczył brwi. - Tak, właśnie o to mi chodzi.

Skąd ty wiesz takie rzeczy?

- Pod pewnymi względami do złudzenia przypominam śmiertelną kobietę. Pod innymi jestem bardziej podobna do konia. A konie nigdy nie zapominają. Nie potrafią. Naucz żrebaka jakiejś sztuczki, a czterdzieści lat później jako stary wałach będzie ją znał równie dobrze. Zapamięta każdy uśmiech, każde zmarszczenie brwi, każdą pieszczotę. Każdy klaps. Każde uderzenie szpicruty. Wszystko zostaje na zawsze. Na zawsze. I ja taka wła-

śnie jestem. Pamiętam. Pamiętam nawet więcej niż konie. Pamiętam sprawy, które się nie wydarzyły.

- Pamiętasz...?

- Przeszłość jest w ruchu. Nic dzisiaj nie jest pewne. Wszystko może się zmienić. Nawet ta chwila może wyparować jak kropla rosy w letnim słoń-

cu. Ale ja pamiętam, co zostało utracone, kiedy świat się zmienił.

- To... ciekawa moc.

- To nie moc, to pamięć. Powiedziałam ci o tym, żebyś wiedział, że niektóre rzeczy się nie zmieniają.

- Naprawdę? - Im dłużej o tym myślał, tym wydawało mu się ważniejsze. - Przecież żyjesz...

- Zwykle wiecznie - odparła lekkim tonem. - Byłam w egzotycznych miejscach, widziałam ciekawe rzeczy, byłam świadkiem spraw małych i wielkich. Niektóre z nich są wciąż rzeczywiste.

- I chyba o tych wciąż rzeczywistych powinienem wiedzieć.

- Większość spraw, które się nie zmieniają, jest nieważna. Znaczą tak niewiele w skali świata, że żaden bóg nie będzie sobie zawracał głowy ich zmienianiem. Inne zaś są z natury tak wieczne, że moim zdaniem nie moż-

na ich zmienić.

473

- Opowiedz mi.

- Widziałam, jak człowiek-bóg odciął mieczem doń boga-człowieka.

Widziałam, jak człowiek-bóg z mieczem zagnał tysiąc tysięcy bogów w głąb wyrwy we wszechświecie. Widziałam człowieka, który rzucił się na miecz, żeby zabić umiłowanego wroga i ocalić śmiertelnie zjadłą ukochaną. Widziałam, jak miecz zabił boginię, przemienił boga i sprowadził na ten nieczysty świat cesarstwo niemoralnej sprawiedliwości.

- Ehm... - Zmarszczył brwi, odkaszlnął i zaczął jeszcze raz: - Byłem obecny przy niektórych z tych wydarzeń.

- Widziałam cię.

- Ja ciebie nie.

- Byłeś zajęty.

- Czy my... czy my się już wcześniej... Zaraz, chwila. Może poznałem kogoś, kto jeszcze nie był tobą? Kto nie był końską wiedźmą?

- Czemu pytasz?

Jakaś posępna, ostrożna nuta w jej głosie kazała mu na nią spojrzeć. Odsunęła się od ognia. W gęstniejącym zmierzchu jej twarz ginęła w cieniu.

- Jakie znaczenie ma dla ciebie odpowiedź na to pytanie? - zainteresowała się.

- Chodzi o kobietę z Faltane. Niewolnicę na dworze. Zginęła w pożarze.

- To się nie wydarzyło. Nie poznałeś jej.

- Wiem. Proszę. Pamiętasz?

- Tak.

- Opowiedz mi o niej.

- Wolalabym nie.

Pokiwał głową.

- Nie będę nalegał.

- To mroczna historia. Niebezpieczna droga, która zaprowadzi cię gdzieś, gdzie może ci się nie spodobać.

- Prawie każda droga tak ma.

Westchnęła.

474

- To prawda.

- Nie przychodzi mi do głowy żadna droga, która nie byłaby niebezpieczna.

- Jej już nie ma, a ja jestem jedyną, która ją pamięta. Stanie się legendą.

Było w niej coś więcej, coś takiego, czego słowa nie wyrażą. Zasługuje na lepszą historię niż ta, którą ja mogę jej dać.

- Z wieloma ludźmi tak jest. Na początek powiedz mi, jak miała na imię.

- Niewolnicy nie mają imion. Jej pan nazywał ją każdym imieniem, na jakie akurat miał ochotę.

- Aha. Więc to jest... tego rodzaju opowieść.

- Tak. Opowieść o niewolnictwie. Ale przede wszystkim o gwałcie.

Spuścił wzrok. „Gwałt” to trudne słowo. Stawało się jeszcze trudniejsze, gdy dotyczyło kogoś znajomego. Kogoś, kim się przejmował. Przyprawiający o mdłości skręt kiszek wykopał mu z głowy wszelką myśl o wyparciu.

Może jeśli będzie patrzył w ziemię, zdoła jakoś to przyjąć.

- Nie - powiedziała. - Nie wolno ci odwracać wzroku. Nie od tej historii. Jeżeli chcesz ją poznać, musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

- Muszę wiedzieć.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Podniósł głowę i zmusił się, żeby spojrzeć wprost w lśnią-

ce odległym blaskiem oczu w jej pogrążonej w cieniu twarzy. - Jak tylko będziesz gotowa.

- Słuchaj więc. Oto jej historia. Jedyna, jaką ma.

\*\*\*

- Jej pierwszym panem był mężczyzna, który mógł być jej ojcem; mógł

ją odkupić od rodziny, ukraść albo znaleźć w lesie. W jej ojczystej krainie często się zdarzało, że ubogie rodziny porzucały dzieci, których nie były w stanie wyżywić. Niektóre rzeczy muszą pozostać niewiadome. Pewne jest jednak, że jej najwcześniejszym wspomnieniem był gwałt.

475

- Jezus...

- To tylko imię, czy właśnie zakląłeś?

- Jedno i drugie.

- Dobrze. - Pokiwała głową, by po dłuższej chwili mówić dalej: - Wiadomo, że ten człowiek używał jej tak, jak inny mógłby używać chusteczki do nosa; była dla niego narzędziem do zaspokojenia przelotnej chuci. Kiedy mogła, uciekała. Kiedy ją złapano, była biczowana. Gdy wyrosła na tyle, że jej pan zainteresował się młodszymi dziećmi, została sprzedana do burdelu w sąsiednim miasteczku, gdzie - ponieważ wciąż była młoda i piękna - nauczono ją, jak udawać dziewictwo. Nie takie prawdziwe dziewictwo, lecz raczej jego wyśnioną przez pożądlivych mężczyzn wersję, za którą gotowi byli słono płacić. Przez następne lata traciła cnotę po kilka razy dziennie. Jako dorosła, choć nadal młoda kobieta, grała rolę żony człowieka, który większość czasu spędzał na wojnach (każda była dobra), a jej nie pozostało nic innego, jak kupczyć swoim ciałem, żeby opłacić czynsz za farmę, którą uprawiali, albo wykarmić synka lub córeczkę. Albo jedno i drugie. „Dzieci” zresztą również były do wzięcia, za odpowiednią opłatą. Oczywiście, nigdy nie dostawała własnych pieniędzy, podobnie jak tuziny dziewcząt, które bywały jej córką, ani dziesiątki chłopców, którzy bywali jej synem. Wynagrodzeniem za harówkę było dla nich skąpe jedzenie i minimum odpoczynku - akurat tyle, żeby mogli następnego dnia za-cząć od nowa. Nie miała w burdelu przyjaciół; niewiele dzieciaków prze-

żywało tam dłużej niż kilka tygodni, niewielu niewolników żyło dłużej niż rok.

Twarz końskiej wiedźmy miała beznamiętny wyraz, ale on i tak odczuwał ból, patrząc na nią.

- Jak to przeżyłaś...? Jak ona to przeżyła? Jak ktokolwiek może to prze-

żyć?

- Niektóre sprawy pozostają niewiadome. W dzieciństwie pomagała jej wyobraźnia, w której snuła niekończące się romantyczne marzenia o innym życiu: przygody, dreszczyk emocji, dalekie miejsca, egzotyczne stwory... Z początku śniła wręcz, że te marzenia są jej prawdziwym

życiem, a rzeczywistość sennym koszmarem. Kiedy nie była w stanie dłu-

żej podtrzymać tej fantazji, wyobrażała sobie, że w innym życiu była okrutna i nikczemna. Podła. Istne wcielenie zła. W ten sposób życie, które musiała wieść, przestawało być niepojętą makabrą i stawało się sprawiedliwą i rozsądną karą za zbrodnie, których nie pamiętała i które tylko z najwyższym trudem umiała sobie wyobrazić. Ku tej drugiej fantazji zwró-

ciła się po jednej z prób ucieczki, kiedy miała jakieś dziewięć lat. Dotarła do świątyni lokalnej bogini żniw i plonów i zdała się na łaskę jej kapłanek.

Opowiedziały im o życiu, od którego uciekła, i błagała, żeby pozwoliły jej u siebie zamiatać podłogi, szorować kuchnię, robić cokolwiek, co ocali ją przed gwałtem i batem. Kapłanki przyjęły ją, wykapały, nakarmiły, odziały i zwróciły właścicielowi.

One pierwsze powiedziały jej coś, co miała potem wielokrotnie słyszeć od kapłanów, wieszczek, świętych pustelników, szamanów, herezjarchów i w ogóle wszystkich, którzy utrzymywali, że znają lub czynią wolę bogów.

Powiedziały jej, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Powiedziały, że nie-zbadane są ścieżki bogów. Powiedziały, że nie byłaby niewolnicą, gdyby bogowie nie przeznaczili jej takiego losu. To bogowie uczynili z niej niewolnicę, a ich woli sprzeciwiać się nie wolno. Takich właśnie słów użyły.

A oto jakie było znaczenie tych słów: bogowie uznali, że powinna być gwałcona. Powinna być bita. Powinna głodować, cierpieć i mieć ciało pokryte strupami. Postanowiono, że codziennie powinna wyć i błagać ich o litość.

Tak się nie stało. Coś takiego nigdy nie nastąpiło.

Niektórzy mówili, że niekończący się koszmar jest karą za zbrodnie, których dopuściła się w zapomnianym już poprzednim życiu. Inni twierdzili, że niekończący się koszmar oczyszcza jakąś niewidzialną część jej istoty, dzięki czemu w zmyślonym życiu po śmierci będzie cieszyć się szacunkiem i opływać w dostatki. Niektórzy utrzymywali nawet, że ponosi karę za nie swoje zbrodnie, odziedziczone po jakimś nieznanym przodku.

Dobrzy ludzie próbowali jej czasem pomagać, byli jednak słabi i nie-liczni, a ich jedyną bronią był słuszny gniew i moralne potępienie. Jej 477

panowie, czerpiący korzyści z gwałcenia jej i jej podobnych, byli zaś liczni i silni. Gdyby wzruszało ich moralne potępienie, nie kupczyliby gwałtem.

Tak oto przeżyła dzieciństwo, młodość i początki dorosłości. Z upływem czasu niedostatek i makabra pozbawiły ją wdzięków młodej żonki, oddano ją więc mężczyznom, którzy lubią ból. Lubią go odczuwać, ale także - znacznie częściej - zadawać. Wtedy to odkryła, że ta praca może jej sprawiać

przyjemność.

Poznała wiele sposobów zadawania bólu mężczyznom - oraz wiele sposobów przetrwania bólu, który oni jej zadawali. Zyskała opinię pomysłowej i wytrzymałej. Umiała znieść wiele razów, ale też mocno pobić mężczyznę nawet znacznie od niej większego. Jej rany szybko się goiły i ani na chwilę nie traciła zapалу do katowania klientów. Zaczęła być poszukiwana i pożą-

dana, wzbudziła szacunek innych niewolników, a jej pan i strażnicy poczęli ją rozpieszczać drobnymi przysługami. Wszystko to jeszcze bardziej ją unieszczęśliwiało. Wcześniej karano ją, bo była zła. Czy, jeśli teraz ją na-gradzano, to znaczyło, że stała się dobra?

Jeżeli koń nie widzi związku między dobrym zachowaniem i nagrodą, oraz złym zachowaniem i karą, jego umysł może tego nie wytrzymać. Konie bardziej od ludzi potrzebują historii: ta sprawa przynosi taki skutek, tamta inny. To proste historie, ale niezbędne. Możliwe, że to właśnie przydarzyło się tej kobiecie: jej umysł nie wytrzymał. A może fakt, że była doceniana, kazał jej myśleć, że ma swoją wartość. To też jest jedna z tych spraw, które pozostaną niewiadome.

Wiadomo natomiast, że podczas jednego z całkiem rutynowych sean-sów upokorzenia seksualnego zgarnęła narzędzia tortur i zamordowała kilkunastu mężczyzn, a kilkunastu dalszych okaleczyła lub trwale oszpeci-

ła. Potem uciekła.

Uciekała już wcześniej i zawsze łapano ją i bito, ale teraz była starsza, sprytniejsza, wyszkolona w sztuce oszustwa i niestroniąca od przemocy, ale przede wszystkim uważała, że tym razem zasługuje na to, żeby jej się udało. To mogło przeważyć.

478

Przemieszczała się nocami, dni spędzała w ukryciu. Czasem chowała się po stojących z dala od domów stodołach, kiedy indziej w wysokiej trawie nieskoszonych łąk. Tam właśnie spotkała pierwsze konie. Bały się jej, bo była obca, była człowiekiem, cuchnęła krwią i desperacją. Ale mimo swojego lęku, nie gardziły nią. Nie nauczono ich, że jednych ludzi należy czcić, a innych rozgniatać jak robactwo albo wykorzystywać i wyrzucać jak przedmioty. W ciągu trwającej długie miesiące tułaczki odkryła, że trakto-wane łagodnie konie pozwalają się do siebie zbliżyć, a na podarunki reagują wdzięcznością i przywiązaniem.

Znalazła kogoś, kogo mogła pokochać i kto odwzajemniał jej miłość.

Mijały tygodnie i miesiące. Oczywiście, w końcu ją schwytano i napięt-nowano jako niewolnicę - bliznami od bicia na plecach. Przez ten czas znalazła się jednak daleko od ziem swoich dawnych panów i posiadała umiejętności bardziej użyteczne niż zaspokajanie męskich żądz. W hrabstwie Faltane została pomocnicą stajennego. Był to dla niej dar miłosierdzia, jakiego nigdy nie udało się jej wymodlić. Przerzucanie końskiego gnoju traktowała jak błogosławieństwo pokoju. Z czasem awansowała na stajenną i mogła się opiekować końmi właściciela, jeszcze później zaś zaję-

ła się leczeniem i tresurą koni złamanych tępą brutalnością jeźdźców.

Wkrótce wieści o niej doszły do uszu samego hrabiego Faltane, który był kiepskim jeźdźcem i złym człowiekiem. Wiadomo było, że kiedy pewnego razu wybrał się z psami na polowanie, jego koń potknął się i omal nie wysadził go z siodła. Faltane zsiadł, kazał sługom rozkulbaczyć wierzchowca, po czym rapierem przeszył mu brzuch i zostawił na pewną śmierć w polu.

Wiele wierzchowców zniszczył, jeszcze więcej na zawsze okaleczył, i kiedy posłyszał o niewolnicy, która ma dobrą rękę do poranionych koni, zażyczył sobie jej usług. Podarowano mu ją w prezencie i znów przez kilka lat wiodła spokojny żywot, aż pewnego dnia Faltane powiódł wzrokiem po swoich włościach, dostrzegł ziemie należące do sąsiadów i pożądliwie zaczął na nie zerkać.

479

Opłacił przerażająco silnych najemników, przed którymi jego sąsiedzi uciekli jak sarny przed pożarem.

- I w tym momencie ja wkroczyłem na scenę.

- Bynajmniej. Nigdy cię tam nie było.

- Widzisz? Właśnie dlatego zacząłem cię o to wypytywać. Byłem tam.

- Nie. Z najemnikami przybył mężczyzna, który przypominał cię z wyglądu, mówił podobnym głosem, może nawet w pewnych sytuacjach zachowywał się podobnie do ciebie. Ale nie był tobą. Był człowiekiem smutnym i zmęczonym, który miał koszmarną młodość i jeszcze gorszą dorosłość; złamanym na tyle sposobów, że nie sposób to nawet wyrazić. Nosił

blizny głębsze, niż zdradzały jego twarz i ciało; wiele z tych ran zadał sobie sam. Może to właśnie jego rany ją przyciągnęły - a może to jej rany przyciągnęły jego. To również pozostanie niewiadome. Wiadomo jednak, że czasem rozmawiali i że część tych rozmów dotyczyła tego, w jaki sposób zostali poranieni. Niewiele mówili, ale też niewielu słów było im potrzeba.

On jej współczuł. Ona współczuła jemu. Kiedy rozmawiali, budził się ból, ale cisza byłaby jeszcze gorsza. Wkrótce zrozumiała, że on jest jej przyjacielem, a ona jego przyjaciółką. To była dla niej ciekawostka: nigdy przedtem nie miała przyjaciela-człowieka, a tym bardziej przyjaciela-mężczyzny.

Kiedy nie musiał zabijać na rozkaz hrabiego, przychodził do stajni i patrzył, jak pracuje przy koniach. Dzielił się z nią jedzeniem. Przy ostatnim z tych wspólnych posiłków zapytał, co by zrobiła, gdyby mogła wyjechać z Faltane. Gdyby była wolna.

Odparła, że nigdy nie będzie wolna. Życie stało się jej panem, a przeszłość - biczem w jego rękę. Powiedział, że ją rozumie, że „wolność” to tylko takie wymyślane słowo, które wcale nie znaczy tego, co powinno, i przeprosił za użycie go. Wyjaśnił, że chciał się dowiedzieć, czy - gdyby ją o to poprosił - wyjechałyby razem z nim. Mówił, że jego córka ma wiele koni, a żaden z ich opiekunów nie dorównuje umiejętnościom jej, niewolnicy. Obiecował, że mogłyby mieć własny dom z ogródkiem, nawet własne konie, a za pracę płacono by jej szczerym złotem.

Rozpłakała się.

Powiedziała mu, że jest dla niej prawie równie dobry jak koń, ale dobroć nie wystarczy, żeby ją stamtąd zabrać. Oprócz niego konie z dworskiej stajni były jej jedynymi przyjaciółmi, a co gorsza, ona była ich jedynym ludzkim przyjacielem. Nie mogła ich porzucić na pastwę oprawców.

Zapytał wówczas, czy zmieniłaby zdanie, gdyby mogli zabrać wszystkie konie ze sobą, na co odparła, że świat nie jest tak urządzony, a on wtedy powiedział:

- Jebać świat. Powiedz „tak”, a stanie się to możliwe.

Mylił się jednak w ocenie świata. To ona miała rację. Nie zdążyła nawet odpowiedzieć, gdy w stajni rozgorzał pożar. To najemnicy zwrócili się przeciwko hrabiemu, a ich dowódca umiał spojrzeniem rozniecić żar zdolny strawić kamień.

Kazał niewolnicy uwolnić konie, a sam popędził do bitwy, która wtedy wydawała mu się ważniejsza.

Robiła, co mogła, ale konie panicznie boją się ognia, a przestraszone wracają do swoich boksów; trzeba je było wyprowadzać pojedynczo i zamykać boksy za nimi. A potem jak spod ziemi wyrosli zbrojni, którzy za-

zyczyli sobie koni do walki i chcieli zabrać te, które właśnie uwolniła. Niektórych zabiła. Inni uciekli.

Mężczyzna, który był jej przyjacielem, wrócił, żeby odciągnąć ją od po-

żaru, ponieważ cały dwór stał już w ogniu. Ostrzegł ją, że wkrótce droga ucieczki może zostać odcięta. Odebrał jej nóż, chwycił ją, chociaż się wyrywała, i byłby ją wyniósł, gdyby nie konie...

Pierwszy raz głos końskiej wiedźmy się załamał. Długo nie mogła mó-

wić, a kiedy znów była w stanie, podjęła przerwana opowieść:

- Konie w stajni kwiczały. A niektóre z tych, które wyprowadziła, odpowiadały im kwikiem, krzyczały do uwięzionych przez ogień ukochanych towarzyszy. Powiedziała, że nie może ich tak zostawić, by umierały z bólu i zgrozy. Przytrzymał ją i przemawiał do niej, a kiedy stwierdził, że go rozumie, puścił ją i razem wbiegli do płonącej stajni.

- Wbiegli razem... - mruknął. - To ma sens.

- Nie wiadomo, czy wspólnie ocalili jakieś konie. Nie wiadomo, czy on przeżył. Ona nie przeżyła. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Kiedy już uratuje-my konie, możemy ratować siebie nawzajem”.

- Ożeż w mordę...

- No właśnie.

Noc zagęściła otaczającą ich ciemność.

- Jemu się udało. Przeżył - powiedział. - Tak już ma.

- Gdyby mogła to wiedzieć, cieszyłaby się.

- Konie też. Część udało im się uratować. Nie wszystkie, ale część tak.

Nie wiem, czy aż tyle, żeby warto było za nie umierać.

- Kwestia tego, za co warto umrzeć, a za co nie, mnie przerasta. Takie sprawy trzeba zostawić śmiertelnikom.

- Czy teraz mogę odwrócić wzrok?

- Jeśli musisz.

- Czy on... ehm... - Przełknął. - Powiedziałaś, że przemawiał do niej.

Wiadomo, co mówił?

- Tak.

- Powiesz mi? Proszę.

- Może ci być trudno tego słuchać.

- Szkoda by było, bo przecież do tej pory to była szampańska zabawa.

Księżyc nie wyrzał jeszcze ponad skraj wąwozu. Światło ogniska nie sięgało jej twarzy. Widział tylko jaśniejsze plamy policzków i słaby srebrny blask wiedźmiego oka.

- Oto jego słowa, dokładnie tak, jak je wypowiedział: „To, jak się nazywasz, jak nazywają cię inni, to, co zrobiłaś i co ci zrobiono... To wszystko nic dla mnie nie znaczy. Znam cię. Ty mnie poznałaś niedawno. Ja cię znam od czasu narodzin świata. Jesteś wszystkim, czym miałaś być; wszystko, czym miałaś być, jest tobą. Znam cię całą i nie ma w tobie niczego, czego bym nie kochał”.

Z ogniska zostały żarzące się węgielki. Noc była bardzo ciemna i bardzo cicha. Nawet żaby umilkły. Nie było słycać żadnych żywych istot.

482

Aż w końcu ciche, powolne, wyczekiwane:

- Ożeż w mordę...

- Otóż to.

- Niech mnie na wylot wydymają.

- Ostrzegałam.

- Czy to znaczy... Zaraz, czy my... No nieźle. Nie umiem nadać temu wszystkiemu choćby pozorów sensu. - Z którejkolwiek strony podszedłby do sprawy, koło w jego głowie zaczynało wirować coraz szybciej. - Ja chromolę.

Podniósł wzrok. Rąbek księżycy właśnie wspinał się ponad krawędź

wąwozu.

- Ja już nic, kurwa, nie wiem.

- Nikt nie wie. Poza mną. Ale i ja nie wiem wszystkiego. Tylko to, co pamiętam.

- Wiedziałem o niej. Skądś o niej wiedziałem. Nie pamiętałem jej, nadal nie pamiętam, ale wiedziałem.

- Pod pewnymi względami do złudzenia przypominasz śmiertelnika.

Pod innymi przypominasz coś zupełnie innego.

Gwałtownie podniósł głowę.

- Nie jestem śmiertelnikiem?

- Nie wiem. „Wolałabym tego nie sprawdzać. Teraz już rozumiesz, dlaczego się o ciebie martwiłam.

- Co ty powiesz... Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, powiedziałem, że w ogóle nie wiem, po co z tobą rozmawiam, a ty...

- „Powiedziałabym ci, ale byś mi nie uwierzył”. Brzmiało to, jakby się uśmiechała, cytując swoje słowa.

- Właśnie. Dokładnie tak było. To o tym wtedy mówiłaś.

- O tym też.

- Poczulem łączącą nas więź z powodu tego, co się wydarzyło między...

tamtym facetem podobnym do mnie i tą niewolnicą.

- Poczuleś łączącą nas więź, ponieważ potrzebujesz wybaczenia i przyzwolenia. A także, mam wrażenie, dziewczyny. W twojej wojnie w Faltane też wybuchł pożar w stajni, ale nie zginął żaden koń. Dlaczego?

- Skąd ty... Dobra, nieważne. Głupie pytanie. Stajnia była pusta, kazałem Tannerowi wyprowadzić konie tuż przed tym, jak...

- Kazałeś. To była twoja decyzja. Dlaczego ją podjąłeś?

- No... żeby kawalerzyści hrabiego nie mieli świeżych koni na zmianę.

To oczywiste.

- Pożar w stajni też by tę sprawę załatwił. To oczywiste.

- No tak, ale po spotkaniu z tobą nie mogłem... Ożeż w mordę.

- Powtórzę: otóż to.

- W głowie mi się kręci. Czy ten popierdolnik się kiedyś skończy?

- Nie wiem.

- To twoja robota? Ty to robisz? - Pokręcił głową, bezradny wobec wiru pod czaszką. - Czy ja?

- Tego również nie wiem.

- A wiesz coś jeszcze? Cokolwiek, co pomogłoby nam zrozumieć coś z tego ogólnego pojebania?

- Owszem. Wiem, że będziesz lepiej pachniał, kiedy się już wykąpiesz.

\*\*\*

Srebrny księżyc wisiał nad brzegami rzeki i krzesał z wody platynowe skry. Leniwa woda płynęła zbyt wolno, żeby się ochłodzić. Zapach kwiatów dolatujący z góry jej biegu coś mu przypominał. Może jakiś sen. A może już kiedyś tu był.

Wyszorował ubranie i buty piaskiem ze sterczącej kilka jardów w głąb nurtu łachy. Wisiały teraz na poskręcany karkowatym cedrze na skraju wody, a on wrócił na łachę, żeby umyć także ciało. Tuż za łachą dno szybko opadało i kiedy zdrapał pierwsze dwie warstwy brudu, zakotwiczył się jedną ręką w piasku i swobodnie położył na wodzie.

484

Wąwóz, rzeka, księżyc. Spokojne, czyste. Wszystko.

W takim miejscu trudno było sobie wyobrazić świat, w którym mogła żyć i umrzeć tamta niewolnica.

Ale takie sprawy zdarzały się codziennie, w każdym kraju. I niewolnictwo wcale nie było z nich najgorsze. Dziewczynki cierpiały. Chłopcy cierpieli. Kobiety i mężczyźni. Ona przynajmniej miała swoje konie. Wielu ludzi nie miało tyle szczęścia.

Doszedł do wniosku, że chyba nareszcie rozumie, o co chodziło Ma'elKothowi. Jak można mieć świadomość takich faktów i nie chcieć ulepszyć tego świata? Kurde, przecież gdyby sam był bogiem, dawno spaliłby w pizdu ten padół łez.

I zaczął od nowa z ludźmi, którzy nie są takimi skurwielami.

- Teraz jesteś smutny - dobiegł gdzieś z bliska jej głos.

- Chyba tak.

- Pamiętasz, jak zakazałeś mi się smucić z twojego powodu?

Uśmiechnął się.

- Czasem mówię szybciej niż myślę.

- Już nie.

- Miło, że tak mówisz.

- Bo to prawda.

- Cóż... Dzięki.

- Zastanawiałeś się kiedyś, skąd się wzięła taka istota jak końska wiedźma. Jedyne odpowiedzi, jaką znam, brzmi: jestem końską wiedźmą. I wiem, że jestem za to wdzięczna.

- Ja też - powiedział do gwiazd. - Świat byłby lepszym miejscem, gdyby było na nim więcej was, a mniej wszystkiego innego.

- Teraz to ja dziękuję.

Przez chwilę była tylko noc i woda.

- Nadal mi się podobasz - powiedziała w końcu.

Coś w nim drgnęło, budząc się z dziesięcioletniej hibernacji. Obudziło się głodne, ale zalegający w nim mrok nie pozwolił mu się uwolnić.

485

- Nie rozumiem, jak możesz lubić jakiegokolwiek człowieka, a zwłaszcza mężczyznę. Zwłaszcza mnie. Po wszystkim, co się wydarzyło...

- To się nie przydarzyło mnie, tylko tamtej niewolnicy. Ja nią nie jestem. Wyglądam tak jak ona, ponieważ jej ludzki przyjaciel wyglądał tak jak ty.

- Ale...

- Ona była niewolnicą, a mnie nie można nawet schwytać, nie mówiąc już o zakuciu w łańcuchy. Ona była sama, ja mam niezliczoną rzeszę przyjaciół. Ona była poraniona, każdy skrawek jej istoty niepokryty bliznami był otwartą raną. A na moim ciele nawet milion lat nie zostawi już żadnej skazy. Ona żyła w wiecznym strachu, ja z trudem przypominam sobie, jakie to uczucie. Ona została zabita i umarła. Ja zostałam zabita i żyję. Dominic Shade był jej mężczyzną przez kilka dni. Ty jesteś” moim na zawsze.

- Na zawsze... - powtórzył jak echo. Spodobało mu się brzmienie tych słów. - Zupełnie jakbyśmy... Zaraz: Dominic... Shade? Co to ma znaczyć?

- Takim imieniem przedstawił się jej przyjaciel. Tak nazywali go najemnicy i ludzie hrabiego Faltane.

- Od trzydziestu lat nikt nie nazywał mnie Dominikiem - wycedził. - A nazwiska Shade nie używam od opuszczenia Kirisch-Nar. Dlaczego nagle miałbym je podać, do diabła?

- Nie ty. On.

- Mimo wszystko to dziwne. Dlaczego Dominic Shade, a nie Jonathan Fist?

- Może wtedy jeszcze nie zawarł umowy, z której nie mógł się wyplątać?

Usiadł wyprostowany na dnie rzeki.

- Ożeż w mordę.

Odwrócił się w jej stronę. Ona była na brzegu, a jej ubranie gdzie indziej. Księżycowa poświata na jej skórze była najbardziej oszałamiającym widokiem w jego życiu. Chciał jeszcze raz powiedzieć „ożeż w mordę”, ale jej widok zapał mu dech w piersi.

486

- Mówiłam ci, że nadal mi się podobasz. I wiem, że ja tobie też.

- Naprawdę?

Wskazała coś wyciągniętą ręką.

- Nawet bardzo.

- Ehm...

- Powiedz „tak”, a stanie się to możliwe.

- To właśnie powiedziałem... to znaczy, on powiedział, kiedy...

- Uprzedzałam cię, że ta historia może cię zaprowadzić do miejsc, które mogą ci się nie spodobać.

- Nie o to... znaczy... tak, oczywiście, ja... tylko wydaje mi się... powinienem...

Skrzyżowała ręce na piersiach w sposób, który delikatnie zmienił zarys jej sylwetki z dyskretnie erotycznego na czysto pornograficzny.

- Przede wszystkim powinieneś się zdecydować. Ja jestem nieśmiertelna, ale ty, twardzielu, nie stajesz się coraz młodszy.

# BEZCZASOWA

## TERAŹNIEJSZOŚĆ 10

### POWODY DLA PROSTACZKÓW

RELIGIA, KTÓRA TWIERDZI, ŻE BÓG JEST NIE Z TEGO ŚWIATA - ŻE JEST

CZYMŚ ODRĘBNYM OD WSZYSTKIEGO, CO WIDZISZ, CZUJESZ, SŁYSZYSZ I SMAKUJESZ  
- TO ZWYKŁY TANI SZWINDEL.

- DUNCAN MICHAELSON

### *OPOWIEŚCI PIERWSZEGO LUDU*

Caine i Ma'elKoth stoją w pewnej odległości od niego i rozmawiają półgłosem. Kris z Angvasse przechadza się wśród drzew. Końska wiedźma plecie wianek. Duncan doznaje olśnienia.

- No tak... - wzdycha w cętkowaną zieleń polany. - Oczywiście.

Już rozumie. A przynajmniej tak mu się wydaje. Ktoś odczytał niewolnicę, teraz jest końską wiedźmą... co oznacza, że ją też można odczytać.

Obraca głowę w bok i patrzy jej w oczy.

- Więc jednak naprawdę chodzi o dziewczynę.

Ona odsuwa wianek na odległość wyciągniętej ręki i przygląda mu się krytycznie.

488

- Nie za dużo? Może odcienie błękitu powinny być dyskretniejsze?

- Zrobił to wszystko... właściwie cały czas robi... na nowo tworzy całą strukturę rzeczywistości... dla ciebie?

Ona patrzy w dal ponad wiankiem. Uśmiecha się.

- To bardzo romantyczne.

- Przez duże R.

- On nie wierzy w szczęśliwe zakończenia.

Duncan kiwa głową.

- Ma powody.

- Nie robi tego dla mnie. Robi to z miłości.

- Ale to ciebie kocha. Widzę to za każdym razem, kiedy o tobie myśli.

- To prawda. Ale ja nie potrzebuję obrony. Niczego nie potrzebuję. Łączy nas nieskomplikowany związek.

- W porównaniu z innymi jego związkami, masz rację.

- Może ci być trudno to zrozumieć, ponieważ niełatwo to wyrazić słowami, których ty i twój syn wciąż potrzebujecie. Można by powiedzieć, że robi to dla Miłości w znaczeniu abstrakcyjnym; dla prawa do miłości i szansy na bycie kochanym. Nie dla siebie. Dla wszystkich. Zaprzeczyłby, i to zajadle, gdyby mu to powiedzieć, ponieważ jego zdaniem to w abstrakcji dobro zmienia się w zło. Być może ma rację; dla mnie to sprawa zbyt skomplikowana. Powiem ci jednak, że w jego miłości nie ma niczego abstrakcyjnego; jest wyraźnie określona, konkretna. Miłość jest dla niego prawem. Jedynym prawem. - Końska wiedźma uśmiecha się do Duncana i zawiesza wianek na jelcu Miecza. - Myślę, że ma to po tobie.

- Słucham?

- Duncanie... Słabo cię znam, za to jego znam doskonale. I o wiele dłu-

żej niż ty. Kiedy myśli o miłości, myśli o tobie. Jesteś dla niego wzorem, któremu próbuje dorównać.

- To... - Duncan kręci głową. - Wiem, że nie powinienem się z tobą sprzeczać, ale muszę. Muszę zaprzeczyć. Żałuję, że nie mogę tego odczynić. On zasługuje na coś lepszego.

489

- Jeżeli słowo „zasługuje” rozumiesz tak, jak mi się wydaje, to każdy zasługuje na coś lepszego.

- Byłem fatalnym wzorem. Praktycznie pod każdym względem.

- Byłeś, kim byłeś. Teraz możesz być tym, kim jesteś. Zrobiłeś, co zrobiłeś. Teraz możesz zrobić to, co robisz.

- Nie rozumiem.

Ona kiwa głową i przez moment marszczy w zadumie brwi. - Ja nie kocham koni - mówi w końcu.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. Konie to wielkie, śmierdzące, przygłupie stwory, dla których jedynym celem istnienia jest przetwarzanie trawy na gnój.

- W takim razie...

- Jest jednak pewna jednooka klacz, z białą blizną o, tutaj, za którą od-dałabym wszystkie swoje życia, gdybym w ten sposób mogła ją na wieki uszczęśliwić. Koń twojego syna, ten, którego nazywa Carillonem, jest taki bystry i figlarny, że śmieję się, gdy tylko wyczuję jego zapach. Jest taka srokata klacz, która zezuje jednym okiem; kiedy czasem na nią patrzę, wydaje mi się, że widzę samą siebie. Pewien stary wałach, kiedyś kary, chodzi za nią krok w krok jak służący, bo ona broni go przed złośliwościami młodszych wałachów i ogierów.

- Ty nie kochasz koni. Ty kochasz każdego konia z osobna - mówi powoli Duncan i w zadumie kiwa głową. - Osobiście.

- On nie kocha ludzi. On ich nawet nie lubi. Z zasady nie cierpi żadnego, kogo napotka, bo dzięki temu ma wymówkę, żeby być dupkiem. Ale ciebie kocha. I mnie. Kocha też Krisa, Delianna, Angvasse, nawet Pallas Ril. I Ma'elKotha. Osobiście.

- Tak.

- Najbardziej zaś kocha niewolnicę z Faltane.

- Kobietę, której nigdy nie spotkał? - Duncan marszczy brwi. - Która nigdy naprawdę nie istniała?

- Mówiłam ci, że niektóre rzeczy, które kocha, są o wiele mniej oczywiste niż twoja osoba.

490

- Mimo wszystko...

- Opłakuje ją. Nie jej śmierć: jej życie. Opłakiwał ją, zanim się dowiedział, że ktoś taki w ogóle istnieje. Opłakuje wszystkich takich jak ona.

Wszystkich takich jak ty.

- Jak ja?

- Najbardziej go boli, kiedy sobie wyobraża, jak błagała, modliła się i zebrała o litość, która nie nadeszła. Krzyczała, i nikt nie słuchał. Krwawiła, i nikt się nie przejął. On by jej pomógł, chciał jej pomóc, i do dziś ma złamane serce, bo tego nie zrobił. Nigdy się z tym nie pogodził.

- Chyba rozumiem.

- Przez ponad czterdzieści lat błagałeś, modliłeś się i zebrałeś o litość, która nie nadeszła. Krzyczałeś, nikt nie słuchał. Krwawiłeś, nikt się nie przejął.

- On się przejął! - zaperzył się Duncan.

- To prawda. Ty też go kochałeś. I obaj macie złamane serca, bo nie ocaliliście się nawzajem.

\*\*\*

Jakiś czas potem Caine zwołuje wszystkich wokół Duncana i Miecza.

Widząc zawieszony na jelcu wianek, uśmiecha się do końskiej wiedźmy.

- Ładny.

- Dziękuję.

- Klamka zapadła - mówi Caine. - Teraz czeka nas najgorsze. Miecz nie może zostać tu na zawsze. My też nie. Potrzebuję was wszystkich. Nawet jeśli się wszyscy maksymalnie sprężymy, będzie kurewsko ciężko; nie możemy sobie pozwolić, żeby ktoś tu uprawiał prywatę. Czy to jasne?

Spogląda im w oczy, wszystkim po kolei. Ma'elKoth. Pallas Kil. Deliann Mithondionne. Angvasse Khlaylock. Końska wiedźma. Duncan.

491

- Wszystko wydarzy się w tej samej chwili, gdy ktoś wyciągnie Miecz.

A właściwie w chwili podjęcia decyzji. To twoja rola, Duncanie.

Duncan kiwa głową.

- Rozumiem.

- Oto czego się spodziewam. W Brodzie Purthina my dwoje, Angvasse i Jonathan Fist, wspinamy się na purificapex, by ponownie zespolić moc Miecza i Dłoni. Najprawdopodobniej nie przeżyjemy tego, ale to mało ważne. Obie moce istnieją poza okowami czasu, więc każda wersja nas będzie mogła się do nich podłączyć.

- Teoretycznie - grzmi basem Ma'elKoth.

- W pionowym mieście T'farrell Mithondionne wykorzysta część tej po-

łączonej Mocy do przeprogramowania *dil T'llann* w taki sposób, żeby Spę-

tać inną świadomość. Chodzi o to, żeby ktoś inny przejął władzę nad *dillin*; ktoś, komu możemy zaufać, że należycie ogarnie ruch między Ziemią i Domem. Na Ziemi Dominic Shade Spęta Ślepego Boga i uwięzi go przy naszej nowej *dil T'llann*, żeby nowy... jak go nazwiemy... Klucznik? Żeby miał źródło mocy do otwierania i zamykania bramy.

Duncan czuje, że znów się pogubił.

- Chcesz wykorzystać Ślepego Boga?

Caine wzrusza ramionami.

- Piętnaście miliardów ludzi na Ziemi też chce jakoś żyć. Wiemy już, że nie uda nam się zatamować ruchu pomiędzy dwoma wszechświatami, bo tamci zawsze znajdą jakiś sposób, żeby obejść budowane przez nas zapory.

Dlatego musimy szukać swojej szansy w kierowaniu tym ruchem. Możemy sprawić, że traktowanie Domu z szacunkiem i odpowiedzialnością będzie opłacalne. A kiedy ludzie zaczną zarabiać na tym, że są grzeczni, popyt na bandziorów wygaśnie. Mam rację?

- To... możliwe - przytakuje Duncan. - Tylko tyle mogę powiedzieć. Nie dowiesz się, jak będzie naprawdę, dopóki nie spróbujesz.

492

- To właśnie jest najtrudniejsze. Do tej pory wszystko było płynne i mieliśmy jeszcze jakieś pole manewru; starałem się wszystko zapiąć na ostatni guzik. Kiedy Miecz wejdzie do gry, wszystko zostanie utrwalone.

Możemy go użyć do uwięzienia Ma'elKotha w teraźniejszości, przynajmniej na chwilę, żeby nie został od razu odczyniony. Ograniczy to Twoją moc, ale przynajmniej nie wypadniesz z gry.

- To chyba lepsze niż nieistnienie.

- Zawsze chciałeś mieć moc po to, żeby pomagać ludziom. Część jej zachowasz. Przyda ci się. Jestem prawie pewien, że Iglica runie.

- Iglica?!

- Mhm. Zamierzamy przecież wykraść moc obu podtrzymujących ją Prawdziwych Relikwii. Posłuchaj, obiecałem Kierendal, że złamię khrylian tak samo, jak złamałem Czarne Noże. Jeżeli się nie przyłączysz, wyjdzie z tego paskudna dosłowność.

Ma'elKoth najpierw jest wstrząśnięty, potem zamyślony...

- Daruj sobie - ostrzega go Caine. - Nawet o tym nie myśl.

- Nie rozumiem, o czym...

- Zachowuj się. Ciebie to też dotyczy, Pallas. I wszystkich waszych bo-skich przydupasów. Wkraczamy na nieznany teren. Mam nadzieję, że wszyscy to rozumieją?

Znów patrzy im po kolei w oczy.

- Wszyscy znamy świat, w którym obowiązywało Porozumienie z Pirichanthe. Gówniane miejsce. A po Prawdziwym Wniebowstąpieniu wcale nie zrobiło się lepiej. Od teraz nic nie jest pewne. Ludzie proszą bogów, żeby ci ulepszyli świat. Zresztą „proszą” to mało powiedziane: ludzie ich tworzą,

masowo, na prawo i lewo. Dlatego powinniśmy im dać trochę luzu.

Bogom, znaczy się. Dopóki będą bardziej pomagać niż szkodzić, wszystko będzie w porządku. Ale kiedy sprawy zaczną się wymykać spod kontroli...

Cóż, bogowie, wszyscy bogowie, muszą zrozumieć, że od teraz będą im grozić konsekwencje.

- Konsekwencje? - Duncan wciąż nie nadaża. - Jakiego rodzaju konsekwencje?

493

Caine szczyrzy zęby. Są bardzo białe i bardzo ostre.

- Mojego rodzaju.

- Miecz Człowieka - mówi Ma'elKoth.

- Właśnie, kurwa.

- Zniszczenie w postaci czystej. Permanentne unicestwienie.

Caine kwituje to wzruszeniem ramion.

- W całym swoim życiu nie umiem wskazać ani jednego wydarzenia, które udałoby mi się cofnąć.

- Moc karania bogów... - Mruczy Deliann, po czym również wzrusza ramionami. - Podoba mi się.

Duncan kręci głową.

- Zapowiada się ponury żywot.

- Dam radę, postaram się. Jeszcze jedno: kiedy Angvasse i ja spłoniemy żywcem, czy co nas tam czeka po zetknięciu z Mocami na Purifikaepsie...

Znajdziemy się w Kluczniku, a część Jego znajdzie się w nas. Tak jak kiedy Deliann połączył się z rzeką. Rozmawiałem już o tym z Angvasse, jest za. To dlatego, że jest bohaterką, prawdziwą bohaterką; ma moc czynienia spraw wielkich, a celem jej życia jest pomaganie ludziom, bronienie tych, którzy sami obronić się nie mogą. Jeżeli więc będziemy potrzebowali bohatera, Klucznik może go stworzyć. Dopóki on będzie zarządzał bramami, nowiutka Angvasse Khlaylock, jak spod igły, może wyjść z każdej *dil na*,

świecie. Na obu światach.

- Niewyczerpane źródło bohaterów... - myśli na głos Duncan. - Jak uda-

ło ci się to zorganizować?

- Negocjacje. Żeby coś dostać, trzeba coś dać.

- Co oddałeś?

Wzruszenie ramion.

- Swoją emeryturę.

- Że co?

- Sprzedałem swoją duszę Pirichanthe.

- Duszę?!

- Poniekąd. Posłuchaj, Pirichanthe miał pilnować ludzkich bogów. To 494

była jego jedyna racja bytu. Dosłownie. Tyle że nie bardzo mógł to zrobić, bo my ciągle wymyślamy nowe sposoby psucia naszego świata, uznał więc, że najlepiej będzie znaleźć kogoś, kto nie boi się stanąć na tylnych łapach i sprzedać bogu kopa w jaja.

- W sensie metaforycznym.

- Tak uważasz? Spytaj Ma'elKotha.

Duncan mruży oczy.

- W zamian za wiecznego bohatera...

- Dostałem potwora z sąsiedztwa.

- Atticus może sobie pozwolić na to, żeby zgrywać cywilizowanego -

mruczy Duncan - bo ma potwora, który pilnuje mu tyłka.

- Cytujesz chyba kogoś bardzo mądrego.

- Przerażasz mnie, Caine.

- I dobrze. - Spogląda po nich wszystkich. - Wszyscy powinniście się mnie bać.

- Z wyjątkiem mnie - wtrąca końska wiedźma.

- Z wyjątkiem ciebie. Wszystko tutaj jest z wyjątkiem ciebie.

- To mi się podoba. Czuję się wyjątkowa.

- Tuż przed tym, jak go zabiłem, Purthin Khlaylock powiedział mi, że bojaźń Boża to załączek mądrości. Chyba nie miał racji. Wydaje mi się, że im bardziej boimy się Boga, tym straszniejszy się staje. Lękajcie się Jego gniewu, a zacznie ciskać gromy, zsyłać trzęsienia ziemi i tak dalej. Lękajcie się Jego kary, a skaże was na wieczne potępienie. Ludzie muszą się dowiedzieć, że nie muszą się

bać. To Bóg powinien zacząć się bać.

Końska wiedźma uśmiecha się z czułością.

- Dla Boga lęk przed Caine'em jest załączkiem mądrości. W odpowiedzi Caine szczyrzy zęby w drapieżnym grymasie.

- Ktoś powinien to zapisać.

Duncan patrzy spode łba na końską wiedźmę.

- Ciebie Caine nie przeraża?

- Oczywiście, że przeraża. Caine to potwór, który przyprawia inne potwory o koszmary senne.

- Ale...?

495

- Nie używamy tego imienia. Nazwij potwora po imieniu, a przypomni sobie, gdzie śpisz.

- Otóż to - wtrąca Caine. - Gdy tylko skurczybyki się zorientują, że przed zgaszeniem światła muszą sprawdzić, czy nie czają się pod łóżkiem albo w szafie, potencjalne problemy same się rozwiążą.

- Konsekwencje.

- Otóż to.

- A Klucznik...

- Może wykopać Caine'a przez każdą z *dillin*. Tak jak Angvasse. Kiedykolwiek i gdziekolwiek uzna, że trzeba jakiemuś Komuś skopać dupsko.

- Dajesz Klucznikowi wielką władzę. Wielką i niebezpieczną.

- Dlatego potrzebny mi jest ktoś, komu mogę zaufać.

- Czyli...? - pyta Duncan i nagle zdaje sobie sprawę, że wszyscy patrzą na niego. - No nie, nie powiesz mi... nie możesz prosić...

- Świat cię potrzebuje, Duncanie. Ja cię potrzebuję.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który by chciał...

- Wiem. Jedyne człowiekiem, któremu można powierzyć władzę, to ten, który jej nie pragnie. Zaraz, kto to powiedział...?

- Ale... ale nie możesz...

- Byłeś tu. Widziałeś wszystko. Wiesz, że ktoś jest nam potrzebny. Jezu Chryste, Duncan, komu ty byś zaufał?

- No... ja... ja...

- Będziesz mógł mówić do mnie „Hari”.

- Słucham? - Duncan marszczy brwi. - Pozwolisz mi, tak? A będziesz mówił do mnie „tato”?

Caine się uśmiecha.

- Targujemy się?

- Ja tylko... nie wiem. Jest tyle spraw, które chciałbym zmienić. Które powinno się zmienić.

- Mówiłem ci już, że nie stać nas na ten luksus: nie mamy żadnego

„powinno być”, mamy tylko „jest”. Sęk w tym, że tu i teraz mamy również szansę, żeby wziąć jakieś „jest” i zmienić je w „powinno być”.

496

- Nie lękaj się - odzywa się końska wiedźma. Mówi tak cicho, że Duncan ledwie ją słyszy. - Bądź, kim jesteś.

- Co by było - Caine cedzi słowa z powagą, niemal z dostojeństwem -

gdyby się okazało, że twój najgorszy uczynek to nie byłeś ty?

- Co?

- Co by się wtedy stało? Nie pamiętasz tego pobicia, po którym mama zmarła, prawda?

- Pamiętam wiele innych.

- Ja też. Ale gdybyś to nie był ty... Co wtedy?

- O co ci chodzi?!

- Gdyby została napadnięta na ulicy? Przejechana przez Biznesmena? -

Caine kuca przy Duncanie. - Gdyby nie umarła?

Duncan nie może oddychać.

- Co ty... - chrypi. - Do czego zmierzasz?

- Ten staruch, którego spotkaliśmy wtedy w klinice, ten, który wyglądał

jak ja... Co on tam robił? Co miał w tej kuli, którą niósł pod pachą?

- Ja... nie... skąd...

- Zastanów się nad tym. Co by było, gdyby ktoś uzdrowił ją wtedy w klinice? Gdyby ją stamtąd zabrał? - Caine zniżył głos do szeptu. - Co by było, gdyby siedziała teraz w tej jurcie i czekała, aż odważysz się zaryzykować?

- A siedzi? - Słowa tak ostro szorują po krtani, że czuje w gardle smak krwi. - Siedzi tam?

- Być może.

- Być może?!

- Możesz się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Powiedz: „tak”.

- Tak...

- No właśnie. To proste słowo.

- Nie, nie rozumiesz. To było to słowo. Właśnie je wypowiedziałem.

Tak.

Caine wstaje.

- W porządku. Idź, sprawdź.

497

Miecz zniknął. Duncan jest wolny. Na jego *serape* nie ma nawet śladu po cięciu. Wybałusza oczy, na wpół sparaliżowany niezrozumieniem.

Caine wzrusza ramionami.

- Tak jak mówiłem: metafora.

- To ty jesteś Mieczem.

- Mhm. Ale to ty wyciągnąłeś mnie z kamienia. Witaj w twoim królestwie.

- Moim...

- A czym? Powinniśmy ją chyba nazwać Bramą Duncana.

- Chyba że właśnie unicestwiłem wszechświat.

- No tak. Ale teraz już trochę za późno, żeby się tym przejmować.

Na piersi Duncana leży wianek z kwiatów. Przytrzymuje go, wstaje i oddaje wianek końskiej wiedźmie.

- Weź go - mówi ona, z leciutką nutą rozbawienia w głosie. - Dziewczyny lubią dostawać kwiaty.

**NAJSZCZĘŚLIWSZE**

**ZE WSZYSTKICH**

# NIEZLICZONYCH

## MOŻLIWYCH ZAKOŃCZEŃ

### SZTURCHANIE NIEDŹWIEDZIA

JEŻELI CHCECIE SIĘ POBAWIĆ W SZTURCHANIE NIEDŹWIEDZIA, MUSICIE

PAMIĘTAĆ, ŻE NIEDŹWIEDŹ MA W DUPIE, ŻE TO TYLKO ZABAWA.

- AUTOR NIEZNANY

O tej chwili - w grubszym zarysie - myślałem (z przerwami) od bardzo dawna. Przed uprowadzeniem przez Rycerzy Khryla. Przed Dniem Wniebowstąpienia. Przed *Z miłości do Pallas Ril*. Gdybym miał wskazać moment, w którym taka myśl pierwszy raz przeszła mi przez głowę, byłaby to sama końcówka *Sługi cesarstwa*, kiedy staliśmy z Shanną na platformie po tym, jak Kollberg zarządził transfer awaryjny i ściągnął nas na Ziemię w samą porę, żeby uratować mi życie. Na kolanach trzymałem odciętą głowę Toa-Phelathona, nadętego i z lekka przygłupiego staruszka, którego zamordowałem za zbrodnię słuchania złych rad. Pomału się wykrwawiałem, bo 499

parę minut wcześniej odniosłem jedną z najpoważniejszych ran w całej mojej karierze, ale nawet gdy noc ogarniała wszechświat, dobrze widziałem wyraz twarzy Shanny.

Nadal go widzę.

Mieliśmy swoje problemy, Shanna i ja. Większość sami sobie stwarzali-

śmy. Nigdy nie byliśmy ze sobą szczęśliwi, nigdy - ani na początku znajomości, ani po ślubie, ani kiedy porwałem boga, rozpętałem wojnę domową i okaleczyłem się, żeby ją ratować. Kochała faceta, o którym myślała, że siedzi w środku Caine'a - cierpiętnika i smutasa, który maską potwora broni swojego bólu przed okrutną rzeczywistością Ziemi.

A ja? A ja ze wszystkich sił starałem się udowodnić, że ma rację.

Udawanie, że gdzieś w bliskim sąsiedztwie mojego serca czai się cał-

kiem przyzwoity gość, dawało mi złudzenie, z którym, jak mi się wydawa-

ło, łatwiej będzie żyć. Nie przepadałem wtedy za prawdziwym sobą.

Prawdę mówiąc, nadal nie przepadam. Po prostu mniej mi to przeszkadza.

Oboje z Shanną wmawialiśmy sobie (i to z historycznym wręcz upo-rem), że Caine to tylko rola, bohater odgrywany przez Hariego Michaelsona, gwiazdor i playboy o międzynarodowej sławie. Ale wtedy na platformie, jej mina... To był moment, w którym zrozumiała, że ten bohater po prostu jest Harim Michaelsonem. Że był nim od samego początku.

Zorientowała się, że człowiek, za którego wyszła, zawsze był Caine'em.

Ale nawet wtedy żadne z nas nie rozumiało, kim - czym! - naprawdę jest Caine.

Shanna została Aktorką, ponieważ w ten sposób mogła pomagać ludziom. Naprawdę pomagać. Ratować im życie. Na Ziemi, jako Handlowiec z pochodzenia, niewiele mogła zrobić dla innych. Aktorstwo oznaczało dla niej regularny dostęp do władzy, dzięki której mogła zmieniać świat na lepsze.

A dla mnie oznaczało bogactwo, ponieważ lubię krzywdzić ludzi.

Chociaż nie wszystkich.

500

Byłem wtedy szósty rok z rzędu w Pierwszej Dziesiątce; Przygody Shanny nie mogły nawet powąchać jej ogona. Myślałem wtedy o tych i wielu innych sprawach, miałem mętlik we łbie - ale doskonale pamiętam jedną z ostatnich ulotnych myśli, które prześliznęły się po powierzchni nieświadomości:

Ktoś powinien zniszczyć to kurewstwo.

Myślałem, że po *Z miłości do Pallas Ril* zniszczenie nastąpi samoczynnie: Kollberg przed sądem, przesłuchania przed Kongresem w sprawie nadużywania przez Studio zapisów w kontraktach. Myślałem, że Dzień Wniebowstąpienia załatwi sprawę. Myślałem, że transmitowane na żywo wykonanie wyroku na Marcu Vilo będzie wyraźną deklaracją. Lepiej pokazać niż tłumaczyć, prawda?

Tylko że niektórzy ludzie są za głupi, żeby uwierzyć własnym oczom.

Ja również.

W końcu to rozgryzłem. Nie lubię krzywdzić ludzi. Nigdy nie lubiłem.

Lubię krzywdzić ludzi, którzy rządzą.

Nie bez powodu na wieść o moim przybyciu do miasta królowie kryją się po kątach.

Lubię krzywdzić ludzi, którym się wydaje, że żadna krzywda im się stać nie może. Którzy myślą, że stanowisko, Bóg albo chuj wie co jeszcze zapewnia im nietykalność. Bezkarność. Wszechwładzę.

Uwielbiam im udowadniać, że się mylą.

Sprawdźcie sobie listę moich największych przebojów: Purthin Khlaylock. Czarne Noże. Khulan G'thar. Toa-Phelathon. Kollberg. Toa-Sytell.

Marc Vilo. A także ci, którzy niczym nie rządzą - Berne, Dane i Blackwood, Luźny Gość, Gwizdek i

Jastrząb. Żmija z Jamy. Nawet Ballinger. Face-ci, których biorę na cel, mają władzę, dzięki której mogliby naprawić świat, ale tego nie robią.

Dlatego że w gównianym świecie łatwiej dostają to, czego chcą.

Ze mną jest tak samo.

Wygląda na to, że ilekroć stuknąłem kogoś z innego powodu - dowolnego innego powodu - wszechświat spuszczał mi za to wpierdol. Kiedy 501

zabiłem Creele'a, Raithe się na mnie wziął. Zabicie Karla załatwiłem Faith randkę z Avery Shanks; wszyscy wiemy, jak to się skończyło. Nienawidziłem Berne'a za to, że w Yalitrai zdręczył Marade i Tizarre na śmierć. On nienawidził mnie, ponieważ to samo zrobiłem z jego ukochanym t'Gallem.

Mógłbym tak wymieniać całymi godzinami, całymi dniami nawet.

No i jest jeszcze ten największy. Ma'elKoth.

Pokonałem go. Ocaliłem Shannę, zabiłem Berne'a i z Kosallem w bebeczach złapałem Kollberga za jaja. Mogłem zostawić Ma'elKotha tak jak stał. Powinienem być tak właśnie zrobić.

Zamiast tego złapałem go za rękę i pociągnąłem za sobą do Piekła.

Nie był bynajmniej aniołem ani świętym, ale szczerze poświęcił swoje nieprzeciętne życie misji ulepszenia cesarstwa ankhańskiego. Nie musiał

tego robić. Miał niewyobrażalną moc i władzę, nieograniczone bogactwo i postać ludzką tak doskonałą, że tylko dzieła Michała Anioła mogły się z nim równać. Ale zamiast wrzucić na luz i cieszyć się tym wszystkim, postawił wszystko co osiągnął i czym się stał na jedną kartę i zaangażował się w projekt, który nie tylko był niemożliwy do zrealizowania, ale w ostatecznym rozrachunku wystawił go na cel socjopatycznego mordercy ze skłonnościami do wybuchów agresji.

Jezu... Naprawdę żałuję, że nie zostawiłem go w spokoju.

Wiem, taką miałem pracę, to należało do moich obowiązków, ale główny powód był taki, że Ma'elKoth mnie podkurwił. A drugi taki, że mogłem go zniszczyć, a on mógł mi co najwyżej skoczyć. Obowiązki? To tylko pretekst.

I właśnie dlatego - naprawdę tak myślę - prawie zapiłem się na śmierć po *Z miłości z do Pallas Ril*. Bo dałem się skaptować tym skurwysynom.

Sprzedalem wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, wszystko, czym byłem, za fajną chatę, trochę kasy i namiastkę normalnej rodziny. Dopuszczałem do tego, żeby zmienili mnie w dokładnie takiego skurczybyka, z jakimi przez pół życia walczyłem.

I chociaż świat był gówniany, nie zmieniłem go na lepsze, bo w tym 502

gównianym dostałem to, czego chciałem.

To się teraz zmieni.

- Hari? - Gayle podnosi wzrok znad wyświetlacza. - Przedstawienie czas zacząć.

W porządku. Ja wam, kurwa, pokażę przedstawienie.

\*\*\*

A teraz stoję pod ścianą i nadal nie znajduję słów. Jest tego za dużo. Zaczynam więc od spraw małych.

- Wcale nie musiało tak być - mówię. Gayle przekrzywia z zaciekawieniem głowę.

- Co mówisz? - Marszczy brwi. - Nie bardzo...

- To nie było do ciebie. - Spoglądam na mieniące się morą antymagijne hełmy pospołów. - Mówię do was. Do wszystkich, którzy śledzą transmisję wideo z waszych hełmów. Do wszystkich, którzy w przyszłości będą oglą-

dać nagranie. Do was wszystkich, skurwysyny, do Rady Zarządców, Policji Społecznej i Kongresu Uprzywilejowanych. Do was i do wszystkich innych nieszczęsnych popaprańców, którzy będą musieli umrzeć tylko dlatego, że w waszych wyjąłowych mózgownicach nie ma dość rozumu, żeby raz, ten jeden raz, dobić targu.

- Hari...

- Mogliście mieć wszystko. Dosłownie wszystko. Dobrze o tym wiecie.

Jezu Chryste, czy wyście wszyscy przespali ostatnie dwadzieścia pięć lat?

Na obliczu obu światów odcisnąłem piętno, które dowodzi, że od mojego słowa nie ma odwołania. Nawet moje kłamstwa stają się prawdą. Mogliście dostać wszystko, co wam obiecałem. Wystarczyło się zgodzić. Tylko tyle.

Powiedzieć „tak”. Oddałbym wam całą planetę, zjeby genetyczne, w zamian za pokój między nami. Ale skoro nie wybraliście pokoju, nie zaznacie go. Za co zresztą pięknie dziękuję.

Kręcę głową. Niespecjalnie mam ochotę to ciągnąć, ale nie mam innego wyjścia. Ludzie muszą się dowiedzieć. Muszą zrozumieć.

503

- Naprawdę jestem wam wdzięczny. Dziękuję wam, bo rzygać mi się chce na widok tej ropiejącej, owrzodzonej rany, którą nazywacie swoim światem. I rzygać mi się chce na myśl o każdym z was, a to dlatego, że znacie prawdę o tym świecie i jesteście władni go zmienić, a jednak tego nie robicie.

Dlaczego? Dlatego że odpowiada wam taki, jaki jest. Dlatego wam dziękuję. A teraz zamierzam was zabić.

Gayle robi taką minę, jakby właśnie zadławił się własnym językiem.

- To nie jest groźba. To nie jest ostrzeżenie. Ten etap mamy dawno za sobą, a wy już jesteście martwi i z czasem coraz trudniej będzie ludziom ignorować wasz trupi smród. Za kilka dni, miesięcy lub lat, kiedy cały ten wasz zasrany świat stanie w ogniu, ktoś stworzy narrację, która wszystko wyjaśni, wytłumaczy ludziom, dlaczego ich życie dokumentnie się pierdoli.

Będę w niej czarnym charakterem. Wiecie już pewnie, że zupełnie mi to nie przeszkadza. Ludzie się dowiedzą, że ich rodziny nie żyją, a świat umiera, ponieważ jestem złym do szpiku kości skurwysynem. Całkiem słusznie zresztą. Problem polega na tym, że wy o tym wiedzieliście. Od dziesiątków lat wiecie dokładnie, jaki ze mnie skurwysyn. Wiedzieliście o tym, kiedy robiliście ze mnie Aktora. Wiedzieliście, kiedy zabijaliście mi żonę. Wiedzieliście, kiedy gwałciliście moją córkę. Wiedzieliście, kiedy wylupiliście oczy mojemu ojcu. Wiedzieliście o tym ćwierć wieku temu, kiedy popełniłem rasowe, najprawdziwsze ludobójstwo, żeby rozkręcić swoją karierę. Pamiętacie może, jakiego ostrzeżenia udzieliłem Czarnym Nożom? Powiedziałem, co się stanie, jeśli nas zaatakują. Nie uwierzyli. Wy też mi nie uwierzyliście. Żeby nie było niejasności: ostrzegałem was. Wielokrotnie. Ostrzegałem was, składając swoją propozycję. Ostrzegałem was, mordując Marca Vilo, tak jak ostrzegałem was, kutafony, dwadzieścia pięć lat temu podczas rozmowy z Arturo Kollbergiem w sali konferencyjnej Studia w San Francisco. Ja nie jestem od ratowania ludzi. Nie bawię się w bierny opór. Nie staram się zmienić systemu od środka. Musicie pamiętać, kim jestem. Kim chcieliście, żebym był. Pamiętajcie o tym. Pamiętajcie, kiedy po was przyjdę. Pamiętajcie, że nie musiało tak być.

504

Pospoły wyraźnie się spinają i mocniej ściskają karabiny. Czytam ich język ciała jak nagłówki w gazetach.

Ten pojeb, ten kaleka przypięty do łóżka w potężnie ufortyfikowanej placówce, o której istnieniu nikt nie wie, spodziewa się, że ktoś uwierzy, kiedy powie, że ma inne plany niż leżeć tak i czekać na śmierć? Jasne...

Chyba w następnym życiu.

Mają rację. Tyle że to już jest moje następne życie.

Jeszcze raz patrzę na swoje zniekształcone odbicie w ich hełmach.

- Gdyby mój ojciec miał wybór, żyłby i umarł jako człowiek łagodny i spokojny. Zawsze uważał, i nadal uważa, że stosowanie siły najpierw de-graduuje, a w końcu niszczy cywilizowane społeczeństwo. Jego zdaniem po to mamy ręce, żeby pomagać ludziom wstać, a nie przewracać ich na ziemię. Jak zapewne wiecie, akurat tej jego opinii nie podzielam. Mój ojciec wierzy, że życie ludzkie jest święte i że istotę ludzką można skrzywdzić tylko i wyłącznie w ostateczności, kiedy w

żaden inny sposób nie da się bronić życia i zdrowia innych ludzi. Dla taty to jest prawo natury, mierzal-ne i niepodważalne jak grawitacja, entropia i prawo zachowania pędu. Ale was, chuje, ono nie dotyczy. - Kiwam głową do swoich rozmazanych od-bić. - On was nienawidzi. Wszystkich razem i każdego z osobna. Gdyby wszystkie pospoły na Ziemi stanęły w ogniu, nawet by na was nie naszczał, żeby go ugasić. Przyznaje, że jest to sprzeczne z jego zasadami i trąci hipo-kryzją, ale nic nie może na to poradzić. A kiedy próbuje jakoś to zracjona-lizować, tłumaczy sobie, że w gruncie rzeczy nie jesteście już ludźmi.

Twierdzi, że człowieczeństwa nie można odebrać komuś wbrew jego woli, ale można się go zrzec. I wy właśnie to zrobiliście. Staliście się posłusznymi narzędziami opresji. Kapujecie? Wy nawet nie jesteście żywi. Jesteście narzędziami. Nieożywionymi przedmiotami. Jak młotki, piły i tak dalej.

Trzeba wam wiedzieć, że i w tej kwestii się z nim nie zgadzam. Zbyt wysoko was ocenia. Jesteście ludźmi, jak my wszyscy. Złymi ludźmi, ale mi-mo wszystkim ludźmi. To wszystko. Nie nienawidzę was, tak jak nie nienawidzę szlamu, który zbiera się w odpływie wanny. Sęk w tym, że prędzej 505

czy później trzeba ten syf sprzątnąć.

Ojcu marzyło się społeczeństwo, w którym ceni się ludzi za to, kim są, a nie za to, co mają. Marzył o tym, że rządy narodu, przez naród i dla narodu nie znikną z powierzchni ziemi. Marzyła mu się wolność i sprawiedliwość dla wszystkich. Nie miał takiej siły, żeby zaprowadzić choćby cień tych idealnych porządków. Nie miał siły, żeby ocalić żonę, syna, samego siebie. Nie był nawet w stanie kontrolować własnego ciała. Mam tu dla was piękny przykład tragicznej ironii losu: największym osiągnięciem tego idealisty, człowieka cywilizowanego i miłośnika pokoju, było spłodzenie żyjącego przeciwieństwa wszystkiego, w co wierzył. Ludzkiej broni maso-wego rażenia.

Czyli mnie.

Nie chciał tego. Nie planował. Gdybyście poskładali go z powrotem i obudzili, pewnie próbowałby mnie powstrzymać. Nigdy, przenigdy nie podniósłby na was ręki. Pięści miał tylko dla mojej matki i dla mnie. Uderzały wbrew jego woli. Gdyby mógł się powstrzymać, zrobiłby to. Ale nie mógł. Nie może. Wtedy nie mógł powstrzymać swoich pięści. Teraz również nie może. Wychował mnie wbrew swojej woli.

A teraz ja będę tak długo walił w ten wasz popierdolony świat, aż nie pozostanie mu nic innego, jak leżeć i krwawić.

\*\*\*

W końcu jeden z pospołów nie wytrzyma. Wbudowany w hełm digiti-zer przetwarza pogardliwe prychnięcie na trzask zakłóceń.

- Niezła gadka - mówi. - Szkoda, że nikt jej nie usłyszy.

Mój uśmiech odbity w osłonie jego hełmu wydaje się szerszy niż rozca-pierzona dłoń.

- Mnie się wydaje inaczej.

- Kto ci tak powiedział? Głosy w głowie?

- Skoro pytasz... Tak. Właśnie tak. - Wzruszam ramionami. - Głosy w 506

głowie. Zabawne, co?

- Jeszcze zabawniejsze jest to, że twój ojciec jest elementem systemu, który tropi i wykasowuje wywrotowe transmisje. Całkiem możliwe, że to właśnie on zgłosił ten twój bełkot do usunięcia.

- Tak, to rzeczywiście zabawne - przytakuję. - A chcielibyście zobaczyć coś jeszcze zabawniejszego? Gayle, tobie też się to spodoba. Jaki jest numer tego palmpada?

- A co?

- Po prostu powiedz.

Podaje mi numer.

- Jed? - mówię. - Macie wszystko? Jak to wygląda?

Na dźwięk dzwonka sygnalizującego połączenie Gayle aż podskakuje i omal nie wypuszcza palmpada z rąk.

- Nie bój się. - Kiwam głową. - Odbierz. Tylko trzymaj tak, żebyśmy wszyscy widzieli.

Pospoły przestępują z nogi na nogę, nerwowo przekładają ręce na broni.

Ciekawe, czy widzą nawzajem swoje miny. Ja na pewno chciałbym je zobaczyć. Miłosierny Jezu, wiele bym dał, żeby zobaczyć te gęby w chwili, gdy Gayle przyjmuje połączenie i na ekranie wyświetla się małe okienko, z którego odzywa się Jed Clearlake:

- Całkiem nieźle, Hari. Trzeba to będzie trochę pomontować, no i wkle-ić reakcje widzów.

Cała szóstka pospołów w mgnieniu oka przyjmuje pozycje bojowe.

Wodzą karabinami na boki, jakby nie mogli się zdecydować, czy strzelić do mnie, czy do palmpada. Może do obu naraz?

Uśmiecham się od ucha do ucha.

- Te głosy w głowie... - przypominam. - To właśnie jeden z nich.

- Mocna rzecz - ciągnie Jed. - Może nawet za mocna.

- To poniekąd mój znak firmowy.

- Te „rządy narodu...” i tak dalej to Abraham Lincoln, prawda? Dyktator Amerykańskiej Unii Federalnej?

507

- Bystry jesteś. Tyle że oficjalny tytuł brzmiał: „prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki”.

- Zależy, kogo czytasz. Zresztą nieważne. O co chodzi z tą wolnością i sprawiedliwością dla wszystkich? To też jakaś aluzja historyczna? Bo nikt tu nie wie, co by to miało znaczyć.

- Nie wycinajcie tego.

- Ty tu rządzisz. To koniec?

- Wiele mil od snu nas dzieli\*.

\* Przeł. S. Barańczak.

- Czy to następny...

- Nieważne. Tak, to koniec. Bierzcie się do roboty.

- Wyłączam się. Daj im popalić, Hari.

- Żebyś wiedział.

Dwa pospoły klepią coś na wbudowanych w przedramię klawiaturach.

- Darujcie sobie. Tego sygnału nie namierzycie.

- Nie ma takiego sygnału, którego nie moglibyśmy namierzyć.

- Powaga? Nie mów... Kiedyś ludzie mówili, że nie ma czegoś takiego, jak magja. Wykształcony człowiek nazwałby to ironią losu, nie?

Przestają klepać. Zbywam ich machnięciem ręki.

- Nie chciałem wam psuć zabawy. Próbuje.

Patrzę na Gayle'a. Twarz zszarzała mu prawie tak samo jak wcześniej Fallerowi, pobieleła wargi powtarzają bezgłośnie *omójboże, omójboże,*

*omójboże.*

- Rozpoznałeś go? - pytam. - Wiesz, kto to jest?

- To był Jed... - Musi odkaszlnąć. - Jed Clearlake, pre... prenter *Przygód na żywo...*

- Kiedyś tak. Obecnie jest ministrem informacji Wolnego Państwa Caine'a.

- Czego?!

- Nawet pospoły i Rada Zarządców mocno by się zdziwili, gdyby wiedzieli, co można osiągnąć na Ziemi za pomocą magji. Na przykład, monito-rować mój myśloemiter.

508

Gayle znowu podskakuje. Uśmiecham się do niego.

- Myślałeś, że o tym nie wiem? Kiedy składaliście mi porozbijaną czachę, postanowiliście pójść na całość i wpakować mi tam myśloemiter. Wygodne narzędzie kontroli. Może są takie narzędzia, których nie można użyć jako broni, ale powiem ci, że ja się jeszcze z takim nie spotkałem. - Rozkładam ręce. - W pewnym sensie jestem z siebie dumny. Wiesz, jak bardzo lubię książki, prawda? Jednym z najstarszych i najbardziej zgranych chwytów w dziejach powieści jest ukryty rejestrator... Zresztą, sam pomysł jest starszy niż idea powieści: zanim dochrapaliśmy się wysoko rozwiniętej techniki, wystarczyło, że ktoś podsłuchiwał z krzaków albo zza arrasu. Ale wiesz, co było najfajniejsze? W ogóle nie musiałem się martwić, że mnie nakryjecie. Sami mi go wstawiliście.

Wyraźnie nie jest w stanie tego ogarnąć.

- Ale jakim cudem udało ci się...

- Mnie? Wcale. Zajęło mi to ładne parę lat... co ja mówię, parę dekad, ale w końcu zrozumiałem, że nie muszę wszystkiego robić sam. Dlatego dobrze jest mieć przyjaciół. Mam ich niewielu, ale za to takich, jakich warto mieć. Powiedzmy, że masz kumpla, który zna Szept albo inny tego typu czar i może ci szeptać różne rzeczy na uszko. Żaden myśloemiter tego nie wychwyci. Powiedzmy dalej, że drugi z twoich kumpli umie tworzyć Spój-nię, tak? I już masz w głowie całą telekonferencję. I nawet nie musisz tak naprawdę mówić. Nawet monologować. Zresztą, to i tak dziecinada. Potrafimy przechwytywać całe strumienie danych. Wrzucać do sieci wirusy.

Albo koronować mnie na króla mojego wirtualnego państwa, ale mniejsza z tym. Nie jest to łatwe, ale jak się ma wpływowych przyjaciół, to naprawdę wiele można zdziałać. Pomyśl o tym; na pewno sobie przypomnisz, jakich przyjaciół mogę mieć na myśli.

Jeden z pospołów prawie wciska mi karabin w twarz.

- Wskrzесиć też cię mogą? - pyta.

- Prawdę mówiąc, tak. Poniekąd. To skomplikowane.

Drugi karabin dołącza do pierwszego.

- Za to zabicie cię będzie proste.

509

- Czy wyście mnie w ogóle nie słuchali? Zaraz, przepraszam... Znowu te głosy.

Wszystko nieruchomieje.

- Jesteście pewni, że go macie? Raithe... Drugiej szansy nie będzie.

- Raithe? - powtarza Gayle.

- Ciii.

Elektryczny dreszcz w całym ciele, na skórze i od wewnątrz, po ko-

ściach, po bebeczach, we krwi, suchy lód i termit.

Łza spływa mi z kącika oka, ścieka po policzku, przypala włoski w brodzie i skapuje opalizującą czernią na przód więziennej koszuli, która zaczyna się tlić. A mnie to wali.

Pospoł nachyla się nade mną, żeby lepiej widzieć.

- Co jest, kurwa...

- Raithe? Dziękuję ci. Cokolwiek. Kiedykolwiek. Wystarczy, że popro-sisz. - Jeszcze sekunda lub dwie bezruchu i kiwam głową. - Dzięki. Powiedz Orbekowi, że ma ruszać na mój sygnał.

- Na sygnał? - powtarza pospoł. - Orbek? Raithe?

Gayle odsuwa się od łóżka.

- Chyba powinniście go zastrzelić.

- Za późno.

Następny dreszcz, mocniejszy, ostrzejszy, i to, co czuję, to nie jest bynajmniej miłość jakiejś niepojętej, wielkiej jak ocean świadomości. To konkret. Bardzo wyrazisty.

- Na Boga... Jezu, gdybyś tylko wiedział... - Płyną dalsze łzy. Kurwa mać. Muszę z tym skończyć, bo mi się broda zapali. - Tak, wiem. Naprawdę. Kocham cię, tato. Do zobaczenia, już niedługo.

Teraz już cała szóstka celuje mi prosto w twarz.

- Co to za gierki, kutafonie?

- Naprawdę powinniście go zastrzelić. - Głos Gayle'a drży. Cofnął się już pod samą ścianę. - Nie żartuję.

- Pewnie, bez krępacji. Tylko jeszcze jeden drobiazg...

- Zastrzelcie go!

- Nie ty o tym decydujesz - gasi Gayle'a jeden z pospołów i zwraca się do mnie: - Zaczynaj mówić. Wiesz, co się stanie, jeśli tego nie zrobisz.

- Mam mówić? Spoko. Macie pozdrowienia od mojego ojca. Mówi wam: do widzenia.

Zaciskam pięść. Głowy pięciu pospołów eksplodują.

Naprawdę eksplodują: krew, mózg, odłamki hełmów, wszystko płonie, a Gayle drze się na ostatniego pospoła *zastrzel go kurwa zastrzel go!* ale ten opuszcza broń i kręci głową.

- Niech mnie wyruchają do góry nogami... - cedzi. - Mówię ci, Jonnie, nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał. Masz wszystko, czego potrzebujesz?

Pospoł kiwa głową, przykłęka przy trupach i zaczyna je przeszukiwać.

- A jak czegoś nie mam, to znajdę po drodze. Myślisz, że następnym razem mógłbyś zwlekać jeszcze dłużej? Na przykład, do momentu, aż zaczną strzelać?

- Wyczucie czasu to najważniejsza rzecz na świecie.

- Czy to będzie niegrzeczne, jeśli wytknę ci, że oddychanie jest co najmniej równie ważne? - Chowa zabrane pospołom palmpady i zapasowe magazynki. - Wiesz, Jonnie, to bardzo użyteczna umiejętność. Nie niszczy sprzętu. To znaczy, poza hełmami. Ale to i tak nieźle. Jak na amatora.

- Czy ktoś zechciałby mi wyjaśnić, do kurwy nędzy, jakim cudem się to wszystko udało?!

- Nawet jeśli ktoś taki się znajdzie, nie spodziewaj się, że go zrozumiesz. - Pospoł wstaje, podchodzi do drzwi i zatrzymuje się z ręką na klamce. - Jest prawdziwe.

- Ale co?

- Moje nazwisko. Tanner. Noszę je od urodzenia. - Pod hełmem jego twarz jest niewidoczna. - Ale na imię nie mam Hackford, tylko Mark.

- Mark Tanner?

- Pytałeś mnie o to kiedyś. To znaczy, pytał mnie gość, który wyglądał

tak samo jak ty. Myśleliśmy wtedy, że już się nie spotkamy.

- Kurde, Tanner, nawet jakbym cię zabił, to i tak bym się spodziewał, że jeszcze cię spotkam.

- Chyba tak. - Otwiera drzwi i wychodzi. - Uważaj na siebie, Jonnie.

Nie mam aż tylu przyjaciół, żeby ich co chwila tracić.

Powiedziałbym mu, żeby wsadził sobie tego „przyjaciela” w dupę, gdyby nie to, że mógłby spróbować. I mógłby mu się udać. Gdyby tylko po-kroił mnie na dostatecznie małe kawałeczki.

Poza tym lubię gości.

- Powodzenia, Tanner.

- Dzięki. - Hełm odwraca się w moją stronę. - Zgiń w walce, Caine.

- To bardzo prawdopodobne. Dzięki.

Tanner znika.

\*\*\*

Skulony w kącie Gayle pomału odzyskuje rezon.

- Kto to był? Aktor?

- Najlepszy, jakiego w życiu widziałem. Ale pracuje w innej firmie.

- Nie ma mowy, żeby udało mu się na dłużej podszyć pod ochroniarza Studia.

- To już jego problem. - Spoglądam na krępujące mnie taśmy, a one zajmują się białym ogniem i topią bez śladu. Gayle chyba niczego nie zauważa. - Musimy porozmawiać o przyszłości.

- O przyszłości? Ty nie masz przyszłości. Na zewnątrz stacjonuje cała dywizja Policji Społecznej...

- Już nie. - Spuszczam nogi na podłogę i wstaję. Jeeezu, jak cudownie...

Przeciągam się, wyjmuję z wlewu końcówkę kroplówki i podchodzę do pancerszklanych okien. - Lada chwila powinniśmy mieć raport.

- Możesz chodzić?!

512

- Tutaj tak. Trochę to skomplikowane, bo czarny olej to inny rodzaj mocy niż Przepływ, do tego dochodzą efekty graniczne... Ale uczę się.

Znów słyhać dzwonek wbudowanego w palmpad komunikatora. Biorę go do ręki, przyjmuję połączenie i na ekranie pojawia się mroczna, pod-

świetlona bocznym światłem twarz mojego brata.

- Kiepsko wyglądasz.
- Miło cię widzieć, piesku.
- Nieźle się spisałeś, jak na człowieka. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem.
- To dobrze. Nie zabij tam kogoś.
- Bo co? Myślisz, że ktoś tu może być po naszej stronie?
- W personelu naziemnym tak. Macie kody do broni?
- Przejęliśmy sterowanie ogniem. Ale trochę to potrwa, zanim się wprawimy i zaczniemy strzelać jak pospoły.
- Żartujesz? Jeżeli kiedyś znajdę gnata, z którego człowiek strzela lepiej od ogrilla, to go osobiście, kurwa, zjem.
- A co z naszym wsparciem lotniczym? Dużo tych niedojebów w powietrzu.
- W drodze.
- To może by się chujki bardziej sprężyły, co? Nie mam ochoty łyknąć atomówki, a nie mamy pod ręką Delianna, który by taką pizdę zgasił.
- Ja też nie. Czekaście w pogotowiu. - Oglądam się na Gayle'a. - Chcesz popatrzeć? Czegoś takiego nie widzi się co dzień.

Jest oszołomiony, ale bierze się w garść i podchodzi do okna.

- Możesz mi powiedzieć... wyjaśnić mi... coś z tego... tutaj...?
- Z przyjemnością. Zwłaszcza że Rada Zarządców monitoruje mój myśloemiter, a dobrze by było, żeby zrozumieli. Sprawa jest całkiem prosta.
- Prosta? - Parska śmiechem, ale bez przekonania. - To żart, prawda?
- Większość już wam powiedziałem, tylko mi nie chcieliście wierzyć, pierdolce głupie. Wam się, kurwa, wydaje, że to tylko kolejna Przygoda Caine'a, więc powinna się kończyć jakimś generalnym rozpierdołem jak 513

jakiś Bond. W porządku. Mieliście swoją rozpierduchę.

Gayle robi zdziwioną minę.

- Mówię o wielkiej finałowej bitwie - tłumaczę cierpliwie. Mogę sobie pozwolić na cierpliwość. - Właśnie byłeś jej świadkiem. Przegraliście.

Wybałusza oczy.

Zrobiłoby mi się go żal, gdyby nie był takim zakłamanym lizusem i słuzalczą gnidą.

- Więc tak. To, co się przydarzyło ochroniarzom, to sympatyczny efekt uboczny mojego kontaktu z czarnym olejem, krwią Ślepego Boga czy jak tam chcesz sobie to kurewstwo nazwać. Napompowaliście mnie nim dzisiaj po czubki uszu, a ja rozjebałem główki wszystkim pospołom w promieniu dwóch mil.

Szczęka Gayle'a opada do samej podłogi. I tak sobie wisi.

- Ty...

- Tak, ja. W bezpośredniej bliskości *dil* w ich żyłach również płynie czarny olej. Mój olej dogadał się z ich olejem i kazał mu się zapalić, a ponieważ ich olej woli nie podskakiwać mojemu olejowi, posłuchał go. Ściśle rzecz biorąc, to chyba wszystko jest mój olej, ale to pewnie nie pomaga w wyjaśnieniu sytuacji.

- Kompletnie nie wiem, o czym mówisz.

- Ale Rada wie. Słuchaj, Gayle, ponoć lubisz czytać, tak? Natknąłeś się kiedyś na historyjkę o Bracie Króliku?

Gayle blednie jeszcze bardziej.

- Mam zasięg ograniczony do paru mil, bo im bardziej oddalasz się od *dil*, tym bardziej fizyka normalnieje. Dlatego latające wozy antyzamieszkowe krążą wysoko, poza zasięgiem. Ale dla nich też szukujemy paskudną niespodziankę. Problem polega na tym, że nikt z was do końca nie rozumie, czym naprawdę jest czarny olej.

BOG myśli, że wie... Ale to BOGowi się wydawało, że jak mnie na-szprycują tym gównem, to zmienię się w takiego popierdolonego zombie jak Kollberg, dlatego proponowałbym nie przejmować się zbytnio ich 514

opinią. W porządku? Nie licząc mnie oraz garstki klasztornych uczonych i agentów, jedynym człowiekiem, który naprawdę rozumie istotę czarnego oleju... który rozumie istotę Ślepego Boga, jest mój ojciec. Nazwał go

„wspólną wolą całej ludzkiej rasy” i jest to bliższe prawdy od tych wszystkich elfickich legend, od których wzięło się jego imię. Ślepy Bóg jest wyrazem ludzkiej natury. A czarny olej jest tylko wyrazem jego mocy. To nie on jest zły, to ludzie są źli. Kollberg był skurwysynem na długo przed tym, jak BOG nafaszerował go tą czarną mazią. Jest to o tyle ważne, że ludzie są wprawdzie źli, ale są również dobrzy. Niektórzy jednocześnie. W tym sęk.

Dobro i zło nie mają nic wspólnego z bogami. To my. Ślepy Bóg niszczy, bo my niszczymy. Ale

umiemy również tworzyć. Posłuchaj, Gayle. Nie możesz się za to obwiniać. Nie masz pojęcia o całym mnóstwie spraw, które wydarzyły się po śmierci mojej żony. Chociaż BOG mógłby ci szepnąć słówko, bo oni na pewno wiedzą co nieco. A jak nie wiedzą, to przecież muszą się domyślać. No, bez jaj. Czarne włosy. Czarna broda. Czarne oczy. Czarne ubranie. Czarny Nóż. Czarny Przepływ. Rozkładam ręce.

Przecież to takie oczywiste.

- Czarny olej.

Gayle siada. W pokoju nie ma krzesła, ale to mu nie przeszkadza. Podciąga kolana do piersi i obejmuje je ramionami.

- Z pewnością zainteresują cię pewne... powiedzmy... intrygujące aspekty mojej obecnej sytuacji... jeśli wybaczysz mi ten kosmiczny eufemizm.

Na przykład to, że głosy w mojej głowie opowiadają mi o rzeczach, które jeszcze się nie wydarzyły. Czasem się mylą, zwykle nie znają szczegółów, ale niektóre sprawy są dla nich oczywiste. Zajebista przewaga przy plano-waniu, nie uważasz? Ten ośrodek był jedną z takich oczywistych spraw.

Drugą jest czarny olej, bo gdybyście nie podali mi go dziś w kroplówce, nie byłoby w ogóle mowy o widzeniu przyszłości. Szczerze mówiąc, moż-

na by chyba zaryzykować stwierdzenie, że cała moja kariera zostałaaby odczyniona.

Gayle tępo kręci głową.

515

- Wiesz, tak między nami, ja też nie wszystko rozumiem. Ale rzecz w tym, że wiedzieliśmy, co knujecie, skurwiele. Wiedzieliśmy kiedy. I byli-

śmy przygotowani. Dlatego wy przegraliście, a ja wygrałem.

- Ale... co wygrałeś? - Rozgląda się bezradnie. Nadal nic nie rozumie. -

Co z tego masz? Nie możesz się stąd ruszyć, nie możesz nic zrobić... Zamordowałeś kilka tysięcy niewinnych ludzi na napromieniowanym pustkowiu.

- To nie morderstwo. To wojna. Znaczący, to była wojna. Teraz to jest okupacja.

- Przez ogrille? Ile ich jest, pięćset? Tysiąc?

- To nie są zwykłe ogrille, Gayle, tylko Czarne Noże. Czarne Noże z nowoczesną bronią. Uwierz mi, tysiąc to bardzo dużo.

- Czarne Noże cię nienawidzą...

- Oni mnie czczą. - Znów rozkładam ręce. - Wiele się zmieniło.

- Jesteś nienormalny.

- Ludzie często mi to mówią. Wy wszyscy, Rada, Kongres, Policja Społeczna, musicie zrozumieć, że to koniec.

- Koniec czego? Co dokładnie wydaje ci się, że możesz zrobić?

- Już zrobiłem. Od tygodni kontrolujemy bramę.

- Otrzymujemy regularne raporty...

- Od klasztornych agentów. Jesteśmy w tym nieźli.

- Poza tym jest ruch przez bramę...

- To jest w tym wszystkim najpiękniejsze. Zburzyliśmy *dil T'llann*.

- Co takiego?!

- No, poniekąd. Może raczej powinienem powiedzieć: przejęliśmy ją.

Przeszkadzała.

- Mój Boże...

- Mój też. Od tej pory będziecie skurwiele przechodzić do Domu tylko wtedy, kiedy wam na to pozwolimy. W praktyce tak to wygląda już od dwóch tygodni.

516

- Ale transport... funkcjonowanie BlackStone...

- Tak jak powiedziałem: Klasztory są w tym niezłe.

- Blefujesz. Na pewno.

- Często to słyszę. Ale jakoś nikt nie potrafi mi przypomnieć, kiedy poprzednio przyłapał mnie na blefowaniu. Kiedykolwiek. Zastanów się nad tym. Ja się nigdzie nie wybieram.

Długo milczy. Siedzi z zamkniętymi oczami. Kiedy się wreszcie odzywa, mówi bardzo cicho i bardzo wyraźnie, artykułując przesadnie, jakby słowa sprawiały mu ból:

- A ja? Co teraz będzie ze mną? Nie wyobrażam sobie, żebym był cokolwiek wart jako zakładnik, a Kompania nie potrzebuje już chyba Dyrektora Operacji Nadświatowych dla tej placówki.

- Zgrabne podsumowanie.

- Właśnie. Czy teraz... - Kaszle. To chyba też sprawia mu ból. - Czy teraz mnie zabijesz?

- Myślałem o tym.

Otwiera oczy.

- Czas przeszedł?

Wzruszam ramionami.

- Nie bardzo widzę, jak mógłbyś nam zaszkodzić. A wiem, że nie jesteś szczurojebem tylko dlatego, że po prostu lubisz być szczurojebem.

- To chyba najlepsza namiastka komplementu, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem.

- Mam dla ciebie propozycję. Pracy.

Powieki opadają mu w długim, powolnym mrugnięciu, jakby mdlał.

- Przemyśl to, Gayle. Założę się, że chwilowo jesteś bezrobotny. Przyciska twarz do kolan.

- Ja już zupełnie nic nie rozumiem.

I bardzo dobrze. To nie on ma coś z tego zrozumieć, tylko wy.

Ja nie blefuję.

Patrzcie.

517

- Nie wiem, czy wiesz, Gayle, ale rzeczownik zbiorowy na określenie stada smoków to „pożoga”. Uwielbiam to słowo: smocza pożoga. Piękne.

Poetyckie, bez mała, nie uważasz?

Unosi głowę. Marszczy brwi.

- Smoki? Dlaczego nagle zacząłeś mówić o...

Ostatnie słowo nie przechodzi mu przez gardło, bo w tej samej chwili ogromny i mroczny cień prześlizguje się nad naszymi głowami i przesuwa po fortyfikacjach na zewnątrz. Gayle zrywa się na równe nogi, z rozdzia-wionymi ustami dopada do okna i przyciska twarz do szyby.

Robię dokładnie to samo. Mógłbym zgrywać luzaka, ale w takich chwilach pierdolę godność osobistą.

To jest coś niesamowitego.

Jest tak ogromny, że właściwie nie widzę go za dobrze, kiedy zniża lot nad ośrodkiem. Jego cień jest zbyt ciemny, oczy odmawiają mi posłuszeń-

stwa, nie są w stanie go ogarnąć - i na dobrą sprawę nie ma w tym nic dziwnego, bo jedyny, jakiego widziałem na własne oczy, to Sha-Rikkintaer, ale to było w Kuriozeum w San Francisco, a smok oglądany na żywo jest kurewsko bardziej przerażający. Jest jakieś ćwierć mili od nas, kiedy składa skrzydła (machanie skrzydłami jest smokowi mniej więcej tak samo potrzebne do latania jak nowoczesnym myśliwcom) i wychodzi do góry. Ale tak prościutko. Pionowo. Jak rakieta, normalnie... Ja pierdolę.

Miga mi kolorowy wzór łusek, przypomina trochę skórę pytona siatko-wego, a potem smok odpala Tarczę, oblewa go płomień barwy słońca - i oto następuje kolejna przecudowna chwila, Jezusie Nazareński, ile ja bym dał, żeby teraz zobaczyć miny pospołów, kiedy wsłuchane w popiskiwanie systemów alarmowych próbują się zorientować, co to za pojazd pędzi im na spotkanie z prędkością niewiele niższą od prędkości dźwięku. A to jeszcze nie wszystko.

Nie wszystko, na Boga.

Dostrzegam czarny punkcik na grzbiecie smoka, blisko zadu.

518

- Tam siedzi jakiś człowiek - odzywa się w tej samej chwili Gayle, spokojnym, może lekko zdeprymowanym tonem, jakim mógłby zamawiać obiad w restauracji.

Ma lepszy wzrok niż ja.

- Siedzi tyłem do przodu?

- To możliwe.

- Żołnierz ankhański, pewnie z Korpusu Taumaturgicznego. Albo jakiś Klasztorny.

- Ale tyłem do przodu?

- No co? Tylny strzelec.

Dwa następne przelatują z rykiem i kreślą równoległe świece w górę.

- O mój Boże... - mamrocze Gayle.

- Czekaj, to już jest inny bóg.

Trzy sztuki tworzące trzeci szereg idą szerokim łukiem i wznoszą się po skosie.

- Moja nieodżałowana małżonka potrafi być bardzo, bardzo przekonują-

ca - wyjaśniam Gayle'owi.

- Ja pierdolę...

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby przeklinał. Chyba że mnie cytował.

Kiedy na przecięciu trajektorii sześciu smoków zaczynają się eksplozje i chyba ze dwadzieścia wozów antyzamieszkowych spada korkociągiem w dół, tryskając ogniem i dymem, Gayle szepcze:

- Niech mnie wydymają w dupę pasztecikiem z kurczęcia...

W porządku, to cytat.

Spoglądam w oczy swojemu odbiciu w szybie.

No.

Czy ktoś przegapił to, co tu się dzieje? Może komuś trzeba coś wyjaśnić?

Pustkowie należy do nas. Obowiązuje zakaz lotów. A także zakaz jazdy, marszów, rakiet, pocisków i wszelkiego innego chujstwa. Jeśli wciąż macie wątpliwości, czy potrafimy wymusić ich przestrzeganie...

519

- Gayle? Pytanie konkursowe: jak myślisz, ile jest smoków w Nadświecie?

Kręci głową.

- Nie mam pojęcia.

- Ja też. Ale na pewno dużo więcej niż sześć.

- Ehm... mmm... tak. - Kiwa w zadumie głową i spogląda na mnie, ściga-

gając brwi. - Od samego początku to planowałeś? Odkąd ocknąłeś się w Obozie Społecznym Buchanan?

- Ja? Planowałem? Weź, kurwa, nie żartuj. Mam od tego ludzi. A niektórzy z moich kumpli są diabelnie inteligentni.

- A gdyby Rada wszystkich zaskoczyła i przystała na twoją propozycję?

- Byłoby tak, jak obiecałem. - Wzruszam ramionami. - Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, ale

słowa dotrzymuję.

- Na to wygląda... Ale ty od początku wiedziałeś. Wiedziałeś, co odpowiedzą. Wiedziałeś o tym ośrodku. O czarnym oleju. O ojcu.

- Ludzie tak się przyzwyczaili do słuchania moich monologów, że zapominają, że to, co transmituje myśloemiter, to nie moje myśli, tylko narra-cja. Tak jakbym do nich mówił, tylko ciszej.

- Ale... Ty naprawdę pobladłeś. I te dreszcze, te łzy... a potem ten gniew...

- Gniew był prawdziwy, zapewniam cię. Reszta zresztą też. Nie chodzi o to, żeby udawać, tylko żeby wykorzystać coś, co już w tobie jest.

- Ale... Rozkładam ręce.

- Na tym polega aktorstwo.

Przesuwa się po nas następny cień i wśród kamieni na piasku ląduje ogromna opalizująca czarna kula, jak wyrznięta z obsydianu kulka-zabawka dla dziecka, które ma kciuki wielkie jak Iglica.

- Co to jest?

- Ta kula? To Tarcza. Domyślam się, że jest kłopot z dostrojeniem jej w taki sposób, żeby przepuszczała światło widzialne, a zatrzymywała inne, mniej fajne promieniowanie. Wracając do tej propozycji pracy...

520

- Tak, wiem... Tylko nie jestem pewien, czy to na pewno dobry pomysł, żebym znów dla ciebie pracował.

- Nie będziesz pracował dla mnie, tylko dla Fallera. Który zresztą też nie będzie pracował dla mnie.

- Dla Fallera?

- Mhm. Awansuję go. A ponieważ tutejsze nowe kierownictwo ma w dupie kwestię zysków z inwestycji, zaczniemy od wyleczenia tego jego raka. Pokieruje wszystkim tu, na Ziemi, ale będziemy potrzebowali łącznika z Kongresem Uprzywilejowanych. Zainteresowany?

Kiwa głową. Znów popada w zadumę, gdzieś mi się oddala.

- Mhm.. Tak, chyba tak. A ta... Tarcza?

Obsydianowy połysk blednie, powoli odsłaniając wnętrze Tarczy. Stoi tam lew wielkości słonia. Ma głowę orła i skrzydła o rozpiętości kwartału bloków w dużym mieście. Tuż poniżej linii piór, na karku, ma zapinaną na piersi i wokół przednich łap uprząż z kilkoma siodłami. W strzemionach jednego z nich stoi - i macha do mnie z zapalem - najpiękniejsza dziesięcio-latka, jaką widział ten

świat. Oba światy. A od jej uśmiechu świat od razu staje się lepszy. Oba światy.

- Zaraz... - Gayle mruży oczy. - Czy to...?

- Taaa. - Uśmiecham się. - To moja bryka.

## POSŁOWIE

### DO WŁADCÓW ZIEMI

POWINNIŚCIE WIEDZIEĆ NAJLEPIEJ, ŻE NIE NALEŻY RUSZAĆ MOJEJ RODZINY.

-CAINE *OSTRZE TYSHALLE'A*

Jeszcze jedno.

Tak między nami, skurwysyny, to będzie taki gest dobrej woli z mojej strony.

Poważnie.

Jesteśmy teraz dostatecznie mocni, żeby podbić wasz świat, ale powiem wam prawdę: mamy go w dupie. W dodatku, przy okazji, zginęłaby cała masa ludzi i nie tylko ludzi. Możecie mi wierzyć albo nie, ale temu właśnie próbuję zapobiec. A jest dla mnie kurewsko, bezwzględnie i absolutnie jasne, że gdyby choć trochę obchodziło was, kto poza wami zginie albo nie zginie, nie bylibyście sobą. Ziemia nie byłaby Ziemią. Umrze miliard ludzi, pięć miliardów, dziesięć... Chuj was to obchodzi. Grożąc im, nic nie osią-

gnę.

Dlatego chcę, żeby wszystko było jasne. Jak kryształ, kurwa. Jak kryształ.

522

Jeżeli jednak postanowicie zaryzykować czyjeś życie, będzie to wasze życie.

Mężczyzna w pancerzu ochrony Studia, który przedstawił się jako Mark Tanner, to klasztorny Ezoteryk. Zabójca. Od dziesięcioleci powtarzam, że daleko mi do najlepszego klasztornego zabójcy.

A Tanner? No, on jest bliżej.

W porównaniu z nim jestem mniej więcej tak samo niebezpieczny jak kawałek czerstwego chleba. To najlepszy zabójca, jakiego w życiu spotka-

łem. Prawda jest jednak taka, że nie spotkałem ich zbyt wielu. Mogą być inni, jeszcze lepsi. Mogą ich być dziesiątki. Albo setki.

Jest to o tyle ważne, że w tej chwili to my kontrolujemy *dil T'llann*. A to oznacza, że możemy

przechodzić nie tylko przez tę jedną konkretną *dil*, ale także przez każdą inną. Każdą. Kiedy zechcemy. Na całym świecie. Wiecie w ogóle, gdzie znajdują się inne *dillin*?

Wiecie, gdzie znajduje się choćby jedna?

Bo my wiemy.

I nasza wiedza na tym się nie kończy.

Znacie bajeczkę dla dzieci o myszce ze wsi i myszce z miasta? To my, tylko że na odwrót. Z waszą techniką możecie nam w Nadświecie zdrowo dopieprzyć. Ale my z naszą magią możemy wam dopieprzyć znacznie mocniej - i to tutaj, na Ziemi.

Lubicie swoją Policję Społeczną? To coś wam powiem: akta pospołów, ich tożsamości, zamiary, wszystko - są od dziś ogólnie dostępne w sieci.

Nic na to nie poradzicie. Więc jeśli jakiś pospoł będzie się chciał odgryzać, czeka go paskudna niespodzianka.

Was też.

W waszych komputerach nie ma takiej rzeczy, do której nie mogliby-

śmy się dostać. Na przykład, dowiedziałem się niedawno, że Rada Zarząd-ców liczy obecnie... zaraz... szesnaścioro członków, zgadza się? Pozwólcie, że zacytuję parę nazwisk, ot, pierwsze z brzegu: Edward Charles Windsor.

Teresa Dayton Walton. Ruhollah Mohammed Ahmedinajad. Adrej ibn Saud.

523

Myślę, że się rozumiemy.

Wiemy, kim jesteście. Wiemy, gdzie mieszkacie. Kurczę, wiemy nawet, gdzie każde z was znajduje się w tej chwili!

Możemy was znaleźć. Możemy was zranić. Możemy was zabić.

Was osobiście.

Wiem, tak naprawdę nie wierzycie jeszcze, że możemy wam zaszkodzić. Za pierwszym razem zabijemy jedno z was. Za drugim dwoje.

Za trzecim całą resztę.

Jeżeli chcecie żyć, musicie przestrzegać zasad. Niektórzy z was nie są z nimi zaznajomieni, dlatego radzę uważać. Będzie z tego sprawdzian.

Zasada numer jeden: kto się do mnie dopierdoli, umrze. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Zasada numer dwa: moje słowo jest święte. Kto raz złamie Zasadę Numer Dwa, pożałuje. Kto ją złamie powtórnie, umrze. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Zasada numer trzy: kto się dopierdoli do mojej rodziny lub przyjaciół, to jakby się dopierdalał do mnie. W razie wątpliwości, patrz Zasada Numer Jeden.

Aha, i żeby nie było niejasności: do mojej rodziny i przyjaciół zaliczają się od teraz wszyscy oprócz was.

Tak to wygląda.

Jakieś pytania, kurwa?

# PROLOG

Oto opowieść o tym, co nastąpiło po końcu świata.

Koniec świata umknął uwagi większości ludzi, którzy żyli w tych czasach. Jak zresztą mogli go zauważyć? Słońce wciąż było żółte i gorące, wiatr zmieniał się z huraganu w tajfun i z powrotem, srebrny księżyc jak zwykle płynął po gwiazdzistym niebie. Były ryby w morzu, było na łą-

kach i ptaki w powietrzu; na skrytych głęboko w lesie polanach nadal rozbrzmiewał przypominający szmer suchych liści śmiech faerie, w górskich kopalniach dźwięczały metalicznie narzędzia skalników, drzewinki trzepo-tały skrzydełkami, ogry powarkiwały, a smoki drzemały w zapomnianych legowiskach.

Przez długi czas jedynymi ludźmi, którzy zdawali sobie sprawę z końca świata, byli mądrzy mężczyźni i mądre kobiety, poświęcający życie zgłę-

bianiu tajemnic tego rodzaju - a nawet i oni nie byli tak zupełnie pewni.

Koniec świata to poważna sprawa. Nikt nie chciał się pomylić.

Ich mądrość przejawiała się między innymi w nazywaniu rzeczy.

Ogromnie starali się zrozumieć wszystko, co nazywali, by mieć pewność, że każda rzecz otrzymała właściwą nazwę. Wiedzieli, że nazwy to tylko maski, ale wiedzieli również, że maska może ujawnić prawdę, która w przeciwnym razie pozostałaby tajemnicą. Nazwy, które nadajemy rzeczom, są odzwierciedleniem naszego myślenia o nich. Ponieważ koniec świata zaczął się dyskretnie, subtelnie, bez fanfar, to - mimo że gdzieś obfitował w dramatyczne wydarzenia - z początku nadali mu niewłaściwą nazwę.

525

Nazwali go Prawdziwym Wniebowstąpieniem Ma'elKotha.

Wiek Bogów trwał pięćset lat: od Rebelii Dzikich (kiedy to ludzcy bogowie pokonali sprzymierzone siły Ludów Domu i wyzwolili ludzkość) do Deomachii, kiedy Jhereth z Tyrnall, zwany Bogobójcą, powstał przeciw bogom ludzi, a jego brat Jhantho, zwany Żelaznorękim, zawarł Porozumienie z Pirichanthe i wyrzucił ludzkich bogów poza mury czasu. Razem zapoczątkowali w ten sposób Wiek Człowieka.

Który trwał również pięćset lat, do czasu, gdy Ma'elKoth (który sam kiedyś - przez krótki czas - był człowiekiem) stał się bogiem, zagarnął cały Dom jako swoje Ciało i odcisnął na nim piętno swojej Woli, czym unicestwił Porozumienie, najdonioślejsze dzieło Żelaznorękiego. Wiek Człowieka dobiegł końca, a świat przezeń ukształtowany odszedł na zawsze.

Oto opowieść o tym, jak koniec świata dał początek Wiekowi Caine'a.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)